

EVA GARCÍA SÁENZ DE URTURI

Kontynuacja bestsellerowej
Ciszy białego miasta

RYTUAŁY WODY



EVA GARCÍA SÁENZ DE URTURI

RYTUAŁY WODY

przełożyła
Katarzyna Okrasko



MUZA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału: ***Los ritos del aqua***

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Irma Iwaszko*

Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redakcja techniczna: *Robert Fritzkowski*

Skład wersji elektronicznej: *Sylvia Rogowska-Kusz*

Korekta: *Liliana Mieszczńska*

Zdjęcia wykorzystane na okładce

© Alberto Loyo/Shutterstock

© Ander Arrieta Arranz/Shutterstock

© Eva García Sáenz de Urturi, 2017

All rights reserved

© Editorial Planeta, S.A., 2017

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2019

© for the Polish translation by Katarzyna Okrasko

978-83-287-1259-1

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2019

*Moim dzieciom,
które nigdy nie zamieszkają tam,
gdzie mieszka zapomnienie*

Najsprytniejszą sztuczką diabła
było przekonanie ludzi o tym, że nie istnieje.
Pleciuch z *Podjezanych* cytujący Charles'a Baudelaire'a

Spis treści

Prolog TUNEL SAN ADRIÁN

1 GÓRA DOBRA

2 PASMO GÓRSKIE AIZKORRI-ARATZ

3 GRANICA ZŁOCZYŃCÓW

4 PUSTELNIA SAN ADRIÁN

5 KANTABRYJSKA WIOSKA

6 CANTÓN DE LA SOLEDAD, CZYLI ULICZKA SAMOTNOŚCI

7 PLAC VIRGEN BLANCA NUMER 2

8 PRZEDSZKOLE PRZY ULICY SENDA

9 LAKUA

10 OGRÓD PRZY MURZE

11 CMENTARZ ŚWIĘTEJ IZABELI

12 WYSPA MAN

13 TXAGORRITXU

14 PLAŻA PORTÍO

15 WYDZIAŁ HISTORII

16 KAMIENICA PANDO-ARGÜELLES

17 ULICA SAN FRANCISCO

18 PASEO DE FRAY FRANCISCO

19 ZBIORNIK NA DESZCZÓWKĘ W VILLAVERDE

20 SANDAILI

21 MUZEUM ESTANQUE DE LA BARBACANA

22 HOTEL DOÑA BLANCA

23 ZAULEK SAN ROQUE

24 KRYPTA NOWEJ KATEDRY

25 LATO KRAKENA

26 OGRODY COLLADO
27 SZPITAL TXAGORRITXU
28 SZPITALNE OGRODY
29 STELA TRZECH MATRON
30 KRZYŻ NA GORBEI
31 GRA W WISIELCA
32 SZPITAL MARKIZA DE VALDECILLI
33 SAN JUAN DE GAZTELUGATXE
34 WZGÓRZE WDÓW
35 STRYCH W VILLAVERDE
36 ŚLIZGAWKA
37 NOC ŚWIECZEK
38 CUESTA DEL RESBALADERO, CZYLI ULICA ŚLISKA
39 SZCZYT DOBRA
40 SINOBRODY
41 ZAULEK ZAPALENIA PŁUC
42 SZPITAL ŚWIĘTEGO JAKUBA
43 OGRÓD Z SEKWOJĄ
44 TRZY FALE
45 STANOWISKO ARCHEOLOGICZNE ATXA
46 AMSTERDAM
47 DEBA
48 PLAŻA ARNÍA
49 WYSEPKA URRO DEL MANZANO
50 COSTA QUEBRADA
51 WARZYWNIK DZIADKA
52 PAŁAC HRABIEGO SAN DIEGO
53 PORTALÓN
54 TORRE DE LOS ANDA
55 MALQUERIDA
56 SANTILLANA DEL MAR

57 FONTANNA KACZEK
58 ŻMIJA
59 SZPITALNA KAPLICA
60 HOTEL REAL
61 SOMOCUEVAS
62 RZEKA ZADORRA
63 PAŁAC SPRAWIEDLIWOŚCI
64 DOM W SANTILLANIE
65 NIEBIAŃSKI OŁTARZ
66 PAŁAC ESCORIAZA-ESQUIVEL
67 OKON
68 PUENTE VIESGO
69 DOM DZIADKA
70 DOM ALBY
Epilog DEBA
Podziękowania

Prolog

TUNEL SAN ADRIÁN

17 listopada 2016, czwartek

– Jestem w ciąży od sierpnia, Unai – wyszeptała mi na ucho Alba i uważnie obserwowała moją reakcję. – Od święta Białej Panienki.

Pamiętam intensywność tamtej radości. Mimowolny uśmiech rozjaśnił mi ponury listopadowy dzień. Policzyłem szybko, minęło piętnaście tygodni. To dziecko żyło dłużej niż moje bliźniaki. Czternaście tygodni. Niebezpieczeństwa pierwszego trymestru już za nim. Syn albo córka. Alba i ja mieliśmy zostać rodzicami.

Przymknąłem oczy, żeby nacieszyć się chwilą, najszczęśliwszą od kilku lat. Potem spojrzałem przez okno salonu; zamglona Vitoria rozpływała się w deszczu, a białe balkony po drugiej stronie placu Virgen Blanca były prawie niewidoczne. Nie przejmowałem się tym, ciepło, które wypełniało mnie całego, mogło ogrzać wszechświat.

Dostrzegłem jednak w spojrzeniu Alby nieme ostrzeżenie. Już wiedziałem, że za chwilę usłyszę złą wiadomość.

Co? – napisałem zdezorientowany. – Co się stało? Wiem, że to nie jest najlepszy sposób na rozpoczynanie związku, ale...

Alba powstrzymała moje palce wstukujące litery na wyświetlaczu.

– Nie potrafię w tej chwili powiedzieć, czy dziecko jest twoje, czy Nancha.

Na wspomnienie o jej byłym mężu poczułem się tak, jakby coś eksplodowało mi w głowie. On już nie żył, ale czy to możliwe, żeby w brzuchu Alby dorastał jego potomek?

Dla tych, którzy nie znają mojej wcześniejszej historii, streszczę ją w kilku słowach: nazywam się Unai López de Ayala, pracuję jako specjalista od profilowania kryminalnego w wydziale śledczym jednego z komisariatów w Vitorii. Mam ksywkę Kraken. Cierpię na afazję Broki. Seryjny morderca z poprzedniego śledztwa, które poprowadziłem, jak umiałem, prawie mnie załatwił: strzelił mi w głowę. Wciąż nie

mogę mówić, od czasu do czasu, kiedy nie mam innego wyjścia, wydaję z siebie coś w rodzaju krakania. Porozumiewam się skutecznie za pomocą edytora tekstu w telefonie.

I właśnie w tej chwili próbowałem się porozumieć ze swoją szefową, podkomisarz Albą Díaz de Salvatierrą, kobietą, która w dodatku... No właśnie.

I akurat w tym najgorszym z możliwych momencie dostałem wiadomość na WhatsAppie od Estíbaliz, mojej koleżanki. Cholera jasna!

„Kraken, przepraszam, że ci przerywam, cokolwiek-teraz-robicie-i-zaznaczam-że-bardzo-się-cieszę, ale technicy kryminalistyki dokonują oględzin miejsca zbrodni w Álavie, w pobliżu tunelu San Adrián. Podkomisarz Salvatierra ma wyłączoną komórkę. Chciałabym, żebyś pojechał ze mną. To ważne”.

„Esti, przykro mi, że cię wezwano, ale jestem na zwolnieniu. Podkomisarz zaraz do ciebie zadzwoni. Co się stało?” – odpisałem.

„Młoda kobieta powieszona za nogi, możliwa przyczyna śmierci: utonięcie”.

„Utonięcie? W górach?” – odpisałem natychmiast.

Automatycznie włączył mi się w głowie specjalista od profilowania.

„No właśnie. Ciało jest zanurzone aż do ramion w pełnym wody kotle z brązu, Kraken. To eksponat muzealny, trzeba będzie skonsultować to ze specjalistą, ale być może pochodzi z epoki celtyckiej. Bardzo dziwna śmierć, w bardzo dopracowanej scenerii. To nie jest zwykłe zabójstwo. Spróbuję nakłonić podkomisarz, żeby poprosiła sędziego Olano o zgodę na twoją obecność w charakterze biegłego podczas oględzin. Mam nadzieję, że się mylę i nie będziemy znów mieli do czynienia z seryjnym mordercą, a ty jesteś najlepszym profilerem, jakiego znam, i jeśli przydzielą mi tę sprawę, chciałabym mieć cię przy sobie, żebyś mi doradzał”.

Nie mogłem się powstrzymać, zacząłem snuć domysły, wyobrażać sobie miejsce zbrodni. Zaprzagnąłem zobaczyć je na własne oczy. Ale powiedziałem sobie „stop”. Nadal byłem na zwolnieniu, nie mogłem mówić, nie byłem na chodzie. Nie potrafiłem jej pomóc.

„Rozumiem. Ale myślę, że poradzisz sobie sama. Ja nie powinienem tam jechać” – wystukałem pełen nadziei, że nie będzie nalegała.

„Kraken... Napiszę ci to, zanim dowiesz się wszystkiego z prasy. Daję ci szansę, żebyś pojechał ze mną i zobaczył miejsce i ofiarę. Jeśli teraz się nie dowiesz, będziesz miał do mnie pretensje przez całe życie”.

„Nic nie rozumiem, Esti”.

„Dziewczyna miała dokumenty. Nie ukradziono jej portfela, leżał obok, pewnie wypadł jej z kieszeni”.

„Kto to, do diabła, jest?” – napisałem zaniepokojony.

„Ana Belén Liaño, twoja pierwsza dziewczyna. Spotykałeś się z nią, zanim wydarzył się ten wypadek. Tamtego lata, na obozie w Kantabrii”.

„Tak, Esti – wystukałem i poczułem się niezręcznie. – Skąd o tym wszystkim wiesz?”

„Lutxo opowiedział wszystko mojemu bratu”.

Annabel Lee, pomyślałem. Nie przyjmowałem do wiadomości jej śmierci, chociaż ona lubiła mroczne, pogrzebowe klimaty.

Annabel Lee nie żyje.

„Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć”.

„Co takiego?”

Była w ciąży”.

1

GÓRA DOBRA

4 września 2016, niedziela

Dziś wróciłam nad zbiornik, ojczy.

Matka chrzestna zabroniła mi to robić. Bolałoby ją bardzo, gdyby się dowiedziała, że złamałam właśnie ten zakaz. Miałam cię nie szukać. Nie wracać po ciebie. Wiedziałyśmy, do czego jest zdolny Sinobrody, kiedy poczuje, że ktoś mu się bacznie przygląda.

Dziś z przerażeniem przeczytałam paskudny nagłówek w „El Periódico Cántabro”:

NA SZCZYCIE DOBRA ZNALEZIONO
ZWŁOKI DWUDZIESTOTRZYŁATKI

Tajemnica samobójstw młodych dziewczyn
wciąż nierozwikłana

Na górze Dobra znaleziono zwłoki G.T. (lat 23), zamieszkałej w Santander. To już trzecia młoda kobieta, której zwłoki znaleziono w Górach Kantabryjskich. Ofiara rozebrała się i spędziła noc pod gołym niebem, zmarła prawdopodobnie w wyniku wyziębienia. Nie znaleziono śladów przemocy. Czy to moda, czy efekt naśladownictwa nagłośnionych wcześniej samobójstw? Policja nie potrafi tego wyjaśnić ani nie dopatrzyła się związku pomiędzy ofiarami.

Śledczy znów są zagubieni. Trzecia ofiara o tych samych cechach: młoda osoba, która wspina się na szczyt kantabryjskiej góry, z zapadnięciem zmroku rozbiera się i umiera z wyziębienia. Następnego dnia ktoś znajduje ciało. Żadnych śladów, żadnych motywów, przesłuchania bliskich nic nie wnoszą do sprawy.

Wcale mnie to nie dziwi.

Jak ktoś, kto nie widzi, co ma przed nosem, może w ogóle coś odkryć?

Po długich poszukiwaniach udało mi się dotrzeć do zdjęcia tej dziewczyny,

Sinobrody. Jest na swój sposób do mnie podobna. Powiedzieliście mi, że nie żyje. Spojrzeliście mi w oczy i powiedzieliście, że nie żyje. Zatrzymaliście ją sobie.

Przyrzekłam matce chrzestnej, że nie będę cię śledzić, zbliżać się do ciebie, ale teraz przeżuję i wypluję te obietnice, bo nie masz nawet pojęcia, jaka wściekłość kipi we mnie i zalewa mi wnętrzności, które przez ciebie zgniły.

Ale mój dramat polega na tym, że mimo wszystko tęsknię za tobą, ojcze. Tęsknię za twoją uwagą, za tym, jak udajesz przed wszystkimi, że się o mnie troszczysz, aż do tego lata, kiedy wszystko się stało i na obozie, pomiędzy wioską a urwistym wybrzeżem, umarłam po raz pierwszy.

Czasem przymykałam oczy i zdobywałam się na wysiłek, żeby wtopić się w twoją publiczność i udawać, że ja też w to wierzę, że naprawdę istnieje jakiś równoległy świat, w którym jesteś dobrym ojcem i kochasz mnie tak, jak powinno się kochać dziecko, a nie w ten swój chory sposób.

Bezskutecznie. Nigdy nie zdołam w to uwierzyć.

Piję i palę więcej niż zwykle. Wczoraj wdałam się w bójkę. Muszę jeszcze raz wymyślić siebie, uporządkować swoje życie. Być kimś innym, kimkolwiek, byle nie sobą.

Wróciłam, ojcze.

PASMO GÓRSKIE AIZKORRI-ARATZ

17 listopada 2016, czwartek

Kim była Annabel Lee? To zdarzyło się jeszcze przed moimi szesnastymi urodzinami. Ana Belén Liaño zjawiała się w Cabezón de Sal, kantabryjskiej miejscowości położonej niedaleko wybrzeża, pierwszego dnia letniego obozu, na którym Lutxo, Asier, J. i ja – czyli paczka ze szkoły Świętego Wiatora – postanowiliśmy spędzić najlepszy lipiec w naszym krótkim jeszcze wówczas życiu.

Miała czarne proste włosy sięgające do pasa i grzywkę przyciętą równo nad brwiami. Patrzyła spod niej na świat tak trzeźwo i przenikliwie, że nawet dorośli nie kwestionowali jej pomysłów.

Z początku jej zachowanie drażniło mnie, potem zaintrygowało, a trzeciej nocy nie mogłem usnąć zasłuchany w dziwną melodię jęków i szeptów, które wydobywały się z jej ust, kiedy spała kilka śpiworów dalej. Można powiedzieć, że wpadłem po uszy.

W wieku, kiedy żaden z nas nie miał pojęcia, jakie studia wybierze ani tym bardziej, co będzie robił w życiu, Ana Belén Liaño była już autorką komiksów, a pseudonim, którym podpisywała swoje mroczne rysunki – Annabel Lee, postać z wiersza Edgara Allana Poe'go – cieszył się renomą wśród fanów erotyki oraz klimatów gotyckich i postapo.

Osiągała wszystko, co sobie zaplanowała, przekraczała granice, przełamywała stereotypy, choć nietrudno było dostrzec, że inspirowała się Gustavem Adolfem Bécquerem, lordem Byronem i Williamem Blakiem. Nigdy nie wypuszczała z dłoni czarnego cienkopisu marki Staedtler, często malowała sobie kadry na przedramionach, bo pomysły przychodziły jej do głowy nieustannie, czy to wtedy, gdy zmywaliśmy metalowe kubki po śniadaniu, czy wtedy, gdy Saúl Tovar, kierownik obozu, sączył nam do głów opowieści o dawnych rytuałach i zabytkach, wożąc nas starym bussem do magicznych miejsc wybrzeża, jak San Juan de Gaztelugatxe w Bizkai czy plaża Deby w prowincji Guipúzcoa.

Annabel Lee miała też inne dziwactwa. Była humorzasta, udzielała wymijających odpowiedzi, wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że bardziej interesuje ją własny, dziki

świat wewnętrzny niż nasze bezbarwne problemy wieku przejściowego między dzieciństwem a dorosłością. Była osobą bez wieku, ani dorosłą, ani dzieckiem. Ceniła swoją samotność i rozpieszczała ją jak niektóre wdowy swoje rasowe koty: poświęcała jej wiele czasu i uwagi.

Wystarczyły jej cztery dni i trzy noce, żeby znokautować moje serce, wówczas jeszcze dziewicze, pozbawione ran, które musiałbym wylizywać. Ukradła mi je, nakarmiła, pozwoliła się przyzwyczać do swojego milczącego, burzącego spokój towarzystwa i wypluła je, kiedy... Właściwie sam nie wiem, co się stało.

Nie wiem, z jakiego cholernego powodu porzuciła mnie z taką... Chciałem powiedzieć obojętnością, ale to niewłaściwe słowo. Obojętność wynika z zarożumiałości, a ona potrafiła okazywać ciepło. Tak naprawdę Annabel żyła w równoległym świecie, który spotykał się z naszym tylko od czasu do czasu. Przeważnie była gdzie indziej, w swojej własnej rzeczywistości, wśród swoich własnych fantasmagorii. Dlatego jej śmierć wydawała mi się jedynie zakończeniem jednego z jej komiksów, a nie zdarzeniem konkretnym ani realnym.

Często myślimy, że ci, którzy tworzą historię, nie starzeją się ani nie odchodzą, że zostaną z nami na zawsze; tak właśnie myślałem o Annabel Lee, chociaż po tym, co zdarzyło się tamtego lata, nie miałem od niej żadnych wieści.

Kiedy dotarliśmy na polanę, wysiadłem z radiowozu i podmuch lodowatego wiatru uderzył mnie w twarz. Gwałtowny, ale błogosławiony powrót do rzeczywistości. Bałem się, że mająca metr sześćdziesiąt wzrostu Estíbaliz nie utrzyma się na nogach. Moja towarzyszką wyjęła rudy kosmyk z ust i dziarsko ruszyła przed siebie. Po ostatnich ulewnych deszczach cała droga do tunelu San Adrián zamieniła się w błoto, a prognozy pogody zapowiadające burzę i gradobicie wydawały się całkiem prawdopodobne. Nadciągające z północy czarne chmury nie wróżyły nic dobrego.

– Jesteś gotowy, Kraken? – zapytała Estíbaliz trochę zaniepokojona. – Podkomisarz zgodziła się, żebyś uczestniczył w oględzinach jako biegły, ale nie wie, że znałeś ofiarę.

I wolę, żeby na razie tak pozostało – napisałem na swoim telefonie i pokazałem jej wiadomość.

Puściła do mnie oko.

To właśnie cały ja: adwokat szczerości w związku.

– Na początku tak rzeczywiście będzie lepiej – przyznała mi rację. – Chodźmy, już niedługo zacznie się ściemniać. A tak w ogóle powinnam coś wiedzieć o ofierze? O jej stylu życia? Coś, co może okazać się pomocne, żeby odkryć, czemu skończyła, jak skończyła?

Chyba nie – napisałem i wzruszyłem ramionami.

Nie będę ci opowiadał o tym, co stało się tamtego lata, Estíbaliz. Nie jestem na to gotowy, nie chcę się tym dzielić, pomyślałem.

Do tunelu San Adrián w Parku Krajobrazowym Aizkorri-Aratz dotarliśmy szosą z Zegamy, bo tu znajdował się parking położony najbliżej naturalnej jaskini. Stały na nim już samochody techników kryminalistyki. Zaczęliśmy się wspinać.

Wąską kamienistą ścieżką, którą zarówno ja, jak i Esti przemierzyliśmy już dziesiątki razy, dotarliśmy do wejścia do tunelu. Przeszliśmy przez strzelisty łuk prowadzący do jaskini, minęliśmy liczący prawie sześćdziesiąt metrów tunel. Za nami została odrestaurowana pustelnia i niewielkie stanowisko archeologiczne, na którym grupa badaczy każdego lata prowadziła wykopaliska.

Smętny dzień chylił się ku zachodowi. Zielono-żółte liście buku poruszały się niespokojnie w podmuchach gwałtownego wiatru.

Kiedy sypiałem w domu dziadka w Villaverde, w czasie wietrznych nocy lubiłem słuchać szumu gałęzi dębów i buków rosnących w okolicy. Było to jak koncert, w którym człowiek okazywał się zbędny. Jednak tego dnia odgłosy nie wydały mi się tak wspaniałe. Nie podziały na mnie uspokajająco, wręcz przeciwnie, budziły raczej lęk niż podziw.

Tunel San Adrián kończył się dużym prostokątnym wyjściem wyłobionym w skale. Od zamierzchłych czasów korzystali z niego podróżni pielgrzymujący po północnym szlaku Drogi Świętego Jakuba.

Powiadają, że sam Karol V musiał po raz pierwszy w życiu schylić głowę, by przez niego przejść. Nie wiem, jak wysoki był nasz monarcha, ale ja rzeczywiście musiałem się pochylić, żeby wynurzyć się z tunelu po stronie Álavy i dotrzeć na miejsce zbrodni.

Poszliśmy kawałek pod górkę po ścieżce z małych kamyczków i ujrzeliśmy Andoniego Cuestę, kolegę z Wydziału Technik Kryminalistycznych. Facet po pięćdziesiątce, bardzo skrupulatny, z tych, którzy bez słowa skargi zostają po godzinach, pokazał nam drogę. Miejsce było otoczone żółtą taśmą i tylko w jednym miejscu można było dostać się do środka.

– Jak leci, Andoni? – zapytała Estíbaliz przyjaźnie. Wiedziałem, że Esti i Andoni się lubią, często wychodzili na kawę, kiedy spotykali się w komisariacie przy Portal de Foronda w dzielnicy Lakua. – Powiedz, to ty jesteś tym szczęśliwym mieszkańcem Vitorii, który wygrał trzy miliony euro w lotto? Bo jeśli tak, to jutro zapraszasz mnie na obiad.

Wszyscy ostatnio rozmawiali o tym, że w Vitorii ktoś trafił szóstkę, i nie ustawały spekulacje na temat tożsamości szczęściarza. Ludzie snuli podejrzenia, obstawiali

sąsiada spod piątki, którego przestali spotykać na klatce schodowej, kolegę, który nie był na niedzielnym meczu drużyny El Alavés, albo znajomego, który złożył wypowiedzenie z pracy w Mercedesie, nie podając przyczyn swojej decyzji.

– Marzę o tym, to prawda. No ale niestety. Co do oględzin miejsca zabójstwa, dopiero zaczęliśmy, inspektor Gauno. I mamy jeszcze sporo roboty. A ja chciałbym wrócić do domu, żeby ucałować dzieci na dobranoc. Starszy ma mecz koszykówki w weekend i chodzi po ścianach. Gdybym to ja wygrał, kupiłbym mu całą drużynę Baskonii, razem z zarządem i trenerem, żeby nie sadzali go w kółko na ławce rezerwowych – powiedział Cuesta niby żartem, ale jednak przejęty, klękając obok swojej walizeczki. Był pulchnym, sympatycznym gościem, ramiona miał krótkie, a jego niewysoką postać łatwo było rozpoznać podczas pracy w terenie, mimo że wszyscy technicy kryminalistyki nosili identyczne białe kombinezony. – Włóżcie ochraniacze na buty i uważajcie. Pełno tu śladów obuwia, zidentyfikowanie ich będzie prawdziwą męką.

Posłuchaliśmy go. Potem podał nam rękawiczki.

Sędzia Olano wydał zgodę na oględziny, ale dałbym sobie głowę uciąć, że nie przyjechał sam w góry, żeby je nadzorować, i przysłał w zastępstwie sekretarza.

Poszliśmy w głąb lasu. Doktor Guevara, specjalistka od medycyny sądowej, robiła notatki, stojąc obok drzewa, na którym powieszono zwłoki kobiety. Kilka metrów dalej sekretarz sądowy oraz inspektor Goyo Muguruza kierujący ekipą techników kryminalistyki rozmawiali ściszym głosem o kurtce w trupie czaszki, z kapturem, która najwyraźniej należała do zamordowanej.

Sekretarz, mężczyzna o siwych włosach i długim nosie, potakiwał z poważną miną i lewą ręką notował wyjaśnienia Muguruzy.

U ich stóp leżała walizeczka, do której zbierali wszystkie dowody.

Ujrzałem Annabel po tylu latach, w dodatku miałem awersję do trupów, więc musiałem się odwrócić, żeby ukryć, że jest mi niedobrze. Esti podeszła do specjalistki od medycyny sądowej.

– Ach, inspektor Gauna, cieszę się, że panią widzę. O, i inspektor Ayala wrócił do nas! – powiedziała doktor Guevara, udając, że nie dostrzega, w jakim jestem stanie.

Miała około pięćdziesięciu lat, była drobna, a jej płaskie policzki zdradzały ślady trądziku różowatego. Mało mówiła, za to działała bardzo skutecznie, niczym robot, któremu wyłączono dźwięk.

Pracowaliśmy razem od lat i bardzo ją ceniłem. Nigdy się nie krzywiła, kiedy prosiłem, żeby przyspieszyła którąś z sekcji. Obdarzona była rzadką cechą: potrafiła współpracować ze wszystkimi przydzielonymi jej sędziami nad jakąkolwiek, choćby nawet arcytrudną sprawą. Jednym słowem: darzyłem ją pełnym zaufaniem.

– Dziś przyszedł jako biegły od profilowania kryminalnego, ale niedługo rzeczywiście wróci – skłamała Estíbaliz tak naturalnie, jakby robiła to przez całe życie.
– Może już nam pani coś powiedzieć?

Spojrzałem na kobietę, która była kiedyś moją dziewczyną, moją pierwszą miłością, która pewnej nocy... Spojrzałem na nią, chociaż wisiała do góry nogami przywiązana za stopy do gałęzi, jej długie włosy, wciąż jeszcze mokre, szorowały po kamieniach, a gęsta grzywka po raz pierwszy chyba w życiu odsłaniała czoło. Miała otwarte oczy. Nie zamknęła ich, chociaż umierała w kotle z brązu po brzegi wypełnionym wodą.

Byłaś bardzo odważna, Annabel.

Ręce skrępowano jej na plecach plastikową opaską, nie dostrzegłem na palcu obrączki, była ubrana w sportowe ciepłe spodnie i polar, który opadał, odsłaniając jej zaokrąglony brzuch... Czwarty miesiąc? Może piąty? Delikatne zaciemnienie kresy białej. Kostki mocno związane liną zwisającą z grubej gałęzi znajdującej się jakieś dwa i pół metra nad ziemią.

Chociaż przez całe życie bawiła się kosztem innych i raniła ludzi, którzy najbardziej ją kochali, ten, kto jej to zrobił, musiał być prawdziwym skurwielem.

W co się tym razem wpakowałaś?, szepnąłem do niej w myślach.

A kiedy Estíbaliz i specjalistka od medycyny sądowej odeszły, żeby przyjrzeć się kociołkowi z brązu, ukląknęłem przed nią na jedno kolano: „Tutaj kończy się twoje polowanie, tutaj zaczyna się moje”, pomyślałem.

I na krótką chwilę uwierzyłem, że znowu jestem sobą, dawnym inspektorem Ayałą, a nie tylko nikłym cieniem jego cienia, że dostałem nowe zadanie, które absorbuje mnie całkowicie, i nową pasję, która przyćmiewa moje niedyspozycje i moje traumy, a miałem ich aż nazbyt wiele.

Na przykład taką, że moja szefowa była w ciąży, a ja nie wiedziałem, czy jestem ojcem tego dziecka, czy jest nim seryjny morderca.

3

GRANICA ZŁOCZYŃCÓW

17 listopada 2016, czwartek

Wróciłem do rzeczywistości i skupiłem się na miejscu zbrodni, żeby przestać myśleć o tym, co bolało. Cholernie bolało.

Na razie nie zaprzętałem sobie głowy metalowym garnkiem, który Esti uznała za tak ważny, i czekałem, aż wróci z doktor Guevarą, żeby zapytać ją o pierwsze wrażenia.

– Denatka to młoda kobieta w ciąży, w którym tygodniu, określe dokładnie dopiero po autopsji. Była powieszona do góry nogami, przywiązana zwyczajną liną z juty. Głowa nie dotykała ziemi. Świadkowie, którzy ją znaleźli, zeznali, że była zanurzona w cieczy do szyi albo do ramion. Tak jak podejrzewałam od początku, a technicy kryminalistyki potwierdzili moje przypuszczenia, plastikowe opaski, którymi skrępowano jej dłonie, można nabyć w każdym sklepie budowlanym.

– Proszę nam powiedzieć coś więcej o tych świadkach – przerwała jej Estíbaliz.

– Ciało znaleźli dwaj mężczyźni, którzy przyszli od strony Álavy. Mieszkają w Arai i wędrowali szlakiem z Zalduondo, zaparkowali wóz na polanie Petroleras. Obaj twierdzą, że wyjęli jej głowę z wody, mając nadzieję, że jeszcze żyje, ale była blada jak ściana i doszli do wniosku, że jest martwa już od jakiegoś czasu. Sprawdzili jej puls na szyi, upewnili się, że nie oddycha, i już niczego nie dotykali. Tak przynajmniej mówią. Kiedy przybyła na miejsce brygada ratowników górskich, potwierdzono zgon. Odjechali już.

– Tak, to oni powiadomili nas o zdarzeniu – wyjaśniła Estíbaliz.

Podszedł do nas inspektor Muguruza, człowiek energiczny, o interesującej kwadratowej twarzy. Miał na nosie okulary w stylu lat siedemdziesiątych, ze szklami fotochromowymi, ciemniejszymi, niż nakazywałaby pogoda. Wyglądał, jakby nie przespał nocy. Przywitał się z nami, unosząc brwi, i przejął pałeczkę od doktor Guevary.

– Wszędzie pełno odcisków palców, zwłaszcza na zewnętrznej części kotła, zresztą doktor Guevara już je pokazywała inspektor Gaunie. Boję się, że należą do świadków. Na razie to, co zastaliśmy, zgadza się z ich wersją wydarzeń. Będziemy musieli pobrać

od nich odciski palców, żeby to potwierdzić.

– Na ciele denatki nie ma śladów walki, sprawdzimy to jeszcze dokładniej podczas autopsji. Poszukamy też resztek skóry pod paznokciami. Wiemy, że ofiara żyła, kiedy ją powieszono, przyczyną śmierci było utonięcie w kotle pełnym wody – ciągnęła lekarka. – Znaleźliśmy ślady uderzeń i otarcia na jej głowie, prawdopodobnie spowodowała je sama, próbując wydostać głowę z kotła.

– Co się stało z wodą? – zapytała Estíbaliz.

– Mężczyźni wylali ją, kiedy próbowali ją ratować.

– A skąd wziął ją morderca?

– Po drodze jest wiele źródeł i potoków, w zimie pełno w nich wody. Możliwe też, że ukrył kocioł gdzieś w pobliżu. Ostatnio często tu padało, kocioł z pewnością napełniłby się deszczówką. Poza tym sugeruję, żebyśmy się pospieszyli – rzekła doktor Guevara, słysząc w oddali grzmot. – Musimy włożyć ciało do worka.

– Dużo przygotowań, nie sądzisz? – szepnęła mi do ucha Esti.

I miała rację. Cała ta sceneria wydawała się zbyt skomplikowana jak na zwykłego mordercę. Zabójstwa dokonano w bardzo dziwny sposób. Miałem wrażenie, jakbyśmy przechodząc przez tunel San Adrián, przeniesli się w czasie i znaleźli w epoce, kiedy rytuał był równie ważny jak sama śmierć.

Było w tej scenie coś bardzo anachronicznego.

W głowie uruchomił mi się tryb profiler. Na podstawie pierwszych wrażeń próbowałem wyobrazić sobie podstawy profilu mordercy: scenę, modus operandi, podpis i geografę. Wiktymologię zostawiłem Estíbaliz.

Obecność liny i kotła, konieczność napełnienia go wodą wskazywały na mordercę zorganizowanego, prawdopodobnie psychopatycznego, a nie psychotycznego. Morderca albo mordercy – bo od pierwszej chwili nie wykluczałem, że było ich więcej – zaplanowali ten rytuał bardzo szczegółowo. Kocioł był narzędziem zbrodni – fetyszem, czymś, co nie służyło do zabijania, ale właśnie do tego celu zostało użyte. Nie uszło mojej uwagi, że zabójca chciał mieć kontrolę nad sytuacją: związał ofierze ręce, żeby nie zniszczyła mu starannie przemyślanej scenerii.

Z kolei zakrycie twarzy post mortem mogło wskazywać na poczucie winy lub na to, że morderca znał Annabel Lee. Możliwe również, że zabójca został zaskoczony przez świadków i nie dokończył rytuału. Było zbyt wcześnie, żeby o tym przesądzać. Miałem jednak wrażenie, że cały ten reżyserski wysiłek był odtworzeniem jakiegoś obrzędu. Drzewo, historyczne miejsce, zabytek archeologiczny, czyli kocioł z brązu...

Nie byłem pewien, czy dokonał tego rzeczywiście psychopata. Widziałem w osobowości zbrodniarza cechy mieszane. Zdawałoby się, że morderca miał urojenia

mesjanistyczne, coś kazało mu dokonać na Annabel Lee rytualnego mordu. To wszystko, ku mojemu wielkiemu zmartwieniu, wskazywałoby na rys psychotyczny, chorobę psychiczną, zdeformowany umysł, który utracił kontakt z rzeczywistością. Jednym słowem, na delirium.

A martwiło mnie to dlatego, że zabójcy psychotyczni są nieprzewidywalni, a ja lubiłem świat uporządkowany, dający się skatalogować. I w efekcie kontrolować.

– Jakież płyny ustrojowe, pani doktor? – zapytała Estíbaliz, odwracając się do rozmówczynie.

– Nie znaleźliśmy na razie śladów krwi ani spermy – odpowiedziała, znów spoglądając na niebo. – Obawiam się, że zapadnie noc, zanim zdążymy skończyć robotę, będę miała więc okazję to sprawdzić luminolem i lampą Wooda. Chociaż wydaje się, że potwierdziliśmy jej tożsamość, zdejmę odciski z prawego palca wskazującego. Tak dla pewności.

– Co może nam pani powiedzieć o tym, kiedy nastąpiła śmierć?

– Mamy do czynienia ze stężeniem pośmiertnym, więc od śmierci ofiary upłynęły co najmniej trzy, cztery godziny. Wiecie doskonale, że zimno może powodować zmiany, jeśli chodzi o oziębienie pośmiertne, ale oceniam, że umarła wcześniej rano. W zimie i w dzień powszedni to miejsce jest opustoszałe, archeologowie z firmy Aranzadi pracują tylko w lecie, więc ten, kto to zrobił, miał czas, żeby powiesić ofiarę, zanurzyć jej głowę w kotle, popatrzeć, jak umiera, i odejść.

– Więc jeśli mężczyźni przyszedli tu, jak twierdzą, wczesnym popołudniem, kobieta już nie żyła? – wtrąciła moja towarzyszka.

– Jeśli rzeczywiście przyszedli o tej porze, na pewno była martwa.

– Dziękuję, pani doktor. Z mojej strony to już wszystko. – Estíbaliz pożegnała się i zwróciła do jednego z techników z prośbą o protokół z oględzin.

Obejrzeliliśmy rysunek z sylwetkami pobliskich drzew, wejściem do tunelu od strony Álavy, zaznaczonym położeniem zwłok i kotła. W raporcie zostały wymienione wszystkie ślady materialne. Jeden z techników robił zdjęcia papierosów i chusteczek, na ziemi ustawiono tabliczki z numerami i miarki. Okolice tunelu nie były może wysypiskiem śmieci w pełnym tego słowa znaczeniu, ale przedstawiały typowy obraz miejsca uczęszczanego przez turystów niespecjalnie wyczulonych na ekologię, którzy pozostawiali tu takie ślady swej bytności, jak plastikowe torby, folia aluminiowa po kanapkach, puste puszki.

Zebrano resztki ziemi z podeszew butów Annabel, żeby porównać je z ziemią na parkingu Petroleras w Álavie oraz z parkingu po stronie Gipuzkoi i dowiedzieć się, jaką drogą dotarła na spotkanie śmierci. Technicy mieli również zamiar zbadać ślady kół na tych parkingach.

Jeśli chodzi o ślady wokół miejsca zbrodni, był to prawdziwy galimatias. Dopatrzyłem się kilku tuzinów różnych śladów, prawdopodobnie większość z nich pozostawili turyści wędrujący tym szlakiem w weekendy. Poczciwy Andoni Cuesta miał rację: porównanie ich z SoleMate: bazą danych różnych podeszew, jaką dysponowaliśmy w jednostce, niechybnie okaże się drogą przez mękę.

Oddaliłem się nieco od Estíbaliz, która z uwagą czytała raport, żeby obejrzyć tajemniczy brązowy kocioł spoczywający na porośniętej trawą ziemi, kilka metrów od Annabel. Miał mniej więcej siedemdziesiąt centymetrów średnicy, nity i parę uchwytów. Nie był to wyrób współczesny i bardzo dobrze wiedziałem, kto pomoże mi ustalić jego pochodzenie.

Zrobiłem mu zdjęcie z przodu i z góry i wysłałem oba WhatsAppem staremu znajomemu.

„Potrzebuję pomocy archeologa. Wylądowaliście już w Los Angeles?” – napisałem.

„Ciągle jesteśmy w Álavie – odpowiedział błyskawicznie Tasio. – Co ty mi wysłałeś? Zajmujesz się teraz przestępstwami przeciwko dziedzictwu kulturowemu?”

Tasio Ortiz de Zárate najdrożej zapłacił za podwójną zbrodnię z dolmenu: spędził dwadzieścia lat za kratkami za przestępstwo, którego nie popełnił. Teraz zaczynał w życiu nowy etap jako scenarzysta amerykańskiego serialu na podstawie tych wydarzeń. Utrzymywaliśmy coś w rodzaju przyjacielskich, może raczej powinienem powiedzieć: koleżeńskich stosunków.

„Wyjaśnię ci to, jeśli obiecasz mi dyskrecję, w zamian za twoje doradztwo w sprawach niegdysiejszych naczyń, OK?” – odpisałem.

„Powinienem się obrazić, że wątpisz w moją dyskrecję. A poza tym moja wiedza co nieco zardzewiała, od dwóch dekad nie pracuję w zawodzie. Tak czy siak, to, co mi przysłałeś, to materiał na egzamin z pierwszego roku. Kocioł z Cabárceno”.

„Cabárceno? W Kantabrii?”

„Owszem. Mamy do czynienia z wyjątkowym eksponatem, znaleziono bardzo niewiele podobnych na północy naszego półwyspu. To kocioł typu irlandzkiego, właściwy dla kultury celtyckiej. O ile dobrze pamiętam, znaleziono go w 1912 roku na górze Peña Cabarga. Datowany jest na późną epokę brązu, czyli, mówiąc po ludzku, ma mniej niż dwa tysiące dziewięćset i więcej niż dwa tysiące sześćset lat”.

„Gdzie powinien się znajdować?”

„W gablocie muzeum, przypuszczam, że w Muzeum Prehistorii Kantabrii. Daj mi kilka minut, a ustalę, co i jak”.

„Miło się z tobą współpracuje – odpisałem. – Jeszcze jedno i to jest rzecz przeznaczona wyłącznie dla twoich uszu: z punktu widzenia osoby, która studiowała

zarówno archeologię, jak i kryminologię, jakie znaczenie może mieć to, że został użyty w tunelu San Adrián?”

„O kurwa”.

„No”.

„Użyty? W jaki sposób?”

„Więcej nie mogę ci zdradzić, Tasio. Zastanów się nad moim pytaniem i odpowiesz mi później, dobrze?”

„Ignacio przesyła pozdrowienia. Jak to się stało, że tak szybko wróciłeś do pracy?”

„Nie wróciłem do pracy”.

„Skoro tak twierdzisz. Na razie się zegnaj, odkurzę sobie wiedzę na temat Celtów. I... Kraken, dzięki, że sobie o mnie przypomniałeś. Wiesz, że lubię być przydatny społeczności Álavy”.

„Trudno o tobie zapomnieć. Cieszy mnie, że jesteś po jasnej stronie mocy”.

„Zawsze byłem”.

„Wiem. Odezwij się, kiedy będziesz coś wiedział”.

Skończyłem rozmowę zadowolony, że mogę być równie skuteczny jak kiedyś. Niewykluczone, że mowa nie była mi tak bardzo potrzebna, jak sądziłem.

Zajrzałem do kotła: na dnie została resztką wody i ujrzałem swoje odbicie, odbicie człowieka, którym kiedyś byłem, Krakena, którego można było zranić, ale nie dało się go złamać, silnego i elastycznego, czasem budzącego strach. Raczej upartego niż błyskotliwego profilerera, nigdy nieporzucającego dochodzenia, dopóki go nie dokończył, nie zgromadził odpowiednich dowodów i nie postawił podejrzanych przed sądem. Taki kiedyś byłem, tamto życie skończyło się 18 sierpnia, gdy Nancho wpakował mi w głowę kulę, która zniszczyła mój mózg i sprawiła, że bałem się każdego nowego kroku.

Odizolowałem się od świata i czułem się jak pączek w maśle w swoim Villaverde, ale zmieniłem się w faceta, który smaży jeżynowe konfitury. Bardzo smaczne, trzeba przyznać, no ale to jednak tylko konfitury.

Rozejrzałem się za Estíbaliz, lecz nie było jej już na miejscu zbrodni. Wróciłem więc do tunelu i zastałem ją przytuloną do ściany pustelni znajdującej się wewnątrz. Podszedłem cicho, żeby nie przeszkadzać w rozmowie, którą prowadziła właśnie przez telefon.

– Chcę, żeby został naszym profilerem – szeptała do kogoś przez słuchawkę. – Doskonale zdaję sobie sprawę z jego deficytów wynikających z urazu, ale inspektor Ayala potrafi się porozumieć pomimo problemów z językiem. Przepraszam – poprawiła

się – chciałam powiedzieć: z mową. Choćbyśmy nawet znaleźli nowych współpracowników, bez niego i tak nasza jednostka będzie kulawa, dobrze o tym wiesz. A poza tym to dobry sposób, żeby nakłonić go do rehabilitacji. Proszę tylko o to, żeby doradzał nam jako biegły, zanim odzyska dawną sprawność i będzie mógł oficjalnie wrócić na stanowisko.

Estíbaliz w milczeniu wysłuchiwała odpowiedzi, stałem na tyle daleko, że nie mogłem usłyszeć, co mówi nasza szefowa. A dałbym za to cały kocioł pełen złotych monet.

– Albo – ciągnęła już mniej oficjalnym tonem – mówiłaś mi, że Diana Aldecoa, neurołożka, zasugerowała, że powinien się znaleźć w otoczeniu, które będzie dla niego wyzwaniem. I że im szybciej zacznie robić postępy, tym większe szanse, że w długofalowej perspektywie wróci do formy. Zapewniam cię, że Unai może się nam bardzo przydać.

Zaskoczyło mnie to, że Alba i Estíbaliz są na ty. Wiedziałem, że Esti podziwia szefową, zauważyłem, że darzą się wzajemną sympatią, ale dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, że podczas mojej nieobecności zaprzyjaźniły się i nie ograniczały tylko do kontaktów zawodowych. Ucieszyłem się. Byłem pewien, że to dobrze zrobi im obu. Albie, bo dotąd w Vitorii doskwierała jej samotność, jeśli zaś chodzi o Esti, miałem nadzieję, że będzie to dla niej impuls, żeby skupiła się na sobie i uwolniła od nałogów. A może połączyła je żaloba, którą obie przeżywały: jedna po mężu, druga po bracie.

Wzruszyło mnie, że moja zawodowa partnerka i moja szefowa konfabulują i naginają przepisy, żeby skłonić mnie do powrotu. A jeszcze bardziej to, że moja najlepsza przyjaciółka i kobieta, która nie wiedziała, czy dziecko, którego oczekuje, jest moje, dbały o mnie za moimi plecami i chciały wypchnąć mnie ze strefy komfortu, żebym odzyskał mowę.

I właśnie tam, w odległym zakątku łańcucha górskiego Aizkorri, w tunelu nazywanym dawniej Granicą Złoczyńców, postanowiłem – przez wzgląd na Annabel Lee, Albę i to nienarodzone dziecko – że zrobię wszystko, żeby znów stać się Krakenem, którym kiedyś byłem.

Przez kilka minut czekałem jeszcze w odpowiedniej odległości, aż Estíbaliz skończy rozmowę i uśmiechnie się triumfalnie.

Podszedłem bliżej i pokazałem jej wyświetlacz telefonu.

Jesteś pewna, że wiesz, o co prosisz? – napisałem.

Posłała mi swoje szelmowskie spojrzenie. Nie wydawała się wcale zaskoczona moją obecnością, nie wiem, w jaki sposób wyczuła mnie za plecami, może odróżniała odgłos moich kroków od wszystkich innych. Estíbaliz traktowała mnie z wyjątkową czułością. Pozornie przyzwyczailem się do tego, ale wciąż mnie zaskakiwała, a ja starałem się to

ukryć.

– Wróćmy na miejsce zbrodni. Mam nadzieję, że się pospieszą, bo te pioruny wcale mi się nie podobają, a jeszcze mniej wiatr, który się właśnie zerwał – powiedziała i wyszliśmy znów z tunelu. – Wiem, że nie chcesz wracać do pracy, nie chcesz komplikować sobie życia, ale jesteś dobrym profilerem, a ja jestem świetną specjalistką od wiktymologii. Nie mam pojęcia, czy to pierwsze z seryjnych morderstw, czy może przestępca zabił już wcześniej, ty musisz to ocenić. Wiem jedno, to nie jest zwykły sposób zabijania, a ty możesz pomóc nam ustalić, co za świr zrobił to Anie Belén Liaño. Niepokoi mnie to, że była w ciąży. Jeśli kolejnymi ofiarami będą ciężarne kobiety, po prostu oszaleję.

Nie, Estíbaliz. Nikt nie będzie tu mordował ciężarnych. Nawet, kurwa, o tym nie myśl, powiedziałem sobie w duchu.

Koniec i kropka.

A potem spojrzałem w górę, zobaczyłem złowróźbne skłębione chmury zbierające się nad naszymi głowami i kolejny raz miałem wrażenie, że siły natury sprzysięgły się przeciwko mnie.

4

PUSTELNIA SAN ADRIÁN

17 listopada 2016, czwartek

– Zrób to dla niej i dla jej dziecka – nalegała i oboje spojrzeliśmy w niebo. Paskudny lodowaty deszcz lunął z ciemnych chmur, które nie zwiastowały niczego dobrego.

Dla niej i dla jej dziecka, powtórzyłem w myślach, patrząc, jak technicy przeprowadzają oględziny zwłok Annabel Lee. Ale to nie o niej i jej nienarodzonym dziecku pomyślałem, ale o kobiecie, która przed chwilą rozmawiała z moją partnerką.

– Idziemy – popędziła mnie Estíbaliz. – Kiedy się rozpada, to będzie prawdziwa katastrofa. Może pozwolą nam sobie pomóc w zabezpieczeniu śladów. Będziemy musieli schować się w tunelu. Nie uda nam się dotrzeć do samochodów, zanim przemokniemy do suchej nitki.

Pokiwałem głową i poszedłem za nią.

To prawda, po tym, co tu widziałem, nie wytrzymałbym w Villaverde, nie biorąc udziału w śledztwie. Nękałbym cię, żebyś opowiadała mi o postępach – napisałem jej po drodze.

Deszcz nie był teraz nieśmiałym ciągiem lodowatych kropli. Lunęło jak z cebra, ale najbardziej niepokoił wiatr, coraz silniejszy, wiejący od szczytu.

– No tak, wpadałbyś ciągle na komendę, kiedy śledztwo nie rozwijałoby się tak, jak sobie tego życzysz. Już to przerabialiśmy, Kraken. – Roześmiała się wesoło, a w jej oczach zaiskrzyła nadzieja. – Wróć do nas, wróć wreszcie do domu.

Jestem przerażony – napisałem. – Dziś rano obudziłem się zdenerwowany, bo musiałem stanąć przed władzami miasta i tłumem witorczyków, którzy chcieli oddać mi hołd. Martwiłem się głównie o to, żeby nie było widać blizny po kuli. – Przestałem pisać, żeby w mimowolnym odruchu ułożyć kosmyk włosów.

A o rozmowie z Albą nawet ci nie opowiem, pomyślałem i zacisnąłem szczęki, żeby

pohamować wściekłość.

To morderstwo nie wróży nic dobrego. Będziecie potrzebowali profilerą.

Uśmiechnęła się i ja się uśmiechnąłem. Bez słów powiedzieliśmy sobie, że włączę się do śledztwa.

Ale nie wyjawiałem jej całej prawdy.

Nie powiedziałem, że podczas oględzin miejsca zbrodni na chwilę zapomniałem o rzeczywistości, której nie umiałem stawić czoła: macierzyństwie Alby i moim możliwym ojcostwie. Musiałem zanurzyć się po uszy w tym śledztwie, a przewidywałem, że będzie skomplikowane i zaskakujące, bo konfitury z jeżyn i pieczone kasztany nie wystarczą, żebym nie oszalał w Villaverde, rozmyślając o tej ciąży.

– Wiesz co? Mój brat Eneko opowiadał mi różne historie o tym miejscu, kiedy wybieraliśmy się tu z naszą paczką. Znał ich setki. Przez ten tunel od wieków podążali pielgrzymi na szlaku Świętego Jakuba, członkowie zakonów rycerskich, karety ze szlachetnie urodzonymi damami, kupieckie karawany. Ale jest jedna opowieść, którą zawsze bardzo lubiłam, opowieść o pustelniku, który mieszkał nieopodal szpitala dla pielgrzymów wybudowanego w średniowieczu. Wiesz, to ten budynek, który znajduje się trochę niżej, zwany dziś pustelnią Sancti Spiritus. Podobno ten pustelnik pomagał dzieciom, które nie mogły zacząć mówić.

Kiedy mi o tym opowiadała, zauważyłem, że odruchowo dotknęła srebrnego *eguzkilorre* na rzemyku, który nosiła na szyi. Wciąż go miała; amulet, pamiątkę po Eneku. Ona też jeszcze nie wyleczyła się ze swoich ran.

Cuesta przerwał nam rozmowę. Sekretarz sądowy szedł do tunelu, żeby schronić się przed deszczem. Dwóch techników, specjalistka od medycyny sądowej i inspektor Muguruza w pośpiechu umieścili w worku ciało Annabel Lee. Cuesta podał nam teczkę w plastikowej torebce.

– Chyba powinniście to zobaczyć – powiedział.

Woda spływała strugami po jego białym kombinezonie.

– A co to właściwie jest? – zapytała Estíbaliz, skupiona w tej chwili na tym, co należało zabrać z miejsca zbrodni.

I wtedy zaczął padać grad: grudki lodu wielkości piłek golfowych waliły w nas jak oszalałe.

– Kocioł! I kurtka! – krzyknął inspektor Muguruza. – Chodźcie nam pomóc!

Pobiegliśmy, rozumiejąc, że nie czas na pogaduszki.

– Dacie sobie radę z ciałem? – spytała Estíbaliz lekarki sądowej.

– Tak, chodźmy do tunelu, chociaż nie wiem, czy będziemy tam bezpieczni. Jeśli gradobicie zmieni się w ulewę, ten tunel okaże się pułapką i zmyje nas woda. Przynieście koniecznie ten kocioł i kurtkę.

Wciąż mieliśmy rękawiczki, więc podniosłem z ziemi kurtkę, która nie była jeszcze całkiem mokra, a Cuesta i Estíbaliz pobiegli po kocioł.

Nagle zdałem sobie sprawę, że lekarka sądowa i Muguruza nie uniosą sami zwłok. Włożyłem sobie kurtkę pod pachę i poszedłem im pomóc.

Esti i Andoni zauważyli, że nawet we trójkę będziemy mieć problem, więc zostawili kocioł i w piątkę zaczęliśmy znosić zwłoki po kamienistej ścieżce pokrytej kulkami śliskiego gradu.

– Nie zdołamy dotrzeć do samochodów ani nawet do schroniska – powiedział wyczerpany inspektor Muguruza. – A kiedy zacznie się potop, spływający z góry strumień natychmiast nas zmiecie. Musimy schronić się w pustelni.

– Jest zamknięta – zauważył sekretarz sądowy takim tonem, jakby nie było to oczywiste.

– Więc musimy się do niej włamać – zdecydowała lekarka.

Spojrzeliliśmy po sobie. Nie zostało nam wiele czasu. Nie mieliśmy pod ręką niczego, co mogłoby posłużyć za łom, więc Estíbaliz, Cuesta i ja zaczęliśmy na zmianę kopać w drewniane drzwi. Wydało mi się herezją profanować w ten sposób pomieszczenie udekorowane motywem muszli Świętego Jakuba, ale doznałem ulgi, czując, że drzwi ustępują. Kiedy się wreszcie otworzyły, trzech technicy, specjalistka od medycyny sądowej, sekretarz sądowy, inspektor Muguruza, Esti i ja weszliśmy po dwóch stopniach prowadzących do wnętrza, niosąc worek z ciałem Annabel.

Podąłem inspektorowi kurtkę należącą do zamordowanej, nie chciałem, żeby się zabrudziła na podłodze pustelni. Było to małe pomieszczenie z ołtarzem i obrazem świętego za czarną kratą.

Słyszeć było dudnienie gradu przypominające arytmiczne bicie serca, czasem przyspieszało, czasem zwalniało. Na zewnątrz zostały walizeczki techników i kocioł z Cabárceno. Na szczęście zdołaliśmy przenieść sprzęt fotograficzny.

Po chwili wydawało się, że nawałnica nieco się uspokoiła, i Cuesta postanowił wyjść z naszej kryjówki.

– Dokąd pan się wybiera? – zapytał Muguruza.

– Idę po kocioł, szefie. Nie możemy go tam zostawić! – krzyknął Andoni.

Zanim ktokolwiek zdołał jej przeszkodzić, Estíbaliz dołączyła do niego.

– Idę z nim – powiedziała, ominęła mnie zwinnie jak kotka i prześlizgnęła się do wyjścia.

Chciałem zaprotestować, żeby została w pustelni ze mną, z nami, ale nie zdołałem wyjąkać ani jednej sylaby, a kiedy próbowałem ruszyć za nią, inspektor i lekarka sądowa stanęli w drzwiach i nie pozwolili mi wyjść do tego białego piekła.

– Ich dwoje wystarczy – rzucił stanowczo Muguruza. – Nie możemy wszyscy narażać się na niebezpieczeństwo.

– Niech się pan pomodli, jeśli pan potrafi – szepnęła doktor Guevara. – Ma pan nawet ołtarz.

Zostałem więc na miejscu bezsilny, czekając na Estíbaliz w progu. Do odgłosu gradu walącego w surowe ściany tunelu doszły teraz pomruki burzy.

Wtedy spadła pierwsza lawina.

Naprawdę się przeraziłem.

Dopiero w tym momencie.

Nie pierwszy raz przeżywałem załamanie pogody w tych górach, ale teraz tunel przestał być dla nas schronieniem. Wrota, które od wieków przekraczali pielgrzymi, zmieniły się w śmiertelną pułapkę, kiedy wlała się w nie pierwsza biała fala gradu.

I stało się coś niewyobrażalnego.

Moim oczom ukazał się toczący się w dół kocioł z Cabárceno. Wydałem z siebie chrapliwy odgłos i moi towarzysze stłoczyli się przy mnie na progu pustelni. Kocioł odbił się kilka razy od ścian tunelu i zniknął w sklepionym łuku północnego wyjścia.

Zamarliśmy ze strachu, spodziewając się najgorszego. I najgorsze nastąpiło: zobaczyliśmy Andoniego Cuestę w białym kombinezonie zlewającym się w jedno z prądem lawiny, która ciągnęła go w dół niczym taśma transportowa.

To wszystko wydawało się koszmarną wizją, która trwała tylko krótką chwilę.

Nie sposób było opuścić naszego schronienia. Deszcz, lawina i porywisty wiatr były śmiertelnym zagrożeniem.

A jednak zdobyłem się na to.

Przecież została jeszcze Estíbaliz.

Musiałem ją uratować. Nie upłynęło nawet dziesięć sekund, gdy ją zobaczyłem.

I ten widok: jej ciało, jej ramiona, tułów i nogi szamoczące się pośród lawiny, wystarczył, żeby zburzyć tamę, którą mój mózg zbudował kilka miesięcy temu.

– Ty nie! – krzyknąłem i po raz pierwszy od sierpnia moje usta wypowiedziały słowa zrozumiałe dla wszystkich.

Ty nie.

Nie wiem, czy bardziej poraził mnie mój krzyk, czy to wszystko, co czaiło się za tymi dwoma słowami.

Rzuciłem się jak samobójca, doskonale wiedząc, że i ja ześlizgnę się po tym piekielnym zboczach, ale jakaś mocna dłoń w ostatniej chwili chwyciła mnie za ramię.

Łańcuch ratowniczy.

Tym razem moi towarzysze potrafili go stworzyć. I natychmiast przypomniałem sobie to, co wydarzyło się kiedyś, dwadzieścia cztery lata wcześniej.

Dłonie, których zabrakło, towarzysze, którzy woleli nie ryzykować życia, którzy nie... i zdałem sobie sprawę, że do tej pory im nie wybaczyłem. Żadnemu z tamtych czworga, Annabel Lee też nie, oczywiście, że nie.

I przypomniałem sobie urwiste klify Kantabrii i bezwładne ciało dziewczyny, które trzymałem w ramionach przez kilkadziesiąt minut, długich niczym wieczność.

5

KANTABRYJSKA WIOSKA

29 czerwca 1992, poniedziałek

Czterej chłopcy i ciemnowłosa dziewczyna, której jeszcze nie znali, wyskoczyli energicznie z pociągu na małej stacji w Cabezón de la Sal, kantabryjskiej miejscowości słynącej z wydobycia soli.

Czekał już na nich kierownik projektu Saúl Tovar, młody wykładowca akademicki, tym razem w nieformalnej koszuli w kratę. Przywitał ich otoczony wianuszkiem studentów wolontariuszy, którzy już wcześniej przyjeżdżali tu na letni obóz.

Nie było ich wielu: kilka studentek drugiego i trzeciego roku kręcących się wokół Saula, jakiś starszy chłopak rozmawiający z wysoką dziewczyną, która przywiozła ich tu z Santander swoim sfatygowanym fordem fiesta. Marian Martínez wiedziała, że to jedyny powód, dla którego zaproszono ją tutaj: miała robić za taksówkarę Saula, wszechobecnego Saula. Marian nie podzielała zachwyty nad wykładowcą antropologii kulturowej, tak powszechnego na całym Uniwersytecie Kantabryjskim. Słyszała o nim różne historie...

Trochę z oddali, z dworcowej ławki, na której kazał jej usiąść ojciec, czarnowłosa dziewczynka przyglądała się grupce młodzieży z nadzieją. Te osoby były pierwszymi nieznanymi, jakich widziała po długim okresie odosobnienia. Potem tylko ciotka i ojciec. On był troskliwy, jakby żałował tego, co zrobił.

Dziewczynka wiedziała, że jej umysł wciąż nie pracuje na pełnych obrotach, musiała wypłukać z siebie wszystkie te leki, którymi ją faszrowano. Była przekonana, że zdoła to zrobić, pijąc dużo wody.

Piła więc ciągle z małej plastikowej butelki. I ciągle musiała biegać do łazienki.

Trochę kłopotliwe.

Ale konieczne, powtarzała sobie. Nie chciała czuć się dłużej ogłupiała. Może ten obóz to jej jedyna szansa, bo kiedy wróci do szkoły we wrześniu... Uf, wtedy będzie za późno. Ojciec był sychą. Któż by jej uwierzył? Uczennicy, która powtarza rok? Nie chciała nawet myśleć o koszmarze chodzenia jeszcze raz do ósmej klasy.

Musiała skorzystać z okazji. Musiała rozejrzeć się i zastanowić, kto mógłby jej pomóc.

Dołączyła do grupy i ruszyła za ojcem do pałacyku hrabiego San Diego. Przestronny budynek o spiczastych czarnych dachach został подарowany przez rodzinę władzom miasteczka. Wymagał remontu, ale obozowicze nie mieli wygórowanych wymagań.

Dwie godziny później, kiedy już wszyscy zdążyli się poznać i nadeszła pora obiadowa, dziewczynka wciąż nie podjęła decyzji. Może ten wysoki brunet z rękami jak orangutan? Wydawał się najstarszy z czterech witorczyków. Może. Ale nie była pewna.

Skupiła teraz uwagę na tym, który sprawiał wrażenie najpoważniejszego i najbardziej odpowiedzialnego. Miał na imię Asier, nie wydurniał się jak inni, nie śmiał z obleśnych dowcipów, a poza tym nie zauważyła, żeby rozmawiał z jej ojcem.

To było najważniejsze.

Powitalne rytuały powtórzyły się już po raz trzeci. Ona przyjeżdżała tu od samego początku, kiedy zaczęto realizować projekt odtworzenia kantabryjskiej wioski. Jednego była pewna: chciała studiować archeologię. O Celtach wiedziała wszystko. Jak ojciec, który ją nauczył.

Saúl Tovar przez najbliższe trzy tygodnie miał nadzorować grupę wolontariuszy, którzy zgłosili się do pracy przy budowie czterech celtyckich chat z epoki żelaza.

Ci uczniowie liceum wyglądali na odpowiedzialnych i entuzjastycznie nastawionych do pracy. Można było ich formować, byli jak glina, a Saúl chciał zarazić ich swoją miłością do historii i nakłonić do studiów na Uniwersytecie Kantabryjskim, gdzie piastował stanowisko adiunkta. Chciał zasłużyć sobie na zaufanie dziekana, zostać jego prawą ręką i uzyskać stopień samodzielnego profesora. Musiał troszczyć się o Rebecę, tylko ona mu została. Zrobi to dla córki, zrobi dla niej wszystko.

Wypożyczył busik, żeby rozwiązać problem transportu. Z doświadczenia wiedział, że chłopcy rzucą się do roboty z zapalem, w weekend będą imprezować w Torrelavega albo wybiorą się na festyn Carmen w San Vicente de la Barquera, a ich początkowy entuzjazm zacznie topnieć z każdym dniem. Musiał zapewnić im jakieś rozrywki, zaproponować wycieczki, motywować ich opowieściami.

Po południu załadowali materiały budowlane do busa i ruszyli na wzgórze Picu la Torre, na którego zboczu czekały na nich drewniane szkielety rekonstruowanych chat z epoki żelaza.

Kantabryjskiej wioski i pałacyku, w którym się zatrzymali, nie dzieliła zbyt duża odległość, ale Saúl uznał, że chłopcy są zmęczeni podróżą, a nie chciał narzekań już pierwszego dnia.

Przyciszył radio, nie mógł słuchać spokojnie, jak Eric Clapton śpiewa swój hit *Tears*

in Heaven opowiadający o ojcu, którego czteroletni synek wypadł z pięćdziesiątego trzeciego piętra wieżowca.

Busik musiał ominąć kilku wytrwałych rowerzystów pod sześćdziesiątkę, którzy wyjechali na szosy zdopingowani zwycięstwem Induraina w Giro d'Italia i szansami na powtórkę podczas Tour de France.

Saúl prowadził, obok niego siedziała Rebeca. Oboje udawali, że nie myślą o niczym, chociaż tak naprawdę uważnie wsłuchiwali się w rozmowę czterech chłopców.

– Mam nadzieję, że będzie tu gdzieś budka telefoniczna. Obiecałem dzwonić co wieczór do szpitala – powiedział najmłodszy z chłopców, przystojny blondynek.

Rebeca już wcześniej zwróciła na niego uwagę. Miał na sobie markowe buty i levisy 501 z czerwoną metką. Mówili na niego J. i poza tym, że był śliczniutki, musiał też być bogaty.

Ciekawe, o co chodzi z tym szpitalem, pomyśleli jednocześnie Rebeca i Saúl, ale żadne z nich nie zapytało o to głośno.

Cierpliwości, powiedzieli sobie w duchu.

W swoim czasie się tego dowiem.

– Nie martw się na zapas – odparł wysoki brunet, niejaki Unai. – Na pewno gdzieś w pobliżu znajdziemy budkę.

– Jasne, stary. Wiesz przecież, że jeśli jego stan się pogorszy, zadzwonię po ojca i w dwie godziny jesteśmy w szpitalu Txagorritxu – powiedział Lutxo, grubasek z przetłuszczonymi włosami, w czarnej koszulce z Pearl Jam. Mówił szybko, wydawał się bardzo pewny siebie, a nawet agresywny, Rebeca skojarzył się z ukrytą pod kamieniami żmiją.

Od pierwszej chwili czuła do niego antypatię.

Wszyscy chłopcy wydawali się opiekować najmłodszym José Javierem, który miał ksywkę J.

– Córeczko, jak się czujesz? – zapytał niespodziewanie ojciec prowadzący spokojnie, ze wzrokiem wciąż skupionym na drodze.

Nigdy nie przekraczał prędkości, pod tym względem Rebeca nie miała mu nic do zarzucenia.

– Dobrze, tato.

– Chciałbym, żebyś wiedziała, że te trzy miesiące bez ciebie były dla mnie bardzo trudne. Ogromnie za tobą tęskniłem.

Kusiło ją, żeby w to uwierzyć.

– Ja za tobą też, tato.

– Nie boli cię już głowa?

– Nie, tato. Naprawdę dobrze się czuję. – Ależ się uparł. Nie chcę o tym rozmawiać, nie chcę i już.

– Miałaś czas, żeby poczytać książki, które ci przysłałem, *Atlas archeologiczny* Cunliffe’a i inne?

Kiedy nie byłam za bardzo naćpana, czytałam je, tato. Tylko dzięki temu nie czułam się wariatką.

– Tak, tato. Bardzo dziękuję ci za te książki.

– Pomyślałem, że jutro, kiedy wyjaśnimy nowym, jak działa nasz warsztat, możesz pokazać im, jak robi się cegły z niepalonej gliny i kryty strzechą dach. Na pewno taka praktyka kiedyś ci się przyda, wiem, że zostaniesz wykładowczynią na uniwerku. Wierzę, że obejmiesz po mnie stanowisko, gdy odejdę na emeryturę – powiedział i uśmiechnął się, ukazując nieskazitelnie białe zęby.

Tak naprawdę był najprzystojniejszym ojcem świata, w niczym nie przypominał panów z brzuszkami, ojców jej koleżanek z klasy.

Był nieprzyzwoicie atrakcyjny, zawsze o tym wiedziała. Kiedy odbierał ją ze szkoły, dziewczyny patrzyły na nią z zazdrością.

Miał czarne włosy z granatowymi refleksami, które odziedziczyła po nim córka. Bardzo się starał wyglądać młodziej, niż wynikało to z jego metryki. Lubił nosić dzinsy, białe T-shirty i koszule w kratę. Miał kwadratową szczękę i nieco skośne zielone oczy, trochę czarownika, trochę anioła – tego Rebeca nie odziedziczyła.

Twarz Rebeki rozjaśnił uśmiech. Poczula, że drżą jej mięśnie twarzy. Nie uśmiechała się od miesięcy.

Może jednak mnie kocha, może naprawdę się o mnie martwi, pomyślała, ale nie za bardzo pozwoliła sobie w to uwierzyć. Takie wahania przeszkodzą jej w realizacji planu, a podobna okazja już się nie powtórzy.

6

CANTÓN DE LA SOLEDAD, CZYLI ULICZKA SAMOTNOŚCI

17 listopada 2016, czwartek

Utworzony przez nas ludzki łańcuch ratowniczy cudem ocalił Estíbaliz, zanim zsunęła się z lawiną po zboczu wzgórza. Udało nam się zanieść ją do pustelni. Była przerażona i wyziębiona. Zamknęliśmy drzwi, zostawiając za sobą tanią kopię Wielkiego Wybuchu, w którym przyszło nam uczestniczyć.

– Sprawdźcie swoje komórki, ale boję się, że nie mamy zasięgu. – Inspektor Muguruza musiał podnieść głos.

Grad uderzał w mury pustelni i odbijał się w środku echem jak w pudle rezonansowym.

Wszyscy posłaliśmy mu grobowe spojrzenia. Niestety miał rację. Nie było sposobu, żeby wezwać pomoc.

– Musimy zachować spokój. Nasi koledzy z ekipy ratowników górskich wiedzą, że zostaliśmy tu, żeby przeprowadzić oględziny. Na pewno domyślają się, że utknęliśmy w tunelu i nie możemy zejść do samochodów. Czekają tylko, aż warunki poprawią się na tyle, żeby ruszyć nam z odsieczą. Musimy wytrwać do tego czasu.

Wszyscy tylko pokiwaliśmy głowami, niezdolni wykrztusić z siebie słowa.

Włożyłem rękę do kieszeni kurtki puchowej, szukając breloczka. Mój dziadek podarował mi wystruganą w drewnie miniaturkę pasma górskiego z mojej okolicy, którą nosiłem zawsze przy kluczach. To było wspomnienie domu, miejsca, do którego nieustannie chciałem wracać.

I natrafiłem na małą torebkę z migdałami w lukrze. Dziadek podarował je Germanowi i mnie tego ranka po śniadaniu, zanim wyruszyliśmy w drogę na uroczystość odsłonięcia muralu w Cantón de la Soledad. Teraz wydawało mi się, że od tej chwili upłynęło sto lat.

Nie zostało ich zbyt wiele. Migdały i glukoza. Właśnie tego potrzebowaliśmy. Podzieliliśmy się nimi. Smakowały jak ostatni posiłek więźnia zielonej mili.

Razem z szóstką ocalałych z katastrofy osób: sekretarzem sądowym, doktor Guevarą, Muguruzą, dwoma technikami kryminalistyki i Estíbaliz, usiadłem pod wewnętrzną ścianą pustelni. Zbiliśmy się w kupkę, żeby ogrzać się nawzajem ciepłem naszych ciał. Czekaliśmy, aż ten upiorny wiatr wreszcie ucichnie, a piekło, które się rozszalało, wróci tam, skąd przyszło.

Starąłem się nie patrzeć na worek ze zwłokami Annabel Lee spoczywający w najchłodniejszym kącie pomieszczenia, tuż przy drzwiach. Nie przypuszczałem, że tak będzie wyglądać ostatnia spędzona z nią noc. Z Annabel zawsze tak było: otaczał ją mdlący zapaszek śmierci i destrukcji. Nie potrafiłem wyobrazić sobie jej jako matki, osoby, która daje życie.

Nie wiem dokładnie dlaczego.

Mówiła, że woli żyć w fikcji swoich komiksów, że świat realny wszystko niszczy. Chyba jej twórcza energia utrzymywała ją na powierzchni i chroniła przed autodestrukcyjnymi tendencjami, których była świadoma. Chroniła ją przed katastrofą. Przynajmniej zdawała sobie z tego sprawę. Nigdy nie przeprosiła nas za krzywdę, którą nam wyrządziła.

Zapadła noc, a wilgoć wnikająca w moje ubranie, przylepiająca się do włosów, twarzy, szyi i dłoni stawała się coraz bardziej nieznośna. Naga skóra buntowała się przeciw warunkom atmosferycznym panującym tysiąc dwieście metrów nad poziomem morza, na domiar złego w listopadzie. Kule gradu bijące o mury pustelni nie pomagały, mieliśmy wrażenie, że uwięziono nas w zamrażalniku.

Nie wiem, czemu obsesyjnie skoncentrowałem się na rozcieraniu lodowatych stóp Estíbaliz. Rozpiąłem swoją puchówkę i ułożyłem Esti wewnątrz w pozycji płodowej. Zapiąłem suwak do połowy, teraz wyglądałem jak kobieta w gigantycznej ciąży.

Jeszcze głowa, pomyślałem zmartwiony.

Wiedziałem, że noworodki tracą ciepło, kiedy mają odkrytą głowę, stąd na Facebooku tyle fotografii dzieci w niebieskich i różowych czapeczkach. Nakryłem wyczerpaną głowę swojej towarzyszki połą puchówki. Poddawała się tym czynnościom bez oporu, zupełnie apatyczna (zapewne za sprawą szoku termicznego).

Ty nie. Ty nie możesz umrzeć. Nie wybaczę ci tego. Bez ciebie nie znajdę sobie miejsca na tym świecie.

I zacząłem całować ją w czoło i w policzki, żeby rozgrzać tę przemarzniętą skórę pełną uroczych piegów.

Musisz nadal mnie ratować, to ty pokonujesz złych.

I zdałem sobie sprawę, że tym razem wcale się nie oszukuję. Estíbaliz, chociaż tak drobna i niewysoka, była moją ochroniarką. Była moją podporą, murem, fosą otaczającą

fortecę. Broniła mnie. Kiedy była przy mnie, czułem, jakby stała za mną potężna siła. To odkrycie, które poczyniłem tamtej nocy, sprawiło, że zrobiłem sobie listę priorytetów.

Pomogę ci, ilekroć mnie o to poprosisz. I nie szkodzi, że mam afazję Broki. Nie szkodzi, że moja relacja z Albą jest taka skomplikowana. Ty mnie prosisz, ja ci pomagam. Koniec, kropka. Przejdę terapię, jako nieodrodny wnuk mojego dziadka dam radę.

Niestety przypomniałem sobie o Albie i o rozmowie odbytej z nią tego popołudnia. Zjawiła się w Cantón de la Soledad i poprosiła, żebyśmy poszli do mnie, bo musi mi powiedzieć coś ważnego. Eufemizm, który oznaczał: jakkolwiek decyzję podejmiesz, twoje życie już nigdy nie będzie takie samo.

Powiesz mi teraz, co się właściwie stało? – napisałem na wyświetlaczu telefonu, kiedy weszliśmy na trzecie piętro i rozsiedliśmy się na miękkiej sofie w moim salonie.

Chyba patrzyłem na nią z błyskiem nadziei w oczach, ale nie odpowiedziała uśmiechem na mój uśmiech. Zrozumiałem, że nie wszystko jest w porządku. Pod grubym białym płaszczem, który powiesiła w przedpokoju, miała luźny wełniany sweter chroniący ją przed chłodem witorskiej jesieni.

– Wróciłam do pracy miesiąc temu, nadal jestem twoją szefową, chociaż ty wciąż przebywasz na zwolnieniu.

Uwierz mi, nie zapomniałem o tym.

– Miałam bardzo nieprzyjemną rozmowę z twoją neurolożką.

Zacisnąłem zęby. Ta randka w ogóle przestała mi się podobać.

– Upłynęły już trzy miesiące, od kiedy zostałeś ranny, a jeszcze nie byłeś u niej po skierowanie do logopedy. Doktor Aldecoa niepokoi się o ciebie, Unai. Mówi, że im więcej czasu minie, tym trudniej będzie ci odzyskać mowę. Plastyczność neuronów ma swoje granice i w sierpniu rokowania były optymistyczne, ale z każdym miesiącem zaniechania ćwiczeń sprawa się pogarsza.

Tak, już mi to mówiłaś – pokazałem jej gestem.

Z początku chodziłem na wizyty u doktor Diany Aldecoi z niemal religijnym nabożeństwem. Moja lekarka była energiczną kobietą o szeroko rozstawionych oczach i małej głowie otoczonej burzą ciemnych loków przypominających zwój kabli. Była mistrzynią w swojej specjalności, mówiła szybko i z takim zapałem, że podczas

pierwszych tygodni rekonwalescencji trudno mi było za nią nadążyć. Cisnęła mnie. Cisnęła za bardzo, aż w końcu zacząłem opuszczać wizyty. Nie byłem jeszcze gotów.

Dlatego przysłaś? – odpisałem.

– Po części tak. Ale nie tylko dlatego. Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. To dla mnie trudne i nie wiem, czy po tym, jak dowiesz się prawdy, będziemy mogli wrócić do naszej relacji, jakakolwiek by ona była.

O czym, u diabła, mówisz? – napisałem zdenerwowany.

Alba podniosła się z sofy i stanęła przede mną. Patrzyłem na nią, wiedziałem, że czeka, aż się odezwę, ale byłem zbyt dezorientowany i wolałem, żeby to ona prowadziła tę rozmowę.

– Nie zauważyłeś? – zapytała tonem, jakby chodziło o rzecz zupełnie oczywistą.

Miałem głupią minę i wciąż nie wiedziałem, o co chodzi. Nic a nic.

Uniosła sweter i pokazała mi brzuch. Jej skóra była śnieżnobiała, nadal tak bardzo jej pożądałem.

– Jestem w ciąży od sierpnia, od święta Białej Panienci, Unai.

To był nieświadomy odruch, nie panowałem nad nim.

Uśmiechnąłem się.

Od ucha do ucha.

Uśmiech zniknął mi jednak z twarzy, kiedy zobaczyłem minę Blanki.

O co chodzi? Wiem, że to nie jest najlepszy sposób na rozpoczęcie związku, ale...

Złapała mnie za rękę i nie pozwoliła zapisać strumienia chaotycznych myśli, które przychodziły mi do głowy. Szybko ostudziła mój zapal.

– Nie potrafię w tej chwili powiedzieć, czy ojcem jesteś ty, czy Nancho.

Nancho. Oczywiście. W kółko Nancho. Wszechobecny Nancho.

– Kilka dni przed świętem spałam z nim, nie miałam na to ochoty i ciągle myślałam o tobie, ale było to częścią naszej niepisanej umowy, którą wypełniałam. Niechętnie, bo to nie byłeś ty. Po tym, co stało się na klatce schodowej ósmego sierpnia, już więcej z nim nie spałam. Chcę, żebyś wiedział, że byłam ci wierna. Ale zaszłam w ciążę właśnie wtedy, bo wielkość płodu wskazuje na...

Czternaście tygodni, policzyłem, wpatrując się w deski podłogi. Okropnie rozboleła

mnie głowa. Bolała mnie blizna, kość, przez którą przeszła kula, jak wtedy, gdy w Villaverde nadciągała burza.

– ...czternaście tygodni – dokończyła.

Czy wszystko w porządku? Mówiłaś, że twoje pierwsze dziecko cierpiało na jakąś rzadką chorobę – wystukałem z trudem. Nie wiem, dlaczego pomyślałem o tym najpierw.

Musi być w porządku, nie możesz przechodzić przez to jeszcze raz.

– Wrodzoną łamliwość kości typu drugiego. Jeszcze tego nie wiem. Można ją wykryć za pomocą USG dopiero między czternastym a szesnastym tygodniem. Jestem pod kontrolą, to ciąża wysokiego ryzyka. Po części ze względu na moje pierwsze dziecko, a po części na mój wiek. Nie najmłodsza pierworódka, mówi mój lekarz. Unai, nie mogłam tego przed tobą ukrywać, ale nie mówię ci o tym, bo oczekuję, że będziesz się opiekował moim dzieckiem.

Może to też moje dziecko.

Usiadła z powrotem obok mnie na sofie. Spojrzała na moją dłoń, chyba chciała wziąć mnie za rękę, ale tego nie zrobiła.

– Mam taką nadzieję. Że jest twoje. Kiedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży, przez pierwsze tygodnie byłam w szoku. Nie zdążyłam się jeszcze pogodzić z myślą, że Nancho zabił dwadzieścia jeden osób, że ożenił się ze mną tylko dlatego, żeby mieć dostęp do śledztwa, że przez tyle lat żyłam z psychopatą zorganizowanym, według twojej terminologii. Postanowiłam zacząć od nowa, przejść do następnego etapu. Kiedy matka przyjechała po mnie do szpitala, gdzie przebywałam na obserwacji z powodu ukąszeń pszczoł i przyjęcia rohypnolu, poprosiłam, żeby zawiozła mnie do Laguardii. To ona zajęła się mieszkaniem, które dzieliłam z Nanchem w Vitorii. Oddała nie tylko wszystkie ubrania po nim, ale też wszystkie moje ubrania. Nie chciałam nosić rzeczy, których dotykał. Mama sprzedała wszystkie meble i wyposażenie domu, a potem zajęła się jego wynajęciem. Zmieniłam telefon, wyrzuciłam wszystkie zdjęcia z tamtych lat. Chciałam, żeby mój umysł stał się czarną dziurą pozbawioną wspomnień. Kiedy coś mi się przypomina, natychmiast staram się myśleć o czymś innym. Chcę wymazać Nancha z pamięci na zawsze.

Ale możliwe, że będziesz miała jego dziecko – napisałem, a ręka aż drżała mi z wściekłości, kiedy wstukiwiałem ostatnie słowa.

Bądź przeklęty, Nancho. Za to, co mi właśnie zrobiłeś. Twoja ostatnia zbrodnia.

Zniszczyłeś naszą przyszłość. Alby i moją.

Wstałem. Oparłem czoło o wilgotną szybę. Po jej drugiej stronie Vitoria opłakiwała coś rzewnymi łzami. Czułem tylko lodowaty chłód.

– Ocaliłeś temu dziecku życie. Myślę, że powinieneś o tym wiedzieć – usłyszałem za plecami głos Alby.

Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałem.

– Pamiętasz, jak zadzwoniłeś do mnie z San Tirso?

Pokiwałem głową.

– Byłam w Laguardii, w wieżycze swojego domu, i patrzyłam na sylwetkę gór, wiedząc, że ty tam jesteś. Byłam umówiona na zabieg w klinice w Burgos, potrzebowałam intymności, anonimowości, nie chciałam robić tego w Vitorii ani w Logroño.

Zaboląła mnie sama myśl, że dziecko mogłoby się nie urodzić. Nie wiedziałem, czy jest moje, ale poczułem, że żrący kwas płynie w moich żyłach i dociera do koniuszków palców. Odruchowo zacisnąłem dłonie na ramie okna.

– Byłam przerażona możliwością, że to dziecko Nancha. Myślałam, że okropne mdłości, z którymi borykałam się w pierwszych tygodniach, to oznaka, że moje ciało odmawia noszenia dziecka tego skurwysyna. Podczas pierwszej ciąży nie miałam mdłości. Teraz z kolei wydaje mi się, że ta ciąża jest inna, bo ty jesteś ojcem dziecka. Ale pozwól, że skończę. Kiedy do mnie zadzwoniłeś, zrozumiałam, że nie chcę stracić dziecka, które może być twoje.

Ale co zrobisz, Albo? Oddasz je do adopcji, jeśli urodzi się rude? – napisałem.

– Wówczas zrobiłabym to samo, co rodzice zrobili Nanchowi. Byłabym od nich jeszcze gorsza. Nie. To przecież moje dziecko. Myślałam, że będę musiała nauczyć się je kochać, ale to przyszło automatycznie. Kocham je równie mocno, jak kochałam swoje pierwsze. Nie potrafię ci tego wyjaśnić. Czuję się z nim albo z nią bardzo silnie związana. To najbliższa z możliwych relacji.

A co ze mną? Jaką rolę mam w tym wszystkim odegrać?

– Taką, jaką sobie wybierzesz. Opowiedziałam ci o tym, bo sądzę, że zasługujesz na to, żeby znać prawdę. Ale nie oczekuję od ciebie, że będziesz chciał być ojcem. Jednego natomiast nie zrobię: nie będę ustalać ojcostwa.

Spojrzałem na nią z przerażeniem.

Nie rób mi tego.

Dlaczego nie? To rozwiałoby wątpliwości.

– Bo ono na to nie zasługuje, Unai. Nie zasługuje, niezależnie od tego, kto jest ojcem, morderca czy mężczyzna, którego kocham, żebyśmy osądzali je za coś, czemu nie jest w żaden sposób winne. To ja muszę wziąć odpowiedzialność za to, co się stało.

Powiedziała: „mężczyzna, którego kocham”, pomyślałem. Chwyciłem się tej myśli jak tonący brzytwy. Kilka godzin wcześniej dałbym się zabić, żeby usłyszeć te słowa, teraz jednak wydawały mi się drugorzędne.

Istniało nowe życie, które wymagało od nas salomonowych wyborów.

Znów oparłem czoło o szybę. Potrzebowałem tego chłodu.

Nie lubię, kiedy inni widzą, że płaczę, wstydzę się emocjonalnego ekshibicjonizmu, ale w tej chwili zbierało mi się na szloch.

Nie tak przez te miesiące wyobrażałem sobie nasze spotkanie. Pod koniec lata i na początku jesieni, kiedy ja zamknąłem się w Villaverde, przyrządzałem marmoladę z jeżyn i zapierałem się rękami i nogami, żeby nie wracać do normalnego życia, Alba musiała przetrwać śmierć męża, fakt, że próbował ją zabić, pogodzić się z tym, że dzieliła życie z psychopatą, który zabił ponad dwadzieścia osób – w tym dzieci, dowiedziała się, że jest w ciąży, i postanowiła urodzić dziecko, mimo że przypominałoby jej o najgorszym koszmarze życia.

Dla mnie sytuacja też nie była łatwa. Gdybym chociaż mógł być pewien, że jestem ojcem tego dziecka. Wystarczyłoby mi zapewnienie Alby. Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, nie miałyby dla mnie znaczenia, że zaczynanie związku w ten sposób to zaczynanie domu od dachu. Zostalibyśmy rodziną, zanim zostaliśmy parą. Syn albo córka. Nasze dziecko.

To wciąż było możliwe.

Nie wykluczałem tego.

Ale ta wątpliwość, ta przekłeta wątpliwość.

Nie, nie dałbym rady. Za dobrze się znałem. Nie mógłbym tak żyć, nie zdołałem się z tym pogodzić.

Mój umysł profilerki wciąż zastanawiałby się nad tym, jakie jest prawdopodobieństwo, że dziecko psychopaty odziedziczy jego psychopatyczne skłonności. Czy byłbym w stanie zostać jego ojcem?

Znów przekląłem Nancha, jego ojca lekarza, jego matkę, nad którą znęcał się mąż,

przekląłem nawet swoją ciotkę Felisę za to, że oddała Nancha tym bestiom, które go wychowały i zrobiły z niego demona.

Albo – napisałem. – Nie potrafię ci teraz odpowiedzieć. Muszę to wszystko przemyśleć...

Spojrzała na wyświetlacz, kiedy wpisałem w telefonie wyrok śmierci dla nas jako pary, chociaż nie wiem, czy kiedykolwiek nią byliśmy.

Chyba najgorszym, co spotkało mnie w tym całym dniu, który miałem zapamiętać jako jeden z najkoszmarniejszych w życiu, był wyraz twarzy Alby. Zrozumiałem, że spotkało ją rozczarowanie, ale, jak to zwykle ona, znosiła je z godnością. Miałem wrażenie, że się tego spodziewała, co uraziło trochę moją miłość własną. Przyszła tutaj przygotowana na najgorsze. I to właśnie ją spotkało. W dodatku ode mnie.

I właśnie w tej chwili przyszła wiadomość od Estíbaliz, z której dowiedziałem się o śmierci Annabel Lee. Po wyczerpującym dniu zapadła jeszcze gorsza noc. Nie mogłem zasnąć, rozmyślałem o własnych demonach: tych z przeszłości, o których przypominało mi leżące naprzeciwko ciało Annabel Lee, i tych aktualnych: o Albie i jej ciąży.

Rano byliśmy na skraju wyczerpania nerwowego. Długie bezsenne godziny przeplatały się z chwilami, kiedy udawało nam się zdrzemnąć, tak mi się przynajmniej zdaje.

W końcu przez okienko pustelni wpadły pierwsze promienie słabego światła. O świcie na miejsce dotarła ekipa ratowników. Owinęli nas w koce termiczne, nawodnili, sprawdzili, czy nie odnieśliśmy obrażeń. Dzień był pogodny, ale po tym, co widzieliśmy wczoraj, nikt nie był skłonny zaufać tym górcom.

Goyo Muguruza spojrział smutno na koleżankę z ekipy ratunkowej.

– Co z Andonim Cuestą? Zdołaliście go... uratować?

– Znaleźliśmy jego ciało dwieście metrów niżej. Bardzo mi przykro.

Było to dla nas za dużo. Żadne z nas nie zdołało wydusić z siebie słowa. Byliśmy przybici.

Jedynie Estíbaliz zrzuciła koc, którym była owinięta, i wybiegła z pustelni. Poszedłem za nią i zobaczyłem, że z wściekłością kopie w ścianę tunelu. Musiałem ją powstrzymać.

Nie mogłem nawet jej pocieszyć, szepnąć do ucha: „Dość, Esti. Wracamy do domu. Nic tu po nas”.

PLAC VIRGEN BLANCA NUMER 2

18 listopada 2016, piątek

Trzy godziny później wyszedłem ze szpitala Świętego Jakuba, gdzie lekarze upewnili się, że poza lekką hipotermią i wycieńczeniem nic nam nie dolega. Powłokłem się jak ślimak do swojego mieszkania. Marzyłem o tym, żeby się przespać. Marzyłem o sypialni, o suchym materacu i ciepłej kołdrze. Zasłonię okna i na pewno nie wtargnie do środka żadna burza. Jednym słowem: chciałem być w domu.

Dochodziło chyba południe, kiedy usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi. Wskoczyłem z łóżka jednym susem: nie udało mi się zasnąć ani odpocząć. Byłem tak zdenerwowany, że nie mogłem zmrużyć oka. Chciałem krzyknąć: „To ty, Germán?!”, ale z moich ust wyrwał się tylko nieartykułowany jęk. Sfrustrowany wyszedłem z sypialni i zastałem w kuchni dziadka z dwiema torbami ze sklepu mięsnego.

– Twój brat powiedział, że spędziłeś noc w górach, że zaskoczyła was burza.

Przeciągając się, pokiwałem głową.

– Musisz być wykończony. Kupiłem trochę mięsa, żebyś szybciej odzyskał siły.

Dziękuję, dziadku – próbowałem powiedzieć, ale zdołałem tylko się uśmiechnąć.

Nie potrafiłem go przekonać, że nie musi się tak bardzo o mnie troszczyć. Nie, nie rozpieszczał mnie, nigdy nie pozwoliłby sobie na to, żeby rozpieszczać mnie albo Germana. Po prostu wiedział, kiedy go potrzebujemy.

Usiadłem na sofie w salonie, patrzyłem na balkony wschodniej ściany placu Virgen Blanca, chociaż wcale ich nie widziałem.

Włączyłem telefon i zobaczyłem, że WhatsApp płonie.

Najpierw jednak otworzyłem pocztę i napisałem od dawna odwlekany mejl do swojej neurolożki, Diany Aldecoi. Poprosiłem ją o kontakt do logopedy, napisałem, że chcę zacząć terapię jak najszybciej. Odpowiedziała po minucie. Umówiłem się na spotkanie i przysięgłem sobie, że go nie przełożę ani nie odwołam.

Wróciłem do WhatsAppa. Otworzyłem wiadomość od Tasia. Dowiedział się więcej o tym cholernym kotle, który pozbawił życia dwie osoby. Mojego kolegę z pracy i moją

pierwszą miłość.

„Tasio, znów mam zasięg. Wczoraj nie mogłem rozmawiać, w tunelu zaskoczyła nas burza”.

„Wszystko w porządku?”

„Niestety nie dla wszystkich...”

„Oj... Bardzo mi przykro”.

„To był koszmar. Ale zostawmy to. Napisałeś, że coś wiesz. Wal”.

„No, no, widzę, że wracasz do formy. Zawsze wiedziałem, że sobie poradzisz”.

„Tasio, nie jestem w nastroju do żartów – odpisałem. – Czeka mnie ciężki dzień. Do rzeczy”.

„Do rzeczy więc: zdjęcie, które mi przysłałeś, rzeczywiście przedstawia kocioł z Cabárceno znaleziony w kopalni w Peña Cabarga w Kantabrii mniej więcej sto lat temu. Zawsze porównywano go do kotłów brytyjskich albo irlandzkich i faktycznie przypomina te znalezione w Dublinie czy Battersea. Uważa się, że był używany podczas ceremonii religijnych”.

„Rytuałów celtyckich?”

„Tak. Kocioł był eksponatem w Muzeum Prehistorii Kantabrii w Santander, ale kilka tygodni temu wypożyczono go na czasową wystawę w prywatnym muzeum na Costa Quebrada, Kantabryjskim Muzeum Archeologicznym, w skrócie KMA. Kradzież została zgłoszona, ale wiadomość nie przebiła się w mediach, znalazłem tylko wzmiankę w «El Periódico Cántabro»”.

Dobrze znałem szefów KMA, braci del Castillo. Jeden z nich był historykiem, drugi archeologiem. Poznaliśmy się kilka lat wcześniej, kiedy odbywałem staż z profilowania kryminalnego na komisariacie w Santander i brałem udział w śledztwie dotyczącym serii przedziwnych zabójstw. To była dobra wiadomość, ten kontakt mógł mi się przydać.

„Czy widzisz jakiś związek między kotłem a tunelem San Adrián?” – zapytałem.

„Szukałem jakiegoś celtyckiego powiązania pomiędzy kotłem a tym tunelem. Wiesz, że o takich przejściach pod ziemią łączących odległe miejsca zawsze krążą rozmaite historie. Ludzie mówią, że w tunelu San Adrián jest specjalna galeria, która prowadzi do podziemnego jeziora. Podobno jakaś kobieta z Zegamy poszła tam zrobić pranie. Wpadła do wody, a potem znaleziono jej rękę w strumieniu Iturrutzaran de Araia, wiosce sąsiadującej z Zalduondo”.

„Na razie wszystko jasne. Co dalej?”

„Przy źródle, z którego bije ten strumień, w Arai, znaleziono rzymski ołtarz ofiarny

poświęcony nimfom. Niecałe sto metrów od huty w Arai, nad rzeką Ziraunza. Był zalany wodą i napisy prawie się zatarły, ale udało je odczytać”.

„Nimfy. Rzymskie”.

„Tak. Ale nimfy to bóstwa związane ze źródłami i strumieniami, rzekami, jeziorami. I są starsze niż Rzymianie, którzy, jak wiesz, przyjmowali wierzenia z podbijanych przez siebie terytoriów. To mity panceltyckie, indoeuropejskie. Mają związek z triadą bogiń matek, Trzema Matronami. Wiara w nie rozprzestrzeniła się dwa tysiące lat temu w Europie Środkowej, Galii, Brytanii...”

„A co ma wspólnego kocioł z Trzema Matronami?”

„Daj mi skończyć, Kraken. Odkąd nie możesz mówić, stałeś się jeszcze bardziej niecierpliwy. Triada bogiń matek to kult związany z płodnością, zarówno płodnością ludzi, jak i natury. Celtowie mieli też inne bóstwa opiekuńcze związane z płodnością, tyle że męskie, zwane Genii Cuculatti, trzy zakapturzone duszki. Poczekaj, wyślę ci kilka obrazków”.

I rzeczywiście dostałem parę zdjęć figurek i płaskorzeźb trzech zakapturzonych karłów. Niektóre nasuwały oczywiste skojarzenia – kształt kapturew nawiązywał do symboliki fallicznej.

„Mówisz, że to bóstwa opiekuńcze. Czy chroniły kobiety w ciąży?”

„Hm, uprzedziłeś mnie. Czemu pytasz o kobiety w ciąży? Z jakiegoś konkretnego powodu?”

Nie zdradziłem Tasiowi, że przy tym kotle znaleźliśmy zamordowaną kobietę i że ta kobieta była w ciąży. Ani że kilka metrów dalej znaleźliśmy jej kurtkę z kapturem. A kwestia triady też nie dawała mi spokoju. Dwóch turystów: ojciec i syn. I Annabel. Czy oni też byli zakapturzeni?

„Dobrze. Coś jeszcze?”

„To na razie wszystko. Gdybyś dał mi jakąś wskazówkę, czego właściwie powinienem szukać...” – próbował wyciągnąć ode mnie jeszcze jakieś szczegóły.

„Myślę, że na razie wystarczy, Tasio. Nie muszę chyba mówić, że jestem ci bardzo wdzięczny za twoją pomoc i za dyskrecję też”.

„Oczywiście, możesz na mnie liczyć. Jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebował, wiesz, gdzie mnie szukać”.

„Nawzajem. Ty na mnie też. Teraz muszę lecieć”.

„Proszę tylko o to, żebyś, jeśli śledztwo zakończy się pomyślnie, wspomniał lokalnej prasie, że ci pomogłem”.

A więc o to chodzi, pomyślałem. Zdążyłem już zapomnieć o obsesji Tasia, który za

wszelką cenę chciał odbudować w Vitorii swój wizerunek.

Potem odpisałem Germanowi, którego zawiadomiłem o wszystkim rano, kiedy przybyli po nas ratownicy. Wysłał mi dziesiątki wiadomości z pytaniem, jak się czuję.

„Wszystko w porządku, Germán. Dziadek jest u mnie, właśnie szykuje mi ziemniaki z chorizo i *txitxikis*[1]. Boję się o swój cholesterol”.

„Wiem, dzwoniłem do niego. Może zajrzę do ciebie po południu, jak skończę pracę?”

„Mam robotę. Spotkamy się w weekend w Villaverde, muszę wyrwać się na chwilę z miasta”.

Germán się zgodził. Zrobił się okropnie nadopiekuńczy, odkąd postrzelono mnie w głowę. Ale on też przeszedł swoje z mojej winy: Martina zginęła, bo nie zdołałem w porę powstrzymać Nancha. Miałem wyrzuty sumienia i pozwalałem mu się sobą opiekować, chociaż byłem ostatnią osobą gotową tłumaczyć się komukolwiek ze swoich poczynań i planów.

Pomogłem dziadkowi nakryć do stołu. Opowiadał mi o spustoszeniach, jakie burza poczyniła w jego warzywniku. W Villaverde też nawałnica dała się mocno we znaki, chociaż na pewno nie sposób było jej porównać z gradobiciem i lawiną w tunelu.

Potem, od czasu do czasu spoglądając z niepokojem na niebo zapowiadające kolejną ulewę, napisałem wstępny raport dotyczący kotła z Cabárceno i jego możliwych związków z tunelem San Adrián. Wydrukowałem go. Na razie nie wspominałem ani słowa o możliwym profilu mordercy albo morderców, chciałem najpierw poznać raporty techników i specjalistki od medycyny sądowej; w dodatku kiedy myślałem o tym, co zobaczyłem na miejscu zbrodni, wciąż coś mi nie pasowało.

Pożegnałem się z dziadkiem, który obiecał, że wróci jeszcze tego dnia do Villaverde, i udałem się na komisariat przy Portal de Foronda. Nie miałem pojęcia, jak będzie wyglądała moja współpraca z Albą po tym, co mi powiedziała, ale już nie zastanawiałem się, czy naprawdę chcę wrócić. Miałem w życiu nowy cel, zamierzałem wziąć udział w tym polowaniu. I chociaż byłem wyczerpany fizycznie i psychicznie, pragnąłem przede wszystkim domknąć rozdział podwójnego zabójstwa w dolmenie i zacząć dochodzenie w sprawie śmierci Annabel Lee, jak również terapię logopedyczną mającą wyleczyć mnie z afazji.

8

PRZEDSZKOLE PRZY ULICY SENDA

29 czerwca 1992, poniedziałek

Asier, J., Lutxo i Unai wyjmowali z plecaków śpiwory i rozkładali je na wąskich materacach piętrowych łóżek. Wybrali jedną z sypialni na pierwszym piętrze przestronnego pałacyku. Nazwali ją „sypialnią chłopaków” i nikt z nich ani przez chwilę nie zastanowił się, gdzie będą spać pozostali uczestnicy obozu.

I żaden z chłopaków nie mógł uwierzyć własnym oczom, gdy dziewczyna w żółtych butach – taniej podróbce martensów, z włosami spływającymi do pasa, bez słowa wkroczyła do ich sypialni i nie pytając nikogo o zdanie, wybrała miejsce do spania i zaczęła rozpakowywać plecak.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Asier szorstko.

– Asier chciał powiedzieć – J. odchrząknął – że bardzo się cieszymy, że wybrałaś tę sypialnię. – I spiorunował Asiera wzrokiem.

J. rozmawiał już o niej z Unaiem, swoim najlepszym przyjacielem. Ta dziwna brunetka spodobała mu się od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, czyli od jakichś dziesięciu godzin, które J. wydawały się całą wiecznością. Dla Unai'a był to znak stop. Zwłaszcza w sytuacji, w jakiej znajdował się przyjaciel: jego ojciec leżał w szpitalu z zaawansowanym rakiem trzustki i fatalnymi rokowaniami. Unai wiedział, co oznacza pogrzeb w rodzinie. Dziewczyny, które podobały się J., stawały się dla niego niewidzialne.

– Wcale nie chciałem tego powiedzieć. Nie ma pokoju dla dziewczyn? – Asier nie ustępował.

– Owszem, jest, ale okropnie zakurzony, a ja mam astmę – skłamała Annabel, która za nic w świecie nie chciała dzielić pokoju z dzieckiem. Podeszła do Asiera ze spokojem, który zrobił na wszystkich wrażenie. – A ty, Asier, myślisz, że wystraszysz mnie swoim złym humorem? Kolekcjonuję odmowy. Nie łudź się, że mnie stąd wykurzysz, lepiej po prostu pogódź się z sytuacją. Poza tym Saúl prosił, żebyście zeszli, już nie pamiętam, po co.

I jak gdyby nigdy nic, wróciła do rozpakowywania swoich rzeczy.

– No to trafiła nam się świruska – mruknął Asier, przechodząc obok niej. – Chodźcie, pójdziemy się przewietrzyć.

I poszli. Asier wściekły, Lutxo zaintrygowany, J. zachwycony. Unai kończył rozpakowywać plecak.

– Zaraz zejść – rzucił za kolegami. Sprawdził, czy niczego nie zapomniał zabrać. – Trudno mi uwierzyć, że kolekcjonujesz odmowy – odezwał się do dziewczyny, kiedy zostali sami.

Nie patrzył na nią, zajęty wieszaniem ubrań w sfatygowanej szafie, z której dotychczas korzystały jedynie pająki.

– Zobacz, mam ich na pęczki – odparła, wyjmując z czarnego plecaka plik kopert i listów. Niektóre były jeszcze nieotwarte. – Chodź, pomożesz mi przeczytać ostatnie. Nie stój tak, im szybciej zaczniemy, tym szybciej będzie po wszystkim.

Unai zbliżył się do niej i usiadł na patchworkowej kapie.

– Skąd wiesz, że to odmowy?

Wzruszyła ramionami, a potem pokazała mu koperty ze stemplami pocztowymi z najróżniejszych zakątków Hiszpanii.

– Bo w każdej z nich jest tylko jedna kartka. Powiedziano mi, że jeśli ktoś jest zainteresowany wydaniem, to pisze dłuższy list. Podlizuje ci się i w ogóle.

– A czego ci odmawiają? – zapytał Unai, otwierając nie bez wahania pierwszą kopertę.

– Rysuję komiksy. U nas nie są może zbyt popularne, ale w Europie i Stanach Zjednoczonych to prawdziwy fenomen. Nie mówiąc już o Azji. Wysyłam swoje próbki wszystkim wydawcom, jakich uda mi się znaleźć. Im większe wydawnictwo, tym lepiej. Większe prawdopodobieństwo, że je odrzuca.

– Po co to robisz? Jesteś masochistką?

– Tak, odmowy mnie wzmacniają. Dodają mi energii, żeby dalej rysować. Trudno mi zacząć, dlatego bardzo się boję, że zabraknie mi motywacji. Kiedy odrzucają mi próbki, jestem wkurzona i rysuję jeszcze więcej. Nie znalazłam innego sposobu, a od lat badam swój własny proces twórczy. Właściwie to od czasu, kiedy przestaliśmy się widywać, Unai. – Ostatnie zdanie powiedziała, patrząc zdezorientowanemu chłopakowi prosto w twarz.

Dwie pary czarnych oczu mierzyły się przez chwilę na spojrzenia. W końcu to chłopak odwrócił wzrok.

Ona naprawdę jest rąbnięta, pomyślał, odsuwając się trochę.

– Nie pamiętasz mnie, prawda? – Dziewczyna zauważyła jego zdumienie. – Do

jakiego przedszkola chodziłeś jako dziecko?

– Przedszkola? W Vitorii? Do przedszkola na La Senda, na podwórku był pociąg i...
– przerwał, jakby coś sobie przypomniał.

– Nadal mnie nie poznajesz? Znamy się od dziecka, byliśmy w przedszkolu nierozłączni. Nazywam się Ana Belén Liaño, ale swoje komiksy podpisuję pseudonimem Annabel Lee, jak ta bohaterka wiersza Edgara Allana Poe'go. No wiesz.

Unai wprawdzie nie czytał nic Poe'go poza tym, czego wymagano w szkole, ale wszyscy znali piosenkę zespołu Radio Futura, którą puszczała bez przerwy w barach na starówce, opowiadając o dzieciach, które bardzo się kochały, ona umarła, a on pochował ją w grobie na brzegu szumiącego morza.

– Ana Belén? – Unai usilnie próbował przypomnieć sobie coś z tamtych czasów. – Chyba już pamiętam, jak przez mgłę... I co się wydarzyło?

– Byliśmy parą, kochaliśmy się jako dzieci. I stało się to samo, co w wierszu, aniołowie z nieba pozazdrościli nam tej miłości.

Unai pamiętał jakąś towarzyszkę zabaw, z którą czasem chwytała się za ręce, a ona od czasu do czasu dawała mu buziaka w usta.

– Zrobiłam dla ciebie rysunek, jeszcze w przedszkolu. To tobie zawdzięczam to, kim teraz jestem.

Aha, rysunek. Z przedszkola. Nic z tego nie pamiętam, pomyślał Unai.

Odsunął się trochę, ta dziewczyna sprawiała wrażenie stukniętej, ale coś go w niej pociągało. Była jak latarnia morska, od której nie sposób oderwać wzroku.

– Życie znów nas połączyło – powiedziała Annabel Lee zdecydowanie i wyciągnęła do niego rękę.

Unai nie miał nic przeciwko temu, żeby dotknąć jej ręki, a nawet pocałować ją w usta, ale cała sytuacja była tak dziwna, że odskoczył jak oparzony. Nie spodobał się jej ten gest. Zupełnie jej się nie spodobał.

– Co się stało? Czyżby między nami coś się zmieniło?

– Ech, Ana Belén...

– Annabel Lee – poprawiła go. – Jestem Annabel Lee.

– Annabel Lee, jeśli podejmiemy do sprawy zdroworozsądkowo, poznaliśmy się przed chwilą. Nie mówię, że mi się nie podobasz, wręcz przeciwnie... – Odkasznęła i poczuł, że zaczyna się pocić.

Nie mógł uwierzyć, że to powiedział, jakby jego mózg przestał pracować.

– A więc na darmo łudziłam się przez te jedenaście lat – oznajmiła takim tonem, jakby przeżyła sto lat, a te jedenaście, o których wspominała, będące wówczas

siedemdziesięcioma procentami ich życia, upłynęły jej jak jeden dzień.

Ta dziewczyna była dziwna, jak na gust obdarzonego praktycznym umysłem Unai miała zbyt bujną wyobraźnię. Ale nie mógł się jej oprzeć.

– Chodzi o J. Podobasz się J. – wypalił bezmyślnie Unai, wstając z materaca, żeby uniknąć pokusy. – A J. jest moim najlepszym przyjacielem. Jego tata umiera na raka. J. od dnia świętego Prudencjusza, kiedy to wdał się w bójkę i pewnie by go stłukli, gdyby nie to, że z Asierem i Lutxem odciągnęliśmy go siłą, co piątek pije na umór. Wcześniej nigdy taki nie był. W życiu się tak nie zachowywał. A jego ojciec był, znaczy jest – poprawił się natychmiast – bardzo surowy. Matka o niczym nie wie, próbujemy go kryć i dlatego pomyśleliśmy o wspólnym wyjeździe na ten obóz, żeby oderwał się trochę od szpitali i zajął czym innym. Spodobałaś mu się, odkąd zobaczył cię w pociągu. Nie mogę mu tego zrobić, rozumiesz?

I natychmiast pożałował swoich słów. To był błąd. W dodatku nie zachował się lojalnie wobec przyjaciela. Absolutna wtopa. J. miał już wystarczająco dużo problemów. Unai też kiedyś przeżywał podobną sytuację, ale dziadek pomógł mu przez to przejść. A J. nie miał takiego dziadka. Miał wujka, który męczył go o lepsze oceny, i niczego nieświadomą matkę.

– A więc chodzi o J. – wyszeptała po chwili Annabel Lee. – Okej, Unai. Rozumiem to.

– Hm, naprawdę?

– Naprawdę. Rozumiem. Czekałam jedenaście lat, więc teraz mi się nie spieszy. Mam swoje komiksy. Zejdź do chłopaków, bo będą się niepokoić.

I Unai, trochę przytłoczony sytuacją, zbiegł po trzeszczących schodach, przeskakując po trzy stopnie. W kuchni jego paczka zaczęła już jeść tortillę z ziemniaków. Trzej przyjaciele siedzieli razem przy długiej desce, która służyła za stół.

– J., możesz pójść ze mną wyrzucić śmieci? – zapytał Saúl, kiedy skończyli zmywać.

J. ruszył za nim, niosąc worki do pojemników stojących za płotem ogrodu otaczającego willę.

Szli w milczeniu, Saúl przodem. Noc była ciepła.

– Słuchaj, nie chcę, żebyś myślał, że wtrącam się w nie swoje sprawy, ale słyszałem, jak mówisz, że codziennie musisz wykonać bardzo ważny telefon. Czy mogę ci jakoś pomóc?

Przystanęli. Zdenerwowany J. przestępował z nogi na nogę. Zawsze taki był: niepewny siebie. Inni uważali, że trzeba mu pomagać, wszyscy go chronili i rozwiązywali jego problemy. Oczywiście był wdzięczny, ale... Tym razem pragnął być samodzielny.

– Mój ojciec leży w szpitalu Txagorritxu na oddziale onkologii. Z rakiem trzustki. Chciałbym dzwonić codziennie, żeby wiedzieć, jak się czuje. Na wypadek gdyby... mu się pogorszyło i musiałbym wrócić. Nie wiem, czy w Cabezón de la Sal jest budka telefoniczna.

– Oczywiście. Jeśli chcesz, zaprowadzę cię.

– Dziękuję, Saulu, ale naprawdę nie musisz.

– Wiem, że nie jesteś już dzieckiem i dasz sobie radę. – Saúl położył dłoń na ramieniu tego niziutkiego i jeszcze tak dziecinnego chłopaka. Zdawał mu się kurczaczkiem, który dopiero co wykluł się ze skorupki. – Mój ojciec umarł na raka, zostawił mnie i moją siostrę, kiedy byliśmy jeszcze bardzo młodzi i...

– Nie chcę być architektem – przerwał mu J. – Mój ojciec umiera, a ja myślę tylko o tym, że nie chcę być architektem. A on, cholerny egoista, zmusza mnie, żebym zanim umrze, obiecał mu, że pójdę na architekturę. Nie zamierzam przez pięć lat uczyć się, jak obliczać wytrzymałość materiałów, ani rysować projektów. A po jego śmierci mój wujek Julián go zastąpi i zrobi wszystko, żeby mnie zmusić do wybrania tych studiów. Już się tak umówili, któregoś dnia podsłuchałem ich rozmowę. Traktują mnie tak, jakbym był kolejnym projektem w ich biurze.

Saúl wysłuchał historii, która tak bardzo przypominała mu jego własną.

– José Javier, posłuchaj...

– J. José Javier to mój ojciec. Ja jestem J. Odziedziczyłem tylko pierwszą literkę. Na resztę muszę sobie zapracować, rozumiesz?

– Jasne. Postawa godna pochwały – przytaknął Saúl pełen empatii dla chłopca, któremu przytrafiło się to samo, co kiedyś jemu samemu: surowy ojciec, przyszłość nakreślona obcą ręką, mnóstwo kompleksów i przekonanie, że trzeba swoim życiem coś udowodnić. – Moja siostra jest ordynatorką oddziału endokrynologii w szpitalu Valdecilli w Santander. Ma różne kontakty, zarówno w kraju, jak i za granicą. Często jeździ na kongresy międzynarodowe i zna nowe trendy, także jeśli chodzi o onkologię. Gdyby potrzebne były konsultacje, kolejna opinia, mogę się postarać, żeby twojego ojca zobaczyli najlepsi specjaliści. Jeśli chodzi o pieniądze...

– Forsa nie jest problemem – uciął J. Wszyscy wiedzieli, że pochodzi z bogatej rodziny, a jemu wydawało się, że to kolejny przywilej, na który nie zasłużył. – Dziękuję ci bardzo. Porozmawiam z mamą i wujkiem. Naprawdę jestem wdzięczny za wsparcie. Przecież dopiero się poznaliśmy.

– Będę się wami opiekował przez trzy tygodnie. Możesz na mnie liczyć, J. Pamiętaj o tym. Jeśli zrobi ci się smutno i nie będziesz miał ochoty pracować w wiosce, przypominam, że nie zatrudniam cię na umowę. Czuj się swobodnie, dobrze?

– Dobrze. A teraz powiedz mi, gdzie jest budka telefoniczna. Robi się późno, a chciałbym zadzwonić do szpitala...

– Mam lepszy pomysł, wskakuj do busika. – Rzucił mu klucze. – Umiesz prowadzić?

– Tak, ale prawo jazdy...

– O tej porze na drodze nikogo nie będzie. Pojedziemy do Santillana del Mar, przejażdżka dobrze ci zrobi. Dziś ty będziesz szoferem – powiedział i uśmiechnął się tym swoim uśmiechem, który zawsze działał na studentów. Nie musiał nawet puszczać oka, zostawiał to sobie na specjalne okazje.

J. uwielbiał prowadzić. Kiedy siadał za kierownicą, miał poczucie, że odzyskuje panowanie choćby nad tą drobną częścią swojego życia. Uśmiechnął się z zadowoleniem. A kiedy matka powiedziała mu, że ojciec bardzo źle znosi chemioterapię, wiadomość przybiła go mniej niż zwykle. Odległość od domu, obecność Any Belén, szczere wsparcie Saula dawały mu zupełnie nową perspektywę, choćby na te krótkie trzy tygodnie, po których przyjdzie mu wrócić do codziennej udręki spowodowanej chorobą ojca i problemami w szkole.

Rebeca wykorzystała nieobecność ojca. Pod jakimś pretekstem zwabiła Asiera do kuchni.

Opowiedziała mu wszystko.

Wszystko.

Nawet to, czego najbardziej się wstydziła. Ale on przerwał jej ze wściekłą miną.

– Zamknij się – uciął zdenerwowany. – Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Nie opowiadaj mi o swoich problemach, dziewczyno, nie jestem Gandhim. Nawet się do mnie nie zbliżaj, nie chcę wpakować się przez ciebie w jakieś kłopoty.

Pojebane dziecko, pomyślał i wybiegł z kuchni, jakby ktoś rozpylił w niej napalm.

Kilka minut później Rebeca również opuściła zakurzoną kuchnię. Drżał jej podbródek, ale przynajmniej udało się jej nie rozpłakać.

Doznała zawodu.

Kolejny raz.

Teraz wiedziała już na pewno: znowu odeślą ją do szpitala. To jej ostatnie lato na wolności.

9

LAKUA

18 listopada 2016, piątek

Pół godziny później usiadłem przy dużym stole w naszej sali zebrań w komisariacie przy Portal de Foronda. Miejsce obok mnie zajęła Estíbaliz, dalej dwoje kolegów, których nie znałem, doktor Guevara i Muguruza, inspektor z Wydziału Technik Kryminalistycznych. Wziąłem ze sobą tablet, żeby móc się porozumieć, kiedy przyjdzie mi wypowiedzieć się na jakiś temat.

Ci z nas, którzy poprzedniej nocy przeżyli burzę stulecia, mieli zmęczone twarze i podkrążone oczy. Mógłbym przysiąc, że żadne z nas nie chciało tu być.

Komisarz Medina, nasz przełożony, sześćdziesięcioletni mężczyzna o krzaczastych brwiach i brodzie Świętego Mikołaja, wszedł do sali. Podał nam po kolei rękę i złożył kondolencje.

Alba Díaz de Salvatierra wsunęła się dyskretnie za nim. Miała na sobie czarny płaszcz, który maskował jej krągłości, spięła włosy w kok, a jej twarz była poważniejsza niż zazwyczaj. Spojrzała na mnie z ulgą, co nie uszło mojej uwagi, jakby cieszyła się, że jestem w jednym kawałku. Od razu poczułem się lepiej: poprzedniego dnia moja samoocena poleciała na łeb, na szyję. Wiem, że nie brzmi to najlepiej, ale ucieszyłem się, że się o mnie martwi.

– Po pierwsze – zagaił komisarz z nieprzeniknioną miną – chciałbym wam pogratulować profesjonalizmu, koleżeństwa i solidarności, którymi wykazaliście się wczoraj w sytuacji zagrożenia życia. To prawdziwy powód do dumy, że tworzycie ekipę tego komisariatu. Jesteśmy zdruzgotani śmiercią naszego kolegi Andoniego Cuesty. Jutro na cmentarzu Zbawiciela odbędzie się pogrzeb, ale rodzina woli kameralną uroczystość, proszę więc, żebyście uszanowali jej wolę. To pilne spotkanie, a wiem, że jesteście wykończeni, dlatego nie będę go przeciągał. Głos ma podkomisarz Salvatierra.

– Bardzo jestem wam wszystkim wdzięczna, że zjawiliście się na zebraniu po tym, co przeszliście wczoraj – powiedziała Alba na powitanie. – Przyznam, że również nie bardzo wypoczęłam tej nocy, czekając na wynik akcji ratunkowej. Biorąc pod uwagę

niesprzyjające okoliczności, którym trzeba stawić czoło w związku z tym zabójstwem: nawałnica wyrządziła spustoszenia w pracy techników kryminalistyki – cały zespół będzie musiał dać z siebie wszystko, żeby uratować śledztwo. Informuję także, że sędzia Olano utajnił dochodzenie i wszelkie związane z nim kwestie są poufne. Na razie mamy miesiąc; jeśli do tej pory nie zamkniemy sprawy, choć mam nadzieję, że uda nam się ją rozwikłać wcześniej, możemy poprosić o przedłużenie tego terminu. Dla nas wszystkich absolutnym priorytetem jest uniknięcie zbiorowej psychozy, jaką dopiero co przeżywaliśmy w tym mieście. No i oczywiście jeśli to początek serii, musimy jak najszybciej schwytać zabójcę. Wyobrażacie sobie, jakie naciski wywiera na nas Wydział Bezpieczeństwa, żebyśmy znaleźli winnego i żeby koszmarna sytuacja, przez którą przeszła Vitoria, więcej się nie powtórzyła. Jednym słowem: mamy bardzo mało czasu.

Przerwała na chwilę, po czym mówiła dalej:

– Nasi koledzy odpowiedzialni za komunikację będą z wielką ostrożnością dawkować informacje, które udostępniemy prasie. Jeśli chodzi o to, co zdarzyło się wczoraj, podamy do wiadomości tylko to, że w górach po stronie Álavy znaleziono martwą kobietę, a jeden z policjantów zginął, wykonując czynności służbowe. Nie podamy nazwisk ani nawet inicjałów, nie powiemy, że funkcjonariusz pracował w Wydziale Technik Kryminalistycznych. Przedstawimy sprawę jako wypadek w górach. Wszyscy wiemy, że jest to niesprawiedliwe wobec Andoniego Cuesty i pracy, którą wykonywał, ale wdowa po nim zgodziła się na naszą politykę tajności. A teraz inspektor Gauna, która uczestniczyła w oględzinach miejsca zbrodni, przedstawi nam dotychczasowe ustalenia.

– Dziękuję. – Estíbaliz zdmuchnęła sobie z czoła grzywkę. Nigdy dotąd nie widziałem u niej takich sińców pod oczami. – Witam wszystkich. Przejdę od razu do rzeczy. Znamy tożsamość ofiary: Ana Belén Liaño, lat trzydzieści dziewięć, urodzona w Vitorii, niezamężna, mniej więcej w piątym miesiącu ciąży, dokładnymi danymi będziemy dysponować po autopsji. Rysowniczką komiksów, umiarkowanie znana. Powiadomiliśmy rodzinę: ma tylko matkę. Była jedynaczką. Ustaliliśmy również coś, co może okazać się przełomowe dla śledztwa: to ona wygrała trzy miliony na loterii.

– Ja pier...! – wyrwało się doktor Guevarze, ale natychmiast się opanowała i zrobiła pokerową minę.

– No właśnie – ciągnęła Esti. – Nasz kolega Andoni Cuesta miał nam o tym powiedzieć podczas oględzin. Kilka centymetrów od zwłok znalazł portfel ofiary i zinventaryzował jego zawartość. Na szczęście zabezpieczył go odpowiednio. To jeden z niewielu przedmiotów, które ocalały. Dowiedzieliśmy się, że ofiara zdeponowała nagrodę z banku, miała w portfelu potwierdzenie, którego morderca jej nie zabrał.

Wpatrywaliśmy się z otwartymi ustami w potwierdzenie wpłaty, jakbyśmy mieli

przed sobą złoty kupon na wizytę w fabryce czekolady Willy'ego Wonki. Annabel i trzy miliony euro...

Wydawało się to zupełnie niemożliwe, tak bardzo do niej nie pasowało.

Akurat Annabel, która miała gdzieś sukces finansowy... Co zamierzała zrobić z taką forszą?

– Oczywiście to może być motyw, żeby kogoś zamordować – przyznała Alba. Chyba wypowiedziała na głos to, co wszystkim nam chodziło po głowie. – Sprawdźcie jej otoczenie, dowiedzcie się, czy miała długi, czy znała kogoś, kto borykał się z poważnymi problemami finansowymi... Zresztą sami wiecie, co macie robić. A co z kotłem, inspektorze Muguruza? – zwróciła się do szefa techników.

– Ekipa ratowników znalazła go w dość dużej odległości od tunelu – powiedział, poprawiając ciemne okulary. – Jest w opłakanym stanie, grad bardzo go zniszczył, konserwatorzy zabytków będą musieli oszacować uszkodzenia. Oczywiście ślady, które zamierzaliśmy zdjąć, zniknęły, nigdy się nie dowiemy, czy odciski palców zostawili na nim tylko turyści, którzy znaleźli ofiarę, czy były też odciski palców mordercy. To samo stało się ze śladami podeszew, które chcieliśmy zabezpieczyć. Nawałnica zmiotła wszystko. Ten zabójca ma niezłego farta, jeśli mogę się tak wyrazić.

– Coś jeszcze? – zapytała Alba.

Podam jej raport zredagowany przeze mnie na podstawie informacji uzyskanych od Tasia. Z zadowoleniem przyglądałem się jej minie.

Na jej twarzy malowało się zaskoczenie, ale też szacunek i podziw, które, jak sądziłem jeszcze wczoraj, bezpowrotnie straciłem w jej oczach.

Szefowa przeczytała moją notatkę na głos, a wszyscy słuchali z uwagą. Być może historia o celtyckich rytuałach w innych okolicznościach wprawiłaby moich kolegów w zdumienie, ale dopiero co rozwikłaliśmy sprawę zabójstwa, w którym istotną rolę odegrały *eguzkilore*, trucizna z cisu i dolmeny. Dlatego teraz powieszona kobieta z głową zanurzoną w rytualnym kotle z brązu nie zaskoczyła nas aż tak bardzo.

– Chciałabym też poinformować – oznajmiła moja szefowa – że inspektor Ayala, któremu wszyscy życzymy jak najszybszego powrotu do zdrowia, prawdopodobnie będzie pracował z nami jako profiler. Na razie mamy tylko jedno morderstwo, ale inspektor Gauna sprawdzi, czy w naszej prowincji oraz na innych obszarach, gdzie kwitła kiedyś kultura celtycka i celtyberyjska, podobne zbrodnie nie zdarzyły się wcześniej.

Powiedziała: prawdopodobnie?, pomyślałem sfrustrowany. Więc to nie jest jeszcze przesądzone?

Spojrzałem na Albę pytająco, ale ona zignorowała mnie i ciągnęła:

– A skoro to śledztwo będzie dla nas priorytetem, podjęliśmy z komisarzem decyzję o powiększeniu naszego zespołu. Oficjalnie przedstawiam wam podinspektora Manu Peñę i agentkę Milán Martínez. Podinspektor pracował wcześniej w komendzie w San Sebastián, w Wydziale Kryminalnym, więc nasze procedury nie są mu obce. Milán do dziś pracowała w Wydziale do Walki z Cyberprzestępczością. Sama się do nas zgłosiła, a ja sądzę, że jej pomoc bardzo się nam przyda, bo we wszystkich naszych dochodzeniach korzystamy z internetu. Mam nadzieję, że obecność Milán usprawni nasze działania.

Peña pozdrowił nas lekkim skinieniem głowy. Nie sprawiał wrażenia nieśmiałego, wydawał się doświadczony. Miał bardzo jasne, króciutko ostrzyżone włosy, szerokie baczki sięgające żuchwy, bardzo jasne oczy, niemal pozbawione rzęs. Estíbaliz powiedziała, że jest przystojny. Trzydzieści kilka lat. Zauważyłem, że prawa ręka lekko mu drży, może był zdenerwowany, a może przemilczał fakt, że mimo młodego wieku cierpi na jakąś paskudną chorobę. Ubrany był w czarną dżinsową kurtkę i sweter w marynarskie paski. Trochę pachniało od niego papierosami. Polubiłem go od razu, pomyślałem, że kompetentny facet na pewno przyda się w naszym zespole.

Jeśli zaś chodzi o Milán, pierwszym, co zwracało uwagę, była jej postura. Chyba w życiu nie widziałem większej dziewczyny. Nie wiem, ile miała wzrostu, na pewno grubo powyżej metra osiemdziesięciu, była postawna, gesty miała niezdarne, chciałoby się powiedzieć męskie. Jej kasztanowe włosy nie sprawiały wrażenia szczególnie zadbanych, trochę kręcone, trochę proste tworzyły na jej czaszce dość bezkształtną masę. Garbiła się i miało się wrażenie, że ta wada postawy będzie się z wiekiem pogłębiać. Wyobraziłem sobie jej życie pełne podśmiejunków i drwin i zrozumiałem, że instynktownie się kuli, żeby zamaskować nieco swoją sylwetkę. Na szczęście były jeszcze na świecie osoby takie jak ona, które, zamiast odpowiadać agresją, wolały opowiedzieć się po jasnej stronie mocy i w godzinach pracy polować na przestępców. Od pierwszej chwili Milán mi kogoś przypominała, ale nie było czasu, żeby głębiej się nad tym zastanowić.

Wyjąkała coś w stylu „bardzo mi miło”, a potem wbiła się w oparcie swojego krzesła jak wystraszony ślimak w skorupę. Uśmiechnąłem się do niej, chcąc dodać jej otuchy. Pierwsze zebrania w nowym komisariacie onieśmiały nawet najodważniejszych.

Więc zespół miał liczyć trzy osoby, cztery, jeśli pani podkomisarz uzna za stosowne włączyć mnie do śledztwa. Nie wróżyło to źle: liczniejszy zespół, więcej środków, mniej biurokracji, mogłem mieć nadzieję, że będziemy mieć z Esti dość czasu, żeby skupić się na tym, co najważniejsze.

– Inspektor Gauna, pani prowadzi to śledztwo. Proszę kontynuować.

– Milán, Manu, witamy, cieszę się, że jesteście z nami. Wasza pomoc będzie dla nas bardzo cenna. Peña, chciałabym, żebyś porozmawiał z osobami z otoczenia Any Belén

Liaño, matką, przyjaciółmi, innymi członkami rodziny, kolegami z pracy. Najważniejsze to ustalić, kto był ojcem dziecka. Czy miała narzeczonego, chłopaka, czy z kimś mieszkała. Jednym słowem, musimy wiedzieć, czy było to chciane dziecko, czy też z jego urodzeniem wiązał się jakiś konflikt... Rozejrzyj się za czymś, co mogło stanowić problem. Milán, nie znaleźliśmy komórki ofiary, poszperaj więc na jej portalach społecznościowych. Miała konta na Facebooku, Instagramie, Twitterze, na których dzieliła się z fanami swoimi paskami, ale wrzucała też osobiste zdjęcia. Sprawdź, czy nie miała jakiegoś upartego trolla, hejtera, a może natrętnego wielbiciela? Jeśli chodzi o komórkę, zadzwoń do operatora i poproś o duplikat karty SIM, żebyśmy mogli sprawdzić jej wiadomości, ostatnie połączenia, lokalizację itp. Zbadaj wszystko bardzo dokładnie.

Zawiesiła na chwilę głos, przyglądając się, jak Milán notuje wszystko skrzętnie na małym post-icie w kolorze żarówiastego różu.

– Milán, zmieści ci się tam wszystko?
– Staram się, jak mogę – odparła, a jej twarz zrobiła się bardziej różowa niż karteczka.

– Może następnym razem przynieś notatnik – zasugerowała Esti niezbyt ostrym, ale stanowczym tonem.

– Ale ja lubię post-ity – powiedziała Milán cichutko. – Łatwo mieszczą się w kieszeni, nie zajmują miejsca. Proszę się nie martwić, nie gubię ich.

– Jak sobie chcesz. – Estíbaliz nie wyglądała na przekonaną. – Jedziemy dalej. Zamierzam wystąpić do sędziego, żeby pozwolił nam na wgląd w jej konto bankowe, na którym zdeponowała trzy miliony euro wygrane w lotto. Jako ekspertka od wiktyologii skupiłabym się na trzech możliwych scenariuszach: ciąży i konflikcie, który mogła wywołać w otoczeniu ofiary, zabójstwie z motywem rabunkowym oraz – i mam nadzieję, że nie okaże się to prawdą – odtworzeniu celtyckiego rytuału, na co niestety wskazuje sceneria: powieszenie ofiary, utopienie jej w kotle sprzed trzech tysięcy lat. W dodatku zabicie jej w trudno dostępnym miejscu: obok tunelu, który łączy nie tylko prowincje, ale i prehistorię z teraźniejszością.

Skorzystałem z okazji, żeby ukraść Milán jeden z jej jaskrawych post-itów, i napisałem coś do Estíbaliz. Przeczytała i skinęła głową.

– Inspektor Ayala sugeruje, żebyście przyjrzeni się twórczości Any Belén Liaño czy też Annabel Lee, bo pod takim pseudonimem publikowała swoje komiksy. Może znajdziecie u niej w mieszkaniu egzemplarze autorskie, a jak nie, poproście o nie matkę albo narzeczonego, jeśli go ma. Gdyby to się nie udało, skontaktujcie się z wydawcą. Przejrzyjcie jej prace w poszukiwaniu motywów, które zastaliśmy na miejscu zbrodni: kultura celtycka, kotły, wisielcy, kobiety w ciąży...

– A co z turystami, którzy ją znaleźli? – uprzedziła moje pytanie podkomisarz.

Miałem zapytać o to Esti. Niepokoiło mnie trio zakapturzonych skrzatów, o którym wspomniał Tasio.

– Przesłuchano ich w charakterze świadków, oto protokół. – Estíbaliz rozdała nam kserokopie. – Streszczę go wam pokrótce: Jose Mari Garmendia ojciec i Jose Mari Garmendia syn. Pięćdziesiąt i osiemnaście lat. Mieszkają w wiosce Araia, z której zwykle wyruszają wycieczki do tunelu San Adrián od strony Álavy. Ojciec ma niewielki warsztat kowalski. Jak twierdzi, kontynuuje tradycje dziadków, którzy pracowali w hucie w Ajurii, już nieistniejącej. Chyba nie wie mu się najlepiej. Musiał zwolnić wszystkich pracowników, nie stać go nawet na to, żeby zatrudnić syna. Chłopak jest bezrobotny, bez prawa do zasiłku. Jose Mari ojciec zeznał, że postanowił zabrać syna na wycieczkę w góry, bo nie mieli nic do roboty, chciał poprawić mu humor. Twierdzi, że zanim weszli do tunelu, zauważyli wiszące na drzewie ciało. Poruszało się, prawdopodobnie na wietrze. Podbiegli do niego, kiedy zauważyli, że głowa ofiary zanurzona jest w kotle.

– Użył słowa „kocioł”? – chciał wiedzieć Peña.

– Tak, od samego początku mówił o kotle. – Estíbaliz wzruszyła ramionami. – Ani razu nie pada słowo miska czy garnek. Ale nie wydaje mi się to podejrzane, w końcu zajmuje się kowalstwem i zapewne bez trudu odróżnia kocioł od współczesnego garnka.

– Możemy zobaczyć zdjęcia pokazujące, w jakiej pozycji znajdował się kocioł? – zapytał Manu i wyciągnął drżącą rękę w stronę leżących na stole fotografii.

– Tak, na szczęście udało się nam ocalić sprzęt fotograficzny, ale byłem na oględzinach od samego początku, możesz mnie zapytać, jeśli masz jakieś wątpliwości – wtrącił się Muguruza.

– Ten kocioł ma wypukłe dno, nie da się go postawić. Ktoś musiał go podtrzymywać, kiedy wkładano do niego głowę ofiary. A ona na pewno się szamotała.

– Tak, próbowała się bronić – przyznała lekarka sądowa. – Na jej ciele znaleźliśmy siniaki wskazujące na to, że uderzała głową w ściany kotła, dopóki była przytomna.

– Posłuchajcie – przerwała Estíbaliz i zaczęła czytać fragment protokołu: – „Świadek twierdzi, że wokół kotła usypano krąg kamieni, żeby zapewnić jego stabilność”.

– Ale na tych zdjęciach nie widzę żadnych kamieni – zauważył Peña i pokazał nam ujęcia panoramiczne i w półzbliżeniu. – Czy ktoś je widzi?

– To prawda. Kiedy przybyliśmy na miejsce, kocioł leżał kilka metrów dalej. Świadkowie zeznali, że odrzucili go na bok, żeby zająć się ofiarą. Woda się wylała, ale zostawili go z boku i więcej nie dotykali. Przypuszczam, że kiedy próbowali ratować dziewczynę, a przynajmniej sprawdzić, czy jeszcze żyje, zniszczyli kopiec usypany

z kamyków, najpewniej go podeptali, o ile rzeczywiście ktoś ułożył te kamienie.

– Inspektor Gauna, pora na podsumowanie. Co mamy? – zapytała Alba.

– Niewiele. Dotarliśmy do ojca i syna w doskonałej formie fizycznej, borykających się z poważnymi problemami finansowymi, którzy najprawdopodobniej znaleźli ofiarę, kiedy już nie żyła. Liczne zapewne ślady na kotle, w którym się utopiła, są niemożliwe do odtworzenia. Powinniśmy odnaleźć mężczyznę, z którym była w ciąży. A do tego wiemy, że nasza autorka komiksów wygrała trzy miliony euro na loterii.

Jednym słowem, roboty co niemiara, pomyślałem.

– A może tatuś i synek chcieli się zabawić z Aną Belén Liaño i trochę przesadzili? – zasugerował Peña.

– To chyba jest pytanie do naszego profilerka – stwierdziła Estíbaliz.

Pozostali uczestnicy zebrania nie mieli jeszcze pojęcia o tym, że znałem Annabel Lee, a Esti wciąż mnie kryła.

– Inspektorze Ayala, sądzisz, że to możliwe? – zapytała Alba.

Na razie nie mogę stwierdzić na pewno, że tak się nie stało – napisałem na swoim tablecie i pokazałem odpowiedź pozostałym. – Ale sceneria zbrodni wydaje się temu przeczyć. Ofiara jest ubrana, w dodatku ma na sobie odzież turystyczną, nawet buty do chodzenia po górach, co pozwala się domyślać, że nie została porwana, przynajmniej nie w Vitorii. Raczej była w górach albo w którejś z okolicznych wiosek. I nie widzę tu śladów zabawy jak z orgii, kiedy przytrzymuje się komuś zbyt długo plastikową torbę na głowie i pozbawia go tlenu. Powieszenie ofiary za nogi i utopienie w kotle pełnym wody nie wskazuje na motyw seksualny. Co więcej, to zbrodnia trudna do wykonania. Nie sądzę, żeby o to chodziło. Nie wiem, czy podkomisarz się ze mną zgodzi.

– Na razie nie mam zdania, inspektorze – odparła szefowa.

Napisałem jeszcze jedno pytanie i podałem kartkę Estíbaliz.

– Mój partner pyta – koleżanka zwróciła się do szefa techników kryminalistyki – czy turyści, którzy ją znaleźli, mieli na sobie bluzy albo kurtki z kapturem.

Peña zrobił zdziwioną minę i spojrzał na nas, nic nie rozumiejąc.

– Owszem, obaj mieli kaptury, kaptur miała też kurtka, którą znaleźliśmy w odległości kilku metrów od zwłok, nie wiemy jeszcze, czy należała do kobiety. Czy to, że wszyscy byli w kapturach, może mieć jakieś znaczenie?

Obawiam się, że duże, jeśli pójdziemy tropem celtyckich rytuałów: trzech

mężczyzn w kapturach odprawiało zwykle powiązane z wodą obrzędy na cześć Trzech Matron – napisałem i pokazałem wszystkim wyświetlacz.

Wymieniliśmy z Esti wymowne spojrzenia, a ona podjęła decyzję:

– Pojadę zaraz do Arai porozmawiać ze świadkami. Zaczynam podejrzewać, że nie powiedzieli nam wszystkiego o swoim spotkaniu z Aną Belén Liaño i kotle z Cabárceno.

10

OGRÓD PRZY MURZE

18 listopada 2016, piątek

Po zebraniu Estíbaliz wyruszyła do Arai, żeby jak najszybciej porozmawiać z panami Jose Mari, ojcem i synem. Było jeszcze za wcześnie na oficjalne przesłuchanie, ale można było to i owo wybadać. Coś w ich historii nie trzymało się kupy.

Nie pojechałem z nią, chociaż bardzo chciałem. Moja afazja czyniła mnie bezużytecznym, jeśli chodzi o wyciąganie z kogoś informacji. Sala tymczasem opustoszała, zostaliśmy tylko podkomisarz Salvatierra i ja.

Kiedy wyszli Milán i Peña, zamknęła za nimi drzwi i poprosiła, żebym usiadł z powrotem.

– Musimy porozmawiać.

Zamieniam się w słuch, dałem jej znać gestami.

– Inspektor Gauna poprosiła, żebym włączyła cię do śledztwa w charakterze biegłego. Nie muszę ci chyba mówić, że jeśli przystanę na jej propozycję, będę się gęsto tłumaczyć przed przełożonymi. Zdajesz sobie chyba sprawę, że nie możesz wypełniać swoich obowiązków tak jak dawniej. Nie możesz prowadzić przesłuchań, nie możesz rozmawiać ze świadkami, przez swoją afazję będziesz zwracał na siebie uwagę, gdziekolwiek się pojawisz, a wiadomo, że podczas śledztwa najważniejsze jest nie rzucać się w oczy, zwłaszcza jeśli śledztwo jest tajne. Jednym słowem: nie odsyłam cię dziś do domu albo do dziadka na wieś tylko dlatego, że mam do ciebie zaufanie.

Chcę wziąć udział w tym dochodzeniu. Mogę się przydać – napisałem na tablecie.

– Jeśli tak bardzo ci zależy na powrocie do służby, trzeba było zacząć rehabilitację już dawno temu. I pewnie byłbyś już w całkiem niezłym stanie, a tymczasem znajdujemy się w tym samym punkcie co w dniu, kiedy obudziłeś się ze śpiączki.

Zacisnąłem zęby. Alba była na mnie obrażona, rozumiałem to. Prosiłem ją, żeby

wstawiła się za mną u komisarza Mediny, a sam nie pomagałem jej nic a nic.

Ale zabójstwo Annabel Lee było dla mnie sprawą zbyt osobistą, żebym mógł zostawić je w rękach innych. Taki scenariusz po prostu nie wchodził w rachubę.

Podkomisarz odwróciła się i zatopiła spojrzenie w sznurze samochodów sunących ulicą Portal de Foronda. Dzień miał za chwilę ustąpić miejsca nocy, a moja cierpliwość bezbrzeżnej irytacji.

Jesteś zła po wczorajszej rozmowie, rozumiem to – napisałem. – Ale to śledztwo nie ma nic wspólnego z naszą osobistą sytuacją, nie chcę, żeby miała ona wpływ na naszą pracę. – Podeszedłem do niej z tabletem, żeby mogła przeczytać te słowa.

– Nie chcesz, żeby miała wpływ na pracę – wyszeptała, nie patrząc na mnie. – Drogi Unai, naprawdę nie zdajesz sobie jeszcze sprawy z tego, że „nasza” sytuacja będzie miała ogromny wpływ na moje życie zawodowe? Za dwa miesiące ciąża będzie widoczna, nie zdołam jej ukryć, nosząc luźne stroje. Moi szefowie, moi koledzy i podwładni zaczną liczyć i rozumieją, że spodziewam się dziecka seryjnego mordercy. Albo domyślą się, że miałam romans z podwładnym, będąc mężatką. Pomyślałeś o tym, co będę musiała znieść w tej ciąży? A ty mi mówisz, że nie chcesz, żeby nasza sytuacja odbijała się na życiu zawodowym?

Westchnęła smutno. Miałem wrażenie, że czuje się kompletnie bezradna.

– Nie wiem, w jakim świecie żyjesz, Unai. To będzie miało wpływ na moją pracę i na moje życie już na zawsze, oczywiście pogodziłam się z tym, podjęłam decyzję i wróciłam, mimo że wiem, co mnie czeka. I, jak już mówiłam wczoraj, czułam, że muszę być szczerą i powiedzieć ci prawdę, ale nie oczekuję, że weźmiesz na siebie odpowiedzialność. A jeśli chodzi o śledztwo, wstawię się za tobą, ale pod jednym warunkiem: natychmiast zaczniesz chodzić do logopedy. Neurolożka zapisała ci godzinne sesje pięć razy w tygodniu. Masz uczęszczać na nie bez żadnych wymówek. Jeśli chodzi o moją opinię stricte zawodową, uważam, że nie powinniśmy tracić tak zdolnego profilerę. Ale, jak powiedziałam, stawiam ci ten warunek.

Przełknąłem ślinę: mimo naszych skomplikowanych relacji wciąż się o mnie martwiła. Miałem przed sobą prawdziwą damę. Czułem się wobec niej mały, czułem się jak dziecko zagubione w swoich osobistych dramatach. Po raz kolejny spokój, z jakim stawiała czoło wszystkiemu, co spadło na nią w ciągu ostatnich miesięcy, wzbudził mój nieskończony podziw. Dla innych będzie to tylko soczysta plotka. Dla niej natomiast wyrok skazujący na życie wśród ironicznym spojrzeń i wychowywanie dziecka, które inni uznają za potomka seryjnego mordercy albo owoc zdrady.

Jestem umówiony w poniedziałek na pierwszą wizytę u logopedy, dziś poprosiłem o termin. I chcę ci powiedzieć, Albo, że robię to dla tego dziecka, wszystko jedno, czy jest moje, czy Nancha – napisałem.

Podziękowałem jej spojrzeniem i wyszedłem z sali, znów wyrzucając sobie, że w ciągu ostatnich miesięcy nie potrafiłem stanąć na wysokości zadania.

Godzinę później zadzwoniła Estíbaliz. Leżałem na sofie w salonie, próbowałem odpocząć po trudnej nocy, ale mój mózg wciąż pracował na pełnych obrotach.

– Kraken, jestem jeszcze w Arai, skończyłam właśnie rozmawiać z Josem Mari i jego synem. Muszę jeszcze sprawdzić kilka rzeczy, ale chyba nie mamy tu czego szukać – powiedziała.

Lekki ton rozczarowania nie uszedł mojej uwagi.

– Mają alibi, i to dość mocne. W warsztacie jest kamera monitoringu, podobno w ich branży to norma ze względu na częste włamania. Ojciec zaczął pracować o siódmej, pół godziny później syn przyniósł mu śniadanie. Mniej więcej o tej godzinie, co ostatecznie potwierdzi sekcja zwłok, ktoś, kto zabił Anę Belén Liaño, był w tunelu San Adrián i topił ją w kotle. To nie mogli być oni. Współpracowali ze mną cały czas, przejrzałam nagrania z kamery nadzoru z całego poranka. Zanim wybrali się na wycieczkę w góry, nie ruszali się z warsztatu.

Milczałem, ale Esti uprzedziła moje pytania.

– Sprawdzę jeszcze kilka szczegółów, ale nagranie nie pozostawia wątpliwości. Widać, że za oknem jest ciemno, palą się latarnie uliczne. To nie oni, Unai. Nie możemy wystąpić do sędziego o nakaz aresztowania, nie mamy nic, no chyba że raport z autopsji przyniesie jakieś nowości.

Zamiast pożegnania wymamrotałem coś w rodzaju „aha”. Estíbaliz rozłączyła się.

Na razie musieliśmy ich wykluczyć. Chyba że posiadli dar bilokacji. Pierwsza ściana w śledztwie. Należało zrobić krok do tyłu i zacząć szukać gdzie indziej.

Ale w tej chwili nie dawała mi spokoju inna kwestia, bardziej intymna, osobista – przez co boleśnieszka – która nie mogła dłużej czekać.

Musiałem się tym zająć.

Czułem, że mimo utajnienia śledztwa muszę przekazać im wiadomość.

Odezwałem się do wszystkich trzech na WhatsAppie.

Cała nasza paczka umówiła się na pierwszy kieliszek rumu o dziesiątej w centrum, w barze Aldapa, ja nie miałem zamiaru dołączać, byłem wycieńczony i przewidywałem, że w weekend nie będę miał szans odpocząć.

Ale musiałem ich uprzedzić, rozumiałem to, odkąd w czwartek Estíbaliz przekazała mi wiadomość. Może któryś z nich już wiedział, może po latach utrzymywali z nią kontakt?

Nigdy o to nie pytałem, to było jedno z tabu, jakie obowiązują w każdej grupie przyjaciół. Nigdy o niej nie wspominaliśmy, jakby przez ostatnie dwadzieścia cztery lata nie pojawiła się na ulicach Vitorii.

Wprawdzie kilka razy widziałem Anę Belén w przelocie, ale kompletnie ją zignorowałem.

Tak sobie obiecałem i dotrzymałem obietnicy.

Było już po siódmej, kiedy zebraliśmy się wszyscy na oświetlonym skąpym światłem latarni niewielkim skwerku na starówce; za jego ogrodzeniem ciągnęły się średniowieczne mury miejskie. Było to mało uczęszczane miejsce, stare drzewa zapewniały jako taką intymność. Dotarłem tam pierwszy i usiadłem na ławce, żeby poczekać na przyjaciół.

Nad Vitorią zapadła już noc i tylko bezdomne koty uganiały się za cieniami na kręconych schodkach prowadzących do rzeźnicie oświetlonej repliki dziewiętnastowiecznej lodówki.

Najpierw zobaczyłem Asiera. Minę miał złą, pewnie dlatego, że zmusiłem go do wyjścia z apteki przed zamknięciem. Ostatnio interesy nie szły mu najlepiej. Nie tylko był właścicielem jednej z najstarszych aptek w Vitorii, przy samej ulicy San Francisco – odkupił ją od poprzedniego właściciela, który przeszedł na emeryturę – ale też ostatnio nabył aptekę na nowym osiedlu w Salburua. Wiedzieliśmy, że prowadzenie jej przysparza mu sporo problemów; farmaceuci rzucali pracę z dnia na dzień. Na domiar złego wieść gminna głosiła, że nie układa mu się z żoną. Było mi z tego powodu naprawdę przykro, bo Araceli wydawała się fantastyczną dziewczyną i szybko stała się pełnoprawną członkinią naszej paczki.

Biedny J. przybył, zgodnie ze zwyczajem, trochę spóźniony i trochę zawiany. Zaczynał swoje piątki wcześniej niż my i w jego żyłach krążyły już litry piwa.

– Hej! – rzucił na powitanie.

Chyba trochę zawstydzził się tym, jak wygląda, bo wsunął koszulę w wyświechtane spodnie i przyglądał resztkę blond włosów otaczającą łysinę. Pewnie przypomniał sobie, że powinien odwiedzić fryzjera.

Na końcu zjawił się Lutxo w kapturze chroniącym go przed wilgotnym chłodem tej piątkowej nocy. Wydawało mi się, że schudł i zmizerniał, może wspinał się więcej niż zwykle, a może zżerały go nerwy związane z awansem w pracy. Pełnił teraz funkcję zastępcy redaktora naczelnego „El Diario Alavés”, a nowe stanowisko zawdzięczał temu, że przyczynił się do rozwiązania sprawy podwójnego zabójstwa w dolmenie.

Niestety mój przyjaciel na własnej skórze przekonał się, co to znaczy kierować gazetą, my zaś rzadko go widywaliśmy.

– Co się dzieje, Kraken? Skąd te tajemnice? – zapytał, dopalając papierosa.

Poklepałem kilka razy ławkę na znak, żeby usiadł. To nie miała być łatwa rozmowa i nie bardzo wiedziałem, od czego zacząć.

– Jak chcesz, Unai – odezwał się J., siadając po mojej drugiej stronie.

Dałem znak Asierowi, żeby podszedł na tyle blisko, by móc przeczytać to, co zamierzałem napisać na telefonie.

Nowy sposób porozumiewania się, do którego zostałem zmuszony po tym, jak Nancho wpakował mi kulkę w głowę, wymagał ode mnie lapidarności i nie pozwalał na dygresje. Ludzie nie mieli cierpliwości, żeby czytać elaboraty, więc od razu przeszedłem do rzeczy.

Czy ktoś z was widział ostatnio Anę Belén Liaño? – napisałem.

– Kurwa, Kraken! – Lutxo był wyraźnie wkurzony. – Nie sądzisz, że czas najwyższy zamknąć ten temat?

Nie wiesz, o co mi chodzi – odpisałem. – Powtarzam pytanie, czy któryś z was widział się ostatnio z Annabel Lee? Mieliście od niej jakieś wiadomości?

– No co ty – zaprzeczył J., drapiąc się po co najmniej trzydniowym zarostie. – Mnie od początku olewała, nawet nie odpowiadała mi na „cześć” po tym, jak... Potem. Od wieków nie mam z nią kontaktu. Znów wycięła jakiś numer?

Zignorowałem jego pytanie.

Asier? – napisałem. – Może ty wiesz więcej?

– Nie obracam się w tych samych kręgach co ona, a ty, Unai, dobrze o tym wiesz. Dla mnie ta kobieta jest martwa od bardzo dawna. Nie interesuje mnie ta rozmowa – odparł.

Powiedziałbym, że chłodno, ale Asier zawsze był zimny i pragmatyczny.

Miał kanciastą sylwetkę, w jego twarzy, zwykle surowej, trudno było dopatrzeć się ludzkich uczuć. Haczykowaty nos, brązowe włosy szczurka i sposób ubierania się – zawsze chodził w granatowym garniturze i pod krawatem – nie ocieplały wizerunku.

Ciekawe, że poświęcił życie sprzedawaniu lekarstw przynoszących ludziom ulgę w cierpieniach, bo miałem wrażenie, że cudze cierpienie było obce emocjonalnym

radarom mojego przyjaciela.

Lutxo, nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Widziałem się z nią kilka dni temu, owszem. Na początku tygodnia. Co się stało, Kraken? – zapytał, podnosząc głos.

Opowiedziała ci o jakichś nowinach? Wspominała, że ma narzeczonego? Coś zwróciło twoją uwagę?

– Mówiła, że kończy komiks. Była zadowolona, w nietypowym dla siebie nastroju. – Odkasznął. – Chciałem powiedzieć, że pamiętałem ją jako milczącą ponuraczkę.

Powiedziała ci, że jest w ciąży? A może sam zauważyłeś?

– No nie. – Wzruszył ramionami. – Miała na sobie czarną puchówkę, niczego nie zauważyłem.

– Nie wierzę, że cała ta akcja była tylko po to, żeby pogadać o Anie – warknął Asier. – Unai, zgadzam się z Lutxem, musisz zamknąć ten rozdział, nie jesteś już dzieckiem...

Zdradzę wam teraz sekret, o którym nie powinienem nawet pisać, bo śledztwo jest utajnione. To, czego się dowiecie, musi pozostać między nami. Lutxo, mam świadków, że cię o tym poinformowałem, nie chcę żadnych przecieków w twojej gazecie!

– Do cholery, Unai, zaczynam się bać. Przejdź wreszcie do rzeczy. Co się stało? – Lutxo nie krył zdenerwowania.

Znaleziono zwłoki Annabel Lee. Była w ciąży. Nie mogę zdradzić wam więcej szczegółów. Dla nas wszystkich był to pierwszy raz, nie mam pojęcia, czy wybieriecie się na pogrzeb, który odbędzie się w niedzielę. Pomyślałem, że macie prawo się o tym dowiedzieć, źle bym się czuł, gdybym ukrył przed wami prawdę. Nie wróciłem jeszcze oficjalnie do pracy, ale będę wspierał zespół jako biegły. Nie mówcie nic reszcie naszej paczki – napisałem ciurkiem, a potem zaczekałem, aż przeczytają.

Wszyscy trzej zbledli.

Zobaczyłem, a przysięgam, że wolałbym tego nie widzieć, jak próbują zachować twarz pokerzysty, chociaż byli wyraźnie poruszeni.

A także przerażeni, do czego żaden z pewnością nie byłby skłonny się przyznać. Sam

zresztą czułem się podobnie.

11

CMENTARZ ŚWIĘTEJ IZABELI

20 listopada 2016, niedziela

Niedziela wstała paskudna: powietrze wisiało nieruchomo, jakby cały świat wstrzymał oddech. Tamtej nocy w Villaverde temperatura spadła o jakieś piętnaście stopni. Tuż przed świtem zdałem sobie sprawę, że powinienem być zatroszczyć się o dodatkowy koc.

Ubrałem się w garnitur, który wkładałem na pogrzeby. Trzymałem go w Villaverde z przyczyn praktycznych: moich zmarłych chowano na niewielkim cmentarzyku odległym jakieś dwieście metrów od domu. To zalety mieszkania w małej wsi: rodzina López de Ayala trzymała się razem nawet po wizycie Tanatosa.

Nie chciałem budzić dziadka, który nie miał w zwyczaju wstawać tak wcześnie, więc wszedłem po schodach, starając się, by stare drewno nie skrzypiało mi pod stopami.

Westchnąłem na widok strychu: nie byłem tu od czasu, kiedy prowadziliśmy śledztwo w sprawie podwójnego zabójstwa w dolmenie. Dziadek posprzątał wszystkie stare fotografie i wycinki z gazet, które rozłożyłem na sfatygowanym stole do ping-ponga. Kiedy ja leżałem w szpitalu pogrążony w śpiączce, on schował z powrotem pamiątki z mojej przeszłości do odpowiednich pudeł opisanych na etykietkach.

Niechętnie podszedłem do tych pudeł, omijając skóry lisów, które dziadek powiesił na hakach wbitych w belki sufitu. Westchnąłem jeszcze raz i odszukałem karton z napisem: „Wioska kantabryjska, Cabezón de la Sal, 1992”. Kiedy go otworzyłem, śmierć Annabel Lee stała się dla mnie bardziej realna. Przechowywałem w nim wspomnienia z wakacji, które miały być niezapomniane i rzeczywiście takie się stały, ale z zupełnie innych powodów, niż przypuszczałem. Mroczniejszych i bardziej bolesnych.

A skoro już mowa o mroku i jego królowej, pod zdjęciami, na których Lutxo miał jeszcze włosy na głowie, J. był dzieckiem z dobrego domu, Asier zaś już wówczas zdradzał miną, że nie należy do osób przyjaźnie nastawionych do otoczenia, znalazłem rysunek podpisany przez Annabel Lee. Przedstawiał kochanków na grobie znajdującym się naprzeciwko klifu La Arnía w Kantabrii. Narysowana atramentem dziewczyna

przytulała się do chłopaka z tatuażem krakena na umięśnionym ramieniu.

Kiedy podarowała mi ten rysunek, przypuszczała, że zrobię sobie taki tatuaż. Ja jeszcze nie pogodziłem się z tą ksywą, wkurzało mnie, że Lutxo, który ją wymyślił, nabijał się z moich zbyt długich rąk, i to właśnie w jej obecności. Jednak Annabel Lee ten przydomek przypadł do gustu. Wszystko, co wiązało się z mitami, wyrывało ją z typowego stanu obojętności wobec świata. Uparła się, że osobiście wytatuuje mi na ramieniu tę cholerną gigantyczną kałamarnicę.

Odmówiłem.

Chyba się obraziła.

– Dziadek mnie zabije, jeśli wrócę z taką bestią wytatuowaną na ramieniu.

– Wciąż jeszcze słuchasz się dziadka? – zapytała tonem, w którym mieszały się zdumienie i pogarda.

Postanowiłem puścić to mimo uszu.

– Ty też byś go słuchała, gdybyś go znała – powiedziałem i uznałem rozmowę za zakończoną.

Nie wiem, czemu zachowałem ten rysunek. Nadeszła pora, by jej go zwrócić.

Parę minut przed jedenastą dotarłem do Vitorii swoim outlanderem. Estíbaliz powiedziała, że Ana Belén zostanie pochowana na cmentarzu Świętej Izabeli. Byłem tym zaskoczony – grzebano tam zwykle członków zamożnych rodzin, które wykupiły kwatery dawno temu, a nie podejrzewałem, że Ana Belén pochodzi z takiej rodziny. Przypomniałem sobie tak przez nią uwielbiany utwór Edgara Allana Poego, w którym mowa o szlachetnie urodzonych krewnych bohaterki. Może miała więcej powodów, niż sądziłem, żeby identyfikować się z Annabel Lee z wiersza?

Włożyłem elegancką kurtkę z kapturem, na wypadek gdyby bóstwa pogody zamierzały sprawić nam niemiłą niespodziankę. Ekipa naszego wydziału czekała już na mnie przy bramie. Estíbaliz, Peña i Milán, ubrani bardziej szykownie niż zazwyczaj i przemarznięci do kości, z niepokojem patrzyli w sine niebo zapowiadające pierwszy w tym roku śnieg.

Milán odezwała się pierwsza. Widać było, że nie czuje się komfortowo bez swoich dzinsów. Wyjęła pomarańczowy post-it z kieszeni luźnej puchówki.

– Z portali społecznościowych dowiedziałam się, że Ana Belén Liaño dwa miesiące temu przekazała wiadomość o swojej ciąży. Zamieściła rysunek: autoportret przedstawiający kobietę z długimi włosami, która siedzi na nagrobku znajdującym się nieopodal klifu. Ma duży brzuch. Posypały się lajki i gratulacje od jej fanów. Nie znalazłam śladów żadnego hejtera, którego ta wiadomość nie ucieszyła – wyrecytowała zamiast powitania.

Podziękowałem jej spojrzeniem za nowe informacje i napisałem do Esti.

Jeszcze jakieś nowości?

Odpowiedziała lakonicznie:

– Potem ci opowiem.

– Ja spędziłem weekend, studiując komiksy Annabel Lee. W jej pierwszych zeszytach pojawiają się jakieś nawiązania do Celtów i do wisielców, ale nie są to motywy, do których często wracała. Nie znalazłem żadnego wątku w jakikolwiek sposób związanego z tym, co jej zrobili. Jej wydawca... – ciągnął Peña, wskazując otyłego mężczyznę po siedemdziesiątce, który sprawiał wrażenie załamane – źle to znosi. Podobno bardzo ją lubił. Zamierza niedługo przejść na emeryturę, edytorstwo to jego powołanie. Prowadzi małe wydawnictwo – Malatrama – nie sądzę, żeby przetrwało teraz, kiedy zabrakło głównego źródła dochodów. Ale jeśli zapytacie, czy powinniśmy włączyć go do kręgu podejrzanych, powiem, że zdecydowanie nie. Wygląda na faceta, który muchy by nie skrzywdził, poza tym ma alibi na czwartek. Jego żona, równie sympatyczna osoba, potwierdziła jego wersję, pokazując mi bilety lotnicze. Byli na festiwalu komiksowym w Barcelonie. Kiedy składał zeznania, wydawał się bardzo poruszony śmiercią Annabel Lee.

Dziękuję, Peña, bardzo pożyteczne informacje – napisałem i uśmiechnąłem się do niego.

Podkrążone oczy i dłoń drżąca jeszcze bardziej niż zwykle pozwalały się domyślać, że ostatnie noce poświęcił na uważną lekturę komiksów zamordowanej artystki.

Ruszyliśmy w pewnej odległości za konduktem. Dostrzegłem kobietę, którą od razu zidentyfikowałem jako jej matkę: była o dwadzieścia lat starszą kalką Any Belén: długie czarne włosy, równo przycięta grzywka opadająca na oczy, czarne skórzane spodnie i kurtka z emblematem klubu motocyklowego Druidesas. Druidki, pomyślałem. Odgadłem, że jest prezeską klubu wyłącznie dla kobiet.

Co ciekawe, Annabel twierdziła zawsze, że jest przeciwieństwem swojej matki, a ja miałem teraz wrażenie, że widzę jej klona. Być może największą z supermocy Annabel była zdolność do samookłamywania się: jeśli coś jej się nie podobało, przekształcała rzeczywistość i bez problemu przyjmowała swoją wyimaginowaną wersję za prawdę, a potem przekonywała do niej innych.

Zdumiało mnie, że na pogrzebie nie było więcej kobiet. Przyszło natomiast trochę mężczyzn w moim wieku, którzy stali dyskretnie na drugim planie. Czy to jej przyjaciele? Byli partnerzy? Nie miałem pojęcia. Wiadomość o jej śmierci nie ukazała

się w prasie ani nie wyciekła w mediach społecznościowych, więc musieli się o niej dowiedzieć innymi kanałami. Jak długo uda się utrzymać tę śmierć w tajemnicy? Kiedy zatęsknią za nią fani?

Staralem się przede wszystkim nie rzucać nikomu w oczy, z daleka patrzyłem, jak ziemia pochłania trumnę Annabel Lee, a dwa posągi sfinksów po obu stronach grobowca uważnie przyglądają się ceremonii.

Wówczas wydarzyło się coś w rodzaju poetyckiego cudu: zaczął padać śnieg i Vitoria znów przemieniła się w białe miasto.

Bardzo powoli, jak nieważkie piórka, pierwsze płatki zimy, która w tym roku wyraźnie się pospieszyła, osiadały na ciemnym drewnie trumny. Padały na moje ramiona, na głowy zdumionych uczestników pogrzebu. Nie była to śnieżycyca, raczej drobny i nieśmiały kaprys pogody, za którego sprawą ogarnął nas dziwny nastrój. Jakbyśmy towarzysząc Annabel Lee w jej ostatniej drodze, na chwilę przejęli jej gotycki sposób patrzenia na życie i śmierć.

Nie zauważyłem nawet, kiedy pojawili się obok mnie J. i Lutxo. J. sprawiał wrażenie, jakby przyszedł prosto z imprezy. Może i zajrzał do domu, żeby przebrać się w garnitur i założyć krawat, ale z pewnością zapomniał wziąć prysznic, bo bijący od niego odór *kalimotxo* mógłby obudzić kilku nieboszczyków.

Lutxo był ubrany jak co czwartek, kiedy wybierał się na *pintxo-pote*^[2]. Zastanawiałem się, czy przyszedł tu jako dziennikarz, czy jako eks Annabel.

Staliśmy tak we trzech naprzeciwko nagrobka.

W końcu nie pochowali cię w mogile nad mórz piana, pomyślałem.

Dwadzieścia cztery lata temu obiecałem sobie, że nigdy się do niej nie odezwę.

I chociaż dotrzymałem obietnicy, teraz czułem w ustach gorycz.

Czy myślicie o tym samym?, chciałem zapytać swoich przyjaciół. Nigdy już nie zakochamy się tak jak wtedy, kiedy mieliśmy po szesnaście lat. Wówczas sądziliśmy, że wszystkie kolejne miłości będą równie intensywne, mocne, przyprawiające o bezsenność, bolesną erekcję i szpileczki na języku. Tak się nie stało. Nie przydarzyło się to żadnemu z nas. Nie było tak jak z nią, kiedy rozdziewiczyła nas czterech, po kolei.

A skoro mowa o czwartym jeźdźcu Apokalipsy, Asier nie pojawił się na pogrzebie.

Natomiast ku mojemu zaskoczeniu pojawiła się Alba, jak zwykle elegancka, w białym puchowym płaszczu kupionym zapewne z myślą o tym, by jak najdłużej ukrywać ciążę. Estíbaliz wyjaśniła mi szeptem, że przyszła w zastępstwie komisarza Mediny, który nie chciał pokazywać się na uroczystości, by nie wzbudzić podejrzeń, że w sprawie tej śmierci prowadzone jest śledztwo. Alba złożyła kondolencje matce

Annabel, po czym ruszyła w kierunku naszej grupki.

Zostawiłem na chwilę swoich przyjaciół, żeby się z nią przywitać. Nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Ten cmentarz zawsze sprawiał, że czułem się zdenerwowany. Ciekawe, czy anioł z grobowca Unzuetów ma z tym coś wspólnego.

– Odwiedzałeś grób Nancha w ciągu ostatnich miesięcy? – zapytała zapatrzona przed siebie.

Pokręciłem głową, nigdy nawet nie zastanawiałem się, gdzie go pochowano. Przez pierwsze dziesięć dni po postrzale znajdowałem się w śpiączce, a potem nie miałem ochoty o nim rozmawiać.

– Jego brat Ignacio odwiedził mnie w szpitalu dzień po jego śmierci – powiedziała i westchnęła. – Tasio przez pierwsze dni był w ciężkim stanie, dlatego jego brat bliźniak zajął się wszystkim. Zapytał, czy chcę zorganizować pogrzeb, a kiedy odmówiłem, poprosił o pozwolenie, żeby pochować go w grobowcu rodziny Díaz de Antoñana, rodu jego matki. Powiedział, że zamierza przenieść matkę do tego grobowca. Wiem, że pochowano go jako Venancia Urbinę, ale nigdy nie byłam na tym grobie. Nie wróciłam też na ulicę Manuela Iradiera.

Ściągnąłem brwi, nie rozumiejąc, o czym mówi.

– Tam mieszkaliśmy z mężem. Dziś nie mogę nawet przejść obok tego budynku. Wspominałam ci już, że moja matka przyjechała z Laguardii, a ja poprosiłam ją, żeby się wszystkim zajęła. Mam nowe ubrania, nowe książki, nowe mieszkanie przy ulicy Prado, nową... nową przyszłość. Ale nadal nie umiem spokojnie przejść ulicą Manuela Iradiera. Nie wiem, jak zdołałam zebrać siły, żeby dziś tu przyjechać. Chyba obowiązki zawodowe sprawiają, że człowiek zmusza się do pewnych rzeczy, których inaczej by nie zrobił.

Miałem jej coś odpisać w odpowiedzi, ale Esti, zwinna jak wiewiórka, stanęła między nami.

– Dzień dobry, pani komisarz. Tu chyba nie mamy już nic do roboty – oświadczyła. – Niewielu przyjaciół, sami faceci. Kiedy próbowaliśmy pytać, uciekali jak nastolatki przed prostytutką... znaczy, no rozumiecie, o co mi chodzi. Chyba nie chcieli, żeby ktoś ich zobaczył. Matka nie wydaje się specjalnie przejęta. Podobno nie utrzymywały kontaktów od dziesięcioleci.

– Dziesięcioleci – powtórzyła zamyślona Alba. – Rzeczywiście, była niezależna. Masz jakieś nowiny, Estíbaliz?

– Właśnie dlatego przyszłam. Chodzi o dawną sprawę, ale jest tak podobna, że włączyła mi się czerwona lampka. Dobrze, że jesteś, Unai, bo chciałabym poznać twoje zdanie. Szukałam podobnych ofiar: młode ciężarne samotne kobiety... Ale skoncentrowałam się też na modus operandi mordercy: powieszenie za nogi, głową

w dół, ręce związane na plecach, brak ran zadanych bronią palną i białą... No i to, że zwłoki zostają znalezione w miejscu mającym historyczne znaczenie.

– I co? – zapytałem wzrokiem.

– Mówimy o bardzo dziwnej zbrodni, budziła zdumienie od samego początku, bo była niepodobna do innych. Sprawy nigdy nie rozwiązano. I chociaż prasa miała swój udział w jej nagłośnieniu, nie odbiła się zbyt szerokim echem w mediach. Natrafiłam na nią, przeglądając nasze bazy danych. W kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku w Kantabrii zaginęła czternastoletnia dziewczynka. Ojciec zeznał, że uciekła z domu i miała problemy psychiatryczne. Wszyscy liczyli, że po kilku dniach ktoś ją odnajdzie albo sama wróci do domu. Tymczasem jakiś anonimowy nadawca wysłał do lokalnego dziennika „El Periódico Cántabro” zdjęcia, których redakcja postanowiła nie opublikować, a odbitki oddać policji. Miejscem zbrodni było...

Fontibre! Nagle przypomniałem sobie tamto śledztwo.

Mimowolnie powiedziałem to słowo na głos, było zniekształcone i bełkotliwe, zabrzmiało jak „Fogibrre”. Omal nie spałem się ze wstydu, kiedy Alba i Estíbaliz podniosły głowy, żeby posłuchać, jak mówię.

– Unai, wraca ci mowa! – wykrzyknęła Estíbaliz radośnie, jakby wygrała właśnie na loterii.

Alba milczała, ale przez ułamek sekundy widziałem na jej twarzy wyraźną ulgę. Przyglądałem się jej trochę dłużej, niżby wypadało, ale naprawdę opadła mi szczęka. Nie spodziewałem się, że tak bardzo się ucieszy.

Nie, Esti, nie wyciągaj pochopnych wniosków. Na razie bełkoczę, ale od poniedziałku zaczynam terapię – napisałem cały w nerwach i podsunąłem jej wyświetlacz telefonu.

Zdjęcia, które pokazała nam Esti w swoim aparacie, przedstawiały dziewczynę zwisającą z grubej gałęzi jesionu, spętaną w kostkach solidną liną.

Jej twarz była częściowo zanurzona w rzece, dłonie skrępowane na plecach. Ktoś, kto robił zdjęcia, poszukał ujęć z rozmaitych perspektyw. Na jednym z nich widoczne były kolorowe wstążki, które bez cienia wątpliwości pozwalały zlokalizować miejsce zdarzenia, Fontibre, mylnie uznawane za źródło rzeki Ebro.

– I wracając do tego, o czym zaczęłam opowiadać: udało mi się skontaktować z inspektorem, który prowadził to śledztwo. Nazywa się Pablo Lanero.

Paulaner, przemknęło mi przez myśl.

Znam go – napisałem na telefonie.

Swego czasu, kiedy robiłem specjalizację z profilowania kryminalnego, odbyłem praktyki w komisariacie w Santander i przypadliśmy sobie do gustu z inspektorem Pablem Lanerem. Inspektor okazał się spokojny i dobronuduszy, a przy tym przenikliwie inteligentny. Jego okrągły brzusek mnicha lubującego się w piwie kazał myśleć o nim jak o nadwornym błaznie; nic bardziej mylnego. On sam ze stoickim spokojem znosił swoją ksywę i robił to, co do niego należało. Budził mój niekłamany podziw. Był tuż przed emeryturą i bardzo się ucieszyłem, słysząc znów jego nazwisko.

– Wiem, Unai, przesyła ci pozdrowienia, przekazał mi też raport dotyczący tego śledztwa. Policja natychmiast po otrzymaniu zgłoszenia pojechała do Fontibre. Znalazła linę przywiązaną do gałęzi drzewa, ale zwłoki zniknęły bez śladu. Ktoś je zabrał. Poszukiwanej dziewczynki nigdy nie odnaleziono, ale jeden szczegół, o którym w raporcie nie ma ani słowa, zjeżył mi włosy na głowie. Opadająca na głowę bluzka odsłoniła brzuch zamordowanej. Czternastoletnia dziewczynka, tak szczupła jak ta na zdjęciach, nie powinna mieć tak dużego brzucha. Na pewno to wczesny etap ciąży. Co wy na to?

Zarówno ja, jak i Alba, z powodów Estíbaliz nieznanymi, myśleliśmy intensywnie o ciężarnych ofiarach i musieliśmy się zgodzić, że dziewczynka ze zdjęć została powieszona za nogi, głowę miała zanurzoną w wodzie i była w ciąży. Dokładnie jak Annabel Lee, chociaż oba zabójstwa dzieliło wiele lat i doszło do nich w różnych prowincjach. Szczególny sposób zabijania praktykowany przez mordercę zwracał uwagę, kiedy zobaczyłem zwłoki Annabel Lee. Z przerażeniem pomyślałem, że dla przestępcy nie był to pierwszy raz.

Nie wiem, czy zostawił ślady albo odciski palców, bo wszystko zmiotła lawina. Nie wiem, czy miał wiedzę z zakresu medycyny sądowej, czy też był partaczem i złapalibyśmy go w kilka godzin, ale jego rytuał był bardzo skomplikowany i doprowadzony do końca ze zbyt dużą wprawą jak na osobę, która zabija po raz pierwszy.

– Masz więcej danych? Nazwisko ofiary? Jej rodziców? Możecie z nimi porozmawiać? Żyją jeszcze?

– Dziewczyna nazywała się Rebeca Tovar Pereda, jej matka zmarła zaledwie kilka lat wcześniej, jej ojciec...

Saúl, pomyślałem przejęty. Saúl Tovar. Kierownik naszego obozu w Cabezón de la Sal, podczas którego rekonstruowaliśmy kantabryjską wioskę w 1992 roku, dziesięć miesięcy przed śmiercią jego biednej córki.

12

WYSPA MAN

2 lipca 1992, czwartek

Unai musiał przyznać, że Annabel Lee traktowała swoje komiksy bardzo poważnie. Dziewczyna przywłaszczyła sobie latarkę czołową zostawioną tu pewnie przez jakiegoś studenta archeologii pracującego na wykopaliskach.

Codziennie około szóstej rano Ana Belén Liaño, a raczej Annabel Lee bardziej niż kiedykolwiek, rozciągała swoje długie ciało na śpiworze w trupie czaszki i w dużym kołnотatniku zaczynała szkicować postacie i wymyślać fabuły.

Codziennie.

Bez względu na to, czy poprzedniego dnia zasiedzieli się po kolacji albo byli na jakiejś imprezie.

Unai, który był skowronkiem i budził się zwykle przed świtem, obserwował, jak walczy czarnymi i szarymi flamastrami na swoim samotnym łóżku oddalonym nieco od tych zajmowanych przez Unaia i kolegów z jego paczki.

– Nie rozumiem, czego szuka w kantabryjskiej wiosce ktoś taki jak ty – szepnął Unai, wypełznawszy ze śpiwora i podszedłszy do Annabel.

– Poluję na krokodyle.

– Trochę za wcześnie, żeby złapać aluzję. O tej porze mów do mnie bez metafor.

– To nie moja metafora, pożyczyłam ją od Angela Zapaty, nauczyciela kreatywnego pisania. Mówił, że w każdej historii ważne są krokodyle, żeby utrzymać uwagę czytelnika.

– Krokodyle?

– Krokodyle. Wyobraź sobie, że rysuję historię, której bohater wchodzi do pokoju hotelowego, rysuję starannie zasłony, komodę, trzymetrowego krokodyla leżącego na łóżku, dywan, lustro... Na co zwróciłbyś uwagę? Jakie pytanie powstanie w twojej głowie?

– Co, do cholery, robi krokodyl w pokoju hotelowym?

– No właśnie, poluję na krokodyle do swoich komiksów. To nie jest mój pierwszy obóz archeologiczny: w zeszłym roku byłam na wykopaliskach na wyspie Man, jeżdżę tam co roku z matką. Mają tam program dla stypendystów z całego świata. To mała wyspa, leży na Morzu Irlandzkim, jest częściowo zależna od Wielkiej Brytanii. Znalaziono tu wiele pozostałości po kulturach Celtów i wikingów. Tam zrozumiałam, że w historii dawnych wieków znajdę całą masę krokodyli do swoich komiksów.

– A dlaczego jeździsz co roku na wyspę Man? – Unai nie przyznał się, że pierwszy raz słyszy o takiej wyspie. Był coraz bardziej świadomy tego, że Annabel, mimo młodego wieku, przeżyła znacznie więcej niż on.

Zmarszczyła brwi i dokończyła cieniować anioła, którego przed chwilą narysowała.

– Moja matka jest prezeską klubu ridersów.

– Ridersów?

– Tak, jeździ na harleyu-davidsonie. Mówi ci to coś?

– Nie wiedziałem, że kobiety też bywają ridersami.

– Niewiele jest prezesek klubów, ale tych kilka to wojownicze babki. Urodziłam się w Vitorii, moja matka nadal ma tam mieszkanie, chodziłam tam do przedszkola, gdzie się poznaliśmy, ale potem z nią i jej klubem zjechałam całą Europę i część Azji. Od stu lat na wyspie Man odbywa się jeden z najniebezpieczniejszych wyścigów na świecie i co roku gromadzi on przedstawicieli różnych klubów motocyklowych. Praktycznie wygląda to jak inwazja. Wyobraź sobie: wyspa ma dwadzieścia dwa kilometry szerokości i pięćdziesiąt dwa długości, ledwo się tam mieścimy – powiedziała znużonym i beznamiętnym tonem.

– Nieźle, ale masz ciekawe życie.

– Nienawidzę go. Mam dość bycia nomadką, chciałabym osiąść w Vitorii i nigdzie się stamtąd nie ruszać. Nienawidzę motocykli, nienawidzę podróży, zapachu benzyny, skór z second-handów, piwa...

– Nienawidzisz wszystkiego, co kojarzy ci się z matką – zauważył Unai, jak zwykle pragmatyczny.

– Otóż to. Mówią, że są dwa rodzaje relacji między matkami a córkami. Jedne chcą być identyczne: klasyczna matka, klasyczna córka, zbuntowana matka i zbuntowana córka. Drugie chcą różnić się wszystkim. Jak moja matka i ja, jesteśmy jak ogień i woda.

– A twój ojciec?

– A mój ojciec to ktoś, o kim nie mam ochoty z tobą rozmawiać. Tak naprawdę to nigdy go nie było – ucięła szorstkim tonem. – Dlatego przyjechałam na ten obóz. Bo płacą. Oszczędzam, a kiedy będę pełnoletnia, uniezależnię się od matki i zostanę

w mieszkaniu w Vitorii. Chcę żyć z komiksów, wcale nie potrzeba tak dużo pieniędzy, żeby przeżyć.

W wieku, w którym Unai wciąż wahał się, czy chce studiować inżynierię, czy zgłębiać tajniki rolnictwa na terenach górskich, Annabel zdążyła już wrócić z podróży i chciała osiąść w mieście. Chłopak zorientował się, że jego trzech przyjaciele przestali chrapać i na pewno przysłuchują się z zainteresowaniem ich rozmowie. Szybko zaszył się w śpiworze.

Annabel znów skupiła się na granitowym aniele stojącym nieopodal klifu.

Rozdzielając zadania przy rekonstrukcji kantabryjskiej wioski, Saúl zlecił J. i Annabel robotę przy okrągłej chatce z epoki żelaza, której brakowało dachu, spędzili więc pierwsze dni kilka metrów nad ziemią. Stali blisko siebie, żeby nie spaść z drabiny, ona podawała mu patyki, które on układał z cierpliwością mrówki, jakby były to łuski ryby.

– Może wzięłbyś jutro ze sobą swój superaparatus fotograficzny? Porobiłbyś trochę zdjęć – zasugerowała Annabel Lee pierwszego dnia po czterech godzinach pracy.

Annabel szybko nudziła się taką dłubaniną; kiedy fantazja była niepotrzebna, cierpliwość kończyła się jej jeszcze szybciej niż pieniądze.

– Już zrobiłem zdjęcia grupowe na pamiątkę – wyjaśnił J., nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi dziewczynie.

– Nie mówię o zdjęciach do albumu. Tutaj pełno jest rozmaitych kształtów i struktur: kłosów zbóż, starych materiałów budowlanych, drewna, ubłoconych rąk. Mówię o zdjęciach artystycznych.

– Nie umiem robić zdjęć artystycznych. Nie mam takiej wyobraźni jak ty.

– Wszyscy mamy wyobraźnię, gadasz jak stary dziad. Nauczę cię kadrowania, ustawiania ostrości i czasu migawki. Pojedziemy kiedyś do Santillana del Mar, na pewno w sklepach z pamiątkami znajdziemy klisze o różnych czułościach, kupimy kilka o grubym ziarnie, czarno-białych. Potem będziesz sam wymyślał kadry, utrwalal gesty, które ci się spodobają. Chodzi tylko o to, żeby wyedukować spojrzenie. Każdy może to robić.

– No dobrze, jeśli mnie nauczysz. – J. szybko podjął wyzwanie.

Było fajnie, naprawdę. Ta cała celtycka wioska, ta dziewczyna. Opowiedziała mu historię swojego przydomku, zachwycił się nią.

I w ten oto sposób J., pod czujnym okiem mentorki i specjalistki od kreatywności, zaczął fotografować wszystko dookoła, nieważne, czy żywe, czy martwe. Jego zły nastrój, depresja, zmartwienia ulotniły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Niebo znów zrobiło się niebieskie, nie było na nim ciężkich chmur, które czekały na niego po powrocie do Vitorii.

Był tak odmieniony tym nagłym przyływem szczęścia, że zauważył nawet istnienie Rebeki, córki Saula. Usiadł obok niej przy stole pierwszego dnia i tak już siadali zawsze.

J. miał wielkie serce i szkoda było mu dziewczynki zagubionej w świecie nastolatków, do którego nie bardzo pasowała. Poza tym była córką Saula, który szybko stał się jego idolem: nauczyciel z poczuciem misji, młody ojciec oddany swojej córce, atrakcyjny facet, który nie zwracał uwagi na pożądlive spojrzenia Annabel Lee i studentek historii Uniwersytetu Kantabryjskiego prawie codziennie odwiedzających obóz.

– Rebeco, jutro pomożesz Annabel i mnie z dachem tej chatki. Utknęliśmy w miejscu i potrzebujemy pomocy ekspertki.

Rebeca, zaskoczona, ale wzruszona, przełknęła ostatni kęs *sobao*, typowego dla regionu biszkoptowego ciasta, które leżało na wspólnej tacy. Nie mogła się doczekać niedzieli, kiedy ojciec przywoził z Cabezón kokosanki, które uwielbiała.

– Jasne, że wam pomogę. W zeszłym roku zrobiłam już kilka dachów – powiedziała pełna wdzięczności i podekscytowana.

Rozpływała się w uśmiechach, a policzki oblały się rumieńcem.

Chyba popełniłam błąd, wygadując się Asierowi, pomyślała wieczorem, zasunąwszy suwak śpiwora po samą szyję, chociaż niewiele jej to dawało. Może powinnam opowiedzieć wszystko J., on mi pomoże. Jego rodzina na pewno ma kontakty, mogliby coś zrobić.

J. myślał o niej z rozczuleniem: Śliczna ta córka Saula. Co za gość, szkoda, że nie jest moim ojcem, miałbym fajną siostrę.

Nadszedł weekend. Zapobiegawczy Saúl postanowił dać im odpocząć od wyrabiania niepalonych cegieł i pokrywania chatek dachem. W sobotę wsiedli do busika i ruszyli do Oñati w Gipuzkoi, na granicy z Álavą. Wszyscy byli wdzięczni za wycieczkę i za chwilę wytchnienia, bo na rękach zaczęły im się już robić pęcherze. Jechali zadowoleni, nie pytając o szczegóły.

Nie powiedział jeszcze Rebecce, że będą zwiedzać jaskinię Sandaili. Nie chciał słuchać jej protestów, nie chciał, żeby robiła sceny. Saúl nie znosił rys na własnym wizerunku.

Posadził ją na siedzeniu obok siebie, zapiął pas i starał się zabawiać rozmową podczas dwugodzinnej podróży.

Krajobraz nie zmienił się zbytnio: nowa zieleń zastąpiła poprzednią, w miejsce

dębów i buków pojawiły się eukaliptusy i sosny. Szosa się zwężała, gałęzie niemal dotykały samochodu. Piękny dzień obiecywał, że zapisze się trwale w pamięci uczestników wycieczki.

– Cieszę się bardzo, że tu ze mną przyjechałaś, córeczko – powiedział Saúl, drapiąc się w brodę, której w wakacje nie golił.

Odпочywał od tego męczącego obowiązku, a gęsty zarost zasłaniał mu rysy twarzy. Zdjął prawą rękę z dźwigni zmiany biegów i położył na jej dłoni.

Spojrzała na tę dłoń, znała ją na pamięć. Patrzyła na nią często: koścista, długa dłoń wykształconego olbrzyma. Rebeca od jakiegoś czasu miała obsesję na punkcie dłoni. Wstydziała się do tego przyznać, ale w głębi duszy klasyfikowała ludzi ze względu na ich ręce.

Jeśli były podobne do dłoni jej ojca, nie lubiła tej osoby.

Jeśli były inne, dawała jej szansę.

Przez ostatnie dni ojciec był tak rozmowny, uroczy, zawsze uważny i otwarty na jej potrzeby. Ona zaś grała rolę rozpieszczonej jedynaczki: pozwalała sobie na kaprysy, a to kup mi książkę, a to zawieź mnie gdzieś. Spełniał wszystkie zachcianki swojej księżniczki.

– Dziękuję za te wakacje, tato. – Wzięła go za rękę i uścisnęła ją mocno. – Naprawdę. Dzięki, że przywiozłeś mnie na ten obóz, tu mam wszystko, czego mi potrzeba.

– Córeczko, nie mogłem postąpić inaczej. Teraz jesteśmy tylko ty i ja. No i ciotka. Nie rób tego więcej, nie zawieź mojego zaufania. Mam tylko ciebie i ciotkę – powtórzył z naciskiem. – Nie możecie mnie opuścić. Ja cię kocham, bardzo cię kocham, maleńka.

Nie jestem maleńka, chciała powiedzieć. Ale się powstrzymała. Odsunęła dłoń.

Następny kawałek drogi przejechali w milczeniu. Rebecę zaniepokoiły znane zakręty.

– Dokąd jedziemy, tato?

– Do jaskini Sandaili.

Rebeca przełknęła ślinę i zaczerwieniła się po koniuszki uszu.

Tylko nie do jaskini Sandaili, Sinobrody. Tylko nie tam – pomyślała spanikowana.

Tylko nie do Sandaili. W tej grocie, pod schodami, po których spływała woda, wszystko się zaczęło.

13

TXAGORRITXU

20 listopada 2016, niedziela

Dwie kobiety, rudowłosa i brunetka, wyszły z niebieskiego pokoju, w którym stary ojciec jednej z nich wydierał się wniebogłosy: „Kraken, Kraken, Kraken!”. Obie starały się robić dobrą minę do złej gry.

To był naprawdę gówniany pomysł, pomyślała Estíbaliz, idąc korytarzem domu spokojnej starości w dzielnicy Txagorritxu.

Pociągnęła za ramię Albę, która udawała przed chorym na alzheimera pacjentem, że nie zwraca uwagi na żenującą sytuację. Przyjaciółki weszły do połyskującej srebrnej windy z poczuciem ulgi, jakby właśnie wyjeżdżały z piekła, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Alba zgodziła się towarzyszyć Estíbaliz w cotygodniowej wizycie w domu opieki. Ojciec w obecności obcych hamował swoje wybuchy złości i Esti miała nadzieję, że tym razem nie będzie musiała wzywać pielęgniarza, żeby zrobił mu przedostatni tego dnia zastrzyk na uspokojenie.

Na schodach prowadzących do wejścia zaczepiła je kobieta, na oko siedemdziesięcioletnia. Na szyi miała długi szal w jaskrawych kolorach. Zaczęła krzyczeć, gestykulując energicznie.

– Nie wierzę, naprawdę nie wierzę! Oszukałaś nas wszystkich! – wołała, wyciągając w stronę Alby oskarżycielski palec.

– Słucham? Mówi pani do mnie? – zapytała zdumiona podkomisarz.

– Tak, do ciebie. Komisarz Salvatierra, prawda?

– Podkomisarz – uściśliła.

– Byłaś na pogrzebie mojego syna, Matea Ruiza de Zuazo, pocieszałaś mnie.

Alba i Estíbaliz przypomniały sobie równocześnie: trzydziestoletnia ofiara, której ciało znaleziono pod niszą Białej Paniienki w czasie uroczystości.

– Zapewniałaś, że złapiesz zbrodniarza, a sama sypiałaś z nim każdej nocy – ciągnęła kobieta, aż kipiąc z wściekłości. – Jak to się stało, że cię nie zamknęli?

– Bo nie jestem niczemu winna, proszę pani – odparła Alba spokojnie.

Ktoś musiał zachować zimną krew w tej sytuacji.

– A sędzia ci uwierzył?

– Nie byłam podejrzana, nie postawiono mi żadnych zarzutów. Nie miałam pojęcia o przestępczej działalności męża. Rozumiem pani ból, ale...

– Takie gadki zachowaj dla siebie. Dopóki nie stracisz dziecka, nie zrozumiesz, co czuje matka.

Alba policzyła do dziesięciu i pomyślała o domu z wieżyczką w Laguardii, z którego okien patrzyła na góry Unaia.

– Przykro mi, że tak to pani postrzega, ale udało mi się ustalić tożsamość mordercy pani syna i zapłaciłam za to bardzo wysoką cenę, może mi pani wierzyć.

– Bzdury, musiałaś wiedzieć. Żony morderców zawsze robią z siebie idiotki. Nikomu nie uda się zabić dwudziestu osób w tajemnicy przed partnerem.

Nie myśli racjonalnie, powtarzała sobie Alba. To nic osobistego. Po prostu znalazła się blisko żony zabójcy syna. To nic osobistego.

– Jeszcze raz powtarzam, przykro mi, że tak to pani widzi. Miłego popołudnia – pożegnała się stanowczo, uznając rozmowę za skończoną.

Zostawiły za plecami kobietę w jaskrawym szalu i wyszły do ogrodu. Na gałęziach sosen leżały jeszcze resztki porannego śniegu. Estíbaliz i Alba bez słowa skierowały się do ławki pomalowanej na zielono całe wieki temu, ukrytej przed ciekawskimi spojrzeniami mieszkających tu staruszków.

– Pierwszy raz zdarza ci się coś takiego? – zapytała nieśmiało Estíbaliz.

– Nie przejmuj się tym. Posiedźmy tu sobie chwilę, muszę ochłonać po tych emocjach. To będzie trudniejszy miesiąc, niż przypuszczałam.

Estíbaliz pokiwała głową i usiadła obok niej. Długo milczały, w końcu Alba postanowiła zapytać o coś, co najwyraźniej nie dawało jej spokoju.

Praca zmuszała ją do poruszania delikatnych tematów na co dzień, wiedziała, że Estíbaliz wytrzyma to „przesłuchanie”.

– Esti, twój ojciec cię bił, prawda?

Rudowłosa kobieta zaczęła wiercić się na ławce. Wyciągnęła rękę, zerwała szyszkę z najbliższej sosny. Obracała ją w palcach, żeby uspokoić nerwy. Zawsze to samo. Długopis, gumka do włosów, nie potrafiła mówić o tym spokojnie.

– Tak bardzo to widać? – zapytała w końcu.

– Nie dotykasz go, sztywniejesz w jego obecności, wciąż się go boisz. Widziałam to u wielu ofiar.

– Nie jestem ofiarą – zaprotestowała. Ileż razy powtarzała to sobie przed lustrem! – Mój stary ma alzheimera, mogę go obezwładnić w trzy sekundy. Nie boję się go.

GORLIWE zapewnienia przyjaciółki nie zrobiły na Albie wrażenia.

– Dlatego wybrałaś wiktymologię?

Estíbaliz w końcu się poddała. Otworzyła małe okienko w grubym murze, za którym się kryła.

– Chciałam się dowiedzieć, co uczyniło ze mnie ofiarę, żeby już nigdy nią nie zostać. Żeby żaden inny mężczyzna już nigdy nie zrobił ze mnie ofiary.

Alba położyła jej delikatnie dłoń na udzie, jakby chciała powiedzieć przyjaciółce: nie bój się. Wysłucham cię, nie musisz się przede mną wstydzić. Dotyk Alby przynosił ulgę, jakby była uzdrowicielką.

– Wiesz – odezwała się Estíbaliz po chwili namysłu – choćbyś nawet urodziła się z silną, niezależną osobowością, która nie pozwoli na złe traktowanie, bicie, molestowanie... w dzieciństwie twarda rzeczywistość jest nie do przewyciężenia. Kiedy jesteś dzieckiem i ważysz dwadzieścia kilo, dorosły mężczyzna zawsze ma nad tobą przewagę. I ciągle myślę o tym, że to się dzieje codziennie. Myślę o przemocy w rodzinie, o niezgłaszanych nadużyciach, czasem za milczącym przyzwoleniem matek, które odwracają wzrok. Jak te dzieci, słabsze fizycznie, mają nie stać się ofiarami? To niemożliwe, nie mogą nic na to poradzić. Takie dzieciństwo zostawia ślady w psychice osób, które w innych okolicznościach nie wykazywałyby patologicznych skłonności.

Alba pokiwała głową ze zrozumieniem. Temat patologicznych skłonności był jej aż nadto bliski.

– Twój były narzeczony, Iker... To był porządny facet, nie?

– Muchy by nie skrzywdził.

– Wybrałaś go, bo czułaś się w tym związku bezpiecznie, bo wiedziałaś, że nigdy nie podniesie na ciebie ręki, prawda? Szukałaś obrońcy.

– Jesteś psychologką?

– Wszyscy w tej pracy jesteśmy trochę psychologami.

– Więc sama sobie odpowiedziałaś na pytanie – przyznała.

– Ale kilka miesięcy temu zerwałaś z nim. Poczułaś się dostatecznie silna.

Estíbaliz przytaknęła i dotknęła bezwiednie srebrnego wisiora z *eguzkilorre*.

– Tak, kiedy zginął mój starszy brat Eneko. On chronił mnie przed ojcem, przy okazji wprowadził mnie w świat narkotyków i innych używek, od których się uzależniłam. Ale właściwie byłam uzależniona od niego, od mojego brata, nie od substancji, które mi podsuwał. Dlatego od jego śmierci ani razu nic nie wzięłam i jestem

pewna, że tego nie zrobię, chociaż Unai wciąż jeszcze w to nie wierzy. Nie rozumie, że ćpałam przez Eneka, bez niego narkotyki dla mnie nie istnieją. Jestem czysta, wolna od Eneka. Jego śmierć oddzieliła mnie od niego, od potrzeby, żeby ktoś mnie chronił, dlatego zerwałam z Ikerem kilka tygodni później. Uświadomiłam sobie, że jestem dorosła, że moja praca, moje doświadczenie uczyniły ze mnie dojrzałą osobę. Zobacz tylko: mam zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu, nigdy nie będę silna jak mężczyzna, byle zatrzymany może mnie pobić, ale nie ma już faceta, który waży pięćdziesiąt kilo więcej ode mnie, wyzywającego się na mnie, jeśli nie zjadłam na śniadanie spleśniałych herbatników.

– Ale wciąż wybierasz dobrych facetów, jak Unai. Od niego się nie uwolniłaś, prawda? Nadal go kochasz?

Szyszka wypadła Estíbaliz z rąk. Alby nie dało się oszukać.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała tylko.

– Kiedy twój ojciec cię bił, wołałaś Krakena, wołałaś go, żeby przyszedł ci z pomocą, dlatego twój ojciec zapamiętał tę ksywkę. Tak naprawdę pamięta, jak ty go wzywałaś.

– Tak. Wołałam go, to był dla mnie jedyny wentyl bezpieczeństwa, wydawało mi się, że wszystko miało wtedy szybciej. Ale nigdy nie oczekiwałam, że mnie uratuje. To, co do niego czuję, nie miało z tym nic wspólnego.

Nie była zazdrosna o Albę, nie postrzegała jej jako rywalki, raczej jako przyjaciółkę, której może wyznać prawdę.

Prawdę, czyli co? Wszystko, chciała wreszcie opowiedzieć o tym komuś, kto jej nie potępi.

– Unai jest moją miłością, miłością mojego życia, jedynym facetem, w którym jestem zakochana, odkąd skończyłam trzynaście lat, a Eneko i Lutxo zaczęli razem chodzić w góry i czasem dołączał do nas Unai. To były czasy podwójnego zabójstwa w dolmenie.

Kiedy twój mąż zaczął zabijać dzieci, pomyślała Esti, ale nie powiedziała tego na głos. Uważała Albę za jeszcze jedną ofiarę Nancha.

– Unai miał wtedy dwadzieścia lat – ciągnęła, obracając w dłoniach nową szyszkę – nie mógł się mną zainteresować. Próbowалаm go nie kochać, wiele razy, zwłaszcza kiedy zaczął się spotykać z Paulą, jedną z moich najlepszych przyjaciółek. Czułam się źle w ich towarzystwie, chciałam usunąć się w cień. Kiedy ona zginęła w wypadku, też chciałam umrzeć. Patrzyłam na ból Unaia, na to, jak ten okropny wypadek zupełnie go załamał, jak przeżywał to, że upragnione dzieci nigdy się nie urodzą. Chciałam umrzeć, kiedy patrzyłam, jak cierpi. Uratowaliśmy go wszyscy, jego dziadek, Germán, paczka przyjaciół, spokojne życie w Villaverde... Pozwolił sobie pomóc i znalazł w nas

wsparcie. Dlatego wiem, że afazja Broki go nie pokona. To już nie pierwsze ciosy w jego życiu. Udało mu się wytworzyć pancierz, jak jego dziadkowi. Unai dożyje stu lat, a kiedy przejdzie na emeryturę, przeprowadzi się na ukochaną wieś. Nic go nie pokona.

Alba uśmiechnęła się i przyciągnęła Esti do siebie. Ona zaś oparła głowę na jej ramieniu.

– Zawsze to czułam – powiedziała w końcu Alba. – A Unai? Wie o tym?

– To facet, niczego się nie domyśla. – Estibaliz uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– To prawda, jest taki... niewinny. Pewnie dlatego tyle dla nas znaczy, prawda? Nigdy umyślnie nie zrobiłby nam krzywdy – przyznała Alba.

– Tak, chyba właśnie dlatego. Ale mam nadzieję, że to nie zrujnuje naszej przyjaźni. Powiedz, że nie, proszę! Szczerze nie znoszę stereotypu o kobiecej rywalizacji.

– Ty o niego dbasz, on dba o ciebie. Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką można sobie wymarzyć. Chcę, żebyś nadal była obecna w jego życiu, kochała go tak, jak go kochasz. Poza tym ja nie mam w tej sprawie nic do gadania. Myślę, że jesteś dla niego kimś więcej niż przyjaciółką, jesteś jak siostra.

– Tak, zawsze wiedziałam, że jestem dla niego przezroczysta. – Estibaliz westchnęła, słysząc śmiech Alby. – Byłam niezmiennie poza zasięgiem jego zainteresowań. Kiedy poznał Paulę, opowiadał mi, jak próbuje ją podrywać, Paula robiła to samo. Szaleli za sobą, a ja byłam w środku, jako powierniczka, przyzwoitka, świadek na ślubie. Ale wiesz co? Zapisalam się do szkoły policyjnej Arkaute z jego powodu, żeby być obok codziennie aż do emerytury. Codziennie. Spędzałam z nim więcej czasu niż Paula, zdradzał mi tajemnice, z których jej się nie zwierzał. To był mój wybór, Kocham go tak bardzo, że nawet nie poszłabym z nim do łóżka, bo bałabym się, że go stracę. Widuję go codziennie, mogę dzwonić do niego o każdej porze dnia i nocy, czuwać przy jego szpitalnym łóżku, jeść z nim śniadanie i obiad. Mam obok siebie człowieka, którego Kocham, i tak będzie przez całe życie. Uwierz mi, to więcej niż nagroda pocieszenia.

– Zasłużyłaś sobie na wszystko, co masz. Oboje jesteście dobrymi ludźmi, dbacie o siebie nawzajem. Wiem, że jeśli któregoś dnia mnie zabraknie, ty zostaniesz przy nim i będziesz się nim opiekować.

– Ale dlaczego miałoby cię zabraknąć, o czym, do cholery, mówisz?! Jesteś chora? – Estibaliz nie potrafiła ukryć zdenerwowania.

– Nic mi nie jest, po prostu myślałam głośno – uspokoiła ją Alba. – I już może wystarczy gadania o facetach, miałyśmy przecież o nich nie rozmawiać. Zmieńmy temat, dobra?

– Ale skoro już zaczęłyśmy serię wyznań, chciałabym cię o coś zapytać jako

szefową, ale obiecaj, że się nie pogniewasz.

– Pytaj śmiało. Co cię gryzie, Esti?

– Nigdy nie zapytałaś o moje uzależnienie, a wiem, że są o tym wzmianki w papierach.

– Mam na ciebie oko. Jeśli zobaczę, że zjawisz się w pracy pod wpływem, wezwę cię na dywanik i zapewniam, że nie będę tego tolerować. Ale skoro już masz skłonność do uzależnień, wolę zawalić cię pracą i powierzyć tyle zadań, żebyś nie miała czasu nawet o tym pomyśleć.

– Dlatego powierzyłaś mi tę sprawę?

– Zleciłam to śledztwo tobie, bo na pewno będzie skomplikowane. Masz wsparcie i nie zawahaj się z niego korzystać. Nie wypal się jak Unai, nie miej oporów przed delegowaniem obowiązków, dobrze?

– Tak jest!

Z wdzięcznością przyjmowała rady. Kierowanie w pojedynkę tak trudnym dochodzeniem wydawało się jej zadaniem ponad siły.

– W każdym razie sędzę, że trzeba jakoś skanalizować tę energię, której masz za dużo. Myślałam o wiktymologii. Chciałabym zaangażować cię w projekt zapobiegania przemocy w rodzinie. Od dawna zastanawiam się nad tym, może mogłybyśmy razem go stworzyć? – zaproponowała Alba.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Jednostkę, której zadaniem byłoby zapobieganie przemocy wobec dzieci. Odwiedzałybyśmy szkoły, zaczynając od Álavy. Mam odpowiednie stanowisko i kontakty. Uczułybyśmy na przemoc i nadużycia, których ofiarą padają dziewczynki i chłopcy we własnych domach i na zajęciach dodatkowych. Wychowywałybyśmy chłopców tak, żeby nie wyrastali na zazdrosnych zaborczych mizoginów, umacniałybyśmy dziewczynki w ich poczuciu własnej wartości, żeby nie pozwalały na nadużycia. Pogadanki w liceach, kursy samoobrony... Co o tym sądzisz?

Estibaliz uśmiechnęła się, myślami była zupełnie gdzie indziej. W swoim domu u podnóżu Gorbei. Dziewczynka, którą kiedyś była, też się do niej uśmiechnęła. Już nigdy nie będzie musiała wzywać na pomoc Krakena.

14

PLAŻA PORTÍO

21 listopada 2016, poniedziałek

Wyruszyliśmy z Estibaliz do Kantabrii wcześnie rano. Tego dnia mieliśmy złożyć dwie wizyty.

Prowadziła moja partnerka. Ja wprawdzie czułem się za kierownicą coraz pewniej, siadałem za nią od pierwszego tygodnia, kiedy wyszedłem ze szpitala i przenieśliśmy się do Villaverde. Nie mogłem mówić, ale za nic w świecie nie chciałem być ciężarem dla Germana i dziadka, więc codziennie brałem outlandera i wzbijałem tumany kurzu na rzadko uczęszczanych drogach pomiędzy Villaverde i Villafría. Miałem osłabioną prawą rękę i zmienianie biegów sprawiało mi trudność, na szczęście, jak to zwykle bywa w przypadku czynności zautomatyzowanych, praktyka dawała dobre efekty.

Nie czułem się jednak jeszcze gotowy na dalsze wypadki, więc poprosiłem Esti, żeby wzięła nasz służbowy wóz.

Wpisałem do GPS-a lokalizację Kantabryjskiego Muzeum Archeologicznego, którego właścicieli znałem. Chciałem porozmawiać z Hectorem del Castillo, historykiem odpowiedzialnym za tę prywatną placówkę.

Tasio na zbyt wiele lat wypadł z zawodowego obiegu, żeby udzielić mi informacji, których potrzebowałem. Wiedziałem, że na Hectora mogę liczyć.

Zawsze mi pomagał.

Ufałem mu.

Zamierzaliśmy też spotkać się z inspektorem Pablem Lanerem, alias Paulanerem. Musieliśmy przekazać mu nowe informacje i ustalić, w jaki sposób będziemy współpracować przy tym dochodzeniu.

Ruszyliśmy w kierunku Bilbao, minęliśmy Castro Urdiales i Laredo, w Asillero pojechaliśmy wzdłuż brzegu zatoki Santander, a w Santa Cruz de Bezana skręciliśmy na Liencres.

Wreszcie dotarliśmy na plażę Portío na Costa Quebrada, do miejsca, które znałem aż za dobrze. Prawie na samym skraju stromego klifu stał imponujący czerwony budynek.

Swego czasu, a dokładnie w XIX wieku, służył on za siedzibę markizowi de Mouro, który zbił fortunę w Ameryce Południowej.

Estíbaliz zaparkowała przy porośniętej murawą esplanadzie i niezwykle podekscytowana wyskoczyła z samochodu. Wiał silny wiatr, ale widok klifu jakby ściętego siekierami i skał sterczących z wody kilka metrów od nabrzeża zapierał dech w piersi.

– Wow! – wykrzyknęła moja partnerka, zatrzymując się na krawędzi urwistego brzegu.

– Tak – powiedziałem.

To było słowo łatwe do wymówienia, jedna sylaba, brak skomplikowanych spółgłosek.

Esti spojrzała na mnie z zadowoleniem, cieszyła się z moich postępów, choćby nie wiem jak drobnych.

Mimo dokuczliwych podmuchów wiatru, zbyt ciepłego jak na listopad, przyjemnie było wdychać zapach morskiej soli. Deszcz wisiał w powietrzu, w każdej chwili mogło się rozpadać.

Poczułem się nieco przytłoczony nadmiarem wspomnień, wspomnień z tego wybrzeża i wakacji, tak kiedyś dla mnie ważnych. Miałem swoje porachunki z bogiem tego morza, od dwóch dekad zdecydowanie unikałem wchodzenia tu do wody. Morze Kantabryjskie pozostało dla mnie zdradzieckie i niebezpieczne. Starłem się, żeby Estíbaliz niczego nie zauważyła.

Nie wiedziała.

Nie wiedziała o niczym.

Nigdy jej o tym nie opowiedziałem.

I bardzo się zdenerwowałem, usłyszawszy, że Lutxo podzielił się osobistymi szczegółami z tego wyjazdu z Enekiem alias Eguzkilore.

Wkrótce obok naszego auta zaparkował drugi samochód i z pewnym trudem wygramolił się z niego Paulaner. Sporo przytył, odkąd widziałem go ostatnio, i sprawiał wrażenie jeszcze bardziej niezdarne. Zapuścił długą brodę, bez wąsów, otaczającą całą żuchwę, co uczyniło go jeszcze podobniejszym do mnicha z etykiety piwa.

– Mój drogi Unai – przywitał się wylewnie, obejmując mnie. – Jak się cieszę, że znów cię widzę.

Zrobiłem minę pod tytułem „ja też”, a inspektor spojrzał na mnie smutno.

– Ach, zapomniałem, nie możesz mówić. Słyszałem o tym, no tak. Tak mi przykro, chłopcze. Tak mi przykro.

Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się. Denerwowało mnie, że moja niepełnosprawność bolała ludzi, dla których byłem ważny. Ciągłe przypominało mi to, jakim jestem tchórzem, bo przez długie tygodnie nie zrobiłem nic, aby odzyskać mowę.

– Inspektor Gauna. – Estíbaliz wyciągnęła rękę na powitanie.

– Bardzo mi miło. Niech się pani dobrze opiekuje partnerem, tutaj bardzo go cenimy – powiedział i poklepał ją po plecach tak mocno, że prawie się przewróciła.

– Staramy się, panie inspektorze. Bardzo się staramy – odpowiedziała z uśmiechem.

– Chodźmy porozmawiać z Hectorem del Castillo. Bardzo jestem wam wdzięczny, że rozwiązaliście sprawę zniknięcia kotła z Cabárceno. W prasie ukazały się tylko dyskretne wzmianki o kradzieży, ale gdyby tak ważny eksponat się nie odnalazł, nasi szefowie rzuciliby nas lwom na pożarcie.

– Prawdę mówiąc, wolelibyśmy go odnaleźć w innych okolicznościach – rzuciła Estíbaliz. – Zobaczymy, do czego to nas doprowadzi. I dziękuję koledze za raport w sprawie zabójstwa tej dziewczyny w Fontibre.

– Od tego jesteśmy. – Podrapał się po brodzie z dobrodusznym uśmiechem.

– Tak czy siak, zobaczymy, czy Héctor del Castillo wyjaśni nam to i owo – rzuciła Esti.

Przekroczyliśmy próg odrestaurowanego budynku i ruszyliśmy po schodach na czwarte piętro. Dzień wcześniej wysłaliśmy Hectorowi wiadomość, a on odpowiedział nam, jak zwykle uprzejmie.

Kiedy weszliśmy do pokoju, stał odwrócony plecami, zapatrzony w piękne widoki rozciągające się z okna jego gabinetu. Był to mężczyzna niewysoki, o jasnobrązowych włosach i oczach, kwadratowej szczęce i spokojnym usposobieniu. Zawsze długo zastanawiał się nad odpowiedzią i niełatwo było wytrącić go z równowagi. Wiedziałem, że jest ekspertem w swojej dziedzinie, i bardzo zależało mi na jego opinii na temat tego, co zastaliśmy w tunelu San Adrián.

– Dzień dobry, inspektorze Lanero – przywitał Paulanera z uśmiechem. – Inspektorze Ayala, nawet pan nie wie, jak bardzo się cieszę z naszego spotkania. Witamy z powrotem u nas, stęsknił się pan za nami?

Uścisnęliśmy sobie dłonie, a ja pokiwałem głową.

Chyba nie wiedział o mojej afazji, na szczęście moja partnerka przysłała z odsieczą, zanim sytuacja stała się kłopotliwa.

– Inspektor Estíbaliz Ruiz de Gauna. Kieruję dochodzeniem, które okazało się powiązane ze zniknięciem eksponatu z tego muzeum, kotła z Cabárceno. Inspektor Ayala pracuje teraz dla nas jako biegły, bo wciąż cierpi na afazję po postrzale, którego ofiarą padł, kiedy prowadził ostatnie śledztwo. Dlatego panu nie odpowiada.

– Możecie mi mówić na ty, nie jestem taki stary – zaproponował i poprosił, żebyśmy usiedli na krzesłach stojących przy ogromnym biurku z drewna orzechowego, sam zaś zajął miejsce na skórzanym fotelu. – Jeśli chodzi o sytuację inspektora Ayali, nie jest mi ona obca, chociaż wczoraj wolałem nie poruszać tematu. W ostatnich miesiącach trudno było jednak uciec od medialnego szumu wokół zbrodni popełnionych w Vitorii. Jak będziemy się komunikować, inspektorze?

Ja piszę na ekranie telefonu, pokazuję ci, co napisałem, ty odpowiadasz – wystukałem, a Héctor się uśmiechnął.

– A więc masz protezę – wymamrotał. – No dobrze.

– W piątek nasz komisariat skontaktował się z tobą i dyrektorem Muzeum Prehistorii, żeby poinformować, że odzyskaliśmy skradziony eksponat. Wiem, że nasi technicy kryminalistyki i Brygada do spraw Dziedzictwa Historycznego współpracują ze sobą, żeby go wam zwrócić, jak tylko komisariat uzyska wszystkie dane potrzebne do naszego dochodzenia. Niestety, kocioł będzie wymagał renowacji – zaczął Paulaner.

– Wiem – wtrącił Héctor.

– Inspektor Lanero przesłał nam raport z twoimi zeznaniami, nie będziemy więc powtarzać pytań – odezwała się moja partnerka. – Rozumiem, że eksponat był wystawiany u was w ramach wystawy czasowej poświęconej kulturze celtyberyjskiej na wybrzeżu kantabryjskim. W sali, w której się znalazł, nie ma kamer nadzoru. Wiem, że policja przejrzała nagrania z kamer przy wejściu do budynku, ale nie znaleziono na nich nic podejrzanego, tylko zwyczajny ruch zwiedzających i pracowników.

– Tak jest. To muzeum zostało stworzone wysiłkiem naszej rodziny i finansowane jest z majątku mojego nieżyjącego brata Jaira del Castillo, który był znanym mecenasem sztuki. Ale musicie wiedzieć, że nie dysponujemy takimi funduszami jak państwowe muzea, dlatego nasze zabezpieczenia są skromniejsze. Mamy kamery nadzoru przy wejściu i personel, który pilnuje porządku za dnia. W nocy w muzeum nikogo nie ma, nigdy wcześniej nie było to potrzebne. Bardzo się zmartwiłem, że ukradli nam właśnie ten eksponat, bo wypożyczyliśmy go na wystawę z Muzeum Prehistorii Kantabrii i znaleźliśmy się teraz w bardzo niewygodnym położeniu. Oczywiście to ogromna ulga, że go odzyskaliście, ale skoro złożył mi wizytę Wydział Kryminalny z Vitorii, boję się myśleć o okolicznościach, w jakich został odnaleziony. Rozumiem, że o tym chcecie ze mną porozmawiać, prawda?

Pokiwałem głową, przed Hectorem trudno było coś ukryć. Jego panoramiczna wizja zdarzeń zawsze mi imponowała.

– To, o czym będziemy rozmawiać, jest poufne. Udzielimy ci informacji, które nie są przeznaczone do wiadomości publicznej. Sędzia nadzorujący postępowanie

przygotowawcze postanowił utajnić śledztwo.

– Doskonale rozumiem, możecie liczyć na moją dyskrecję. Do czego użyto kotła? – zapytał i westchnął, jakby domyślał się odpowiedzi. – Do rytuałów wody?

– Co takiego? – zdumiała się Estíbaliz.

– Pytałem, czy kocioł został użyty do jakiegoś rytuału, w którym ważną rolę odgrywa woda.

Nie wiemy, czy odbył się jakiś rytuał, ale w pobliżu kotła znaleźliśmy zwłoki – napisałem i pokazałem mu wyświetlacz.

– Powieszona za kostki, może na gałęzi drzewa?

– Zgadza się – przyznała Estíbaliz, równie zaskoczona jak ja.

Paulaner zaczął wiercić się na krześle.

Héctor spojrzał na nas zatroskany i wstał z fotela. Na uginających się pod ciężarem opasyłych tomów półkach znalazł atlas archeologiczny i otworzył go na stronie z kolorową fotografią przedstawiającą naczynie podobne do kotła z Cabárceno, ale misterniej zdobione.

– To kocioł z Gundestrup znaleziony w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku w Danii. Spójrzcie na ten relief, przedstawia on Taranisa, boga ojca, zanurzającego głowę wojownika w kotle.

Postać większa od innych trzymała za nogi mężczyznę, próbując zatopić człowieka w naczyniu.

Héctor przewrócił stronę i pokazał nam inny podobny motyw: trzymającego dwa kotły.

– Jeśli chcecie bliższego przykładu, spójrzmy na diadem z Moñes znaleziony w Asturii w dziewiętnastym wieku. To również dzieło sztuki z kręgu kultury celtyckiej, w tym wypadku z kręgu kultury castro: trzeci – pierwszy wiek przed naszą erą. To były rytę przebłagalne związane z płodnością. Woda jest symbolem nasienia, z którego powstaje życie.

– Czy ma to coś wspólnego z kultem Trzech Matron?

– Oczywiście. Ów kult był bardzo rozpowszechniony na terenach pozostających pod wpływem celtyckim, także tutaj, na wybrzeżu kantabryjskim. Potem przejęli go Rzymianie, o czym świadczą późniejsze stele wotywnie.

– Czy to, że podobny rytuał odprawiono w tunelu San Adrián, może mieć jakieś znaczenie?

Héctor zastanawiał się przez chwilę.

– Należy pamiętać, że pierwotna pustelnia, nie ta aktualna, nosiła nazwę Świętej Trójcy, czyli Santísima Trinidad, co Baskowie wymawiali jako Sandrati lub Santatria i w wyniku pomyłki pisarskiej jakiegoś skryby zmieniła się ostatecznie w San Adrián. Mamy więc triadę, jak w wypadku Trzech Matron... Tak, to odpowiednie miejsce. Znowu występuje symbol trójcy, bardzo ważny dla kultury celtyckiej. Tam, gdzie zaczyna się Álava, odkryto również prehistoryczny grobowiec nazywany Wzgórzem Szubienicy, gdzie wieszano zbójców, którzy grasowali w tych tak uczęszczanych okolicach, stąd nazwa Granica Złoczyńców. Poza tym ten tunel ma wodne połączenia z innymi miejscami, gdzie znaleziono ołtarze poświęcone Trzem Matronom, na przykład w Zegamie.

– Tak – powiedziałem głośno.

Słowo zabrzmiało okropnie piskliwie, więc czym prędzej dopisałem resztę odpowiedzi:

Wiedzieliśmy o tym.

Héctor udawał, że nie zwrócił uwagi na moje rozpaczliwe próby wokalizacji.

– A Fontibre? – zapytała Estíbaliz. – Czy byłby to dobry wybór miejsca na podobny rytuał?

– Fontibre, Fuentes Iberis? Nazwę miejscowości ukuł Pliniusz Starszy, który uważał, że rzeka Ebro ma tu swoje źródło. Jeszcze raz: woda, nimfy, celtyckie boginie... Przekonanie o świętości tych wód, jak zapewne wiecie, przetrwało do dziś w postaci kultu maryjnego: wierni wciąż wiążą kolorowe wstążki w okolicach źródła rzeki. Przypuszczam, że dawne rytuały nie różniły się zbytnio: Celtowie również wieszali na drzewach kolorowe wstążki obok ofiary.

Ja cały czas zastanawiałem się nad sensem słów: „ryty przebłagalne”.

Hectorze – napisałam – jest jeszcze jeden szczegół, którego nie znasz. Obie kobiety, w San Adrián i Fontibre, były w ciąży. Nie pasuje mi to do rytuału przebłagalnego, który ma zapewnić płodność.

Posmutniał, w jego orzechowych oczach ujrzałem cień strachu.

– W ciąży? Na Boga... W takim razie natura rytu jest zupełnie inna. Powiedzieliście, że ofiary powieszono, i chociaż upieracie się nie zdradzać szczegółów, domyślam się, że ich głowy zanurzone były w wodzie: w kotle albo, w przypadku Fontibre, w rzece. Muszę zadać jeszcze jedno pytanie: czy zostały też spalone?

– Spalone? Nie, z tego, co wiem, to nie. Ale jeszcze nie znamy wyników autopsji. Ale czemu pytasz, Hectorze? Dlaczego ci to przyszło do głowy?

Héctor znowu wstał, jego niepokój zaczął udzielać się i mnie.

– Bo wtedy mielibyśmy do czynienia z celtyckim obrzędem potrójnej śmierci zwanej *Treefols death*: polegała ona na utopieniu ofiary, powieszeniu jej i spaleniu. Istniały różne wersje tego obrzędu. Musicie to przeczytać. – Podsunął nam książkę oprawioną w skórę i tak sfatygowaną, że zastanawiałem się, jak dawno została wydana.

Estíbaliz pochyliła się nad nią z ciekawością.

– Hectorze, to po łacinie. Nic z tego nie rozumiem – powiedziała.

– Bardzo przepraszam, nie pomyślałem o tym – sumitowałem się całkiem szczerze. – To *Farsalia* Lukana z pierwszego wieku naszej ery. Posłuchajcie tego fragmentu:

I ci, co okrutnego krwią srogą czczą Teutata,

I co Esusa straszego dzikimi czczą ofiarami,

I Taranisa ołtarz, nie lepszy niż ów scytyjskiej Diany[3].

W ofierze dla Teutatesa topiono człowieka, zanurzając jego twarz w kotle z wodą. Na cześć Esusa wieszano go na drzewie. A na cześć Taranisa palono żywcem, zamykając w łatwopalnym manekinie wykonanym z suchych roślin. Nie wiem, czy słyszeliście o filmie z Christopherem Lee *Kult*, który wszedł na ekrany w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku i doczekał się remake'u w dwa tysiące szóstym. Film opowiada o kulcie, który dotrwał do naszych dni, polegającym na składaniu ofiar z ludzi. Wszystko odbywa się zgodnie z celtyckim rytmem: podpala się człowieka w wielkim manekinie z łatwopalnych gałęzi i trzciny.

– Myślisz, że sprawcy wyznają jakiś neopogański kult, należą do sekty inspirowanej się kulturą celtycką?

– Zdecydowanie nie. Od siedemnastego wieku mamy wprawdzie do czynienia z pojawieniem się nacjonalizmów celtyckich w całej Europie, powstają ciągle nowe stowarzyszenia czy grupy rekonstrukcyjne, ale nie słyszałem o żadnych sektach tego typu w ciągu ostatnich lat, na pewno nie na Półwyspie Iberyjskim. Poza tym chyba nie potrzeba organizacji, wystarczy zabójca, dla którego ten rytuał będzie oznaczał karę, zabójca, który czytał trochę klasyków, spotkał się z pojęciem celtyckiej potrójnej śmierci, a wybór miejsca, no cóż... San Adrián i Fontibre są bardzo ważne dla okolicznych mieszkańców. Od dawien dawna. Zawsze odbywały się tam obrzędy, modlitwy, nabożeństwa. Zbyt wiele kultur, zbyt wiele następujących po sobie religii, by wam je tu wymieniać. Tak często bywa z miejscami kultu, pozostają święte, mimo że zmieniają się religie. Potrójna śmierć to rytuał zakorzeniony w bardzo starej tradycji praindoeuropejskiej, wcześniejszej niż epoka brązu. Przetrwał w wyobrażeniach celtyckich, dotarł do Iberii przez Atlantyk i rozgościł się w tradycji literatury ludowej

w Galicii, Asturii, Kantabrii, zresztą nie tylko tu. Motyw pojawia się w średniowiecznej literaturze irlandzkiej, wspomina się o nim w cyklu arturiańskim czy w *Księdze dobrej miłości* Juana Ruiza. W skrócie: istniała ciągłość, motyw przechowała literatura ustna, na której bazowała później literatura pisana.

Odwrócił się do nas, a my słuchaliśmy, skupieni na każdym słowie.

– Słyszeliście kiedyś o mumiach z bagien?

– Nie – powiedziałem i pokręciłem głową.

– W zamkniętym świecie dziewiętnastowiecznej archeologii nie mówiono o niczym innym. To była epoka, kiedy prowadzono już wykopaliska coraz bardziej profesjonalnie. Zbiegło się to w czasie z drenowaniem podmokłych terenów, torfowisk. I zaczęto odkrywać mumie, dzięki kwaśnemu środowisku mokradeł zachowane w doskonałym stanie. Pojawiły się w torfowiskach i bagnach wilgotnych rejonów Europy: Irlandii, Holandii, Danii, Wielkiej Brytanii... Może kiedyś obito się wam o uszy coś o Człowieku z Tollund albo Człowieku z Lindow. Ich mumie zostały zbadane przy użyciu technik kryminalistycznych i okazało się, że padli ofiarą okrutnych rytuałów: niektórzy byli paleni, powieszani i topieni. Człowieka z Lindow znaleziono w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku w pobliżu Manchesteru. Badania z zakresu medycyny sądowej potwierdziły, że w pierwszym wieku naszej ery został złożony w ofierze podczas rytuału potrójnej śmierci. Był członkiem lokalnej elity, miał wypielegnowane wąsy i paznokcie. W jego żołądku znaleziono resztki placków z owoców jemioli, rośliny świętej dla Celtów, jak pisał Pliniusz Młodszy.

– A czy wśród tych mumii z torfowisk były kobiety?

– Tak, nawet całkiem sporo. Na przykład w tysiąc osiemset trzydziestym piątym roku w Gunnelse, nieopodal średniowiecznej stolicy Danii, znaleziono kobietę, którą powiązano z legendarną duńską królową Gunhildą, wdową po królu Eryku Krwawym Toporze, urodzonym w dziewięćset czterdziestym szóstym roku. Została zgwałcona i utopiona w bagnie, mówi się, że zbrodnię zlecił Harald Sinozęby, którego runy duńska firma Bluetooth umieściła w swoim logo i mamy je wszyscy w naszych telefonach.

– Wspomniałeś coś o karze? – Estíbaliz próbowała skierować jego wywód na kwestie dla nas najważniejsze.

– Tak. Potrójna śmierć była karą za obrażenie bogów. Skoro ofiary były w ciąży, to znaczy, że obraziły Trzy Matrony i wiadomość od zabójcy jest jasna: „nie zasłużyły na to, żeby być matkami”. Albo ojcami, jeśli wśród ofiar znajdzie się mężczyzna, który spodziewa się potomka. Nie powinni mieć dzieci, dlatego zostali poświęceni trzem boginiom matkom, które zaopiekują się ich potomstwem. To ktoś, kto martwi się o przyszłość nienarodzonych jeszcze dzieci, próbuje w ten sposób ocalić je przed własnymi rodzicami.

Dlaczego je zabijano, Hectorze? – napisałem. – W przeszłości, te właśnie ofiary. Jakich zbrodni się dopuścili?

– Karano tak za czyny będące pogwałceniem tabu, ale też za najcięższe przestępstwa, takie jak zamordowanie krewnych, które stare prawa irlandzkie uważały za największą zbrodnię.

Trudno mi uwierzyć, że ktoś w dzisiejszych czasach zabija ciężarne kobiety, żeby ochronić ich nienarodzone dzieci – napisałem.

– To jest łańcuch przemocy, który zaczął się w paleolicie – patrząc przez okno, powiedział Héctor beznamiętnym tonem, jakby powtarzał jakąś mantrę. – Znosi się na deszcz, już od trzech dni wieje *ábrego*. Mogę wam pożyczyć parasol.

Jak to? – napisałem.

– „Gdy *ábrego* wieje, trzeciego dnia leje”, mówi nasze lokalne powiedzenie. Baskowie nazywają ten wiatr *hego haizea*, wiatrem z południa albo wiatrem szaleńców.

Nie chodziło mi o wiatr. Co miałeś na myśli, mówiąc o łańcuchu przemocy?

– To stara teoria naszego przyjaciela – wyjaśnił Paulaner.

Zdaje się, że słyszał ją od historyka już wcześniej.

– Przez wiele lat analizowałem ludzkie szczątki wydobywane na całym świecie podczas wykopalisk – zaczął Héctor. – Odkąd staliśmy się nowym gatunkiem homo sapiens, dopuszczaliśmy się przemocy na bliźnich. Mam na myśli przemoc w rodzinie, pomiędzy zwaśnionymi klanami, sąsiednimi ludami, nacjami, państwami, królestwami. W czasach prehistorycznych nie istniało pojęcie rodziny nuklearnej, ale nietrudno sobie wyobrazić, że w takiej rodzinie ojcowie używali przemocy wobec kolejnej generacji, póki ta nie była dość silna, by się obronić: bili i wykorzystywali dzieci, które z kolei same stawały się potem oprawcami i torturowały innych. Psychologowie twierdzą, że osoby, które nie doznały przemocy, nikogo nie torturują.

Pokiwałem głową, słyszałem o tej koncepcji powszechnie uważanej za prawdziwą, kiedy studiowałem profilowanie kryminalne.

– Ostatnio natrafiamy na coraz więcej archeologicznych znalezisk z bardzo wczesnych okresów historii ludzkości. Odkrywamy coraz starsze szczątki: dwadzieścia siedem osób, Kenia, dziesięć tysięcy lat temu: dzieci i kobieta w zaawansowanej ciąży, pobite i przeszyte strzałami. Jeśli sięgniemy do średniowiecza, co trzecia osoba ginęła

zamordowana. Rozumiecie, co oznacza ta statystyka?

– Że wszyscy jesteśmy prawnukami mordercy albo ofiary – odrzekła Estíbaliz.

– Właśnie. Skoro jedna trzecia ginęła zamordowana, kolejna jedna trzecia to zabójcy. Wszyscy jesteśmy potomkami tych, którzy przetrwali dzieciństwo i zdążyli się przed śmiercią rozmnożyć, wszystko jedno, w jakim wieku. Najbardziej realistycznie należy przyjąć, że w naszym DNA mamy zarówno geny osób, które zmarły zamordowane, jak i samych morderców.

Słowa Hectora mocno wryły mi się w pamięć. Zapisały mi się w mózgu tuż obok miejsca, gdzie od przekłętego dnia, gdy Alba oświadczyła mi, że jest w ciąży, gnieździł się przeraźliwy lęk przed wychowywaniem dziecka zorganizowanego psychopaty, jakim był Nancho.

Tasio też miał cechy psychopaty – narcystycznego: wybujały egotyzm, brak empatii, skłonność do manipulacji, potrafił być ujmujący, jeśli mogło mu to przynieść zyski. Miał obsesję na punkcie uznania społecznego.

Przerażało mnie wychowywanie syna albo córki i poszukiwanie psychopatycznych cech od najwcześniejszego dzieciństwa. Pragnąłem tylko normalnej rodziny, żony takiej jak Alba, dzieci, niedzielnych wyjazdów w góry, weekendów w Villaverde lub w Laguardii.

W swoim przekonaniu nie oczekiwałem od życia zbyt wiele.

Odrobiny normalności.

Ale Ignacio nie był psychopatą, mimo że jeden z jego braci wykazywał cechy psychopatyczne, a u drugiego rozwinęła się psychopatyczna osobowość. Wychowywał się w tym samym otoczeniu co Tasio, może miał nawet te same geny, ale nie stał się psychopatą. Wybrał współczucie, uczciwość, prawdomówność. Wybrał moralność i pracę w policji.

Studiując profilowanie kryminalne, słyszałem o roli, jaką odgrywa czynnik genetyczny w rozwoju psychopatii. Chociaż nie znaleziono jednego genu odpowiedzialnego za to, że ktoś staje się psychopatą, uważa się, że istnieje wiele genów, które się do tego przyczyniają. Badania na bliźniakach dowodzą jednak, że socjalizacja i inne czynniki środowiskowe nie są bez znaczenia.

Zdanie Hectora, że wszyscy mamy wśród przodków morderców, było dla mnie pocieszeniem wobec wątpliwości, która dręczyła mnie od czasu wizyty Alby: czy będę w stanie żyć w niewiedzy, kogo właściwie wychowuję jak własne dziecko?

Zamyśliłem się tak głęboko, że nie słyszałem kolejnych pytań, które Esti wypluwała z siebie jak karabin maszynowy, ani cierpliwych odpowiedzi Hectora. Odpłynąłem zupełnie i znalazłem się daleko od muzeum przy urwistym klifie.

Byłem na klatce schodowej swojego domu, nad ranem w święto Białej Panienci, być może płodząc kolejnego Lopeza de Ayalę.

Byłem na wzgórzu San Tirso pewnego październikowego poranka, kiedy, nie wiedząc o tym, uratowałem mu życie.

15

WYDZIAŁ HISTORII

21 listopada 2016, poniedziałek

Od dłuższej chwili siąpił drobny deszczyk i nie zanosilo się na to, że przestanie. Héctor odprowadził nas na parking. Pożyczył nam czerwony parasol z logo muzeum, a na koniec zapewnił, że możemy się z nim kontaktować, kiedy tylko pojawią się jakieś nowe wątpliwości, i pożegnał nas swoim przemiłym uśmiechem.

– No to do zobaczenia. Informujcie mnie o wszystkich nowych ustaleniach – powiedział Paulaner.

Uściskał mnie serdecznie, obrzucił pełnym współczucia spojrzeniem, jakby sądził, że nie ma dla mnie nadziei, i odjechał swoim samochodem na posterunek w Santander.

Poczułem się dotknięty.

Jak ci się podobał Héctor? – napisałem, gdy wsiedliśmy do wozu.

– Chyba się właśnie zakochałam – powiedziała Esti i głęboko westchnęła, odprowadzając go wzrokiem.

Udając oburzenie, lekko szturchnąłem ją łokciem.

Inspektor Gauno! Zabrakło już kandydatów na nowych kochanków w barach Vitorii? – zapytałem zaintrygowany.

Estibaliz zerwała z Ikerem, narzeczonym, z którym spotykała się od wieków, a teraz informowała mnie na bieżąco o swoim życiu erotycznym. Przez część lata i jesień oddawała się zdrowemu promiskuityzmowi i opowiadała mi o swoich przygodach z niewielkim zaangażowaniem, acz z niewątpliwą uciechą.

Chwilami bałem się, że jeden nałóg zastąpiła drugim, jak to się często zdarza osobom skłonny do uzależnień. Sprawiała wrażenie czystej, przynajmniej przez ostatnie dwa miesiące nie sięgała po substancje psychoaktywne. Obserwowałem ją i nic nie wskazywało na to, że cokolwiek bierze. Wyglądała zdrowo, wspinała się, zawierała nowe znajomości, a ja za tym wszystkim nie nadążałem.

Ale oczywiście cieszyłem się ze względu na nią.

– Héctor nie sprawia wrażenia kandydata na przelotny romans – odpowiedziała poważnie. – I taki spec od profilowania jak ty na pewno o tym wie. Ale nie pora na fantazjowanie, chociaż nie powiem, niezłe z niego ciacho. Teraz pytam cię jak profiler: co myślisz o tym wszystkim, czego się dziś dowiedzieliśmy, Kraken?

Zastanowiłem się chwilę: Héctor przekazał nam tyle informacji, że trudno było je natychmiast przetworzyć.

Że potrójna śmierć to na pewno ciekawy trop, chociaż brakuje jednego szczegółu: ofiary nie zostały spalone. Myślę, że jeśli obu zabójstw dopuścił się ten sam sprawca, jego rytuał mógł być za pierwszym razem mniej dopracowany, bardziej partacki. Skoro ukrył ciało, prawdopodobnie bał się, że zostanie zdemaskowany. Wciąż jednak nie jestem pewien, czy oba zabójstwa mają tego samego sprawcę – napisałem i pokazałem jej akapit.

– Teraz mówi do ciebie specjalistka od wiktymologii: dwie kobiety, samotne, w ciąży, powieszono w historycznych miejscach kultu związanych z celtyckimi rytuałami wody, w nieodległych prowincjach i... No właśnie, co najważniejsze, ofiary się znały, bo dwadzieścia cztery lata wcześniej były na tym samym obozie archeologicznym i brały udział w rekonstrukcji celtyckiej wioski. Jakkolwiek na to spojrzeć, przyjacielu, obie zbrodnie i obie ofiary są powiązane. I jeśli dotąd nie zająknęłam się słowem komisarz Salvatierre, że znałeś obie ofiary, to tylko dlatego, że nie chcę ogłaszać niczego, dopóki nie będziemy mieli solidniejszych dowodów. Ale nie zamierzam dłużej narażać na szwank zaufania, jakim mnie obdarzyła, żeby cię kryć. Powinieneś powiedzieć jej osobiście, że byłeś na tym samym obozie, co dwie nieżyjące kobiety.

Wkrótce to zrobię. Nie chcę ci zaszkodzić. Obiecuję, że po powrocie z tej podróży porozmawiam z Albą – napisałem.

Przeczytała moje słowa i pokiwała głową.

– No więc została nam jeszcze wizyta u dyrektora tego niezapomnianego obozu. Jesteś gotowy? – zapytała uroczystym tonem.

Westchnąłem, a ona włączyła silnik.

Między innymi w tym celu przyjechaliśmy do Kantabrii. Chcieliśmy złożyć niezapowiedzianą wizytę Saulowi Tovarowi, który był obecnie adiunktem i wykładał antropologię społeczną i kulturową na Wydziale Historii Uniwersytetu Kantabryjskiego.

Saúl zawsze wzbudzał we mnie mieszane uczucia.

Dla całej naszej czwórki mógł zostać uosobieniem ojca, za którym wszyscy tęskniliśmy.

Dla niektórych rzeczywiście został.

Ale nasza cholerna rywalizacja sprawiła, że ja trzymałem się od niego najdalej, może z własnej winy. Teraz, kiedy dowiedziałem się o śmierci jego córki, zacząłem mieć wyrzuty sumienia.

Rebeca nie żyła już od ponad dwudziestu lat. Biedaczka.

Długo szukaliśmy miejsca do parkowania, jak zwykle na terenie kampusu, w dodatku w deszczowy dzień. W końcu, ponieważ jakiś niezbyt pilny student zdecydował się na wagary, postawiliśmy samochód pod mieszczącym kilka wydziałów gmachem z czerwonej cegły o nietypowych niebieskawych kolumnach.

Łatwo zlokalizowaliśmy Saula Tovara: zapytaliśmy o niego grupkę studentów i wszyscy doskonale wiedzieli, gdzie obecnie przebywa.

Jeden szczegół zwrócił wszakże moją uwagę: kiedy zadaliśmy pytanie, chłopak wyglądający na studenta ostatniego roku spojrzał na nas nieufnie. Sprawiał wrażenie niezadowolonego. Miał bardzo szczególną cechę: jedno jego oko było brązowe, a drugie jasnozielone. Postawiony na żel irokez dodawał mu dziesięć centymetrów wzrostu.

- Szukają Siwobrodego – szepnął koledze, ale stałem blisko i wszystko słyszałem.
- Nie nazywałeś tego żonobójcy Sinobrodym? – zdziwił się wyższy chłopak.
- Sinobrody został teraz Siwobrodym, nie słyszałeś o tym? Spadamy – powiedział i obaj odwrócili się i odeszli.

Estíbaliz wysłuchiwała wskazówek udzielanych jej przez sympatyczne dziewczyny.

Stanęliśmy przed drzwiami gabinetu i zapukaliśmy. Chociaż nikt nie odpowiedział, postanowiliśmy wejść. Saúl siedział przy biurku otoczony wianuszkami studentek. Nawet na nas nie spojrzał, gestem dał nam tylko do zrozumienia, że mamy poczekać.

To ciekawe, na co zwraca się uwagę, kiedy widzimy człowieka po dwudziestu czterech latach. Musiał mieć teraz pięćdziesiątkę z hakiem. Trochę się postarzał, ja pewnie też. Jego dawniej ciemna broda poprzetykana była pasmami siwizny, zmarszczki wokół oczu pogłębiły się. Ale najbardziej zaskoczyła mnie jego postawa.

Pamiętałem Saula jako typowego charyzmatycznego profesora, zawsze otoczonego młodzieżą. Teraz też otaczali go uczniowie, ale uderzył mnie dystans i bijące od niego znużenie, jakby poniósł życiową klęskę, a do tego zmęczył się już odgrywaniem zaangażowanego mentora.

To Lutxo przekonał nas, żebyśmy wzięli udział w finansowanym ze środków Uniwersytetu Kantabryjskiego programie, który miał na celu ściągnięcie na Wydział Historii kolejnych pokoleń studentów. Mój przyjaciel zawsze marzył, że zostanie

archeologiem. Tamtego lata wszyscy chcieliśmy zarobić trochę pieniędzy, rozważaliśmy też pracę na Expo w Sewilli albo w wiosce olimpijskiej w Barcelonie.

W końcu Lutxo, Asier i ja doszliśmy do porozumienia: najważniejsze dla naszej paczki było wówczas wspieranie J. w trudnym dla niego okresie. Chcieliśmy wyjechać z nim na kilka tygodni z Vitorii, gdzie jego ojciec zmagał się z błyskawicznie postępującym rakiem trzustki, a J., do tej pory niesprawiający większych problemów, z weekendu na weekend staczał się coraz bardziej.

Pił litrami *kalimotxo*, coraz częściej wdawał się w bójkę. Chcieliśmy mu pomóc. Wiedzieliśmy, że nie zechce wyjechać do Sewilli ani Barcelony, a nieodległa Kantabria wydawała się nam najbardziej realistyczną opcją.

Decyzję ułatwił fakt, że stypendium dla uczestników obozu w wieku od lat piętnastu do siedemnastu wynosiło pięćdziesiąt tysięcy peset plus zwrot kosztów podróży i utrzymanie, jednym słowem, mieliśmy po szesnaście lat i przed sobą perspektywę fajnego lata.

Studenci z uwagą słuchali opowieści Saula o teonimach, nazwach miejsc, które kryły w sobie imiona celtyckich bóstw, takich jak Teutates, Tulonio, Lug... Dwie z obecnych w gabinecie dziewczyn robiły notatki, a od czasu do czasu podnosiły głowy i uśmiechały się z uwielbieniem. Profesor udawał, że tego nie zauważa.

Czekaliśmy chwilę, ale Saúl był tak zaabsorbowany swoją opowieścią o Celtach, że zupełnie o nas zapomniał. Po kilku minutach cierpliwość Estíbaliz się wyczerpała.

Odkaslnęła znacząco i oznajmiła:

– Profesorze Tovar – pokazała blachę – przyjechaliśmy z komisariatu w Vitorii. Chcielibyśmy, żeby poświęcił nam pan chwilę. Niekoniecznie natychmiast. Kiedy pan skończy.

W skośnych oczach Saula dostrzegłem złowrogi błysk. To nie wróżyło nic dobrego.

– Patricio, Maite, Sandro, czy mogłybyście zostawić nas samych? W czwartek możecie znów przyjść na konsultacje, jeśli macie jeszcze jakieś wątpliwości – oznajmił tonem uprzejmym, acz stanowczym.

Dziewczyny wymieniły się porozumiewawczymi spojrzeniami i wyszły, lustrując nas na odchodnym od stóp do głów.

– W jakiej sprawie państwo przyjechali? – zapytał, kiedy studentki zamknęły za sobą drzwi.

– Pamięta pan inspektora Unaia Lopeza de Ayalę? – zapytała moja partnerka, jak zwykle starając się ułatwić mi życie.

– Oczywiście. Trochę urosłeś, Kraken, ale nie zmieniłeś się tak bardzo. Poza tym nie będę udawał, że nie śledziłem z zainteresowaniem tego śledztwa w Vitorii kilka

miesiący temu. W Santander o niczym innym nie mówiono. Naprawdę nie żyję na innej planecie.

– Dobrze, że nie mieszka pan w Vitorii... – wyrwało się Esti, ale zreflektowała się w porę i nie powiedziała nic więcej.

Wyprostowała się, jakby przypomniawszy sobie, że jest na służbie i przyjechaliśmy tu wysłuchać świadka dawno zamkniętej sprawy.

– Może przejdźmy na ty – zasugerował Saúl.

– Doskonale – zgodziła się moja partnerka. – Jesteśmy inspektorami Wydziału Śledczego. Chcielibyśmy wyjaśnić z tobą kilka wątpliwości dotyczących zniknięcia twojej córki Rebeki.

– Rebeki, a więc o to chodzi – wymamrotał, odwracając od nas wzrok. Jego twarz wykrzywił grymas bólu. – Czy są jakieś postępy w śledztwie? Znaleźliście w końcu ciało? – zapytał po chwili milczenia.

– Niestety nie, ale kolejne zabójstwo wydaje nam się powiązane z tamtą zbrodnią. Chcielibyśmy ten związek wyjaśnić i raz na zawsze zostawić cię w spokoju, nie jątrzyć starych ran – odparła Estíbaliz z poufałością, z jaką rzadko odnosiła się do przesłuchiwanym świadków. – Saulu, powiedz nam: co według ciebie spotkało twoją córkę?

– Mętna sprawa, wielu morderców, raczej partaczy – odparł swoim wystudiowanym ciepłym głosem. Spojrzał Estíbaliz w oczy i pochylił się w naszym kierunku. – Zawsze sądziłem, że było ich kilku, że jeden z nich sfotografował wszystko, żeby zaszantażować współników, a później może wyrzuty sumienia skłoniły go do przesłania zdjęć mediom. Ukryli ciało, bo bali się, że policja znajdzie ślady, które pomogą postawić im zarzuty. Mam na myśli odciski palców, ślady biologiczne, spermę, cokolwiek...

– Saulu, a to, że była w ciąży? – Esti nie dawała za wygraną.

– Nie była w ciąży.

– Była nastolatką. Świat pełen jest ojców, którzy nie przyjmują do wiadomości tego, że ich nastoletnie córki mogą zajść w ciążę.

– Nie byłem takim ojcem. Rebeca nie mogła być w ciąży, bo... – Westchnął i zwrócił się do mnie: – Unai, pamiętasz moją córkę?

Tak, lubiłem ją, bardzo dobrze ją wspominam – napisałem i pokazałem wiadomość.

Do tej pory Estíbaliz nie zdążyła wspomnieć o mojej afazji Broki. Saúl szybko połączył w całość wiadomości prasowe, które swego czasu czytał, i zrozumiał, że

podczas tej rozmowy nie usłyszy mojego głosu.

– Mówię o jej cechach fizycznych – nie ustępowałem. – Pamiętasz ją jako kobietę?

Pytanie sprawiło, że poczułem się nieswojo. Niespecjalnie chciałem spowiadać się ojcu zamordowanej dziewczynki ze swoich wrażeń na temat jej kobiecości.

Nie pamiętam – skłamałem.

– Jasne, byłeś wtedy wpatrzony w Annabel Lee. Ale przypomnę ci, że Rebeca nie była wówczas rozwinięta fizycznie. Psychiczenie zresztą też nie. Była jeszcze dziewczynką, chłopcy jej nie interesowali. Moja siostra endokrynolożka może to potwierdzić. Śledczy zadali mi to pytanie dwadzieścia trzy lata temu, siostra pokazała im badania, niezaprzeczalny dowód na to, że nie mogła być w ciąży, kiedy zginęła. Potem nikt nie zaprzętał sobie tym głowy. Oczywiście mam swoje teorie na ten temat, właściwie dwie. W pierwszym odruchu pomyślałem, że to perspektywa, z jakiej zrobiono zdjęcie, może wywoływać podobną iluzję. Ale ta kwestia wciąż nie dawała mi spokoju i zasięgnąłem opinii lekarza sądowego z Santander. Uznał, że wydęty brzuch może być oznaką procesów zachodzących w ciele zmarłej osoby kilka dni po śmierci. Ale ta twarz... wpatrywałem się w nią tysiące razy... To bez wątpienia jest moja córka. Ojciec zawsze, nawet w najtragiczniejszych okolicznościach, rozpozna twarz dziecka.

Pamiętam, że przywiązywałeś niezwykle wagę do miejsca kultu – napisałem, zmieniając temat. – Co sądzisz o tym, że miejscem zbrodni było właśnie Fontibre?

– Los ma bardzo zły gust i okrutne poczucie humoru.

Nigdy nie podejrzewałeś, że sprawcą był ktoś powiązany z twoim wydziałem, ktoś z twojego uniwersyteckiego otoczenia, jakiś znajomy specjalista od antropologii kulturowej, grupa twoich studentów albo ktoś, dla kogo Fontibre miało jakieś szczególne znaczenie? To, w jaki sposób zamordowano twoją córkę, nie ma nic wspólnego z naszą obecną kulturą.

– No naprawdę, ekspert się odezwał. Myślisz, że o tym nie wiem?! – podniósł głos.

Obecny Saúl słabiej kontrolował swoje wybuchy złości niż ten, którego poznałem wiele lat temu: silny i opanowany facet często brał na siebie rolę mediatora w naszych nastoletnich konfliktach.

A nie podejrzewasz, że ktoś chciał się na tobie zemścić? Chciał zrobić ci krzywdę? – zacząłem delikatnie naciskać.

– Ktoś wyrządził mi krzywdę, najgorszą, jaką można zrobić ojcu, co do tego nie ma wątpliwości. Ale najbardziej skrzywdził moją córkę. Czego właściwie ode mnie chcecie? Przyjechaliście z Vitorii, żeby zadać mi jeszcze raz te same pytania, wasze śledztwo utknęło w martwym punkcie, nie macie pojęcia, gdzie ukryto ciało mojej córki. To jasne, że znów ktoś zabił, że do zbrodni doszło w Álavie i że modus operandi mordercy ma coś wspólnego z tym, jak zginęła Beca. W przeciwnym razie, Kraken, nie pofatygowalibyś się tutaj, zwłaszcza w godnym pożałowania stanie, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Wiem, że zostałeś profilerem, pytam więc: mamy kolejną zbrodnię? Mamy kolejnego seryjnego mordercę?

Przyjąłem ten cios w serce, udając, że nie robi na mnie najmniejszego wrażenia. Zastanawiała mnie niemaskowana wrogość Saula. Nigdy nie należałem do jego ulubieńców, najbardziej cenił go J., którego wspierał w trudnym okresie choroby ojca, potem Asier i Lutxo.

Ale zawdzięczam mu też kilka mądrych rad, jak na przykład tę, żebym pogodził się ze swoim przydomkiem i potraktował go tak, jak pierwotne ludy traktowały zwierzęta, których cechy podziwiałały i z których czyniły totemy.

Przestałem więc mieć żal do Lutxa za to przezwisko, przyzwyczailem się do niego, a z czasem nawet je polubiłem i zacząłem się z nim identyfikować.

Byłem również wdzięczny Saulowi za wszystko, co zrobił, żeby uprzyjemnić nam wakacje, za to, że łagodził nasze kłótnie typowe dla porywczych nastolatków.

Mogłem się domyślić, że nie ucieszy się na nasz widok, w końcu pojawialiśmy się w jego życiu, wypytując o delikatne kwestie z przeszłości, o której wolałby nie pamiętać, i budząc wspomnienia o zamordowanej córce. Na jego miejscu pewnie zareagowałbym podobnie.

– Jeszcze tego nie wiemy, Saulu – powiedziała Esti, widząc, że ja nie zamierzam niczego napisać. – Przyjechaliśmy do Santander, żeby zasięgnąć u ciebie informacji i zorientować się, czy oba zabójstwa mają tego samego sprawcę.

– Sprawców – poprawił Saúl głosem ostrym jak smagnięcie bicz. – Sprawców.

Powtarzasz to bardzo zdecydowanie – napisałem. – Masz pewnie jakąś własną teorię na temat tego zabójstwa, tak?

– Ciekawe, że właśnie ty mnie o to pytasz, Unai. Naprawdę bardzo ciekawe.

KAMIENICA PANDO-ARGÜELLES

21 listopada 2016, poniedziałek

W Santander nadal padało. Musieliśmy pobiec do samochodu. Deszcz zniechęcił chyba do nauki wszystkich studentów, bo parking był teraz pusty. Gmach bez młodych ludzi spacerujących pomiędzy kolumnami wydawał się bardziej surowy. Kiedyś byłem jednym z nich, ciągle martwiłem się, czy zdam kolejny egzamin. Teraz miałem w życiu inne priorytety: musiałem odzyskać mowę, złapać mordercę, zastanowić się, jak zareagować na nowinę przekazaną mi przez Albę.

– Co miał na myśli, mówiąc, że to ciekawe, że to właśnie ty pytasz go o sprawców, Unai? – zapytała Estíbaliz.

Sam byłem tym zaskoczony. Nie miałem pojęcia o śmierci Rebeki i nikt z naszej paczki nigdy o tym nie wspominał, ale przez wiele lat nie rozmawialiśmy o tych wakacjach z powodów... – długo szukałem słowa – oczywistych. Jak to się stało, że tego nie wiedziałem, Esti? Nie pamiętam, żeby była mowa o zaginięciu Rebeki Tovar ani w wiadomościach telewizyjnych, ani w „El Correo Vitoriano”, ani w „El Diario Alavés”.

– Ja też nie, ale wtedy miałam... dziesięć lat. Co roku znika czternaście tysięcy osób, tyle że większość z nich wraca. Zwykle uciekają nastolatki, zarówno z domów, jak i z zakładów opiekuńczych. Czasem jakieś zaginięcie pojawia się w mediach, jeśli wydarzy się w niezwykłych okolicznościach – myślała na głos Esti, jadąc z powrotem do Vitorii, w której pewnie lało tak samo jak tu. – Redakcja kantabryjskiego dziennika zachowała się wzorowo, skontaktowała się z policją i nie zrobiła hecy ze zdjęciami. Milán szukała wiadomości o zaginięciu Rebeki Tovar w czytelnicy czasopism. Ukazała się tylko krótka notka o czternastoletniej dziewczynce, która zaginęła, i jej inicjały. Nie ma wzmianki o zdjęciach. Zdarzenie przeszło bez echa.

A jak się współpracuje z Milán? – zapytałem, kiedy dojechaliliśmy do miasta. Intrygowała mnie nowa agentka.

– Jeśli chodzi o umiejętności społeczne, wydaje się trochę nieporadna, ale jeśli chodzi o komputery i papiery, to prawdziwy crack. Dostarcza mi wszystko, o co poproszę, o wiele szybciej, niżbym się spodziewała. Nie jest bardzo towarzyska, niespecjalnie lubi rozmowy. Czasem bywa szorstka, ale na kilometr widać, że to dobry człowiek. Bardzo się cieszę, że przydzielili mi taką ekipę. Peña z kolei jest bardzo nerwowy, Milán dostaje szału, kiedy na zebraniach krąży po sali. Ale chyba się dogadają. Peña to ciekawy typ. Nic nie je przez cały dzień aż do siódmej wieczorem. Mówi, że lepiej się tak czuje. I jest muzykiem. Gra na skrzypcach, występuje na folkowych festiwalach. Kiedy bierze się do roboty, staje się inną osobą, ma umysł analityczny, do tego błyskawicznie kojarzy. Ale nie kieruje się emocjami. Dobrze zrobi naszej jednostce, kiedy już do nas wrócisz. Bo ty jesteś za bardzo impulsywny.

– I kto to mówi – wymknęło mi się i zmierzwiłem jej rudą grzywkę.

Zabrzmiało to jak „i to to owi” i znów zaczerwieniłem się ze wstydu.

Spoważniała.

– Musisz zacząć chodzić do logopedy, Unai – powiedziała. – Alba tylko pod tym warunkiem zgodziła się zaangażować cię do śledztwa, a ja mam zdawać jej raporty z twoich postępów. Ryzykujemy dla ciebie wiele, nie wystaw nas do wiatru. To ostrzeżenie. Mówię serio.

Kiedy tak zaprzyjaźniłyście się z Albą? Naprawdę bardzo się z tego cieszę – napisałem, dyskretnie zmieniając temat.

– Odkąd odwiedzałam cię codziennie w szpitalu Świętego Jakuba, gdy byłeś w śpiączce. Przez pierwsze dni ona też leżała w szpitalu i zaglądałam do niej. Wydawało mi się okropne, że straciła męża, który w dodatku okazał się mordercą. Na posterunku sytuacja była bardzo napięta, komisarz Medina nie wiedział, czy powinien ją wspierać, czy raczej wszcząć wewnętrzne śledztwo. Niektórzy z naszych kolegów przestali jej ufać, nie wierzyli, że przez tyle lat nic w zachowaniu męża nie wzbudziło jej podejrzeń, uznawali ją za winną zaniedbania. A ja... ja zabiłam Nancha. Zabiłam, sprzątnęłam jej męża. Musiałam z nią o tym porozmawiać, zawsze tak bardzo ją podziwiałam, nie chciałam, żeby ten temat zaciążył na naszych relacjach.

Bardzo słusznie. I co się stało potem?

– Od tamtej pory spotykamy się często, w tygodniu w Vitorii, czasem zaprasza mnie w weekendy do Laguardii albo chodzimy razem w góry. To bardzo spokojna kobieta, zastanawia się długo nad tym, co robi, w przeciwieństwie do mnie. Udziela mi się jej spokój. Słucha cierpliwie i nie osądza.

Spojrzała na mnie, a ja skwapliwie przytaknąłem, ale chyba mój wyraz twarzy nie

uszedł jej uwagi.

– Co? Jesteś zazdrosny?

Oczywiście, że jestem zazdrosny – napisałem. – Sam chciałbym mieć z nią taką relację.

– Ale rzadko mówimy o tobie – powiedziała, jakby czuła się w obowiązku to wyjaśnić. – To znaczy o tobie poza kontekstem zawodowym. Kiedy jesteśmy same, nie rozmawiamy o facetach, ale o naszym życiu i naszych sprawach. W ogóle ma bardzo ciekawą przeszłość. Pewnie ci kiedyś o niej opowie.

Teraz naprawdę zżerała mnie zazdrość. O Albie nie wiedziałem prawie nic. Tylko tyle, że chcę z nią być. Za każdym razem, kiedy widziałem ją na posterunku, czułem motyle w brzuchu. Wciąż była między nami bardzo silna chemia, chciałem z nią sypiać, chciałem robić z nią cokolwiek, chciałem spędzić z nią życie.

– Wracając do twojej terapii: albo zaczniesz w tym tygodniu, albo na ciebie naskarzę.

Zaczynam dziś po południu, Esti – odparłem. – Teraz, po zabójstwie Any Belén Liaño i Rebeki Tovar, czuję, że chcę jak najszybciej powrócić do normalności.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– To właśnie chciałam usłyszeć. Będziemy w kontakcie. Daj mi buziaka – powiedziała, nadstawiając policzek, kiedy zaparkowała niedaleko mojego domu.

Cmoknąłem ją głośno i poszedłem coś zjeść do Toloño, nie miałem ochoty gotować, a tym bardziej siedzieć w domu sam na sam z własnymi myślami.

Po południu, przygotowawszy się psychicznie do nowego wyzwania, ruszyłem w stronę dziewiętnastowiecznej dzielnicy Ensanche, czując niepokój, ale też nadzieję. Gabinet mojej logopedki znajdował się na końcu ulicy San Antonio, niedaleko torów kolejowych. Była to prestiżowa dzielnica wzniesiona dla przedstawicieli możnych i bogatych rodów. W okolicy znajdowało się wiele biur i gabinetów, ale moja logopedka wybrała szczególnie starannie.

Pando-Argüelles to okazała kamienica stojąca na rogu ulicy Manuela Iradiera, jednej z najpiękniejszych ulic naszego miasta. Dziadek opowiadał mi, że wieżyczka domu ze zwracającą uwagę kopułą, niebieską z pomarańczowymi gwiazdami, stała się bazą artylerii przeciwlotniczej podczas wojny domowej. Potem budynek był siedzibą związku zawodowego Sindicato Vertical, szkoły imienia Nieves Cano i innych

instytucji. Słyszałem, że wykupiła go firma deweloperska, która chciała urządzić tu apartamentowiec. Próba jednak się nie udała, teraz wynajmowano w nim biura.

Podszedłem zaciekawiony do wejścia na klatkę schodową, czarne metalowe kraty na drzwiach przypominały balustradę z plaży Concha w Donostii. Zadzwoiłem i z domofonu rozległ się miły głos, który zaprosił mnie na drugie piętro.

Na klatce schodowej uderzył mnie zapach farby i niedawno ukończonego remontu. Zdaje się, że moja logopedka była jedną z pierwszych osób, które wynajęły tu luksusowe biuro.

– Więc w końcu się zdecydowałeś, Unai – powiedziała na powitanie i uśmiechnęła się szeroko.

Zaskoczył mnie jej wygląd. Beatriz Korres wyglądała jak gwiazda filmowa z lat czterdziestych: idealny makijaż, kreska na powiece podkreślona do góry, uroczy dołeczek na brodzie. Buty na szpilkach, ołówkowa spódnica. Nie wstydziła się swoich krągłości.

Polubiłem Beatriz od razu. Była tak cholernie perfekcyjna w dbaniu o własny wizerunek, że wyglądała jak osoba żywcem wyjęta z dawnego żurnala. Musiała poświęcać kilka godzin na wyszykowanie się do wyjścia z domu. Nie zauważyła chyba, jakie wywarła na mnie wrażenie, była kobietą świadomą swojej atrakcyjności. Czy można było jej nie podziwiać?

Wiem, że powinienem był przyjść wcześniej – napisałem na telefonie.

– Wejdz, jesteś dziś moim ostatnim pacjentem. – Poprowadziła mnie do niewielkiego gabinetu, w którym prawie nie było mebli ani elementów dekoracyjnych. – Dopiero co wynajęłam ten lokal, musisz mi wybaczyć skromną aranżację.

Uśmiechnąłem się i pokiwałem głową. Na biurku leżała historia choroby sporządzona przez moją neurolożkę i słoik pełen lizaków czekoladowo-waniliowych, moich ulubionych.

– Usiądź, proszę. Dobrze, że przyszedłeś, doktor Diana Aldecoa dużo mi o tobie opowiadała. Cieszę się, że skierowała cię do mnie, to wielkie wyzwanie, mamy dużo do zrobienia, a czas działa na naszą niekorzyść. Unai, twoje postępy będą zależeć od tego, ile czasu poświęcisz na terapię. Jeśli będą to dwie godziny, super. Jeśli trzy, tym szybciej doczekamy się efektów. Rozumiesz?

Niech to będą dwie, trzy, cztery godziny, pomyślałem. Ale nic nie powiedziałem, bo i tak by mi nie uwierzyła. Odzyskanie mowy znalazło się na liście moich priorytetów, a ta logopedka nie wiedziała jeszcze, jak działałam, kiedy uruchomię tryb kamikadze.

Od czego zaczniemy? – napisałem.

– W tym tygodniu zorganizujemy więcej sesji, muszę zrobić ci mnóstwo testów, zanim zaczniemy terapię. Czytałam, że ekipa, która cię operowała, i Diana, przepraszam, doktor Aldecoa, przepisali ci leki. Bierzesz je?

Pokiwałem głową. Może i byłem durniem, nie zaczynając od razu terapii logopedycznej, ale nie samobójcą. Wiedziałem, że przepisane mi leki przyspieszają regenerację mózgu. Chciałem być niezależny, nie mogłem stać się ciężarem dla swojego brata Germana, a zwłaszcza dla prawie stułetniego dziadka, chociaż był on jedną z najenergiczniejszych osób, jakie znałem, więc poradziłby sobie i z tym wyzwaniem.

– To bardzo dobrze, Unai. Otrzymujesz leki przepisywane zwykle ludziom chorym na alzheimera i parkinsona, które przynoszą też doskonałe efekty w wypadku urazów mózgowiczaszki. Powód urazu, czyli pocisk, usunięto kilka godzin po tym, jak zostałeś postrzelony, co zwiększało twoje szanse. Rokowania, zważywszy na twój młody wiek i doskonałą formę fizyczną, były dobre. Niestety twoje postępowanie znacznie je pogorszyło – wypaliła, rzucając mi wymowne spojrzenie spod idealnie wymalowanych kresek na powiekach. Nie spodziewałem się, że już na pierwszej wizycie dostanę opiernicz, ale musiałem w duchu przyznać, że wszystko, co mówiła, było prawdą. – Rozumiem, że padłeś ofiarą stresu pourazowego, ale szkoda, że nie dałeś sobie pomóc. Powinieneś być pójść do psychologa, zaniedbałeś to. Więc, Panie Sam-sobie-poradzę, udowodnij teraz wszystkim, że miałeś rację, i postaraj się z tego wygrzebać.

Umowa stoi – napisałem. – A kiedy skończysz już badania?

– Zaczniemy od odblokowywania mowy: będziemy powtarzać nazwy dni tygodnia, miesiące, liczby. Będziemy ćwiczyć w gabinecie, dostaniesz prace domowe, chcę, żebyś powtarzał melodie, przysłowia, rymowanki. Jesteś wierzący?

Pokręciłem głową.

– Szkoda, bo modlitwy typu *Ojcze nasz* dobrze się sprawdzają.

Na pewno jest inny sposób – napisałem.

– Muzyka – odparła Beatriz.

To brzmi lepiej.

– Śpiewaj, kiedy będziesz sam. W domu, pod prysznicem, w samochodzie...

Odblokować mowę, powtórzyłem w myślach. Dobrze, mogę to zrobić. Spędzam dużo czasu samotnie, będę gadał jak nakręcony.

– Musimy też popracować nad prawidłową wymową. Będziemy mówić razem, szeptem i głośno. I postaramy się przywrócić ci aktywne słownictwo. Ja będę ci

opisywać jakiś przedmiot, a ty pokażesz mi go na obrazku i wymówisz nazwę. Widzę, że ciągle spoglądasz na telefon, a więc ściągniesz sobie dwie aplikacje: będą ci pokazywały przedmiot, a ty musisz go na głos nazwać. Od samego początku będziemy mówić, najpierw wyrazy dwusylabowe bez znaczenia, trzy sylaby, cztery... Potem zaczniesz powtarzać bardziej skomplikowane słowa. Jak mówiłam, musisz odblokować niektóre automatyzmy związane z mową. W przypadku takiej afazji jak twoja pacjenci są świadomi swoich błędów i telegraficznego stylu. Musisz pokonać skrępowanie. A uda ci się to, tylko jeśli będziesz dużo ćwiczył w samotności, a potem z przyjaciółmi czy rodziną. Myślisz, że znajdzie się jakiś ochotnik?

– Dwóch – odważyłem się powiedzieć na głos.

Z moich ust wyszło coś przypominającego raczej skrzeczenie głuszca, ale podejrzewałem, że Beatriz jest przyzwyczajona do różnych popsutych głosów, więc się nie przejmowałem.

Wyciągnęła paczkę plansz z rysunkami, które nazwała piktogramami, i pokazała mi je.

– To karty logopedyczne. Będziesz za ich pomocą budował zdania z dwóch, trzech, czterech wyrazów. Mam nadzieję, że za kilka tygodni zaczniesz znów porozumiewać się normalnie. Może nie tak płynnie jak kiedyś, ale moim celem jest to, żeby po urazie pozostały jak najmniejsze ślady. Poza tym musisz zacząć wzmacniać prawą połowę ciała. Uprawiasz jakiś sport?

Kiedyś biegałem – napisałem.

Biegałem rano, ale teraz mi się nie chce, pomyślałem.

– Wróć do tego, ale powinieneś też wykonywać ćwiczenia siłowe. Chodzi o to, żeby lewa półkula znów zaczęła odpowiednio pracować. Używaj piłek z kolcami, żeby stymulować zmysł dotyku na dłoniach czy podeszwach stóp, jakiegokolwiek przedmiotu, który angażuje dotyk. Terapia ma być twoją obsesją. Będziemy się spotykać codziennie i zamierzam cię cisnąć, żebyś osiągnął jak najlepsze wyniki. Będziesz na mnie zły, ale jeśli zrezygnujesz z terapii, ja przyjmę innych pacjentów, a ty będziesz musiał żyć ze swoją afazją Broki.

Zgadzam się.

– Dziś muszę ocenić, jak przełykasz, jak działają mięśnie twarzy, twój głos. Nauczę cię też kilku ćwiczeń, zacznij je robić już dziś wieczorem. Powinieneś je powtarzać przynajmniej raz dziennie.

Przytaknąłem, a ona odpowiedziała uśmiechem.

Po niekończących się testach, których sensu nie rozumiałem, wydały mi się za to koszmarnie monotonne, uznała, że już wystarczy, i wyciągnęła z szuflady biurka lusterko. Nauczyła mnie specjalnych ruchów językiem, na wschód, zachód, północ, południe i we wszystkich innych kierunkach.

Kiedy skończyliśmy, Beatriz dała mi lizaka, żebym dalej ćwiczył język. Potem zamknęła gabinet na klucz i zeszła ze mną na ulicę.

Już nie padało, zrobiło się za to bardzo zimno. Zobaczyłem ze zdumieniem, że na przeciwległym chodniku czeka na mnie pod latarnią mój brat Germán, odziany w jeden ze swoich eleganckich garniturów szytych na miarę – z butonierki na wysokości serca wystawały trzy rogi chusteczki.

Znów trudny dzień w sądzie? – napisałem i pokazałem mu telefon.

– Owszem – potwierdził, zapatrzony w logopedkę.

Czym prędzej przedstawiłem ich sobie.

Beatriz Korres, moja logopedka – napisałem w telefonie i pokazałem ekran obojgu. – Germán López de Ayala, mój brat. Ma kancelarię przy placu América i jak widzę, poczuł się w obowiązku po mnie przyjść.

Beatriz podała mu dłoń, którą on szarmancko pocałował. Spojrzałem na niego zaskoczony, od dawna nie widziałem, żeby to robił. Beatriz nie wydawała się speszona jego niskim wzrostem.

– Czy mój brat był grzeczny? – zapytał, kiedy szliśmy ulicą Manuela Iradiera.

– Dziś przeprowadziłam dopiero kilka wstępnych badań. Ale skorzystam z pańskiej obecności, żeby jeszcze raz powtórzyć, że pacjent musi się zaangażować w terapię, i to nie tylko podczas sesji ze mną. Jeśli będzie pan pomagał mu w ćwiczeniach zadawanych do domu, szybciej odzyska sprawność...

– Może pani na mnie liczyć – przerwał jej Germán. – Wszyscy umieramy z niecierpliwości, żeby usłyszeć, jak mój uparty jak osioł brat znów mówi. Idziemy z Unaiem na *pintxos* do El Saburdi, może pani dołączy?

Beatriz propozycja wydała się chyba kusząca, bo przez chwilę się wahała, ale w końcu odparła:

– Bardzo wam dziękuję, naprawdę, ale na dziś sesja dobiegła końca. Unai, czekam na ciebie jutro o siódmej i masz odrobić pracę domową. Germán, miło mi było cię poznać – powiedziała, przechodząc z moim bratem na ty.

I stukając obcasami bordowych szpilek, ruszyła na ulicę Dato. Mój brat odprowadzał ją wzrokiem, jakby ukazała mu się bogini Mari.

Co się z tobą dzieje, Germanie? – Musiałem podsunąć mu telefon pod nos, żeby to przeczytał, bo nie mógł oderwać od logopedki spojrzenia.

– Co? – zapytał skupiony na kołyszącym ruchu jej bioder.

– To – powiedziałem, pokazując palcem moją logopedkę.

– A nic, po prostu mam wrażenie, że jesteś w dobrych rękach. Bardzo się z tego cieszę, Unai. Marzę o tym, żebyś wreszcie wrócił do formy, zaczął nowy rozdział. Niech to wszystko już się skończy, żebyśmy mogli wreszcie zapomnieć.

Bardzo sprytnie. Mój brat jak nikt potrafił wymijająco odpowiadać na pytania. I czynił to w sposób niezwykle elegancki.

Co innego mógłby powiedzieć? Twoja logopedka bardzo mi się podoba? Podejrzewałem, że pamięć o Martinie nie pozwalała mu się do tego przyznać. Po śmierci Pauli ja też przechodziłem ten etap.

Wyrzuty sumienia spowodowane tym, że człowiek wraca do obiegu, wrażenie, że zdradza się kogoś, kto nie żyje, że jest się niełojalnym. Nienawidziłem tego poczucia winy, ale z biegiem lat wcale nie malało.

Wróciłem do domu wcześniej, ale późno położyłem się spać: powtórzyłem zadane ćwiczenia dwadzieścia trzy razy. Następnego dnia dowiedziałem się, że można mieć zakwasy mięśni twarzy. Ściągnąłem też aplikacje i mózg przestał mi pracować po długiej serii powtarzania sylab. Potem zażyłem przepisane przez neurologkę tabletki i poszedłem spać zmęczony, ale z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Cztery godziny. W pierwszym dniu mojego nowego życia poświęciłem na ćwiczenia logopedyczne cztery godziny.

Wstałem o ósmej i bez pośpiechu zjadłem śniadanie. Odkąd byłem na zwolnieniu, zarzuciłem bieganie i przyzwyczaiałem się do porannego wylegiwania się w łóżku, przynajmniej wtedy, gdy byłem w Vitorii.

W Villaverde zawsze było mnóstwo roboty. Dziadek wstawał, zanim kogut Prudena, naszego sąsiada, zdążył zapaść. Ale teraz byłem u siebie i postanowiłem pozwolić sobie na trochę jesiennego leniuchowania. Włączyłem telefon i zobaczyłem nieodebrane połączenie od Estíbaliz, miałem napisać do niej na WhatsAppie, kiedy na wyświetlaczu ukazał się numer mojego posterunku. Rozległy się dźwięki *Lau teilatu*, piosenki, którą ustawiłem jako sygnał telefonu tego lata. Za bardzo przypominała mi Albę i to, co przeżyliśmy na czterech dachach, ale nie mogłem zdobyć się na to, by tę melodię zmienić, mimo że za każdym razem sprawiała mi ból.

Powiedziałem „tak”, które zostało ostatnio moim ulubionym słowem, bo potrafiłem

je wymówić. Wziąłem sobie do serca to, co mówiła logopedka o odblokowaniu mowy. Myślałem jednak, że to Esti do mnie dzwoni.

– Hm... Inspektor López de Ayala?

– T... tak? – odpowiedziałem już nie tak pewnie, nie rozpoznając niskiego głosu w telefonie.

– Z tej strony agentka Milán, inspektor Ruiz de Gauna wyszła i poprosiła, żebym skontaktowała się z panem i poinformowała o nowościach.

– I? – zapytałem.

To też było łatwe do wymówienia, a tak użyteczne. Czemu wcześniej tego nie zauważyłem?

– No więc inspektorka poprosiła mnie, żebym zajrzała do kont bankowych Any Belén Liaño. Było z tym trochę zachodu. Oczywiście najbardziej interesowało nas konto w Kutxabank, które otworzyła, kiedy wygrała na loterii trzy miliony euro. I co ciekawe, współwłaścicielem tego konta jest Asier Ruiz de Azua.

Zawiesiła głos. Ale ja nie byłbym w stanie zareagować, nawet jeśli odzyskałbym mowę.

– Pogrzebałam trochę w naszych bazach danych – ciągnęła swoim barytonem. – Ciekawe, że niejaki Asier ma czterdzieści lat, jest żonaty i jest aptekarzem. A dokładnie właścicielem dwóch aptek: przy ulicy San Francisco i w dzielnicy Salburua. Wydaje się, że z denatką nie łączyło go żadne pokrewieństwo ani relacje zawodowe. Może był ojcem dziecka, którego się spodziewała?

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Asier, który kilka dni temu zapewniał, że nie widział Annabel Lee od dwudziestu lat, miał z nią wspólne konto bankowe, na którym zdeponowali trzy miliony euro.

ULICA SAN FRANCISCO

22 listopada 2016, wtorek

Po chwili odebrałem drugi telefon, tym razem od Estíbaliz.

– Natychmiast przyjeźdź do apteki twojego przyjaciela Asiera na ulicy San Francisco – powiedziała, a ton jej głosu nie wróżył nic dobrego. – Znalazłam go tu przed chwilą na podłodze.

Wypadłem z domu i zbiegłem po schodach, mój mózg nie obudził się jeszcze do końca ze snu i nie pracował na pełnych obrotach, więc starałem się powstrzymać od snucia jakichkolwiek domysłów.

Nie chciałem przyjąć do wiadomości, że Asiera spotkało coś złego. Znałem go od niemal czterech dekad, nie wyobrażałem sobie, że coś mogłoby go zniszczyć albo złamać.

Nie, na pewno nie stało się nic poważnego.

Pięć minut później byłem już w aptece przyjaciela. Estíbaliz dała mi znać gestem, żebym jak najszybciej do niej dołączył.

Apteka, którą zawiadywał teraz Asier, wydawała się żywcem wyjęta z innej epoki: podłoga z czarno-białej mozaiki, fiołki na leki z porcelany z Limoges i stare miedziane wagi.

Na widok Asiera rozciągniętego na dziewiętnastowiecznej podłodze, z fartuchem pochłapanym krwią, niedającego oznak życia, prawie dostałem zawału. Rzuciłem się w jego kierunku, żeby zmierzyć mu puls.

Estíbaliz patrzyła na mnie zmartwiona.

– Spokojnie, Unai. Żyje, ale jest nieprzytomny. Nie wiem, czemu nie ma jeszcze karetki, dzwoniłam już jakiś czas temu. Asier ma głęboko rozciętą brew, dlatego tak bardzo krwawi. Podejrzewam, że uderzono go w głowę.

Trochę po wpół do dziewiątej Vitoria leniwie budziła się ze snu. Na starówce wiele sklepików otwierało się dopiero o dziesiątej, z rzadka ulicą przemykał jakiś senny przechodzień zmierzający do pracy na automatycznym pilocie. Nikt nie zauważył

farmaceuty leżącego na podłodze apteki.

Nie mogłem otrząsnąć się z przerażenia. Widok martwego, jak mi się w pierwszej chwili wydawało, przyjaciela, którego znałem od pierwszej klasy podstawówki, zupełnie mnie załamał, zacząłem wątpić w słuszność decyzji o powrocie do zawodu policjanta. Przynajmniej funkcjonariusza Wydziału Kryminalnego, który co kilka tygodni musi oglądać zwłoki. Czy byłem gotowy na powrót? Czy naprawdę go pragnąłem?

Na szczęście Asier miał chyba twardszą czaszkę niż ja, zwłaszcza kość potyliczną. Rosnący z każdą chwilą guz świadczył, że ktoś rąbnął go właśnie tam. Ale najgorsze wrażenie robiła krew tryskająca z lewej brwi.

Nagle zauważyłem na jego dłoni coś, co mi się nie spodobało. Wziąłem z łazienki dla personelu ręczniki papierowe, żeby zatamować krwotok, a przy okazji zakryłem dłoń Asiera, żeby Esti nie zobaczyła tego co ja.

Pozwól, że najpierw sam z nim porozmawiam – napisałem.

Moja partnerka niechętnie się na to zgodziła. Przetaszczyliśmy Asiera do małego gabinetu na zapleczu i położyliśmy go na kanapie. Po chwili ocknął się z grymasem bólu na twarzy.

Jak się czujesz? – próbowałem zapytać bez słów.

Nienawidziłem afazji. Jak miałem mu powiedzieć, że się o niego martwię, że przeraziłem się, kiedy przez chwilę byłem przekonany, że nie żyje?

– Matko, jak ja wyglądam – wyjąkał, patrząc na zakrwawiony fartuch. – Pomóż mi się przebrać, za pół godziny przyjdą moi pracownicy, a nie chcę, żeby zobaczyli mnie w takim stanie. Rozumiesz? Nie chcę i już.

A co się stało? – napisałem na telefonie.

– Jakiś skurwiel uderzył mnie w głowę i straciłem przytomność. Nie widziałem go. Pewnie jakiś ćpun ranny ptaszek, mam ich po dziurki w nosie. Zobaczymy, czy coś ukradł. – Próbował wstać z kanapy.

Powstrzymałem go.

Nie widziałeś go? – napisałem.

Dlaczego mnie okłamujesz, przyjacielu?

– Dopiero zapalałem światła. Jak kretyn nie zamknąłem za sobą drzwi. Kiedy znalazłem się w pomieszczeniu z korkami, ktoś napadł mnie z tyłu.

No dobrze, sam tego chciałeś.

Asierze, zanim ktoś uderzył cię w potylicę, rozcięto ci brew. A ty się bronieś, znać to po twoich knykciach obdartych do mięsa. Widziałeś go, kolego. Wiesz, kto cię napadł, i ukrywasz to przede mną. Co tu się, kurwa, dzieje? – napisałem, tracąc cierpliwość.

– Mówiłem ci, to na pewno jakiś ćpun. Nic nie widziałem – upierał się.

W tej okolicy w dni powszednie nie ma zbyt wielu narkomanów. Przyjechaliśmy tu, bo podczas śledztwa w sprawie śmierci Any Belén Liaño odkryliśmy coś niepokojącego. Naprawdę będziesz wszystkiemu zaprzeczał?
– Czułem się już trochę zmęczony postawą przyjaciela.

– Zaprzeczał? A czemu właściwie?

Że otworzyliście wspólne konto, kiedy wygrała na loterii.

– Nie muszę ci się z tego tłumaczyć, Unai. To moje prywatne sprawy.

Przestają być prywatne, kiedy toczy się śledztwo o zabójstwo.

– Masz nakaz aresztowania?

Ale z ciebie skurwiol, kolego. Na razie nie, ale jeśli będziesz dalej kręcił i odmawiał współpracy, być może inspektor Gauna przyjdzie cię zatrzymać pod zarzutem utrudniania pracy wymiarowi sprawiedliwości. To nie jest wykluczone – pokazałem mu te słowa, chociaż brzydziłem się sobą. – Mam jeszcze jedno pytanie: kiedy powiedziałem wam, że Ana Belén nie żyje, poinformowałeś o tym żonę?

Araceli, żona Asiera, była bardzo fajną osobą, ale wiedziałem, że w przeszłości mieli problemy: była patologicznie zazdrosna o różne eks swojego męża, Asier zaś po ślubie nie do końca wygrzeczniał. Bardzo mnie ciekawiło, jak mój przyjaciel przedstawił żonie kłopotliwy temat śmierci Annabel Lee.

– Nie mieszaj w to Araceli, Kraken – zagroził, a jego twarz wykrzywiła się we wściekłym grymasie. – Albo się pogniewamy. Nawet o niej nie wspominaj. I nie rozmawiaj z nią o tym.

Nie chcesz, żebym dowiedział się o przemoc domowej? A te kłykcie zdarłeś sobie na jej twarzy?, pomyślałem.

W tym momencie wparowała Estíbaliz. Cierpliwość nigdy nie należała do jej mocnych stron. Na twarzy miała wypisane: „Dałam wam już dość czasu, żebyście mogli się nagadać”.

– Cześć, Asier. Widzę, że nie chcesz ułatwić nam zadania. Zamierzasz złożyć doniesienie na tego niewidzialnego ćpuna?

– A na co się to zda? Pobiegniesz go szukać? Przyniesiesz mi go w kajdankach i na tacy? – odpowiedział swoim zwykłym zimnym i drwiącym tonem.

– Nie bądź taki bojowy, nie masz zbyt wielu asów w rękawie. Pozwól, że przejdę do sedna sprawy: dlaczego dwa dni przed śmiercią Any Belén Liaño wyjąłeś dwieście tysięcy euro z waszego wspólnego konta?

Nie wiedziałem o tym, Milán nie zdradziła mi tego szczegółu. Muszę przyznać, że kompletnie mnie zatkało. Dwieście tysięcy euro? Na co potrzebna była Asierowi tak astronomiczna kwota?

– Jak już mówiłem Krakenowi, nie będę o tym z wami rozmawiał, póki nie pokażecie mi nakazu aresztowania – odpowiedział.

Spojrzałem na zaciętą minę Asiera i zrozumiałem, że nic z niego nie wyciągniemy.

Nic a nic.

– Jak zareagowała Ana Belén na to, że uszczknąłeś co nieco z jej wygranej? Wkurzyła się, pokłóciliście się, nazwała cię złodziejem, skurczybykiem? – naciskała Esti, wczuwając się w rolę złego gliniarza. – Po to ją zabiłeś, żeby wyjąć pieniądze, zanim się tobą znudzi, żeby położyć łapę na czymś, co i tak było twoje, bo przecież pieniądze leżały na waszym wspólnym koncie?

– Zimno, bardzo zimno... Życzę sukcesów w śledztwie.

W tym momencie przyjechała karetka. Facet o dużym nosie zabrał się do opatrywania rany na brwi, która wciąż krwawiła.

– Wielkie dzięki, całe stare miasto się dowie. Kurwa, inspektor Kraken, mistrz dyskrecji. Wielkie dzięki, naprawdę – wycedził przez zęby, kiedy sanitariusz wrócił do karetki po nowe materiały opatrunkowe.

I rzucił mi spojrzenie, które skwasilo mi humor na cały dzień.

Wyszliśmy z Esti z apteki, czując to samo: wściekłość, która powoduje wrzody żołądka.

– Chodź, zapraszam cię na śniadanie do hali targowej Abastos. Twój milutki przyjaciel tak mnie wkurwił, że miałam ochotę ukraść mu jakieś piguły, na szczęście pohamowałam się. Chodźmy to uczcić, dziś mój wielki dzień – powiedziała ponuro.

Dotarliśmy na miejsce, zamówiliśmy tortillę w Txiki, a Estíbaliz podeszła do

kontuaru i wróciła do stolika z egzemplarzami „El Correo Vitoriano” i „El Diario Alavés”.

– Nie zauważyłeś niczego? – zapytała, przewracając strony „El Diario Alavés”.

– N... nie – odważyłem się powiedzieć na głos.

– Nasz przyjaciel Lutxo milczy jak grób. Jego gazeta nie wspomniała o Anie Belén Liaño. Nie wspomniał o niej też „El Correo Vitoriano”. Ale Lutxo był na pogrzebie, musiał o wszystkim wiedzieć. Rozumiem, że to ty mu opowiedziałeś.

Tak, czułem, że powinni się dowiedzieć. To była przyjaciółka z młodości, mieli do tego prawo – argumentowałem.

– Jeśli chodzi o eufemizmy, jesteś moim bohaterem. „Przyjaciółka z młodości”. – Puściła do mnie oko. – Ale wracając do Lutxa: to chyba pierwszy raz, kiedy rezygnuje z chwytliwego nagłówka.

Powiedziałem mu, że śledztwo jest tajne – wyjaśniłem.

– Domyślam się, ale Lutxo mógłby napisać o śmierci rysowniczkki komiksów Annabel Lee, nie wiążąc tego ze znalezieniem zwłok turystki w tunelu San Adrián. A nie zrobił tego – zauważyła.

Może ze względu na szacunek do Annabel Lee – napisałem, chociaż sam w to nie wierzyłem.

– A może zależy mu, żeby informacja nie wyszła na jaw – rzuciła z ustami pełnymi tortilli.

Godzinę później, z potężną porcją węglowodanów w krwiobiegu, wkroczyliśmy do gabinetu doktor Guevary w Pałacu Sprawiedliwości na końcu alei Gasteiz.

W piątek po zebraniu przeprowadzono sekcję zwłok Any Belén i dostaliśmy z niej raport, ale rozmowa z Hectorem del Castillo z Kantabryjskiego Muzeum Archeologicznego nasunęła nam kilka wątpliwości, które chcieliśmy z nią wyjaśnić.

Specjalistka od medycyny sądowej przywitała nas z za swojego biurka i poprosiła, żebyśmy usiedli.

– Jak spędziliście weekend? Udało się wam zapomnieć o koszmarnej gradobicie?

– Trzeba jakoś żyć dalej. A jak pani się czuje?

– Bardzo przeżywam śmierć Cuesty. Długo pracowaliśmy razem. Ciężko mi z tym, no ale to prawda, trzeba żyć dalej. W czym mogę wam pomóc?

– Mamy wątpliwości dotyczące śmierci Any Belén Liaño. Pewne nowe fakty każą nam myśleć, że jej zabójstwo nie było pozbawione elementów rytualnych – zaczęła Estíbaliz.

– Tak, waszym obowiązkiem jest dowiedzieć się, kto dopuścił się tej zbrodni – przerwała lekarka. – I zgadzam się z panią. Pracuję w zawodzie już tyle lat, a jeszcze nigdy nic podobnego nie widziałam. Powiesić kogoś za nogi, ze związanymi rękami i zabić, topiąc w kotle pełnym wody... To na pewno nie jest typowa śmierć.

A gdyby były to trzy śmierci, a nie jedna? – napisałem na telefonie.

– Jak to trzy? Nie rozumiem pytania, inspektorze.

– Mój partner chce się dowiedzieć, czy sądzi pani, że Anę Belén Liaño zamordowano, wzorując się na celtyckiej ceremonii zwanej potrójną śmiercią. Rytuał polegał na spaleniu, powieszeniu i utopieniu ofiary. Ale w tym wypadku brakuje nam elementu ognia. Przeczytaliśmy uważnie raport z sekcji, obejrzeliliśmy wszystkie zdjęcia ciała, te wykonane podczas oględzin i te, które dostaliśmy od pani. I mamy jedno pytanie. – Estíbaliz pokazała zdjęcie ze zbliżeniem szyi Annabel. – Czy te dwie ranki na karku mogą wskazywać na to, że zabójca użył tasera?

Lekarka sądowa oddaliła zdjęcie na odległość ramienia, następnie założyła wiszące na złotym łańcuszku okulary w półokrągłych oprawkach.

– Nie jestem specjalistką od paralizatorów – powiedziała cicho, przyglądając się zdjęciu. – Ale wydaje mi się, że te ślady mogą wskazywać na użycie tasera. Znajdują się poniżej siniaka i myślałam, że to jeden z tych urazów, które sama spowodowała, próbując się uwolnić. Jeśli chodzi o potrójną śmierć, o której wspomnieliście, ofiara żyła, kiedy zanurzono jej głowę w kotle. Znaleźliśmy wodę w płucach, więc jeszcze oddychała, poza tym stawiała opór. Jeśli wcześniej została sparaliżowana taserem, efekt minął, zanim ją utopiono. Być może zabójca albo zabójcy strzelili jej w kark, ona przez jakiś czas nie mogła stawiać oporu, wtedy skrępowano jej ręce, przywiązano linę i wciągnięto na drzewo. Kiedy zanurzono jej głowę w kotle z Cabárceno, jej mięśnie odzyskały sprawność, próbowała wyjąć głowę i zaczerpnąć oddechu, żeby ocalić życie swoje i synka.

Przełknąłem ślinę, słysząc ostatnie zdanie. Lekarka widziała dwudziestotygodniowy płód i jego płęć nie pozostawiała wątpliwości: to był chłopiec.

Morderca lub mordercy zabili dwie osoby. Nasuwało się pytanie, kto był ojcem dziecka Annabel Lee.

Mogliśmy zrobić test DNA, lekarka zachowała próbki tkanek matki i dziecka. Dałoby się je porównać z próbkami DNA domniemanego ojca. Do tego jednak potrzebowaliśmy nakazu sędziego Olano, a wiedziałem, że go nie dostaniemy, póki nie

przedstawimy wiarygodnych dowodów wskazujących na tożsamość zabójcy Any Belén Liaño.

Daleko nam było do tego etapu śledztwa.

Na razie wiedzieliśmy tylko, że Asiera i Annabel łączy wspólne konto bankowe, ale to było za mało, żeby sędzia Olano wydał nakaz obligujący Asiera do wykonania testu na ojcostwo.

A jednak postanowiłem podrażnić tę kwestię. Wysłałem do Araceli wiadomość na WhatsAppie. Chciałem wiedzieć, czy miała coś wspólnego z rozciętą brwią Asiera, a także sprawdzić, czy na jej twarzy nie ma śladów uderzeń.

„Kaixo, Araceli – napisałem. – Możemy się spotkać?”

„Coś się stało, Unai?” – odpowiedziała po chwili.

„Nie, nic – skłamałem. – Chciałem pójść na kawę, pogadać, dawno się nie widzieliśmy”.

„Jasne. Może w przyszłym tygodniu. Ja jestem cały tydzień w Deusto. Mam mnóstwo lekcji, wiesz, jak jest”.

„Dobra, to daj znać, jak będziesz w mieście. Do zobaczenia”.

Byłem równie sfrustrowany jak Estíbaliz.

Nie rozmawialiśmy prawie w drodze powrotnej, wiedzieliśmy już, że w zabójstwie Any Belén użyty został również element ognia, a wizja ponurego celtyckiego rytuału potrójnej śmierci nie napawała optymizmem na przyszłość.

W zbrodniach rytualnych liczy się raczej ceremonia, a nie o konkretna ofiara. To oznaczało, że zabójstwa mogły się powtórzyć.

Jeśli chodzi o morderstwo Rebeki Tovar, raczej wykluczaliśmy możliwość, że użyto tasera, bo w 1993 roku nie była to broń popularna w Europie. Nie wiedzieliśmy jednak, czy po tym, jak została zdjęta z drzewa w Fontibre, jej ciało nie zostało spalone.

Może dlatego nigdy go nie odnaleziono.

Z trudem powstrzymałem mdłości na myśl o zwęglonym ciele Rebeki. Wydawało mi się, że to zbyt okrutny i makabryczny koniec dla tak wrażliwej dziewczynki jak ona.

PASEO DE FRAY FRANCISCO

23 listopada 2016, środa

O szóstej zadzwonił budzik. Wyszedłem na ulicę o wpół do siódmej. Lodowata Vitoria była jeszcze pogrążona w ciemnościach, ale nie zwracałem na to uwagi. Pobieglem przez park Florida, który o tej porze przypominał dżunglę, i zwolniłem nieco, kiedy dotarłem do Paseo de la Senda.

I tam ją zobaczyłem. Biegła jak zwykle w białych legginsach. Zdziwiła się na mój widok. Domyśliłem się, że nie przerwała treningów i wróciła do naszych wspólnych tras.

Dla mnie ujrzanie jej w tym miejscu jeszcze przed świtem było jak przeniesienie się z powrotem do początków sierpnia. Do tamtego uczucia, które pojawiło się między nami, nie zważając na to, że śmierć była już w drodze.

Teraz w drodze było też nowe życie i oboje o tym wiedzieliśmy.

– Inspektor Ayala czy Unai? – zapytała na mój widok.

Obaj – napisałem.

– W takim razie słucham.

Staliśmy pod latarnią, z której sączyło się żółte światło. Niebo nie przybrało jeszcze tej niebieskawej barwy, jaką ma zwykle o świcie w Vitorii.

Nie chcę, żebyśmy zmarzli, a mam sporo do napisania, może teraz chwila marszu? – wystukałem.

– Dobrze, o co chodzi?

Ruszyliśmy w stronę ulicy Fray Francisco.

Inspektor Gauna poinformowała cię pewnie o tożsamości współwłaściciela konta ofiary, Asiera Ruiza de Azuy, żonatego farmaceuty, który padł ofiarą napadu, kiedy wczoraj otwierał swoją aptekę, ale nie chciał złożyć

doniesienia.

– Tak, o tym słyszałam. Czy jest coś jeszcze?

Tak. Jest coś więcej. Nie poinformowałem cię o tym, bo bardzo chciałem, żebyś pozwoliła mi uczestniczyć w śledztwie w charakterze biegłego. Bałem się ryzykować, że się nie zgodzisz.

Nie spodobało jej się to. Zatrzymała się i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Unai, bardzo cię proszę, powiedz mi wszystko.

Ofiara była moją pierwszą dziewczyną – wyznałem. – I Asiera też, on jest moim przyjacielem. I Lutxa, dziennikarza z „El Diario Alavés”. I jeszcze jednego kumpla, Josego Javiera Huety alias J.

Alba szybko połączyła elementy układanki.

– Unai, chcesz mi powiedzieć, że trzech twoich przyjaciół i ty mieliście jedną dziewczynę? Proszę, nie zamierzam powtarzać oklepanych dowcipów o vitorczykach, którzy dzielą się wszystkim.

Nie w tym rzecz – odpisałem. Nie byłem w nastroju do żartów. – To był nasz pierwszy raz, dla wszystkich czterech. Wszystko działo się w lipcu 1992 roku, pojechaliśmy na obóz dla wolontariuszy, gdzie pracowaliśmy przy rekonstrukcji celtyckiej wioski w Kantabrii. Musisz też wiedzieć, że Rebeca Tovar, czternastolatka powieszona na drzewie w Fontibre, i jej ojciec byli na tym obozie.

– Dalej, Unai. Nie ukrywaj przede mną niczego. Teraz mówi do ciebie szefowa, która ręczy za ciebie własnym stanowiskiem.

Skonsultowaliśmy się ze specjalistą od kultury celtyckiej: być może sposób, w jaki zabito obie kobiety, ma związek z ofiarami składanymi dwa tysiące lat temu na terenach znajdujących się pod wpływem kultury celtyberyjskiej, czyli u nas, ale też w Kantabrii. Celtycka potrójna śmierć: ofiary były palone, wieszane i topione w wodach mających znaczenie dla kultów płodności. Podejrzewamy, że Rebeca też była w ciąży, i być może obie ofiary zostały ukarane za to, że nie byłyby dobrymi matkami. W myśl tego rytuału dzieci miały być oddane boginiom z celtyckiego panteonu: Trzem Matronom, boginiom matkom.

– Boże, nie, tylko nie to... Tylko nie kolejny psychopata... – wyszeptała i złapała się za głowę w geście pełnym bólu, którego się nie spodziewałem.

Alba dość powściągliwie okazywała uczucia i nie bardzo wiedziałem, jak się zachować, widząc jej smutek.

– Co o tym sądzisz jako profiler?

Żeby zacząć mówić o seryjnym mordercy, potrzeba trzech zabójstw i okresu uśpienia pomiędzy nimi, wiesz o tym tak dobrze jak ja. Ale nie możemy przymykać oczu na podobny modus operandi obu sprawców, a z punktu widzenia wiktymologii podobieństwa są aż nazbyt oczywiste: niezamężne kobiety w ciąży. Albo, to wszystko wygląda paskudnie. Mam wrażenie, że to początek nowej serii, a morderca czy mordercy mieli wielkie szczęście. Pomogło im załamanie pogody w San Adrián... Jeśli to byli ci sami sprawcy co w Fontibre, być może ukryli wtedy ciało ze strachu, że znajdzie je policja. Tym razem turyści odnaleźli ciało mimo złej pogody, w zimie, i to w dzień powszedni. Myślę, że mordercy zamierzali wrócić po kocioł. Ale w prasie nie było wzmianki o przestępstwie, niewykluczone więc, że poczują się bezkarni i zaczną działać odważniej. Obawiam się, że może to skrócić okres uśpienia.

Alba przeczytała to i usiadła na ławce naprzeciwko Villa Sofía, orientalnego dziewiętnastowiecznego pałacyku, który mógłby wprawdzie służyć za ilustrację do *Baśni tysiąca i jednej nocy*, ale niezbyt pasował do znajdującej się nieopodal siedziby lehendakariego[4]. Alba zapatrzyła się w niezwykłą kopułę budynku i minarety, jakby miała tam znaleźć klucz do zagadek wszechświata.

– Nie powiedziałeś mi, że znalazłeś ofiarę, a ja włączyłam cię do śledztwa. Poręczyłam za ciebie, a wiesz doskonale, w jakiej sytuacji się znalazłam i że będzie jeszcze gorzej, kiedy wybuchnie skandal związany z moją ciążą. A ty zatajasz przede mną tak ważną informację? Nie grasz czysto, Unai.

Pokiwałem głową, nie miałem argumentów na swoją obronę.

– Unai, nie wolno ci łamać zasad i lekceważyć hierarchii z osobistych powodów. Pociągniesz nas wszystkich za sobą, już tak się stało w poprzedniej sprawie. Nie możesz liczyć na powrót do pracy, jeśli będziesz ukrywał informacje ważne dla śledztwa.

Przypominam, że oboje wkurzyliśmy twojego męża, dlatego zginęła moja szwagierka i brat Estíbaliz. Nie chcę być dla ciebie niesprawiedliwy, ale ty też złamałaś zasady.

– I będę za to drogo płacić do końca życia – westchnęła.

Nie chcę dyskutować o tym, na co nie mamy już wpływu, nie zmienimy przeszłości – napisałem. – Wydaje mi się, że jestem najwłaściwszą osobą do poprowadzenia tego śledztwa. Znam środowisko, znałem ofiarę, być może będę znał podejrzanych. Nie odsuwaj mnie. Estíbaliz jest równie uparta jak ja i znakomicie prowadzi dochodzenie, ale ona nie znała ofiar. Nie lekceważ tego, co mogę wnieść do tej sprawy. Pamiętaj, że musimy powstrzymać bestię. Albo bestie.

– Pamiętam o tym, Unai, nieustannie o tym pamiętam. Jesteś jednym z najlepszych profilerów w tym kraju, uważam, że jeśli nie wrócisz do zawodu, będzie to dla nas wielka strata, ale nigdy nie zatajaj przede mną informacji. Nie pozwolę ci na to. Nie rób mi piekła w pracy, rozumiesz?

Pokiwałem głową.

Świtało już, kiedy Alba spojrzała na zegarek, podniosła się z ławki i pobiegła Paseo de la Senda.

19

ZBIORNIK NA DESZCZÓWKĘ W VILLAVERDE

23 listopada 2016, środa

Wróciłem do domu. Przez cały poranek na próżno czekałem na telefon od Estíbaliz. Domyśliłem się, że pewnie siedzi w gabinecie i nie potrzebuje mojej pomocy. Postanowiłem więc skorzystać z okazji i zajrzeć do Villaverde, swojej małej rodzinnej wioski w górach Álavy, czterdzieści kilometrów od Vitorii.

W tygodniu Germán i ja na zmianę odwiedzaliśmy dziadka, żeby upewnić się, że wszystko w porządku. Wcale nie prosił nas o pomoc, mimo swoich dziewięćdziesięciu czterech zim był zupełnie samodzielny, pracę na roli organizował jak prawdziwy mistrz produktywności, ale w warzywniku zawsze było coś do roboty.

Zastałem go na kanapie, z beretem zsuniętym na czoło, jakby chciał osłonić oczy przed popołudniowym światłem wlewającym się do pokoju przez kuchenne balkonowe okno. Chrapał. Ogień pod kuchnią palił się, ogrzewając nieco grube kamienne mury.

Dziadek miał czujny sen, jak zające, które śpią z jednym okiem otwartym. Kiedy podszedłem bliżej, poprawił beret i zapytał:

– Cześć, co słychać?

Uśmiechnąłem się na znak, że tydzień układał mi się dobrze (co nie do końca było prawdą, ale nie chciałem go martwić).

– Pójdziemy do ogrodu? Chcę zajrzeć do porów.

Pokiwałem głową i ruszyłem za nim po schodach. Warzywnik dziadka przedstawiał teraz smutny widok: niewiele jarzyn znosiło mroźne zimy Villaverde. Obeszliśmy kamienne obmurowanie zbiornika na deszczówkę, mniej więcej w połowie pełnego, z którego czerpaliśmy wodę do podlewania ogrodu.

– Germán mówi, że ta twoja lekarka szybko cię wyleczy. I ciągle podkreśla, jaka z niej piękna kobieta – powiedział dziadek z szelmowską miną.

Tak, jest bardzo ładna, to prawda – napisałem.

Dziadek nie lubił wiadomości pisanych na telefonie. Słabo widział z bliska i nie mógł ich przeczytać bez sięgania po okulary w ciemnych oprawkach.

– A nie powiedziała ci, żebyś w końcu odłożył ten cholerny telefon? – zapytał.

Zabolały mnie jego słowa, zwykle nie był tak ostry.

Nie – odpisałem rozżalony.

Próbuję, dziadku, przecież próbuję, chciałem mu powiedzieć.

– No to chyba nie jest taka dobra. Każdy średnio inteligentny człowiek zorientowałby się od razu, że dopóki radzisz sobie za pomocą telefonu, nigdy nie zaczniesz mówić – burknął zirytowany, zatrzymując się na środku ogrodu.

Jest, jak jest, masz niemego wnuka i musisz się z tym pogodzić – napisałem wersalikami.

Wściekłość wzbierała we mnie i w dziadku też.

Przeczytał moje lapidarne zdanie i zamiast odpowiedzieć, wyrwał mi telefon i wrzucił go do zbiornika na deszczówkę.

– Nie! – krzyknąłem, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę to zrobił.

Pobiegłem po drewnianą drabinę stojącą w szopie z narzędziami.

– Teraz nie masz już wyboru, musisz mówić – stwierdził, jak zwykle do bólu logiczny.

Puściłem jego uwagę mimo uszu. Wszedłem na drabinę mniej ostrożnie, niż powinienem, i zajrzałem do zbiornika. Miał trzy na cztery metry, nie było widać dna, bo na powierzchni pełno było wodorostów i gałęzi.

Ruszyłem po grabie. Próbowałem się uspokoić, ale miałem ochotę rzucić się na dziadka z pięściami.

Chce ci pomóc, uważa, że robi to dla twojego dobra, powtarzałem sobie, ale to nie bardzo pomagało.

Znów wspiąłem się ostrożnie na rozklekotaną drabinę i zacząłem grzebać po dnie.

Spędziłem dwie godziny, dwie rozpaczliwe godziny, przeczesując dno zbiornika. Wyciągałem kolejne porcje galaretowatych wodorostów i zbutwiałych gałęzi.

Dziadek przyszedł do mnie w porze obiadowej z zatroskaną miną.

– Chodź, synku, musisz coś zjeść.

Pokręciłem głową, zawzięcie przeczesując jeden z rogów zbiornika.

– To tylko komórka. Teraz nawet w nocy jej nie wyłączasz. Nie możesz przez resztę

życia pisać wiadomości. Ludzie się zmęczą.

– Nie szoo... – Chciałem powiedzieć „nie szkodzi”, ale wciąż nie potrafiłem wydusić z siebie najprostszego zdania.

Poszedłem z dziadkiem na obiad. Zupa krem z cukinii trochę poprawiła mi humor, ale wciąż myślałem tylko o dnie tego przeklętego zbiornika.

Kiedy pochłonałem wszystkie upieczone przez dziadka kasztany, wróciłem do misji ratunkowej. Zmieniłem taktykę: włożyłem wysokie rybackie kalosze i wlałem do zbiornika, nie zważając na to, że woda była lodowata. Podziękowałem w duchu za swoje długie ramiona i zacząłem przeszukiwać, piędź po piędzi, dwanaście metrów kwadratowych śliskiego podłoża. Dopiero późnym popołudniem, kiedy zapaliły się latarnie, a nogi zdrętwiały mi z zimna, odzyskałem to, co zostało z mojego telefonu.

Bąłem się spięcia, więc natychmiast wyjąłem baterię. Zniosłem komórkę do domu z takim nabożeństwem, jakby była to biała, ważąca pół kilograma trufla, i zacząłem osuszać ją papierowym ręcznikiem. Telefon musiał teraz poleżeć kilka godzin w suchym, ale niezbyt gorącym miejscu, więc zrezygnowany postanowiłem spędzić noc w Villaverde, nie mając pojęcia, czy ożyje, czy nie.

Dziadek cierpliwie i dyskretnie wszystkiemu się przyglądał. Wiedziałem, że musimy pogadać.

Poszedłem do sypialni i wyjąłem kartkę z szuflady nocnego stoliczka.

Tym razem przesadziłeś, dziadku. W tym telefonie miałem wszystkie kontakty i zdjęcia, których nie zachowałem gdzie indziej. To było moje biuro i moje życie – napisałem olbrzymimi literami.

– Życie, synku, to ty masz przed sobą i właśnie je sobie rujnujesz przez swoje tchórzostwo. I jeśli wyrzuciliśmy pięćset euro przez okno, żeby ci to uświadomić, wciąż uważam, że była to dobra inwestycja. Zapłacę ci za to ustrojstwo, nie martw się – powiedział pojednawczo.

Lekcje dziadka bywały bolesne, często bardziej dla niego niż dla mnie.

Dziadek miał rację, komórka to tylko przedmiot, a ja pozwoliłem mu zmienić się w centrum egzystencji, koło ratunkowe, protezę, jak celnie zauważył Héctor del Castillo.

W końcu poszedłem do pokoju i położyłem się spać. Następnego ranka zbudziłem się z niespokojnych snów i wyskoczyłem z łóżka. Włożyłem baterię do telefonu, ale się nie włączył. Padł na amen.

Otworzyłem laptop i zacząłem się zastanawiać, co teraz zrobić. Musiałem jak najprędzej pojechać do Vitorii po nowy aparat, żeby być przydatny w śledztwie.

Koledzy z Wydziału do Walki z Cyberprzestępczością ani Milán nie powinni mieć dostępu do pamięci mojego telefonu. Wciąż były tam wiadomości, które wymienialiśmy z Albą pod koniec lata, nie chciałem, żeby ktoś obcy je czytał.

Wahałem się przez długą chwilę, a potem, niezbyt przekonany co do słuszności tej decyzji, wysłałem wiadomość:

Golden, potrzebuję twojej pomocy. Natychmiast – napisałem.

Golden Girl, złota dziewczyna hiszpańskiego hakerstwa, wysoko ceniła swoje usługi. Pod powierzchownością złośliwej siwowłosej staruszki kryła się specjalistka od bezpieczeństwa cyfrowego, która całe dekady przepracowała w Cisco i biła na głowę wielu doświadczonych hakerów.

Jak sobie życzysz, Kraken. Wiesz, gdzie mnie szukać – odpisała po minucie.

Opowiedziałem jej pokrótce o utopionej komórce i umówiłem się półtorej godziny później w Vitorii, żeby wręczyć jej to, co zostało z mojego telefonu.

Golden mieszkała na Cantón de las Pulmonias, uliczce, w której wiał tak silny wiatr, że od lat mieszkańcy Vitorii przypisywali jej winę za wiele przypadków zapalenia płuc. Dom Golden sąsiadował z dawnym seminarium, budynkiem naprzeciwko placu przed Starą Katedrą.

Powitała mnie na progu mieszkania. Siwe włosy podcięła na wysokości żuchwy, a trzymane w ręku kule sprawiały, że wyglądała na znacznie starszą, niż ją zapamiętałem. Nie wpuściła mnie do środka, była bardzo ostrożna, nie ufała nikomu, nawet mnie.

– A to? – zapytałem głośno na widok kul.

– Miesiąc temu miałam operację biodra. Prawie nie ruszam się z domu i umieram z nudów – wyjaśniła. – Dzięki, Kraken.

– Za co? – udało mi się wydusić.

– Odzyskanie danych z tego telefonu jest praktycznie niemożliwe. Uwielbiam wyzwania. Skontaktuję się, jak będę coś wiedziała. – Uśmiechnęła się, oglądając mój smartfon, jakby miała w ręku jajko Fabergé.

Teraz, z perspektywy czasu, wiem, że to zlecenie zapoczątkowało niemożliwą do powstrzymania serię horrorów, stało się kolejnym ogniwem ciągnącego się nieprzerwanie od czasów paleolitu łańcucha przemocy, o którym wspominał Héctor del Castillo. Ale wtedy tego nie wiedziałem, nie mogłem wiedzieć.

Powtarzam to sobie do dziś, każdej nocy, żeby móc zasnąć.

20

SANDAILI

4 lipca 1992, sobota

Za Saulem i Rebecą rozlokowana na tylnych siedzeniach paczka przyjaciół żartowała albo wyglądała przez okna. Lutxo i Asier obok siebie, J. i Unai za nimi. J. robił nieostre zdjęcia, a potem je wywoływał: stawiał pierwsze nieśmiałe kroki przyszłego fotografa, który właśnie odkrył swoją nową pasję.

Wszyscy przyglądali się z niekłamanym podziwem strojowi Annabel Lee, szerokiej czarnej sukience, odpowiednio krótkiej, stanowiącej doskonały kontrast z odłotowymi żółtymi wojskowymi butami.

Asier zaatakował ją po swojemu:

– Nie jesteś już trochę za duża na te rysuneczki i szlaczki?

Annabel nawet nie uniosła wzroku. Nie mając pod ręką papieru, rysowała sobie na przedramieniu umierającego wisielca. Zainspirował ją widok gałęzi wysokich kasztanowców, które smagały szyby pojazdu na wysokości jej głowy – wcześniej przyglądała im się długo w milczeniu.

– To opowieści, pajacu – odparła, podczas gdy wszyscy inni w napięciu wstrzymali oddech. – Obchodzi cię tylko to, co materialne, nie?

– Bo nic innego nie ma. Zejdź na ziemię, dziewczyno, wcale nie imponuje mi ta twoja gotycka poza, jesteś po prostu biedna.

– Biedna? Spójrz lepiej na swoje tandetne dzinsy. Jak chcesz, możemy się założyć, że w dniu, w którym umrę, będę bogatsza od ciebie.

Asier zagryzł wargi. Wymamrotał „dobra” nieprzyjemnym tonem i oparł się plecami o siedzenie.

Annabel spojrzała na niego, a Unai z niepokojem dostrzegł, że w jej wzroku nie było irytacji, którą przecież powinna odczuwać. Malowały się w niej zaciętość i satysfakcja z podjętej decyzji.

Saúl kątem oka obserwował scenę w lusterku wstecznym, zachowując przez cały czas cierpliwe milczenie systematyka. W podobny sposób obserwował na uniwersytecie

swoich studentów i klasyfikował ich na odpowiednie grupy: alfa, beta, pasywni, agresywni, nieuprzejmi, obojętni... Wszyscy zaliczali się do jakiejś kategorii, a on wiedział, jak to wykorzystać. W tym wieku byli tacy... przezroczyści.

Wreszcie dotarli do celu i zaparkowali. Saúl i Rebeca poprowadzili ich ścieżką przyklejoną do skały. Po chwili marszu dostrzegli wejście do jaskini, w której znajdowała się pustelnia świętego Eliasza. Wiodły do niej wąskie kamienne schody, a pod nimi znajdował się budynek, który, jak wyjaśniła Rebeca, był niegdyś mieszkaniem zakonnic.

Przed wejściem do groty, przy stosie kamieni, zobaczyli prostokątną, wyciętą w skale cysternę. Była bardzo ważna. To właśnie cel ich wizyty, wyjaśnił Saúl.

Poprosił, żeby się zatrzymali.

– Miejscowi nazywają to miejsce Sandaili i być może nie jest to wcale zniekształcona nazwa pustelni, San Elías. Antropolodzy sądzą, że sam rytuał może być znacznie starszy niż chrześcijaństwo, co zachowało się w toponimie. Być może Sandaili to zniekształcona Santa Yilia, a w tym słowie pobrzmiewa imię preromańskiej bogini Ivulii, które pojawiło się na inskrypcji znalezionej w Forua, w Vizcai. To ważna informacja. Musicie wiedzieć, że w religii Celtów jej kult był związany z wodą, a ta cysterna, na którą teraz patrzycie, to miejsce, w którym odprawiano rytuały wody.

Niektórzy, na przykład Lutxo, słuchali z zapartym tchem, inni trochę się nudzili.

– Rytuały wody? – powtórzył J., chcąc przypodobać się mentorowi.

– Tak, w tym zbiorniku gromadzi się woda ściekająca ze stalaktytów jaskini. Jak widzicie, to dość jasna aluzja do spermy jako cieczy, która zapewnia płodność, cysterna zaś symbolizuje macicę. Kobiety z tej prowincji, będącej dziedzictwem rodu Guevara, przez wieki pielgrzymowały tu, żeby odbyć rytuał „zapładniającej kąpeli”. Jak to wyglądało? Zanurzały się do pasa w tym zbiorniku. Kobiety z Oñati nazywały tę ceremonię *beratu*, co po baskijsku oznacza „zmiękczenie”. Miały nadzieję, że ten obrządek pozwoli im zająć w ciążę.

Saúl niespiesznie dzielił się z podopiecznymi tym, co kochał najbardziej: mówił o tym, jak celtyckie rytę przetrwały przez wieki, zamaskowane pod chrześcijańskimi ceremoniami.

Potem weszli do groty i wszyscy, zmęczeni nieco podróżą, odwinęli swoje kanapki z chorizo z folii aluminiowej i usiedli, opierając się o niewysoki murek otaczający pustelnię świętego Eliasza. Budowla z bielonego wapnem kamienia była niewielka, a łukowata nisza z dzwonem dodawała jej uroku.

Po chwili niektórzy zaczęli chrapać, była pora sjesty, a upał tego dnia nie odpuszczał. Gzy trochę przeszkadzały, ale w grocie było chłodniej niż na zewnątrz i wszyscy postanowili uciąć sobie drzemkę.

Prawie wszyscy.

Asier przechadzał się pod ścianą, na której alpinisci często trenowali wspinaczkę. Teraz, w porze największego upału, zniknęli bez śladu. Po sprzeczce z Annabel Lee był w złym humorze. Czy nie traktuje jej zbyt surowo? Może się domyśla?

Nie, na pewno niczego się nie domyśla, nie jest przecież telepatką, przekonywał sam siebie.

Ukazał się Saúl, który wracał z przechadzki po okolicy. Zastał Asiera siedzącego pod skalną ścianą, złego jak osa.

– Słuchaj, zwróciłem uwagę na twoją rękę. – Saúl nie owijał w bawełnę, zdążył już trochę urobić sobie chłopaka.

– O co chodzi z moją ręką? – rzucił Asier agresywnym tonem i schował lewą dłoń do kieszeni dżinsów, choć ledwie się tam mieściła.

– Ten źle zrośnięty paliczek na palcu serdecznym – co to było? Złamanie?

– Tak, złamanie.

– Miałem podobne w twoim wieku. Twój ojciec... Czym się zajmuje?

– Jest magazynierem w supermarkecie. Konkretnie w sieci Eroski. Już możesz się śmiać.

– Dlaczego miałbym się śmiać?

– Bo jesteś wykładowcą uniwersyteckim, a ja synem magazyniera i gospodyni domowej.

– Jaką masz średnią?

– Mam świadectwo z wyróżnieniem.

To był plan A Asiera. Właściwie jedyny, jaki miał: skończyć studia i zostać kimś, awansować. Nie chciał być kolejnym pokoleniem bez wykształcenia. Za nic na świecie nie chciał skończyć jak ojciec, wykonywać źle płatnej, fizycznej pracy.

– W takim razie nie zasługujesz na drwiny, ale na szacunek.

Nigdy w ciągu szesnastu lat życia Asierowi nie zdarzyło się usłyszeć, że ktoś darzy go szacunkiem.

– I co będziesz studiował? Może historię? – zapytał Saúl, wciąż mając nadzieję, że zrekrutuje kogoś z witorczyków na swój wydział.

– Nie, ja chcę być bogaty.

Asier był bardzo skupiony na kwestii finansowej. Jego przyjaciele wiedzieli, że często nie zrzucał się podczas wspólnych wyjść, a potem i tak nalewał sobie *kalimotxo*, za które nie zapłacił. To samo było z papierosami, nie wstydził się sępić, kiedy

przyjaciele byli już wstawieni. Szczególnie wykorzystywał dobrodusznego J., który miał najwięcej kasy.

– Rozumiem – powiedział Saúl. I naprawdę rozumiał chłopaka. – A jeśli chodzi o twojego ojca...

– Zostawmy mojego ojca w spokoju – uciął Asier.

Lepiej, że padło na mnie, a nie na moje siostry, pomyślał w duchu.

– Nie martw się, oczywiście nie złożę żadnego doniesienia. To, co dzieje się w rodzinie, powinno pozostać w rodzinie. Tylko pamiętaj: przyjdzie taki dzień, że kiedy podniesie na ciebie rękę, spojrzysz na niego z góry i powstrzymasz cios.

– Nie powiedziałem, że ktokolwiek mnie bije – odparł Asier niezadowolony.

– Wiem – potwierdził Saúl pewnym siebie, spokojnym tonem.

– Nie mówiłem ci tego! – krzyknął Asier i zerwał się jak oparzony.

Nie chciał o tym rozmawiać.

Saúl patrzył za nim, jak wchodzi po schodach prowadzących do jaskini.

– Wiem – powtórzył pod nosem.

Odczekał piętnaście minut i wsunął się po cichu do groty. Upewnił się, że wszyscy śpią, i podszedł do córki.

– Chodź, maleńka, bogini czeka.

Rebeca spojrzała na niego z przerażeniem.

– Tato, proszę, nie tutaj.

Saúl uśmiechnął się. Nie rozumiał jej lęku.

– Chodź, Beco. Nie zmuszaj mnie, żebym...

I do Rebeki dotarło, że nie ma wyjścia. Przełknęła ślinę, spuściła głowę i zeszła w milczeniu po schodach pod czujnym spojrzeniem swojego ojca.

Unai, który zasnął w niewygodnej pozycji, obudził się chwilę później zdrętwiały i zmęczony upałem.

Rozejrzał się i stwierdził, że nie wszyscy są na miejscu. Trochę wiedziony instynktem, który kazał mu nieustannie sprawdzać, czy wszystko w porządku, a trochę dlatego, że musiał opróżnić pęcherz, zbiegł po schodach i poszukał ustronnego miejsca między drzewami, gdzie mógłby się dyskretnie wysikać.

Takiego widoku się nie spodziewał.

J. leżał na trawie ze spodniami opuszczonymi do kolan. Annabel, siedząc na nim okrakiem, ujeżdżała go w niespiesznym rytmie, a wisielec na przedramieniu falował

razem z nią.

Fałdy sławetnej czarnej sukienki zakrywały miejsce, gdzie łączyły się ich ciała, a opuszczone ramiączko odsłaniało jedną z krągłych piersi będących tematem ich conocnych żartów.

Annabel, doskonale świadoma swoich pięknych kształtów, szeptała J. wskazówki, jak ma ją pieścić, żeby sprawić jej rozkosz.

J. słuchał jej i patrzył urzeczony, jakby ukazała mu się bogini wody.

Unai stał jak wryty, z suwakiem rozporoka opuszczonym do połowy.

Przez chwilę nie mógł się otrząsnąć z wrażenia. Nie był taki święty, ale po raz pierwszy widział seks na żywo. Potem przez wiele lat miał czuć podniecenie na samo wspomnienie widoku J. i Annabel.

Ona zauważyła go pierwsza, ale wcale jej to nie speszyło. Jej oddech stawał się coraz szybszy i płytszy, wzięła posłuszną rękę J. i zasłoniła nią sobie usta, żeby stłumić jęki.

Dla Unaia wizja była boska, niemal nieziemska, dla J. na pewno też. Sądząc po odgłosach, J. miał orgazm. Cała rzecz nie trwała zbyt długo, jak to bywa za pierwszym razem. W końcu Annabel zeszła z J. i wróciła do zwykłego sobie stanu apatii. Spokojnie patrzyła na Unaia.

Ani śladu zmieszania czy wstydu.

Dopiero wtedy J. dostrzegł przyjaciela stojącego pod drzewem kilka metrów od niego.

– Przepraszam, nie chciałem – próbował się usprawiedliwić Unai, kiedy zdał sobie sprawę, że odkryto jego obecność.

– Kurwa, Unai! Widziałeś wszystko? – wyjąkał J., z jego gardła wydobyło się coś na kształt komicznego pisku.

– Przepraszam, przepraszam, już mnie tu nie ma... Przyszedłem tylko się wysikać – mamrotał Unai.

I pobiegł z powrotem po schodach. Obraz tych dwojga wyrył mu się w pamięci na długie lata.

MUZEUM ESTANQUE DE LA BARBACANA

4 grudnia 2016, niedziela

Upłynął ponad tydzień od incydentu z telefonem. Golden udało się ocalić moje zdjęcia. Okazało się, że w konfiguracji WhatsAppa widniała opcja zapisywania wszystkich konwersacji. Musiałem kupić nowy aparat, wyrobić u operatora kopię karty SIM. Moje życie cyfrowe cudem ocalało.

W komisariacie tymczasem pracowaliśmy nad żmudnym etapem dochodzenia: musieliśmy sprawdzić nagrania wszystkich samochodów z kamer Urzędu Gminy Zalduondo znajdujących się w pobliżu parkingu, z którego Annabel Lee i jej towarzyszy lub towarzysze rozpoczęli tamtego ranka wędrówkę do tunelu San Adrián.

Annabel nie miała własnego auta, więc ktoś musiał z nią tam pojechać. Mimo że działo się to dość wcześnie, mieliśmy do sprawdzenia około trzydziestu wozów.

Jeśli zaś chodzi o telefon Annabel, nie udało się go znaleźć. Sędzia Olano wystąpił do operatora o duplikat karty SIM, ale okazało się, że Ana nie dzwoniła zbyt często, a kilka rozmów, które odbyła niedługo przed zabójstwem, to rozmowy z wydawcą. W dzień swojej śmierci nawet telefonu nie włączyła. Nie mogliśmy śledzić jej kroków podczas ostatnich godzin życia.

Popołudniami posłusznie stawiałem się w gabinecie logopedki, przez bitą godzinę powtarzaliśmy sylaby i końcówki wyrazów. Przez ten tydzień poświęcałem średnio pięć godzin na ćwiczenia przed lustrem, ćwiczenia z aplikacjami w telefonie, poza tym zainstalowałem w przedpokoju drążek i za każdym razem, kiedy pod nim przechodziłem, podciągałem się trzy razy. Na początku bolały mnie ramiona, ale starałem się wzmocnić prawą stronę. W domu prawie nie wypuszczałem z prawej dłoni specjalnego ściskacza.

Bałem się, że w tym tempie naprawdę zmienię się w krakena.

W weekend byłem zbyt przygnębiony, żeby spotkać się z naszą paczką, schroniłem się więc w Villaverde. Musiałem spokojnie przemyśleć różne sprawy.

W niedzielę rano odebrałem telefon od Estíbaliz.

– Jesteś w Villaverde, Unai? – krzyknęła w słuchawkę.

Była zdenerwowana, czułem, że ma mi do przekazania złą wiadomość.

– Tak.

– Musisz przyjechać natychmiast do Laguardii.

– Do? – zapytałem, nic nie rozumiejąc.

– Do muzeum Estanque de la Barbacana. Okoliczni mieszkańcy zauważyli ślady włamania do muzeum i zawiadomili policję w Laguardii. Wysłano dwóch agentów, żeby sprawdzili, czy chodzi o włamanie, czy o zwykły wandalizm. Znaleźli młodego mężczyznę powieszzonego na belkach sufitu. Tym razem nie było kotła, ale głowę i ciało do ramion ma mokre, wydaje się, że został utopiony. Milán, Peña i ja jesteśmy już w drodze.

– Jjj... adę – wyjąkałem.

Wsiadłem do outlandera, który drzemał pod balkonem domu dziadka, popędziłem do Laguardii i niecałe pół godziny później zaparkowałem przy południowej bramie miasteczka.

Nigdy nie byłem w muzeum Estanque de la Barbacana. Szybko zorientowałem się, że znajduje się za murami, w okolicach celtyckiego stawu. Zlokalizowałem radiowóz kolegów z Laguardii. Przeszedłem pod taśmami otaczającymi miejsce zdarzenia.

Wyjąłem blachę, ale okazało się, że mnie znają. Wciąż nie mogłem się przyzwyczaić, że zmieniłem się w żywą legendę.

Sędzia zezwolił na oględziny. Poznałem samochody techników kryminalistyki i domyśliłem się, że Muguruza jest na miejscu. Przeszedłem przez aluminiowe drzwi, do których wyważenia wystarczył zwykły łom. Przemierzyłem ciemny korytarz i dotarłem do kontuaru, zza którego personel obsługiwał odwiedzających. Ktoś włączył światło, słychać było nagranie z odgłosami wody. Ściany i sufit pomalowano na bardzo intensywny odcień niebieskiego, wpadający w indygo. Doznałem onirycznego wrażenia, że spaceruję po dnie morza.

Na tablicach opisano obyczaje celtyberyjskiego plemienia, które zamieszkiwało okolicę dwa tysiące sto lat temu. Ten okres historii był mi znany nie tylko z nauk Saula Tovara. W celtyberyjskiej osadzie La Hoya znajdującej się na obrzeżach Laguardii Nancho zabił dwoje pięcioletnich dzieci i było to drugie zabójstwo z serii rozpoczętej zamordowaniem dwojga noworodków w dolmenie.

Znalazłem się nad brzegiem stawu, największego tego typu sztucznego zbiornika w Europie. Figurę kobiety ustawiono tak, jakby zbliżała się, żeby zaczerpnąć wody. A może odprawić związany z nią rytuał?

Zobaczyłem ofiarę. Z rękami skrępowanymi na plecach wisiała za nogi na grubej

linie przełożonej przez solidną betonową belkę sufitu. Koniec liny przywiązano do drążka jednej z tablic informacyjnych, co utrzymywało ciało mężczyzny w górze. Był niewysoki, wyglądał na młodego. Muguruza wręczył mi ochraniacze na buty i podszedłem do ciała.

Ukląknę na znak szacunku. Dla pierdolonej śmierci, dla tego ciała, które zaledwie kilka godzin temu było jeszcze żywe.

„Tutaj kończy się twoje polowanie, tutaj zaczyna się moje”.

Twarz była trochę opuchnięta, ale ofiarę dało się rozpoznać. Przynajmniej ja ją rozpoznałem.

Nieżywym mężczyzną, który wisiał przede mną, był mój przyjaciel J.

22

HOTEL DOÑA BLANCA

4 grudnia 2016, niedziela

Nie bardzo pamiętam, co zrobiłem potem. Nie wiem, któremu z techników kryminalistyki podałem nazwisko nieżyjącego przyjaciela. Wysłałem wiadomość do Estíbaliz, tego jestem pewien, bo widziałem ją później w swoim telefonie.

Poprosiłem, jak wymagający biegły, żeby zleciła lekarce sądowej zbadanie, czy na ciele J. są ślady po paralizatorze.

Później zadzwoniła do mnie Alba.

– Jestem w Laguardii. Od Estíbaliz wiem, kim jest kolejna ofiara. Przyjedź do mnie, Unai. Musimy porozmawiać. Zaraz wyślę ci adres. Ja muszę się spotkać z sędzią Olano i pojadę do muzeum. Czekaj na mnie w domu. Potraktuj to jak prośbę albo rozkaz, ale przyjedź jak najszybciej, dobrze?

– Tak – powiedziałem.

Było mi wszystko jedno, czy mój głos zabrzmiał piskliwie. Czułem nieznośną apatię dręczącą mnie od chwili, kiedy rozpoznałem sinawą twarz J. Nie potrafiłem się pozbierać.

Wyszedłem z muzeum, nie zegnając się z nikim. Mieli i tak dużo roboty. Nie chciałem uczestniczyć w zbieraniu dowodów. Nie chciałem myśleć o ostatnich chwilach przyjaciela z dzieciństwa, złotego dziecka, o które wszyscy dbaliśmy i które wszyscy zawiedliśmy.

Biedny, pokonany J. Myśleliśmy, że to alkohol zniszczy mu przyszłość.

Nie pamiętam naszego pierwszego spotkania, to musiało być na rozpoczęciu roku w pierwszej klasie w szkole Świętego Wiatora. Nikt nie pamięta dobrze swoich pierwszych szkolnych lat. Kiedy według neurologów zaczynamy regularnie zapamiętywać wydarzenia?

Nie miałem pojęcia. W tamtej chwili nie miałem pojęcia o niczym.

Ruszyłem przed siebie. Alba przysłała mi swój adres w Laguardii. Nie wziąłem samochodu, nie czułem się na siłach prowadzić. Przemierzałem brukowane ulice

i miałem wrażenie, że wehikuł czasu przeniósł mnie do średniowiecza. Nad wejściem do jednego z budynków widniał złowrogi symbol *eguzkilore*.

– Nie teraz, błagam – wyszeptalem, przechodząc obok.

Złe wspomnienia zdawały się czyhać na mnie wszędzie.

Szedłem na północ w kierunku ulicy, którą wskazała mi Alba. Czułem się trochę skołowany, kiedy stanąłem przed budynkiem przypominającym zameczek. Znajdował się w nim hotel, hotel Doña Blanca.

Była to okazała stara budowla górująca nad okolicznymi domami, nie brakowało jej nawet ośmiokątnej wieży. Wspiąłem się po stromych kamiennych schodach i zdezorientowany otworzyłem drzwi, nad którymi wisiał szlachecki herb.

Wszedłem do pomieszczenia, które okazało się barem. Stosowną do miejsca dekorację stanowiły witraże i metalowe kraty, boczną ścianę porastał bluszcz. W sali było dużo ludzi, nie wiedziałem, gdzie szukać Alby.

Podeszła do mnie kobieta na oko siedemdziesięcioletnia. Właściwie powinienem powiedzieć: dama. Wszystko w niej wydawało się dystygowane: gęste blond włosy z nieskazitelnymi pasemkami, krótkie i starannie uczesane, ciepła peleryna okrywająca jej ramiona, ponadczasowo elegancka.

– Dzień dobry, Unai. Czekałam na ciebie. Nazywam się...

Aurora Mistral, pomyślałem, nie mogąc uwierzyć, że stoję przed legendą hiszpańskiego kina i teatru XX wieku. Aktorką, która zdobyła wiele nagród i zaskarbiła sobie sympatię rodaków, a zostanie zapamiętana na zawsze dzięki roli w przedstawieniu *Dom Bernardy Alby*.

Wiedziałem, że odeszła na emeryturę już dawno temu, nie miałem jednak pojęcia, że mieszkała w Laguardii. Dziadkowi pewnie zaczęłyby trząść się kolana, gdyby zobaczył ją na własne oczy. Była gwiazdą od powojnia, cudownym dzieckiem, które grało w filmach i śpiewało. Podziwiała ją kilka pokoleń, kina pękały w szwach, kiedy wyświetlano film, w którym grała główną rolę.

– Nieves Díaz de Salvatierra, jestem matką Alby. Poprosiła, żebyś poczekał na nią w pokoju Amor i Locura na ostatnim piętrze. Wyszła, bo wezwały ją pilne obowiązki. Jeśli chcesz odpocząć, skorzystaj z łóżka. Mam teraz zebranie Rotary Club, wybaczone, że nie mogę się tobą zająć. Dam ci klucz do pokoju.

Aurora czy Nieves, jak wolała się nazywać, weszła za kontuar recepcji i wręczyła mi ciężki klucz.

Prezencja matki Alby nie była tylko wynikiem scenicznego obycia. Emanowała z niej godność, którą przekazała córce, mimo że fizycznie nie były do siebie zbyt podobne. Alba – smukła, czarnowłosa, ciemnooka, matka – blondynka o niebieskich

oczach. Rysy twarzy, nosy, brwi – zupełnie inne. Nigdy nie powiedziałbym, że to matka i córka.

Wziąłem klucz wciąż oszołomiony. Uścisnąłem raz jeszcze jej dłoń i zacząłem się wspinać po schodach tego zameczku. Znalazłem pokój, który zawdzięczał nazwę bajce Samaniega, wszedłem i rozciągnąłem się na łóżku. Zasłoniłem głowę poduszkami i rozplakałem się. Miałem nadzieję, że pościel stłumi moje szlochy, choć prawdę mówiąc, w tej chwili mało obchodzili mnie inni goście. J. nie żył, a ja miałem dość śmierci. Martina, Annabel Lee, teraz mój przyjaciel... Za dużo jak na jeden rok, za dużo jak na dwa ostatnie śledztwa.

Musiałem zawiadomić rodzinę, czyli matkę i wujka. Byłem wściekły na swoją afazję, wolałbym nie przekazywać tej wiadomości pisemnie.

Po chwili przestałem płakać. Sypialnię przygotowano dla nowożeńców, którzy z nadzieją rozpoczynali nowe życie. Ja miałem czterdzieści lat, czułem się stary i zmęczony.

Dość długo czekałem na Albę. Zastała mnie znów pogrążonego w apatii, zapatrzonego przez okno na zarys moich gór. Wydawało mi się, że spoglądam na nie z jakiejś zupełnie innej rzeczywistości.

– Jak się czujesz? – zapytała, siadając obok mnie na olbrzymim łożu, na którym na pewno bzykały się już setki par.

Zacisnąłem tylko pięść i opuściłem kciuk, jak zrobiłby to Neron znudzony nieudanymi igrzyskami.

Wzięła mnie za rękę z nieskończoną czułością, jakby obejmowała prezent od bogów.

– Jestem przy tobie, nie zapominaj o tym. Jestem obok. – Położyła się przy mnie i przytuliła do moich pleców.

Nie oponowałem. Jak dobrze było tego zimnego poranka poczuć jej ciepło.

– Nie chcę, żeby coś ci się stało, Unai. Już raz przez to przechodziliśmy.

Milczałem. Nie miałem nic do powiedzenia. Nie miałem ochoty pisać. Chciałem tylko czuć, że się o mnie martwi, że czuwa nad sprawą. Że ja tej grudniowej niedzieli mogę opłakiwać swoich zmarłych.

– Chodźmy na wieżę. Dobrze nam zrobi, jak się trochę przewietrzymy. Mamy dużo do obgadania, nie będziemy gnić cały dzień w tym pokoju – powiedziała wreszcie.

Podążyła mi rękę i ruszyłem za nią na wieżę. Wyszliśmy na taras.

Poczułem silny powiew wiatru. Z tarasu roztaczał się panoramiczny widok na Laguardię z jej morzem winnic. U naszych stóp dostrzegłem osadę La Hoya, która obudziła bolesne wspomnienia. Gdziekolwiek znalazłbym się z Albą, wciąż w naszych

głowach obecny był Nancho.

– To tutaj stałam, kiedy ocaliłeś życie mojemu dziecku – szepnęła zapatrzona w rozpościerające się przed nami pasmo gór.

Może chronią je pradawni bogowie tych szczytów – napisałem.

Spojrzała na mnie pytająco.

Miejscowi nazywają ten łańcuch górski Sierra de Cantabria, ale dawniej nazywano je górami Toloña. Nazwa Toloño pochodzi od boga Wardulów Tulloniusa. To odpowiednik celtyckiego boga ojca Teutatesa. Zachowały się ruiny średniowiecznego klasztoru Matki Boskiej z Toloño. Podobno mnisi musieli go opuścić ze względu na panujący w nim chłód. Chciałbym kiedyś cię tam zabrać. Być może tamtego dnia to właśnie bóg Tullonius ocalił twoje dziecko. Może nie wszystko sprzysięgło się przeciwko nam.

– Wolę tak myśleć. Inaczej nie sposób dalej żyć. Wiem, że to dla ciebie fatalny dzień. Chciałabym cię jakoś pocieszyć albo przynajmniej ulżyć w cierpieniu. Mam jedną dobrą wiadomość.

– Słuu... am – wydusiłem z siebie z wysiłkiem.

– W tym tygodniu byłam u lekarza, zrobiono mi USG i inne badania. Wykluczono u mojego dziecka wrodzoną łamliwość kości – powiedziała, wymawiając powoli każde słowo, jakby sprawiało jej przyjemność.

Spojrzałem na pasmo górskie starego bóstwa i poczułem, że nie dźwigam już na barkach ciężaru całego wszechświata. Strach przed tym, że moje dziecko miałoby cierpieć na chorobę, która zabiła pierwsze dziecko Alby, tkwił we mnie cały czas od chwili, kiedy poinformowała mnie o swojej ciąży.

Dziękuję, Tulloniusie. Za to, że opiekujesz się moimi bliskimi, pomodliłem się w duchu.

To, jak mocno przytuliłem Albę, pocałunki, które nastąpiły potem, zachowam dla siebie, wśród najpilniej strzeżonych skarbów mojej pamięci. Tak będzie lepiej.

Potem, spokojniejszy, żeby nie wracać do myśli o swojej paczce i martwym J., poprosiłem Albę:

Opowiedz mi o swojej matce. Nie powinnaś ukrywać przede mną takich informacji.

– Wiem – westchnęła. – Wiem o tym. Już ją poznałeś, nie muszę opowiadać ci o jej

karierze. Znasz pewnie, jak wszyscy, legendę o biednej dziewczynce z prowincji, którą odkrył pewien szczywany lis, impresario z Madrytu, kiedy stanęła do konkursu. Dziewczynka świetnie śpiewała i tańczyła i jej rodzice postanowili wysłać ją do Madrytu do wujków, którzy mieszkali w stolicy.

Tak, znałem tę historię, z wyjątkiem szczegółu, że dziewczynka pochodziła z Laguardii.

– Szybko zdobyła sławę. Moja matka rozkochała w sobie całe pokolenie, przez lata kręciła film za filmem, a kiedy nadszedł kryzys kinematografii, przeniosła się do teatru. Była już wtedy dorosła, a impresario twardą ręką zarządzał jej karierą. Odniosła wielki sukces rolą w przedstawieniu *Dom Bernardy Alby*, a ja przestałam ją widywać. To nie były już trzy miesiące na planie, kiedy mogłam ją odwiedzać w weekendy. Teraz nastał czas niekończących się tournée po teatrach w całym kraju, co okazało się zupełnie niekompatybilne z moim życiem szkolnym w Madrycie.

A twój... – zaciąłem się, zadając tak osobiste pytanie – ...ojciec?

– Mój ojciec właściwie od zawsze był szoferem mamy. Był niewykształconym synem jej impresaria, przez całe życie pozostawał w cieniu ojca.

Czyli impresario twojej matki jest też twoim dziadkiem?

– Nigdy go tak nie nazywałam. Odkrył ją, kiedy była jeszcze dziewczynką. Oszlifował jej talent, płacił za lekcje tańca, dykcji i śpiewu, ale potem trwonił jej pieniądze, czerpał z jej dorobku pełnymi garściami. Potrafił pójść do kasyna z czterema prostytutkami i w jeden wieczór wydać tygodniową gażę mamy. Nienawidziłam tych kobiet. Kupowały sobie najpiękniejsze suknie wieczorowe, szpilki w najlepszych butikach, podczas gdy ja i moi rodzice żyliśmy skromnie, nie pozwalając sobie na kaprysy czy zbędne wydatki. Wychowywano mnie niezwykle surowo. W tym czasie moi dziadkowie ze strony matki umarli, a ona została w Madrycie sama, bez żadnych znajomych spoza świata show-biznesu.

Spojrzałem na nią bez słowa, chciałem, żeby mówiła dalej.

– Mój ojciec nie miał zawodu, żadnych, jak byśmy dziś powiedzieli, kompetencji. Myślę, że mama zaczęła się z nim spotykać, bo spędzali razem dużo czasu w podróżach. Byli w podobnym wieku, on nie zachował się jak lizus, w przeciwieństwie do większości aktorów, nie miał też rozbuchanego ego. Jednym słowem: relacja z moim ojcem była odskocznią od kariery. On wydawał się jedyną normalną osobą na tej rozpędzonej kolejce górskiej, w jaką zmieniło się jej życie. Potem ja się urodziłam, a dziadek chyba miał nadzieję, że córka jego podopiecznej będzie kolejną żyłą złota. Ale nie odziedziczyłam jej pięknych oczu i, wbrew oczekiwaniom, wyrosłam na

grubaskę pozbawioną zdolności aktorskich.

Wyobrażałem sobie ciebie zupełnie inaczej, pomyślałem. Pragnąłem jak najdłużej nie wracać do terażniejszości.

– Minęło trochę czasu i wybuchł skandal: impresario mamy został oskarżony o oszustwa podatkowe. Nie zapłacił urzędowi skarbowemu prawie siedmiuset milionów dawnych peset. Moi rodzice byli finansowymi analfabetami. Dawał im zawsze dużo mniej pieniędzy, niż o to prosili, on zarządzał ich wydatkami. Nie dopuszczał ich do rozliczeń. Podczas procesu zniknął. Przeprowadziłam własne dochodzenie i wiem tylko tyle, że uciekł do Ameryki Południowej pod zmienionym nazwiskiem. Zostawił nam w prezencie swoje długi. Byliśmy zrujnowani, odebrano nam wszystkie jego nieruchomości: mieszkanie w Madrycie, lokale, garaże. Mama nie chciała wracać na scenę, od dawna miała już dość tego środowiska, nie znosiła prasy.

Lubiła twojego męża?

Alba zarzekała się wprawdzie, że nie chce o nim wspominać, ale teraz, kiedy zdobyła się na opowiedzenie mi o przeszłości, pragnąłem dowiedzieć się jak najwięcej. Zrozumieć, kim była, jak trafiła na tę wieżę, do tej miejscowości, co sprawiło, że wybrała na męża zorganizowanego psychopatę.

– Nigdy nie aprobowała naszego związku. Na początku myślała, że podrywa mnie tylko dlatego, żeby zbliżyć się do niej i zrobić reportaż o życiu gwiazdy, która zniknęła ze sceny, albo dowiedzieć się czegoś o dalszych losach jej impresaria. Nancho, jak to on, przyjmował wszystko ze stoickim spokojem i zaczął starać się o mnie powoli i z właściwą sobie elegancją przekonywać ją do siebie.

Uśmiechnąłem się. Ten facet cierpliwością i miłymi gestami zaskarbił sobie i moją sympatię.

– Mój ślub z Nanchem sprawił jednak, że bardzo się z matką oddaliłyśmy. Nigdy nie nabrała do niego tyle zaufania, żeby rozmawiać z nim o intymnych sprawach. Mama ma alergię na błysk fleszów, nie chce, żeby ktokolwiek kojarzył ją z pseudonimem artystycznym, chociaż Laguardia to mała miejscowość i wszyscy doskonale wiedzą, kim jest. Jednak ludzie są tu naprawdę dyskretni, poza tym zyskała sobie dobrą reputację jako kierowniczka hotelu. Do tego współpracuje z rotarianami z Vitorii i Logroño. Jeśli chodzi o nasze stosunki, staramy się je odbudować. Mówiłam ci już, że była pierwszą osobą, która pojawiła się w szpitalu po tym, jak on mi... nam to zrobił. Zajęła się wszystkim w pierwszych tygodniach, kiedy byłam w kompletnym szoku, a ty jeszcze nie wybudziłeś się ze śpiączki. Przywiozła mnie tu. Myślę, że wycieczki w góry i spacer po winnicach pomogły mi się wyleczyć. Teraz odwiedzam ją w weekendy, czasem towarzyszy mi Estíbaliz, nocuję w hotelu. Chyba znalazłam się na

spokojniejszym etapie życia i łatwiej mi znaleźć z mamą wspólny język.

A co się stało, kiedy twoja matka rzuciła karierę?

– Ja przechodziłam wtedy burzliwy okres dojrzewania, byłam otyłą i nieśmiałą dziewczyną. Bardzo źle nam się wiodło przez pierwszych kilka lat, mój ojciec stał się właściwie gospodynią domową. Nie miał żadnych kontaktów, nie nauczył się żadnego zawodu, po tym jak jego ojciec zniknął, nie miał pojęcia, co zrobić. Matka wzięła sprawy w swoje ręce, była o wiele dojrzała niż on. Postanowiła, że wyprowadzimy się z Madrytu i schronimy w Laguardii, jej rodzinnej miejscowości, do której jeździliśmy na wakacje. Stała na głowie, żeby nie odebrano jej tej ostatniej posiadłości, która jeszcze do niej należała. Postanowiła urządzić tu hotel. Mogę ci powiedzieć, ile kosztowała każda doniczka, bo dochodziliśmy do wszystkiego powoli, przez wiele lat. Ja po lekcjach udzielałam korepetycji, w weekendy pracowałam jako kelnerka, żeby jej pomóc. Musiałam natychmiast dorosnąć. Dotąd uczyłam się fatalnie, ale postanowiłam to zmienić, zaczęłam dostawać dobre stopnie, sama opłacałam sobie studia. Z dnia na dzień stałam się osobą odpowiedzialną.

Zamieniłaś sobie kolejność nazwisk? Twoja mama przedstawiła mi się jako Nieves Díaz de Salvatierra. Myślałem, że nazywa się Aurora Mistral.

– Nie, to był tylko pseudonim artystyczny, a jeśli chodzi o moje pierwsze nazwisko, nie chciałam o nim słyszeć. Zmieniłam je w klasie maturalnej za zgodą rodziców, kiedy zamieszkaliśmy w Laguardii. Wciąż byłam niepewną siebie nastolatką, ukrywałam tożsamość matki, nie chciałam, żeby traktowano mnie jakoś specjalnie ze względu na nią, a poza tym pragnęliśmy wszyscy zapomnieć o gehennie, którą przeszliśmy, gdy wybuchł skandal finansowy. Niedobrze byłoby, gdyby skojarzono go z nowym hotelem.

Nazwali cię na cześć *Domu Bernardy Alby*? – napisałem.

– Każdy ma jakąś przeszłość, nie sądzisz? – odparła, uśmiechając się.

Twoja matka była podobna do tej postaci? Dominująca, opresyjna?

– Nie, zachowywała się tak, tylko kiedy wchodziła na scenę, chyba naśladowała swojego teścia, on naprawdę taki był: nie pozwalał jej spotykać się z galantami z tamtej epoki, czuwał nad jej cnotą, za wszelką cenę chciał uniknąć skandalów. Zabawne, jeśli wziąć pod uwagę życie, jakie prowadził. Myślę, że wolałby, żeby pozostała dziewicą i nigdy nie wyszła za mąż, jak królowa Elżbieta Pierwsza. Tak, matka wcieliła się także i w tę postać. Jej pierwszym aktem buntu było zajście w ciążę przed ślubem. Teść

musiał się pogodzić z tym, że wyjdzie za męża, bo zaliczyła wpadkę. Był religijny, przeciwny aborcji i nie pozostało mu nic innego, jak się zgodzić.

A więc jesteś wynikiem wpadki – napisałem i uśmiechnąłem się. Zawsze miałem słabość do nieślubnych dzieci, wydawało mi się, że ich poczęcie było bardziej szczerze, nie przyszły na świat w wyniku kontraktu. – I co zrobił twój dziadek, żeby uniknąć skandalu?

– To były lata siedemdziesiąte. Moja matka zniknęła ze sceny na dwa lata. Nie było o niej żadnych wzmianek w prasie. Nikt nie mógł połączyć się w datach, nigdy nie podano do wiadomości publicznej dnia ślubu. Impresario mamy miał wielu przyjaciół wśród naczelnych różnych czasopism. Kiedy wróciła, wiadomo było tylko tyle, że wyszła za męża i urodziła córkę. Moje zdjęcia nigdy nie ukazały się w prasie. Po części dlatego, że matka postanowiła mnie chronić przed medialnym rozgłosem, nie chciała dla mnie takiego życia; ale też dlatego, że dla ojca mojego ojca nigdy nie byłam powodem do dumy, nie chwalił się mną przyjaciółom, nie traktował mnie jak wnuczki, byłam dla niego zbędnym balastem. Nie rozumiałam, co oznacza słowo „dziadek”, dopóki nie poznałam dziadków swoich szkolnych koleżanek. Dziwiła mnie czułość, jaką im okazywali, wydawała mi się nienaturalna. Nie mieściło mi się to w głowie, dla mnie słowo „rodzina” ograniczało się do ojca i matki, a dziadkowie to byli jacyś dalecy znajomi.

Dobrze, że mój dziadek tego nie słyszy.

W tym momencie wyświetlacz mojego telefonu rozbłysł. Musiałem wrócić do rzeczywistości. Albie udało się oderwać mnie na chwilę od rozmyślania o tym, co stało się w muzeum Barbacana.

To była wiadomość z grupy whatsappowej naszej paczki:

„Czy ktoś wie, gdzie podziewa się J.? Umówiliśmy się o 10 na spacer po Armantii. J., czy ty jeszcze śpisz?” – napisała Nerea.

J. i Nerea byli przyjaciółmi od pierwszej klasy szkoły średniej. Nigdy między nimi nie iskrzyło, nie było śladu erotycznego napięcia, a ich znajomość przetrwała bez żadnych tarć przez ponad trzy dekady. Po prostu bardzo lubili swoje towarzystwo. Nerea, która prowadziła kiosk niedaleko mojego domu, była chodzącym radiem. Musiałem coś zrobić, zanim postawi całą Vitorię na nogi.

„Unai, nie wychodziłeś z nim wczoraj?”

„Nie, już wam mówiłem, że jadę na weekend do Villaverde. Nereo, zadzwonię do ciebie”.

Ale uświadomiłem sobie, że nie jestem jeszcze w stanie wymówić tych trzech słów, które miałem jej powiedzieć. Wysłałem jej wiadomość na WhatsAppie, tym razem prywatną. Nienawidziłem siebie za sposób, w jaki przekazywałem jej tę wiadomość.

„J. nie żyje”.

Sekundę później Nerea zadzwoniła. Domyślałem się, że była w szoku i zapomniała o mojej afazji.

Odebrałem, co innego mogłem zrobić?

– Powiedz, że to edytor WhatsAppa się pomylił, Unai! Powiedz, że to nieprawda! – krzyczała rozpaczliwie.

– Nereo, ja... ja...

Nie mogłem nawet pocieszyć przyjaciółki. Jeszcze jeden punkt dla Nancha, miałem nadzieję, że smaży się w piekle.

Alba przyszła mi z pomocą, delikatnie wyjmując telefon z dłoni.

– Dzień dobry, Nereo. Mówi podkomisarz Alba Díaz de Salvatierra, jestem przełożoną Unaia. Niestety muszę z przykrością potwierdzić, że znaleźliśmy ciało Josego Javiera Huety. Bardzo współczuję i składam kondolencje w imieniu całego mojego wydziału. – Wymówiła te słowa z podręcznikowym spokojem. Umiała taktownie przekazywać złe wiadomości. – Powiadomiliśmy już rodzinę, zapewne wkrótce dowiedziecie się szczegółów na temat pogrzebu. Musi pani być cierpliwa, to dla nich niezwykle trudny moment, na pewno są w ciężkim szoku. Śledztwo objęte jest tajemnicą, więc bardzo panią proszę o dyskrecję i o to, by powstrzymała się pani od publicznych komentarzy na temat możliwych przyczyn jego śmierci. I... jeszcze jedna sprawa, tym razem bardziej osobista.

Nerea odpowiedziała coś, czego nie usłyszałem.

– Wspierajcie się nawzajem. Unai też jest bardzo poruszony. Dziękuję, że mnie pani wysłuchała w tak trudnej chwili.

Alba z nieskończoną cierpliwością pożegnała się z Nereą i oddała mi telefon.

Podziękowałem jej wzrokiem, podszedłem do niej, objąłem mocno, a ona położyła mi głowę na ramieniu. Chciałem być blisko niej, miałem już dość tych dystansów.

Ona jednak uznała, że nie jest to odpowiedni moment. Coś ciążyło jej na sercu i chciała to jak najszybciej z siebie wyrzucić.

– Musimy porozmawiać o tym, co zobaczyłam w muzeum Barbacana, Unai.

– Do... do... dobrze – starałem się wyjąkać.

Udawała, że nie widzi, jak się czerwienię.

– Widziałam się z doktor Guevarą. Twój przyjaciel José Javier...

– Jo... jot – przerwałem.

J. nie cierpiał, kiedy nazywano go imieniem, które nosił jego ojciec, nie chciałem sprzeciwiać się temu życzeniu w dniu śmierci przyjaciela.

– J. miał podbite oko i ranę naokoło. Estíbaliz nie wyklucza, że twój przyjaciel Asier przyłożył właśnie jemu, a nie jakiemuś nieistniejącemu ćpunowi, który ulotnił się w magiczny sposób. Widziałeś się z J. po napadzie w aptecę?

Nie, nie przyszło mi to do głowy – napisałem zawstydzony.

Dlaczego na to nie wpadłem?

Nie widziałem się też z Lutxem. Jak mogłem być takim idiotą i nie wybadać w otoczeniu Asiera możliwych przyczyn tej bójkę? Dałem się zbyć Araceli i to wszystko.

– Mówiłeś, że ty i troje przyjaciół z twojej paczki byliście na obozie z Aną Belén Liaño ponad dwadzieścia lat temu. A teraz dowiadujemy się, że jeden z nich utrzymywał z nią kontakty, dostatecznie bliskie, żeby podzieliła się z nim trzema milionami euro. I ten właśnie facet zostaje pobity i broni się przed niewidzialnym napastnikiem.

Do czego zmierzasz, Albo? – wystukałem na telefonie.

– Estíbaliz zastanawia się nad tym nowym wątkiem w sprawie jako specjalistka od wiktyologii. Jak sam zauważyłeś, profil ofiary się zmienił.

Oczywiście, że zauważyłem – odpowiedziałem. – Celem mordercy lub morderców nie są kobiety w ciąży, ale wszyscy, którzy byli w kantabryjskiej wiosce w 1992 roku.

– Niedokładnie, być może trop z karą dla złych rodziców wcale nie był fałszywy i rzeczywiście odwołują się oni do celtyckiej śmierci, żeby ukarać tych, którzy nie zasługują na to, żeby mieć dzieci.

Wyjaśnij mi to, proszę, bo się zgubiłem – napisałem. – J. nie był przecież kobietą w ciąży.

– Nie był, ale być może spodziewał się dziecka.

J.? Niemożliwe.

– Chyba że... – powiedziała Alba, jakby chodziło o jakąś oczywistość.

Chyba że mój przyjaciel J. był ojcem dziecka Any Belén Liaño.

ZAUŁEK SAN ROQUE

4 grudnia 2016, niedziela

Noc już zapadła, kiedy dotarłem na plac Virgen Blanca, przy którym mieszkałem. Żółte światła latarni odbijały się od granitowej kostki placu. Wieczorem spadł deszcz i zrobiło się dość zimno.

Wyjąłem pęk kluczy z breloczkiem w kształcie moich gór, który wystrugał dla mnie dziadek, i zasunąłem zamek kurtki pod samą szyję.

Nie wyobrażałem sobie, że tak po prostu wejdę do środka i położę się do łóżka. Zapomnę o wszystkim. Chwilę się prześpię. Tego się nie robi, kiedy twoi przyjaciele z dzieciństwa padają ofiarą mordercy, a twoim obowiązkiem jest zatrzymanie winnych.

Już miałem znów wsunąć rękę do kieszeni, kiedy czyjaś dłoń delikatnie dotknęła moich palców i podała świstek papieru. Odwróciłem się błyskawicznie. Nie wiedziałem, czy ktoś chce mnie napaść, czy mnie obmacuje.

Chłopiec z twarzą zasłoniętą białym kapturem, spod którego wystawały kosmyki niebieskich włosów, rzucił się do ucieczki z wielką deskorolką pod pachą. Jego puchówka była zupełnie biała, pozbawiona jakiegokolwiek charakterystycznego szczegółu. Jedynym zwracającym uwagę detalem – zapamiętałem go, na wypadek gdybym musiał dokonać jakiegoś formalnego rozpoznania – był namalowany na deskorolce wizerunek starca z długą białą brodą.

– Ej! – wrzasnąłem wkurzony. – O co chodzi?

Pięć sylab. Od razu je policzyłem. I zdałem sobie sprawę, że kiedy nie blokuje mnie wstyd, mówię więcej. Może to prawda, że powinienem wyjść poza strefę komfortu.

Rzuciłem się za nim w pogoń przez pusty plac. Było wpół do dwunastej. O tej porze w grudniową niedzielą noc witorczycy nie wyściubiali już nosa z domów.

Tajemniczy deskorolkarz, widząc, że jestem coraz bliżej, w okolicy Café Dublin wskoczył na deskę i skręcił w ulicę Diputación, wyłączoną z ruchu kołowego, w tej chwili wymarłą.

Gdy znalazł się na skrzyżowaniu z San Roque, architektoniczną skamieliną, która

z upływem wieków stała się najwęższą uliczką w mieście mającą niewiele ponad metr szerokości, zahamował, znów chwycił deskę i pobiegł pogrążonym w ciemnościach zaułkiem.

Dopałem do skrzyżowania i przebiegłem uliczką kilka metrów. Chłopaka nie było. Nie wiedziałem, czy skręcił w prawo, czy w lewo, czy pobiegł w stronę ulicy Herrería, czy może zaułkiem w górę i znalazł się już na ulicy Zapatería albo Correría. Dalszy pościg nie miał sensu.

Musiałem pogodzić się z tym, że zgubiłem go w labiryncie starówki.

Wróciłem do domu sfrustrowany, tym razem obierając inną drogę, ulicami, które wzięły swoje nazwy od rzemieślników mających tu niegdyś swoje warsztaty. Dopiero gdy zatrzasnąłem za sobą drzwi do mieszkania, zdobyłem się na odwagę, żeby wyjąć z kieszeni pomięty świstek papieru i przeczytać wiadomość:

Kraken, co ty odpierdalasz, nie mogę w to uwierzyć. Widzimy się jutro o 13.13 w krypcie Nowej Katedry. I ani słowa nikomu. Zwłaszcza przez telefon. I błagam, nie bierz go ze sobą.

Pod wiadomością widniała rozmazana, pełna zawijasów parafka, w której natychmiast rozpoznałem podpis MatuSalema.

MatuSalem? Teraz zrozumiałem rysunek na jego deskorolce: przedstawiał biblijnego patriarchę, który żył ponad dziewięćset lat.

MatuSalema poznałem kilka miesięcy wcześniej, kiedy odkryłem, że Tasio miał swojego hakera wspomagającego go spoza murów zakładu karnego Zaballa. Chociaż wyglądał na nastoletniego aniołka, był pełnoletni, a kiedy zaliczył odsiadkę, wspaniałomyślny Tasio został jego protektorem.

Bardzo się starałem złamać atawistyczny opór młodego hakera i skłonić go do współpracy w śledztwie w sprawie podwójnego zabójstwa w dolmenie, ale jego lojalność wobec Tasia była silniejsza, niemniej jednak pomógł nieoficjalnie w kilku ważnych kwestiach.

Potem zapadł się pod ziemię.

Konto Tasia na Twitterze przestało istnieć.

Wiadomości od niego w mojej skrzynce zmieniły się w mgliste wspomnienie.

Zniknął.

Nie miałem od niego wiadomości od czasu, kiedy Nancho postrzelił mnie w głowę i zapadłem w śpiączkę. Nie, MatuSalem nie był dyskretny, był królem umysłów o władniętych teoriami spiskowymi, jeśli postanowił nie zostawiać po sobie śladów, po prostu ich nie zostawiał. Ani w świecie rzeczywistym, ani w rzeczywistości wirtualnej.

Chciałem go przesłuchać, naprawdę. Próbowałem i nic. Tylko Golden Girl potrafiła go namierzyć, ale to inna historia.

Estíbaliz zaprosiła mnie następnego ranka na pilne zebranie w swoim gabinecie. O tej porze nie mogliśmy się jeszcze spodziewać wyników autopsji J., ale i tak mieliśmy o czym dyskutować. Po serii ćwiczeń logopedycznych przed lustrem wsiadłem do samochodu i pojechałem na Portal de la Foronda. Dzień był pochmurny, padał drobny deszcz.

Alba, Esti, Milán i Peña już na mnie czekali, czekał też na mnie laptop podłączony do dużego ekranu rzutnika ściennego.

Uśmiechnąłem się do nich z wdzięcznością. W ten sposób mogłem uczestniczyć w zebraniu, umieszczając komentarze tak, żeby wszyscy naraz mogli je przeczytać. To przypominało prawdziwą rozmowę, a już nie pamiętam, kiedy zdarzyło mi się ostatnio rozmawiać z pięcioma osobami jednocześnie. Czułem, że to namiastka normalności. Znów mogę porozumiewać się z ludźmi, być użyteczny. Mojemu pokiereszowanemu ego bardzo dobrze to zrobiło.

Estíbaliz nie miała szczególnych talentów oratorskich, przeszła więc od razu do rzeczy.

– Tutaj macie akta bieżącej sprawy. Nazwaliśmy dochodzenie „Rytuały wody” ze względu na nawiązujące do nich morderstwa – powiedziała moja partnerka, rozdając dokumenty wszystkim obecnym. – Unai, doktor Guevara musi to jeszcze potwierdzić podczas sekcji, którą przeprowadzi dziś rano, ale na ciele znalazła ślady z dużym prawdopodobieństwem odpowiadające tym, jakie zostawiają elektrody tasera.

– Okej – powiedziałem, dumny z tego, że słowo zabrzmiało mniej więcej zrozumiale.

– Peña – ciągnęła Esti – ty przesłuchałeś mieszkańców domów sąsiadujących z muzeum Estanque de la Barbacana i pracowników instytucji. Opowiedz nam, czy udało ci się wyłowić z ich zeznań coś cennego.

– Niewiele, szefowo – powiedział zniechęcony i westchnął głęboko. – W muzeum nie ma kamer nadzoru, ani na zewnątrz, ani w środku, więc nie mamy żadnych nagrań. Sąsiedzi nie słyszeli i nie widzieli nic niepokojącego, mieszkańcy tej ulicy to w większości ludzie starsi, w sobotę w nocy i w niedzielę nad ranem wszyscy spali. Oprócz jednej osoby, która ma osiemdziesiąt lat, cierpi na bezsenność i nie jest bardzo rozmowna. Doña Regina Matauco, tak się nazywa. Mówi, że nad ranem, zmęczona przewracaniem się z boku na bok, wstała z łóżka i wyjrzała przez okno salonu. Widziała samochód zaparkowany tuż przy drzwiach. Chociaż wydaje się to nam niewiarygodne, nie wie, czy był to zwykły samochód osobowy, czy furgonetka, nie zwróciła uwagi na kolor karoserii, jedyne, co zauważyła, to że był ciemny. Pokazaliśmy jej różne marki,

ale nie wyciągnęliśmy z niej nic poza tym, że miał cztery koła. Dość beznadziejny przypadek.

– Nie skupiaj się na tym, czego nie ustaliliśmy, lecz na tym, co mamy. Co wynika z jej zeznania, Peña?

– Uważam, że z drugiego piętra, skąd spoglądała ta kobieta, można było dostrzec wóz, który zasłaniał wejście do muzeum i to, co się działo za nim, gdyż po zaparkowaniu samochodu powstał tam ślepy punkt. Pokażę wam zdjęcia. – Rozłożył na stole fotografie wejścia zrobione z tego okna. – Sprawca lub sprawcy zaparkowali prawdopodobnie samochód przed świtem, kiedy ulice są puste, a starsi ludzie śpią. Potem sforsowali drzwi, używając zwykłego łomu, i wciągnęli ciało do muzeum. Możliwe, że ofiara już nie żyła, bo jeśli przyczyną zgonu było utonięcie, w muzeum nie ma miejsca, w którym można włożyć komuś głowę i ramiona do wody i go utopić. Musiało stać się to wcześniej, albo w wannie w mieszkaniu zabójcy, albo w jakimś zbiorniku na wodę na odludziu. Prawdopodobnie wcześniej sparaliżowali ofiarę taserem. Myślę, że cała operacja może zająć godzinę, góra dwie, jeśli znasz modus operandi i nie jest to pierwszy raz.

– Nie znaleziono telefonu, podobnie jak w przypadku pierwszej ofiary. Sędzia Olano wystąpi do operatora o duplikat karty SIM. Zobaczymy, co nam powie o ostatnich połączeniach i lokalizacjach. Z zeznań kolegów ofiary wiemy, że w sobotę w nocy imprezował w barach na starówce w Vitorii. Poszedł do domu około czwartej nad ranem. Nigdy do niego nie dotarł, więc w tych czasowych widełkach najprawdopodobniej skontaktował się z nim morderca.

Wyobraziłem sobie J., jak wraca do domu, mając mocno w czubie. Zawsze był dobroduszny, ufał każdemu. Przekląłem typa, który wykorzystał to, że był bezbronny, i go zabił.

– Jeszcze jedna kwestia, zanim zamkniemy sprawę scenerii zbrodni – wtrąciła znów Estíbaliz. – Czekamy na ostateczny raport techników kryminalistyki. Może uda im się jeszcze znaleźć jakieś ślady, bo kiedy opuszczałam wczoraj muzeum pod koniec oględzin, nie trafili na nic ważnego. Ale jest jeden interesujący szczegół, dość typowy, który wskazuje, że czeka nas niełatwe zadanie: sprawca lub sprawcy zamietli drogę od wejścia do miejsca, gdzie powiesili swoją ofiarę. Żeby zatrzeć ślady butów. Zostawili szczotkę, bez odcisków palców, opartą o ścianę przy drzwiach. Technicy analizują jeszcze resztki, które zostały między włosiem szczotki. Zobaczymy, czy coś z tego wyniknie.

– Nie, jeśli facet jest pedantem – mruknął Peña.

Jakieś podstawowe pojęcie o kryminalistyce na pewno ma – wtrąciłem, pisząc na komputerze. – Być może z każdym kolejnym przestępstwem

ulepsza swoją technikę i naprawia błędy popełnione podczas wcześniejszych zbrodni. Tym razem nie ma śladu po celtyckim kotle. Pewnie uznał, że pozostawienie kotła z Cabárceno było zbyt ryzykowne, poza tym niełatwo o podobny egzemplarz. Tym razem ograniczył się do zanurzenia głowy ofiary w wodzie.

Moje słowa ukazujące się na wielkim ekranie w gabinecie Esti zostały odczytane przez wszystkich rozmówców naraz. Uśmiechnąłem się. Jak sprawnie to działało.

– Przejdźmy do drugiego punktu: związku Asiera Ruiza de Azuy, współwłaściciela konta naszej poprzedniej ofiary, i Josego Javiera Huety. Byli przyjaciółmi od dzieciństwa, do tej samej paczki należy obecny tu inspektor López de Ayala.

Pokiwałem głową.

– Nie powiązaliśmy Josego Javiera z napadem na Asiera dwudziestego drugiego listopada w jego aptecę, ale obaj mieli podbite oko. Doktor Guevara próbuje ustalić, czy siniak, który zauważyliśmy u Josego Javiera, powstał tuż przed śmiercią, czy może odpowiadać dacie napadu na farmaceutę. To będzie nam potrzebne, żeby zdecydować, jak pociągniemy dalej ten wątek dochodzenia.

– Inspektor Gauna – zabrała głos Alba. – Proszę opowiedzieć nam o innej ofierze, która mogła zostać zamordowana w zgodzie z podobnym modus operandi.

– Chodzi o Rebecę Tovar, lat czternaście, zaginioną w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku w Kantabrii. Do tej pory nie znaleziono ciała, ale anonimowy nadawca wysłał kilka dni później te zdjęcia do „El Periódico Cántabro”. Nie zostały opublikowane. Jak widzicie na fotografiach, dziewczynę powieszono na drzewie, a jej głowę zanurzono w rzece Fontibre, w miejscu kultu bóstw celtyckich sprzed wielu stuleci. Policja znalazła linę, ale ciała nie.

– Coś jeszcze?

– Odwiedziliśmy z inspektorem Ayalą jej ojca Saula Tovarą, profesora w Katedrze Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Kantabryjskiego. Jest przekonany, że jego córkę zamordowało wielu sprawców, którzy później ukryli ciało w obawie, że zostaną zdemaskowani. Uważa, że jeden z nich pożałował tego, co zrobili, i wysłał zdjęcia do gazety, kto wie, czy po to, żeby dać do zrozumienia rodzinie, że dziewczyna nie żyje, czy naprowadzić na ślad policję, żeby złapała pozostałych winnych. W mojej opinii ze zdjęć wynika, że dziewczyna była w ciąży, ale ojciec kategorycznie temu zaprzecza. Powiedział, że dwadzieścia lat temu jej endokrynolożka dostarczyła policji wyniki badań, z których wynika, że nie była w ciąży. Jeden szczegół: ta endokrynolożka to jego siostra, ciotka dziewczynki. Tak, wszystko podejrzenie endogamiczne.

– Proszę mi pozwolić pogrzebać trochę w otoczeniu profesora i jego siostry, pani

inspektor – przerwała Milán energicznie, zdradzając trochę więcej entuzjazmu, niż przejawiała cała reszta w tych wczesnych godzinach porannych.

– Proszę bardzo, Milán – zgodziła się Estíbaliz. – Jeśli chcesz, skorzystaj z pomocy inspektora Lanera, pamiętaj, że z nim współpracujemy. Możesz podjechać na komisariat w Santander, żeby się z nim spotkać, chociaż wydaje mi się, że poradzisz sobie sama, poszukiwania to twoja mocna strona.

– Chyba na razie nie będzie to potrzebne – przyznała Milán nosowym głosem, wzruszyła ramionami i zaczerwieniła się po same uszy.

Wszyscy uśmiechnęliśmy się dyskretnie. To, jak ta wysoka i potężna dziewczyna nie potrafi przyjąć komplementu, było naprawdę rozczulające.

– Wiktymologia, inspektor Gauna? – rzuciła Alba, spoglądając na zegarek.

Na pewno przed długim grudniowym weekendem czekał ją dzień pełen służbowych spotkań. Nie będzie to produktywny tydzień, ze Świętem Konstytucji i dniem Matki Boskiej Niepokalanego Poczęcia w środku.

– Niestety, mamy dwa różne profile ofiar. To mogą być kobiety i mężczyźni, którzy spodziewają się potomstwa, w razie gdyby José Javier był ojcem dziecka Any Belén, a Rebeca była w ciąży. Jeśli jednak wykluczmy oba te przypadki, jedyny związek, jaki zauważyliśmy między ofiarami, to fakt, że spędziły razem lato na obozie w celtyberyjskiej wiosce w Kantabrii. To miałoby sens ze względu na to, jak ważne dla kultury celtyckiej były miejsca, w których porzucono ciała: San Adrián, Fontibre i teraz muzeum. Nie mamy pewności, czy ofiary utrzymywały kontakt. José Javier zaprzeczył temu przed śmiercią w rozmowie z inspektorem Ayalą, ale oczywiście mógł coś ukrywać.

– W jaki sposób zabito ofiary?

Ana Belén Liaño została poparzona, utopiona i powieszona, zgodnie z celtyckim rytuałem potrójnej śmierci – napisałem bez chwili wahania. – Musimy potwierdzić jeszcze użycie tasera w wypadku Josego Javiera. Jeśli chodzi o Rebecę, obawiam się, że nigdy się tego nie dowiemy. W czasie kiedy zginęła, podobna broń nie była jeszcze w powszechnym użyciu, nie da się jednak wykluczyć, że jej zwłoki spalono. Być może po tym doświadczeniu zabójca czy zabójcy zmienili sposób działania: do tego potrzebne jest odludne miejsce, podtrzymywanie ognia przez długie godziny... Jednym słowem: wymaga to czasu, jest kłopotliwe i wyjątkowo nieprzyjemne. Może to doświadczenie tak ich przeraziło, że nie odważyli się powtórzyć zabójstwa przez dwadzieścia lat. Ale chcieli nawiązać do rytualnej potrójnej śmierci, stąd użycie tasera.

– Ale czemu zabójca miałby pozostawać w uśpieniu przez dwadzieścia lat? – zapytał Peña.

Jeśli chodzi o rytualną karę, morderca nie wie, kiedy znów zabije: po prostu czeka, aż upatrzona ofiara będzie spodziewać się dziecka – napisałem z ciężkim sercem.

Alba pobladła. Z przerażeniem spojrzała mi w oczy.

– Wyjaśnijcie mi coś. – Zakasłała. – Na tym etapie śledztwa możemy już określić, czy mamy do czynienia z jednym, czy z wieloma sprawcami?

– Saúl jest przekonany, że zabójców jego córki było kilku – odparła Esti i spojrzała na mnie kątem oka.

Przemilczeliśmy coś, o czym wiedzieliśmy oboje: z jakiegoś powodu Saúl wydawał się oskarżać o jej śmierć naszą czwórkę, mnie i moich przyjaciół, którzy byli na obozie w kantabryjskiej wiosce w 1992 roku.

Nie miałeś racji, Saulu, pomyślałem wściekły. Co powiedziałbyś teraz, kiedy jednego z nas już nie ma, co?

Sądzę, że potrzeba sporo siły, żeby powiesić ciało tak, jak widzieliśmy to w przypadku Any Belén i Josego Javiera. Albo to bardzo silny mężczyzna, albo kilka osób – napisałem.

– Inspektorze Ayala, czy mamy do czynienia z serią?

Jeszcze nie jestem pewien, czy to seryjny zabójca. To zależy, czy sprawcami morderstwa Rebeki Tovar były te same osoby. Zastanawiałem się też nad opcją, że mamy do czynienia z szalonym zabójcą dokonującym morderstw w różnych miejscach w niewielkich odstępach czasu, od kilku godzin do kilkunastu dni. To typ, który różni się od seryjnego mordercy, bo ci ostatni w okresach uśpienia wracają do zwykłego życia. Pamiętajmy, że są to najczęściej psychopaci doskonale funkcjonujący w społeczeństwie. *Spree killer* nie powraca do swojego normalnego zachowania. Niepokoi mnie, że między śmiercią Any Belén Liaño i zabójstwem Josego Javiera upłynęło zaledwie siedemnaście dni. Mam nadzieję, że to nie jest początek spirali przemocy, jaką przeżywaliśmy w Vitorii zaledwie kilka miesięcy temu. Nie wiem, czy miasto jest zdolne jeszcze raz stawić czoło podobnej zbiorowej psychozie.

Spojrzałem na zegarek: MatuSalem miał czekać na mnie w krypcie o 13.13. Na

szczęście Alba zakończyła to pełne napięcia zebranie, a ja pobiegłem do Nowej Katedry.

Najbardziej nieuchwytny haker w mieście chciał się ze mną widzieć.

KRYPTA NOWEJ KATEDRY

5 grudnia 2016, poniedziałek

Przeszedłem między rzędami drewnianych ławek polakierowanych na wysoki połysk. Otaczały mnie kamienne kolumny grube jak sekwoje i witraże spoglądające na mnie tęczą niesamowitych barw.

– Nie masz komórki, mam nadzieję. W przeciwnym razie spadam – szepnął MatuSalem swoim głosem nastolatka przed mutacją, kiedy usiadłem i zapatrzyłem się w pusty ołtarz.

– Yhm – wymamrotałem w odpowiedzi.

Nikogo nie było w tym podziemnym pomieszczeniu pełnym łuków i reliefów. Ale i tak wolałem nie mówić zbyt głośno.

– Masz, będziemy się porozumiewać analogowo – oznajmił i wręczył mi notes i ołówek 2HB.

Powiedz, czemu sprowadziłeś mnie do swojej najgłębszej jaskini – napisałem, nie patrząc na niego.

– Bo muszę cię ostrzec.

– Przed czym? – powiedziałem na głos.

– Że wpakowałeś się po uszy, dając Golden Girl dostęp do danych twojego telefonu.

– Czemu?

– Bo, przyjacielu, Golden zadaje bardzo dziwne pytania w darknecie. A wszystko, co dzieje się w darknecie, trzeba traktować poważnie. I Golden nie miała w zwyczaju zstępować do tych piekieł, kolego. Ale musiała w twoim telefonie coś znaleźć, nie mam pojęcia co, i teraz buszuje tam godzinami, szukając Bóg wie czego.

Darknet, czyli czarna sieć, to te dziewięćdziesiąt osiem procent stron i forów, których nie da się znaleźć za pomocą zwykłych wyszukiwarek. Wszystko ma związek z półświatkiem przestępczym: *sicarios*, narkotyki, broń, handel żywym towarem... W skrócie: świat zdeprawowanych i deprawatorów. Szperanie w tym świecie, nawet

jeśli robi się to z czystej ciekawości, ma swoje konsekwencje nawet dla najlepszych informatycznych ekspertów: ich telefony i komputery, mimo że właściciel nie zdaje sobie z tego sprawy, stają się łatwym łupem dla crackerów, hakerów i *black hats*. Każde urządzenie poddane tej próbie, wszystkie zawarte na nim dane: zdjęcia, kontakty, karty kredytowe, hasła, stają się częścią botnetów lub dołączają do komputerów zombie. Bilet wstępu do wirtualnego dantejskiego piekła słono kosztuje. Trzeba wielkiej naiwności, żeby sądzić, że wyjdzie się z tej podróży obronną ręką.

A ty skąd o tym wszystkim wiesz, Matu? Tylko mi nie mów, że wciąż mnie śledzisz, bo nieźle się wkurzę.

MatuSalem przeczytał, co napisałem, i odsunął nieco kaptur, żebym mógł zobaczyć jego oczy. Zapuścił trochę włosy i pofarbował je na anielski błękit. Ten smarkacz wydawał się żywcem wyjęty z komiksów mangi: szlachetne rysy, olbrzymie oczy okrągłe jak u jelonka, policzki bez śladu zarostu. Annabel Lee, gdyby żyła, na pewno wykorzystałaby go jako modela do swoich powieści graficznych.

– Powiedziałem ci to już pod murałem *Zwycięstwo Vitorii*, Kraken. *Fidelitas* to moja zasada.

Dopiero po kilku sekundach zrozumiałem, o czym mówi.

Nie, nie, Tasio cię o to poprosił.

– Powiedzmy, że zanim wyjechał do dalekiej Ameryki, powierzył mi tę świętą misję. Szanuje cię, stary. A to wiele znaczy u Tasia, który nie ufa połowie ludzkości po tym, jak wsadziliście go do pierdła, chociaż był niewinny.

Jeśli chodzi o ścisłość, to wsadził go do pierdła jego własny brat bliźniak – przypomniałem mu. – A wracając do interesującego nas tematu: śledzicie mnie, do cholery!

– Opiekujemy się tobą. Jestem twoją cyberniańką. Nie ma za co.

Nie prosiłem was o to. Moje intymne sprawy to nie wasz interes. Odczep się, Matu, w przeciwnym razie przysięgam, że tego pożałujesz.

– Źle wybrałeś sobie obiekt złości, bo od jakiegoś czasu jestem czysty jak łąza, staram się zarobić na życie jako *white hat*, ale powrót do pracy nie jest łatwy, kiedy nie masz jeszcze dwudziestu lat, a twoje konflikty z prawem widnieją we wszystkich bazach danych. Tak czy siak, nalegam: lepiej przyjrzyj się dobrze Golden.

– Ufam Golden – powiedziałem na głos. Zabrzmiało to bardziej jak „ułam Goolden”,

ale z dnia na dzień mniej mnie obchodziło, co ludzie pomyślą o mojej bełkotliwej wymowie.

– A co ty o niej wiesz? – zapytał, przypuszczam, że wyzywająco.

– Tyle, ile trzeba.

Że pomogła mi zatrzymać zbiega oskarżonego o przemoc domową, któremu wynajmowała pokój. Że ja w zamian przymknąłem oczy na fałszerstwo, jakiego się dopuściła, występując o rentę i mieszkanie po mężu, z którym co prawda spędziła czterdzieści lat życia, ale oficjalnie nigdy nie wzięła ślubu... Takie tam biograficzne szczegóły.

– Może jednak wiesz za mało. Mnie cała ta sprawa śmierdzi. Udawała nawet nastolatkę na forum samobójców.

– Forum samobójców? Myślałem, że to miejska legenda.

MatuSalem spojrział na mnie tak, jak dorosły spogląda na naiwnego smarkacza.

– Chyba postrzegasz świat w nazbyt różowych barwach.

W różowych barwach, pomyślałem rozgorączony. Dziś muszę pochować przyjaciela, Matu. Nie pierdol, nie jestem dziewicą. Szatan przeleciał mnie bez wazeliny.

– Jedna rada, mam nadzieję, że zachowasz się odpowiedzialnie i jej nie zignorujesz: nie pytaj Golden o to wprost, bo schowa się do muszli jak ślimak. Pozwól, że będę śledził jej ruchy i cię o nich informował. Golden ma długą i bogatą historię, o wiele bogatszą, niż sądzisz. Kiedy internet był jeszcze w powijakach, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym, ona już badała wirtualne granice między dobrem a złem, pracując w Cisco. Golden należała do pierwszej ekipy, która ze swojej amsterdamskiej siedziby kładła podwaliny pod europejską sieć sieci. Ja wtedy byłem niemowlakiem, dopiero się urodziłem. Nawet moja matka była wtedy raczej dziewczynką niż kobietą. Może i Golden jest teraz twoją doradczynią. Nie znaczy to wcale, że zawsze opowiadała się po jasnej stronie mocy, nic z tych rzeczy. Sam zobacz, czuje się w darknecie jak u siebie w domu, a naprawdę trzeba mieć jaja, żeby zapuszczać się w te rejony. Powiem szczerze, jeśli to robisz, możesz mieć dwa powody: chcesz popełnić przestępstwo albo chcesz popełnić przestępstwo. Koniec, kropka.

„Czasem masz przed sobą całą prawdę, ale wielkie drzewo zasłania ci napis i widzisz tylko jego fragment – powiedziała mi kiedyś, a ja nie zrozumiałem. – Czasem nie widzimy całego słowa, a tylko jego część, która nabiera własnego znaczenia. Na przykład firma Cisco. Jej założyciele mieli z okien Uniwersytetu Stanforda widok na sztyl z napisem «San Francisco», ale przesłaniały go gałęzie, dostrzegali tylko część słowa: «Cisco». Nazwali tak swoją firmę, a teraz są wielkim giełdowym przedsiębiorstwem”.

Załóżmy, że ci wierzę – napisałem w notesie. – Powiedzmy, że niechcący znalazłem się na linii ognia dwojga hakerów o wybujałym ego, z różnych pokoleń. Najlepszych w Hiszpanii. Czy masz dla mnie jakieś rady techniczne, do których powinienem się zastosować?

– Kup sobie nowy telefon, z nowym numerem, i używaj go do wszystkiego, w co nikt poza tobą nie powinien mieć wglądu. Postaraj się o nową kartę SIM, niepowiązaną z twoim numerem dowodu, na pewno któryś z kolegów z Wydziału do Walki z Cyberprzestępczością ci w tym pomoże. Dochodzenie, twoje życie prywatne, twoje bezpieczeństwo... Ale musisz wciąż rzucać Golden jakieś okruchy, żeby się nie zorientowała, że coś jest nie tak. Wszystko jedno, czy mnie o to poprosisz, czy nie, będę śledził jej wędrówkę po kolejnych kręgach piekła. Pogódź się z tym. Nawet jeśli mi tego zabronisz, mam to gdzieś.

Ten dziecinny upór zaczynał trochę mnie wkurzać.

Daj mi chociaż jeden dowód, Matu. Chociaż jeden, żebym mógł ci zaufać.

– Dowód, powiadasz? Zapytaj swojej złotej dziewczyny, po co, kurwa, zamawia tasery u wrót piekieł.

To wystarczyło, żebym się zamknął.

Rzeczywiście Golden Girl posunęła się za daleko.

MatuSalem spojrział na zegarek i wstał z ławki.

– O drugiej zamykają interes, a ja spadam. Teraz możesz spalić te kartki albo je zjeść. Wiem, że nie jestem odpowiednią osobą, żeby udzielać ci rad, brakuje mi doświadczenia i tak dalej, ale, kurwa, Kraken, musisz w końcu zacząć mówić. Nie może być tak, że całe twoje życie i wszystkie twoje rozmowy wyświetlają się na jakimś ekranie. To nie jest bezpieczne, pomimo wszelkich środków ostrożności. Hakerzy twierdzą, że im więcej wiesz, tym większą łapiesz paranoję. Niebezpieczeństwo istnieje, nie wystawiaj się na łatwy strzał, już raz ktoś spieprzył ci życie.

Po czym wyrwał z zeszytu zapisane przeze mnie strony, rzucił je na ławkę, zabrał notes i ołówek i odszedł równie cicho, jak się tu zjawił.

A pogrzeb?

No tak: pogrzeb. Ostatnia droga J. Zostawmy to, proszę. Obrządek jak obrządek, znów te same formuły, nasza paczka w szoku, nikt nie wiedział, co powiedzieć. Bo co właściwie można powiedzieć w takiej chwili?

Znów zjawiło się nas trzech, w kapturach chroniących przed deszczem, trzech wysłanników piekła, którzy nie potrafili ochronić przyjaciela przed demonami.

J. był najbardziej bezbronny z całej naszej czwórki.

Zawsze tak było.

I pierwszy odszedł.

My trzej, pozostali przy życiu, byliśmy twardzi. Twardzi jak skała, jak dąb, jak lód.

I staliśmy tam, mimo walącego gradu.

Nadleciał czarny kruk, przerażające ptaszysko, i usiadł mi na ramieniu. A nie, to działo się tylko w mojej wyobraźni. Pomyślałem: skończę z tym, raz na zawsze, jako wnuk swojego dziadka, zawrę pakt z bogiem, który pierwszy mnie wysłucha, i z tym skończę. Nikt więcej nie umrze.

Niewiele brakowało, a wszystkie cmentarne posągi, słuchając tych butnych deklaracji, umarłyby ze śmiechu.

25

LATO KRAKENA

8 lipca 1992, środa

Po powrocie z Sandaili poranne nawyki Annabel zbytnio się nie zmieniły. Około szóstej zapalała swoją latarkę czołową, wygrzebywała się ze śpiwora, siadała na łóżku i rysowała. Unai, który już nie spał, podchodził do niej i prowadzili szeptem coraz bardziej zażyłe rozmowy.

Potem jednak następowało coś, czego nie robiła wcześniej.

Kiedy kończyła już sesję rysowania w świetle czołówki, zanim jeszcze wstał świt, wkładała buty i wychodziła na spacer po pobliskim zagajniku sekwoi.

Nie spacerowała sama. Towarzyszył jej Lutxo. Mniej więcej o siódmej oboje opuszczali dom i ruszali na spotkanie Kantabrii, wciąż jeszcze pogrążonej we śnie.

Lutxo był ostatnim projektem Annabel. Pewnego wieczoru, kiedy brał z tacy ostatnie kawałki chrupiącego bekonu, zaczęła bacznie mu się przyglądać.

– Co? – zapytał z pełnymi ustami, czując na sobie jej wzrok.

– Jesteś tym, co jesz – powiedziała wyrozumiałym tonem. – Jesz tłuszcz, sam stajesz się tłusty. A ludzie zwracają na to uwagę. Chodź jutro ze mną, przejdziemy się po lesie. Daj mi dwa miesiące, a zrobię z ciebie innego człowieka.

Przez lata Lutxo miał w zwyczaju przechadzać się rano po lesie. Nauczył się też wspinaczki, po tym jak zobaczył ludzi wspinających się po ścianie w Sandaili, i usłyszał od Annabel o szkołach wspinaczki, sztucznych ściankach, które zrobiły się modne w Europie. Mówiła mu o chwytach, o magnezji, o specjalnych butach, uprawiali buldering na pobliskich blokach skalnych, które się do tego nadawały. Nawet niczym dwa pająki okrążali na wysokości półtora metra pałac hrabiego San Diego, żeby wzmocnić ręce.

Ale ta nowa nić porozumienia między Annabel a Lutxem spowodowała pewne tarcia. Lutxo wygłaszał pod adresem Unaia o wiele więcej złośliwości niż zazwyczaj, nie mógł znieść porannej poufałości pomiędzy Annabel i swoim przyjacielem z dzieciństwa. Tych rozmów szeptem, tych śmiechów, tych zwierzeń...

Pewnego dnia nagłówek w gazecie zainspirował go do nowego żarciku:

LATO KRAKENA

To już trzeci egzemplarz martwej kałamarnicy olbrzymiej, jaki wyrzuciło morze na wybrzeżu Asturii w pobliżu miejscowości Luarca. Ten ostatni, samiec *Architeutus dux*, w wieku siedemnastu miesięcy osiągnął prawie 14 metrów długości.

– Unai, jesteś bardzo podobny do tej kałamarnicy – nabijał się Lutxo przy śniadaniu.

Przy stole siedzieli wszyscy: Saúl, Rebeca, Annabel i czterech vitorczyków. Z początku nikt nie zrozumiał żartu.

– O czym ty mówisz?

– No tak. Spójrz na te macki. Dwa razy dłuższe od ciała. Zupełnie jak u ciebie. Jak długie są twoje ramiona?

– Większe niż twoje neurony, to oczywiste.

– Nie złość się, Kraken.

– Nie jestem żadnym krakenem! – wrzasnął wkurzony Unai. – Lutxo, nie zaczynaj ze mną, bo pożałujesz.

– No proszę, Kraken nam się zdenerwował – nie ustępował Lutxo.

I powtarzał ten sam żart następnego dnia. I kolejnego.

Był dzień powszedni. Unai wyszedł spod prysznic i nie znalazł ręcznika. Musiał zabrać go jakiś dowcipniś (Lutxo? Asier?). Goły i mokry podszedł do umywalki i owinał się w pasie małym ręcznikiem do rąk.

Zbiegł czym prędzej po schodach, marząc tylko o jednym: żeby nikogo po drodze nie spotkać. Dzień zapowiadał się upalny, było dopiero wpół do dziesiątej, a już w powietrzu wisiał wilgotny skwar. Sypialnia chłopców była pusta, wszyscy zeszli na śniadanie.

Już miał się pozbyć ręcznika i zacząć ubierać, kiedy usłyszał cichy głos Annabel Lee za plecami.

– A co z Lutxem? – zapytał Unai.

– Je śniadanie. Co, jesteś zazdrosny o nasze wycieczki w góry?

– Nie – skłamał.

– Bardzo mi się podoba ksywka Kraken. Masz chyba więcej szczęścia do przydomków niż ja.

– Wątpię.

– Naprawdę. Nie mówiłam ci jeszcze, że wybrałam swój pseudonim artystyczny, bo nie lubiłam ksywki, jaką wymyślili dla mnie motocykliści z bandy mojej matki – wyznała Annabel, stojąc za plecami Unaia.

Odwrócił się, trzymając w ręce džinsy i T-shirt.

– A jak na ciebie mówili? – chciał wiedzieć.

– Żmija. Zawsze jestem przyczyną konfliktów między dziewczynami, a nawet dojrzałymi kobietami. Nic na to nie poradzę, że ich mężowie się za mną oglądają, matki moich przyjaciółek nie życzą sobie mojej obecności na przyjęciach, a między chłopcami sieję wiatr i zbieram burzę. Nie mogę tego uniknąć. A może nie chcę. Pamiętaj, że cię ostrzegałam. Nawet narzeczeni mojej mamy uganiali się za mną, matka wiele przeze mnie wycierpiała. Czasem mnie usprawiedliwiała, czasem obwiniała mnie o ich uwodzenie (wtedy cierpiała najbardziej). A mnie wszyscy mężczyźni świata – poza tobą – są obojętni. Jestem ci wierna w myślach i czekam, aż do mnie wrócisz, odkąd skończyłam cztery lata.

Unai stał przed nią, wciąż owinięty tym kusym ręcznikiem, który okrywał tylko to, co konieczne.

Wolał nie odpowiadać, chwycił swoje ubrania i wybiegł z rozgrzanego pokoju jak diabeł, który się rozmyślił i postanowił uciec z piekła.

Kilka godzin później J., Annabel i Rebeca skończyli wreszcie zadaszanie chatki z epoki żelaza. Ręce mieli spracowane i zniszczone. Rebeca tego dnia była napięta, milcząca. J. od razu to zauważył. Są na świecie osoby empatyczne, są i takie, które nie zwracają uwagi na nastroje innych. Jak Annabel, która przez większość czasu ledwo dostrzegała dziewczynkę.

Rebeca wykorzystała chwilę, kiedy J. poszedł napełnić bidon, żeby zostać z Annabel w chatce sam na sam i z nią porozmawiać.

Dziewczynka była przekonana, że J. i Annabel widzieli coś w Sandaili. Kiedy schodzili do jaskini, wpadli na Rebecę i Saula, którzy już wracali. Rebeca pomyślała, że to wystarczy. Z sercem bijącym jak szalone zaczęła opowiadać o wszystkim drżącym głosem, bardzo zawstydzona.

Annabel natychmiast ją powstrzymała.

– Nie chcę słyszeć ani słowa więcej. Wszystko to wymyślasz.

– Więc mi nie wierzysz? – zapytała Rebeca cichutko.

Nie miała odwagi spojrzeć jej w twarz. Była taka zimna. Przypominała jej ciotkę.

– Oczywiście, że nie. A nawet gdyby tak było... Saúl Tovar? Matko Boska, dziewczyno, pierwsza bym ci zazdrościła.

J. usłyszał koniec rozmowy, stojąc na progu chatki.

– Co tu się dzieje? – zapytał, widząc, że dziewczyny się posprzeczały.

– Niech sama ci opowie, ja już skończyłam z tą chatą. – Annabel wzięła z rąk J. bidon i wyszła, zostawiając trzęsącą się, przerażoną dziewczynkę sam na sam z J.

I znów serce zabiło jej szybko, szybko, szybko. Czasem rwało się do przodu i nie mogło zwolnić.

– Rebeco, co się stało? Mnie możesz opowiedzieć.

– Nic, J. Nic się nie stało – odparła.

Nie chciała, żeby ojciec się dowiedział, chociaż właśnie poszedł do domu po przenośną lodówkę i napoje.

J. podszedł do niej, usiadł na drewnianej ławeczce, którą uczestnicy obozu zbudowali w ubiegłym roku, i wziął ją za rękę.

– Rebeco, mówię poważnie. Wszystko jedno, o co chodzi, mnie możesz opowiedzieć. – Jego głos zabrzmiał jak głos starszego brata. Był pełen czułości, wzbudzał zaufanie.

Rebeca spojrzała na jego dłoń. Od razu jej się spodobała. Była mała, jeszcze ręką dziecka. Czysta niewinność.

Więc znów zebrała się na odwagę i opowiedziała mu wszystko. Nie szczędziła szczegółów, opowiedziała nawet o ciotce. Wszystko. Wszystko.

Dwadzieścia minut później Unai zobaczył, jak jego przyjaciel wymiotuje na skraju drogi.

– Źle wyglądasz, piłeś?

Mam nadzieję, że o tej godzinie nie jesteś jeszcze pijany, pomyślał Unai, zmartwiony stanem najlepszego przyjaciela.

J. położył mu rękę na ramieniu. Potrzebował wsparcia. Unai zawsze był uosobieniem zdrowego rozsądku, a ta cała sytuacja go przerastała.

– Nie, chodzi o córkę Saula, biedaczka, nie jest z nią najlepiej. Ma problemy psychiczne, nawet sobie, kurwa, nie wyobrażasz jakie. Saúl zresztą mnie ostrzegł, że cierpiała na depresję, musiał ją zamknąć w szpitalu, brała leki...

– Ale co ci właściwie powiedziała?

– Bzdury, tak naprawdę same bzdury. Nie wiem, skąd w trzynastoletniej główce takie pomysły. Saúl prosił mnie, żebym go ostrzegł, jeśli zauważę coś niepokojącego. Bardzo się o nią martwi. I, słuchaj, nie opowiadaj o tym reszcie. Wiesz, lubię tę dziewczynkę i strasznie mi jej szkoda. Biedaczka, w zeszłym roku straciła matkę.

– O cholera, to naprawdę dramat. Miała dopiero dwanaście lat – pomyślał na głos

Unai.

Jeśli na tym obozie był ktoś czuły na tragedię dziewczynki, to właśnie Unai, sam sierota, bez matki i ojca, a także J., który wkrótce miał dołączyć do klubu.

– Saúl opowiadał, że oprócz depresji po śmierci matki zdiagnozowano u niej coś jeszcze, nie pamiętam co, nie znam się na tym. Ale coś poważnego, bardzo poważnego. Dali jej leki i w ogóle, trzymali w szpitalu w Santander przez kilka miesięcy, kompletnie naćpaną. Saúl jest zrozpaczony. Po to ją tu przywiózł, żeby trochę się przewietrzyła, zapomniała. Zarzeka się, że za nic na świecie nie chce znów zamykać jej w szpitalu.

– I co z tym zrobisz, J.? Ja oczywiście nie puszcę pary z ust, nie musisz się obawiać.

– A co powinienem zrobić, Unai? Zdaje się, że nie mam wyjścia, muszę porozmawiać z jej ojcem i opowiedzieć mu o wszystkim, chociaż nie będzie to miła rozmowa. Chcę im tylko pomóc, a to chyba najlepsze rozwiązanie, prawda?

OGRODY COLLADO

7 grudnia 2016, środa

Grudzień jak zwykle przyniósł nam lodowate, ciemne poranki. Pomimo mgły spowijającej miasto o świcie uparcie chodziłem biegać. Stosowałem się skrupulatnie do zaleceń logopedki: wzmacniałem prawą stronę ciała, obsesyjnie wykonywałem w domu zadawane przez nią ćwiczenia.

Obsesja to dla mnie nie problem.

Byłem z natury uparty.

Proces odzyskiwania mowy nareszcie nabrał rozpędu: po dwóch zaledwie tygodniach wymawiałem zdania składające się z trzech wyrazów, przestałem się wstydzić mówienia przy znajomych i przy obcych. Miałem gdzieś, jak zareagują, w końcu w grę wchodził powrót do dawnego życia, a to w mojej prywatnej skali liczyło się o wiele bardziej niż cudze opinie i spojrzenia pełne politowania.

Miałem zamiar skorzystać z płomiennych porad MatuSalema i kupić telefon, planowałem poprosić Milán o radę, jak zdobyć numer niepowiązany z moim numerem dowodu tożsamości.

Właśnie zbliżał się bardzo długi weekend. Włożyłem dres i kaptur i potruchtałem w stronę parku Florida.

Alba i ja wróciliśmy do naszych starych joggingowych tras. Ciemne ulice miasta zapewniały nam anonimowość i intymność, której nie mieliśmy w komisariacie.

Znów spotkałem ją na ulicy Batán, skupioną na utrzymaniu rytmu. Sylwetkę miała bardziej zaokrągloną, biegła wolniej, ostrożnie stawiając stopy. Coś w jej sposobie biegania zaniepokoiło mnie, a może moją podświadomość. Tak czy siak, kiedy stanąłem przed nią, odesłałem tę informację w jakieś bardzo odległe rejony mózgu, żeby nie przeszkadzała.

Byłem przygotowany na rozmowę analogową, jakby powiedział MatuSalem, miałem ze sobą notatnik i długopis. Zatrzymałem ją, chciałem, żebyśmy podbiegli w kierunku alei San Prudencio.

- Pobiegniemy do... – powiedziałem, ale nie mogłem wydusić z siebie nic więcej.
 - Tak?
 - ...Armen...
 - Armentii?
 - Chcę ci coś... coś powiedzieć.
- To ważne, dałem do zrozumienia wzrokiem.
- Rozumiem, Unai. Chcesz, żebyśmy się zatrzymali?
 - Tak, lepiej – odparłem i wyjąłem z kieszeni bluzy notatnik i długopis. Spojrzała na nie, nic nie rozumiejąc.

Usiądźmy może na ławce – napisałem.

Po lewej stronie ciągnęły się wille. Zapalające się światła wskazywały, że ich mieszkańcy właśnie budzą się ze snu. Mgła była tak gęsta, że musiałem poszukać ławki pod latarnią, żeby Alba mogła przeczytać to, co napiszę. Dotarliśmy do kamiennego łuku z wizerunkiem świętego Prudencjusza, patrona miasta. Stary biskup spoglądał na nas z niepokojem.

Było zimno, wilgoć oblepiała nam ubrania. Nie zanosilo się na przyjemny dzień.

Obawiam się, że mój telefon został zhakowany. Dwa tygodnie temu dziadek wrzucił mi komórkę do wody. Poprosiłem znajomą spoza wydziału, żeby pomogła mi odzyskać kontakty, zdjęcia... Nazywa się Golden Girl. Miałem ją, a może nadal mam, za kogoś, komu mogę w stu procentach zaufać. Ale mój inny znajomy, MatuSalem, haker, ten, który pomagał Tasiowi Ortizowi de Zárate, monitorował mnie na prośbę samego Tasia i ostrzegł, że po tym, jak zyskała dostęp do moich danych, grzebała w darknecie, pytając o paralizatory Taser i inne sprawy związane z dochodzeniem „Rytuały wody”.

Alba przeczytała cały akapit i poprosiła, żebym pisał dalej. Przewróciłem stronę.

Musimy przyjrzeć się Golden Girl, ale to bardzo doświadczona hakerka. Trzeba ustalić strategię. Kupię sobie kartę z nowym numerem, który podam tylko Estíbaliz, Milán, Peñi i tobie. Jeśli chodzi o kontakty osobiste, dodam tylko dziadka i brata. Będzie trzeba ustalić, jakimi informacjami dzielimy się przez stary telefon, a jakimi przez nowy, żeby Golden Girl nie zaczęła podejrzewać, że wiemy o tym, że nas śledzi. Ale ja nie czuję się bezpieczny, pisząc cokolwiek poufnego na ekranie telefonu ani rozmawiając na tematy związane z dochodzeniem. Mamy na karku dwóch hakerów, którzy nas

szpiegują.

– Dwa pytania. Jak myślisz, co ona może mieć wspólnego z „Rytuałami wody”?

– Nie mam pojęcia – powiedziałem na głos. – A drugie... pytanie?

– Dlaczego, do jasnej cholery, inspektorze Ayala, nie powierzyłeś telefonu naszym specjalistom od informatyki albo Milán?

Przyjrzałem jej się uważnie, przytyła kilka kilogramów, jej pociągła twarz zaokrągliła się. Cienkie palce były obrzęknięte. Była zmęczona, miała podkrążone oczy. Zamierzałem ją poprosić, żeby wpadła do mnie i zdrzemnęła się trochę, jak tamtego letniego poranka.

Bo na karcie pamięci miałem nasze wiadomości na WhatsAppie z sierpnia. Przepraszam, Albo. Nie wykasowałem ich. Czasem wracałem do nich, dodawały mi sił. Nie chciałem narażać cię na to, że nasi koledzy je przeczytają. Dowiedzieliby się o wszystkim. Nie mogłem ci tego zrobić.

Alba przeczytała i zaczerwieniła się. Przez chwilę milczała. Wzięła mnie za rękę, uwielbiałem jej delikatny dotyk, i podziękowała mi spojrzeniem. Potem wróciła do swojej roli pani podkomisarz.

– Podejrzewasz ją? – zapytała, pokazując to, co napisałem.

– Golden? Absolutnie nie – powiedziałem.

W życiu, pomyślałem.

To starsza kobieta, niedawno przeszła operację biodra, nie mogłaby, nawet gdyby bardzo chciała, popełnić takiego morderstwa – napisałem w notatniku.

Alba zastanawiała się przez chwilę nad wszystkim, co przeczytała, rozpięła puchową kamizelkę i machinalnie, nie zwracając uwagi na moją obecność, zaczęła się głaskać po brzuchu. Próbowałem ukryć wzruszenie, jakie wywołał we mnie ten gest, chyba mi się nie udało, bo dostrzegłem, że unosi kąciki ust w nieśmiałym uśmiechu.

Niedługo nie uda ci się już tego ukrywać. Zamierzasz powiedzieć prawdę w pracy?

– Tak, już najwyższy czas, żebym porozmawiała z komisarzem Mediną, zanim zaczną się plotki. Nigdy nie sądziłam, że będę musiała się tłumaczyć w pracy ze swoich prywatnych spraw, zwłaszcza w pracy takiej jak nasza.

Dlaczego właściwie zostałam policjantką? – zapytałam.

– Naprawdę chcesz rozmawiać o moim życiu?

Prawie nic o tobie nie wiem. A chciałbym dowiedzieć się czegoś. Mnóstwa rzeczy. Wszystkiego – napisałem.

Alba podniosła notatnik do oczu bardzo blisko, zdziwiło mnie to.

– W porządku?

– Tak... nie. Nie wiem, wszystko mi się rozmywa przed oczami. To pewnie przez tę mgłę.

– Wracamy? – zaproponowałem zaniepokojony.

– Nie, jest okej. – Ucieszyłem się, że posiedzimy jeszcze chwilę, bo wydała mi się bardzo zmęczona. – Czemu wybrałam ten zawód... To stało się w klasie maturalnej, miałam siedemnaście lat. Już ci mówiłam, że byłam nieśmiałą, otyłą dziewczyną, zakompleksioną z powodu skandalu, jaki wybuchł w Madrycie w związku z oszustwami impresaria mojej matki. Zamieszkaliśmy w Laguardii i próbowaliśmy żyć normalnie. Do równoległej klasy chodził taki jeden chłopak. Miał na imię Álvaro. Szalałam za nim, niestety nie ja jedna.

Nie żebym był zazdrosny o jej przeszłość, nie miałem do tego prawa, ale poczułem nieprzyjemne ukłucie w żołądku. Szkoda, że to nie ja chodziłem z tobą do szkoły, Albo, przebiegło mi przez myśl.

– Była też inna dziewczyna. Typowa przywódczyni, otoczona wianuszkami wiernych przyjaciółek. Marta też się w nim podkochiwała. I, wbrew wszelkim oczekiwaniom, Álvaro zwrócił na mnie uwagę. Chyba bawił się z nami dwiema, żeby wzbudzić naszą zazdrość, ale nie jestem tego pewna. Pewnego dnia zrobił coś, czego się nie spodziewałam. Umówił się ze mną. Na prawdziwą randkę. Mieliśmy się spotkać tego samego wieczoru w parku nieopodal hotelu mamy, w ogrodach Collado, obok pomnika Samaniegi, tego bajkopisarza. Włożyłam spódnice, buty na obcasie, umalowałam usta szminką matki. Nie wiem, skąd Marta dowiedziała się o tym spotkaniu. Podejrzewam, że sam jej opowiedział, żeby poczuła zazdrość i w końcu zgodziła się pójść z nim do łóżka. Tak czy siak, na umówionym miejscu nie pojawił się wcale Álvaro, ale chmara dziewczyn. Paczka Marty i oczywiście ona sama.

Alba uśmiechnęła się smutno, jakby potrzebowała zaczerpnąć tchu przed tym, co miała za chwilę opowiedzieć. Ścisnąłem ją mocno za rękę, chciałem dodać jej otuchy, powiedzieć: spokojnie, wszystko jest w porządku.

– Zaczęły chodzić za mną po parku, wymyślać mi, przyspieszyłam kroku, one też. Byłam niewysportowaną dziewczyną, ważyłam sto dwanaście kilo przy stu

siedemdziesięciu czterech centymetrach wzrostu. Widząc ich intencje, rzuciłam się do ucieczki, ale było ich pięć. Szybko się zmęczyłam, dostałam tachykardii, moje serce nie wytrzymało takiego obciążenia. Dopadły mnie, Marta zaczęła kopać mnie w żołądek, wymiotowałam. Nie byłam świadoma zagrożenia, nie pomyślałam, że snucie się w nocy po wyludnionym parku nie jest najlepszym pomysłem, chociażbym bardzo dobrze go znała. Byłam tak podekscytowana perspektywą spotkania z Alvarem, że nie zauważyłam ich, dopóki nie było za późno. Do tej pory żyłam pod kloszem, mogłam liczyć na opiekę ojca, który wszędzie ze mną chodził. Tej nocy klosz się stłukł.

Latem przeszłam sama Camino de Santiago. Okłamałam rodziców, powiedziałam, że będziemy wędrować szlakiem apostoła w kilka osób. W dwadzieścia dni przemierzyłam prawie osiemset kilometrów szlaku, czterdzieści kilometrów dziennie. Kiedy dotarłam na plac Obradoiro, ważyłam dwadzieścia dwa kilogramy mniej, nigdy ich nie odzyskałam i nigdy nie przestałam uprawiać sportu, codziennie. Zapisalam się na kursy samoobrony w Logroño. Tam uświadomiłam sobie, że chcę się czuć potrzebna i że chcę znaleźć impresaria mamy, wsadzić go za kratki, zmusić do oddania nam pieniędzy, żeby uniknąć licytacji hotelu. Skończyłam studia, wstąpiłam do Ertzaintzy. Od lat śledzę jego kroki od chwili ucieczki, ale trop urywa się w Chile. Chyba już nie żyje, nie wiem, co stało się z pieniędzmi. Mama nie wie, że to robię.

Alba zawiesiła głos. Nie wyglądała dobrze. Przestraszyłem się, nie wiem, czy to za sprawą złych wspomnień, ale z każdym głębszym oddechem chwytala się za brzuch.

– Co zaś się tyczy Marty, wiąże się z nią jedno z moich pierwszych zatrzymań, kiedy już pracowałam w policji. Odebraliśmy zgłoszenie od mieszkańca Laguardii, pojechaliśmy na miejsce i tam zastałam ich. Marta była żoną Alvara, bardzo się postarzała, na twarzy miała siniaki. Musiałam aresztować chłopaka, któremu kiedyś bez wahania powiedziałabym „tak”. Gdyby nie to, że Marta spuściła mi lanie, dotarłabym na tamtą randkę. Mieli córkę, nad nią też się znęcał. Dzięki mnie Marta z małą trafiły do mieszkania dla ofiar przemocy domowej. Álvaro ma zakaz zbliżania się do nich. Marta dzwoni do mnie od czasu do czasu, spotykamy się na kawę. Udajemy, że jesteśmy przyjaciółkami, słucham o jej próbach ułożenia sobie życia na nowo, ale to niełatwe. Po maturze nie poszła na studia, bo Álvaro przekonał ją, że utrzymają się z jego pensji. Wyszła wcześniej za mąż, nie pracowała, Álvaro ją izolował. Beznadziejna sprawa.

No dobrze, ale... dlaczego to robisz? – napisałem trochę zirytowany. – Przecież ona cię pobiła?

– Bo Marta potrzebuje kontaktów, koleżanek, życia towarzyskiego, żeby Álvaro znów jej nie uwiódł, żeby do niego nie wróciła. Pamiętam każde jej kopnięcie w żebra, ale nie chcę, żeby Álvaro wygrał. Nie wiem, czy robię to dla niej, może bardziej dla jej córki, ale przede wszystkim dlatego, że nie potrafię znieść myśli o tym, że mogłabym

być na jej miejscu. Nie chcę, żeby wygrał.

– Fatalnie wy... wybierasz facetów – powiedziałem.

Czy naprawdę powinienem podcinać gałąź, na której siedziałem?

– Czy ty też zaliczasz się do tego grona?

Owszem, zaliczam się – napisałem. – Jestem zbyt przytłoczony wszystkim, co spotkało mnie w ciągu ostatnich trzech lat, żeby być normalny, poza tym uzależniam się od problemów, które napotykam w pracy. Bycie profilerem nie przynosi nic dobrego, tylko obsesje, a ja mam tendencję do ulegania im. Nie mam najlepszego profilu, żeby być profilerem, nie umiem się odciąć, zbyt szybko tracę obiektywizm. Życie ze mną to życie w ciągłym stresie, dopóki nie złapiemy zabójcy. Wtedy będziemy czekać na pojawienie się kolejnego seryjnego mordercy. Podoba ci się taka perspektywa? Naprawdę tego chcesz? Nie wolałabyś kogoś spokojniejszego?

– Już byłam żoną kogoś spokojniejszego, uosobienia spokoju, króla bezkonfliktowego pożycia...

Przed tym uciekasz? Nie chcesz znów zostać oszukana?

Nie powinienem był tego napisać, teraz żałuję. Nie spodziewałem się, że te słowa spowodują podobną reakcję. Moje pytanie dotknęło ją i zdenerwowało. Spiorunowała mnie wściekłym spojrzaniem, wstała obrażona, nie przestając trzymać się za brzuch.

– To, co do mnie czujesz – powiedziała w końcu – to, jak reagujesz na moją obecność, jest autentyczne, głębokie, niezależne od twojej woli. Na mój widok całe twoje ciało się napina, twoja mowa ciała krzyczy na całe gardło, że ci na mnie zależy. Przynajmniej ty naprawdę coś czujesz, nie jestem dla ciebie sztuczką, która pomoże rozdzielnić oporną koleżankę, jak było w przypadku Alvara, ani sposobem na uzyskanie wglądu w śledztwo, a tym byłam dla Nancha. Ty mnie nie potrzebujesz, nie potrzebujesz nikogo poza dziadkiem i bratem, jesteś ze mną, bo chcesz, nie zważając na komplikacje.

Tylko dlatego chcesz ze mną być? Ze względu na to, co czuję? – napisałem niewyraźnie, bo ręka mi drżała. – Muszę wiedzieć, czy ty też chcesz ze mną być, muszę wiedzieć, czy dla ciebie nie jestem żadną strategią, odskocznią, plastrem na zboląłą duszę.

– Plastrem, mój Boże – westchnęła. – Zrobiłeś mi córkę, a teraz uważasz, że jesteś tylko plastrem...

Ale nie dokończyła zdania. Na jej twarzy pojawił się grymas bólu, który wbił mnie w ławkę. Upadła na ziemię, zanim zdążyłem ją podtrzymać.

I na zamarzniętym trawniku Alba dostała drgawek.

SZPITAL TXAGORRITXU

7 grudnia 2016, środa

Nie mogłem nawet zadzwonić na 112 i wezwać karetki. Spróbowałem, ale zdołałem tylko wymamrotać „San... Prudencio”. Rozłączyłem się, zdenerwowany i sfrustrowany, drugą ręką trzymając dłoń nieprzytomnej Alby, i wysłałem rozpaczliwą wiadomość na WhatsAppie do Estíbaliz. Modliłem się, żeby o tej porze miała włączony telefon.

„Wezwij karetkę w aleję San Prudencio. Czterdziestoletnia kobieta w ciąży ma drgawki, jest nieprzytomna”.

Wystarczył emotikon podniesionego palca, a wiedziałem już, że pomoc jest w drodze.

To był długi, przeraźliwie długi dzień. Albę przyjęto do szpitala Txagorritxu, zlecano jej kolejne badania, a ja szalałem, czekając na wyniki. Nie wiedziałem, czy straciła dziecko, czy jego serce jeszcze bije. Nikt nie chciał udzielać mi informacji, czułem na sobie współczujące spojrzenia.

Zadzwoniłem do matki Alby do hotelu w Laguardii, starałem się cierpliwie, używając chaotycznych, niepowiązanych ze sobą słów, wyjaśnić jej, co się stało. Przyjechała na miejsce przed upływem godziny, oboje czuwaliśmy przy Albie.

Chociaż umierałem z niepokoju o Albę, nowy fakt zaprzętał moje myśli: spodziewała się córeczki. Od pierwszej chwili, ledwie wymówiła te słowa, poczułem, że to moja córka. Będę miał córkę. Nic mnie nie obchodziło, że Nancho może być jej biologicznym ojcem. Nancha tu nie było, żeby się nią zaopiekować. Byłem ja.

Byłem ja.

Diagnozę postawiono po wielu godzinach, dopiero pod wieczór: rzucawka. Rzadkie powikłanie stanu przedrzucawkowego. Alba miała podwyższone ciśnienie, wiedziała o tym. Nie podzieliła się ze mną tą informacją. Pewnie na to nie zasłużyłem.

Po podaniu leków obniżających ciśnienie lekarze uznali, że matce i córce nie grozi niebezpieczeństwo. Tak, możemy je zobaczyć. Nie, nie możemy męczyć pacjentki. Tak, Nieves miała zostać z nią na noc w szpitalu. Nie, nie było potrzeby, żebym i ja

zostawał.

– Wróć lepiej do domu – powiedziała Alba zmęczonym głosem. – Odpocznij trochę.

Skąd pomysł, że mógłbym zmrużyć oko zaraz po tym, jak się dowiedziałem, że będę miał córkę?

Esti przyjechała do szpitala zaraz po pracy. Przyniosła pudełko trufli, chyba raczej dla Alby niż dla mnie. Nie mogłem się jednak powstrzymać i z myślą o czekającej mnie bezsennej nocy wsunąłem kilka do kieszeni. Kobiety śmiały się, trzymały za ręce, szeptały sobie jakieś zwierzenia. Alba zupełnie nie zachowywała się jak szefowa, ale jak kobieta w ciąży wysokiego ryzyka, która właśnie dowiedziała się, że wszystko będzie dobrze, i odetchnęła z ulgą. Wiedziałem, że potrzebuje wsparcia. Miałem ochotę pocałować Estibaliz w czółko i objąć ją w najmocniejszym uścisku Krakena.

Powstrzymałem się, uznałem, że nie wypada.

Wyszedłem wreszcie i na jednym z labiryntowych korytarzy szpitala spotkałem komisarza Medinę.

– Właśnie się o wszystkim dowiedziałem – powiedział konspiracyjnym szeptem. – Mogę ją teraz zobaczyć?

Pokręciłem głową i pokazałem mu zegarek, żeby usprawiedliwić odmowę. Było już późno, dawno po godzinach odwiedzin, a kiedy wychodziłem z sali, Alba spała głębokim snem.

– Rozumiem, w takim razie wrócę rano. Chciałem złożyć jej wizytę, i to nie tylko jako kolega. Mamy do omówienia również parę spraw służbowych. Pan prowadził dochodzenie w sprawie zabójstw popełnionych przez jej męża...

Pokiwałem głową trochę zdenerwowany. Nie wiedziałem, do czego zmierza.

– Jak pan się pewnie domyśla, komisariat aż huczy od plotek i muszę wiedzieć, jak pani podkomisarz zamierza to wszystko wyjaśnić. Bo widzi pan, skoro... skoro jest w osiemnastym tygodniu, to znaczy, że jest w ciąży od sierpnia, więc jej syn...

Córka – napisałem i pokazałem mu telefon.

I w tym momencie przypomniałem sobie rady MatuSalema, żeby moje życie nie przechodziło przez ekran telefonu ani innego urządzenia. Nie miałem głowy do tych kazań, nie myślałem o tym, że powinienem być ostrożny, chronić się, nie zachowywałem się racjonalnie, nie bawiłem się w stratega. Byłem przede wszystkim facetem, który dowiedział się, że będzie miał córkę z kobietą, za którą szaleje.

– Więc córka – poprawił się. – Skoro córka jest dzieckiem naszego seryjnego mordercy...

– Ja jestem ojcem – przerwałem. Powiedziałem to głośno, wyraźnie i z przekonaniem. Zdanie zabrzmiało jak trzaśnięcie biczem. – Ja jestem ojcem – powtórzyłem.

I wymyśliłem naprędce kłamstwo mające ochronić nas oboje. Na oczach zdumionego komisarza napisałem:

Podkomisarz była w trakcie separacji z mężem, chociaż nie złożyli jeszcze dokumentów w sądzie. Mieliśmy romans, to dziecko jest moje. Trzymaliśmy to dotąd w tajemnicy ze względu na skomplikowane okoliczności. Podkomisarz miała zamiar niedługo podać to do wiadomości. Wiem, że pan to zrozumie, dla nas to bardzo trudne. Bardzo pana proszę o dyskrecję, dopóki podkomisarz nie porozmawia z panem osobiście, ale oczywiście warto ucinać zawczasu wszelkie spekulacje o tym, że nasza córka jest córką Nancha.

Nie chciałem, żeby Albę przez całe życie postrzegano jako matkę dziecka seryjnego zabójcy. Byłoby też krzywdą dla dziewczynki przyjść na świat z takim stygmatem.

Nie wiedziałem jeszcze, czy Alba pozwoli mi być obecnym w swoim życiu i życiu swojej córki. Byłem świadom, że nie od razu stanąłem na wysokości zadania. Ale musiałem zapobiec temu, żeby obie żyły w cieniu wspomnienia, jakie Nancho zostawił po sobie w Vitorii, i nie przyszedł mi do głowy inny sposób, żeby uciszyć plotki.

Cóż za ironia – wtedy oczywiście o tym nie wiedziałem – że tym samym podpisałem na siebie wyrok śmierci.

SZPITALNE OGRODY

8 grudnia 2016, czwartek

Było święto. Wczesnie rano, kiedy personel szpitalny zaczyna dręczyć pacjentów pierwszymi zbiórkami moczu i pobraniami krwi, zjawiłem się w Txagorritxu. Matka Alby spała na kanapie z imitacji zielonej skóry. Nawet pogrążona we śnie była elegancka. Gdyby jej zrobić zdjęcie, nie wymagałoby żadnego retuszu.

Staralem się obudzić ją delikatnie, nie przerywając przy tym snu Alby. Popatrzyłem na nią błagalnym spojrzeniem, Nieves natychmiast zrozumiała, o co mi chodzi, i zostawiła nas samych. Usiadłem na niewygodnym krześle przy łóżku Alby.

Nie spieszyłem się z budzeniem jej, byłem zbyt pochłonięty wpatrywaniem się w brzuszek nieśmiało zarysowujący się pod kołdrą. Miałem ochotę położyć na nim rękę i powiedzieć: „Spokojnie, córeczko, twój tata tu jest”, ale zabrakło mi odwagi.

Być może dziewczynka potrafiła już odczytać moje intencje i obudziła mamę, bo nagle Alba otworzyła oczy.

Powoli, jakby wracała z długiej podróży.

– Dzień dobry, Albo. Jak się dziś masz? – Ćwiczyłem to zdanie w domu, przyznaję.

– Siedem słów. Powiedziałaś siedem słów. – Uśmiechnęła się, jednak twarz miała zmęczoną, a oczy podkrążone.

– Daj mi jeszcze miesiąc... walnę całą przemowę.

Roześmiała się. Nie chciałem, żeby się śmiała. Jeszcze nie w tej chwili. Teraz miał nastąpić trudny moment. A ja zamierzałem przeprowadzić tę rozmowę, nie uciekając się do korzystania z notatnika. Przez całą noc przygotowywałem sobie zdania. Krótkie, treściwe, z tych, które determinują twoje życie i pamiętasz je na starość.

– Komisarz już wie – zacząłem.

– Co wie?

– Był tu wczoraj.

– Co wie?

– Byliście w separacji. Ty i ja byliśmy razem.

Zastanowiła się chwilę. Przyznaję, nie było to najlepiej zbudowane zdanie, ale wówczas nie potrafiłem wymówić nic bardziej skomplikowanego.

– Dlaczego? Dlaczego tak mu powiedziałeś?

– Oświadczyłem, że to moja córka. Na pewno.

Alba spojrzała na brzuch, jakby prowadziła z dzieckiem telepatyczną rozmowę, z której ja zostałem wyłączony.

– Zrobiłeś to dla niej – powiedziała w końcu.

– Na komendzie są plotki. Nikt nie powinien myśleć...

– Że to dziecko Nancha.

– To ciężkie brzemię. Nie zasługuje.

– Chcesz ją chronić. Nie wiesz, czy to twoja córka, ale chcesz ją chronić.

– Pozwól mi. Ty i ja... Ty decydujesz, czy będzie ty i ja. Jednak pozwól mi ją chronić.

– Więc mamy powiedzieć wszystkim, że byłem w separacji z Nanchem, że w sierpniu mieliśmy romans i że to twoja córka, bez cienia wątpliwości.

– Jedna wersja. Bez żadnych pęknięć. Zawsze.

Jak mantrę. Musimy powtarzać w kółko tę wersję, aż sami w nią uwierzemy. Do końca życia. Mojego i Alby.

– A jeśli będzie podobna do Nancha?

– Był całkiem w porządku, kiedy nie zabijał – wymknęło mi się.

Spojrzała na mnie tak, jakby chciała wbić mi tkwiącą w żyłę igłę od kroplówki. Potem wybuchnęła śmiechem, gromkim śmiechem.

– No tak, kiedy nie zabijał, to w końcu nie był takim złym człowiekiem – zgodziła się ze mną.

A ja śmiałem się z nią, chociaż po cichu przeproszałem Martinę za to świętokradztwo. Ale musieliśmy żartować, śmiać się z naszej rozpaczliwej sytuacji, być silniejsi niż wszystkie czekające nas przeciwności losu.

Ta efemeryczna chwila, kiedy poczuliśmy się znów razem, nie wystarczyła. Dotknąłem dłoni Alby, żeby ją uścisnąć i pocieszyć, ale ona delikatnie ją odsunęła.

– Unai, jeśli chodzi o nas... Dziś nie umiem dać ci ostatecznej odpowiedzi. Dziś mam na głowie co innego, muszę być silna, kiedy mnie wypiszą i wrócę do pracy. Chcę sama uporać się z tym, co zastanę w komendzie, potem podejmę decyzję co do przyszłości naszego związku. Dobrze?

Jeśli nie ma innego wyjścia, pomyślałem.

– Jasne. Mogę wpaść po południu? – zapytałem na odchodnym.

– Zawsze możesz odwiedzać swoją córkę. I tak, przychodź, kiedy chcesz.

To zdanie wystarczyło, żeby cały mój wszechświat rozbłysł nowym blaskiem.

Wyszedłem na korytarz. Nieves czekała na mnie oparta o ścianę.

– Chodź, Unai. Odprowadzę cię do wyjścia.

– Dobrze.

Jakiś pacjent przechadzający się z podłączoną kroplówką na stojaku spoglądał na nas kątem oka. Nie miałem pojęcia, czy przygląda się Krakenowi, czy emerytowanej aktorce. Nieves udawała, że nie zwraca na to uwagi. Postanowiłem wziąć z niej przykład.

Długimi szpitalnymi korytarzami dotarliśmy do wyjścia, mijając pielęgniarki w białych drewniakach. Wyszliśmy z budynku i przemierzaliśmy parking. Pełno tu było samochodów, ich pasażerowie wydawali się całkowicie skoncentrowani na tym, co ich czekało w pracy.

– Podziwiam ją – wypaliła Nieves ni stąd, ni zowąd.

– Co?

– Mówiłam, że podziwiam Albę.

Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo ja ją podziwiam, miałem na końcu języka, ale uznałem, że nie wypada mi tego mówić.

– Zawsze podziwiałam jej dojrzałość, jej siłę. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak to cudownie mieć córkę, która nigdy nie narzeka.

Uśmiechnąłem się. Rzeczywiście, to bardzo pasowało do Alby. Nigdy się nie skarżyła.

– Osiągnęłam w życiu dużo, ale to moje najpiękniejsze dzieło, mój najwspanialszy skarb. Nie ugnie się. Nawet ta ciąża, tak przecież trudna, jej nie złamie. Przeżyła już stratę dziecka i to na pewno było o wiele gorsze – przytulać martwe dziecko. Podjęła decyzję. Wydajesz się przyzwoitym człowiekiem, nie będę ci prawić kazań, żebyś nie krzywdził mojej córki. To sprawa między wami, a ona sama zatroszczy się o to, żebyś jej nie zranił.

– Wiem.

– Natomiast muszę cię poprosić, żebyś nie skrzywdził mojej wnuczki. Jeśli będziesz przy niej, jeśli Alba ci na to pozwoli, bądź dobrym ojcem. Zawsze. Jeśli ona albo ty, albo oboje zadecydujecie, że nie weźmiesz na siebie trudu jej wychowania, nie wtrącaj się, nie przeszkadzaj, nie ingeruj w życie małej, żeby wywracać je do góry nogami.

Jeszcze nic o niej nie wiemy, nie wiemy, czy będzie silna jak Alba, czy słaba jak mój mąż, a może chciwa jak dziadek, psychopatyczna, jeśli jest córką Nancha. Za to ja wiem jedno, ojciec, który pojawia się i znika, na pewno przysparza cierpień. Chcę tylko powiedzieć, że ty i Alba musicie dogłębnie przemyśleć, jaką rolę macz odgrywać w życiu tego dziecka, jeszcze zanim się urodzi. Nikt nie daje legitymacji rodzicielskiej, Unai. Możesz robić to lepiej lub gorzej, popełniać błędy jak wszystkie matki i ojcowie świata, ale zastanów się, kim chcesz dla niej być. Od tej chwili nie jesteście już tylko parą, nie chodzi o dwie dorosłe osoby. Teraz chodzi o rodzinę, o życie dziecka.

– Mam nadzieję, że twoja cór... córka mi pozwoli, Nieves. Chcę być ojcem.

Nieves zadowolila moja odpowiedź, a może determinacja malująca się w moim spojrzeniu.

Nie chciałem zakładać przed nią maski, udawać, chciałem, żeby zobaczyła mnie takim, jakim jestem.

Nie ukrywałem zdenerwowania ani problemów z mową.

Taki byłem, a mimo wszystko czułem, że zdołam być dobrym ojcem.

Pocałowała mnie na pożegnanie w obydwie policzki i ruszyła po schodach prowadzących do głównego wejścia.

Zanim odeszła, zapytałem jeszcze:

– Dziś po południu przyjdę. Potrze... potrzebujesz czegoś?

Pokręciła głową. Na odchodnym oznajmiła:

– Bo jeśli o mnie chodzi... – Urwała.

– Tak?

– Jeśli o mnie chodzi, chciałabym, żebyś był ojcem mojej wnuczki.

– Dzię... dzięku... dziękuję, Nieves. – Byłem bardzo wzruszony.

Teraz już wiedziałem, skąd wziął się wyjątkowy charakter Alby.

STELA TRZECH MATRON

9 grudnia 2016, piątek

Rozpadało się koło siódmej. Udało mi się schronić przed nawałnicą w ostatniej chwili, biegiem dotarłem do klatki schodowej logopedki. Kiedy wchodziłem do gabinetu, miałem mokre włosy i ramiona. Szybko wyschły, mimo że gabinet Beatriz Korres nie miał jeszcze ogrzewania i nie wydawał się zbyt dobrze przygotowany do zimy, która zapowiadała się na surową, mroźną i śnieżną.

Powtarzaliśmy zdania składające się z ośmiu słów, a logopedka przypomniała mi, żebym wykonywał jak najwięcej ćwiczeń w domu, z użyciem aplikacji. Chyba robiłem szybsze postępy, niż się spodziewała. Ciężko na to pracowałem, moją obsesją był teraz powrót do normalności, poświęcałem średnio cztery czy pięć godzin dziennie na samodzielną rehabilitację.

Moje mieszkanie zmieniło się w swego rodzaju ring bokserski. Lenistwo, przestoje w śledztwie i psychiczne zmęczenie były moimi najczęstszymi przeciwnikami. Z dnia na dzień poznawałem ich lepiej, stawałem się bardziej wytrzymały, codziennie udawało mi się zadać jakiś nowy cios, wygrać minibitwę. I słowem kluczem było tu „codziennie”.

Tymczasem wybiła ósma, zapadła noc, a skośne strugi deszczu uderzały z furją w półokrągłe okna gabinetu. Przez chwilę ulewa była tak silna, jakby niebo spadło w jednym kawałku na Vitorię, na szczęście po chwili nawałnica znów ustąpiła miejsca zimowej słońcu.

– Kończymy, Unai. Wystarczy na dziś. Jeśli nadal będziesz robił tak szybkie postępy, niedługo stracę pacjenta. – Uśmiechnęła się zadowolona.

Włożyła futro w kolorze indygo, wzięła parasol pasujący do niebieskich butów i wyszliśmy na ulicę.

Widok, który tam ujrzałem, rozculił mnie tak bardzo, że znów odzyskałem wiarę w rodzaj ludzki.

Mój biedny brat Germán czekał na nas na ulicy San Antonio przemoknięty do nitki, trzymając w ręku coś, co przed nawałnicą było zapewne bukietem kwiatów, eleganckim

i drogim.

W pobliskim śmietniku zauważyłem znajomy parasol. Druty były połamane, ulewa nie miała litości dla romantycznych porywów mojego brata ani dla jego nieśmiałych technik uwodzenia.

– Co tu robisz? – zapytałem na głos.

To jedno z pytań protez, pozwalających nawiązać rozmowę. Często ćwiczyłem je z Beatriz i umiałem już wymówić je całkiem dobrze.

Germán odchrząknął i machinalnie się wyprostował. W jego błagalnym wzroku wyczytałem prośbę, żebym nie przeszkadzał.

– Kupiłem kwiaty twojej logopedce, żeby podziękować za to, co dla ciebie robi. Beatriz, jutro przyniosę ci nowy bukiet, ja tylko...

– Trzeba było zadzwonić i wejść do środka, Germanie – przerwała mu i podeszła, żeby wziąć od niego ociekające wodą kwiaty. – Bardzo dziękuję...

– Nie chciałem przeszkadzać w sesji. To przecież najważniejsze, najważniejsze ze wszystkiego.

Beatriz spojrzała na niego całkowicie zauroczona. Chyba się wzruszyła. Mój brat był cały mokry, nawet jego portfel zawilgotniał, krótkie grube palce, pomarszczone od wody jak palce starca, drżały.

Obserwowałem logopedkę kątem oka. Milczała. Myślę, że gest mojego brata rozculił ją, a zarazem zaskoczył. Nie jestem pewien, ale podejrzewam, że właśnie się w nim zakochała. Coś sprawiło, że jej fasada profesjonalistki zachwiała się, nie była już taka solidna.

Pozwoliłaby mu wejść do środka.

Od tej chwili zrobiła się słodziutka.

– Jesteś przemarznięty, Germanie. Chodźmy do jakiejś kawiarni, na coś ciepłego, jakąś kawę albo zupę... Mnie nie jest zimno, ale chętnie pójdę z wami.

I ruszyliśmy ulicą Dato. Logopedka cały czas niosła nieszczęsny bukiet, mimo że moczył jej futro i markową torebkę.

– Naprawdę nie jest ci zimno? – zapytał zatroskany Germán.

Beatriz roześmiała się, jakby pytanie Germana było szalenie zabawne.

– Przez całe życie miałam nadwagę. Jako mała dziewczynka, a potem nastolatka byłam przy kości. Zapas tłuszczu ma swoje zalety, ja na przykład prawie nigdy nie marznę – wyjaśniła z uśmiechem.

Patrzyłem na nich bez słowa. Jakie to piękne. Miłość rodząca się nieśmiało.

Wątpliwości i wyrzuty sumienia mojego brata, maska profesjonalistki logopedki...

Wszystko to zostało w koszu na śmieci, obok parasola zniszczonego przez ulewę.

Ilość feromonów latających w powietrzu obudziłyby libido wilka, stworzenia słynącego z wierności, które spędza całe życie z jedną partnerką.

O tym właśnie myślałem, obserwując Germana i Beatriz. Germanowi usta się nie zamykały, był prawdziwym mistrzem elokwencji, Beatriz potrafiła słuchać i patrzyła na niego zachwycona, jakby dostała od losu niezwykley prezent.

Towarzyszyłem im do wejścia do baru Usokari i pożegnałem się, uciekając się do jakiejś wymówki, która na kilometr pachniała kłamstwem, ale kłamstwem wymyślonym w dobrej intencji. Nie próbowali mnie zatrzymać, na odchodnym rzucili tylko jakąś formułkę w stylu „następnym razem pójdziemy we trójkę”. Zostawiłem ich we wspólnym małym rajku. Zasłużyli sobie na to, należało im się trochę szczęścia. Bo byli przyzwoitymi ludźmi.

Ruszyłem sam ulicą Dato, pustą, moką, wyludnioną. Pozdrowił mnie jedynie trzymetrowy, wykonany z brązu posąg wędrowca, kiedy go mijałem. Deszcz sprawił, że temperatura spadła, a witorczycy woleli schronić się w domu, rozsiąść przed telewizorami, przygotowywać kolację i oddawać się innym codziennym zajęciom.

Kiedy zmierzając do domu, przechodziłem obok pomnika Bitwy pod Vitorią, przypomniałem sobie, że miałem zadzwonić do Hectora del Castillo. Wyjąłem z kieszeni nowy aparat z nowym numerem, który zdobyła dla mnie Milán. Żeby łatwiej zorientować się, który telefon akurat dzwoni, jako dźwięk dzwonka wybrałem *Love Me Again* Johna Newmana. Tak, wiem, czasem podświadomość podejmowała decyzje za mnie.

W kontaktach znalazłem telefon do Hectora. Nie chciałem, żeby Golden dowiedziała się o tej rozmowie.

– Héctor? Tu inspektor Unai López de Ayala. Nowy telefon.

– Inspektorze, jak miło słyszeć, że poczynił pan tak wielkie postępy, jeśli chodzi o mowę – odpowiedział miłym, spokojnym tonem.

– Tak – uśmiechnąłem się. – Mogę skonsultować wątpliwość?

– Jasne, oczywiście, że tak.

Opowiedziałem mu pokrótce, posiłkując się dziecinną gramatyką, o muzeum Barbacana. Nie musiałem wspominać, że znaleźliśmy kolejnego trupa, nie zamierzałem jednak zdradzać zbyt wielu szczegółów.

– Jedno pytanie: czy tam jest ołtarz? – chciałem się dowiedzieć.

– Tak, stela, w dodatku poświęcona Trzem Matronom. Znalaziono ją w ogrodzie, poza murami Laguardii. To znaczy, że znów mamy miejsce związane z kultem wody jako elementu zapładniającego, rytuałami i darami dla matron. Nie powiedziałaś mi, co

właściwie znaleźliście, ale uprzedzając pytanie: owszem, to idealne miejsce na odprawienie rytuału celtyckiej potrójnej śmierci. Ma to znaczenie dla twojego dochodzenia?

Westchnąłem. Niestety miało znaczenie i wcale nie byłem z tego powodu zadowolony. Dość miałem rytuałów wody, wolałbym osobisty motyw, jedno zabójstwo, a nie rozpoczynającą się serię bez specjalnych widoków na jej zakończenie.

– Tak, ma – powiedziałem, otwierając wolną ręką drzwi na klatkę schodową. – Dziękuję bardzo, Hectorze.

– Polecam się, inspektorze Ayala. Ta sprawa martwi mnie tak bardzo jak ciebie. Oczywiście pomogę, kiedy tylko zajdzie potrzeba, chociaż mam nadzieję, że moja pomoc nie będzie konieczna. Uważaj na siebie. – I historyk odłożył słuchawkę.

Jak tylko wszedłem do mieszkania, zacząłem robić kolejne ćwiczenia zalecone przez logopedkę. Karty logopedyczne z coraz dłuższymi zdaniami: „Dziewczynka schodzi po schodach, chłopcy bawią się z koleżanką, dziewczynka rysuje duży biały księżyc...”.

Nagle rozdzwonił się mój tajny telefon. Była to Estíbaliz.

– Mamy nowe ustalenia, Unai. Wszystkie prosto z Kantabrii. I lepiej usiądź – wypaliła moja partnerka z prędkością dwustu kilometrów na godzinę.

– Słucham... – odpowiedziałem.

Zdjąłem sweter, trochę wilgotny, i włożyłem wygodną bluzę, w której chodziłem zwykle po domu. Podszedłem do okna i oparłem czoło o szybę zapatrzonej na białe wykusze domów po drugiej stronie placu.

– Milán dowiedziała się, że siostra Saula Tovara pracuje w szpitalu Valdecilli na kierowniczym stanowisku. Zdaje się, że jest nietykalna. Chciałabym, żebyśmy złożyli jej niezapowiedzianą wizytę, tak jak Saulowi. Ich rodzice wcześniej umarli. Sarah Tovar jest cztery lata starsza od brata i została jego prawną opiekunką, dopóki nie uzyskała pełnoletniości. Mieszkali razem do dnia jego ślubu. Ona jest niezamężna, nie ma dzieci. Nie wiadomo nic o narzeczonych, prowadzi tryb życia mniszki. Jest członkinią tuzina stowarzyszeń religijnych zajmujących się pomocą humanitarną krajom Trzeciego Świata. Świątobliwa duszyczka, jak to mówią.

– Dlaczego... dlaczego Saúl?

Estíbaliz w mig pojęła sens mojego pytania. Nie rozumiałem, dlaczego z takim uporem skupia się na Saulu, kiedy mieliśmy podejrzanych bliżej, w samej Vitorii: Asier i Golden Girl dostarczyli nam aż nadto powodów, żeby bacznie się im przyjrzeć.

Oboje musieli sporo nam wyjaśnić, od obojga niełatwo będzie cokolwiek wyciągnąć. Sądziłem, że poczynilibyśmy szybsze postępy, gdybyśmy przesłuchali właśnie ich.

– Dlaczego Saúl? Zaraz ci to wyjaśnię: Milán odkryła coś, co umknęło naszej

uwadze. Jestem pod wrażeniem, mamy w zespole prawdziwą geniuszkę.

– Esti...

Dawaj, Esti, dawaj, ponaglałem ją w myślach.

– Nie wiem, czy pamiętasz przypadek młodych samobójców. W tym roku na kantabryjskim wybrzeżu doszło do trzech samobójstw w dziwnych okolicznościach. We wrześniu na górze Dobra w Kantabrii znaleziono ciało dwudziestotrzyletniej dziewczyny, mieszkanki Santander.

– Jak... jak się zabiła?

– Na tym właśnie polega niecodziennosc tych samobójstw. Mamy do czynienia z nastolatkami albo młodymi dorosłymi, nieśmiałymi, z problemami z socjalizacją, izolującymi się w domu, ale nienotowanymi za posiadanie narkotyków czy użycie przemocy. I któregoś dnia wychodzą z domu, wędrują w góry gdzieś w pobliżu miejsca zamieszkania, rozbierają się, spędzają w górach noc i następnego dnia już nie żyją. Wydaje się, że umierają z wychłodzenia. To dość niezwykły akt autoagresji. Jakby woleli marznąć przez wiele godzin, niż skończyć ze sobą szybko za pomocą ostrego narzędzia czy tabletek albo skacząc z wysokości. Z punktu widzenia wiktymologii można powiedzieć, że to osoby z awersją do krwi, spokojne, może nawet tchórzliwe, chociaż żeby wytrzymać kilka godzin w zimnych i ciemnych górach, z pewnością potrzeba odwagi.

– Kim jest ta dziewczyna?

Rozumiałem już okoliczności śmierci, ale nie miałem pojęcia, co łączyło ofiarę i Saula.

– Denatka to Gimena Tovar, Unai. Z dokumentów wynika, że jest córką Saula Tovara. Rebeca nie jest jedynym dzieckiem, które stracił nasz wykładowca.

Saúl miał drugą córkę? Wiedziałem tylko o Rebecce, a on sam słowem nie zająknął się o tej sprawie, kiedy odwiedziliśmy go w jego gabinecie.

Ojciec, który stracił dwie córki w tak dziwnych okolicznościach...

Nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Nie wiedziałem, czy powinienem mu współczuć, czy raczej zacząć podejrzewać, że wokół Saula działo się zbyt wiele dramatów. Bez wątplenia jeśli chodzi o nieszczęścia, które spotykają człowieka w życiu, był znacznie powyżej średniej statystycznej.

Tak czy owak, wszystko wskazywało na to, że czeka nas kolejna wycieczka do Kantabrii.

30

KRZYŻ NA GORBEI

10 grudnia 2016, sobota

O świcie pewna młoda kobieta zaparkowała samochód i wyruszyła pod krzyż na Gorbei. Nie przejmowała się tym, że będzie musiała iść po ciemku. Znała drogę na pamięć. Planowała krótką wycieczkę, szybką wizytę u brata. Miała go zawsze przy sobie w postaci srebrnego wisiorka *eguzkilorre*, który ogrzewał się ciepłem jej ciała, ale tej soboty poczuła, że musi go odwiedzić. Nie wiedziała, komu się zwierzyć. Albie nie mogła o tym opowiedzieć. Nie, w żadnym razie. Była chora ze zmartwienia od czasu, kiedy Alba dostała drgawek, i po raz pierwszy w życiu trochę zazdrosna. Kwestię zazdrości przepracowała wieki temu. Była z tego dumna. Udało jej się z Paulą, a przecież Alba była dla Krakena lepszą parą niż Paula. Dojrzała, bardziej kobieca, skoncentrowana na swojej pracy. Lepiej się nadawała, żeby chronić go przed nim samym i przed jego obsesjami.

Czemu musisz spodziewać się dziecka akurat teraz, słoneczko? Jeszcze nie wiesz, o co chodzi w tych rytuałach? Nie rozumiesz, że giną ci, którzy nie są gotowi na to, by zostać rodzicami?, myślała zdenerwowana.

Jak cyniczna Annabel, jak ktoś tak zimny jak ona mógłby wychowywać dziecko? I J.? No cóż, Esti doskonale wiedziała, co to znaczy mieć ojca alkoholika. O Rebecce lepiej nie wspominać, brat opowiedział Esti to, czego dowiedział się od Lutxa...

Unai wyznał jej wszystko jak na spowiedzi. Że to on jest ojcem dziecka, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości...

Czy to przejdzie? Czy całe miasto przełknie to naciągane kłamstwo?

Estíbaliz powiedziała: „Cieszę się za was oboje”. Co miała powiedzieć? I cieszyła się. Oczywiście, że tak. Unai powinien mieć rodzinę. Pogodziła się z tym już wtedy, kiedy umówili się z Paulą na wizytę u lekarza specjalisty od leczenia niepłodności, bo dwa paski na teście uparcie nie chciały się pokazać. Estíbaliz zdążyła się z tym pogodzić.

Ale nie teraz, na Boga, nie teraz.

Zmęczona i wściekła dotarła na szczyt Gorbei i stanęła pod krzyżem. Tu ostatni raz

dotykała prochów brata i widziała, jak wznoszą się nad górą i opadają na zbocze.

– Wiem, że nie lubiłeś Unaia. Pewnie powiesz, że dobrze mi tak, bo całe życie byłam masochistką i cichą adoratorką. Ale oni są tacy naiwni, serio...

Estíbaliz usłyszała złośliwą odpowiedź Eneka.

– Słuchaj, nie przyszedłam tu, żebyś mnie ochrzanił.

Kolejna odpowiedź Eneka też nie była przyjemna, ewidentnie duch zabitego brata miał zły dzień.

– Jeśli zamierzasz być taki chamski, to ja sobie idę. Będziesz siedział tu sam i marzył, proszę bardzo.

Eneko postanowił zmienić temat rozmowy, ale kiepsko trafił.

– Z tatą jest źle. Coraz gorzej, a jak ma być? Coraz bardziej nerwowy, coraz bardziej gwałtowny, potrzebuje coraz większych dawek leków. Nie pytaj, przecież wiesz.

Estíbaliz wyciągnęła kanapkę z polędwicą przygotowaną zapobiegliwie poprzedniego wieczoru, usiadła, opierając się plecami o jedną z nóg, które podtrzymywały konstrukcję krzyża, i wgrzyzła się w bułkę z apetytem.

– Wiesz, Eneko, mam zamiar pomagać dziewczynkom i chłopcom takim jak my. Żeby nie spotkało ich to... No wiesz, o czym mówię. Żeby nie przechodziły przez to samo. Alba myśli nad takim projektem, a ja sądzę, że każdy z nas przychodzi na świat z jakąś misją, musi zrobić coś, co jest dla niego ważne. Ty ratowałeś mnie z piekła, podając pigułki. Chcę robić to samo, chcę ratować z piekła, ale bez narkotyków, legalnie, dodając sił, nie wiem, czy mnie rozumiesz. Słuchaj, nie patrz na mnie tym swoim sceptycznym wzrokiem, bo już nigdy nic ci nie opowiem.

Ale może Eneko miał zły dzień, może wiatr wiał ze złej strony, powietrze było pełne ujemnie naładowanych jonów, tak czy owak, Estíbaliz nie zdołała porozumieć się z bratem.

Rozczarowana pocałowała na pożegnanie krzyż na Gorbei i ruszyła w drogę powrotną.

Dwadzieścia pięć kilometrów na południe Vitoria wciąż jeszcze smacznie spała, pogrążona w swoich snach.

31

GRA W WISIELCA

15 grudnia 2016, czwartek

Tego dnia nad ranem na Twitterze zawrzało. Ktoś nie wytrzymał, zaćwierkał coś o wisielcach i tunelu San Adrián. Ktoś inny powiązał to z kordonem policyjnym wokół muzeum Estanque de la Barbacana i lawina ruszyła.

Zanim zdążyliśmy zobaczyć pierwszy tweet i zastanowić się, czy nie wystąpić o zablokowanie użytkownika za to, że zdradził szczegóły utajnionego dochodzenia, tysiące innych przekazały wiadomość dalej. Przecież nie mogliśmy wnioskować o zablokowanie tylu kont. Byliśmy bezsilni.

Mieliśmy do czynienia z lawiną w całej okazałości. Kto zrzucił pierwszy kamyczek? Trudno dociec, czy to Nerea, Lutxo, sąsiad albo przyjaciel turystów z Arai, a może ktoś z Laguardii mieszkający nieopodal muzeum i obserwujący nas przez okno.

Może Nerea opowiedziała o wszystkim siostrze. Typowe „tylko błagam, nikomu o tym nie mów”, a siostra, nie mogąc znieść napięcia, wtajemniczyła męża. On z kolei podczas przerwy w pracy w zakładzie Mercedesa przy automacie do kawy zdradził kilka szczegółów najbliższym kolegom. Powtarzane jak mantra „nikomu o tym nie mów”, powielane jak w kserokopiarce w sypialniach, barach i na chodnikach Vitorii, z tym samym niezachwianym przekonaniem: „przecież mogę liczyć na twoją dyskrecję”. I w końcu komuś omsknęła się ręka, zbyt szybko nacisnął na spust i upublicznił sekret na portalach społecznościowych.

A może Lutxo poczuł się bezsilny i zakneblowany, więc stworzył konto na Twitterze, wybrał sobie tożsamość, która nie pozwalała go zidentyfikować. Może zrobił to po rozmowie z redaktorem „El Diario Alavés”, który nie chciał opublikować nic na temat śledztwa? Pytanie, które nie dawało mi spać w nocy, brzmiało: czy Lutxo miał interes w tym, żeby podać wiadomość opinii publicznej? Jak bardzo był uwikłany w sprawę? Co wiedział? Ile z tego, co wiedział o śmierci Annabel Lee i J., przekazał mnie?

Przeczytaliśmy wszystkie hasztagi i ich analiza przekonała nas, że autorzy tweetów nie mieli wprawdzie pojęcia, że ofiary wieszano za nogi, gdyż wspominali o wisielcach,

ale owszem, wiedzieli, że jedna z ofiar była w ciąży.

Do sieci wyciekły też miejsca zbrodni: San Adrián i muzeum Estanque de la Barbacana, więc zbiorowa mądrość, wspinając się na wyżyny swojego geniuszu, ochrzciła zbrodnie mianem gry w wisielca.

Dla postronnego obserwatora, który nie chciał specjalnie komplikować sobie życia, zabójstwa układały się w logiczną serię.

A jak San Adrián.

B jak Barbacana.

Jakie miejsce obierze morderca na scenię kolejnego przestępstwa? Na pewno miejsce o historycznym znaczeniu, o nazwie zaczynającej się na „c”.

Tylko my wiedzieliśmy, że w Kantabrii są jeszcze dwa miejsca, które należałoby dodać do tej alfabetycznej wyliczanki.

D jak góra Dobra i F jak Fontibre.

Nie dało się tego uniknąć: Vitoria obudziła się w panice, marząc, żeby to wszystko było tylko złym snem. Nie dało się uniknąć nagłówka, który spadł na miasto jak bomba atomowa:

MORDERCA TO WARIAT, KTÓRY GRA Z NAMI W WISIELCA.

SZPITAL MARKIZA DE VALDECILLI

16 grudnia 2016, piątek

No i się zaczęło: znów ludzie zaczęli posyłać mi na ulicy wrogie spojrzenia.

Pojechałem do dzielnicy Lakua tramwajem. Przez resztę zimy nie miałem odwagi ponownie do niego wsiąść. Kobiety w ciąży na mój widok gładziły się po brzuchach, jakby mimowolnie chciały chronić swoje dzieci. Ich mężowie i narzeczeni patrzyli na mnie z nieskrywaną wrogością. Jedna z pasażerek rozparła się na dwóch siedzeniach, żebym nie mógł usiąść. Domyśliłem się, że miała zostać babcią.

Znów stałem się twarzą swojego wydziału, od którego oczekiwano natychmiastowych wyników, a my mieliśmy tylko skąpe ślady zebrane przez techników kryminalistyki, brakowało nam motywu, profilu mordercy i ofiar i nie potrafiliśmy przewidzieć następnego kroku przestępcy.

Od tych ponurych rozmyślań oderwał mnie niespodziewany telefon od Hectora. Zadzwoił na stary numer, zhakowany przez Golden i MatuSalema, więc kiedy powiedział, że przypomniał sobie o pewnym szczególe, który może mi się przydać w śledztwie, szybko mu przerwałem.

– Dziś jadę do Santander, wpadnę przy okazji – musiałem się skupić, zamierzałem wymówić naraz dziesięć słów – i mi opowiesz.

Wysłałem mu wiadomość z nowego telefonu, proponując godzinę spotkania. Héctor z kolei podał mi adres swojego mieszkania w Santander. Chyba też zależało mu na dyskrecji. Zbyt częste wizyty policji mogły nadszarpnąć wizerunek Kantabryjskiego Muzeum Archeologicznego.

Dwie godziny później przemierzaliśmy z Estíbaliz korytarze monumentalnego szpitala imienia Markiza de Valdecilli w poszukiwaniu Sarah Tovar, siostry Saula.

Siedząca za biurkiem w informacji kobieta o płaskim nosie, sprawiająca wrażenie dość rozkojarzonej, wysłała nas, ku naszemu zdumieniu, do szpitalnej kaplicy.

– Prędzej zastaniecie ją tam niż w jej gabinecie – powiedziała i wzruszyła ramionami.

Kilka razy zgubiliśmy się w labiryncie korytarzy olbrzymiego szpitala, zanim dotarliśmy wreszcie na miejsce. Kaplica świeciła pustkami i blaskiem wypolerowanej podłogi. Tylko jedna kobieta w białym kitlu modliła się na klęczkach w pierwszym rzędzie ławek.

Miała długie włosy spięte nisko w kok, wyglądała na starszą osobę. Pomyślałem, że to nie może być siostra Saula.

Podeszliśmy jednak do ławki i stanęliśmy dyskretnie obok. Estíbaliz przeczytała napis wyhaftowany na lewej kieszeni, dopiero wtedy wyciągnęła rękę i przedstawiła się prawie szeptem.

– Inspektor Gauna z komisariatu w Vitorii. To inspektor Ayala, stary znajomy pani brata Saula. Możemy zająć pani chwilę, doktor Tovar?

Kobieta podskoczyła gwałtownie, jakby naprawdę była na bezpośrednich łączach z Bogiem, i spojrzała na nas jak na demony, które przerywają jej świętą rozmowę.

Sarah Tovar, strzelista i szczupła jak gromnica, podniosła się i podała nam rękę o palcach długich jak odnóża pająka. Poprosiła, żebyśmy usiedli obok niej na ławce. Miałem wrażenie, że to miejsce było nie tylko domem Boga, ale również jej własnym domem.

– Możemy porozmawiać tutaj, nikt nam nie będzie przeszkadzał. Saúl już mnie ostrzegł, że wypytujecie o moją bratanicę. Wydaje mi się, że wszystko wam opowiedział, resztę ustalili policjanci odpowiadający swego czasu za śledztwo, nie rozumiem więc, czemu mnie nachodzicie.

Sarah spojrzała na nas z nieskrywaną wrogością. Kok dodawał jeszcze surowości rysom jej twarzy, które przed laty musiały być równie wspaniałe jak rysy jej brata: oliwkowa cera, czarne, prawie granatowe włosy, oczy zielone jak u kota, kwadratowy podbródek, teraz trochę obwisły.

Ubrana była jak ściśle przestrzegająca konwenansów wdowa, nie zabrakło nawet obowiązkowego naszyjnika z pereł. Jej strój i postawa były przeciwieństwem jowialności i braku formalizmu widocznych w zachowaniu i stylu Saula. Mimo wszystko łączyło ich jakieś, trudno uchwytnie w pierwszej chwili, rodzinne podobieństwo.

Wcześniej poprosiłem Estíbaliz, żeby zadała kilka pytań w moim imieniu, a moja partnerka, podejrzewając, że pani doktor nie okaże się chętna do współpracy, zaczęła delikatnie.

– Więc już pani wie, że badamy ponownie sprawę zaginięcia pani bratanicy Rebeki Tovar?

– Zabójstwa – sprostowała Sarah z przekonaniem. – To było zabójstwo. Nie widzieli

państwo zdjęć Rebeki powieszanej na drzewie w Fontibre?

– Tak, mamy je w aktach, jednak nigdy nie znaleziono ciała.

– To prawda, nigdy go nie odnaleziono. Wasz błąd. Ale to oczywiste, że dziewczynka nie żyła, kiedy zrobiono jej zdjęcia.

Estíbaliz westchnęła. Zrozumiałem, że obie kobiety zapały do siebie szczerą antypatią, a moja partnerka starała się ze wszystkich sił, żeby nie przeszkodziło to w dokończeniu rozmowy.

– Tak czy siak, chcielibyśmy zapytać panią o historię choroby Rebeki. Brat powiedział, że opiekowała się nią pani jako endokrynolożka, bo miała problemy ze wzrostem, i że badania krwi z okresu przed zaginięciem wykluczają, że była w ciąży.

– Owszem, to zupełnie niemożliwe.

– Pani doktor, wiemy, że Rebeca była hospitalizowana na oddziale psychiatrii tego szpitala. Czy możemy się dowiedzieć, jaka była diagnoza?

Doktor Tovar popatrzyła na nas, jakby właśnie zjadła cytrynę, skrzyżowała ręce na piersiach i pokręciła głową.

– Nie mogę udzielić tej informacji, doskonale o tym wiecie. W grę wchodzi dane chronione tajemnicą lekarską, w dodatku sprawa dotyczy osoby niepełnoletniej. Mogę mówić wyłącznie o swojej specjalności, bo ojciec dziewczynki zgodził się na udostępnienie tych danych policji, żeby udowodnić, że nie była w ciąży. Ale to co innego. Potrzebujecie sędziego, który wyda wam odpowiedni nakaz, a kiedy będziecie go mieli, musicie rozmawiać z doktorem Osorio, ordynatorem oddziału psychiatrii dziecięcej, który zajmował się Rebecą. Życzę szczęścia.

Wymieniliśmy się z Esti spojrzeniami. Ślepa uliczka. Należało zaatakować z innej strony.

– Przyjechaliśmy też po to, żeby zapytać o samobójstwo Gimeny, pani drugiej bratanicy.

Grymas bólu na chwilę zmasał z jej twarzy surową maskę irytacji, za którą chowała się podczas rozmowy. Prawdziwego bólu. Bólu, którego nie sposób udawać.

– Gimena popełniła grzech śmiertelny i nigdy jej tego nie wybaczę. Była dobrą dziewczyną, świetnie się uczyła, skończyła historię z wyróżnieniem. Moralnie bez skazy, nigdy nie splamiła reputacji rodziny jakimiś niestosownymi znajomościami.

– Nie rozumiem jednego. – Estíbaliz postanowiła delikatnie przycisnąć lekarkę. – Saúl stracił Rebecę w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku, dwa lata wcześniej zginęła jego żona i nie był w żadnym związku. Czyją córką była Gimena?

– Nie wiecie tego? Gimena została adoptowana. Mój brat i jego żona chcieli, żeby Rebeca miała rodzeństwo. Zdecydowali się na adopcję, pragnęli przyjąć do swojej

rodziny chłopca lub dziewczynkę, którzy nie mieli szczęścia urodzić się w domu pełnym miłości jak ich własny. Niestety procedury adopcyjne w naszym kraju ciągną się latami, a w tamtych czasach było jeszcze gorzej. Brat i bratowa przeszli przez wszystkie etapy procedury, wywiad środowiskowy, wizyty w domu, oczywiście okazali się wprost wymarzonymi kandydatami na adopcyjnych rodziców i trafili na listę oczekujących.

Mój brat nie miał głowy, żeby prosić o usunięcie go z tej listy, kiedy owdowiał, musiał uporać się ze swoją tragedią i zajmować się dzieckiem z problemami psychicznymi. Chociaż wtedy byli już rodziną niepełną, Saúl pozostawał kandydatem idealnym: miał odpowiednią pozycję społeczno-ekonomiczną, odpowiednie warunki lokalowe, czas, żeby zająć się wychowaniem dziecka...

Po śmierci Rebeki Gimena była dla niego błogosławieństwem. Nienaganna reputacja brata sprawiła, że sędzia nie pomyślał o wykluczeniu go z listy nawet wtedy, kiedy został wdowcem. Gimena była pięknym dzieckiem. Saúl dał jej miłość, której potrzebowała, edukację, na jaką zasłużyła, a ona... słodka Gimena. Nie rozumiem, jak mogła nam to zrobić, jak mogła pójść w góry, położyć się na ziemi i czekać, aż umrze z wyziębienia. Wciąż nie potrafię tego zrozumieć, przecież dostała od nas tyle miłości. Rebeca była zupełnie inna, zbuntowana, kapryśna, łatwo wpadała w złość. Żyła w wyimaginowanym świecie, nieustannie konfabulowała, kłamała...

– A dlaczego, w pani ocenie, Gimena popełniła samobójstwo? – zapytałem.

– Gimena skończyła historię. Miała przed sobą świetlaną przyszłość. Gdyby ją państwo zobaczyli na uroczystości rozdania dyplomów! Chociaż w ostatnich miesiącach wydawała mi się przygnębiona. Saúl nie mógł ciągle jej towarzyszyć jak dotychczas, to rozumiałe. Kiedy studiowała, byli razem przez cały czas, w domu, na uczelni. Może była od niego za bardzo zależna, nie wiem, ale mój brat był najlepszym ojcem na świecie, więc wcale się jej nie dziwię.

– Ma pani... jakieś zdjęcie Gimeny? – odważyłem się spytać.

– Tak, przynoszę je codziennie przed ołtarz. Ołtarz to bardzo ważne miejsce. Sprawia, że stajemy przed Bogiem. A ja modłę się za jej duszę. Proszę spojrzeć na tę dziewczynkę. Wydaje się obojętna na całe zło świata, prawda?

Zobaczyliśmy fotografię dziewczyny, która nie wyglądała na swoje dwadzieścia trzy lata. Wyglądała na dziecko, bez żadnych krągłości, fryzurę miała krótką, a spojrzenie czyste i nieśmiałe.

– Tak – przyznała Estíbaliz. – Rzeczywiście była chyba dobrą dziewczyną. A może mi pani powiedzieć...?

Mojej partnerce nie dane było dokończyć pytania. Sarah chyba zmęczyła się nami i uznała wizytę za skończoną. Spojrzała na elegancki zegarek na szczupłym nadgarstku

i wymownym gestem pokazała nam tarczę.

– Muszę wrócić do pracy, wiem, że zrozumiecie – powiedziała nieznoszącym sprzeciwu tonem i wstała z wypolerowanej ławki.

– Oczywiście – poddała się Estíbaliz. – Niech będzie pani tak miła i wskaże nam drogę do wyjścia. Idąc tutaj, trochę się pogubiliśmy.

Sarah uśmiechnęła się z zadowoleniem. Zauważyłem, że lubi kontrolować sytuację. To oczywiście za mało, żeby zaklasyfikować kogoś jako psychopatę, ale mój umysł profilerów był wyczulony na takie szczegóły.

Poprowadziła nas do windy, wsiedliśmy razem z nią do kabiny z polerowanej stali. Sarah Tovar już miała wcisnąć guzik na parter, kiedy starszy mężczyzna w białym kitlu zajrzał do środka, jakby chciał się dołączyć.

– Ach, przepraszam, wszyscy się nie zmieścimy. Poczekam na następną – powiedział ochrypłym od tytoniu głosem.

– Proszę, proszę – zachęciłem go. – Zmieścimy się.

I nie pozostawiłem mu wyboru: wyszedłem z kabiny i niemal zmusiłem go – oczywiście z miną niewiniątka i najuprzejmiej, jak potrafiłem – by wsiadł z nami.

Lekarz, podobnie jak wszyscy z jego pokolenia wychowany w duchu unikania publicznych sprzeczek, nie miał innego wyjścia jak wejść do windy i z zakłopotaniem wpatrywać się w sufit.

A ja przygotowywałem zdanie składające się z piętnastu słów i niczym kamikadze ruszyłem na samobójczą misję:

– Teraz wrócimy na ko... komendę w Vitorii. Wie pani, gdzie nas szukać, żeby porozmawiać o Rebecce.

Było warto. Na twarzy lekarza – którego nazwisko wyhaftowane na białym mundurku dziwnym zbiegiem okoliczności okazało się nazwiskiem lekarza prowadzącego Rebeki Tovar – odmalował się grymas przerażenia godny epickiego poematu.

Sarah posłała mi spojrzenie prosto z piekieł, ociekające nienawiścią.

Winda otworzyła swoje podwoje i wypluła nas na parterze. Kiedy ja i Estíbaliz zegnaliśmy się uprzejmie z doktor Tovar, starszy lekarz umknął czym prędzej. Sam chyba nie bardzo wiedział, dokąd idzie.

– Mam ochotę urządzić ci owację na stojąco, Kraken – pochwaliła mnie Estíbaliz, kiedy wsiedliśmy do radiowozu. – Kurczę, miałeś refleks jak w swoich najlepszych czasach. I jakie długie zdanie!

Specjalnie przyjechaliśmy radiowozem, chcieliśmy rzucać się w oczy. Podczas

poprzedniej wizyty w Kantabrii nie uszło naszej uwagi, że ten czy ów spoglądał na nas z zainteresowaniem, dlatego nie staraliśmy się być dyskretni, mieliśmy nadzieję, że uda nam się nakłonić do zwierzeń kogoś, kogo zaświerzbi język. Rozpaczliwie potrzebowaliśmy świadków, potrzebowaliśmy kogoś, kto zgodzi się opowiedzieć o przeszłości.

– Wrażenia, inspektor Gauna? – zapytałem dumny jak paw.

We wnętrzu samochodu aż buzowało od endorfin.

– Oprócz bardzo interesującej reakcji doktora Osorio – będziemy musieli przyjrzeć się uważniej tej postaci – wydaje się dość oczywiste, że Sarah Tovar kochała Gimene, ale nienawidziła Rebeki. Zastanawiam się dlaczego, przecież obie były jej bratanicami.

– Z jedną łączyło ją prawdziwe pokrewieństwo, druga była adoptowana – zauważyłem.

– No właśnie. Cała ta sprawa z adopcją śmierdzi na kilometr. To, co powiedziała nam Sarah Tovar, nie trzyma się kupy. Dwadzieścia lat temu nikt nie oddałby niemowlęcia owdowiałemu facetowi, choćby jego nazwisko widniało na liście oczekujących.

– Chyba że... – Spojrzałem na Estíbaliz.

Zdaje się, że oboje doszliśmy do tych samych wniosków.

– Chyba że Saúl, jego siostra albo ten dziwny psychiatra zachachmęcili coś w procedurze.

Estíbaliz miała właśnie zadzwonić na komendę, kiedy rozległ się dzwonek jej telefonu. Milán najwyraźniej czytała nam w myślach.

– Milán, dzwoniś w samą porę. Jest z tobą Peña? – zapytała Esti.

– Tak, jesteśmy w komisariacie. I mamy coś nowego.

– Włącz głośnik w telefonie.

– Już.

– Jestem z inspektorem Ayalą w Santander – powiedziała moja partnerka. – Peña, przyjrzyj się procedurze adopcji Gimeny Tovar. Rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci, Santander.

– Czego szukamy?

– Jakichkolwiek odstępstw od przepisów. Sprawdź też, czy w papierach widnieją nazwiska Sarah Tovar i doktora Osorio, psychiatry ze szpitala imienia Markiza de Valdecilli.

– Rozumiem, zaraz się do tego biorę – odrzekł Peña.

– Co chcieliście nam powiedzieć?

– Że w internecie aż huczy, szefowo – odezwała się Milán. – Dziś rano naczelny Malatramy potwierdził oficjalnie śmierć Annabel Lee na stronie wydawnictwa.

– Czemu, do diaska, zrobił to akurat teraz?

– Fani Annabel Lee od jakiegoś czasu byli zaniepokojeni tym, że zniknęła z mediów społecznościowych. Kiedy dziś rano pojawiła się na Twitterze informacja o ciężarnej mieszkance Álavy, której ciało znaleziono siedemnastego listopada, wiele osób zaczęło pytać wydawcę, czy to przypadkiem nie Annabel Lee. Potwierdził to w tweecie, chyba nie zastanowił się dłużej, zanim to napisał. No i mamy wysyp memów, kondolencji... – Milán zawiesiła głos.

– Co się dzieje, Milán? – zapytałem niecierpliwie.

– Inspektorze Ayala, nie wiem, jak mam to powiedzieć.

– Po prostu powiedz.

– Annabel Lee miała wielu fanów, którzy byli dla niej gotowi na wszystko. Dosłownie, przynajmniej tak mówią. Nie godzą się z tym, że ich muza nie żyje, a morderca wciąż jest na wolności i...

– Milán, albo powiesz nam wreszcie, o co chodzi, albo wyciągnę to z ciebie siłą, jak tylko dojedziemy do Vitorii – przerwała jej Estíbaliz.

– Ustanowili nagrodę za głowę Krakena.

SAN JUAN DE GAZTELUGATXE

11 lipca 1992, sobota

W sobotę, na półmetku obozu, wyruszyli w drogę do San Juan de Gaztelugatxe, legendarnej pustelni położonej na maleńkiej sielankowej wysepce w Zatoce Biskajskiej. W ten weekend w odwiedziny przyjechało kilkoro studentów, którzy byli na obozie w ubiegłych latach, i Saúl postanowił uczcić ich wizytę miodem pitnym. Wcześniej bez większego powodzenia próbował nauczyć ich przygotowywania celtyckich dań, czyli głównie kasz i pieczonego mięsa.

Miód pitny, trunek, którym upijali się Celtowie, mający co najmniej dwadzieścia pięć wieków tradycji, został przyjęty znacznie lepiej. Do miedzianego kotła, który Saúl wytrzasnął nie wiadomo skąd, wiano litry wody i jasnego miodu, dodano cynamonu, goździków, pieprzu, imbiru i suszonych liści bzu, które potem należało wyjąć. Rebeca mieszała to cierpliwie, zatopiona we własnych myślach, milcząca i obojętna na otaczającą ją rzeczywistość.

Miód pitny potrzebuje co najmniej trzech miesięcy na fermentację, ale przewidujący Saúl wyciągnął butelki z poprzedniego roku. Tegoroczna produkcja miała natomiast poczekać na uczestników kolejnego obozu. Asier i Unai, jako najbardziej umięśnieni, zajęli się transportem butelek.

Stosunek Asiera do Saula zmienił się całkowicie. Teraz chłopak nie rozstawał się z nim ani na chwilę. Wieczorami, kiedy robiło się zimno i rozpalali ognisko, przy którym Saúl snuł swoje opowieści, Asier zawsze siadał obok niego.

Nie wracali do tamtej rozmowy, Asier nie musiał przyznawać głośno, że podejrzenia Saula wobec jego ojca były trafne. Powiedzieli sobie wszystko bez słów. Saúl dodawał mu sił i zapewnił, że nikomu nie powie. Dołączył do nich Lutxo, kolejny samiec alfa w tej grupie, w przeciwieństwie do J. i Unaia, spokojniejszej części paczki.

Była już noc, nieco podchmieleni siedzieli przy wejściu do pustelni. Zgodnie z tradycją trzy razy uderzyli w dzwon, a potem rozsiedli się wygodnie, zapatrzeni w otaczające ich surowe morze. Saúl nie pił. Miał tej nocy prowadzić samochód, czekały go co najmniej dwie godziny za kierownicą.

Jak zwykle odpowiedzialny nie pomyślał nawet, że mógłby się napić i narażać życie tych młodych ludzi. To nic, że przepadał za miodem.

J. wstał i zataczając się lekko, podszedł do Unaia.

Annabel zniknęła długą chwilę temu.

– Mam nadzieję, że nie przyszło jej do głowy spacerować po okolicy o tej porze. Klify są takie strome – szepnął przyjacielowi na ucho.

Unai też był trochę zaniepokojony, postanowili więc jej poszukać. J. otworzył plecak Annabel w trupie czaszki, wyjął latarkę czołową i założył na głowę. Na dnie plecaka znalazł sporą porcję prezerwatyw, co pobudziło jego wyobraźnię.

Zeszli po ponad dwustu stopniach, próbując je policzyć. Śmiali się głośno, wygłupiali i dowcipkowali, jak zwykle po alkoholu.

Niewielki J. szedł przodem, czołówka rzucała wkoło światło drżące przy każdym, niezbyt pewnym, kroku. Unai, ostrożniejszy, szedł z tyłu, rozglądając się uważnie za zaginioną dziewczyną.

Znaleźli ją niżej, na stopniu numer dwieście pięć.

Pieprzyli się tak samo, jak ze sobą rozmawiali: brutalnie, bez śladu czułości. Ostry, zawzięty seks.

– J., lepiej na to nie patrz! – Unai wyprzedził przyjaciela.

Asier siedział, Annabel Lee siedziała na nim tyłem. Oboje byli rozebrani. Ciepła noc i zmysłowa morska bryza zachęcały do tego.

J. stał jak wryty, niezdolny nawet zgasić latarki. Unai, który już wcześniej przeżył podobną sytuację – a drugi raz nigdy nie jest tak bolesny jak pierwszy – zareagował szybciej. Zasłonił dłonią światło czołówki i pociągnął przyjaciela za ramię. Chciał uniknąć dramatów.

Te strome schody i zbyt wiele kolejek miodu to nie była dobra kombinacja, Saúl nie przemyślał tego, jak należy.

J. i alkohol też nie stanowili najszcześniejszego połączenia. Unai już wyprowadzał go z baru Okendo w pamiętny piątkowy wieczór, kiedy przyjaciel dowiedział się o złych rokowaniach ojca i wypiwszy zdecydowanie za dużo, próbował bić każdego, kto potrafił go w zatłoczonej knajpie.

Unai zostawił więc świeżo upieczonych kochanków, do niedawna zawziętych wrogów, i pociągnął J. schodami w górę, przeklinając w duchu miód pitny, który okazał się tak skutecznym afrodyzjakiem.

34

WZGÓRZE WDÓW

16 grudnia 2016, piątek

W Santander dzień uparcie nie chciał wstać. Białe słońce ukryte za chmurami bezskutecznie próbowało ogrzać zabytkowe miasto. Muszę dodać, że pogoda doskonale współgrała z naszymi nastrojami.

Wizja legionu gotyckich freaków, którzy chcą nabić moją głowę na pal, nie była najlepszą perspektywą na zbliżające się święta. Jeszcze więcej wściekłych spojrzeń, więcej cyfrowych wyzwisk, więcej wrogich szeptów za plecami.

W porządku.

Już przez to przechodziłem.

Co powiedziała by mój dziadek? „Przestań się nad sobą uzalać i bierz się do roboty”.

Masz rację, dziadku. Masz rację.

Rzeczywistość czekała. Postanowiliśmy spróbować szczęścia i jeszcze raz zajrzeć na Uniwersytet Kantabryjski, żeby pomęczyć trochę Saula.

Estíbaliz zagryzała usta z taką furią, że zrobiły się białe. Wiedziałem, że martwi się o moje bezpieczeństwo. Byłem wzruszony, że tak bardzo się mną przejmuje.

Pojechaliśmy aleją Castros i znów postawiliśmy samochód na studenckim parkingu pełnym starych rozklekotanych wozów. Kiedy przemierzaliśmy korytarze, studenci rzucali za nami podejrzliwe ukradkowe spojrzenia.

Skierowaliśmy się prosto do gabinetu Saula. Zastukałem do drzwi, ale były zamknięte i nikt nie odpowiedział. Poprosiłem Estíbaliz, żeby zadzwoniła do niego na komórkę.

Esti niecierpliwie czekała na połączenie, ale usłyszała tylko głos informujący o tym, że telefon jest wyłączony albo znajduje się poza zasięgiem sieci.

– Na pewno siostra uprzedziła go, że jesteśmy w Santander, ukrywa się przed nami – mruknęła Estíbaliz, krążąc po korytarzu jak zamknięta w klatce kotka.

– Bardzo możliwe.

I wtedy Esti zauważyła studenta mającego każde oko innego koloru, obserwującego nas dyskretnie z końca korytarza. Tego samego, który nazywał Saula Siwobrodym i żonobójcą.

Estíbaliz nie traciła czasu, natychmiast go zawołała.

– Ej ty, słuchaj! Chcielibyśmy zamienić z tobą kilka słów.

Wystraszył się chyba krzyku Esti, bo rzucił się do ucieczki.

Oboje ruszyliśmy za nim w pogoń: Estíbaliz biegała jak gazela, szybciej niż ja, pomimo moich porannych treningów. Szybko się z nim zrównała, ale chłopak z włosami zaczesanymi à la Alf wpadł do męskiej toalety, a moja partnerka zawahała się przez sekundę. Wtedy dobiegłem ja.

– Wejź za nim – poprosiła mnie sfrustrowana.

Wpadłem do ubikacji i zakląłem. Chłopak uciekł przez okno. Kto robi takie duże okna w toaletach? Powinny być wąskie i umieszczone wysoko, nienadające się do ucieczek.

– Zwiął przez okno – wyjaśniłem partnerce przeproszającym tonem.

Zebrał się wokół nas wianuszek studentów, którzy wcale nie kryli ciekawości. To chyba był bardzo spokojny kampus, bo stanowiliśmy niewątpliwie atrakcję tygodnia.

– Wiesz, kto to jest? – zapytała Esti jakiegoś chłopaka, który wyglądał na outsidera.

– Osorio. Dobry chłopak, na pewno nie ma nic wspólnego z narkotykami – odparł bezczelnym tonem zapytany. – Ścigacie niewłaściwego człowieka.

– Dziękuję. Możecie się rozejść, na dziś zabawa skończona – powiedziała, podnosząc trochę głos.

Tłumek rozproszył się po korytarzu, zadowolony, że będzie miał o czym opowiadać. Zostaliśmy sami.

Tym razem Estíbaliz wyraziła głośno to, o czym myśleliśmy oboje.

– Sama nie wiem, ale trudno chyba nazwać zbiegiem okoliczności to, że nieuchwytny chłopak ma na nazwisko tak samo jak nieuchwytny psychiatra, który zamknął Rebecę. Poza tym powiedział: Sinobrody jest teraz Siwobrodym. Siwobrody, Barbacana, a ofiarę ostatniego morderstwa znaleźliśmy w muzeum Estanque de la Barbacana.

Wyjąłem z kieszeni spodni niewielki notatnik i napisałem:

Nie dajmy się zwieść pozorom, Esti. Chociaż może się okazać, że nasza wizyta na uniwersytecie nie skończyła się całkowitym fiaskiem. A teraz chodźmy, Héctor del Castillo na nas czeka.

Twarz Esti pojaśniała.

– Piękny mamy dzień – powiedziała z uśmiechem, kiedy wsiadaliśmy z powrotem do samochodu. – Śledztwo posuwa się do przodu, odwiedzamy interesujących ludzi...

– Rudzielec się nam zakochał.

Chwilę później jechaliśmy ulicą otoczoną szpalerem drzew, którą miejscowi nazywali Wzgórzem Wdów, nie pamiętam dokładnie dlaczego.

Znaleźliśmy się w arystokratycznej części Santander. Szukając adresu podanego mi przez Hectora del Castillo, trafiliśmy pod starą kamienicę z widokiem na plażę Peligros.

Bluszcz lizał delikatnie fasadę. Estíbaliz oniemiała na chwilę, a potem wymamrotała tylko: „Wow!”.

Nacisnęliśmy mały guziczek domofonu z polerowanego mosiądzu i weszliśmy do pięknego ogrodu, który zachęcał, żeby rozsiąść się w nim wygodnie z książką wśród krzewów jaśminowca.

Héctor przyjął nas w salonie. Na półkach piętrzyło się więcej książek niż w Bibliotece Aleksandryjskiej. Trzy wygodne fotele czekały w ciepłe kominka.

– Ciepło tu i przyjemnie – rzuciłem na powitanie.

– Ogromnie się cieszę z twoich postępów, inspektorze Ayala! – Héctor serdecznie uściskał mi dłoń.

– Chętnie cię posłuchamy, Hectorze – powiedziała moja partnerka, kiedy zakończyli już rytuał powitalny z obowiązkowym pocałunkiem w obydwie policzki.

– Proszę, usiądźcie. – Postawił na stoliku miseczkę pełną migdałów. – Zaprosiłem was, bo przypomniała mi się pewna historia. Chciałbym ją wam opowiedzieć, być może okaże się pomocna w śledztwie.

– Wszystkie wskazówki przyjmujemy z otwartymi ramionami – zachęciła go Estíbaliz.

– No tak. Temat celtyckiej potrójnej śmierci nie daje mi spokoju. Byłem pewien, że dziś właściwie ten rytuał zanikł, naprawdę byłem tego pewien. Człowiek cieszy się, że obyczaje bardziej brutalnych epok umierają, za sprawą postępu odchodzą w niepamięć. Ale przypomniałem sobie pewną anegdotę, którą opowiedział mi kilka lat temu kolega, holenderski archeolog.

– Holenderski? – powtórzyła Esti, nic nie rozumiejąc.

– Tak, pracował w dawnym Muzeum Historii Amsterdamu znajdującym się w budynku, w którym mieścił się kiedyś miejski sierociniec. Nie wiem, czy w nim byliście. Teraz placówka nazywa się Muzeum Amsterdamu. Jest niewielka. Mój kolega zajmował się ekspozycją związaną z epoką średniowiecza. Koordynował wystawy

czasowe, sprowadzał eksponaty z większych muzeów, gdyż sami nie mieli zbyt dużych funduszy.

– I co ci opowiedział? – zapytałem, kiedy już skończyłem ogrzewać ręce przed kominkiem i wziąłem z miseczki dużą garść migdałów.

– Wspominałem wam o kotle z Gundestrup, najsłynniejszym z celtyckich kotłów. Jest własnością duńskiego Muzeum Narodowego, ale mój kolega doktor Groen podpisał porozumienie o współpracy i zorganizował wystawę różnych zabytków kultury celtyckiej: wspomniany kocioł, hełmy z epoki brązu, słoneczny wózek z Trundholm... No i kilka dni przed otwarciem wystawy, w gorączce ostatnich przygotowań, okazało się nagle, że kocioł zniknął.

– Zniknął?

– Ktoś go ukradł. Z muzeum, tego Groen był pewny. Podobnie jak w przypadku naszego muzeum placówka nie dysponowała odpowiednimi zabezpieczeniami, nie było kamer nadzoru.

– I co zrobili?

– Muzeum Amsterdamskie miało w swoich zbiorach replikę, niezbyt kunsztownie wykonaną, ale jednak. Dyrektor skontaktował się z Danią i poinformował o tym, co się stało. W Kopenhadze nie chcieli skandalu. Pewnie nie powinienem wam o tym mówić, ale będę szczery. Czasem muzea nie składają doniesień o kradzieży od razu. Zdarza się, że eksponaty same się znajdują.

– Nie rozumiem – przyznała Estíbaliz.

– To w gruncie rzeczy dość logiczne. Jeśli ktoś kradnie dzieło sztuki, żeby sprzedać je potem na czarnym rynku, wiadomość w prasie o tym, że zniknęło, jest sygnałem dla potencjalnych nabywców. Dlatego dyrektor duńskiego muzeum poprosił o kilka dni na podjęcie decyzji.

– Sprytny ten twój duński kolega – wymknęło się Estíbaliz.

Héctor udał, że nie słyszy.

– Przygotowania do wystawy trwały i kilka dni później kocioł z Gundestrup pojawił się niespodziewanie na ulicy w pobliżu muzeum. Zabrał go stamtąd sam Groen, zaalarmowany przez sąsiadkę.

– Domyślam się, że w takim razie nikt nie złożył zawiadomienia, nie zdjęto odcisków palców, nie wszczęto dochodzenia, nie ma podejrzanym.

– No niestety. Ale tak naprawdę niepokoi mnie co innego: Groen opowiedział mi, co działo się w tamtych dniach w Amsterdamie. Mieszkańcy jego dzielnicy skarżyli się, że znikają ich zwierzęta domowe. Koty, nieduże psy. Niektóre się znalazły. – Westchnął. – No cóż, to dość brutalne.

- Proszę nam wierzyć, że w naszej pracy widzieliśmy już wiele.
- Jasne. No więc nie będę owijał w bawełnę: zostały spalone, powieszono na drzewach za tylne łapy, z mokrymi łbami. Mój kolega natychmiast pomyślał o celtyckim rytuale potrójnej śmierci. On sam badał mumie z torfowisk, między innymi Kobietę z Huldremose. Znał ceremonię, wiedział, że kocioł był jej świętym elementem.
- Rozumiem – powiedziałem, ale myślami byłem bardzo daleko, na holenderskiej ziemi.
- Groen miał wyrzuty sumienia, gdyż sądził, że ktoś ukradł kocioł z Gundestrup, żeby odprawić ceremonię rytuałów wody.
- Wiesz może, czy właściciele zwierząt złożyli doniesienie? – zapytała Esti.
- Nie mam pojęcia, to tylko anegdota opowiedziana kiedyś w zaufaniu przez kolegę archeologa. Nie przyszło mi wtedy do głowy, żeby o to zapytać. Ale powinniście wiedzieć, że naprawdę bardzo rzadko się zdarza, żeby ktoś odwoływał się do celtyckiego rytuału potrójnej śmierci.
- Sugerujesz, że to może być ten sam sprawca? – zapytałem.
- Nie wiem. Od tamtej historii dzieli nas wiele lat i jeszcze więcej kilometrów. Ale... skłamałbym, mówiąc, że nie przyszło mi to do głowy. Trudno tego nie połączyć.
- Hectorze, potrzebuję jednej informacji. To bardzo ważne – zdołałem wypowiedzieć.
- Byłem zmartwiony, bardzo zmartwiony tym, co właśnie usłyszałem.
- Słucham, inspektorze.
- Który to był rok?
- Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy. Mówi ci to coś?
- Owszem, mówiło.
- Mówiło mi to coś, czego nie chciałem usłyszeć.
- Golden Girl mieszkała w Amsterdamie, siedzibie oddziału firmy Cisco w Europie, kiedy ktoś zaczął się bawić w eksperymenty związane z celtyckim rytuałem potrójnej śmierci.

STRYCH W VILLAVERDE

20 grudnia 2016, wtorek

Zaplanowaliśmy zebranie całej ekipy w Villaverde. Miałem dosyć tweetów, monitorów, hakerów i telefonów komórkowych. Czułem się śledzony na każdym kroku. Kiedy chodziłem po Vitorii, spoglądałem podejrzliwie nawet w kierunku kamer nadzoru.

Chciałem uciec z tego „Wielkiego Brata”, w którego zmienilo się nasze dochodzenie „Rytuały wody”.

Alba, Esti, Milán i Peña zgodzili się ze mną. Umówiliśmy się o szóstej wieczorem w domu dziadka.

Villaverde w zimie było miejscem dość wyludnionym. W dzień powszedni siedemnastu mieszkańców rzadko spotykało się na ulicach, o wiele przyjemniej było schronić się w czterech grubych kamiennych ścianach.

Tego grudniowego wtorku było koszmarnie zimno, ale dziadek z samego rana rozpalil pod kuchnią, więc kiedy wchodziliśmy na strych, przyjemne ciepło zdążyło już wpełznąć na górę. Rozsiedliśmy się wokół stołu do ping-ponga, znów rozłożonego.

Poprosiłem partnerów, żeby zaparkowali swoje wozy przy różnych wjazdach do wioski. Gdyby wszyscy zostawili je przed domem dziadka, na pewno zwróciłoby to uwagę sąsiadów.

Materiały, którymi podzieliliśmy się tego dnia, zostały napisane na komputerach bez połączenia z internetem, a potem wydrukowane.

Dziadek przyniósł nam świeżo przyrządzone prażone migdały w lukrze, uściskał z werwą dłonie Milán, Peñi i Alby, Esti zaś poklepał po ramieniu, jakby chciał powiedzieć: „Ty i ja znamy się od dawna i nie potrzebujemy takich formalności”.

Bardzo z siebie zadowolony zaproponował całej ekipie domowe *zurracapote*[\[5\]](#), ale spojrzeniem dałem mu znać: „Proszę cię, dziadku, to nie jest najlepszy moment”, poszedł więc na dół, zamknąwszy za sobą drzwi na strych.

Wyjąłem notatnik i długopis i wszyscy zrobili to samo prócz Milán, która nie

zważając na pełne rezerwy spojrzenie Peñi, rozłożyła na stole masę żółtych, różowych i zielonych post-itów.

Podszedłem do pudeł ustawionych pod skórami lisów wiszącymi tam od czasów powojnia. W tych kartonach przechowywałem swoje wspomnienia. Wszyscy przyglądali mi się uważnie, kiedy otworzyłem pudło z datą 1992 i wybrałem z niego kilka zdjęć. Położyłem je na stole i cztery głowy pochyliły się nad nimi z ciekawością.

Przedstawiły mnie, Lutxa, Asiera, J., Annabel Lee... Na innych był Saúl, zawsze z czułością pochylony nad Rebecą, miałem nawet dużą grupową fotografię nas wszystkich i uczestników obozów z poprzednich lat, którzy dołączali w weekendy, by nam pomóc.

– To pamiątka z tamtej epoki – powiedziałem jednym ciągiem.

– No dobrze, ekipo. – Estíbaliz wstała i zaczęła przemowę. – Zebraliśmy się tutaj, żeby podzielić się nowymi ustaleniami i wyznaczyć kolejne zadania na najbliższe dni. Wiecie, że ze względu na pewne komplikacje inspektor Ayala ma nowy numer telefonu, na który powinniśmy dzwonić z tajnymi sprawami dotyczącymi śledztwa. Jednocześnie nadal używamy starego numeru, monitorowanego przez dwoje hakerów, we wszystkich niezbyt ważnych kwestiach. O tym jednak pomówimy później. Peña, zaczniemy od raportu z sekcji Josego Javiera Huety.

Peña wstał i rozdał nam kserokopie raportu. Nie chciałem patrzeć na te zdjęcia. Przyzwyczailem się do widoku tego ciała, odkąd byliśmy z J. małymi chłopcami. Patrzyłem, jak dorasta, a potem jak marnieje wskutek złych nawyków i braku ćwiczeń fizycznych. Nie chciałem oglądać wybroczyn, zsiniałej twarzy, obrzękniętego brzucha.

Udawałem jednak, cóż było robić, że czytam uważnie wszystko, co napisała doktor Guevara.

– Potwierdziło się, że denat został sparaliżowany taserem. Na szyi mamy ślady po elektrodach. Przyczyną śmierci było utonięcie: zanurzono mu głowę i barki w cieczy. W płucach stwierdzono obecność wody, więc żył jeszcze, kiedy to się stało. Wodę oddano do analizy, żeby ustalić, czy była uzdatniana do picia, czy pochodzi z jakiegoś naturalnego zbiornika. Tak czy siak, trudno będzie zidentyfikować miejsce, gdzie został zamordowany. Wiemy natomiast, że José Javier zginął, zanim przetransportowano go do muzeum Barbacana i powieszono za nogi – podsumowała Estíbaliz.

Pokiwaliśmy głowami.

– Znów mamy do czynienia ze zbrodnią, która odtwarza celtycki rytuał potrójnej śmierci – dodała – i ten sam modus operandi co w przypadku Any Belén Liaño, teraz jednak bez skradzionego kotła. Pewnie dlatego, że na Półwyspie Iberyjskim bardzo trudno znaleźć zabytki archeologiczne tego typu. Może sprawca chciał użyć kotła z Cabárceno do następnych zabójstw, ale szybkie odnalezienie ciała Any Belén Liaño

pokrzyżowało te plany. Wiecie, że przestępcy planują swoje działania, kalkulując zyski i straty. Kocioł był ważnym elementem celtyckiej ceremonii, ale nie opłacało się ryzykować ponownej kradzieży teraz, kiedy stoi w naszej komendzie. Rytuał zmienił się, został przystosowany do warunków, podobnie jak w Fontibre, o ile sprawca jest ten sam, zanurzono głowę Rebeki Tovar w rzece, bez użycia kotła.

– Ile morderstw już mamy? – zapytała Alba.

– Rebeki Tovar w dziewięćdziesiątym trzecim, Any Belén Liaño siedemnastego listopada dwa tysiące szesnastego i Josego Javiera Huety czwartego grudnia. Znaleźliśmy z inspektorem Ayałą kolejne możliwe ogniwo tej serii. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku w Amsterdamie, tam jednak ofiarami były zwierzęta domowe – psy i koty – zabite według rytuału potrójnej śmierci. Co ciekawe, skradziono też wtedy flagowy zabytek kultury celtyckiej: kocioł z Gundestrup.

Estíbaliz dodała jeszcze kilka szczegółów, a potem wzięła pełną garść lukrowanych migdałów dziadka. Była równie łakoma jak ja. Zapisałem sobie w myślach, żeby dać jej po zebraniu kilka słoików gruszek w winie i pieczonych jabłek, które przyrządziliśmy z dziadkiem w ten weekend i wyszły nam przepyszne.

– Uważam, że powinniśmy skoncentrować się na podejrzanych. Kogo typujemy w tej chwili, pani inspektor?

– Asiera Ruiza de Azuę, hakerkę o pseudonimie Golden Girl i Saula Tovara.

– Dobrze – zachęciła Alba. – Co mamy na Asiera?

– Znał wszystkie trzy ofiary – zaczęła Estíbaliz. – Pozostawał w niewyjaśnionej dotąd relacji z Aną Belén Liaño, jest współwłaścicielem konta, na którym zdeponowała wygrane na loterii miliony. Został zaatakowany kilka dni przed śmiercią Josego Javiera w swojej własnej aptece, ewidentnie kłamię, mówiąc, że agresorem był narkoman, którego nie widział, mamy bowiem dowody fizyczne, że on także uderzył napastnika. Być może wdał się w bójkę ze swoim przyjacielem J., bo na twarzy denata znaleziono sińce powstałe przed datą śmierci.

– Motyw?

– Pieniądze, żeby uratować firmę, a jeśli był ojcem dziecka, którego spodziewała się Ana Belén Liaño, być może chęć, żeby nie dowiedziała się o tym żona. Jeśli chodzi o Josego Javiera, niewykluczone, że przyjaciel wiedział zbyt dużo, pokłócili się, a potem porzucił zwłoki w muzeum Estanque de la Barbacana. A co do zabójstwa Rebeki, być może też on był ojcem dziecka, byli razem na obozie w lipcu poprzedniego roku i potem się spotykali, a on ją zabił, żeby go nie posądzono o seks z czternastolatką. Sam miał wtedy siedemnaście lat, przyszłość przed sobą, którą ta ciąża mogła z łatwością przekreślić, nie mówiąc już o tym, że ojciec pewnie złożyłby pozew. Rebeca nie miała szesnastu lat i choćby nawet wszystko odbyło się za jej zgodą, to ta zgoda nie

miała mocy prawnej.

Przyznaję, że mną to wstrząsnęło.

Esti nigdy nie mówiła tak prosto z mostu o możliwej winie Asiera. Niby nie powiedziała nic nowego, nic, o czym sam bym nie pomyślał, ale fakty podane w ten sposób naprawdę robiły wrażenie.

Asier, przyjaciel z mojej paczki... Czy mógł być zabójcą Rebeki, Any Belén, J.?

Miał motyw, brakowało mu empatii, trochę znał się na kulturze celtyckiej. Czy to wystarczyło, żeby stać się seryjnym zabójcą?

– Jakie kroki zamierzacie poczynić?

– Popytamy w jego otoczeniu, sprawdzimy alibi na siedemnastego listopada i czwartego grudnia, może go przesłuchamy i trochę przyciśniemy...

– Zostaw to mnie – zaproponowałem. – Nic nie tracimy.

Wszyscy spojrzeli na mnie z politowaniem. Nienawidzę tego spojrzenia.

– Zostawcie go mnie – powtórzyłem. – Porozmawiam z nim. Potem jest wasz.

– Dobrze – ustąpiła Estíbaliz. – Pogadaj z nim w tym tygodniu; jeśli nie będzie żadnych postępów i nie wyciągniesz od niego żadnej przydatnej informacji, spróbujemy go przesłuchać jako podejrzanego. Mam nadzieję, że go przyciśniesz, Unai.

Pokiwałem głową. Asier był jak bryła lodu, ale może jego żona Aracela, z którą zawsze dobrze się dogadywałem, naprowadzi nas na jakiś ślad.

– Powiem teraz głośno coś, czego pewnie żadne z nas nie chce usłyszeć: najważniejsze w tym śledztwie będzie teraz ustalenie, czy wszystkie trzy ofiary spodziewały się dziecka – powiedziała Estíbaliz. – To bardzo ważne, bo jeśli okaże się, że zarówno Rebeca, Ana Belén, jak i José Javier mieli zostać rodzicami... wszyscy, którzy byli na obozie w Kantabrii w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku, a teraz oczekują dziecka, są potencjalnymi ofiarami.

– To takie oczywiste? – zapytała Alba.

– Nie będę owijać w bawełnę: jeśli profil ofiary to osoba, która była na tym obozie, a teraz spodziewa się dziecka, inspektorowi Ayali grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie mówię teraz o pogroźkach w sieci, to pewnie kilku egzaltowanych wyrostków, którzy tylko straszą. Mówię o mordercy, który już zaczął zabijać, a wszystko rozgrywa się w otoczeniu inspektora Ayali. Chyba nie odkryłam nic, czego nie wiedzieliście przed rozpoczęciem tego zebrania – wypaliła Estíbaliz.

Jej krótka wypowiedź spadła jak wielka ciężka płyta na pingpongowy stół.

Publiczna rozmowa na temat prywatnych spraw moich i Alby była dla mnie trudna do zniesienia. Wzruszyła mnie jednak desperacja Estíbaliz, żeby mnie chronić.

Milán wstrzymała oddech, a Peña zaczerwienił się po uszy. Alba zareagowała ze zwykłą sobie dystynkcją.

– Proszę w takim razie, żebyście zrobili wszystko, co w waszej mocy, by ustalić motyw każdej z tych zbrodni. Moja córka zasługuje na to, żeby poznać ojca.

Wszyscy spojrzeli na mnie, ale w tej chwili nic mnie to nie obchodziło.

Myślałem tylko o tym, że Alba po raz pierwszy wspomniała o mnie jako o niewątpliwym ojcu jej dziecka.

Oboje wiedzieliśmy, że robimy to po to, żeby chronić dziewczynkę, że tylko tak można ją ocalić przed noszoną przez całe życie etykietką córki seryjnego zabójcy.

Spojrzałem na nią, bez słów zapewniając o własnej determinacji. „To dla niej, robimy to dla niej. Nie ma żadnych wątpliwości, to nasza oficjalna wersja”.

– W niebezpieczeństwie są też Asier i Lutxo, jeśli to któryś z nich był ojcem dziecka Annabel Lee – wtrącił jak zawsze pragmatyczny Peña. – Musimy to wykluczyć, nie sądzicie?

– Oczywiście – zgodziła się Milán i zanotowała coś na różowym post-icie.

– Porozmawiajmy o innych podejrzanych – zaproponowałem, nie chcąc przeciągać rozmowy na drażliwy dla mnie temat.

– Golden Girl. Współpracowała nieoficjalnie z inspektorem Ayalą przy poprzednich dochodzeniach – wyrecytowała Estíbaliz. – Inspektor został ostrzeżony przez MatuSalema, innego specjalistę od cyberbezpieczeństwa, karanego wcześniej przez sąd, że Golden prowadzi w darknecie poszukiwania związane ze śledztwem „Rytuały wody”. Szuka taserów, udziela się na forach młodych samobójców. Szczególną uwagę zwraca fakt, że zaczęła badać temat młodych samobójców, jeszcze zanim Milán odkryła, że Saúl Tovar, kierownik obozu w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku, stracił adoptowaną córkę w podobnych okolicznościach: dziewczyna weszła na górę Dobra, miejsce ważnych odkryć archeologicznych, a więc przypominające scenerię miejsca zbrodni, które badamy, i poczekała na śmierć z wyziębienia.

– Chwileczkę – przerwałem, nie bardzo wierząc we własne słowa. – Golden rzeczywiście szuka dziwnych rzeczy... ale... odkąd podejrzewamy ją o zabójstwo?

– A tobie nie wydaje się podejrzana, Unai? – zapytała Estíbaliz. – Nie przyszło ci to do głowy?

To sześćdziesięcioośmioletnia kobieta na emeryturze – zapisałem w notatniku zmęczony wymawianiem długich zdań. – Trudno mi sobie wyobrazić, że wiesz swoje ofiary w górach.

- Musisz opowiedzieć wszystko, Kraken – stwierdziła Estíbaliz, kiedy to przeczytała. – Opowiedz o Amsterdamie.
- Opowiedz ty, nie mamy... całego dnia – odparłem zirytowany.
- Babcia pracowała w spółce RIPE w Amsterdamie, opłacana przez przedsiębiorstwo Cisco. Była świadkiem i autorką pierwszych kroków raczkującego internetu, wie wszystko o cyberbezpieczeństwie, należała do pierwszego zespołu administratorów europejskich sieci IP. Była tam w dziewięćdziesiątym ósmym roku, kiedy miała miejsce kradzież kotła z Gundestrup z Muzeum Amsterdamu i ktoś pozabijał zwierzęta zgodnie z ceremonią potrójnej śmierci.
- Rozumiem twój niepokój – przytaknęła Alba. – Tylko jak możemy śledzić jej poczynania, skoro wie o wiele więcej od nas na temat cyberbezpieczeństwa? Od razu zauważy, że się nią interesujemy.
- Osobiście – wtrąciła Milán, odkaszlnąwszy – uważam, że strategia udawania, że nic nie podejrzewamy, i dwóch kanałów komunikacji, jednego publicznego, drugiego dla informacji poufnych, jest bardzo dobra.
- Ja miałem też inną strategię, analogową, żeby dowiedzieć się raz a dobrze, czy Golden maczała palce w tej sprawie. Ale wiedziałem, że moi towarzysze jej nie zaakceptują, przemilczałem ją więc i najspokojniej w świecie zjadłem przedostatni migdał w lukrze.
- Nikt nie pyta o MatuSalema? Ani Tasia? – zasugerował Peña.
- Znowu to samo – powiedziałem. – Ten etap już zamknęliśmy. Tasio okazał się niewinny. Już i tak odsiedział swoje.
- Nie był święty.
- Ale nie popełnił zbrodni, o które go oskarżono. Jest w Los Angeles. Pozwólmy mu zacząć nowe życie.
- Inspektorze Peña – zaczęła zaniepokojona Alba – myśli pan, że to może być pułapka młodego hakera albo Tasia Ortiza de Zárate?
- Myślę tylko, że MatuSalem był już w więzieniu i nie cechuje go przesadny szacunek do prawa. A Tasio... No dobrze, odsiedział wprawdzie wyrok za zbrodnie, których nie popełnił, ale nam wszystkim, którzy dorastali w przekonaniu, że jest seryjnym mordercą, trudno patrzeć na niego jak na niewiniątko. Jedno jest pewne: obaj hakuje telefon inspektora Wydziału Kryminalnego i choćby nie wiem jak zapewniali, że robią to w trosce o jego bezpieczeństwo, popełniają przestępstwo.
- Tak, nie wolno nam o tym zapominać – zgodziła się Alba. – Jednak wracając do naszego obecnego śledztwa: nie mamy choćby wątplych podstaw, żeby połączyć MatuSalema i Tasia z ofiarami ani miejscami zbrodni.

– Nieprawda, do zbrodni zawsze dochodziło w miejscach o doniosłym znaczeniu historycznym. Tasio jest albo był archeologiem.

No nie mogę! – napisałem. – To już raz przesądziło o tym, że został niewinnie skazany. Naprawdę niczego się nie nauczyliśmy?

Peña westchnął, przeczytał moje słowa, i machnął ręką.

– No dobrze, sam w to nie wierzę. Próbowałem być adwokatem diabła. W czasie narad na komisariacie w Donostii często tak robiliśmy. Wybaczcie mi, jeśli przesadziłem. Powinniśmy się skupić na innych podejrzanych, którzy mają chyba więcej za uszami. Na przykład taki Saúl Tovar.

Znów głos zabrała Estíbaliz.

– No właśnie, do tego zmierzałam. Tu naprawdę jest w czym pogrzebać. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku zginęła Rebeca, córka Saula, a kilka miesięcy temu jego druga, adoptowana córka Gimena. Podejrzewamy, że adopcja nie odbyła się w sposób zupełnie legalny. Do procedury przystąpił razem z żoną, zmarłą w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Saúl nie powiadomił nikogo o jej śmierci. Albo, zwróciliśmy się znów do komendy w Santander z prośbą o współpracę, żeby przyjrzeć się ponownie dochodzeniom w sprawie śmierci Rebeki i Gimeny. Rozmawiałam z inspektorem Lanerem, nikt nie powiązał dawnej sprawy Rebeki ze sprawą Gimeny, mimo że miały tego samego ojca. W komendzie w Santander nie pracuje już żadna z osób, które prowadziły śledztwo w sprawie zabójstwa w Fontibre, a śmierć Gimeny uszła ich uwagi, bo uznali ją za kolejny przypadek samobójstwa. Powinniśmy też zbadać okoliczności śmierci żony Saula, jak dotąd niejasne.

– Dobrze, mamy sporo pracy – podsumowała Alba. – Czy według was powinniśmy zaliczyć Saula Tovara do grona podejrzanych?

– Za wcześnie, żeby o tym przesądzać – powiedziała Esti. – Nie możemy obwiniać kogoś tylko dlatego, że stracił zbyt wiele najbliższych osób, a w tej chwili nie mamy na niego nic więcej. Ale to na pewno trop, który należy zbadać.

– Co robimy z Twitterem? – zapytała Milán, odklejając od stołu zielony post-it. – Uwierzymy w spekulacje dotyczące gry w wisielca?

– Bzdury – fuknęła Estíbaliz. – Ludzie się nudzą i wypisują niestworzone rzeczy. Proszę, bądźmy dorośli.

– Też tak myślę – poparła ją Alba. – Jesteśmy profesjonalistami i nie powinniśmy wchodzić w podobne spekulacje. Mogę was zapewnić, że wydział monitoruje wszystkie wiadomości. Wystąpiliśmy do sędziego Olano, żeby przedłużył o kolejny miesiąc

utajnienie czynności procesowych, a media to respektują. To wszystko, nad czym możemy zapanować. Prasa, radio i telewizja nie szukają łatwej sensacji. Co do liczby ofiar wciąż istnieją wątpliwości, więc sprawa nie przedostała się do prasy międzynarodowej. Nie skontaktowała się z nami żadna międzynarodowa agencja prasowa. To, jak na razie, dobre wieści.

Wszyscy pokiwaliliśmy głowami.

– Nie udało się nam jednak dowiedzieć, kto rozsiewa plotki, które krążą potem w mediach społecznościowych, i po raz kolejny nie uniknęliśmy zbiorowej psychozy ani też nacisków na członka naszej ekipy, konkretnie inspektora Ayalę, który stał się osobą medialną w związku z dochodzeniem w sprawie podwójnych morderstw. Wszyscy fani Annabel Lee, którzy grozili inspektorowi śmiercią, zostali zidentyfikowani i postawiono im zarzuty. To uspokoiło nastroje. Inspektorze, jeśli czujesz, że zamieszanie wokół ciebie zbyt mocno zaburza codzienne życie, i wolisz wycofać się ze śledztwa, teraz jest odpowiedni moment, żeby o tym powiedzieć – stwierdziła, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Mowy nie ma – odparłem.

I na tym zakończyła się narada.

Minęła już ósma, ciemność uliczek Villaverde rozpraszały tylko światła latarni, a mieliśmy przed sobą jeszcze godzinę drogi do Vitorii.

Zeszliśmy po schodach. Przed wyjściem dziadek złapał nas, żeby porozdawać słoiki z pieczoną słodką papryką, ostrą papryczką w occie i tarniną do przygotowania nalewek.

– Dziadku, zostaniesz z pustą spiżarnią – powiedziałem, lekko się rumieniąc, ale wiedziałem, że nie posłucha.

Wykorzystałem okazję, żeby dać Esti kilka słoików gruszek w winie, a ona spojrzała na nie jak na skarby z sezamu Ali Baby.

Wychodziliśmy na ulicę. Milán i Peña ruszyli w kierunku swoich samochodów, kiedy usłyszałem rozmowę dziadka z Albą.

Trzymał ją za rękę, jakby miała upaść. Nie znał jej jeszcze, ale szepnął jej kilka słów, które mnie wzruszyły.

– Wiem, że jest pani jego szefową i dba pani o niego, ale proszę obiecać, że nie wyśle go już pani na misję, w której zostanie ranny. Zrobi to pani dla mnie?

– Spróbuję, dziadku. Przysięgam, że się postaram.

Na dźwięk słowa „dziadku” dostałem gęziej skórki. Wiedziałem, że dla niej to słowo było tabu. Może dziadkowi i mnie uda się to zmienić, może wreszcie będzie miała dziadka, na jakiego zasłużyła.

Zakasłał, spojrział ukradkiem na coraz większy brzuch Alby i wręczył jej jeszcze jeden słoik.

– To miodek, stąd, z naszych gór. Proszę go jeść, doda pani sił, których będzie pani potrzebować. A jakby co, wie pani, gdzie mnie szukać.

36

ŚLIZGAWKA

20 grudnia 2016, wtorek

Byliśmy na wysokości San Vicentejo, kiedy zaczął padać śnieg. Cieniutka i zdradliwa warstwa maleńkich płatków osiadała na czarnym asfalcie. Cała nasza kolumna – pięć samochodów – zwolniła. Rozdzieliliśmy się dopiero przy skřęćie na Aretxabaletę.

Wykorzystałem pierwsze czerwone światło, obok starej fabryki Urssa, żeby wysłać Albie wiadomość z nowego telefonu.

„Wracasz do domu?”

„Taki miałam zamiar” – odpowiedziała po chwili.

„Vitoria jest pusta o tej godzinie, to ostatnia jesienna śnieżyca, jutro pierwszy dzień zimy. Chodź ze mną na spacer” – zaproponowałem.

Długo zwlekała z odpowiedzią.

Nadeszła dopiero na kolejnym czerwonym świetle, przy zakřęćie na ulicę Batán.

„Dobrze”.

To „dobrze” było słodsze niż miód dziadka.

„Zostawimy samochody na parkingu przed Nową Katedrą. Widzimy się przy sadzawce z rzeźbą krokodyla o ludzkich dłoniach” – napisałem.

Nie odpowiedziała. Uznałem, że to oznacza zgodę.

Siedząc za kierownicą outlandera, śpiewałem na całe gardło piosenkę *Chasing Cars*. Stosowałem się do wskazówek logopedki i być może przyszłej szwagierki. Śpiewanie piosenek, które znałem na pamięć, pomagało mi odzyskiwać płynność w mowie.

Jeśli położę się tutaj, jeśli po prostu położę się tu na ziemi,

Położysz się ze mną i zapomnisz o całym świecie?

Zastałem Albę pod rzeźbą krokodyla z brązu. Park na tyłach Nowej Katedry oprószony był cienką warstwą śniegu. Płatki spadały cicho i niespiesznie osiadały

w koronach drzew i na gałęziach krzewów.

– Przejdźmy się, na ulicach nie ma żywej duszy – zaproponowałem.

Przyznaję, przećwiczyłem to zdanie na schodach parkingu.

Alba wzięła mnie pod ramię i ruszyliśmy w milczeniu w kierunku parku Florida.

– Więc oficjalnie jesteśmy rodzicami – powiedziałem po chwili.

– Oficjalnie jesteśmy rodzicami – potwierdziła i uśmiechnęła się. – Chodź, kupię ci pieczone kasztany. Widziałam, jak na nie patrzysz.

Alba podeszła do kiosku przypominającego czarny wagon i po chwili wręczyła mi rożek pełen cudownie dymiących, olbrzymich kasztanów, które smakowały po prostu bosko.

Nogi same poniosły nas na plac Virgen Blanca, w śniegu jeszcze bardziej biały i jeszcze bardziej dziewiczy niż zazwyczaj. Nie mąciły tej bieli żadne ślady. Z wora, który rozdarł się nad naszym pogrążonym w ciszy miastem, sypały się kolejne płatki, a otulająca plac puszysta kapa stawała się z minuty na minutę coraz grubsza.

Lodowisko, które wylewano na placu w każde święta Bożego Narodzenia, czekało na pierwszych łyżwiarzy, którzy zechcą się poślizgać w cieniu pomnika Bitwy pod Vitorią.

Mając w głowie słowa śpiewanej przed chwilą piosenki, zaciągnąłem Albę przed wejście do mojej kamienicy, pod pomnik, na którym trzymający miecz anioł ugiął się pod ciężarem śniegu.

– Jeśli położę się tutaj, jeśli po prostu położę się tu na ziemi, położysz się ze mną i zapomnisz o całym świecie? – zapytałem słowami wokalisty Snow Patrol.

Podjęła rękawicę i oboje legliśmy na białym puchu niczym para beztroskich aniołów.

Wzięliśmy się za ręce i zapatrzyliśmy w niebo, białe i czarne naraz. W tej chwili nie potrzebowaliśmy nawet Perseidów.

Potem zaczęliśmy ruszać rękami i nogami, kreśląc sylwetki dwojga aniołów, tak jak nauczyłem się w wieku czterech lat w przedszkolu przy ulicy Senda pewnej odległej zimy, w innym życiu. I roześmialiśmy się, widząc, że ślad pozostawiony przez nasze ciała w samym sercu miasta przypominał raczej jakieś dziwne bóstwo o wielu kończynach niż anioła.

– Chyba narysowaliśmy właśnie krakena – czule szepnęła rozbawiona Alba.

– Chodźmy do domu się wysuszyć. Nie chcę, żebyście się przeziębiły – powiedziałem zmartwiony nagle tym, że mój pomysł nie był może najrozsądniejszy.

Weszliśmy na klatkę, gdzie pewnego upalnego poranka wszystko się zaczęło, być może też nowe życie, i ruszyliśmy na górę, żartując i śmiejąc się. Nie mieliśmy cienia

wątpliwości, co stanie się dalej.

Wyprzedziłem Albę, żeby otworzyć drzwi, ona stanęła za mną tak blisko, że czułem na plecach jej oddech.

„Obejmij mnie od tyłu, pragnę czuć na plecach twoje ciało, a kiedy się odwrócę, nie chcę stracić cię z oczu przez całą resztę życia”, chciałem powiedzieć, ale zdanie było zbyt długie, a moje neurony zajęte były zupełnie czymś innym.

Odwrociłem się, wziąłem ją na ręce. Oplotła mnie w pasie nogami. Weszliśmy do mieszkania i wydawało mi się, że zima odeszła, bo nawet ściany zajęły się od tego pożaru.

- Myślałam, że już mnie nie pragniesz – szepnęła mi na ucho Alba.
- Uch, nawet nie wiesz, jak bardzo.
- Więc już nie musisz się hamować.
- Nie zamierzam.

Zdjęła białą puchówkę, a potem wszystko inne, ubrania nie były nam do niczego potrzebne, i stanęła przy oknie, chowając się za zasłoną przed ciekawskimi spojrzeniami z zewnątrz. Wyglądała jak bogini ze swoimi nowymi krągłościami i cieniami rzucanymi przez napęczniałe piersi. Zdjąłem z łóżka kołdrę i odsunąwszy stół, żeby zrobić miejsce na nasze akrobacje, rozścieliłem ją na podłodze.

Alba robiła wszystko powoli, jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie, a kiedy wszedłem w nią, poczułem się tak, jakby był to mój drugi pierwszy raz. Napęczniałe ciało, ciepło, ucisk. Jak wspaniale było znaleźć się w środku.

Podczas seksu Alba rosła, była jeszcze potężniejsza niż jako szefowa. W tej chwili byliśmy sercem białego miasta, jej ciało i moje pulsowały jak jeden organ, zestrojony w jeden rytm, zacięty i cichy.

Kładąc ręce na jej pępku, uświadomiłem sobie, że tylko cienka granica skóry dzieli mnie od córki, obecnej i świadomej, jak bardzo jej rodzice się kochają.

Dziewczynkę, którą masz w środku, będą chronić dwie skały, ty i ja. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale razem jesteśmy niezwykłymi, pozwól mi zamieszkać w twojej siedzibie białej bogini, myślałem.

Ale nie mogłem prosić o tak wiele.

Bo kiedy skończyliśmy, ona na górze, ona na dole, potem na boku, Alba ubrała się i wróciła do swojej roli pani podkomisarz.

– To tylko jedna noc. Mam swój dom, Unai.

– Tylko jedna noc. Masz swój dom – przytaknąłem, nie miałem wyboru. – Ale powiedz, że będziemy rodziną. Możemy mieć dwa domy, dwa dziecięce łóżeczka, ale

bądźmy rodziną.

– Będziemy rodziną – zgodziła się, zanim, ku mojej rozpaczy, ruszyła w dół po schodach i zniknęła mi z oczu.

A ja jak zwykle stchórzyłem, nie powiedziałem, że chciałbym mieć z nią więcej dzieci, że uczyłem się kołysanek, żeby nie być niemym ojcem i móc uspokoić córkę, kiedy zacznie jej się wyrzynać pierwszy ząb, i że nikt, nikt na świecie nie sprawił nigdy, że drżałem tak jak tej grudniowej nocy.

37

NOC ŚWIECZEK

23 grudnia 2016, piątek

Grudzień upływał bardzo szybko. Mieliśmy święta za pasem, a z doświadczenia wiedziałem, że to oznacza zastój w śledztwie, który mógł potrwać nawet kilka tygodni. Chyba że pojawi się nowy trup i cała ekipa szybko zapomni o świątecznej sielance.

W moim planie dnia pojawiły się nowe stałe punkty. I wszystkie były mile widziane. Peña wynajmował mieszkanie przy ulicy Correría. Zachodził po mnie rano i robiliśmy sobie wspólny spacer do komisariatu przy ulicy Foronda.

Poza pracą był dowcipny i wesoły, niespokojny umysł muzyka często podsuwał mu twórcze rozwiązania wielu problemów, korzystał z tego w pracy pełnymi garściami. Chyba był atrakcyjny dla kobiet, jeśli sądzić po spojrzeniach, jakimi obrzucały go po drodze.

Germán z kolei codziennie wieczorem pojawiał się pod gabinetem mojej logopedki; czasem zostawałem, żeby zjeść z nimi *pintxo*, czasem wymawiałem się i zostawiałem ich samych.

Mój brat w końcu odważył się zabrać ją do Villaverde.

Beatriz wydawała się zauroczona naszą wioską i górami. Obecność osoby tak dbającej o elegancję była w Villaverde równie szokująca jak pierścionek z diamentami w jutowym worze. Obcasy, ołówkowe spódnice, doskonale ułożone na lakier cynamonowe włosy... Mój brat odżył, znów tryskał energią, był rozmowny, błyskotliwy. Od śmierci Martiny tęskniłem za takim Germanem.

Alba dzwoniła do moich drzwi dość często, zazwyczaj bez uprzedzenia. Spacerowaliśmy po starówce albo od razu wskakiwaliśmy do łóżka.

Jednym słowem, życie niekiedy okazywało się bardzo przyjemne.

Ale nie ograniczałem się do przyjemności. Zatelefonowałem do Araceli, żony Asiera, ze swojego starego telefonu. Musiałem od czasu do czasu rzucić Golden jakiś ochłap, żeby nie myślała, że ja wiem, że ona wie.

Araceli miała już plany na ten wieczór: zgłosiła się jako ochotniczka do rozstawiania

na starówce piętnastu tysięcy świec mających oświetlić „średniowieczny migdał” i zabrać nas w podróż do przeszłości.

Żona Asiera dołączyła do naszej paczki jako jedna z ostatnich. Poznali się z Asierem kilka lat temu. Szybko wzięli ślub. Oboje mieli trudne charaktery. Ona pracowała w firmie zajmującej się innowacjami technologicznymi, której nazwy nie byłem w stanie zapamiętać. Nie widywali się codziennie, bo Araceli często podróżowała – jeździła z wykładami na okoliczne uczelnie.

Byliśmy w dobrych stosunkach, od razu ją polubiłem, była szczerą, a poza tym prześliczną. Długowłosa brunetka...

Ale dopiero tego wieczoru, kiedy ukazała się w bramie średniowiecznego muru, zauważyłem, że obcięła sobie grzywkę prosto nad brwiami. Miała duży biust. Nosiła czarne ciuchy. Zadbana, bogata, ale ubierała się jak gotka.

Dokładnie tak samo jak Annabel Lee.

Takie szczegóły magazynujemy zwykle gdzieś na zapleczu mózgu i nie myślimy o nich, dopóki nie okażą się z jakiegoś powodu ważne, niestety często jest wówczas za późno.

– Podoba ci się? – zapytała kokieteryjnie.

– Tak – odpowiedziałem i poczochałem jej włosy.

Próbowałem nie pokazywać po sobie zdumienia, w jakie wprawilo mnie odkrycie, że Araceli była dokładnie tym samym typem kobiety co Ana Belén Liaño.

Fizycznie, a być może również z charakteru.

Miłość i nienawiść. Jak mogłem wcześniej tego nie zauważyć? To cię rajcuje, Asier?

– Muszę z tobą pogadać, Ara – powiedziałem, a ona podała mi zapalniczkę i otworzyła plecak, w którym miała chyba ze sto świec.

Cała starówka pełna była teraz ochotników i lokalnych sklepikarzy, którzy ustawiali i zapalali świece, a czasem nawet pochodnie.

Poszliśmy na dziedziniec renesansowego pałacu oddzielonego murem od zaułku Carnicerías.

Przeszedł mnie dreszcz. To właśnie tutaj, przy tej starej bramie do Gasteiz, Nancho ułożył parę zamordowanych piętnastolatków i otoczył ją trzema *eguzkilor*.

Unikałem, podobnie jak wielu vitorczyków, tych czarnych punktów swojego miasta.

Ale teraz poszedłem za żoną przyjaciela i pomogłem jej ustawiać świece na całym obwodzie dziedzińca pałacu wybudowanego swego czasu przez lekarza Henryka VIII, najsłynniejszego żonobójcy w historii.

Świece rzucały ciepłe światło silnie kontrastujące z mrokiem wieczoru i nagle

poczułem się tak, jakbyśmy znaleźli się na płótnie Caravaggia.

Po półgodzinie wyczerpaliśmy wszystkie błahe tematy, Araceli zaś odważyła się zadać pytanie, które wisiało nad nami od długiej chwili.

– To coś związanego z twoją pracą?

– Obawiam się, że tak.

Araceli pochyliła się, żeby ustawić kolejny rząd świec, a potem dyskretnym gestem pokazała, żebyśmy odeszli od grupki sklepikarzy zajętych tym samym co my.

– Nie strasz mnie, Unai – powiedziała, kiedy znaleźliśmy się mniej więcej na osobności. – Już wystarczająco się boję po tej historii z J. Co się stało?

– Chodzi o Asiera. Będę szczery, dobrze?

– Dobrze.

Zdanie nie było długie, ale miałem za sobą męczący dzień, więc wyjąłem z tylnej kieszeni spodni zeszyt i napisałem:

Co wiesz o napadzie na aptekę?

Araceli skrzywiła się. Miałem wrażenie, że spodziewała się tego pytania, bo odpowiedziała za szybko, jakby nauczyła się odpowiedzi na pamięć.

– Że to był jakiś ćpun, uderzył Asiera, ale on go nie widział. A co, zatrzymaliście go?

Nie wierzymy w tę wersję – odpisałem. „I ty też nie”, chciałem powiedzieć.

– Ara, niezręcznie mi pytać, ale... Pokłóciliście się tego dnia?

Tym razem jej zaskoczenie nie było udawane.

– Myślisz, że mu przyłożyłam?

Może musiałaś się bronić.

– Słuchaj, Asier bywa skurwysynem, ale w życiu nie podniósł na mnie ręki. Tego brakowało! Ani on, ani nikt inny. Nie pozwoliłabym na to. Spakowałabym mu walizkę i poszła na policję. Kropka. Czy wyrażam się jasno?

Tak, jeśli o to chodzi, nie mam już wątpliwości – napisałem.

Ślepy zaułek, nie chodziło o małżeńską kłótnię. Nie miałem zbyt wielu opcji, ale chciałem wy badać, co wie, co jest skłonna powiedzieć, a co ukrywa.

Stałem przed nią, wyjąłem z jej rąk świecę, zapaliłem i oświetliłem jej twarz.

W ten sposób trudno kłamać.

Widać każde minimalne napięcie wokół oczu osoby, która kłamie, oczy instynktownie spoglądają w górę lub w bok.

Widać jak na dłoni każdy grymas, każdą próbę zamaskowania zaciskających się szczęk niechających wypowiedzieć prawdy.

– Kto to mógł być? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia, Kraken.

Kraken, wspaniale, chcesz trzymać mnie na dystans. Już nie jestem Unai.

– Ara... wiem, kiedy kłamiesz. A teraz nie mówisz prawdy.

Skrzyżowała dłonie na piersiach, zamykając się w postawie obronnej. Delikatnie położyłem dłoń na jej przedramieniu i wyprostowałem je, potem drugie.

Poddała się.

– Pobił się z J. Pokłócili się. J. był pijany, doszło do rękoczynów. Nie chce mi powiedzieć, o co się posprzeczali. Tłumaczy się jakimiś zaszłościami z dawnych czasów. Bardzo dawnych, tak mówi. Że to sprawa waszej paczki, że bym nie zrozumiała. Ale potem, kiedy znaleźliście jego ciało w muzeum Estanque de la Barbacana, kazał mi przysiąc, że nikomu o tym nie powiem. Nie chce, żebyście myśleli, że to on go zabił. Byłam z nim w tę sobotę. Siedzieliśmy w Cueście do czwartej, możesz zapytać Nerei. Wróciliśmy do domu i spaliśmy do dziesiątej. Spaliśmy razem, Unai. Nie mógł wyjść z domu, zabić go, zawieźć do Laguardii, a potem wrócić do Vitorii.

– Mógł. To sześć godzin.

Owszem, mógł.

– Nie wiem, Unai. Asier chrapie. Przysięgłabym, że słyszałam jego chrapanie przez całą noc.

– Jak, skoro sama spałaś?

– Nie wiem, Unai. Sama nie wiem. Nie wierzę, że to zrobił, i koniec.

– A siedemnastego listopada?

– Kiedy?

Siedemnastego listopada, w czwartek. Nad ranem. Nocowałaś w domu, z Asierem, czy byłaś poza Vitorią na wykładach? – napisałem.

Araceli nie rozumiała, czemu o to pytam, zrobiła zdziwioną minę. Potem sprawdziła kalendarz w swoim telefonie.

– W tamtym tygodniu byłam w Vitorii, nie miałam żadnych służbowych wyjazdów. Dlaczego pytasz, Unai?

Proszę tylko, przypomnij sobie, tej nocy, a właściwie nad ranem, Asier spał przy tobie w łóżku czy miał dyżur w aptece albo wypadło mu coś innego? – napisałem.

Araceli znów zajrzała do kalendarza. Podejrzewam, że zapisywała w nim dyżury męża. Ja już to sprawdziłem, kiedy byliśmy z Esti w jego aptece po napadzie, ale teraz chciałem przyjrzeć się mimice Araceli.

– Nie, nie miał dyżuru i nie pamiętam dokładnie tego dnia, minął ponad miesiąc, ale skoro go nie pamiętam, to pewnie dlatego, że nie zdarzyło się nic niezwykłego. Asier w dzień powszedni nie wychodzi z domu nad ranem. I okropnie mnie wkurza, że nie chcesz mi powiedzieć, dlaczego o to pytasz.

Zginęła kobieta, Ana Belén Liaño, znałaś ją?

Patrzyłem na jej twarz, ale nie odmalowały się na niej żadne emocje. Nawet zaskoczenie. Dziwne.

– Nie. Powinnam ją znać?

Nie, jeśli nie macie z mężem w zwyczaju rozmawiać o waszej przeszłości.

Nie – napisałem. – Po prostu badamy możliwe powiązania tego zabójstwa ze śmiercią J.

– Obiecuj mi tylko, że jeśli Asier coś ukrywa, mnie powiesz o tym pierwszej – poprosiła, chociaż w jej oczach nie było śladu błagania.

Araceli nie była osobą skłoną o cokolwiek prosić. Zobaczyłem w niej kobietę pragmatyczną, której niełatwo wyrzucić krzywdę.

Coś mi się wydaje, że nie jesteście zbyt zgraną parą.

Powiem ci wszystko, co będę mógł, okej? – obiecałem i pocałowałem ją w policzek na pożegnanie.

Szybkim krokiem ruszyłem do domu po brukowanych ulicach, płomienie świec drżały w rytm moich kroków. Wieczór był uroczy i pewnie przeszedłbym się spokojnie ulicami starówki, ale umówiłem się z Albą i nie chciałem się spóźnić na to spotkanie choćby sekundę.

Kilka godzin później Estíbaliz wyrwała mnie z błęgiego letargu. Leżeliśmy z Albą w łóżku, wcześniej długo obserwowaliśmy przy zgaszonym świetle spektakl świec płonących na placu Virgen Blanca.

Esti dobijała się na nowy telefon tak nachalnie, że w końcu odebrałem.

– To takie pilne? – zapytałem, mając ochotę ją udusić za to, że dzwoni w takim niefortunnym momencie.

– W każdym razie bardzo interesujące.

– Dawaj – powiedziałem, gapiąc się na umięśnione uda Alby.

Nieskomplikowany ze mnie typ, wiem o tym.

– Pamiętasz tego studenta, który nam uciekł? Tego, co powiedział, że Sinobrody jest teraz Siwobrodym?

– Pamiętam.

– Pamiętasz, że nazwał go żonobójcą? Żonobójcą był też Sinobrody...

– Esti, do rzeczy!

– Żona Saula, Unai, żona Saula Tovara zmarła w domu, po wypadku, bardzo zresztą dziwnym. Nazywała się Asunción Pereda, Milán znalazła jej nekrolog w archiwum „El Periódico Cántabro”. Paulaner ma pogrzebać w aktach swojego komisariatu, ale święta za pasem, więc dowiemy się czegoś dopiero w poniedziałek. Nie wiem jak tobie, ale mnie się wydaje, że facet, który stracił młodą żonę i dwie córki w tak dziwnych i niejasnych okolicznościach, ma nam wiele do opowiedzenia.

CUESTA DEL RESBALADERO, CZYLI ULICA ŚLISKA

24 grudnia 2016, sobota

Jak co roku umówiliśmy się po południu na starówce, żeby napić się grzanego wina.

Bary w centrum wiele lat temu postanowiły ożywić zwyczaj, który został z radością przyjęty przez vitorczyków: zwykle w święta było zimno i grzane wino z cynamonem, cytryną, suszonymi morelami, figami i innymi delicjami przyjemnie spływało do żołądka, a ulice starego miasta aż kipiały radością, przypominając atmosferę odległych już świąt Białej Panienki.

Ale tego roku było inaczej. Jakieś złowrogie napięcie unosiło się w powietrzu. Spojrzenia z ukosa, poszturchiwanie się łokciami, kiedy wchodziliśmy do Rojo czy Secundo... Moja głowa wystawała ponad morze innych głów, które bezczelnie się na mnie gapiły.

Na twarzach widziałem różne uczucia: jedni wyraźnie mi kibicowali, inni chyba chętnie powiesiliby mnie na kranie do nalewania piwa.

Nasza paczka też zwiesiła nosy na kwintę. Cały czas byliśmy w żałobie po J., który w ostatnich latach wracał na kolację niezbyt trzeźwy, czasem nawet musieliśmy odprowadzać go w kilka osób, żeby nie pomylił domu ani drzwi. Nie w tym roku. W tym roku to nie było konieczne. Okropne. Naprawdę okropne.

Germán gadał jak najęty, zawsze kiedy był zakochany, nie zamykała mu się buzia. Jego romans z logopedką kwitł, a ja cieszyłem się ich szczęściem. Tego popołudnia podpuszczał Nereę, żeby podzieliła się z nami plotkami z prasy i z sąsiedztwa. Ara wydawała mi się jakaś nieobecna. Xavier nie stawił się na spotkanie, bo wyjechał na narty, a Lutxo, Asier i ja trzymaliśmy się od siebie z daleka, rozmawialiśmy z innymi znajomymi, byle tylko nie musieć ze sobą gadać.

Kiedy byliśmy w Exitxu, Asier złapał mnie w męskiej toalecie.

– Chciałbym z tobą porozmawiać. Możemy się przejść?

– Jasne – odparłem.

Czekałem na to, kolego.

Szliśmy w milczeniu, trochę nachmurzeni, w dół ulicą Fuegos, która na tym odcinku nazywała się dawniej ulicą Śliską i nie bez racji: kiedy zamarzała, łatwo tu było sobie wybić zęby, zwłaszcza kiedy wychodziło się z baru nad ranem po kilku głębszych.

Kiedy dotarliśmy do placu Fuegos, pokazałem Asierowi gestem, żeby wszedł po granitowych schodach tworzących coś w rodzaju amfiteatru. Mieliśmy stamtąd dobry widok na plac, a jednocześnie trochę intymności. U naszych stóp rozciągały się pusta scena i kamienny labirynt, w którym niejedno dziecko, bawiąc się, rozcięło sobie głowę.

Mimo że wieczór był zimny, a w powietrzu unosiła się wilgoć, usiedliśmy z Asierem na samej górze, jakby nie robiło to na nas najmniejszego wrażenia.

– O co wypytywałeś Araceli? – syknął z taką furją, jakby gryzł kamienie.

– To moja praca, Asier. Wiesz o tym.

– Znakomicie, kurwa, znakomicie. Od wczoraj jest wkurwiona jak nie wiem co. Co jej powiedziałaś?

Mój drogi, będę z tobą szczery: wiem, że mnie okłamujesz. Sprawdziłem więc twoje alibi na dni zabójstwa Annabel i J. – napisałem w notesie.

– Nie powinieneś się do niej zwracać. Nie znasz jej tak jak ja. Araceli ma dwa oblicza, w towarzystwie jest urocza i wydaje się bardzo pewna siebie, ale jest patologicznie zazdrosna, a ty wspomniałeś o Anie Belén Liaño. Nie wie, kim była, nie zna całej historii, ale jest wściekła, bo wie, że coś ukrywam. Wystawiłeś mnie, kurwa.

– Gdybyś nie okłamywał mnie od początku, nie musiałbym z nią rozmawiać – odrzekłem.

– Powiedziałem już tobie i twojej partnerce wszystko, co miałem do powiedzenia. I jeśli nie pojawicie się z nakazem sądowym...

– Uważaj, bo wchodzimy na grząski grunt – przerwałem mu.

– Więc tylko tyle: nie powiem nic więcej.

Pobiłeś J., J. pobił ciebie, wiem o tym od twojej żony. Mogę narobić ci kłopotów, Asier. Wiem już wystarczająco dużo, żeby zacząć cię naciskać oficjalnie. Mam ci narysować plan sytuacyjny czy zdołasz to sobie sam wyobrazić? – napisałem i pokazałem mu notatnik.

– Ja pierdolę, Araceli – prychnął, kiedy przeczytał moje słowa.

Lepiej wyjaśnij mi wszystko, Asier. Wszystko. Zacznij od Annabel Lee.

Asier zastanowił się chwilę, podjął decyzję i zaczął mówić.

– To ciągnie się od wiosny. J. wpadł na nią przypadkiem i zaczęli się spotykać. Że fotografia, że może być do tego wrócił, może jakaś wystawa, że trzeba żyć twórczo... Nie pamiętasz, że znów zaczął biegać z aparatem jak opętany?

Tak, przypominałem sobie, zamęczał nas opowieściami o fotografii cyfrowej. Miałem nadzieję, że sprzykrzył mu się już ten koszmarny tryb życia i planuje zmiany zawodowe. Jak miałem to połączyć z Annabel Lee, skoro od dwudziestu czterech lat o niej nie rozmawialiśmy?

Nie miałem pojęcia, że ona za tym stała.

– Spotkałem ich kiedyś w barze, w Judizmendi, powiedziałbym, że już wtedy byli razem. Chcę powiedzieć: razem, tak jak można być razem z Annabel Lee, wiesz, o czym mówię, sam przez to przechodziłeś. Wypiliśmy kawę we troje. Podała mi swój telefon, kiedy J. poszedł do łazienki. I... no i zadzwoniłem do niej.

Znakomicie, Asier. Bardzo rozsądny krok.

Nie chcę znać szczegółów. To twoje życie. Powiedz mi tylko jedno: kto był ojcem?

– J. mógł nim być, ja nie – odpowiedział z przekonaniem. – Nie sypiałem z Annabel.

Nie rób ze mnie durnia!

– Kiedy mówię prawdę, ja...

Wkurzyłem się.

Wziąłem go za kłapy kurtki i przygiąłem do balustrady: jego ciało zawisło nad ulicą Fueros, kilka metrów niżej.

Bez wątplenia spadłby, gdybym go puścił.

To, że przyjaciele z dzieciństwa systematycznie mnie okłamywali, wyczerpało moją cierpliwość.

Przyciągnąłem go z powrotem do siebie, miałem wrażenie, że zrozumiał.

– No dobrze, dobrze, sypiałem z nią. Ale na pewno nie byłem ojcem tego dziecka, zabezpieczałem się. Jestem żonaty, Unai.

– Teoretycznie jednak mógłbyś nim być.

– Nie, na pewno nie.

– A myślisz, że J. tak?

– Niewykluczone, chodził ciągle narąbany, nie do końca kontrolował sytuację. Wszystko toczyło się tak przez kilka miesięcy, potem zaczęła się ta sprawa podwójnych morderstw, byliście zajęci czym innym, nikt nic nie zauważył. Ani Lutxo, ani ty nie mieliście pojęcia o historii z Annabel. Nie chcieliśmy rozdrapywać starych ran, nie wiedzieliśmy, jak to przyjmiecie.

Dlaczego mi nie powiedziałaś, że się z nią widywałeś? Przecież odkryłbym to i tak.

– Przecież, kurwa, mnie znasz. Wiesz, że nie umiem zmyślać. Kiedy umówiliśmy się w parku przy murze, przeżyłem szok. W czwartek Annabel nie dzwoniła do mnie, ale nie mogłem przecież przypuszczać, że ktoś ją zabił.

W takim razie dla mordercy ojcem możesz być równie dobrze ty, jak J., pomyślałem.

Wiesz, czy tamtego dnia wybierała się z kimś w góry?

– Annabel miała w zwyczaju chodzić po górach nad ranem, wyjeżdżała w nocy z Vitorii, ale nie mam pojęcia, czy jeździła sama, czy z kimś.

Miała jakichś nowych przyjaciół?

Zastanowił się chwilę.

– Tak – potwierdził. – Kilka razy opowiadała mi o nowej przyjaciółce, ale nigdy jej nie poznałem. Nazywała się... cholera, nie pamiętam. Pamiętam tylko, że Annabel wspominała, że wspierała ją, odkąd zaszła w ciążę.

– Jak to?

– Kilka miesięcy temu Annabel poinformowała w mediach społecznościowych o tym, że jest w ciąży. To pewnie była jakaś fanka jej komiksów, poprosiła ją o autografy na wszystkich egzemplarzach, jakie miała, spotkały się, polubiły. Trochę to było dziwne, Annabel nie miała przyjaciółek, spotykała się raczej z facetami. Może miała też nowych znajomych płci męskiej, ale nie opowiadała mi o nich i, jak się domyślasz, ja nie pytałem. Każdy mógł pójść z nią w góry.

Nie widziałem żadnej przyjaciółki na pogrzebie.

– No nie wiem, mnie też nie było.

Cała reszta przyszła.

– A jak niby miałem to wyjaśnić Araceli, co? – wypalił wściekły. – Nie chciałem,

żeby zaczęła zadawać pytania, nie chciałem, żeby na pogrzebie dowiedziała się od was, że ofiara była w ciąży, i połączyła kropki w całość.

A pieniądze? Musisz mi to wyjaśnić, Asier.

– Wściekłem się, kiedy wygrała na loterii. Ja już wtedy chciałem ją rzucić. Była w ciąży, zmieniała się, chyba szukała stabilizacji dla swojego dziecka. J. się nie nadawał. Namawiała mnie, żebym zostawił Araceli. Przekonywała, że dziecko najprawdopodobniej jest moje, chociaż się zabezpieczaliśmy. Ona uważała, że to możliwe, wiesz, że miała bujną wyobraźnię. Taka była, powtarzała sobie kłamstwa tak długo, aż w nie uwierzyła, myślała, że to działa na wszystkich. Ja chciałem ją rzucić, zmęczyła mnie już ta historia, sama Annabel Lee i J., który staczał się coraz bardziej. On chyba nie wiedział o nas, ale coś podejrzewał, był dla mnie oschły i nieprzyjemny. To nie w jego stylu, ale J. był tchórzem, nie miał odwagi zapytać mnie wprost.

Więc miałeś ją zostawić, ona wygrała na loterii i... – Starłem się dowiedzieć tego, co dla mnie najważniejsze.

– Nie pamiętasz naszego zakładu? Wtedy, dwadzieścia pięć lat temu na obozie?

Jakiego zakładu?

– No, powiedziała mi: w dniu swojej śmierci będę bogatsza od ciebie.

Nie pierdol, Asier. Wciąż pamiętasz te szczeniackie pyskówki?

– Ta pyskówka przez całe życie była dla mnie drogowskazem, dzięki niej osiągnąłem to, co osiągnąłem. Dlatego zostałem aptekarzem. Myślisz, że pasjonuje mnie farmakopea? Dzięki Annabel Lee dostrzegłem cel, zrozumiałem, że nie chcę być taki jak ojciec, chcę być drapieżnikiem, wygrywać bitwy, nie martwić się co miesiąc, czy starczy mi do pierwszego. Przysięgam ci, że miałem to zdanie w pamięci codziennie, odkąd ta lafirynda wypowiedziała je czwartego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

Ta lafirynda, zapisałem w pamięci.

– I zobacz, nie wygrała zakładu. Kiedy umierała, nie była bogatsza ode mnie. Mieliśmy tyle samo, po półtora miliona euro na koncie.

Więc kiedy wygrała na loterii, postanowiłeś jednak nie odchodzić.

– Powiedziałem jej, że zostawię dla niej Araceli, że stworzymy rodzinę, ale

chciałem, żeby udowodniła mi, że też jest skłonna do poświęceń.

I poprosiłeś o wspólne konto.

– Tak, i wcale nie opierała się tak bardzo, jak się spodziewałem. Nie przykładła wagi do pieniędzy, jej potrzeby materialne były nie większe niż żyjącego na ulicy żebraka, wystarczało jej to, co zarabiała na komiksach. Nie była materialistką, żyła w świecie idei, nie traciła czasu na łażenie po sklepach, to było dla niej zbyt przyziemne. Nie miała nic przeciwko temu, żeby podzielić się ze mną tymi trzema milionami.

Przygnębiony patrzyłem przed siebie.

Potem spojrzałem na zegarek.

Dziadek czekał na mnie i Germana z kolacją, mieliśmy świętować razem w Villaverde. Alba zamierzała spędzić święta z mamą w Laguardii. Zaprosiły Estíbaliz, która nie miała rodziny, więc została sama albo dołączyła do nas. Było wpół do ósmej, musiałem kończyć tę rozmowę, ale po każdym pytaniu miałem coraz większą ochotę wyciągnąć od Asiera coś jeszcze. Znałem go aż za dobrze, nie był skłonny do zwierzeń, wiedziałem, że nie będę miał zbyt wielu okazji, żeby szczerze z nim pogadać.

A to, że wyjąłeś od razu dwieście tysięcy euro, nie wkurzyło jej? – przycisnąłem.

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale w ogóle o tym nie rozmawialiśmy. Nie poruszyła tematu. Może nie sprawdzała codziennie salda na tym koncie, wyjąłem pieniądze w poniedziałek, w czwartek ona już nie żyła.

Mam nadzieję, że wiesz, jak to może wyglądać w oczach sędziego...

– A ja mam nadzieję, że wiesz, że mówię prawdę, mimo że może mi to zaszkodzić, a może mi zaszkodzić, bo to najprawdziwsza prawda – odparł zirytowany.

Co zamierzasz zrobić z tymi pieniędzmi?

Zastanowił się, chociaż podejrzewałem, że taki zimny umysł jak on miał już wszystko wykalkulowane.

– Kiedy już skończysz swoje śledztwo i złapiesz winnego, żeby nikt nie myślał, że to ja, rozstanę się z Araceli. I wyjmę swoje miliony. Na szczęście podpisaliśmy intercyzę przed ślubem, nie będę musiał się z nią dzielić. Spłacę długi i dam sobie chwilę, żeby zastanowić się, jak chcę dalej żyć.

Nie miałem pojęcia, że chcesz coś zmieniać, wydawałeś się taki...

Zadowolony z siebie, dokończyłem w myślach.

– Nie wiem, czy chcę być dłużej aptekarzem, to był tylko sposób na zarabianie pieniędzy. Na rynku jest coraz trudniej, nie zamierzam wydać fortuny na łatanie tonącego statku. Może zamknę apteki i zacznę inwestować albo po prostu będę zarządzał majątkiem do emerytury. Nie wiem. W życiu pragnąłem tylko jednego: mieć pieniądze i nie skończyć tak jak mój ojciec. Wszystko to dała mi Annabel. Ciekawe, co?

Miałem dość, nie mogłem go dłużej znieść. Uznałem przesłuchanie za zakończone. Było mi niedobrze, nie wiem, czy od anyżu z grzanego wina, czy od tego, co powiedział mi przed chwilą Asier.

Dobra, nie mam więcej pytań. Możesz sobie iść.

– Tak, lepiej już pójść – powiedział. Wstał i zaczął schodzić po stopniach amfiteatru. Na odchodnym odwrócił się jeszcze i powiedział: – Wiesz co, Kraken? Obrzydziłeś mi grzane wino i spieprzyłeś pierdoloną Wigilię. Idę do domu, czeka na mnie Araceli i rodzice. Wszystkiego najlepszego!

Siedziałem jeszcze przez chwilę i patrzyłem za nim, jak szedł wściekły i mijał przechodniów, którzy w pośpiechu wracali do domów, żeby przygotować najbardziej rodzinną kolację w roku.

Nie wiedziałem, czy powinienem wystąpić o jego ochronę, bo mógł być kolejną ofiarą, czy poprosić sędziego o nakaz aresztowania, bo miał wystarczająco dużo motywów i emocjonalnego chłodu, żeby zabić Rebecę, Annabel i J.

SZCZYT DOBRA

15 lipca 1992, środa

Napięcia pomiędzy przyjaciółmi widoczne były w nic nieznaczących incydentach.

– Pożyczysz mi żyletkę? Muszę się ogolić.

– Skończyły mi się.

Nieprawda.

Małe złośliwości, drobne świństwka.

Zwierzenia, żarty, cała wcześniejsza zażyłość odeszły w niepamięć. Czwórka przyjaciół tęsknie spoglądała na nimfę, która zamieszkała w ich sypialni, jakby rzeczywiście dziewczyna żyła w ciekawszym świecie niż ten, który dotąd poznali.

Unai z zaniepokojeniem obserwował J. Ukradkiem rozcieńczał mu wino, starał się trzymać go z daleka od napięć, które Annabel prowokowała w zgodnej dotąd paczce przyjaciół.

Lutxo zrobił się chyba najbardziej zaczepny. Ciągłe nazywał Unaią Krakenem, zwłaszcza w obecności Annabel.

Sauł od weekendu obserwował ich bacznie, wreszcie postanowił interweniować. Któregoś popołudnia zabrał grupę do Puente Viesgo, w tej okolicy było bowiem mnóstwo ruin fortyfikacji z czasów rzymskich. Poszli też na wycieczkę na górę Dobra. Po drodze Sauł tłumaczył, że nazwa miejsca pochodzi od imienia bóstwa celtyckiego Dubrona, które oznaczało też „miejsce, w którym jest dużo wody”. W okolicach znaleziono również stelę wotywną lokalnego bóstwa Erudyna.

Mówiąc to wszystko, nie spuszczał z oka J., który bardzo serdecznie rozmawiał z Rebecą, co oczywiście się Saulowi nie podobało. Czyżby chłopak dotykał jej dłoni? Nie widział dokładnie, więc przyspieszył kroku.

Zrównawszy się z Unaiem, postanowił wykorzystać okazję, żeby zagadnąć go na temat przyzwiska.

– Jakoś źle znosisz żarty przyjaciela – zagaił.

– Nie lubię ksywek – odparł Unai. – Nigdy nie są niewinne.
– Nie wyglądasz mi na takiego, który obrywa w szkole.
– Nie chodzi o mnie, ale o mojego brata. Ma jedenaście lat i achondroplazję.
– Karłowatość?
– Jak zwał, tak zwał.
– Musisz go bronić?
– Nieważne, czy muszę go bronić, czy nie. Problem w tym, że któregoś dnia mnie przy nim zabraknie i będzie musiał obronić się sam, rozumiesz?
– Rozumiem.
– Nie znoszę przezwisk – powtórzył. – Zawsze są okropnie złośliwe.
– Twoje przezwisko jest jak totem.
– Jak co?
– Dawniej ludzie też używali przezwisk. Wybierali sobie na przykład zwierzę, którego moce chcieli przejąć, i nazywali się od niego. Zrób to samo, noś ten przydomek z dumą.

– Ale kalmar? Co ja mam wspólnego z kalmarem?

– To zwierzę już w średniowieczu uważane było za mitologiczne. Rysowano je na portolanach i w bestiariuszach, podobnie jak węże morskie czy lewiatany. Pojawia się w tekstach nordyckich, w eddach recytowanych przez poetów z kręgu kultury wikingów. A teraz, tysiące lat później, okazało się, że krakeny istnieją naprawdę. Że pojawiają się nawet na naszym wybrzeżu. Jestem zdania, że to fantastyczne zwierzę, dyskretny ocaleniec, wielka siła natury, która nie potrzebuje się afiszować. Nie uważałbym tego przezwiska za dopust boży, prawdę mówiąc.

Co ty możesz wiedzieć o dopustach bożych, pomyślał Unai.

On zresztą również nie miał pojęcia o dramatach Saula.

Wspinali się dalej w ciszy, uważnie obserwując idącą przed nimi parę. Saúl patrzył na Rebecę, Unai zaś na J., o którego bardzo się martwił po tym, co zaszło w Gaztelugatxe.

Unai nie przepadał za intymnymi rozmowami i zwierzeniami, ale kiedy już wspięli się na szczyt Dobra, znalazł w końcu odpowiedni moment, żeby podejść do J. i pogadać z nim w cztery oczy.

– No i jak? Wszystko w porządku? – zapytał, siadając obok niego.

– Spoko.

– A to z Asierem i Annabel?

– Jeśli o mnie chodzi, to był tylko jeden raz, nic poza tym. A co do Asiera, niech się nacieszy. Nie potrwa to długo.

– Masz świętą rację. Oni kochali się tak, jakby się nienawidzili, na pewno nie miało to nic wspólnego z miłością ani czułością... Ale nie martwię się o Asiera, jest twardy jak skała, martwię się o ciebie... Naprawdę wszystko w porządku? Możesz być ze mną szczery.

– I jestem szczery, Unai. Annabel Lee olała mnie tak szybko, że nawet nie miałem czasu się zakochać. Oczywiście było mi przykro, nie zamierzam udawać, że nie. Ale wczoraj rozmawiałem z mamą... Stan taty się pogorszył. A ja tutaj bawię się w najlepsze. Powiedziałem jej, że wrócę do Vitorii, a ona, że nie, że ma wszystko pod kontrolą, że powinienem odpocząć przed tym, co nas czeka. I ma rację, czeka nas wiele nocek w Txagorritxu. Muszę nabrać sił... Nie mów nikomu, Unai, ale nie mam zamiaru iść na architekturę.

– Jak to?

– Normalnie, nie i już. Chcę być fotografem. Pójdę na ASP.

Unai dotknął kciukiem i palcem wskazującym nasady nosa.

– Słuchaj, jesteś pewien?

– Nigdy w życiu nie czułem się tak dobrze jak dziś rano, kiedy pojechałem do Santillany i odebrałem odbitki z dwóch klisz. Musisz je zobaczyć. Nigdy nie sądziłem, że będę robił takie zdjęcia. Jest w nich jakaś siła... Ja cały w nich jestem, nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Nieprzyjazny świat, to, że czuję się jak w skorupie... wszystko jest na tych zdjęciach, jeśli ktoś umie patrzeć. Będę fotografem, Unai. W dupie mam rysunek techniczny i renowację fasad.

– No dobrze, skoro tak mówisz – powiedział Unai, jednocześnie uśmiechnięty i zmartwiony.

Kilka godzin później Unai wszedł do pustej sypialni chłopców. Z parteru dobiegały rozmowy osób nakrywających do stołu, szcęk sztucców i talerzy.

Usłyszał na schodach jej ciche kroki.

Od razu wiedział, że to ona, nikt nie poruszał się równie bezszelestnie po tym starym domiszczu.

– Ciekawa ta historia z Asierem – rzucił Unai, kiedy weszła do środka, i udawał, że skupia się na składaniu spodni.

Spojrzała na niego jak na małego chłopca. Może tym właśnie był dla tej staruszki w nastoletnim ciele.

– Nie zrobiłam tego, żeby był dla mnie miłszy. Nie o to mi chodziło. Nie

przeszkadza mi jego wrogość, wręcz przeciwnie, utrzymuje mnie w formie.

Unai zacisnął wargi. Nie rozumiał, jak Annabel Lee to robi, ale zawsze udawało się jej wprawić go w zdumienie.

– Jak to? – zapytał tonem, jakby chciał powiedzieć: „Mów do mnie powoli, bo nie nadążam”.

– Chcę mu pokazać, że nie jest odporny.

– Na co?

– Że zjawi się ktoś taki jak ja i rozwali waszą przyjaźń. Żaden z was nie jest odporny.

– Nie mów tak, jakbyśmy znali się przez całe życie – odparł zirytowany.

– Ale przecież znam cię przez całe życie. A teraz, drogi Unai, teraz, kiedy twoi przyjaciele zostali wyeliminowani z gry, zwrócisz wreszcie na mnie uwagę? Możemy zacząć naszą historię od nowa w punkcie, w którym ją zostawiliśmy?

– Droga Annabel Lee, świat nie działa w ten sposób.

Potem wypadł z pokoju i zbiegł po schodach, a serce waliło mu jak szalone.

40

SINOBRODY

26 grudnia 2016, poniedziałek

W poświęcony poniedziałek umówiłem się z Esti, żeby porozmawiać o nowych ustaleniach w śledztwie. Mieliśmy sporo do obgadania. Poszedłem po nią do mieszkania, do którego przeprowadziła się po rozstaniu ze swoim eks, w budynku pod numerem 1 przy Portal de Castilla. Budynek Esti słynął na całą Vitorię z najwyższej w mieście fasady. Jakby chciała powiedzieć, że nie potrzebuje niczyjego towarzystwa i świetnie się czuje w mieszkaniu na swoją miarę.

Poszliśmy w milczeniu w kierunku ulicy Florida. W parku rozstawiono typowe postacie z szopek naturalnej wielkości.

Rodziny z dziećmi korzystającymi z ferii świątecznych przechadzały się zadowolone pomiędzy figurami praczek, garncarzy i owiec, fotografowały rzymskiego legionistę i robiły sobie selfie z Herodem.

Uwolniliśmy się od tłumu spacerowiczów na niewielkim wzgórzu za budynkiem parlamentu. Usiedliśmy na ławce, która udawała pień drzewa.

Esti miała na sobie koszulkę, na której widniał napis: „Postaraj się żyć pełnią, a wszystko samo do ciebie przyjdzie. Lao-Cy”.

- Zapisłaś się do jakiejś sekty? – zapytałem.
- Nie, dostałam tę koszulkę w prezencie od Alby.
- Została twoją mentorką?
- Po prostu spodobała jej się, pomyślała o mnie i kupiła na prezent gwiazdkowy, to wszystko. – Esti wzruszyła ramionami.

No tak, może mają rację ci, co mówią, że przyjaźń poruszy z posad bryłę świata – napisałem. – Jak kolacja?

– Urocza, spokojna, ciepła... rodzinna. Mama Alby potraktowała mnie jak młodszą córkę. To bardzo opanowana kobieta, miałam wrażenie, że postanowiła taka być po wszystkim, co przeszła, podchodzić do świata z dystansem. Zupełnie inna od mojej

matki...

– Była nerwowa jak ty?

– Była słaba. – Zmieniła temat. – Wybadałeś Asiera? – zapytała.

– Owszem.

Opowiedziałem jej o wszystkim, co udało mi się wyciągnąć od niego i Araceli. Że miał alibi, że Araceli na pewno nie kłamała, żeby go kryć, a także o romansie, który mieli dwaj moi przyjaciele z Annabel Lee.

Długie wyjaśnienia wykańczały mnie, chociaż zwykle przygotowywałem sobie tekst w domu.

– Jeśli Asier przyznał, że obaj z nią sypiali, też może być ojcem, chociaż się tego wypiera. Wystąpmy do sędziego Olano o zgodę na badanie DNA. Mamy próbkę pobraną przez doktor Guevarę z płodu Any Belén Liaño, możemy ją porównać z DNA Josego Javiera Huety – stwierdziła moja partnerka, wysłuchawszy cierpliwie moich nieskładnych zdań.

Uważasz, że to konieczne? – napisałem. – Jeden z potencjalnych ojców nie żyje, innego nie możemy w żaden sposób połączyć z miejscami, w których znaleziono ciała, nie dysponujemy żadnymi dowodami, że tam był, a jego żona potwierdza alibi.

– Bardzo pomogłaby nam wiedza, że ojcem był J. Przynajmniej twój przyjaciel Asier uniknąłby niebezpieczeństwa.

To zależy od tego, jakimi informacjami dysponuje morderca – zauważyłem. – Ale dobrze, zrobmy tak. Porozmawiaj z Albą, niech poprosi sędziego o zgodę. Nie ma czasu do stracenia.

Opowiedziałem jej też o nowej przyjaciółce Annabel Lee, którą poznała, gdy ogłosiła na portalach społecznościowych wiadomość o swojej ciąży.

Esti też wydało się to podejrzane, postanowiła zlecić Milán poszukiwania odpowiednich kandydatek. To ona od początku dochodzenia szperała w portalowych kontaktach Annabel Lee, na pewno wychwyciłaby każdą wskazówkę szybciej niż my.

– Opowiedz mi o śmierci żony Saula. Paulaner przekazał ci już informacje o wypadku? – zapytałem.

– Tak, z samego rana. Bardzo smutna i dziwna śmierć: Asunción Pereda Argüeso wyszła z domu nad ranem, po ciemku, żeby przespacerować się po okolicach swojej kantabryjskiej willi. Według raportu policji Saúl spał, a ich córka Rebeca nocowała tej nocy u ciotki ze strony matki, siostry Asunción Peredy, z którą była bardzo zżyta.

– Dlaczego mówisz, że była to dziwna śmierć?

– Zdaje się, że żona Saula wpadła do zbiornika wodnego na łące za domem. Policja uznała, że nie zauważyła go, bo było ciemno. Potknęła się, upadła tak nieszczęśliwie, że uderzyła głową o ściany zbiornika. Kiedy znaleziono jej ciało, miała twarz częściowo zanurzoną w wodzie. Zbiornik był niewielki, miał tylko metr dwadzieścia szerokości i sześć metrów głębokości. Kiedy Saúl się obudził, stwierdził, że jej nie ma, zawiadomił policję, skrzyknął sąsiadów, żeby jej szukać. A ona nie żyła.

Esti zrobiła teatralną pauzę, jakby czekała na moją reakcję albo jakąś błyskotliwą uwagę.

– Hmm, nic cię nie zastanowiło?

– A co miałyby mnie zastanowić?

– Kobieta z głową w wodzie, utopiona, nie widzisz związku z pozostałymi ofiarami?

– Jak na razie wiemy, że to był wypadek, nie zabójstwo – zauważyłem.

– Unai, nie wkurzaj mnie. Czy nie za dużo tych rodzinnych dramatów? Najpierw w wypadku ginie jego żona, potem zamordowana zostaje córka, a córka adopcyjna popełnia samobójstwo?

Tak się zdarza, Esti. Popatrz na swoją własną rodzinę, popatrz na moją. Życie bywa często kurewsko okrutne, ale Saúl nie pasuje mi psychologicznie do profilu osoby zdolnej do takich czynów, nie zrobiłby tego Anie Belén ani tym bardziej własnej córce – musiałem napisać. Byłem tego dnia zbyt rozkojarzony.

– Czemu tak uważasz?

Bo byłem z nim na obozie. Widziałem, że jest empatyczny, naprawdę się o nas martwił. Troszczył się o Rebecę. Tego nie sposób udawać.

Estibaliz wstała. Należała do osób, które nie potrafią długo usiedzieć w miejscu. Zaczęła chodzić tam i z powrotem po pobliskim mostku. Miałem wrażenie, że bije się z myślami. Zastanawia się, czy przyznać mi rację. A może nie chciała przyznać mi racji.

– No tak, może, to byłaby naprawdę masa nieszczęść jak na jednego człowieka. Co za życie! – W końcu chyba się poddała. – A może ktoś chciał mu je zatruć, a on z jakiegoś powodu nie chce o tym mówić.

– Jego siostra dewotka, jakiś rywal z uczelni, mąż kobiety, z którą miał romans, ktokolwiek...

– To jakoś bardziej do mnie przemawia – powiedziała i znów usiadła obok mnie

pograżona we własnych rozmyślaniach. – Mamy do czynienia z niesamowicie atrakcyjnym i charyzmatycznym facetem, który podoba się kobietom. Widziałeś, jak wpatrują się w niego studentki, a on doskonale o tym wie. Nie ożenił się nigdy po tym, jak owdowiał, od tego czasu upłynęło ponad dwadzieścia pięć lat. Nie pasuje mi do niego rola wiecznego wdowca ani tym bardziej mnicha.

– Miał pewnie jakieś swoje historie miłosne, jak my wszyscy. Może jest po prostu dyskretny, co jeszcze nie czyni go podejrzanym.

– To prawda, ale jeśli jego student nazywa go żonobójcą... I ten przydomek: Sinobrody. Trochę poszperałam. Znasz historię prawdziwego Sinobrodego, tego, który stał się pierwowzorem bohatera baśni? Włos się jeży.

– Szczerze mówiąc, nie. Czy to ważne dla sprawy?

– Podobieństwa są co najmniej interesujące. Sinobrody to postać z baśni Perraulta, która została opublikowana w siedemnastym wieku: historii o bogatym i sławnym mężczyźnie mającym bujną siną brodę. Miał mnóstwo pieniędzy, więc wychodziły za niego za mąż kolejne kobiety, chociaż otaczała go zła sława, bo zbyt wiele razy owdowiał. Jego ostatnia żona złamała zakaz i weszła do komnaty, do której zabronił jej wchodzić. Znalazła tam powieszane trupy poprzednich żon. Poprosiła swoich braci o ratunek i została ocalona w ostatniej chwili. To jeszcze jedna baśń, która wydaje się piętnować ciekawskie kobiety, jak historia Adama i Ewy, opowieść o żonie Lota, puszcze Pandory...

– Rozumiem – wymamrotałem, bo byłem ciekaw dalszej części.

– Najgorsze jest to, że baśń Perraulta nie jest do końca fikcją. Uważa się, że autor odtworzył historię francuskiego barona Giles'a de Raisa urodzonego w Bretanii mniej więcej w tysiąc czterysta piątym roku. Na polu bitwy zmieniał się w bestię, pomagał Joannie D'Arc, ale w świetle współczesnej kryminologii był psychopata i najprawdopodobniej cierpiał na ciężką postać schizofrenii.

Estibaliz zamilkła, obok nas przechodziła właśnie starsza pani prowadząca wnuczkę za rękę. Powróciła do swojej opowieści, kiedy zniknęły nam z oczu, drepcząc do najważniejszego punktu naszego żłóbka, grotu, w której ustawiono figury Świętej Rodziny.

– Obecnie uważa się, że wziął udział w wojnie stuletniej tylko po to, żeby znaleźć ujście dla swoich morderczych skłonności do zadawania innym bólu – ciągnęła. –

Najpierw był bohaterem, ale kiedy Joanna D'Arc spłonęła na stosie, coś w nim pękło. W jego życiu nastał mroczny okres, dopuszczał się rytualnych morderstw, a w wioskach wokół jego zamku w Tiffauges zaczęto porywać dzieci. Trwało to przez całe lata. Zniknęła co najmniej setka dzieci. W końcu biskup Nantes wziął sprawy w swoje ręce, osądził i skazał go na śmierć, dopiero wtedy porwania i zbrodnie ustały. Zginął

powieszony i spalony na stosie, taki szczegół, ale to prawie potrójna śmierć.

– Nie fiksuj się na tym – ostrzegłem.

– Opowiem ci o torturach, którym poddawał tamte dziewczynki i tamtych chłopców, sam się do nich przyznał. Świadczenie dotrwało do naszych czasów dzięki szczegółowym aktom z procesu. I ostrzegam, wyłącz empatię, bo dziś w nocy nie zaśniesz.

Wyłączyłem, tak mi się przynajmniej wydawało.

– Dobrze, opowiedz mi wszystko.

Przekazała mi szczegółowy raport z bestialskich zbrodni, których dopuszczał się dorosły tylko dlatego, że był silniejszy niż dziecko.

Nie chcę o tym mówić. Po co?

Historia prawdziwego Sinobrodego zjeżyła mi włosy na głowie.

To, że ktoś przez osiem lat całkowicie bezkarnie torturował, rozczłonkował i zabijał setki dzieci, choćby nawet i w piętnastowiecznej Francji, było dla mnie nie do pomyślenia, bo oznaczało całkowitą bierność ówczesnych władz.

Zbyt częste odwracanie wzroku, zbyt dużo pobłażliwości.

Czy ja robiłem to samo?

Nie potrafiłem zatrzymać szaleńca odpowiedzialnego za coraz więcej śmierci.

Musiałem jeszcze raz stawić czoło złudzeniu, które czasem przysłaśniało mi prawdę: zaufaniu do ludzi, którzy sprawiają wrażenie porządnych.

Od początku unikałem konfrontacji z Golden Girl. Mimo ostrzeżeń Matu Salema przez tyle dni odwlekałem rozmowę z nią bez żadnych telefonów ani komputerów, rozmowę w cztery oczy.

Najwyższa pora wrócić do Zaułka Zapalenia Płuc.

ZAUŁEK ZAPALENIA PŁUC

26 grudnia 2016, poniedziałek

Chciałem ją zaskoczyć, więc spodziewając się, że widzi moją lokalizację na zhakowanym telefonie, zostawiłem go w domu, a drugi aparat ukryłem głęboko w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Tak przygotowany udałem się do jej gniazdka. Jakby Golden była niebezpieczna...

Chyba popadamy w paranoję, niedługo zaczniemy podejrzewać posągi na ulicy Dato, myślałem.

Szedłem ulicami starówki, zastanawiając się, jak podejść hakerkę. W końcu dotarłem do Zaułka Zapalenia Płuc i wszedłem do ogrodu na wewnętrznym dziedzińcu. Było tam zimniej niż w zamrażarce, na żywopłotach leżała warstewka śniegu.

To sielankowe, spokojne miejsce, miejska oaza, podziałało jak balsam na moje skołatane nerwy i pozwoliło mi na chwilę zapomnieć o koszmarnych scenach, jakie opisała mi Estíbaliz, opowiadając o cholernym Sinobrodym.

Mało kto by uwierzył, że w tym urokliwym zakątku znajdowała się siedziba główna najbardziej znanej piratki informatycznej w Europie.

Zapukałem do jej drzwi. Usłyszałem, jak idzie korytarzem, powłóczęc zoperowaną nogą.

– Tak?

– To ja, Unai, potrzebuję twojej pomocy, znów mam problemy z kartą SIM – wyrecytowałem przez zamknięte drzwi starannie przygotowane kłamstewko.

Przez kilka sekund się wahała, ale w końcu postanowiła otworzyć drzwi.

– Ach, te karty – fuknęła przez szparę, nie odpinając łańcuszka. – Już nie produkują takich jak kiedyś.

Wyciągnęła rękę w oczekiwaniu na kartę SIM.

Musiałem improwizować. Ująłem jej dłoń i w najlepszym stylu Germana wycisnąłem na niej szarmancki pocałunek.

Udało się.

Rozczuliło ją to.

Wpuściła mnie do swojego bunkra.

Wiedziałem, że zastanawia się, jakim cudem nie zauważyła, że zbliżam się do jej domu, a moja wymówka z kartą przynajmniej dawała w miarę wiarygodne wyjaśnienie.

– Nie zaprosisz mnie na kawę i ciasteczka? – zapytałem przymilnie, łaszcząc się jak kot.

Chciałem, żeby wpuściła mnie dalej niż na korytarz, żeby pozwoliła mi usiąść w salonie. Chciałem, żeby usiadła naprzeciwko mnie i wyjaśniła wszystko, czego nie rozumiałem.

– Widzę, Kraken, że rehabilitacja przynosi dobre efekty. Mówisz coraz lepiej. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę. Wiesz za to, że nie lubię, jak tu przychodzisz. Sąsiedzi wszystko widzą. W Vitorii wszyscy cię znają. Nie powinni widywać nas razem, to może zaszkodzić i tobie, i mnie. Chodź, usiądziemy.

Poszedłem za nią długim korytarzem, patrząc, jak kuleje, a jej białe włosy podskakują przy każdym stawianym z trudem kroku.

Wystrój mieszkania zaskoczył mnie: nie spodziewałem się takiego po emerytce: funkcjonalnego i nowoczesnego, bez śladu porcelanowych figurek ani szydełkowych serwetek.

Miliony CD i DVD stały na modułowych regałach. Salon urządzone tak, jakby przeznaczony był na wynajem, nie mówił właściwie nic o estetycznych upodobaniach lokatorki.

Nie zamierzałem owijać w bawełnę, głównie dlatego, że Golden należała do tych osób, które, gdy próbujesz je przesłuchać, wyciągają z ciebie więcej niż ty z nich.

Usiadłem na kanapie, która zapadła się pod ciężarem mojego ciała, i zaczekałem, aż ona usadowi się na jednym z krzeseł stojących wokół stołu.

– Tak źle ci się wiedzie w życiu, że musisz szukać odpowiedzi na forach dla młodych samobójców? – wypaliłem, przykładając jej pistolet do głowy i naciskając spust. Bez tłumika.

Odgłos mojego pytania odbił się głuchym echem po całym mieszkaniu. Potem zapadła cisza. Jakby przedstawienie dobiegło końca, kurtyna opadła, a widzowie zdali sobie sprawę, że wszystko było fikcją.

Golden skrzywiła się, ale natychmiast odzyskała panowanie nad mimiką. Podejrzewam, że w pokera była mistrzynią.

– To nie ma z tobą nic wspólnego – powiedziała tylko.

– Ale szukasz „czegoś” w związku z „tym”, co ma ze mną związek, Golden. Nie mówiąc już o taserach.

Popatrzyła na mnie spojrzeniem pełnym litości, jak rolnik, który sprzedaje cielaka, wiedząc, że trafi do rzeźni.

– To jest bardziej niebezpieczne, niż możesz sobie wyobrazić, mój drogi Krakenie. Lepiej odpowiedz mi szczerze na pytanie. Kiedyś zrozumiesz, że próbuję tylko ocalić ci życie. Powiedz mi, czy to MatuSalem cię ostrzegł?

– Zostawmy na razie MatuSalema. Pytałem cię o coś.

Golden milczała przez długą chwilę, w końcu dała za wygraną.

– Dobrze już, dobrze. Nie byłem z tobą szczerą, muszę ci coś wyjaśnić – wymamrotała ponuro.

– Widzisz, zaczynamy się zgadzać. To chyba ta świąteczna atmosfera.

– Chyba tak. Usiądź wygodnie, Unai, bo mam ci sporo do opowiedzenia. Pójdę tylko po te ciasteczka i wino, żeby je popić.

Pokiwałem głową, chociaż nie miałem zamiaru pić wina z hakerką, a ona pokuśtykała mozolnie do kuchni.

Nie pamiętam prawie nic z tego, co zdarzyło się później.

Nie pamiętam, jak mnie uderzyła, nie mam też pojęcia czym.

Teraz, kiedy upłynęło trochę czasu i mogę myśleć racjonalnie, rozumiem, że nie chciała mnie zabić.

Że uciekając, zostawiła otwarte drzwi, żeby wścibska sąsiadka z trzeciego mogła zajrzeć do środka. To ona zobaczyła mnie na podłodze i zadzwoniła po karetkę.

Wydaje mi się, że słyszę jej słowa, kiedy stała nade mną już po nokaucie, bez śladu żalu za to, co zrobiła.

– Pieprzony dzieciak – powiedziała. – I znowu muszę uciekać. Co za życie. Pieprzony dzieciak. Pożałujesz, Matu.

Ale nie wybaczyłem jej, wcale jej nie wybaczyłem.

Nie uderza się w głowę kogoś, kto wcześniej został w głowę postrzelony.

SZPITAL ŚWIĘTEGO JAKUBA

9 stycznia 2017, poniedziałek

Sędzia Olano wydał nakaz aresztowania Glorii Echegaray, znanej pod pseudonimem Golden Girl, której miejsce pobytu pozostawało nieznane.

Przez czternaście dni leżałem w szpitalu Świętego Jakuba, lekarze nie pozwalali mi prawie ruszać się z łóżka, dopóki tomografia komputerowa nie wykluczyła jednoznacznie możliwości poważniejszego urazu czaszkowo-mózgowego. Nie miałem żadnych wylewów, a smak krwi w ustach, z którym się obudziłem, był skutkiem pęknięcia naczynia krwionośnego w okolicy kości skroniowej. Wyglądało to dość koszmarnie, ale nie stanowiło zagrożenia.

Przez pierwsze dni bolała mnie głowa, potem nogi od ciągłego leżenia, a przez ostatnie dni to personel szpitalny zaczął się uskarżać na deficyt cierpliwości, bo trudno było zmusić mnie do odpoczynku. Chciałem jak najprędzej skończyć to śledztwo, teraz, gdy zrobiliśmy tak ogromny krok do przodu, który przypłaciłem wielkim siniakiem na prawej skroni.

Kiedy już czułem się trochę lepiej, Estíbaliz poinformowała mnie o wynikach testów DNA: potwierdziło się przypuszczenie, że ojcem dziecka, którego spodziewała się Annabel Lee, był J.

Potrzebowałem kilku dni na przetrwanie tej wiadomości. Nie podobało mi się, że istnieje związek między jego śmiercią a faktem, że miał zostać ojcem.

Ale pobyt w szpitalu miał też swoje dobre strony, jak wizyty Alby: przychodziła rano, potem w przerwie obiadowej i wieczorem. I tak codziennie. Jej brzuch rósł, a my coraz bardziej przypominaliśmy parę.

Czasem przynosiła tablet i oglądaliśmy stare filmy, za którymi oboje przepadaliliśmy. *Podejrzani*, *Apartament*, rzadkie perełki klasy B, które zbliżyły nas i pozwoliły mi w końcu dowiedzieć się czegoś więcej o niej, o tajemniczej i enigmatycznej Albie.

Dziewiątego stycznia dostałem wypis.

Tymczasem moja mała rodzina podwoiła się, dziadek i Nieves Díaz de Salvatierra,

mama Alby, wymieniali się przepisami na kalmary w atramencie, a logopedka i Germán za moimi plecami snuli się po barach przy ulicy Dato i lojalnie mi o tym nie opowiadali, wiedzieli bowiem, jak bardzo tęsknię za przepysznym *pintxo* z tortillą.

Czas, kiedy nikt mnie nie odwiedzał, poświęcałem na ćwiczenia mowy, przygotowywałem coraz dłuższe wypowiedzi, pobiłem dotychczasowy rekord dwudziestu pięciu słów: w dniu wypisu potrafiłem już powiedzieć trzydzieści osiem z rzędu. Stawiałem sobie coraz nowsze wyzwania, robiłem to dla siebie, ale też dla swojej córki, żeby nie miała niepełnosprawnego ojca.

W powietrzu unosił się nastrój euforii: w końcu mieliśmy podejrzaną.

Kogoś, kto wprowadzie ulotnił się skutecznie i bez śladu, ale namacalnego.

Golden chyba była przyzwyczajona do ucieczek, bo podczas przeszukania w jej mieszkaniu w Zaułku Zapalenia Płuc nie pozostało nawet wspomnienie po jakimkolwiek elektronicznym urządzeniu, które można by było zarekwirować. Koledzy z cyberbezpieczeństwa zabrali płyty CD i przeglądając je, znaleźli tylko kopie programów pisanych dla Cisco, i to części oficjalnej, która nie naruszała prawa.

Stało się to tego ranka, kiedy przygotowywałem się do wyjścia.

Nasza cybergeniuszka Milán przyniosła mi do szpitala najświeższe wiadomości. Zastała mnie w chwili, kiedy właśnie próbowałem się przebrać, gotowy, by pożegnać się ze szpitalnym rygorem i znów znaleźć na wolności.

– Inspektorze Ayala, nie mogłam czekać. Znam prawdziwą tożsamość Golden – wysapała, próbując złapać oddech, jakby wbiegła po schodach na trzecie piętro.

Może tak właśnie było.

Akurat zamierzałem zdjąć idiotyczną koszulkę nocną ledwie zakrywającą mi uda i z otworami z tyłu, od których marzły pośladki.

– Spokojnie, Milán. – Położyłem jej rękę na ramieniu.

Milán odskoczyła instynktownie, jakby poraził ją prąd.

Zrobiło mi się jej trochę szkoda. Nie trzeba było profilerów, żeby zauważyć, że Milán unikała jak ognia kontaktu fizycznego. Zastanawiałem się, jakie dzieciństwo musiał mieć ktoś tak nieobeznany z okazywaniem uczuć.

Milán wyjęła z kieszeni płaszcz kilka post-itów. Policzki jej płonęły. Starła się nie patrzeć na mnie ani na moją koszulinę.

– No więc – zaczęła – powiedział nam pan, że Golden Girl to kobieta urodzona w Vitorii w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku, że nazywa się Gloria Echegaray, że przez prawie czterdzieści lat mieszkała obok seminarium, przy ulicy Fray Zacarías numer dziewięć, z niejakim Benignem Larreą Ruizem de Eguinem. Od razu zapaliła mi się czerwona lampka, bo taki człowiek nie istnieje, nie pojawia się

w żadnych bazach danych, na listach wyborczych. O dziwo ma numer ubezpieczenia zdrowotnego. To zmyślona postać, ktoś wyrobił nieistniejącej osobie dokumenty w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych.

– To niemożliwe. – Ze zdumienia aż usiadłem na łóżku.

Sam przymknąłem oko na to, że Golden podrobiła akt ślubu, żeby zostać w mieszkaniu, które rzekomo dzieliła z partnerem przez dziesięciolecia, a ratusz odmawiał jej prawa do tego lokalu, bo żyli w nieformalnym związku.

Przemilczałem to, bo wówczas Golden wynajmowała pokoje, a w jednym z nich zamieszkał mężczyzna oskarżony o przemoc domową. Poprosiłem ją o pomoc, a ona się zgodziła i udało mi się aresztować skurwiela, który bił żonę i dzieci.

Nie doniosłem na nią, w zamian wiele razy wykorzystałem jej informatyczne umiejętności. I tak przez lata wyświadczyliśmy sobie najrozmaitsze przysługi.

Przyznaję, nie był to zdrowy układ.

Ale nie spodziewałem się, że jej partner, z którym, jak twierdziła, przeżyła czterdzieści lat, nie istnieje, że okłamała mnie w żywe oczy i wykorzystała moje współczucie dla biednej leciwej emerytki, żeby przywłaszczyć sobie mieszkanie na starówce. Nie bawiło mnie wcale, że od początku robiła mnie w bambuko.

– Mów dalej – poprosiłem. – Wspomniałaś, że tożsamość Golden Girl też jest fałszywa.

– Tak, polecił mi pan szukać Glorii Echegaray, która byłaby na liście pracowników firmy Cisco, ale przed tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim rokiem takiej pracownicy nie było. Sprawdziłam więc odciski palców w jej dokumencie tożsamości, który również okazał się sfalszowany. Odciski palców odpowiadają natomiast odciskom osoby o nazwisku Lourdes Pereda Argüeso, jej dowód stracił ważność bardzo dawno temu. Nie ma aktu zgonu, zniknęła z oficjalnych dokumentów w dziewięćdziesiątym trzecim roku, tym samym, kiedy pojawia się niejaka Gloria Echegaray, mamy jej numer ubezpieczenia społecznego, prawo jazdy...

– Możesz powtórzyć, jak nazywa się naprawdę?

– O to właśnie chodzi, nie wiem, czy zwrócił pan na to uwagę. Lourdes Pereda Argüeso, urodzona w Santillana del Mar w Kantabrii w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku, sześćdziesiąt siedem lat temu. Nosi takie samo nazwisko jak Asunción Pereda Argüeso, nieżyjąca żona Saula Tovarą, urodzona dwanaście lat później, w tym samym roku co jej mąż. Sądzę, że to siostry, inspektorze. Nie miałam jeszcze czasu sprawdzić tożsamości ich rodziców, ale jeśli się zgodzą, nie będzie żadnych wątpliwości.

Zrobiło mi się słabo, starałem się jednak ukryć osłupienie – i wściekłość – przed

Milán. Wciąż siedziałem na łóżku w przykrótkiej koszuli i bez gaci.

– Więc Golden Girl to tak naprawdę ciotka Rebeki – podsumowałem.

Teraz rozumiałem, dlaczego zaczęła swoje poszukiwania, kiedy dowiedziała się z mojego telefonu o okolicznościach śmierci Annabel Lee: jej uwagę zwrócił ten sam modus operandi co w wypadku śmierci siostrzenicy.

Tak przynajmniej mi się wówczas wydawało.

OGRÓD Z SEKWOJĄ

9 stycznia 2017, poniedziałek

Wiem, że powinienem był pójść prosto do domu i odpoczywać, ale nowiny, które przyniosła Milán, sprowadziły mnie z właściwej ścieżki: minąłem drzwi do swojego budynku przy placu Virgen Blanca i ruszyłem w kierunku Nowej Katedry.

Na schodach prowadzących do głównego wejścia, naprzeciwko fontann, które wytryskiwały wprost z asfaltu, zwykle gromadzili się skejci praktykujący skoki i inne sztuczki na swoich wypasionych deskach.

Lubiłem przypatrywać im się ukradkiem, przechodząc obok świątyni, kiedy szedłem coś zjeść do baru Sagartoki albo kiedy Alba zaprosiła mnie do swojego mieszkania przy ulicy Prado numer 22. Czasem zdarzało mi się widzieć pośród nich kołesia z niebieskimi włosami ukrytymi pod białym kapturem. Oczywiście miał deskę z wizerunkiem biblijnego patriarchy.

Tego lodowatego poranka, gdy nad miastem zawisła gęsta mgła, wybrałem się na spotkanie właśnie z nim.

Zaszedłem go od tyłu, poczekałem, aż skończy swoje akrobacje. Koledzy ostrzegli go o mojej obecności i o mały włos zdołałby mi uciec na swojej superdesce, ale w ostatniej chwili chwyciłem go za chude jak u kurczaka ramię. Spojrzał na mnie z furją.

- Koniecznie chcesz rozwalić mi wszystkie moje tożsamości offline?
- Potrzebuję twojej pomocy – powiedziałem cicho.
- Chodźmy w jakieś bardziej ustronne miejsce – zgodził się niechętnie. – Nie wiesz, co to dyskrecja, prawda?
- Ciekawe, że mówi to ktoś, kto wie nawet, co jadłem dziś na śniadanie.
- Rany, ty gadasz – zauważył, zasłaniając twarz kapturem.
- Chodźmy do ogrodu z sekwoją, proszę, to naprawdę poważna sprawa – nalegałem.

Zacisnął szczęki, wpatrując się swoimi oczami archanioła w jeden z gargulców katedry.

– Dobrze, ale to już ostatni raz.

– Zgoda.

Ruszyliśmy wzdłuż murów katedry ku znajdującemu się na jej tyłach dziedzińcowi, gdzie obok dawnego klasztoru Urszulanek rosła stara sekwoja.

Nie było tam kamer, a turyści zaglądali z rzadka, więc MatuSalem niechętnie, bo niechętnie, ale zgodził się na to miejsce.

– O co chodzi? – zapytał, kiedy stanęliśmy pod starą sekwoją.

– Golden uciekła – oświadczyłem.

– Prawda, ale mało precyzyjna.

– To znaczy?

– Możemy z pewnością stwierdzić, że Golden zniknęła z sieci, porzuciła swoje wszystkie dotychczasowe aktywności, łącznie ze szperaniem w darknecie.

– Kiedy?

– Dokładnie dwudziestego szóstego grudnia. Ulotniła się bez śladu.

– Możesz użyć swoich supermocy i ją zlokalizować?

– Teraz ty wyjaśnisz mi, co się stało w świecie rzeczywistym. Ten paskudny siniak na twojej skroni ma z tym coś wspólnego?

– Zaatakowała mnie, uderzyła w głowę, jest ścigana listem gończym. Używała fałszywej tożsamości, nie skorzystała więcej z tych dokumentów.

– Noż, kurwa, niezła staruszka.

– Możesz ją zlokalizować?

Westchnął głęboko, jakby uznał, że nie ma dla mnie ratunku.

– Nie wiem, czy mam mówić wolno i wyraźnie, żebyś mnie w końcu zrozumiał, czy ty powinieneś zacząć wreszcie słuchać: kiedy ona się wyloguje, ja nie mam czego szukać.

– Mam rozumieć, że najlepszy współczesny haker nie może się zmierzyć z przebrzmiałą gwiazdą?

– Aj, wiesz dobrze, że nie wchodzę w te gierki, chcę tylko odwdzińczyć się Tasiowi za przysługę. Spróbuję czuwać nad tobą nawet w czeluściach sieci, ale ostrzegam, jeśli będziesz mnie nagabywał w ten sposób i moi koledzy skumają, że zadaję się z psami, więcej mnie nie zobaczysz.

– Dobrze, zrobmy tak: jeśli na moim balkonie zobaczysz znak białego krzyża, widzimy się następnego dnia o trzynastej trzynaście w krypcie Nowej Katedry. Może być?

– Może być – przytaknął i chociaż przez sekundę na jego twarzy zobaczyłem: „Pomysł ekstra!”, nie powiedział tego głośno.

– To jesteśmy umówieni. *Agur*, *Matu*.

– *Agur*, *Kraken*.

Wraciałem do domu przytłoczony ciężarem, który przygniatał mi barki i zaogniał ból poranionej skroni.

W słowach *MatuSalema* wyczułem bezradność. Zrozumiałem, że chłopak zrobił wszystko, żeby trafić na ślad *Golden*, i poniósł porażkę. Już nie miał w sobie tej szczeniackiej zuchwałości. Spróbował, trafił na ścianę. Zrozumiałem też, że nie znajdziemy *Golden*, dopóki ona sama nie pozwoli nam się odnaleźć.

Jeszcze wtedy nie miałem pojęcia, że urocza emerytka już tka precyzyjną pajęczynę, żeby znów wplątać mnie w swoje plany.

Wstukałem kod na domofonie i otworzyłem skrzynkę; ze stosu ulotek, które zdążyły nagromadzić się przez kilkanaście dni, wyjąłem kopertę. Nie miała nadawcy, zamiast adresata widniało słowo *Kraken*. Nie miała też znaczka, ktoś musiał wejść na klatkę i wrzucić ją do mojej skrzynki ze względów bezpieczeństwa nieoznaczonej nazwiskiem.

Wziąłem kopertę do ręki bardzo zaniepokojony, jednak ciężar wskazywał, że w środku jest tylko kartka. Odsunąłem ją trochę od siebie, na wszelki wypadek, i otworzyłem.

Kraken, wiem, że dziś wychodzisz ze szpitala. Punkt dwunasta na stanowisku archeologicznym *Atxa*, to pierwsza i ostatnia okazja. Nikomu o tym nie mów, bo się nie zjawię. Żadnych komórek ani innych urządzeń z lokalizacją.

I zrób mi tę uprzejmość, nie strzelaj do wszystkiego, co się rusza.

Golden Girl

TRZY FALE

18 lipca 1992, sobota

Obóz dobiegał końca, trzy tygodnie minęły jak z bicza strzelił, a Saúl postanowił, że w ostatnią sobotę pojedą do Deby, na plażę na wybrzeżu Guipúzcoa.

– Ślady celtyberyjskiego imienia Deba – wyjaśnił im wieczorem w przeddzień wycieczki – znajdziecie na całym kantabryjskim wybrzeżu. W Asturii, Galicji, Kraju Basków. Znajdziecie go w nazwach rzek, gór, wiosek, plaż. Samo imię wywodzi się prawdopodobnie od indoeuropejskiego słowa *deywo*. W języku Celtów oznaczało ono po prostu boginię.

– Jakie piękne słowo – powiedział Unai do Annabel.

– O tak. Chciałabym tam zrobić coś specjalnego – odpowiedziała cicho, ale nie zdradziła więcej szczegółów.

Nie było to konieczne, spojrzenie, od którego chłopaka aż przeszły ciarki, obiecywało wiele.

Unai wyczuwał nerwową atmosferę, która wisiała w powietrzu, odkąd J. opowiedział Saulowi o konfabulacjach jego córki Rebeki.

Saúl zachowywał się dziwnie.

Był nieobecny, zły, że znów go zdradziła, ta dziewczyna to beznadziejny przypadek. Chociaż tak bardzo ją kochał, chociaż... Rebeca nie rozumiała, czym jest rodzina, że muszą o siebie dbać, muszą się chronić. Powtarzał sobie, że nie tak ją wychowywał, i za każdym razem ogarniała go wściekłość. Nie chciał przechodzić jeszcze raz przez to samo. Widmo skandalu, wiecznych podejrzeń, ostracyzmu. Nie mógł sobie na to pozwolić. Nie mógł jej na to pozwolić.

Uspokoił J.

– To nawrót, niestety uprzedzono nas o takiej możliwości. Staraj się nie rozmawiać z nią i nie rozbudzać jej fantazji. Mam nadzieję, że nie będę musiał opuszczać obozu, żeby odwiedzić ją do szpitala.

A dobroduszny J. za nic na świecie nie chciał, żeby dziewczyna znalazła się znów

w szpitalu psychiatrycznym, a obóz skończył się przed czasem z powodu nieobecności kierownika. J. nie spieszyło się wcale, żeby wracać do tego, co czekało go w Vitorii.

Rebeca natomiast, którą doświadczenie nauczyło rejestrować najmniejsze zmiany w zachowaniu Saula, natychmiast zorientowała się, że coś się wydarzyło. Skończyły się porozumiewawcze uśmiechy, opiekuńcze gesty, został tylko Sinobrody i jego przerażające spojrzenie.

– Tato, czy coś się stało?

– Jutro w nocy, Beco. Jutro, córeczko.

Dotarli do Deby po południu. Dołączyli do nich obozowicze z ubiegłych lat, więc tworzyli całkiem pokaźną grupę, która rozproszyła się szybko po okolicznych barach. Potem znów spotkali się na plaży i usiedli w kręgu, gotowi pożegnać się ze wszystkim, co tu przeżyli. Ostatni weekend obozu. Wiedzieli, że ten krótki rozdział w ich życiu właśnie dobiega końca, każde z nich wróci do swojej codzienności w Santander, Vitorii, niektórzy już nigdy się nie zobaczą.

Podczas podróży Unai usiadł na przednim siedzeniu busika. Chciał chwilę побыć sam, pomyśleć o tym, co miało się wydarzyć tej nocy. Ale szybko zauważył, że coś jest nie tak pomiędzy Saulem a jego córką. Jechali z Cabezón de la Sal do Deby dwie godziny, a oni przez cały ten czas nie zamienili ze sobą ani słowa. Saúl sprawiał wrażenie obrażonego, Rebeca była czujna, ciągle machała nogą, a jej tik doprowadzał Unaia do szału.

Kiedy w końcu wysiedli z samochodu, Saúl wyjął z bagażnika brązowy kociał i butelki miodu pitnego.

Unai skorzystał z okazji, żeby zagadnąć dziewczynkę.

– Słuchaj, wszystko w porządku?

Rebeca spróbowała się uśmiechnąć:

– Tak, oczywiście, Unai.

Nie chciała go urazić. Unai zawsze był dla niej dobry. Pomagał jej w nocy zmywać kuchnię, razem z nią wynosił śmieci.

Może jest smutna, że musi wracać do Santander, bo tam przypomina sobie o matce, pomyślał chłopak.

– Jeśli chcesz, możemy później chwilę pogadać – zaproponował.

– Dobrze.

Ktoś przynajmniej się nią interesował. Bo Asier, Ana Belén i Lutxo...

Lepiej o nich nie myśleć.

To już ostatnie godziny, potem już nigdy ich nie zobaczy.

Niech zgniją. Niech wszyscy zgniją.

Saúl przygotował sobie specjalnie na tę okazję legendę, historię przekazywaną w tradycji ustnej i spisana w 1865 roku przez staruszkę z Deby.

– Przekleństwo trzech fal, słyszeliście o nim wcześniej?

Wszyscy pokręcili głową, nikt nie pochodził z tych okolic, a legenda była stara, bardzo stara.

– Kobieta opowiada o czasach jej współczesnych, mniej więcej o połowie dziewiętnastego wieku. Żył wtedy w Debie rybak, który miał żonę i córkę. Mieszkał z osieroconym bratankiem i innym rybakim o imieniu Blinich. Rybak miał kłopoty: od wielu dni w jego sieci nie złapała się żadna ryba i wracał do domu z pustymi rękami. Pewnego wieczoru przed wyruszeniem na połów trzej rybacy zasnęli na swojej łodzi, a Blinichowi przyśniły się dwie kobiety. Legenda ma różne wersje, mowa jest o czarownicach, lamiach, nimfach wodnych... Kobiety ostrzegły Blinicha, że tej nocy jego łódź napotka trzy olbrzymie fale i zatonie. Pierwszą falą miała być fala mleka. Drugą fala łez. A trzecią – krwi. Starsza kobieta powiedziała, że jedynym sposobem na ocalenie jest przebicie harpunem fali krwi, ale wtedy ona zginie. Kiedy Blinich się obudził, zdenerwowany i przejęty opowiedział wszystko swojemu patronowi, ale rybak nie uwierzył w przepowiednię. Postanowił, że wyruszą na połów.

– I nadeszły trzy fale – przerwał J., który najbardziej przejmował się opowieściami Saula, rozmyślał o nich potem długo, przewracając się z boku na bok w swoim śpiworze.

– Owszem. Kiedy tylko wypłynęli z przystani, dostrzegli wielką białą falę. Była to fala mleka. Potem ich mała łódka musiała zmierzyć się z falą łez. Na koniec, gdy ujrzeli wielką falę krwi, rybak wiedział już, że musi uderzyć w nią harpunem. Tak zrobił, morze natychmiast ucichło, a sieci napełniły się rybami.

– Więc wszystko dobrze się skończyło? – zapytał Lutxo, zawsze uważnie słuchający opowieści mentora, którego miał nadzieję spotkać znów podczas studiów.

– Wręcz przeciwnie. Mężczyzna wrócił do domu z koszami pełnymi ryb i zastał swoją żonę umierającą. Przeklęła go za to, że zranił ją harpunem. Córka też miała do ojca żal, że zabił matkę, i w tajemniczy sposób zniknęła. Nigdy więcej nie widziano jej w Debie. Rybak zapytał Blinicha o kobiety, które ukazały mu się we śnie, a on potwierdził, że były to jego żona i córka. Rybak został sam i zachorował z rozpacz. Koniec, jak sami widzicie, bardzo smutny.

Saúl zawiesił teatralnie głos, żeby osiągnąć pożądany efekt wśród młodych słuchaczy, potem wskazał na morze.

– Spójrzcie tylko, dziś może uda nam się zobaczyć trzy fale.

– Dlaczego dziś? – zapytał Unai.

Tak, dlaczego właśnie dziś?, pomyślała Rebeca skulona obok ojca, z nogami skrzyżowanymi na piasku.

– Bo dziś mamy pełnię. Będziemy mogli obserwować księżyc w pełni nad powierzchnią wody. Istnieje piękne słowo *ardora* opisujące plamy blasku na morzu tworzone przez ławicę srebrnych ryb, na przykład sardynek. W Galicji używa się go do opisanie odbijającego się w morzu księżyca. To jakby wielki biały korytarz odbitego w toni światła.

Więc dziś noc ardory, pomyślała Annabel Lee. Doskonały motyw do wykorzystania w komiksie, który właśnie rysowała. Uśmiechnęła się do Unaia. Bez słów umówili się na później.

Saúl nie przerywał swojego ostatniego wykładu. Uwielbiał mieć publiczność, która słuchała go uważnie. Był od tego uzależniony.

– Legenda w moim odczuciu zawiera aluzję do rytuałów, rytuałów wody, o których tyle wam opowiadałem. Znow znajdziemy w niej pierwiastek żeński: kobieta, która umiera, córka, która znika. Znajdziemy też mleko, łzy i krew jako symbole faz życia człowieka. Mleko matki albo sperma ojca, łzy, z którymi nieodłącznie wiąże się życie, krew jako symbol śmierci i odrodzenia. Jeśli miałbym ją analizować z punktu widzenia antropologa, dołożywszy jeszcze do tego skamielinę, jaką jest imię Deba albo Deva, jedna z najważniejszych bogiń w celtyckim panteonie, należąca do triady celtyckich bóstw: Nabia, Reva i Deva, powiedziałbym, że zachowały się w niej bardzo archaiczne motywy płodności i oczyszczenia.

Wszyscy pokiwali głowami, podawali sobie miód przywieziony przez Saula, niewiele mający wspólnego z rytuałami płodności i oczyszczenia.

– Chciałbym, żebyście zapamiętali sobie, wszystko jedno, czy będziecie studiować historię, czy nie, że wiele świąt, wiele tradycyjnych obchodów w waszych miastach i miasteczkach nawiązuje do innych, starszych zwyczajów. Celtyckie Samhain, które irlandzcy imigranci zawieźli do Stanów Zjednoczonych, zmieniło się w Halloween, w Galicji zaś obchodzone było jako święto Samaín, a Rzymianie przemienili je w dożynki. Noc świętojańska to celebracja przesilenia letniego, Wigilia Bożego Narodzenia przypada na okres przesilenia zimowego. Kluczowe momenty roku naszych prapradziadów przetrwały do dziś w wielkich świątach Kościoła katolickiego. Chciałbym, żebyście za każdym razem, kiedy odwiedzicie jakąś świątynię, zapytali, jakie ruiny skrywa pod sobą, dlaczego wasi przodkowie wybrali ten właśnie obszar na miejsce mocy. To mi wystarczy.

Zapadał zmrok, postrzępione chmurki powoli znikwały im z oczu.

Sauł wyprostował się i spojrzął na zegarek. Kolejny raz uznał obóz za zakończony.

– Macie dwie godziny wolnego, widzimy się o jedenastej przy busiku. Możecie połączyć po barach. Bawcie się dobrze, zapracowaliście sobie na to.

Młodzi ludzie zaczęli wstawać, Annabel chwyciła delikatnie Unai za nadgarstek, dając mu znak, by został.

– Nie idź z nimi – szepnęła. – Zostań ze mną na plaży.

Unai w milczeniu pokiwał głową. Czekał na ten moment, czekał na niego od chwili, gdy wsiedli do pociągu dwadzieścia dni wcześniej.

– Powiem im tylko, że zostaję, czekaj na mnie koło skały – szepnął jej do ucha.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

J. zataczał się, bo miód pitny Saula smakował mu bardzo, za bardzo, a wiedział, że już w życiu nie spróbuje podobnego.

Lutxo i Asier rozmawiali, być może podekscytowani myślą, że poznają w barze jakąś dziewczynę, żeby uwieńczyć tę piękną noc.

– Słuchajcie – krzyknął Unai, który został kilkanaście metrów z tyłu. – Ja zostaję. Niedobrze mi po tym miodzie.

– Wsadź sobie palce do gardła – poradził J. tonem eksperta.

– Nie, nie – upierał się Unai. – Idę się przespać. Jeszcze musimy wrócić, wolałbym nie zarzygać samochodu.

– Jak chcesz – odpowiedzieli Asier i Lutxo.

Będzie więcej dla nas, pomyśleli zgodnie, zadowoleni z obrotu sprawy.

I trzech przyjaciół ruszyło do centrum Deby.

Unai odwrócił się na pięcie i poszedł z powrotem na plażę. Chociaż zrobiło się już całkiem ciemno, z daleka zaczął wypatrywać swojej nimfy.

Siedziała w umówionym miejscu, obok skały. Spieszył się tak, że prawie nie zwrócił uwagi na dziewczynkę.

– Cześć, Unai. Zostałeś, żeby ze mną porozmawiać? – zapytała z ulgą w głosie. –

Bardzo ci dziękuję, naprawdę, bardzo, bardzo. Jak chcesz, możemy posiedzieć na brzegu.

Unai zatrzymał się, nie odrywając wzroku od Annabel Lee.

– Rebeco, wiesz co... Może pogadamy jutro? Jutro porozmawiamy spokojnie, pożegnamy się, jak trzeba. A może kiedyś odwiedzę ciebie i twojego tatę, jak będę w Santander. Ale teraz się umówiłem, okej?

– Tak... Jasne.

I Rebeca odwróciła się, została na plaży sam na sam z Saulem, który podniósł kocioł z brązu i pokiwał palcem, żeby do niego przyszła.

Dziewczyna pogodziła się wreszcie z czarną rzeczywistością. Nikt nie może mnie ochronić. Nikt nie chce mnie ochronić. To się stanie, a ja jestem sama.

I kiedy patrzyła za Unaiem, który podążał zadowolony na swój własny rytuał przejścia, przypomniła sobie słowa, które ojciec wyszeptał jej na ucho, kiedy wszyscy odchodzili:

– Bogini na nas czeka.

Dopiero teraz zrozumiała, co miał na myśli.

Jej wyobraźnia oszalała.

Nad plażą w Debie z każdą minutą gęstniał mrok, a Rebeca wiedziała, że kiedy wszędzie księżyc, czeka ją to, co nieuniknione.

STANOWISKO ARCHEOLOGICZNE ATXA

9 stycznia 2017, poniedziałek

Tylko gdzie, do cholery, znajdowało się stanowisko Atxa? Spojrzałem na zegarek: dwadzieścia po jedenastej. Nie było czasu, żeby zebrać ekipę ani nawet skontaktować się z Esti i ustalić wspólną strategię. Musiałem jechać tam natychmiast, inaczej Golden zniknie.

Wbiegłem po schodach, przeskakując po dwa stopnie, zostawiłem telefony, ten zhakowany i nowy, wyjąłem z szafy kamizelkę kuloodporną i włożyłem na to puchówkę, żeby dobrze zasłonić szyję.

Jeśli Golden zamierzała strzelać do mnie z tasera jak do J. i Annabel, chciałem przynajmniej jej to utrudnić. Na głowę włożyłem czapkę. Prawdę mówiąc, wolałbym iść w kasku, miałem już dość urazów czaszki.

Wziąłem też spluwę, nie byłem zwolennikiem chodzenia z bronią, ale... No właśnie, chyba nie muszę się tłumaczyć.

Wypadłem na ulicę, przebiegłem z placu Virgen Blanca na plac Nueva w jakieś dwadzieścia sekund, wszedłem do Biura Informacji Turystycznej i zapytałem dziewczyny, która uśmiechała się do mnie zza lady:

- Wiesz, gdzie znajduje się stanowisko archeologiczne Atxa? To bardzo pilne.
- Zaraz sprawdzę – powiedziała.

Zrozumiałem, że tak jak ja nie ma pojęcia, gdzie to jest.

Podczas gdy szukała, przebiegłem w pamięci wszystkie znane mi stanowiska archeologiczne w Vitorii i całej prowincji.

Dziewczyna z krótkimi włosami, w okularach w ciemnych oprawkach, dość sprawnie znalazła odpowiedź. Dała mi znak, żebym popatrzył na monitor.

– To tutaj na północy, w tak zwanym Zielonym Pierścieniu, pomiędzy Yurre i Gobeo. Nie jest zbyt znane i rzadko ktokolwiek je odwiedza. Wydrukować ci plan, żebyś wiedział, jak dotrzeć?

- Wolałbym zobaczyć, jak wygląda – odparłem. – Możesz znaleźć mi jakieś zdjęcia?

Kiedy mi je pokazała, przełknąłem ślinę: kamienne płyty na ziemi odtwarzały zarys pomieszczeń czegoś, co było najpierw preromańską osadą, a potem dość ważnym rzymskim obozem wojskowym.

Przeraziły mnie dwie rzeczy: bliskość rzeki Zadorra i jej brzegi porośnięte mnóstwem drzew, głównie topoli i dębów.

Od razu przypomniało mi się Fontibre i sceneria, w jakiej sfotografowano martwe ciało Rebeki.

Dreszcz przeszedł mi po plecach pod ciężką kamizelką kuloodporną. Podziękowałem i wybiegłem po samochód. Spojrzałem na zegarek: zostało mi dziesięć minut. Nie zdążę.

Zaparkowałem naprędce obok rzędu domów przy alei Zadorra, przeszedłem przez ulicę i zagłębiłem się w zarośla. Drzewa pogubiły liście, a trawa nie wytrzymała nocnych mrozów, tej zimy szczególnie dotkliwych. Chociaż była już prawie dwunasta, anemiczne blade słońce najwyraźniej nie zamierzało dziś przygrzewać. Nad lodowatą ziemią wisiała mgła.

Zobaczyłem tablicę informacyjną z planem okolicy i ruszyłem przed siebie wąską ścieżką, na której tego dnia nie było nikogo. Wspiąłem się na niewielkie wzniesienie i ujrzałem tam kolejną tablicę z desek oznajmiającą, że znalazłem się właśnie na stanowisku archeologicznym Atxa.

Wyszedłem z labiryntu drzew. Przede mną znajdował się teren dawnych wykopalisk, który zarastał chwastami.

Był długi na jakieś trzy metry i szeroki na cztery. Zignorowałem ustawione wokół tablice i zacząłem przechadzać się po kamiennych płytach, wypatrując jakiegoś znaku. Nie miałem pojęcia, czego szukać.

I nagle usłyszałem warkot silnika.

Odwróciłem się natychmiast.

Mężczyzna na wysłużonym motorowerze jechał wąską ścieżką w moim kierunku.

Położyłem dłoń na pistolecie w mechanicznym odruchu, którego chyba nawet nie zarejestrowałem. Strugi potu płynęły mi po plecach.

Facet był roslym blondynem, a na rozklekotanym motorowerze widniało logo firmy kurierskiej. Za siodelkiem znajdował się czerwony bagażnik. Mężczyzna zatrzymał się i popatrzył na mnie niezbyt przyjaźnie.

– Unai López de Ayala? – zapiszczał ptasim głosem.

– A kto pyta?

– Nazywam się Joserra i jestem kurierem w firmie Poliki specjalizującej się

w szybkich doręczeniach. Jeśli jesteś Unai, mam dla ciebie przesyłkę. Powinienem być punkt dwunasta, ale nawet sobie nie wyobrażasz, ile mnie kosztowało znalezienie tego miejsca.

Spojrzałem na niego nieufnie. Bardzo nieufnie.

– Nigdy nie słyszałem tej nazwy. Co to w ogóle za firma?

Wszystko było jak z jakiegoś słabego dowcipu, *poliki* w euskera znaczy „powoli”. Kto nazwałby tak firmę specjalizującą się w szybkich doręczeniach?

– Jesteśmy nowi. Słuchaj, podpisz mi list przewozowy i spadam stąd.

– Pokaż mi najpierw tę przesyłkę, ale otwieraj bagażnik powoli – powiedziałem, wyjmując pistolet.

– Kurwa! Przyjechałem tylko doręczyć przesyłkę – wykrzyknął olbrzym na widok broni.

– Jestem z policji – wyjaśniłem i pokazałem blachę. – Zrób, co ci mówię... Powoli.

Jasnowłosy olbrzym podszedł do bagażnika i otworzył go. Wyjął dość grubą kopertę i wyciągnął do mnie rękę.

Spojrzałem na zegarek. Była dwunasta pięć. W przesyłce mogła być bomba. Tak, zmieściłaby się. Doskonale znałem procedury.

Powinienem był poprosić kuriera, żeby ostrożnie położył przesyłkę na ziemi, szybko się stamtąd ulotnić i wezwać kolegów z sekcji minersko-pirotechnicznej z ich zdalnie sterowanymi robotami.

Nie zrobiłem tego, cofnąłem się jakieś piętnaście metrów, cały czas mając kuriera na muszce. Wciąż mu nie ufałem.

– Otwórz przesyłkę i opisz mi jej zawartość, o ile jeszcze nie wiesz, co tam jest.

Kiedy się cofałem w kierunku krawędzi nasypu, który opadał stromo kilka metrów nad brzeg rzeki, zauważyłem ciemną plamę na czerwonej nogawce firmowego munduru. Gość zsiąkał się w gacie.

Rozdarł kopertę z zachłannością, z jaką dziecko otwiera prezent od Świętego Mikołaja.

– To tablet – krzyknął. – I ma różowy post-it z napisem: „To nie jest bomba”. Kurwa, mogli go przykleić na kopercie.

To prawda, przyznałem mu w myślach rację.

Podszedłem do kuriera i wziąłem tablet z jego rąk.

– Pierdolona robota – wymamrotał pod nosem. – Musisz mi podpisać ten papier.

Podpisałem i podsunąłem mu swój notatnik.

– Napisz tu swoje nazwisko i numer dowodu – powiedziałem trochę spokojniejszy. – I nikomu nic nie mów, ani w pracy, ani w domu. To śledztwo jest objęte tajemnicą.

– I tak nikt by mi nie uwierzył – odburknął wściekle.

Wsiadł czym prędzej na swój małe motorek i ruszył przed siebie, jakby uciekał przed wściekłym psem.

Kiedy zostałem sam, włączyłem tablet i zobaczyłem otwarte okienko czatu.

Cześć, Kraken! Przepraszam, że walnęłam cię w głowę.

Zaakceptowałem zaproszenie i odpisałem:

Silna jesteś jak na prawie siedemdziesięciolatkę.

Masz nauczkę. Nie lekceważ mnie.

Rozumiem. To się nie powtórzy – obiecałem. Sobie i jej.

I przepraszam, że w ten sposób, ale nie dam się zamknąć.

Czego chcesz? – uciałem.

Pomóc. Mimo wszystko.

W czym pomóc, Golden?

Musicie zatrzymać Rebecę. Ona nie przestanie. Zbyt dobrze ją znam.

Rebecę?

Czemu Golden mówiła o Rebecie, jakby żyła, skoro została zamordowana w 1993 roku?

46

AMSTERDAM

9 stycznia 2017, poniedziałek

Najlepiej zacznijmy od początku. I wytłumacz mi wszystko dokładnie, bo wiele mnie w tej historii niepokoi. Po pierwsze: byłaś ciotką Rebeki. To już zdążyliśmy odkryć sami.

Gratulacje – odpisała. – Macie dobrych ludzi w zespole, nie sądziłam, że do tego dojdziecie.

Punkt dla Milán, pomyślałem. Ale tego nie napisałem. W ostatnich dniach Golden mocno zawiodła moje zaufanie, nie chciałem dzielić się z nią niczym istotnym.

Teraz musisz mi wyjaśnić kilka kwestii – napisałem. – Co masz mi do powiedzenia o Rebecce i jej zniknięciu?

Znasz mojego szwagra Saula. Wszystko zaczyna się od niego i na nim się kończy.

Ty też będziesz mi wmawiać, że jest Sinobrodym?

Poczekaj, aż wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia, i sam osądzisz, Kraken.

W takim razie słucham. – Dałem za wygraną.

Moja siostra Asun zginęła w bardzo dziwnych okolicznościach. Zawsze byłam przekonana, że to Saúl wepchnął ją do zbiornika, chociaż wiem, że po tylu latach nie zdołacie tego udowodnić ani go zamknąć. Ale możemy uniknąć kolejnych zabójstw. To on jest wszystkiemu winien.

Czemu jest winien?

To długa historia.

Im szybciej zaczniesz...

No dobrze: Saúl i Sarah, jego starsza siostra. Zawsze było między nimi coś dziwnego. O tej rodzinie, mieszkającej od lat w Santillana del Mar, krążyły różne plotki... Szeptano o matce, bardzo chorowitej, przez ostatnie lata przykutej do łóżka. Ojciec był niezwykle surowy i religijny, jak z innej epoki. Spartańskie zwyczaje, biblijne imiona, w niedzielę msza w południe. Tak czy owak, szybko umarli. Rodzeństwo było ze sobą bardzo zżyte. Wszyscy ze zdumieniem patrzyli, jak Saúl zaczął podrywać moją siostrę. Była wtedy jeszcze taka młodziutka. Oczywiście spodobał się jej, większość dziewczyn za nim szalała. Wcześniej wzięli ślub. Rebeca urodziła się, kiedy mieli zaledwie po osiemnaście lat.

Na razie nadążam – napisałem.

Saúl odizolował moją siostrę od świata, potrafił omotać ludzi, a potem nimi manipulować. Krzywo patrzył na jej kontakty ze mną i z naszą rodziną. Wymówką była Rebeca, zawsze Rebeca. Często odwiedzałam Asun, zwykle w tajemnicy przed Saulem. Nigdy mnie nie lubił, nastawiał siostrę przeciwko mnie. Czasem myślałam, czyby nie przestać się wtrącać. Ale nie ufałam mu. Nie ufałam temu obrazowi idylli, który przed nami roztaczał.

Dlaczego, Golden?

Zaraz ci wyjaśnię. Po śmierci mojej siostry utrzymywałam kontakt z Rebecą, prawie zawsze za plecami Saula. Byłam jej matką chrzestną, bardzo mnie lubiła. Strasznie cierpiała, wszystkie swoje uczucia przelała na ojca. Ojciec też ją izolował, jak wcześniej matkę. Powstała między nimi chora relacja, w dodatku Sarah przejęła matczyne obowiązki i była bardzo surowa. Rebeca miała bujną wyobraźnię, ojciec podsycił ją, opowiadając jej o starożytnych historiach, rytuałach, miejscach magicznych. Rebeca uciekła w świat wyobraźni, w książki, które wybierał dla niej Saúl. Chciała sprostać jego wymaganiom. Kiedy zabrakło mojej siostry, ich relacja zrobiła się bardzo niezdrowa.

Dotąd zgadzałem się z Golden. Widziałem to na obozie: byli od siebie uzależnieni, ciągle potrzebowali wzajemnej uwagi.

Czasem mijały całe miesiące, a ja nie widywałam Rebeki. Po obozie w Kantabrii, na którym byłeś ty i ofiary, wreszcie się z nią spotkałam. Zmieniła się: była nieobecna, dorosła. Bardzo smutna. Zmartwiło mnie to. Któregoś dnia, w kwietniu 1993 roku, odwiedziłam ją. Saula nie było, miał wykłady na uczelni. Zastałam ją na pakowaniu ubrań do małego plecaka. Wyglądała na chorą i wycieńczoną. Miała duży brzuch doskonale widoczny pod swetrem. Oniemiałam.

Była w ciąży?

Kilka dni wcześniej poroniła, w domu, byli przy niej tylko Saúl i Sarah. Dziecko umarło, to był chłopiec, jeszcze niedojrzały, tak przynajmniej powiedzieli jej ojciec i ciotka. Nie zdziwiło mnie to. Rebeca miała wówczas czternaście lat i była bardzo drobna.

Kto był ojcem?

Saúl.

Saúl?!

Tak. Saúl lubił małe dziewczynki. W naszej miejscowości zawsze krążyły o nim paskudne plotki.

Co rozumiesz przez paskudne plotki?

Że chodzili z siostrą za rękę, że się całowali, że leżeli razem na sianie, dotykali się, od małego. Wiesz, każda mała miejscowość ma takie historie, opowieści o kazirodztwie. Ale starsza siostra dorosła i zobojętniała Saulowi, przestał się nią interesować, kiedy stała się dojrzałą kobietą.

Poprosiłem ją, żeby nie przerywała opowieści.

Dlatego tak wcześnie ożenił się z moją siostrą. I dlatego się jej pozbył, kiedy skończyła trzydzieści lat i zmieniła się w dojrzałą kobietę. Siostra opowiadała mi, że mijały czasem całe miesiące, a on w ogóle nie interesował się seksem. Kiedy Rebeca skończyła dwanaście lat, moja siostra stała się w tym domu niepotrzebna.

Rebeca opowiedziała ci, że ojciec jej to zrobił?

Tak, Unai. Beca uwielbiała ojca. Wyobraź sobie, jaki to był dla niej szok. Wyobraź sobie, jaki to musiał być szok dla trzynastoletniego umysłu. Kochasz ojca, wręcz go adorujesz, a on cię wykorzystuje.

Co zrobiłaś, kiedy ci o tym opowiedziała?

Zabrałam ją stamtąd. Uznałam, że ucieczka będzie najlepszym rozwiązaniem.

Upozorowałaś zaginięcie?

Upozorowałam zabójstwo. Chciałam zrobić Saula, żeby zapłacił za to, czego się dopuścił. Przekonałam Rebecę, żeby uciekła ze mną, obiecałam, że dostanie nową tożsamość i nowy paszport, że wyjedziemy z kraju i nigdy więcej nie zobaczy ojca. Ale najpierw musiałyśmy przekonać samego Saula, że Beca nie żyje.

To znaczy, że to ty wymyśliłaś całą tę celtycką ceremonię w Fontibre i wysłałaś zdjęcia do gazety?

Tak, to ja zrobiłam zdjęcia i wysłałam je do gazety. Myślałam, że to wystarczy, żeby zrobić Saula. Nigdy jednak nie postawiono mu zarzutów, nawet go nie podejrzewano. Był zaklinaczem węży, urodzonym manipulatorem. Ale odtworzenie celtyckiego rytuału – z wieszaniem i głową zanurzoną w wodzie – to pomysł Beki. Znała się na tym, ojciec całe życie wbijał jej do głowy historie związane z Celtami. Sądziłam, że taki modus operandi wzbudzi podejrzenia. Myliłam się.

Wiesz, że dopuściłaś się upozorowania przestępstwa? I że jest to czyn zabroniony, który podlega karze?

Dlatego piszę do ciebie, używając ukradzionej karty SIM, która donikąd was nie doprowadzi.

Liczyłem się z tym, pomyślałem, ale tego nie napisałem.

Zabrałaś ją do Amsterdamu?

No, no, widzę, że zaszedłeś dalej, niż sądziłam. Moje gratulacje, Kraken.

Zignorowałem komplement, nie zasłużyłem na niego.

I co się tam stało? Nikogo nie zastanowiło, że zjawiasz się nagle w obcym kraju z czternastoletnim dzieckiem?

Nie będę ci zdradzać szczegółów dotyczących znajomości z szychami czarnego rynku. Kupiliśmy sobie nową tożsamość, według dokumentów Rebeca była moją adoptowaną córką. Zaczęłam pracować dla Cisco pod nowym nazwiskiem. Przeżyliśmy kilka szczęśliwych lat, spokojnych, nie myśląc o przeszłości.

A Saúl nie próbował się z tobą kontaktować, kiedy jego córka zniknęła? Policja cię nie przesłuchała?

Nie, już mówiłam, że w ogóle nie utrzymywałam z Saulem kontaktów. Prowadziłam wówczas tułaczę życie, nie miałam stałego adresu. A policja, cóż, pewnie nie znaleźli powodów, żeby mnie przesłuchiwać, byłam tylko ciotką, która nie utrzymywała kontaktu z ojcem.

I co było dalej?

Rebeca dobrze się uczyła. Trochę izolowała się od kolegów. Nie dziwiło mnie to zbytnio ze względu na jej przeszłość. Była skupiona. Moja praca wymagała częstych podróży po Europie. Paryż, Mediolan, Genewa. Kochałam ją jak córkę, której nigdy nie miałam. Staralam się ją wychować najlepiej, jak potrafiłam. Nie wiem, gdzie popełniłam błąd.

Dlaczego tak mówisz?

Nie było mnie przy niej, kiedy zaczęła schodzić na złą drogę.

Gdzie ona teraz jest?

Próbuję to ustalić, odkąd rozpoznałam jej modus operandi. Tego samego dnia, kiedy zobaczyłam rytuały celtyckiej potrójnej śmierci na twoim padniętym telefonie. Prześledziłam wszystkie zakupy paralizatorów. Żadna transakcja nie doprowadziła mnie do niej. Ale wiem, że to ona za tym stoi. To jej podpis. Niestety przy mnie nauczyła się wszystkiego o cyberbezpieczeństwie.

Chciałaś powiedzieć o szlachetnej sztuce hakerstwa.

Jak zwał, tak zwał, ale powinieneś potraktować poważnie moje słowa.

Beca czyha na ciebie.

Jestem w niebezpieczeństwie?

Jesteście w niebezpieczeństwie wszyscy, których uzna za niegodnych bycia rodzicami. Przepraszam, że mieszam się w twoje sprawy intymne, ale czytałam wiele twoich rozmów z Albą Díaz de Salvatierrą. Jeśli dziecko, którego oczekuje twoja szefowa, jest twoje, grozi ci niebezpieczeństwo. Jeśli nie, to jesteś bezpieczny. Powiedz publicznie, że nie jesteś ojcem, a ocalisz skórę. Dziecku przyda się żywy ojciec. A nie dwóch domniemyanych, żeby zapalać im znicze na cmentarzu.

O tym zadecyduję sam, pomyślałem.

A co z Asierem? Jest bezpieczny? – zapytałem, głównie po to, żeby zmienić temat.

Jeśli Asier wciąż jeszcze żyje, to znaczy, że jest bezpieczny. Myślę, że Rebeca wyciągnęła od Annabel, kto jest ojcem, dlatego zginął J. A Lutxo też jest bezpieczny, dopóki nie będzie spodziewać się dziecka.

Cudowny środek antykoncepcyjny zwany Rebeca, pomyślałem.

Piszę, żeby cię ostrzec, Unai. Muszę ci opowiedzieć, jaka była Rebeca.

Słucham.

Odziedziczyła po ojcu urok osobisty i skłonność do manipulacji. Nie robiła nic bez powodu, często kierowały nią ukryte pobudki. Szybko zauważyłam też, że była okropnie rozpieszczona. Saúl spełniał wszystkie jej zachcianki, ja nie mogłam i nie chciałam sobie na to pozwolić, zwłaszcza w społeczeństwie tak rygorystycznym jak holenderskie. Rebeca uczyła się historii, zwiedzała muzea. Któregoś dnia zobaczyła plakat wystawy czasowej w Muzeum Historii Amsterdamu. Przyszła do domu zachwycona, bo przeczytała, że sprowadzą kocioł z Gundestrup.

Znam ten eksponat.

Powiedziała, że chce zostać wolontariuszką w muzeum. Niestety było już po procesie selekcyjnym. Potrąciła na rowerze jedną z kandydatek, dziewczyna złamała kostkę. Tego samego dnia Rebeca pojawiła się w muzeum, złożyła sfałszowane CV i została przyjęta. Po dwóch tygodniach

ukradła kociół – najważniejszy eksponat wystawy. Wszystko po to, żeby odprawić ten cholerny rytuał ze zwierzętami naszych sąsiadów. Opowiedziała mi o tym jak o jakiejś niewinnej psocie. Myślała chyba, że będę z niej dumna, że pochwalę ją za odwagę. Potem zwróciła kociół, porzuciła go niedaleko muzeum.

Jak mogłaś jej na to pozwolić, Golden? Nie należysz przecież do osób, które popierałyby takie zachowania.

Bardzo się na nią zezłościłam. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się wściekłam. Beca tego nie rozumiała. Dla niej życie tych psów i kotów nie miało żadnej wartości, była dumna ze swojego wyczynu. Wyrzuciłam ją z domu.

Co?!

Była pełnoletnia, zapewniłam jej wykształcenie, nową tożsamość. Przez lata, kiedy się nią opiekowałam, dotrzymała warunku, który jej postawiłam: absolutne zerwanie stosunków z ojcem. Saúl był niebezpieczny, a jego siostra miała liczne znajomości wśród wysoko postawionych osób. Mogłam trafić do więzienia za porwanie małoletniej. Rebeca miała żal do wszystkich uczestników obozu w Cabezón de la Sal, że pozwolili na to, co się stało. Dopiero kiedy przyniosłeś mi kartę SIM swojego telefonu, połączyłam fakty i zrozumiałam, że byłeś jednym z nich.

Więc nie wiesz o niej nic od...

Od 1998 roku. Nigdy sobie tego nie wybaczyłam. Powinnam była zaprowadzić ją do psychologa, zapisać na terapię, a ja wyrzuciłam ją z domu. Bądźmy realistami, Unai. Myślisz, że się zmieniła? Nie, była sama, znienawidziła kolejną osobę – oprócz waszej piątki z obozu. Byłam pewna, że przyjdzie mnie zabić, kiedy dowiedziałam się z twojej komórki, że zaatakowała. Ona wyrównuje rachunki z przeszłością.

Ale w każdej historii mordercy jest jakiś katalizator, traumatyczne wydarzenie, punkt, z którego nie ma już odwrotu, coś, co pcha zabójcę do popełnienia zbrodni – napisałem. – Jak sądzisz, co to mogło być po tylu latach?

Mam pewną teorię: młodzi samobójcy.

Mówisz o Gimenie Tovar?

Tak, dziewczynie adoptowanej przez Saula po zaginięciu Rebeki. Sądzę, że Rebeca usłyszała o tym i pomyślała, że dziewczyna zabiła się, bo Saúl robił jej dokładnie to samo. Że ją też wykorzystywał. To chyba był punkt zwrotny. Wtedy Rebeca zaczęła nawiązywać z wami kontakt, jeśli nie zrobiła tego wcześniej.

Pomyślałem o pierwszym razie, kiedy miałem zostać ojcem. Jeśli teoria Golden była prawdziwa, Rebeca już wtedy nas monitorowała. Być może spróbowała by mnie zabić, gdyby ciąża Pauli potrwała dłużej. Odsunąłem od siebie tę myśl, musiałem skupić się na terażniejszości.

To stąd twoje wizyty na forach młodych samobójców?

Nie trafiłam jeszcze na ślad Gimeny Tovar, ale mam nadzieję go odnaleźć. Chcę poznać motyw jej decyzji. Ci młodzi ludzie, ukrywając się pod nickami, są zwykle przemoczą. Na forach, które odwiedzałam ostatnio, widziałam wszystko: dzieciaki chcące się zabić po bullingu w szkole, dziewczyny z anoreksją albo po zawodach miłosnych... Ale też wykorzystywane seksualnie, jest wiele przypadków molestowania niezauważonych przez otoczenie.

Ale wracając do Rebeki: czemu chce się zemścić na nas, a nie na Saulu? – zapytałem.

Nie byłeś na kursie pracy z ofiarami przemocy domowej, Kraken? Nie ma ofiary, która nie czułaby się winna, „Nie powinnam była się z nim spotykać”, „nie powinienem był iść z nim do domu”, „Nie powinnam była całować ojca”. „Nie powinnam była”. Tak się tłumaczyła za każdym razem, kiedy mówiłam o nim coś złego. Stawała w jego obronie. Nienawidziła go, ale to jej ojciec. Beca ma kompleks Elektry i doskonale o tym wie, co sprawia, że czuje się jeszcze bardziej winna. Skierowała swoją nienawiść przeciwko wam. Saulowi nigdy nie robi krzywdy, za bardzo go kocha. W sposób chorobliwy nadal jest w nim zadurzona, uważa, że jest najprzystojniejszy, najmądrzejszy, najlepszy. Wciąż jest pod wpływem jego czaru.

Przekonywało mnie to, co mówi. Jeśli Rebeca rzeczywiście była morderczynią, zarówno modus operandi, jak i profil zabójcy pasowały do śmierci J. i Annabel Lee.

Daj mi coś, żebyś ją złapał, Golden. Bo na razie nie mam nic, co mógłbym przedstawić szefom. Powiedz mi: kim jest teraz Rebeca?

Jeszcze tego nie wiem, nie mam natomiast wątpliwości, że cała wasza czwórka z obozu już ją poznała.

Od czego mam zacząć?

Od jakiegoś szczegółu, który ją zdemaskuje. Na przykład imię. Rebeca nigdy nie robi nic przypadkiem. Ten makiaweliczny rys odziedziczyła po ojcu. Pamiętaj, jest manipulatką, zmienia się niczym kameleon... Być może poznasz wiele różnych Rebec, dopóki nie ułożysz układanki do końca.

Wciąż nie dowiedziałem się od ciebie niczego konkretnego. To tylko historia, której nie sposób udowodnić, w dodatku opowiadana przez osobę ściganą listem gończym. Na komendzie mi nie uwierzą. Nie uwierzą mi, Golden, a sędzia w ogóle nie weźmie tego pod uwagę.

Nic więcej nie mam, Kraken. I tak ryzykuję zbyt wiele, a wiesz, że nie należę do sióstr miłosierdzia. Od tej pory jesteś sam. Nie licz na mnie. Chcę dożyć spokojnie swoich dni, o ile Rebeca nie zjawi się, żeby mnie zabić. Żegnaj, Kraken. Znikam na zawsze.

Zaczekaj – napisałem szybko. – Jeśli będę czegoś od ciebie potrzebować, wywieszę na oknie balkonowym czarny krzyż, dobrze?

Sekundę później ekran zrobił się ciemny. Nie byłem pewien, czy kiedyś jeszcze zobaczę nieuchwytną Golden Girl.

Przeszedłem z powrotem przez park, wsiadłem do samochodu i ruszyłem w drogę do domu. W moim mózgu się gotowało. Więc czekała mnie konfrontacja z Rebecą.

Jeśli to ja jestem ojcem dziecka, którego spodziewa się Alba, zabije mnie. Jeśli jest nim Nancho, przeżyję.

Rozrachunek z przeszłością. W który wplątana została moja córka.

Zamknąłem za sobą drzwi do domu, włączyłem nową komórkę i zadzwoniłem do Tasia do Los Angeles.

– Jak tam twój serial? – zapytałem.

– Przyzwyczajam się do życia scenarzysty i zwariowanego rytmu *writer's room*. Czy ty wiesz, która jest godzina w Kalifornii?

Zignorowałem jego komentarz, chociaż policzyłem, że musiała być jakaś piąta nad

ranem.

- Powiedz mi, skończyłeś już pisać scenariusz do *Ciszy białego miasta*?
- Jeszcze nie skończyłem, wciąż nad nim siedzę. Ale czemu pytasz, Kraken? – W jego głosie wyczułem ciekawość. Chyba się rozbudził.
- Opowiem ci coś, o czym nie wiesz, bo chcę, żebyś umieścił to w scenariuszu.
- Jeśli to wzbogaci fabułę, nie ma sprawy. Zamieniam się w słuch.

47

DEBA

18 lipca 1992, sobota

To stało się spokojnej nocy, kiedy toń morza zalewał blask księżycy, na plaży, która zawdzięcza swą nazwę celtyckiej bogini.

Dla Rebeki wszystko działo się jak w legendzie: fala mleka, fala łez – jej własnych łez – i fala krwi.

– Tego chciałaś? – szepnął jej na ucho Saúl tonem pełnym nienawiści, który parzył jak lawa. – O tym właśnie śniłaś?

Rebeca nie mogła wydusić z siebie słowa.

– Nie możesz dłużej tego robić, córeczko. Nie możesz opowiadać wszystkim tego, co opowiadasz. Zniszczysz naszą rodzinę, zniszczysz mnie. Nie chcę... nie chcę znów zamykać cię w szpitalu. Musisz się wyleczyć, ale spróbujemy wyleczyć cię w domu. Obiecuj mi, że spróbujesz.

Rebeca przytaknęła na tyle gorliwie, że przekonała Saula.

Wstał i spojrzął na zegarek.

Ciemny zakątek plaży był zupełnie pusty.

– Wejdz do wody i umyj się trochę – polecił córce. – Trzy fale wystarczą.

Rebeca znienawidziła go za to.

Nie tylko sprawił jej ból, ale też nadużył zaufania, jakim go obdarzyła.

Nie rozumiała cynizmu Sinobrodego, który kpił sobie z rytuałów, nie rozumiała, jak mógł zniszczyć to, co do tej pory ich łączyło. Rebeca przysięgła sobie, że nigdy nie będzie studiować historii. Nigdy. Znenawidzi antropologię, dawne mity i legendy, Celtów, przeszłość. Przeszłość. Tuż po wszystkim Rebeca pojęła, że przez całe życie przyjdzie jej nienawidzić własną przeszłość.

Pierwszy raz Unaia to zupełnie inna historia.

Annabel czekała na niego w odległej części plaży. Była tylko maleńkim cieniem i nawet blask księżycy odbity w wodzie nie wydobywał z ciemności jej rysów.

Unai nie chciał wcielić się w rolę niedoświadczonego prawiczka. Pozbierał na brzegu kilka muszli i gładził nimi odsłonięte fragmenty jej ciała. Annabel zaskoczyła jego inicjatywa, pomrukiwała z zadowolenia. Unai chwycił ją jedną ręką za nadgarstki. Nie dopuści do tego, by kontrolowała sytuację jak z J. czy Asierem, z nim będzie inaczej! Postanowił zerwać z niej tę maskę obojętności, sprawdzić, czy pod lśniącą skórą bije żywe serce, czy tkwi tam tylko zimny głaz.

A gdy ona, płonąca z niecierpliwości, spróbowała zderzyć z niego ubranie, powstrzymał ją.

– Bez rąk, Annabel.

W rozszerzonych źrenicach dziewczyny odmalowało się zdumienie.

– Dobrze – zgodziła się. – Nie będzie tak doskonale...

– Zapomnij o doskonałości.

I Annabel zaczęła ściągać z niego zębami koszulkę z Nirvaną. Po kilku nieudanych próbach roześmiali się. Ale łaskoczący dotyk jej ust, śliny, zębów na wysokości pępka podniecił go na maksa. Ze spodniami była trudna sprawa, bo rozporek prawie pękał w szwach.

Potem przyszła kolej na Unaia. Zębami zdjął ramiączka jej sukienki i przez długą chwilę skupił się na szyi, piersiach i pępku. Wytarziali się w piasku, a kiedy w końcu w nią wszedł, zobaczył w niej nastolatkę, której było po prostu dobrze, tak samo jak jemu. I tego właśnie chciał, tego właśnie chciał.

Po wszystkim Unai poczuł się senny. Zdrzemnąłby się trochę na plaży, ale Annabel miała inne plany. Nerwowo spojrziała na zegarek.

– Mamy półtorej godziny, zanim tamci wrócą z wycieczki. Chodźmy do busika. Saúl dał mi klucze. Zróbmy to jeszcze raz, Unai. Tam będzie nam wygodniej, nie będzie tego piachu.

Co miał powiedzieć? Otrzepali się z piasku wśród żartów i śmiechów, a potem niczym dwa cienie ruszyli do stojącego na parkingu busika.

Annabel otworzyła tylne drzwi, weszli po stromych schodkach. Panujący w środku półmrok wydał im się nader zachęcający, wystarczyło, że spojrzeli sobie w oczy. W pośpiechu zdjęli ubrania i powtórzyli wszystko od nowa, tym razem między siedzeniami busika.

Unai nie wiedział tylko, że Annabel Lee okłamała go co do godziny i że zostawiła otwarte drzwi. Uświadomił to sobie, dopiero kiedy J., Lutxo i Asier, trochę podpici, wpakowali się do wozu i zastali ich w samym środku zabawy.

PLAŻA ARNÍA

10 stycznia 2017, wtorek

– Powinieneś mnie uprzedzić, to było szaleństwo – powtarzała Estíbaliz za kierownicą.

Znów jechaliśmy do Santander.

Była wściekła. I obrażona.

– Alba już mnie zdrowo opieprzyła. Możemy zmienić temat?

– Nie, nie możemy. A gdyby to była pułapka? Czy mieści się to w twoim pustym łbie, że mógłbyś teraz dyndać głową w dół na jakiejś sośnie?

– Topoli.

– Słucham?

– Drzewa, które rosną na brzegu Zadorry, to w większości topole, chociaż znajdzie się też kilka dębów.

– Nie żartuj sobie z tego, Kraken. Mam wielką ochotę wykluczyć cię ze śledztwa.

– Golden postawiła swoje warunki, nie mielibyśmy... nie mielibyśmy nic, gdybym się nie zgodził.

– A co niby mamy? No co? Ani jednego solidnego dowodu, żeby przedstawić sędziemu. To tylko jeszcze jedna hipoteza, którą musimy sprawdzić, i zajmie nam to trochę czasu, być może odciągając od ważniejszych spraw. Utknęliśmy w miejscu. Teraz lepiej rozumiem Albę, kiedy nas przyciska. Nie mam nic. Nie mamy nic – poprawiła się szybko. – Jakies kotły, które pojawiają się i znikają, wisielcy bez żadnych śladów biologicznych, w sceneriach, które skłaniają do snucia tajemniczych teorii. Ustaliliśmy do tej pory tylko jedno: że Annabel Lee i J. spodziewali się dziecka.

Postanowiłem nie drażnić jej przez resztę drogi. Estíbaliz żyła przez kilka ostatnich tygodni pod ogromną presją i robiła się bardzo nerwowa, a ja miałem już za sobą potężną kłótnię rodzinną, kiedy opowiedziałem Albie o tym, co zaszło w Atxy.

Miałem wrażenie, że żadna z nich nie doceniała nowych informacji, które

uzyskaliśmy dzięki Golden, bardziej obchodziło je moje bezpieczeństwo. Byłem sfrustrowany. I to potężnie. Chciałem też zobaczyć wyraz twarzy Saula, kiedy dowie się od nas, że Rebeca żyje.

Znów znaleźliśmy się na Uniwersytecie Kantabryjskim i zapytaliśmy o Saula Tovarę. Wskazano nam salę. Do końca zajęć zostało jeszcze dziesięć minut, więc weszliśmy do środka i wysłuchaliśmy końcówki wykładu.

Mówił o ofiarach składanych przez ludy Kantabrii. Ciekawy temat, bardzo ciekawy. Przyjrzałem się jego zauroczonym słuchaczom. Musiałem przyznać w duchu, że mają dobry gust: Saúl był niezrównanym mówcą. Kiedy wykładał, wydawał się młodszy. Panował nad swoją publicznością, jak aktor panuje nad widownią. Miał coś, co nazywa się prezencją sceniczną.

W pewnej chwili spojrział w głąb sali i zobaczył, że stoimy oparci o ścianę. Po jego twarzy przebiegł grymas, ale chyba nikt tego nie zauważył.

– To wszystko na dziś. Jutro dowiecie się więcej – uciał nagle, nie wyjaśniając, co właściwie robili Celtowie z kozami, które składali w ofierze.

Studentki wymieniły zdezorientowane spojrzenia, niektóre jeszcze podchodziły do niego, żeby umówić się na konsultacje lub zadać jakieś pytanie. W końcu wszystkie spakowały swoje rzeczy i wyszły z sali.

Saúl wyłączył rzutnik i zaczął powoli zbierać swoje papiery. Zaczekaliśmy, aż zostaniemy sami. Potem podeszliśmy do niego.

– Znów to samo. A przecież was prosiłem. Nie życzę sobie, żebyście mnie tu nachodzili. Oskarżę was o nękanie – wymamrotał wściekły, nawet na nas nie patrząc.

Schował pilota od rzutnika do szuflady i zamknął ją na klucz.

– Saulu, mamy dla ciebie wieści związane z Rebecą. To bardzo ważne – powiedziała Estíbaliz, bez strachu spoglądając w oczy tego zaklinacza węży.

Z jej poważnej miny Saúl wyczytał, że to naprawdę ważne wiadomości.

– Wiadomości o Rebecie? Wreszcie! – zawołał, a w tonie jego głosu mieszały się ulga i zdenerwowanie.

– Tak – potwierdziłem.

Saúl westchnął ciężko, wbił wzrok w podłogę i wziął się pod boki, jakby potrzebował oparcia.

– W takim razie lepiej będzie, jeśli znajdziemy jakieś bardziej dyskretne miejsce. Może u mnie w domu? Pojedziecie za mną swoim wozem, wskażę wam drogę.

Wymieniliśmy z Esti spojrzenia. Trwało to ułamek sekundy. Tak, to pewnie podstęp. Niestety znałem dobrze to miejsce. Zapisano się wśród moich najczarniejszych

wspomnień.

– Dobrze, ja pojedę z tobą, a inspektor Gauna za nami – oświadczyłem tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Kiedy wychodziliśmy z sali, Esti spojrzała na mnie z nieskrywaną wściekłością, a ja, kiedy znaleźliśmy się za plecami Saula, pokazałem jej dyskretnie, że mam ze sobą broń.

Na wszelki wypadek.

Droga do willi Saula Tovara na Costa Quebrada zajęła nam niecałe dwadzieścia minut. Saúl mieszkał w niewielkiej miejscowości, którą tworzyły budynki rozproszone nad zatoczką Arnía.

Przez niemal dwadzieścia pięć lat nic się tu nie zmieniło.

Dom Saula był dla niego o wiele za duży. Widać było, że mieszka w nim tylko mężczyzna. Nie było śladu po obecności córki, z którą przecież dzielił go jeszcze kilka miesięcy temu.

W ogromnym salonie, a raczej bibliotece, piętrzyły się książki. Niektóre poukładane były w stosy na podłodze. Miałem wrażenie, jakbym spacerował po jego mózgu. Saúl nie był zadowolony, że tak uważnie przyglądamy się pomieszczeniu.

Nad gzymsem kominka wisiała reprodukcja steli z kantabryjskim labarum i niewielka kolekcja sztyletów i grotów lanc, może oryginalna kantabryjska broń licząca ponad dwa tysiące lat, a może skromne kopie tego, co znalazł, pracując przez całe życie na wykopaliskach... Nie miałem pojęcia, nie byłem ekspertem.

– Porozmawiajmy na tarasie, morska bryza zawsze koi nerwy – zaproponował.

Poprowadził nas z Esti na taras na tyłach domu, skąd rozciągał się widok na niewielką plażę Arnía. Widać było sterczące przy brzegu wysepki Urros de Liencres i oddaloną trochę bardziej wyspę Castro. Moja partnerka była zauroczona surowym krajobrazem i stromymi klifami, ale ja poznałem kiedyś furię tego morza i wciąż jeszcze nie pogodziłem się z przeszłością. Wzrastające napięcie spowodowane powrotem w to przeklęte miejsce zaczęło się objawiać ćmiącym bólem wokół blizny, którą kula pozostawiła w mojej czaszce.

A może to była sprawka wilgoci? Po prostu było mi nieprzyjemnie, to wszystko.

Usiedliśmy na drewnianych fotelach, trochę za dużych dla Esti, i czekaliśmy na pytanie, czy się czegoś napijemy, które nigdy nie padło.

– Powiedźcie mi wreszcie, znaleźliście ciało Beki? – zapytał, rozcierając sobie dłonie w nerwowym geście, nad którym chyba do końca nie panował.

– Nie, Saulu. Nie znaleźliśmy ciała Rebeki i być może nigdy go nie znajdziemy, zważywszy na zwrot w śledztwie w sprawie jej zaginięcia. Otóż bardzo bliska jej osoba

twierdzi, że Rebeca żyje.

Wielkie dłonie Saula, zawsze tak ekspresyjne, zamarły w bezruchu.

– Jak to? Jak to żyje?

Saúl opadł na oparcie fotela i uśmiechnął się. Był to najbardziej autentyczny i pełen ulgi uśmiech, jaki widziałem od lat.

– Ale... Co ze zdjęciami? Przecież widzieliśmy jej ciało, nie pamiętacie? To na pewno była moja córka, mógłbym przysiąc, że nie był to nikt inny. To była ona. I nie żyła.

– Według zeznań naszego świadka Rebeca uciekła z domu i upozorowała własną śmierć, żeby nikt jej nie szukał. Stąd te zdjęcia, na których udawała martwą.

– Więc to prawda... Ona żyje. Wróci do mnie, a ja tak dawno temu straciłem wiarę w waszą skuteczność. Nie macie pojęcia, ile razy śniłem, że słyszę te słowa, ile razy marzyłem o tej rozmowie... – Jego głos stał się ochrypły, drżał.

Zasłonił sobie oczy dłońmi, wstydliwie ocierając łzy. Był ucieleśnieniem osoby szczęśliwej, ojcem, który doznaje największej ulgi w życiu, jest niemal świadkiem cudu.

Wstał i nieco niezdarnie podszedł, żeby mnie przytulić. Wstałem również i pozwoliłem mu na to.

Był to uścisk serdeczny, nieudawany, wyrażający autentyczną wdzięczność. Nieczęsto zdarzało się to w naszej pracy. Nie wiedziałem, jak się zachować w tej sytuacji, chociaż doskonale znałem procedury przekazywania dobrych i złych wiadomości. W tej chwili wszystkie wydawały mi się bezużyteczne.

– Ale... Gdzie ona jest? Czy mogę się z nią zobaczyć? Porozmawiać? Tyle razy chciałem jej powiedzieć...

– Saulu, chyba nie wyjaśniliśmy tego dokładnie – przerwała mu Estíbaliz grobowym tonem. – Lepiej będzie, jeśli usiądziesz.

– Proszę was, nie igrajcie z moimi uczuciami. Naprawdę wycierpiałem już dosyć.

– Jak już ci mówiliśmy, rozmawialiśmy z pewną osobą, której wersję wydarzeń musimy jeszcze potwierdzić. Nie mamy dowodów na to, że to, co mówi, jest prawdą, ale uznaliśmy, że powinienś dowiedzieć się pierwszy. Jako że znasz kobietę, która złożyła te zeznania, należy do twojej rodziny, chcielibyśmy usłyszeć, co o niej sądzisz, żeby zdecydować, czy możemy jej ufać, czy nie.

– Rodziny? Kobieta? To nie moja siostra, prawda? Sarah? Nie, Sarah nie mogłaby...

– Nie, nie chodzi o Sarah – przerwała Esti.

Szkoda. Wolałbym usłyszeć, jak zakończy to zdanie.

– Więc kto w takim razie? Nie mam zbyt licznej rodziny.

– Twoja szwagierka Lourdes Pereda.

– Co? A wy uwierzyliście tej oszustce? – krzyknął.

Jego policzki zrobiły się czerwone, twarz stężała.

Spodziewałem się podobnej reakcji. Golden też nie bardzo szanowała Saula, zważywszy na to, co mu zarzucała.

– Twoja szwagierka zeznała, że widziała twoją córkę w tym domu w kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, w dniu jej zniknięcia. Powiedziała, że zastała dziewczynkę na pakowaniu plecaka. Że Rebeca niedawno urodziła, straciła dziecko i postanowiła uciec. Twoja córka i szwagierka ponoć upozorowały śmierć Rebeki, wysłały zdjęcia do gazety, żebyście uznali, że nie żyje, i jej nie szukali.

– I co zrobiła z Rebecą? Dokąd ją zabrała? Nie da się ukryć czternastolatki tak, żeby nikt nie zauważył.

– Wyjaśniła nam, że wyrobiła im na czarnym rynku fałszywe dokumenty. Przez wiele lat mieszkały w Amsterdamie, gdzie twoja szwagierka pracowała w firmie Cisco. Twierdzi, że sfalszowała dokumenty tak, żeby figurowała w nich jako jej adoptowana córka.

– Amsterdam... Ja opłakiwałem ją w Fontibre, a wy twierdzicie, że Rebeca mieszkała w Amsterdamie.

– Czy to... możliwe? – zapytałem, chociaż ciężko było mi mówić. Sam byłem poruszony.

– Trudno mi uwierzyć, że Rebeca zrezygnowałaby z kontaktów ze mną.

Nie wiedziałem, jak mam interpretować to zdanie.

– Nie rozumiem – powiedziała Esti.

– Nie chcę teraz o tym mówić. Musicie wiedzieć, że wasza informatorka, czyli moja szwagierka, była w swojej rodzinie czarną owcą. Moja żona nie chciała się z nią kontaktować. Lourdes zawsze była manipulatorką i oszustką. Nie wiem, czy wylądowała w końcu w więzieniu, od wielu lat nie mam pojęcia, co się z nią dzieje, ale powszechnie wiadomo, że wpakowała się w jakieś przekręty z fałszowaniem pieniędzy, nie miała stałego adresu, zawsze uciekała przed wymiarem sprawiedliwości. Żona bardzo to przeżywała, teściowie przypłacili zdrowiem jej wybryki. Nie wiem, sam nie wiem, czy mogę uwierzyć w to, co wam powiedziała.

– To ciekawe, bo twoja szwagierka twierdzi, że po ślubie to ty odizolowałeś jej siostrę od rodziny.

– Bardzo się z Asun kochaliśmy. Wara wam od tego – uciał stanowczo.

– Nie nam o tym sądzić. Chcieliśmy tylko powiadomić cię, co nam powiedziała, i wysłuchać twojej opinii – tłumaczyła cierpliwie Estíbaliz. – Twierdzi też, że śmierć twojej żony nie była wcale wypadkiem.

– To już szczyt wszystkiego! I komu uwierzycie, przestępczyni, która przyznała, że porwała i ukrywała przez lata małą dziewczynkę, zmieniając jej tożsamość, czy własnym kolegom z komendy w Santander? To oni dokonali oględzin zbiornika, do którego wpadła Asun, i nie znaleźli nic, co wskazywałoby na przestępstwo.

– Wierzymy tobie, Saulu – wtrąciłem. Nie mogliśmy dopuścić do tego, żeby stracił do nas zaufanie, gdyż najtrudniejszą część rozmowy mieliśmy dopiero przed sobą. – Nie uwierzyliśmy w jej sugestie.

Moje słowa chyba go uspokoiły.

– Ale musimy porozmawiać z tobą na bardzo delikatny temat. I chodzi o to, co powiedziałaś wcześniej: że nie wyobrażasz sobie, że twoja córka nie chciałaby się z tobą kontaktować. – Musiałem zrobić przerwę, żeby mówić dalej. – Twoja szwagierka twierdzi, że wykorzystywałaś Rebecę.

Sauł przeciągnął ręką po włosach, wpatrzony w Morze Kantabryjskie. Milczał długą chwilę.

– Znowu to samo. Ta historia będzie mnie prześladować chyba przez całe moje życie – mruknął pod nosem.

– Jak to?

– Rebeca opowiadała o tym już wcześniej i nikt jej nie uwierzył. Dlatego spędziła kilka miesięcy w szpitalu psychiatrycznym, przed obozem, na którym byłeś, Unai.

– Tak, na obozie też opowiadała coś J., nie zdradził mi konkretnie co, ale pewnie o to chodziło.

– Skoro doszliśmy do tego punktu, musicie zobaczyć dokumenty – stwierdził i wstał z fotela.

Wrócił do domu i zaczął wchodzić po schodach.

Estíbaliz natychmiast ruszyła za nim. Wiedziałem, że też jest uzbrojona, ale przestraszyłem się, kiedy oznajmiła: „Zaczekaj, pójdę z tobą”.

Ja też wszedłem do salonu, bardzo zdenerwowany, z ręką na splewie.

Nie wyjmowałem jej z kabury, ale uważnie nasłuchiwałem jakiegokolwiek podejrzanego hałasu albo wołania o pomoc mojej partnerki.

Potem zapadła cisza, która trwała stanowczo za długo.

„Nie stój jak oferma, wejdź na górę!”, powiedziałby pewnie mój dziadek. Posłuchałem tego wewnętrznego głosu i ruszyłem ku schodom.

Wtedy u szczytu ukazali się Esti i Saúl.

On niósł pod pachą teczkę z dokumentami. Ona dała mi znać spojrzeniem, żebym nie ruszał broni.

Zrozumiałem natychmiast, że to, co Estíbaliz zobaczyła albo przeczytała, jeszcze raz zmieni kierunek naszego śledztwa.

WYSEPKA URRO DEL MANZANO

19 lipca 1992, niedziela

Już od samego rana zanosilo się na burzę. Narastający przez ostatnie dni nieznośny upał zapowiadał spektakularny finał, powietrze naładowane było elektrycznością. Najmniejsza iskra mogła doprowadzić do wybuchu.

Podobnie czuł się Unai. O siódmej po raz ostatni wypełził ze śpiwora i z niezadowoleniem zauważył, że Annabel i Lutxo jak zwykle wyszli razem na przechadzkę po lesie sekwoi. Pocieszał się, że przecież nie ma to żadnego znaczenia, że ubiegłej nocy Annabel na pewno pojęła, że z nim było zupełnie inaczej niż z J. czy Asierem.

To było wyjątkowe, niezwykle.

Tak przynajmniej wyszeptala mu wczoraj.

Zatopiony we własnych myślach zszedł po schodach i znalazł się w pustej jadalni. Jak robot, wspominając pieszczoty, uda, brzuch, ugryzienia – ach, ugryzienia – otworzył drzwi do spiżarni i wyjął z niej ostatnią tabliczkę ręcznie robionej czekolady, którą kupili za wspólne pieniądze.

Unai nie był żarłokiem, a dziadek nauczył go dzielić się z innymi i być uprzejmym, ale tamtego dnia usiadł na krześle w pustej jadalni i nawet nie zauważył, kiedy zjadł całą tabliczkę czekolady z Santillany. Wzrok wlepił w jakiś nieokreślony bliżej fragment ściany, która pewnie kiedyś była biała, a jego umysł, niczym zarysowana płyta, odtwarzał wciąż te same sekwencje poprzedniego dnia.

Był jak oszołomiony.

Życie potrafiło być piękne, kiedy nie upierało się, żeby być złośliwe.

Rebeca też była jak oszołomiona. Noc spędziła zagrzebana po uszy w śpiworze. Uważnie nasłuchiwała wszelkich odgłosów, niespokojna, że Sinobrody wróci.

Usłyszała warkot silników kilku samochodów, znała zwyczaj tego obozu. Ostatniego dnia zjeżdżali się studenci, którzy pracowali przy rekonstrukcji wioski w poprzednich latach. Ten zjazd był oficjalnym zakończeniem turnusu.

Nie chciała iść na śniadanie z grupą i najwyraźniej nikt za nią nie tęsknił. Tym razem nawet ojciec po nią nie przyszedł.

Słyszała hałasy, brzęk sztućców i talerzy oraz inne odgłosy ostatniego, niespiesznego posiłku. Starła się skulić jak najmocniej, żeby nikt nie zauważył jej nieobecności.

Potem znów rozległ się warkot silników, który po chwili zniknął w oddali. Saúl uprzedził poprzedniego dnia, że zamierza zawieźć ich na klify nieopodal własnej willi, pomiędzy plażami Portío i Arnía, znajdującymi się zaledwie pół godziny drogi z Cabezón de la Sal.

No i dobrze, niech sobie jadą.

Niech wszyscy znikną.

Chciała tylko jednego: żeby ten przekłety obóz wreszcie się skończył, chociaż niepokoiła ją również perspektywa powrotu do domu sam na sam z Sinobrodym.

Usłyszała na schodach ciężkie kroki i instynktownie zwinęła się w kłębek. Ktoś krzyknął:

– Jest tu kto?

Był to kobiecy głos, nie wiedziała, do kogo należał.

– Ja – pisnęła cichutko.

Nie miała siły na nic więcej.

Dziewczyna weszła. To była Marian, studentka trzeciego roku historii, która już wcześniej bywała na obozach. Wysoka, przy kości, mało kobieca, niezdarna. Chłopcy nie zwracali na nią uwagi. Rebeca, która odziedziczyła po ojcu systematyczny, klasyfikujący umysł, oceniła, że dziewczyna jest zbyt impulsywna, działa bez namysłu.

– Co za „ja”? – zapytała zdziwiona Marian.

– Rebeca, córka Saula Tovara – odparła, nie wychodząc ze swojego śpiwora z Hello, Kitty.

– Rebeco, chodź z nami! Jedziemy na plażę. Zabiorę cię swoim samochodem. Nie wiem, jak twój ojciec mógł o tobie zapomnieć i zostawić cię tu samą. Ja zostałam jeszcze chwilę, żeby posprzątać, dał mi klucze do domu. No chodź, wstawaj! – nalegała, ciągnąc dziewczynkę za rękę.

– Nie, nie, ja nigdzie nie jadę – zaprotestowała Rebeca.

Wyglądała jak poczwarka motyla w swoim kokonie.

Spojrzały na siebie. Marian w czerwonej, rzucającej się w oczy koszulce z logo igrzysk olimpijskich w Barcelonie. I Rebeca, która za nic na świecie nie chciała opuszczać swojej kryjówki z kaczego puchu.

– Słuchaj, coś ci dolega?

– Nie... – zaprzeczyła Rebeca, ale jej drżący głosik nie zabrzmiał zbyt przekonująco.

Dobroduszna Marian usiadła na materacu obok Rebeki. Miała podejście do dzieci, często w zastępstwie rodziców opiekowała się młodszą siostrą. Miała do tego smykałkę i była z tego dumna.

I powoli, troską i łagodnością, wydobyła z dziewczynki jej tajemnicę.

Dwadzieścia minut później wypadła z budynku, czerwona jak płachta toreadora. Czasem się jej to zdarzało, kiedy naprawdę się zdenerwowała, była jak żubr z grotu w Altamirze: nie sposób było jej powstrzymać.

Ale to, co opowiedziała jej biedna Rebeca... Tak, owszem, na uniwersytecie słyszała plotki o Sinobrodym, o tajemniczej śmierci jego żony, o jego siostrze. Marian może nie nadążała na wykładach, za to na korytarzach łapała wszystko w lot.

Poprosiła dziewczynkę, żeby nie ruszała się z sypialni, zamknęła dom na klucz i swoim rozklekotanym fordem fiestą ruszyła na Costa Quebrada.

Unai siedział na plaży. Miał przed sobą trzy wysepki, których kapryśne skalne formacje przypominały krużganki i kolumnady: Urro Mayor, Urro Menor i Urro del Manzano. Ta ostatnia przywodziła na myśl drzewko bonsai przechylone na wietrze.

Jego przyjaciele trzymali się daleko od niego.

Nie musiał odrzucać żadnego zaproszenia. Po prostu nikt nie powiedział „chodź z nami”.

Czuł, że rozzłościło ich to, co zobaczyli poprzedniej nocy. I wcale się temu nie dziwił. Sam przez to przechodził, kiedy zastał Annabel z J., a potem z Asierem. Trudno było mu spojrzeć chłopakom w twarz po tym, jak przyłapali go w akcji.

Nie przejmował się tym zbyttnio. Liczył, że im przejdzie. Tak, miał zamiar porozmawiać z J., chciał się upewnić, że ten epizod nie zniszczy ich przyjaźni. A jeśli idzie o Annabel...

Annabel nie poszła z nimi na spacer po plaży Portillo. Wilgotny upał robił się nie do wytrzymania, nadciągały szare ciężkie chmury. Niebo zapowiadało nieuchronną letnią burzę i nie trzeba było kogoś tak doświadczonego jak dziadek Unaia, żeby to zauważyć.

Kątem oka dostrzegł studentkę, równie wysoką i dobrze zbudowaną jak on sam. Szła zdecydowanym krokiem na kraniec klifu nad plażą Arnía, gdzie zaszył się Saúl. Być może miał już dość towarzystwa nastolatków i potrzebował chwili dla siebie...

Ale Unai szybko o nich zapomniał, bo właśnie Annabel usiadła przed nim i oparła się plecami o jego pierś. Miał wrażenie, że przyniosła ze sobą burzę: gdzieś daleko po niebie przetoczył się grzmot, którego echo zadudniło, nim dziewczyna zdążyła otworzyć usta.

– Przyniosłam ci rysunek – szepnęła przymilnie.

I podała mu wyrwaną z kołnotatnika kartkę z rysunkiem przedstawiającym grób na klifie i parę kochanków siedzących na jego krawędzi. Może to byli oni...

Unai wziął go z wielkim namaszczeniem, jakby przyjmował tablice z dziesięciorgiem przykazań albo niespodziewany dar od bogów.

– Zachowam go – zdołał wyjąkać.

– Obiecaj mi, że będziesz go zawsze miał przy sobie. A przynajmniej do dnia mojej śmierci – wyszeptała mu na ucho Annabel uroczyście.

Oczywiście, w takiej sytuacji trudno odmówić, pomyślał Unai. Wtedy zaczęło padać. Duże, ciepłe, wręcz gorące, ciężkie krople.

– Obiecuję – powiedział, świadom zresztą, że dziewczyna nie pogodzi się z żadną inną odpowiedzią.

Spojrzała zirytowana na chmury i nadciągającą ulewę, jakby złościła się na pogodę za to, że zrujnowała jej tę z dawna zaplanowaną scenę. Wzięła z rąk Krakena rysunek i włożyła go pomiędzy twarde okładki kołnotatnika.

– Idziemy? – zapytał Unai. – Mnie tam deszcz nie przeszkadza, nigdy nie przeszkadzał, zwłaszcza w lecie. Ale jeśli chcesz, możemy się schować.

– Nie, zostańmy, klimat zrobił się jak w *Wichrowych wzgórzach*.

– Zastanawiam się, co będzie dalej, kiedy wrócimy do Vitorii. Zobaczymy się jeszcze? – odważył się zapytać.

Czy zapomnisz o nas wszystkich i wrócisz do motocyklistów swojej mamy?, pomyślał.

– Oczywiście, że będziemy razem – odparła lekko obrażonym tonem. – Już ci mówiłam, jesteście parą od przedszkola. To był tylko początek, w Vitorii nastąpi ciąg dalszy.

Unai objął ją i odetchnął z ulgą. Milczeli przez chwilę, z ciemnej grzywki Annabel płynęły krople.

– Bałem się... Bałem się, że jestem tylko jedną z twoich letnich przygód.

– To dlatego, że mi nie ufasz – powiedziała zapatrzona w horyzont.

Myślami była zupełnie gdzie indziej.

Unai również uniósł głowę i spojrzał na morze.

I wtedy to zobaczył. Czerwony punkcik na falach.

Zerwał się na równe nogi. Annabel nie spodobało się, że zepsuł nastrój chwili.

– Widzisz to co ja?

– A co widzisz? – spytała obojętnie, nie ruszając się z miejsca.

– Jakiś czerwony worek albo bardzo wielka boja! Widziałem coś, naprawdę – krzyknął zdenerwowany, wpatrując się w białą pianę groźnych wysokich fal.

– Ja tam nic nie widzę – burknęła, ale Unai wiedział, że nawet nie spojrzała na morze.

Chłopak rzucił się pędem tam, gdzie przed chwilą zniknęła im z oczu studentka historii.

– Saúl! Saúl! Widziałeś to? Coś się stało? – krzyczał, biegnąc po klifie.

Podłoże było zdradliwe, już po pierwszych minutach deszczu trawa zrobiła się bardzo śliska.

Nieśmiały deszczyk zmienił się w gwałtowną ulewę. Morze się wzburzyło. Unai przystanął na chwilę, żeby jeszcze raz spojrzeć na wodę.

Znów to zobaczył i krew ścięła mu się lodem w żyłach, kiedy dotarło do niego wreszcie, że to studentka trzeciego roku w czerwonym T-shircie unosi się i opada na falach obok jednej z wysepek. Czasem dryfowała na powierzchni, czasem zasłaniały ją fale.

Po chwili pojawił się Saúl z przerażoną miną.

– Marian spadła! – krzyczał już z daleka. – Podmuch wiatru sprawił, że straciła równowagę, tam na górze, i spadła do wody. Uderzyła się kilka razy o skały, nie jestem pewien, czy żyje. Wezwijmy pomoc, musimy zadzwonić po ratowników!

– Nie zdążą. Kiedy ekipa ratowników tu dotrze, będzie za późno. Chodźmy! – zawołał Unai.

Saúl ruszył za nim bez większego przekonania.

Unai pobiegł po przyjaciół.

Asier, Lutxo i J. spojrzeli na niego obojętnie, kiedy stanął przed nimi. Za chwilę pojawili się też Saúl i Annabel Lee, zatroskana głównie o swój kołopotnik.

– Marian wpadła do wody! Chodźcie! Musimy zrobić łańcuch ratowniczy! Chodźcie wszyscy. Jest niedaleko od brzegu!

Na twarzy trzech przyjaciół odmalował się strach. Pobiegli za nim po skałach i znaleźli się naprzeciwko wysepki, o którą ciało Marian uderzało raz za razem, bezwładne jak szmaciana lalka.

Ale nagle poruszyła się. Uniosła ramię, jakby próbowała popłynąć, a może chwycić się gigantycznej skały. W Unaiu obudziła się nadzieja. Zrzucił ciężkie górskie buty i skoczył do morza.

Pierwszy kontakt z wodą był boleśniejszy, niż się spodziewał. Morze tego dnia było twarde jak skała, gwałtowna fala zalała mu głowę na stanowczo zbyt długą chwilę.

Udało mu się wynurzyć i zaczerpnąć powietrza. Uspokoił się trochę, spojrzał uważnie na cel misji ratunkowej: czerwona koszulka piętnaście metrów w linii prostej. Ruszył w tamtą stronę, mocno rozgarniając fale ramionami. Pierwszy raz w życiu cieszył się, że można mówić o nim Kraken.

Jeśli to pomoże mi uratować komuś życie, niech Lutxo śmieje się, ile chce, pomyślał.

I jego niedotleniony mózg przypomniał sobie o Lutxu: gdzież on jest?

Powinien stać kilka metrów dalej, tam gdzie jeszcze czuł grunt pod nogami, i tworzyć pierwsze ogniwo łańcucha ratowniczego.

Szybko zerknął w kierunku brzegu, zanim przyszło mu się zmierzyć z kolejną falą.

Poczuł, że słabnie, fale były tak gwałtowne, że po kilku minutach pewnie opadnie z sił. Zbliżał się wprawdzie do Marian, ale nie był pewien, czy sam nie będzie potrzebował pomocy, żeby wrócić na brzeg.

Unai jeszcze raz rozgarnął fale i uświadomił sobie, że jego trzech przyjaciele, Annabel i Saúl nadal stoją na brzegu, nie zamierzając wcale wejść do wody.

Skupił się na czerwonej koszulce z logo igrzysk w Barcelonie i podpłynął do bezwładnego ciała studentki, które uderzało o brzeg wysepki. Jej ubranie zaplątało się w spiczaste czubki skał.

Spojrzał na Marian: miała rozciętą głowę i była nieprzytomna. Pierwszy raz w życiu pomyślał zrozpaczony, że za chwilę on też umrze, żegnany uważnym, ale bezwolnym spojrzeniem przyjaciół, nowej dziewczyny i nauczyciela oddanego swoim podopiecznym bez reszty.

50

COSTA QUEBRADA

10 stycznia 2017, wtorek

– Lepiej usiądźmy – zaproponowała Estíbaliz. – Saúl, obawiam się, że musisz nam wiele wyjaśnić.

– Wiem o tym, pani inspektor. Dobrze o tym wiem – wymamrotał z poważną miną.

Posłałem Esti spojrzenie z cyklu „co tu się, u licha, dzieje?”. Ona bez słów odpowiedziała: „Zaraz się dowiesz”.

– Zamieniam się w słuch.

– Sam to przeczytaj. – Saúl wręczył mi teczkę.

Na wszystkich stronach widniało logo szpitala, domyśliłem się więc, że to dokumentacja medyczna.

– Możesz streścić? – poprosiłem, przeglądając gruby plik badań, diagnoz i epikryz.

Niektóre napisano na maszynie, wiele innych – odręcznie, nieczytelnym lekarskim pismem.

– Rebeca ma, miała... – Zacisnął wargi. – Jej diagnoza była bardzo skomplikowana. Rozpoznano u niej trudną do leczenia postać psychozy połączonej z urojeniami i nasilonym kompleksem Elektry, którego po śmierci matki nie zdołała przezwyciężyć.

– Mów po ludzku, proszę.

– Większość dziewczynek przechodzi w życiu etap, kiedy zakochują się we własnym ojcu. Nazywa się to kompleksem Elektry, w nawiązaniu do greckiej mitycznej opowieści o Elektrze, córce króla Myken Agamemnona. To dzieje się zwykle w wieku czterech lat. Dziewczynki fantazjują, że są partnerkami ojca. Oczywiście matka jest w tym układzie tylko przeszkodą. To normalny etap rozwoju, dziewczynki starają się przezwyciężyć zależność od matki i przez jakiś czas czują się ich konkurentkami, nieprzyjaciółkami. Chłopcy w tym wieku przechodzą kompleks Edypa, którego historię opowiedział Sofokles w *Królu Edypie*. Trzeba wyraźnie zaznaczyć, że to zjawisko uniwersalne, większość z nas w dzieciństwie przechodziła przez tę fazę, moja córka też. Gdy straciła Asun, kompleks wrócił, podsycany przez chorobliwą wyobraźnię Rebeki.

Poza tym śmierć matki zadziałała jak detonator, który sprawił, że wrażliwa psychika dziewczynki zupełnie się rozsypała. Przestała odróżniać rzeczywistość od fantazji. Podręcznikowy przypadek psychozy.

Wymieniliśmy się z Estibaliz spojrzeniami. Przyznaję, tego się nie spodziewaliśmy.

– Istniał ogromny rozróżnienie między tym, co działo się naprawdę, czyli normalną, zdrową relacją ojca i córki, a tym, co działo się w jej głowie – ciągnął. – Rebeca nie przeszła kolejnych etapów żałoby, jakie przeżywają zwykle dwunastoletnie dzieci, kiedy ich matka ginie w wypadku. Wydawało się, że się z tym pogodziła, nie było płaczu ani smutku, zachowywała się tak, jakby nic się nie stało. Była wesoła, uśmiechnięta, gadatliwa... To nie była zdrowa reakcja. Ja byłem zdruzgotany, ona nalegała, żebyśmy chodzili za rękę do kina, na spacer deptakiem Pereda, na lody... Zrobiła się kapryśna, rozpieszczona, a ja, przyznaję, byłem za miękki, pozwalałem jej na wszystko. Poprosiłem o pomoc siostrę, ona lepiej niż ja potrafiła stawiać granice. Rebecę nie podobało się wcale, że Sarah zamieszkała z nami na jakiś czas. A potem ten cały skandal...

– Jaki skandal?

– Opowiedziała mojej siostrze, że jej dotykam. Nie chcę wchodzić w szczegóły, bo dla mnie to jest wciąż zbyt bolesne. Siostra wiedziała, że to nie może być prawda, i poradziła się kolegi ze szpitala, w którym pracowała. On otworzył nam oczy na to, jak poważny jest problem Rebeki. Po wstępnych badaniach zaproponował, że przyjmie ją na oddział. To były najgorsze chwile w moim życiu. Leki antypsychotyczne, które jej zapisano, inhibitory wychwyty dopaminy i serotoniny, zmieniły ją w zombie. Nie mogłem patrzeć na nią w tym stanie, świat zawalił mi się na głowę.

Spojrzeliliśmy na niego.

Uznaliśmy, że mówi prawdę.

Zaczęliśmy go nawet żałować.

– Macie tu wszystko: wyniki badań, leki, daty przyjęcia do szpitala i wypisu... Próbowałem być dyskretny, żeby jej nie zaszkodzić. Straciła trzy miesiące szkoły i nie zdołała nadrobić zaległości. Jej zdrowie nie pozwalało, żeby stawiała się na egzaminy komisyjne, nie była do nich przygotowana. Po wakacjach, na których ją poznałeś, musiała powtórzyć rok.

– Ale ciąża była prawdziwa – zauważyłem. – A ty nas okłamałeś.

– Tak, przyznaję, nie powiedziałem wam prawdy. Rzeczywiście była w ciąży i ukrywała to do samego końca. Okłamałem was, bo wszyscy uznaliśmy, że Rebeca nie żyje i ten szczegół nie ma żadnego znaczenia. A poza tym... To niełatwe. Niełatwe przyznać, że twoja nastoletnia córka zaszła w ciążę. Po co w tym znów grzebać? Jaki to ma sens?

– A dziecko?

– Urodziło się martwe. Nie udało się odpowiednio rozwinąć, Rebeca miała tylko czternaście lat. Weszliśmy z siostrą do jej pokoju i zobaczyliśmy, że rodzi. Wszystko działo się bardzo szybko, dziecko było maleńkie, chłopczyk. Moja siostra dzięki swoim szpitalnym kontaktom spopielila ciało w krematorium. Nie pozostał po nim żaden ślad, do dziś tego żałuję. Powinienem był zgłosić to tego samego dnia policji, zgodzić się na śledztwo, żeby zbadać, kto był ojcem, ale pomyślałem, że to zaszkodzi Rebecce. Bałem się nawrotu choroby. Nie chciałem znów zamykać jej w szpitalu. Kilka dni później zaginęła: zawsze myślałem, że umówiła się z ojcem dziecka, a on przyszedł z kolegami, że zabili ją, żeby nie zdradziła prawdy. Może groziła mu, że o wszystkim powie. Nie mam pojęcia.

– Wspomniałeś, że przyszedł z kolegami... – zauważyła Estíbaliz. – Masz jakieś swoje podejrzenia, kto mógł być ojcem?

– Oczywiście, że mam. Rebeca zaszła w ciążę w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, najprawdopodobniej podczas tych trzech tygodni, kiedy trwał obóz w kantabryjskiej wiosce. Jedyni mężczyźni, z którymi miała wtedy kontakt, to czterech obozowiczów i ja. Może inspektor Ayala powie nam, który z waszej czwórki z nią sypiał?

– Mogę cię tylko zapewnić, że jej nie tknąłem. Nawet nie przyszło mi to do głowy.

– Byłbym skłonny nawet ci uwierzyć, byłeś zbyt zajęty Aną Belén Liaño. Ufałem wam, a jeden z was uwiódł moją córkę. Zawsze myślałem, że któryś z was ją zabił, a może zrobiliście to wszyscy, ale jeśli to nieprawda... jeśli upozorowała własną śmierć i rytuał...

– Rytuał?

– No oczywiście, to celtycki ryt potrójnej śmierci. Zawsze robił na Rebecce ogromne wrażenie. Mumie z bagien... Sam zabrałem ją do Mediolanu na wystawę, na której pokazano Człowieka z Lindow. To była cudowna podróż, niezapomniana dla nas obojga.

– Saulu, kilka osób zamordowano w taki sposób, jakby zabójca naśladował ten rytuał: zostały poparzone, powieszono i zanurzone w wodzie. Czy myślisz, że może stać za tym twoja córka? Znałeś ją lepiej niż ktokolwiek inny. I proszę przemyśl dobrze swoją odpowiedź.

Saúl zastanawiał się dłuższą chwilę. Wstał, podszedł do komody, wziął z niej fotografię, na której byli oboje, przytuleni i uśmiechnięci, na tle tej samej zatoczki, która ciągnęła się za oknami.

– W sumie chciałbym wam wierzyć... Chciałbym wierzyć w to, że Rebeca żyje – powiedział w końcu, wpatrując się intensywnie w zdjęcie córki. – Ale nie macie na to

żadnych dowodów, tylko słowo oszustki.

– Sądziś, że Rebeca okłamała twoją szwagierkę? – zapytałem.

– Jeśli Lourdes mówiła prawdę, to oczywiście, że Rebeca ją oszukała i znów powtórzyła tę historię o molestowaniu. Wiedziała, że nie lubimy się z Lourdes i nie trzeba wiele, żeby nastawić moją szwagierkę przeciwko mnie. Rebeca potrafiła przekonać każdego do swoich urojeń. Naprawdę każdego. Była słodką dziewczynką, inteligentną, radosną. Uważała, że fantazje istniejące w jej głowie rozegrały się naprawdę, tak mówił mi jej psychiatra. Wierzyła w nie. Rebeca naprawdę wierzyła, że mieliśmy romans, że chodziliśmy razem do kina. Czuła się upokorzona tym, że jest tylko dzieckiem, spieszyło się jej, żeby dorosnąć. Za bardzo jej się spieszyło.

– Muszę cię o to zapytać, chociaż teraz jest mi niezręcznie... Nigdy się z tobą nie kontaktowała? Nigdy nie zdarzyło się coś, co kazałoby ci przypuszczać, że ona żyje, że próbuje wysłać ci wiadomość? – zapytała Estíbaliz.

Saúl popatrzył na nas smutno jak na naiwne dzieci. Miałem wrażenie, że w jednej chwili zmienił się w starca.

– Ze mną? Wybaczcie mi ten zimny prysznic, ale dopóki nie przedstawiście mi dowodów, a widzę, że na razie ich nie macie, będę sądził, że moja córka zaginęła w wieku czternastu lat. Według mnie nic nie wskazuje na to, że może być inaczej. Nie ufam zeznaniom zawodowej oszustki i przestępczyni. Nie chcę przechodzić przez to jeszcze raz... Nie chcę mieć znów nadziei, nie macie pojęcia, jak to bardzo boli.

– Prosimy tylko, żebyś sobie przypomniiał... – zaczęła moja partnerka, ale Saúl nie pozwolił jej skończyć.

– Dość już tego! Nachodzicie mnie w pracy, wrzucacie mi tę emocjonalną bombę, a tak naprawdę tylko bawicie się moim kosztem. Udajecie, że prowadzicie dochodzenie. I tak od dwudziestu lat. Niedawno straciłem drugą córkę. Jak myślicie, ile bólu może znieść ojciec? No ile?

Nie wiedziałem i wcale nie miałem ochoty się tego dowiadywać.

Saúl wstał, dając do zrozumienia, że uznaje rozmowę za zakończoną.

– Powinniście już iść. I proszę cię, Unai, jeśli kiedykolwiek mnie szanowałeś, nie rób mi już nigdy czegoś podobnego. Nie chcę słyszeć o dochodzeniu w sprawie Rebeki, chyba że przywieziecie mi jej ciało.

– Obiecuję. Naprawdę bardzo mi przykro – powiedziałem i położyłem mu dłoń na ramieniu.

Spojrzeliliśmy z Estíbaliz po sobie. Fatalnie się czułem, że sprawiłem mu taki ból. Dotknęliśmy najczulszego punktu, czegoś, co było dla niego święte.

Powlekliśmy się do samochodu.

To była właśnie jedna z takich sytuacji, kiedy zaczynasz nienawidzić własnego zawodu.

Sauł nawet się z nami nie pożegnał. Miałem wrażenie, że był bliski płaczu, kiedy zamykał za nami drzwi.

Wsiadliśmy do wozu.

Ja prowadziłem, ale zaledwie kilkaset metrów. Zaparkowałem naprzeciwko zatoczki, z dala od domu Saula – nie chciałem, żeby nas widział. Czułem, że musimy odetchnąć chwilę przed powrotem do Vitorii.

– Posiedźmy tu sobie trochę – zaproponowałem partnerce.

Przyjęła pomysł z wdzięcznością.

– Jeśli to, co mówi Saúl, jest prawdą, mamy morderczynię psychopatkę... – powiedziałem, kiedy już usadowiliśmy się na zimnej trawie.

– Yhm.

– ...która wymyśliła sobie historyjkę o molestowaniu seksualnym – ciągnąłem.

– Mów dalej.

– A jeden z moich przyjaciół z nią sypiał i zrobił jej dziecko.

– I...

– Uciekła z Golden, zdołała ją przekonać, że Saúl ją gwałcił, żeby uciec od niego i uniknąć ponownego pobytu w szpitalu psychiatrycznym. A teraz zaczęła zabijać – podsumowałem.

– Dlaczego teraz? Dlaczego zaczęła zabijać po tylu latach?

– Zacznijmy od tego, że jako czternastolatka nie dałaby rady – pomyślałem głośno.

– To prawda.

– Golden uważa, że katalizatorem była wiadomość o śmierci Gimeny. Może zobaczyła w niej jak w lustrze swoją własną historię, może uznała, że dziewczyna też była ofiarą gwałtów, wyobraziła sobie jej ciężę?

– A może pomyślała, że ojciec olał Gimene, kiedy skończyła dwadzieścia trzy lata, bo przestała mu się podobać, tak samo jak matka Rebeki. Wszystko jedno dlaczego, ale wiadomość zburzyła jej spokój – powiedziała Estíbaliz. – Ty jesteś profilerem, Kraken. Powiedz, czy to wszystko składa ci się w całość? Bo mnie się wydaje, że to, co widzieliśmy na miejscach zbrodni, pasuje raczej do osoby zimnej i wyrachowanej. Nie mówiłeś, że zbrodnie ludzi cierpiących na psychozę są jak nagłe wybuchy przemocy? Myślałam, że psychotycy to osoby, które słyszą głosy – powiedziała.

Miała lekką chrypkę, jak zawsze, kiedy się denerwowała.

Wyjąłem notatnik z wewnętrznej kieszeni kurtki. Nie miałem w tej chwili sił na wygłaszanie wykładu o sztuce profilowania kryminalnego.

Po pierwsze – zacząłem pisać – to, że ktoś cierpi na psychozę, nie oznacza, że stosuje przemoc. To bardzo powszechny błąd, przez który często chorzy nie są całkowicie akceptowani w społeczeństwie, co bardzo utrudnia ich leczenie. Tylko niewielki procent z nich popełnia przestępstwa, mniej więcej taki sam, jak w populacji osób zdrowych psychicznie. To prawda, psychotycy najczęściej popełniają przestępstwa, kiedy słyszą głosy albo znajdują się w świecie swoich urojeń. Ale w ich głowach istnieje pęknięcie pomiędzy rzeczywistością a delirium, które sami tworzą. Uznaliśmy, że sceneria zbrodni jest złożona, dopracowana... ale może to nie jest wcale przedstawienie jakiejś fantazji, tylko misja. To pasowałoby do psychozy mesjanistycznej. Przestępca uważa, że ma prawo wymierzyć karę przyszłym rodzicom, decydować za nich, że nie zasłużyli na to, żeby wychowywać dzieci, oddać je w opiekę boginiom matkom. Rebeca odprawiła rytuał potrójnej śmierci tak, jak opisali ją klasyczni autorzy obserwujący kulturę celtycką. Ale tak naprawdę nie to jest jej fantazją. Jej urojeniem jest to, że ojciec jej pragnął, że odbywał z nią stosunki seksualne, że jej ciąża była wynikiem tego kazirodztwa. Opowiedziała o tym Golden, być może sama wierzyła w prawdziwość własnych słów. Może przespała się...

Musiałem się zastanowić. Główni kandydaci?

Myślę, że to niemożliwe, żeby przespała się z Lutxem – napisałem, przywoławszy wspomnienia tych dawnych dni – ani z Asierem. Podobały im się inne dziewczyny, nawet by na nią nie spojrzeli. Może to J., był najbardziej dziecinny z nas wszystkich i on rzeczywiście spędzał z nią czas. Może było coś między nią a J. – po historii z Annabel Lee, pomyślałem, ale tego nie napisałem. – Może dlatego teraz go zabiła?

– A czemu miałyby zabijać Anę Belén Liaño?

Bo na przykład uważała ją za rywalkę, jako że też spała z J., albo z zazdrości, że była z nim w ciąży. Może czas obozu był jakoś szczególnie ważny dla jej rozwoju. Nie bardzo potrafię odtworzyć tok rozumowania tak poharatanego umysłu. Z pewnością śmierć matki była dla niej ogromnym wstrząsem. Potem zaczęły się te chorobliwe fantazje o romansie z ojcem. Był jedyną bliską osobą, jaka jej została. Wyobraziła sobie może, że będą mieli wspólne dziecko, że znów stworzą rodzinę, a ona zastąpi nieobecną matkę.

Potem, kiedy niemowlę umarło, znów świat zawalił się jej na głowę. Uciekła, bo bała się, że ponownie wyląduje w szpitalu, a może nie chciała, żeby wyszło na jaw, że to J. jest ojcem.

– Chciała ochronić go przed skandalem? – zasugerowała moja partnerka.

Niewykluczone. J. też był jeszcze dzieciakiem, tamtego roku sam stracił ojca. Rebeca wiedziała, że pochodzi z surowej rodziny, taka wpadka mogła go pograżyć.

– To byłaby dobra wiadomość. Zabójca nie jest psychopatą, nie mamy do czynienia z seryjnym mordercą. Zabiła J. i Anę Belén i na tym koniec. To oznaczałoby, że nie jesteś w niebezpieczeństwie.

Obyś miała rację. Na razie jednak nie możemy wykluczać żadnej z tych opcji. To wszystko tylko domysły – przypominałem.

– Wiem, wiem, po prostu głośno wypowiedziałam własne pragnienia – wymamrotała bardzo skupiona. – Powiedz mi, Unai. Po tym wszystkim, cośmy dziś zobaczyli i usłyszeli, myślisz, że Rebeca może być morderczynią?

Cały czas myślę, że jedna kobieta nie ma wystarczająco dużo siły, żeby powiesić kogoś za nogi na drzewie.

– Golden zrobiła to dwadzieścia parę lat temu z Rebecą – zaprotestowała Estíbaliz.

Ale Rebeca była wtedy czternastolatką, a Golden dorosłą kobietą. To się nie liczy.

Estíbaliz spojrzała na mnie wyzywająco. Nie rozumiałem tego spojrzenia.

– Wiesz co? Ostatnio powiedziałeś mi, że przyjaźń wzrusza z posad bryłę świata, pamiętasz? To dało mi do myślenia. To nie przyjaźń. To dźwignia.

Dźwignia?

– Tak, Archimedes to powiedział. „Dajcie mi punkt podparcia, a poruszę Ziemię”.

Nie rozumiem, chociaż bardzo się staram.

– Chodź, jedziemy do Villaverde. Wyjaśnię ci to, kiedy już powieszę cię za nogi na drzewie.

WARZYWNIK DZIADKA

10 stycznia 2017, wtorek

Dziadek pożyczył Estíbaliz kilkumetrową linę, a ona wyruszyła samotnie do warzywnika. Na odchodnym powiedziała:

– Przyjdź za piętnaście minut.

Zostałem w kuchni z dziadkiem, który był o wiele bardziej milczący niż zazwyczaj.

– Co się stało? – zapytałem.

– Chodź ze mną na strych, synku. Muszę ci o czymś opowiedzieć.

Poszedłem za nim, najpierw korytarzem, a potem po starych drewnianych schodach.

Stanął tam i zapatrzył się na lisie skóry zwisające na żelaznych hakach z belek sufitu. Wskazał mi je palcem, jakbym sam miał się czegoś domyślić.

– Mam wrażenie, że ktoś tu był i myszkował – wydusił z siebie po chwili.

– Jak to: ktoś?

– Gdybym wiedział, kto to był, powiedziałbym ci przecież.

– Dziadku, mów jaśniej – poprosiłem trochę zdenerwowany.

– Te skóry wiszą w tym samym miejscu od pięćdziesięciu lat i odkąd zostaliśmy sami, wchodzimy tu tylko ty, ja i twój brat. I nie wpadamy na nie, nie przewieszamy ich. Ale ostatnio ktoś tu był i odwrócił dwie skóry.

I było to prawdą: teraz dwie skóry nie wisały równolegle do ściany, ale na ukos.

– Może to wiatr.

– Daj spokój, jaki wiatr. Skóry są sztywniejsze niż ja i żaden podmuch wiatru nigdy ich nie poruszył. Synku, nie chcę cię niepokoić, ale był tu ktoś obcy. Sam zobacz. –

Poprowadził mnie do pudeł, w których gromadziłem wspomnienia z poprzednich wcieleń.

– Wszystkie pudła są zamknięte, wiem, że je zamykasz, ale zobacz, karton ze zdjęciami z lata tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku jest otwarty.

– To prawda – przyznałem.

Byłem pewien, że zamknąłem go dobrze po ostatnim spotkaniu z moim zespołem na tym strychu. Zawsze tego pilnowałem, żeby zdjęcia się nie kurzyły.

– To ma związek ze sprawą, którą teraz prowadzisz, prawda? – zapytał, stojąc za moimi plecami.

– Tak, dziadku. To nie może być przypadek – powiedziałem i uniosłem pierwsze z brzegu zdjęcie.

Fotografię grupową, na której była cała nasza paczka oraz Saúl, Rebeca, Annabel i kilkoro studentów uniwersytetu, wśród nich Marian w swoim czerwonym T-shircie z logo igrzysk.

Dziadek podszedł do mnie i spojrzał na fotografię. Nie wyjął jednak okularów z kieszeni koszuli, domyślałem się więc, że widzi tylko rozmazane plamy.

– Dziadku, co byś pomyślał o człowieku, który owdowiał i stracił dwie córki?

Dziadek zakasłał zdenerwowany.

– Myślałem, że ty i Paula spodziewaliście się córeczki i synka.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem. Ale faktycznie, Saúl i ja mieliśmy równie tragiczną przeszłość i dziadkowi wydawało się, że mówię o sobie.

– Nie o mnie chodzi. Mówię o sprawie morderstw, nad którą teraz pracuję.

Streściłem mu historię Saula Tovara. Poprosiłem, żeby włożył okulary, żeby pokazać mu zdjęcie.

– Pytasz mnie, czy twój były nauczyciel jest mordercą, dlatego że w jego rodzinie zginęły trzy kobiety?

– Jak to wygląda z zewnątrz?

Dziadek przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Może mieć coś wspólnego z ich śmiercią, sam nie będąc mordercą. Istnieją ludzie mający wady albo dopuszczający się czynów, które ściągają zgubę na ich bliskich, chociaż nie oni sami naciskają spust, rozumiesz?

– Prawdę mówiąc, nie, dziadku.

– Ja na przykład poznałem takiego człowieka, jeszcze w trzydziestym szóstym, zanim poszedłem na front. Przywoził do Laguardii ziarno, a ja je kupowałem. Nie był zły, ale miał słaby charakter, nie potrafił odmówić sobie flaszki, pił nawet ocet. Doprowadził rodzinę do ruiny, po wojnie po prostu przymierali głodem. Żona zachorowała na płuca, starszy syn wyjechał do Irún, pracował tam jako kierowca ciężarówki, ale później zaczął przemycać nielegalny towar przez granicę i zginął w bójce z dala od domu. Młodszy był słaby jak ojciec, cierpiał na depresję. Rzucił się

do Ebro, przywiązawszy sobie kamień do szyi. Ojciec ich nie zabił, nie miał takiego zamiaru, ale wszyscy znaleźli się na cmentarzu o wiele za wcześnie. Rozumiesz teraz? Być może to przypadek Saula. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale wróciłeś odmieniony z tych wakacji w Kantabrii.

– Dlaczego odmieniony?

– Pojechałeś jako chłopak, a wróciłeś jako mężczyzna. Już wiedziałem, że nie zostaniesz inżynierem, jak planowałeś wcześniej. Po tamtym wypadku... Musisz o tym zapomnieć, synku, i tak dźwigasz już zbyt wielki ciężar.

Pewnie masz rację, dziadku, ale właśnie teraz nie wolno mi o tym zapomnieć. Może powinienem zbadać dokładnie, co wydarzyło się tej lipcowej niedzieli na klifie.

– Ta dziewczyna, która miała wypadek... Mówiłeś kiedyś, że to ona, prawda? – zapytał, poprawiając okulary na nosie.

Dziadek miał doskonałą pamięć do twarzy. Podczas corocznego odpustu, który odbywał się 15 sierpnia w pustelni Okon i gromadził mieszkańców wszystkich okolicznych wiosek z Álavy, zgadywał, że jakiś chłopak z Navarrete musi być kuzynem Urturich, a inny z Villafrúii nie może być synem Antonii i Mauleona, bo wcale nie jest do nich podobny.

Pokiwałem głową, patrząc na zdjęcie.

– A jesteś pewien, że ta dziewczyna nie żyje?

– No tak, zawieźli ją do kostnicy. Stamtąd raczej trudno wyjść na własnych nogach.

– Bo... ta twarz. Widziałem ostatnio kogoś bardzo podobnego, ale nie pamiętam gdzie. Ale na pewno widziałem.

Uwierzyłem mu. Co prawda, wydawało się to nieprawdopodobne, ale życie nauczyło mnie ufać intuicji dziadka. Postanowiłem zapamiętać ten szczegół, mógł mi się przydać w przyszłości.

– Czy wszyscy tu ogłuchli? – rozległ się za nami głosik opartej o ścianę Estíbaliz.

– Przepraszam, Esti, nie usłyszeliśmy, jak wchodzisz.

– Wołałam was z ogrodu. Zapomniałam, że ten dom ma takie grube ściany. Dobra, Unai, zapraszam na egzekucję. I niech dziadek pójdzie z nami, na wypadek gdyby coś nie wyszło i potrzebny był ktoś naprawdę silny.

– Tak jest, szefowo.

Poszliśmy za Esti do warzywnika. Kazała nam stanąć pod ogromną gruszą – to drzewo miało z pewnością kilka dekad, a może nawet więcej niż sto lat. Już w czasach mojego dzieciństwa było ogromne. Nadawało się idealnie do zabawy w wisielców.

– Wyobraź sobie, że strzelam do ciebie z tasera. Przewracasz się, mięśnie przez kilka

minut przestają być posłuszne twojej woli – mówiła Estíbaliz. – Twój system nerwowy przepalił się, jesteś całkowicie zdany na moją łaskę. Połóż się na ziemi.

– Czy to konieczne?

– Pamiętaj, że nie możesz się bronić. Inaczej próba nie ma sensu.

Położyłem się pomiędzy dwoma rzędami porów.

Esti skrępowwała mi kostki i zawiązała węzeł. Nie podobało mi się, że byłem zdany na jej łaskę. Przypominało mi to sytuację z Nanchem, a nie chciałem o nim pamiętać.

– Teraz obracam cię na brzuch, ty jesteś bezradny, wiążę ci ręce na plecach.

Odwróciła mnie tak gwałtownie, że aż połknąłem grudkę ziemi. Uniosłem wzrok nad liście kalafiorów i zobaczyłem, że dziadek śmieje się z nas w kułak.

– Aż żałuję, że nie wstąpiłem do policji – powiedział rozbawiony.

– Proszę cię, dziadku, nie denerwuj mnie!

– Teraz czas w sposób empiryczny dowieść, że używając gałęzi jako punktu podparcia dźwigni, podniesiesz ciało ważące dużo więcej niż ty sam. Nawet zawodniczka wagi piórkowej, jak ja, może podnieść krakena – oznajmiła Estíbaliz, a potem przerzuciła linę przez najgrubszą gałąź drzewa, tę samą, na którą wspinałem się jako dziecko, brudząc sobie ręce żywicą.

Potem odeszła od drzewa i zaczęła ciągnąć mnie do góry. Przyszło jej to z łatwością.

– Jeśli zakręci ci się w głowie albo poczujesz ból, daj znać, to cię opuszczę – krzyknęła, w skupieniu trzymając linę.

Wisiałem głową w dół i patrzyłem na świat do góry nogami: na wysokości głowy znalazły się fioletowe wzgórza, niebo zaś – na wysokości moich stóp.

Ta zmiana perspektywy była dziwna. Może życie dawało mi znać, że powinienem robić to częściej?

– Co było do udowodnienia! – krzyknęła Estíbaliz triumfalnie.

– Dobrze, a teraz mnie opuść – poprosiłem. – Ale ostrożnie, bardzo ostrożnie.

Nie przewidziałem, że efektem ubocznym tej pozycji będzie to, że krew odpłynie mi do głowy. Poczułem, że policzki robią mi się czerwone, a w okolicach blizny po kuli pojawiło się nieprzyjemne napięcie.

Esti nie usłyszała chyba błagania o ostrożność, a może prawa fizyki nie pozwoliły jej utrzymać mojego ciężaru. Nagle puściła linę, a ja wylądowałem w porach.

– Twarde lądowanie. Poza tym zepsułeś mi dzisiejszą kolację. – Dziadek nadbiegł natychmiast, żeby mi pomóc. Nie wiedział, czy powinien się śmiać, czy raczej martwić.
– Wszystko w porządku?

– Tak, spokojnie, nic mi nie jest.

Esti zwinęła linę i podeszła do nas z triumfalnym uśmiechem.

– Jak widzisz, można zawiesić na drzewie kogoś, kto waży trzy razy więcej niż ty. Morderczynią może być jedna kobieta. Zapomnij o teorii trzech zakapturzonych facetów. Taser pozwala uniknąć walki wręcz, dźwignia rekompensuje różnicę wzrostu i wagi, a kiedy morderczyni zneutralizuje ofiary, spokojnie włoży im głowy do kotła albo do innego naczynia – nie wiemy, co zrobiła z J. – i po sprawie. Celtowie to przy niej amatorzy.

Dziadek, jak zwykle dyskretny, wziął linę z rąk Estibaliz i po cichu zaczął wchodzić po kamiennych schodach do domu.

Zawsze mówił, że odejdzie w ten sposób, po cichutku i gwizdząc. Wiedziałem, że to nieprawda, że nie odejdzie nigdy, ale nie śmiałem mu zaprzeczać.

– Myślę, że Rebeca zbliżyła się do Annabel, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży. Pewnie zostały przyjaciółkami, poszły razem w góry, wyciągnęła od niej informację, kto jest ojcem. Potem zabiła J. W sobotę w nocy, pijanego, pewnie nietrudno było go skłonić, żeby poszedł z nią do domu – ciągnęła Estibaliz.

W takim razie będę musiał zmienić profil mordercy, pomyślałem przekonany wywodem mojej partnerki. Zapomnieć o mężczyźnie albo mężczyznach i przyjąć do wiadomości, że być może Rebeca albo kobieta, którą się stała, zabiła Anę Belén i J.

Ale jak zedrzyć maskę komuś, kto od lat przygotowywał się do tego, żeby cię zaskoczyć?

PAŁAC HRABIEGO SAN DIEGO

19 lipca 1992, niedziela

Ostatnia fala z furią popchnęła Unaia w kierunku wysepki Urro del Manzano. Jak najmocniej objął jednym ramieniem dziewczynę, drugą chwycił się skały. Przyciągnął Marian do siebie i z przerażeniem stwierdził, że jest nieprzytomna albo nie żyje.

Zrozumiał też dziwnie jasnym umysłem, że bez pomocy nie wyjdzie z tego cało.

Nie miał dość sił, żeby dopłynąć do brzegu, zwłaszcza jeśli miałby holować tak ciężki ładunek, jakim było ciało dziewczyny...

Wciąż padało.

Unai przytulił się do studentki i ten uścisk na wagę życia lub śmierci był zupełnie inny niż przytulanie się do Annabel Lee, które teraz wydało mu się prozaiczne, banalne, bez znaczenia.

Kiedy udało mu się na chwilę podnieść głowę, zobaczył, że na brzegu stoi tylko jego trzech przyjaciół.

Domyślił się, że Saúl i Annabel Lee pobiegli po pomoc.

I pomoc nadeszła. Tyle że czterdzieści minut później.

Wtedy ręce Unaia były już otarte do krwi od trzymania się ostrych skał wysepki i mdlały z wysiłku, bo zbyt długo podtrzymywał zimne ciało Marian.

Lekarze pozostawili go na obserwację na kilka godzin, zwłoki Marian odwieziono prosto do kostnicy.

Unai prosił, żeby nie powiadamiać o niczym dziadka. Zabandażowano mu rękę. Przyszli do niego koledzy.

Nie mieli odwagi spojrzeć mu w oczy. Targały nimi zbyt silne emocje.

Lutxo spróbował jakiegoś dowcipu o mumii krakena, nikt się nie śmiał.

Wizyta trwała krótko, wszyscy byli zbyt skonsternowani. Odeszli bezsilni i nieporadni.

– Podobno już możesz się ubrać i zaraz cię wypuszczą. Annabel Lee i Saúl jadą po

ciebie – powiedział J. szeptem, jakby byli na mszy.

Unai spojrział na niego kątem oka i domyślił się, że J. skorzystał z zapasów czerwonego wina, które kupili do *kalimotxo*, ale potem skończyła im się forsa i nie mieli na coca-colę.

Dawaj, J., dziś jest ten dzień, nie musisz się hamować, chciał mu powiedzieć wściekły Unai.

Ale miał teraz zbyt wiele zmartwień, żeby zaczynać kłótnię z kimś, kto zaledwie trzy tygodnie temu był jego najlepszym przyjacielem. I to od dzieciństwa.

– Specjaliści powiedzieli, że Marian doznała bardzo poważnego urazu głowy. Podczas upadku musiała uderzyć się o skały. Nie utonęła – oznajmił Saúl Tovar, siadając w nogach jego łóżka. – Chcę ci tylko powiedzieć, że nie mogłeś nic dla niej zrobić. Kiedy wpadła do wody, już nie żyła. Tak często dzieje się z ludźmi, którzy spadają z klifów.

Unai słuchał tych krótkich zdań jak wyroku. Na Saula też nie mógł patrzeć.

Nauczyciel szybko domyślił się przyczyn jego złości.

– Nie wszyscy mają instynkt bohatera jak ty. Pewnie powinieneś zostać policjantem. Ale nie możesz mieć żalu do reszty, mają prawo być tchórzami. – Położył swoją olbrzymią dłoń na nadgarstku Unaia.

Chciał pewnie go pocieszyć, dodać mu otuchy, ale Unai miał dość.

Miał wszystkiego serdecznie dość.

– A ty? – zapytał zirytowany.

– Ja mam trzynastoletnią córkę. Pomyślałem o niej, o tym, żeby nie zostawiać jej na świecie samej, nie skazywać na rodzinę adopcyjną.

Unai zaczerwienił się po koniuszki uszu.

– Przepraszam, osądziłem cię zbyt surowo.

– Nie gniewam się – odparł Saúl ponuro. Był chyba bardzo zmęczony tym koszmarnym dniem. – No już, ubieraj się.

Podał mu dzinsy i koszulkę, która nie bardzo pasowała. Nie szkodzi, pomyślał Unai. Chcę włożyć suche ubranie i jak najprędzej stąd wyjść.

Ubierał się w obecności nauczyciela, który patrzył na niego bez skrepowania, kiedy do sali weszła Ana Belén. Ona również się nie zmieszała, bo wcześniej widziała już wszystko, co można zobaczyć.

– Zostawiam was samych, ale pospieszcie się – powiedział szorstko Saúl. – Musicie zdążyć na pociąg do Vitorii, a zrobiło się dość późno.

Zostali sami, świeżo upieczeni kochankowie. Żadne z nich nie wiedziało, co

powiedzieć.

– Mało brakowało, a zniszczyłbyś nasz związek. – W końcu to ona przerwała ciszę.

– Słucham? – Unai nic nie rozumiał.

– Mało brakowało, a to ty zginąłbyś we wzburzonym morzu, nie tak było w poemacie. Skoczyłeś, żeby ratować trupa.

– Nie była martwa – uciął Unai.

– Była. Zaryzykowałeś nasz związek, żeby ratować martwą dziewczynę.

Nie, naprawdę już dość. Wystarczy na dziś.

– Mówisz jak kompletna wariatka! – wybuchnął. – Nie mogę uwierzyć, że jesteś taka cyniczna. Dziś zginęła młoda dziewczyna, a wy nie kiwnęliście palcem, żeby ją ocalić.

– A ty za to nie mogłeś usiedzieć spokojnie, musiałeś robić z siebie bohatera!

– Nie, po prostu chciałem ją uratować. Koniec i kropka.

– A więc o to chodzi – mruknęła pogrążona jak zwykle we własnym świecie. – Tym chcesz być.

– Dzisiaj nie mam nastroju na twoje zagadki, Annabel – powiedział, wstając, i skierował się do wyjścia.

Chciał zostawić za sobą tę białą salę, ten obóz, ten smrodek zepsucia i cynizmu, który nieustannie emanował z Annabel Lee.

– Nie rozumiesz? Ty urodziłeś się po to, żeby ratować życie. I nie mówię, że masz zostać ratownikiem.

Tymczasem Unai wykorzystał te kilka tygodni lata, które mu jeszcze zostały, właśnie na kurs dla ratowników. Zrobił uprawnienia w Bernedo, w lodowatych basenach tej miejscowości znajdującej się po północnej stronie gór. Bywały lata, kiedy tylko najodważniejsi nie bali się wejść do wody.

Kilka lat później, kiedy kończył studia trochę przygnębiony perspektywami czekającej go pracy, doszło do podwójnego zabójstwa w dolmenie.

I te zabójstwa stały się jego obsesją. Na początku z powodu historycznego kontekstu, zwłaszcza kiedy znaleziono kolejne ofiary w celtyberyjskiej osadzie La Hoya niedaleko Laguardii. Potem z powodu Tasia Ortiza de Zárate, osobistego bohatera Unaia. I nawet nie wiedział, jak to się stało, że marzył już tylko o zostaniu policjantem.

Przypomniał sobie słowa Annabel Lee:

„Urodziłeś się, żeby ratować innych, masz w sobie to powołanie. Uwierz mi, moja matka miała narzeczonych policjantów, żyją tylko po to i tylko dlatego. Reszta się dla nich nie liczy”.

Unai martwił się tą obsesją.

Sądził, że lepiej było wybrać inną drogę, która pozwalałaby mu w nocy spać spokojnie, a nie błąkać się po ciemnych labiryntach. Twórczość artystyczną jak J. Albo jak Asier, którego jedyną ambicją były pieniądze. Albo Lutxo, tak boleśnie doświadczający kompleksu niższości, że musiał ciągle z kimś konkurować, nawet sam ze sobą.

Na nim to nie robiło wrażenia, nie obchodziły go twórczość, pieniądze ani własne ego.

Dlatego, a także ze względu na przeszłość swojej rodziny, która wciąż krwawiła, postanowił: zostanie śledczym.

Kiedy wrócili do pałacu hrabiego San Diego w Cabezón de la Sal, atmosfera była ciężka. Nikt nie miał ochoty na czułe pożegnania.

Pięcioro witorczyków, paczka Unaia i Annabel, wpakowało swoje plecaki do bagażnika mikrobusa i Saúl w ponurym milczeniu zawiózł ich na stację.

Wszyscy pragnęli jak najszybciej zapomnieć o pałacu, który zostawiali za plecami. Zapomnieć o ostatnich godzinach i ostatnich tygodniach. Wszyscy przyrzekli sobie już nigdy tu nie wracać, jakby to budynek był przeklęty i ponosił winę za to, co im się przydarzyło.

Unai miał tylko chwilkę na pożegnanie z Rebecą, która patrzyła z przerażeniem na bandaż na rękach chłopaka.

– Bardzo mi przykro, że cię to spotkało, Unai – powiedziała piskliwie niczym kurczaczek.

– To przecież nie twoja wina. – Wzruszył ramionami.

Ręce go bolały, ale nie chciał tego okazywać.

– Tak, wiem – wyjąkała i spuściła głowę.

– Ale przecież mieliśmy porozmawiać – przypomniał sobie Unai.

– Nie! – zaprotestowała, nagle bardzo wystraszona. – Nic mi nie jest, zapomnij o tym, naprawdę. Jest w porządku, wszystko ze mną w porządku. Nie mam już nic do powiedzenia.

Unai nie bardzo rozumiał jej reakcję, ale uśmiechnął się, jak zwykle uśmiechają się ludzie na pożegnanie, i ucałował ją w policzki.

Ona odsunęła się onieśmielona. Wiedziała dobrze, że ojciec obserwuje ich z oddali, chociaż Saúl udawał, że jest zajęty pogawędką z Lutxem i Asierem.

J. wyjął z bagażnika swój plecak marki Levi's i też podszedł do Rebeki, żeby się pożegnać.

– Dziękuję ci za wszystko, za to, że nauczyłaś mnie kryć strzechą dach i wyrabiać niepaloną glinę. I za wszystko, Beco – powiedział.

Było mu żal dziewczynki. Podał jej rękę, żeby pomóc wysiąść z samochodu.

Saulowi nie spodobał się ten gest, jak nie podobała mu się zażyłość między nimi.

Jednak czy było w tym coś dziwnego?

Żaden ojciec, nawet młody i wyrozumiały, nie lubi, kiedy jego trzynastoletnia córka podaje rękę szesnastolatkowi.

53

PORTALÓN

10 stycznia 2017, wtorek

Estíbaliz kręciła się po warzywniku dziadka jak niespokojna żmija. Musiałem położyć jej ręce na ramionach, żeby się na chwilę zatrzymała. Dopiero wtedy spojrzała mi w oczy.

– Jest coś jeszcze, prawda? – zapytałem.

– Tak, Unai, jest jeszcze coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać, ale mam paranoję na punkcie telefonów i twoich hakerów – odparła Esti.

– O co chodzi?

– Nie wejdziemy do internetu, boję się, że mnie też ktoś szpieguje, więc będziesz musiał uwierzyć mi na słowo.

– Zawsze wierzę ci na słowo.

– Dobrze, może takie miejsce jak ten ogród, poza zasięgiem, będzie najlepsze na tę rozmowę. Usiądźmy.

Pokazałem jej niewielki kamienny murek oddzielający warzywnik dziadka od ogrodu Aquilina. Usiedliśmy i, jak to w styczniu, kamienie okazały się lodowate, a mech szorstki jak druciany zmywak.

– Chodzi mi o konto Annabel Lee na Facebooku. Poprosiłam Milán, żeby poszukała tej tajemniczej przyjaciółki, która nawiązała z nią kontakt kilka miesięcy temu. Nie dostałam od niej żadnego nazwiska. To pierwszy raz, kiedy nie udaje jej się pomóc w sprawie mającej związek z technologią cyfrową, zawsze jest szybka jak błyskawica, jakby nie miała w życiu nic innego do roboty.

– To chyba dobrze, nie?

– Tak, tak, ona jest po prostu niesamowita. Ale nie wiem, dlaczego nie znalazła imienia Ginebra, przecież od razu zwraca uwagę. To użytkowniczka, która zaczęła pisać na ścianie Any Belén, odkąd ta poinformowała o swojej ciąży. Przy odrobinie cierpliwości da się prześledzić ich rozmowy, dopóki nie umówiły się na prywatne spotkanie. I taka ciekawostka: konto Ginebry jest fikcyjne. Prawie nic się na nim nie

dzieje, nie ma żadnych osób, które dałoby się rozpoznać, tylko kilka gotyckich obrazków, jakby wrzuconych po to, żeby schlebić gustom Any Belén. Podobno ta osoba mieszka w Vitorii. Nic więcej z tego konta nie wynika.

– Do czego zmierzasz?

– Że Milán z pewnością rzuciło się w oczy to fałszywe konto. Ja znalazłam je po kilku godzinach szukania. I nie przestaję się zastanawiać, dlaczego Milán nie udzieliła mi tej właśnie informacji o przyjaciółce, która prawdopodobnie towarzyszyła Annabel Lee podczas ostatniej wycieczki do San Adrián.

– Golden wspominała coś o imionach – powiedziałam.

– Imionach?

– Tak, żebym zaczął od imion, że dla Rebeci wszystko ma znaczenie. Zauważyłaś to co ja?

– Nie...

– Golden opowiadała, że mieszkały z Rebecą w Amsterdamie, ale podróżowały do Mediolanu i Genewy...

– Więc te imiona: Milán, Ginebra, mogą kojarzyć się z nazwami miast, w których mieszkała Rebeca.

– Nie tylko. Saúl... – Zaciąłem się, chyba z zimna. – Saúl wspominał, że oglądali w Mediolanie wystawę mumii z bagien i że było to dla nich wielkie przeżycie.

Estíbaliz zastanawiała się chwilę. Uniosła wzrok, nagie gałęzie gruszy dziadka szumiały na wietrze nad naszymi głowami.

– Milán jest niewinna, to wszystko dziwne zbiegi okoliczności, zachowujemy się jak dwoje paranoików – wyrecytowała, nie odrywając spojrzenia od starego drzewa.

– Milán jest niewinna, to wszystko dziwne zbiegi okoliczności, zachowujemy się jak dwoje paranoików – powtórzyłem słowo w słowo.

Bardzo pragnąłem się o tym upewnić, a może wypowiedzieć na głos życzenie.

Milán przypominała mi kogoś, kogoś z przeszłości. Zauważyłem to w chwili, kiedy mi ją przedstawiono, ale nie potrafiłem sobie za nic przypomnieć, skąd mógłbym ją znać.

– Wracajmy do Vitorii – zaproponowała Esti. – Porozmawiam z Albą, powiem jej o naszych podejrzeniach co do Milán... Chociaż to nie są podejrzenia, prawda, Unai? Tylko dmuchamy na zimne.

– Tak, wracajmy. Ja też muszę złożyć komuś wizytę.

Jak tylko dojechaliśmy do Vitorii, zadzwoniłem do niego ze starego telefonu. Asier

należał do osób, które wykluczyłem z listy godnych bezwarunkowego zaufania.

– Asier, muszę z tobą porozmawiać. Teraz.

– Teraz to niemożliwe, przyjacielu – przerwał. – Jem obiad w El Portalón z przedstawicielem firmy farmaceutycznej.

– Jak skończycie, poczekaj tam na mnie, już do ciebie ruszam – powiedziałem i rozłączyłem się, nie dając mu czasu na to, żeby zaprotestował.

Poszedłem do końca ulicy Correría w północnej części „średniowiecznego migdała”, gdzie naprzeciwko placu Burullería stał zajazd działający nieprzerwanie od sześciuset lat. Dyskretne miejsce, w którym zamierzałem porozmawiać o równie dyskretnych sprawach.

Minąłem wielkie drewniane wrota i zapytałem o swojego przyjaciela. Kelnerka w regionalnym baskijskim stroju wysłała mnie na górę do starej jadalni z dębowymi belkami na suficie, znajdującej się przy dawnej kaplicy zajazdu.

Asier był sam. Musiał pożegnać się szybko z przedstawicielem handlowym i czekał na mnie, sądząc po minie, zniecierpliwiony. Źle wyglądał. Nowy rok najwyraźniej zaczął się dla niego fatalnie, być może kryzys małżeński właśnie osiągnął apogeum. Ale to były tylko domysły.

– Jak twoja głowa? – zapytał. – Zdaje się, że spędziłeś sylwestra w szpitalu.

– Oglądałem *Podejrzanych*. – Z Albą, dodałem w myślach. – Nieźle się bawiłem.

– Dobry film. Podoba mi się zwłaszcza to zdanie o diable.

Nie zrozumiałem, o co mu chodzi, pewnie dlatego, że była pora sjesty.

– Jakie zdanie o diable?

– Cytat z Baudelaire’a, który wypowiada Pleciuch: „Najsprytniejszą sztuczką diabła było przekonanie ludzi o tym, że nie istnieje”.

Spojrzałem na niego bez słowa. Czemu wspominał mi o sztuczkiach i o diable? Odchrząknąłem i oświadczyłem:

– Muszę ci zadać kilka pytań.

– Spodziewałem się tego. Ostatnio trudno o to, żebyśmy się spotkali na niewinną kawę. No dobra, wal, za godzinę muszę być w aptece – powiedział, nie kryjąc irytacji.

– Powiedz mi wszystko, co pamiętasz, o Rebecce, córce Saula.

– Uch... to dziecko... – Skrzywił się, jakbym obudził w nim niemiłe wspomnienia.

– To dziecko co?

Asier zaczął zwijać w palcach cieniutką serwetkę z papieru, która po chwili zmieniała się w coś na kształt sznureczka.

– Nie za bardzo się lubiliśmy. Co chcesz wiedzieć?
– Dlaczego byłeś do niej taki uprzedzony? Unikałeś jej.
– Aresztujesz mnie za to? – rzucił zaczepnie.
– Wyluzuj, Asier.
– Dobra, przepraszam. Ta sprawa mnie denerwuje. Jak dobrze było nie wracać do przeszłości, co?

– Powiedz to J.

Westchnął, najwyraźniej go to zabolalo.

– No dobrze, Rebeca. Ona była dziwna. Pierwszego wieczoru zaciągnęła mnie do kuchni i zaczęła mi się wyplakiwać w rękaw. Opowiedziała mi tak chorą historię, że miałem ochotę spakować się i wracać do Vitorii. Naprawdę pomyślałem: w co ja się wpakowałem? Żeby dziewczynka dwunasto-, może trzynastoletnia miała tak obrzydliwą wyobraźnię...

– Co ci opowiedziała, Asier?

– Że jej ojciec ją dotyka, tak, prosto z mostu. Cześć, nazywam się Rebeca i mój ojciec dotyka mnie tam, gdzie nie powinien. Że jej ojciec i jej ciotka żyli ze sobą. Że zaufała ciotce, która była lekarką, żeby zwierzyć się jej z tego, że ojciec ją molestuje. Wtedy ciotka sfabrykowała jej historię choroby i wpakowała ją na oddział psychiatryczny szpitala Valdecilli.

– Już o tym słyszałem – powiedziałem, kończąc swoje cappuccino.

– Dostała hysterii, mówiła, że jej choroba to kłamstwo, że ona nic nie zmyśliła, że jej ciotka i ojciec byli ze sobą, odkąd zostali na świecie sami po śmierci jej dziadków. Nie pamiętam z tego wiele, nie chciałem zapamiętać, myślałem tylko, jak ulotnić się z tej kuchni i o tym, żeby Saúl nie przyłapał mnie pierwszej nocy ze szlochającą córką.

– Spróbuj sobie przypomnieć, to dla mnie ważne.

– Jej babcia podobno przez wiele lat nie wstawała z łóżka, bo złożyła jakieś ślubowanie Matce Boskiej, że nie poznała dziadka, ale w Santillanie opowiadano o nim dziwne rzeczy, że kiedy dziadkowie umarli, Saúl zamieszkał z siostrą, która studiowała już wtedy medycynę. To była historia o molestowaniu i kazirodztwie, wydawała mi się wtedy wytworem chorego umysłu. Do tego Rebeca broniła Saula. Zarzucała mu straszne rzeczy, a w następnym zdaniu zapewniała, że bardzo go kocha. Pomyślałem, że jest nieźle szurnięta. Wiem, że Saúl ostrzegał J., żeby jej nie wierzył, wiem też, że Rebeca opowiedziała to samo jemu i Annabel. A Saúl naprawdę się o nią martwił. Uwierzyłbyś jej? Próbowowała ci wciskać te historie?

– Chyba próbowała. Mieliśmy jeszcze pogadać, ale nigdy do tego nie doszło.

Bo śmierć Marian stanęła na przeszkodzie, dodałem w myślach.

– Ta dziewczynka była wariatką, mówiła jak wariatka.

– Chyba masz rację. Saúl powiedział nam, że cierpiała na psychozę i urojenia paranoidalne. – Zrobiłem przerwę, żeby uporządkować myśli. – Miała kompleks Elektry, była zakochana w Saulu. Robiła to wszystko, żeby zwrócić jego uwagę.

– No tak, to nawet było widać na obozie.

– Intuicja cię nie zmyliła – ciągnąłem. – Wymyśliła sobie molestowanie i kazirodczy związek ojca z ciotką.

– Kurwa, co za popsuta główka.

Pokiwałem głową. Nie podobały mi się słowa, jakich używał Asier, ale co do meritum się zgadzałem.

– Ale jakie to ma teraz znaczenie? Przecież mówiłeś, że dziewczynkę zabito rok później.

– Możliwe, że jednak żyje i chce się na nas zemścić.

– Jak to: żyje?

– Muszę ci zadać osobiste pytanie. Powiedziałeś mi, że to niemożliwe, żebyś był ojcem dziecka, którego spodziewała się Annabel Lee. A co z Araceli? Czy nie jest czasem w ciąży?

Nie chciałem mu zdradzać, że to J. był ojcem dziecka Annabel. Po trosze dlatego, że śledztwo zostało utajnione, po trosze dlatego, że wiedząc więcej od niego, zachowywałem przewagę w strategicznych pojedynkach, w jakie zamieniły się nasze rozmowy.

– Nic o tym nie wiem. Już ci mówiłem, jakie mam zamiary co do naszego chorego małżeństwa, kiedy wreszcie skończysz to swoje śledztwo, a ja będę mógł spokojnie skorzystać ze swoich milionów, nie ryzykując, że rzucicie się na mnie jak sfora wygłodniałych psów. Już raz zrobiliście taki numer Tasiowi, który spędził za kratkami dwadzieścia lat przez waszą niekompetencję.

Zacisnąłem zęby. Miałem wielką ochotę posłać go do diabła, ale musiałem wcześniej ustalić jeszcze kilka kwestii.

– Lepiej odpowiedz na moje pytanie, Asier. Nie chciałbym cię mieć na sumieniu. Jesteś pewien, że nie zostaniesz ojcem?

– Nie zostanę, Unai. No chyba że Ara jest w ciąży i ukrywa to przede mną.

– A jakaś inna kobieta?

– Żartujesz chyba. Mieszkamy w Vitorii, Unai. I ty też nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Jak to: Rebeca żyje?

– Dysponujemy zeznaniem szwagierki Saula, ciotki Rebeki. Twierdzi, że ona żyje. – Nabrałem tchu. Zbyt wiele zdań na raz. – Mamy podstawy sądzić, że ona żyje i zabiła Annabel i J. Nie poznałeś ostatnio żadnej kobiety, która mogłaby nią być? Trzydzieści osiem lat, wykształcona, kiedyś miała ciemne włosy, ale wiadomo, że są sposoby, żeby zmienić wygląd.

– Moja żona – powiedział z nagłym przerażeniem w głosie.

– Araceli? Co ty mówisz?

– Moja żona – powtórzył ciszej. – Araceli tu jest, błagam, bądź dyskretny. Nie powinna się dowiedzieć, o czym rozmawiamy.

I wtedy zrozumiałem. Araceli stała na progu małej salki. Jak dawno tu weszła? Ile z naszej rozmowy usłyszała?

Wstaliśmy obaj, kiedy do nas podeszła, jak para dzieciaków przyłapana na wyjadaniu słodyczy z kredensu.

– A co ty tu robisz? – zapytał Asier, całując ją chłodno na powitanie.

Araceli skrzyżowała ręce na piersiach. Coraz bardziej przypominała mi Annabel Lee i byłem ciekawy, czy Asier też to widzi.

– A co? Nie wolno mi zobaczyć się z własnym mężem?

– Myślałem, że jesteś w Donostii.

– W Bilbao. Byłam w Bilbao. A kiedy skończyłam zajęcia, pomyślałam: „Zrobię niespodziankę mężowi”. I przyszedłam do restauracji, w której jesz obiad we wtorki, żeby zobaczyć, czy ten jeden jedyny raz będziemy mogli spędzić chwilę spokojnie. Czy zrobiłam coś nie tak? Cześć, Unai – przywitała się ze mną dwoma całusami w policzek. – Przepraszam, że nie przywitałam się od razu, ale jak słyszałeś, musiałam wytłumaczyć mężowi, co tu robię.

– Cześć, Ara! – odpowiedziałem.

Nie zamierzałem wtrącać się w ich sprawy.

– Wszystko w porządku? – zapytała podejrzliwie. – Bo miny macie nietęgie.

– W porządku – odpowiedziałem, siłąc się na pokerową twarz. – Po prostu stęskniłem się za chwilami normalności w naszej paczce, nic poza tym.

– Tak. Ja też. Wszyscy zachowujemy się jakoś dziwnie. Już nie jest tak jak dawniej. Mamy największy współczynnik śmiertelności ze wszystkich tutejszych grup przyjaciół. Najpierw Martina, teraz J.

– To miał być dowcip? – burknął Asier.

– Zostawmy to. Już nie wiem, jak ci poprawić humor.

– Kochani, ja już się zbieram – powiedziałem szybko.

Na szczęście w tej chwili zadzwonił telefon, pożegnałem się więc z nimi z obojętną miną i wyszedłem na ulicę, żeby pogadać z Estíbaliz.

– Unai, rozmawiałam z Albą o Milán Martínez. Dowiedziałam się, że urodziła się w Santander. To dziwne, prawda? Nigdy nam o tym nie wspomniała, nie chciała jeździć z nami do Kantabrii.

– To jeszcze nie czyni jej podejrzaną. O czym myślisz, Esti?

– Że ktoś zhakował ci stary telefon, zmieniłeś go na nowy... Mówię tylko na wszelki wypadek: a jeśli Rebeca śledzi postępy w śledztwie, monitorując twój nowy telefon?

– Czy sugerujesz, że Rebeca... to Milán? Porozmawiajmy z nią od razu, wyjaśnijmy wszystko – zaproponowałem, próbując zachować zdrowy rozsądek.

Ciągle brzmiało mi w głowie zdanie zacytowane przez Asiera: „Najsprytniejszą sztuczką diabła było przekonanie ludzi o tym, że nie istnieje”.

Jeśli Rebeca nie zginęła, mogła wcielić się w każdego. Nawet w Milán.

– Gdzie jesteś, Unai? Ja właśnie idę do Torre de los Anda. Z dokumentów Alby wynika, że Milán Martínez mieszka w tym budynku.

– Jestem akurat niedaleko, wychodzę z El Portalón. Czekam na ciebie.

Chwilę później stanęliśmy oboje przed imponującą średniowieczną budowlą stojącą przy placu Burullería.

Estíbaliz wyjęła telefon i wybrała numer Milán.

– Byliśmy z inspektorem Ayalą na obiedzie w El Portalón i pomyśleliśmy sobie: zajrzemy do Milán, mówiła przecież, że wynajmuje mieszkanie w Torre de los Anda.

– Nigdy nie mówiłam, gdzie mieszkam, pani inspektor.

– A, nie? Może wiem od Peñi...

– Nie sądzę.

– No ale jesteśmy na dole i w sumie zżera nas ciekawość. Nie znaleźliśmy wcześniej nikogo, kto mieszkałby w najstarszym domu w Vitorii. Możemy wejść? Zadzwonię domofonem, dobrze?

Milán zawahała się, ale w końcu otworzyła.

Kiedy dotarliśmy na ostatnie piętro, usłyszeliśmy hałasy, jakby ktoś naprędce próbował uprzątnąć mieszkanie.

Estíbaliz zadzwoniła do drzwi.

Milán otworzyła nam z mokrymi włosami, w szlafroku, pod którym nie miała nic, i dopiero wtedy zrozumiałem to dziwne poczucie, że ją znam, które ogarniało mnie zawsze w jej obecności. Zrozumiałem też podejrzenia dziadka: Milán nie była Rebecą,

nie mogła nią być, przypominała za to do złudzenia Marian, studentkę historii, której nie zdołałem ocalić dwadzieścia cztery lata wcześniej.

TORRE DE LOS ANDA

10 stycznia 2017, wtorek

Instynktownie cofnąłem się o krok. Milán z mokrymi włosami zbyt boleśnie skojarzyła mi się z ostatnim wspomnieniem, jakie zachowałem o Marian, kiedy trzymałem ją w ramionach obok wysepki Urro del Manzano.

– Marian? Ty jesteś Marian?

Milán zbladła. Estíbaliz nic nie rozumiała.

– Kto to jest Marian? – zapytała.

– Nie jestem Marian – zaprzeczyła Milán, wciąż stojąc na progu.

Przestraszyłem się, że zatrześnie nam drzwi przed nosem.

– Jesteś do niej bardzo podobna, dopiero teraz sobie to uświadomiłem. Starsza niż ona wtedy, ale...

– Nie jestem Marian.

– Możemy porozmawiać o tym spokojnie w środku, Milán? – zaproponowała Estíbaliz, jedną nogą w przedpokoju.

– Oczywiście. Nie spodziewałam się tej wizyty. Przepraszam za bałagan.

Ruszyliśmy korytarzem tego wielowiekowego domu. Mijając jeden z pokoi, Esti i ja zamarliśmy z wrażenia.

Ścianę gabinetu, w którym jedynym sprzętem był laptop, obwieszono zdjęciami i post-itami, różowymi, zielonymi i pomarańczowymi. Na różowych opisano fotografie Saula Tovara. Tuziny jego fotografii. Zdjęcia Saula z dzieciństwa, z młodości, z obozów, a także z kongresów, w których uczestniczył przez ostatnie dwadzieścia lat, odkąd straciłem go z oczu. W przeciwieństwie do Milán, sądząc z tego, co zobaczyłem na tej dziwnej *wonderwall*.

Zielone post-ity opisywały zdjęcia Asiera, Lutxa, J. i moje. Znalazłem tam wspólne wyjścia naszej paczki, które wrzuciliśmy na portale społecznościowe, i wszystkie wzmianki o mnie w prasie podczas śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa

w dolmenie. Były tam też zdjęcia, które zawsze uważałem za prywatne.

Pomarańczowe post-ity opisywały oś czasu Annabel Lee aż do jej śmierci. Całą karierę, odkąd zaczęła publikować jakieś dwadzieścia lat temu. Milán zgromadziła o wiele lepszą dokumentację graficzną niż nasz zespół podczas śledztwa.

Podszedłem do ściany i zerwałem jedno ze zdjęć, którego odbitkę przechowywałem na strychu w Villaverde. Byliśmy na nim wszyscy, jeszcze beztroscy, weseli, nieświadomi tego, co spotka nas kilka dni później.

– Milán, musisz nam to wszystko wyjaśnić – powiedziałem, odwracając się do niej z fotografią w ręku. – A może powinienem ci mówić Marian?

– Czy ktoś wreszcie mi wyjaśni, kim jest Marian? – wkurzyła się Estíbaliz.

– Była.

– Kim była? – upierała się moja partnerka.

– Moją starszą siostrą. Umarła, a może została zamordowana na obozie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku.

No tak... To podobieństwo, rysy twarzy, które już wcześniej widziałem. Blisko osadzone oczy, sylwetka spartańskiej wojowniczkę gotowej do walki.

– Siostrą? Nie wiedziałam, że Marian miała siostrę.

– Miała rodzinę, inspektorze Ayala. Wy żyliście sobie spokojnie dalej, nie stawiając niepotrzebnych pytań. Ale nikt nie wytłumaczył tego wszystkiego moim rodzicom. Byli starszymi ludźmi, kompletnie się załamali, nie mieli siły, żeby dociekać prawdy. Ja byłam małą dziewczynką i nagle... nagle zostałam bez siostry, która mnie wychowywała. Muszę wiedzieć, czy to był wypadek, czy sama skoczyła, a może ktoś ją zabił. Nikogo chyba nie obchodzi, co się tam naprawdę stało. Po prostu pewnego niedzielnego popołudnia przywieziono nam do domu trupa.

– Czekaj, czekaj. Jak to ktoś ją zabił? Przecież spadła z klifu.

– Widział pan to? – wycedziła ze złością przez zęby i wyrwała mi zdjęcie.

– Nie.

– Ktoś to widział?

– Saúl.

– No właśnie. Saúl.

– Uważasz, że Saúl nas okłamał? Że zepchnął ją z klifu?

– Pan rzucił się za nią do wody. Musiał pan być blisko. Co się właściwie stało?

Przypomniałem sobie to, o czym nie chciałem pamiętać. Najczęściej nawiedzającymi mnie wspomnieniami z tamtego dnia były gwałtowne fale, które zdarły mi skórę z rąk,

i ciężar ciała jej siostry. Bardzo fizyczne doznania, to głównie zarejestrował mój mózg. Ale jak miałem jej to powiedzieć?

– Siedziałem z Annabel niedaleko klifu, w pobliżu plaży Portío. – Musiałem się skupić, żeby wymówić tak długie zdanie. – Twoja siostra... zapytała o Saula i pobięła do niego, była wściekła. Chwilę później zobaczyliśmy ją w wodzie, w pobliżu wysepki Urro del Manzano.

– Jak mogła spaść? Nie była idiotką. Na pewno nie próbowała się też zabić na oczach swojego wykładowcy, wiedząc, że jesteście tak blisko.

– Saúl mówił, że zerwał się silny wiatr. Straciła równowagę...

– Czy tego dnia wiał silny wiatr, inspektorze?

– Zaczynało padać, ale szczerze mówiąc, tam gdzie siedzieliśmy z Annabel, nie było wiatru. Potem rozpętała się burza, morze się wzburzyło.

– A pan uwierzył, że podmuch wiatru zwał moją siostrę?! – krzyknęła.

Zamurowało mnie. Tak naprawdę nigdy nie zastanawiałem się nad tym, jak silny musiałby być wiatr, żeby ważąca osiemdziesiąt kilo osoba straciła równowagę.

– Dostyc tego! – przerwała Estíbaliz, stając między nami. – Uspokójcie się oboje. Chodźmy do salonu, porozmawiajmy spokojnie. Musicie wyjaśnić mi wszystko dokładnie, żebym zrozumiała, o co chodzi.

Oboje byliśmy od niej wyżsi przynajmniej o dwie głowy, była przy nas jak piórko, ale zapracowała sobie uczciwie na stopień inspektora.

Posłuchaliśmy jej i już po chwili siedzieliśmy w niewielkim salonie mieszkania Milán. Z ogromnych okien rozciągał się widok na plac Burullería, restaurację Portalón i dawne Muzeum Archeologiczne. To chyba najpiękniejszy fragment średniowiecznej zabudowy w całym mieście i łatwo się na niego zapatrzeć, ale my z Estíbaliz mieliśmy pilniejsze sprawy na głowie.

– Mam wam chyba dużo do opowiedzenia – wymamrotała Milán, kładąc czoło na rękawie szlafroka.

– Domyślam się, że poprosiłaś o przyłączenie do naszej jednostki po zabójstwie Any Belén Liaño.

– Tak. Śledziłam inspektora Ayalę. Nie tylko dlatego, że prasa pisała tyle o Krakenie, ale też dlatego, że to jedyne nazwisko, jakie podano moim rodzicom. Nazwisko chłopaka, który rzucił się, żeby wyłowić zwłoki mojej siostry.

– Ona jeszcze żyła – powtórzyłem po dwudziestu czterech latach, nieświadom swoich słów.

– Na pewno?

– Nie... – musiałem przyznać. – Zawsze mi mówili, że już nie żyła, ale ja wskoczyłem do wody, bo myślałem, że jest inaczej.

– Może nie przedłużajmy tej rozmowy, dobrze? Potem spokojnie pogadacie o szczegółach, ale zrozum, Milán, muszę wyjaśnić kilka wątpliwości. Przeglądając Facebooka Annabel Lee, znalazłam fikcyjny profil. Kogoś, kto nazywa się Ginebra. Ta osoba zaprzyjaźniła się z Aną, kiedy ogłosiła, że jest w ciąży. Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś?

– Bo to nie jedyny fikcyjny profil, jaki znalazłam: były też Brianda, Alana... Inspektor Ayala powiedział, żebym zwracała uwagę na imiona i nazwiska. Pomyślałam, że przyjrę się wszystkim nickom związanym z kulturą celtycką. I znalazłam dwa, które do niczego mnie nie doprowadziły, jedna osoba nazywa się Linett, co oznacza „nimfa”, druga Begoña Kortajarena. Jak widzicie, same ksywki nie sugerują, że oba profile należą do osób, które nie istnieją. Nie chciałam mącić w głowie przełożonym, zanim nie znajdę solidnych dowodów. Czy zrobiłam coś źle?

Estíbaliz zastanowiła się chwilę nad odpowiedzią.

– Nie, to chyba ja się pospieszyłam i wyciągnęłam nieodpowiednie wnioski. Tak czy siak, muszę zadać ci to pytanie, Milán. Gdzie byłaś siedemnastego listopada nad ranem?

– Tutaj. Spałam w swoim łóżku. Jak prawie wszyscy.

– A możesz w jakiś sposób udowodnić, że mówisz prawdę?

– Nie. Jak prawie wszyscy – odrzekła ze swoją żelazną logiką.

– Dobrze. A w nocy z trzeciego na czwartego grudnia? To była sobota. Wychodziłaś? Ktoś cię widział?

Milán skrzywiła się, zdenerwowana. Wcisnęła się w oparcie kanapy.

– Tego nie mogę powiedzieć – oznajmiła i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Jak to nie możesz powiedzieć? Ktoś cię widział czy nie? – naciskała Estíbaliz.

– Naprawdę nie mogę tego ujawnić.

– Milán, to bardzo proste. Musisz tylko powiedzieć, czy ktoś potwierdzi, że tej nocy nie spotkałaś się z Josem Javierem Huetą w jakimś barze Cuesty, nie zabiłaś go ani nie powiesiłaś ciała w muzeum Barbacana.

– A ja odpowiem, że nie mogę zdradzić, gdzie byłam, ani wskazać nikogo, kto to potwierdzi – powtórzyła stanowczo.

– Milczy, bo nie chce narobić mi kłopotów – odezwał się Peña, który wyłonił się nagle z łazienki. Zupełnie nagi.

Kiedy minęło pierwsze zaskoczenie, Esti zapatrzyła się kilka sekund dłużej, niż nakazuje przyzwoitość, na prawie białe włosy na ciele Peñi.

– Inspektorze Peña, proszę się wytłumaczyć – musiałem powiedzieć ja, bo nikt nie kwapił się, by przerwać kłopotliwe milczenie.

– Była ze mną w tym mieszkaniu przez całą sobotnią noc, nad ranem i przez całą niedzielę. Możemy to udowodnić, ale zdjęcia są dość pikantne. Czy to będzie konieczne?

MALQUERIDA

13 stycznia 2017, piątek

Styczeń dopiero się zaczął, a już zdążył mi przynieść jeden z najgorszych dni w tym roku. Nie wierzę wprawdzie w pechowe piątki trzynastego, ale wtedy prawie zmieniłem zdanie.

Poranek wstał zimny i ciemny, lodowate jak śmierć powietrze przenikało wszystkie warstwy ubrań i nie było takiej kurtki, która utrzymałaby w ciepłe ciało i duszę. Moje białe miasto pokryte porannym szronem było jeszcze bielsze niż zazwyczaj.

Poprzedniego wieczoru Alba nie chciała się ze mną spotkać, nie pamiętam już, jaką wymówkę przesłała mi na nowy numer. Potem wyłączyła telefon i kolejne moje wiadomości nawet do niej nie dotarły.

Przez ostatnie dni miałem wrażenie, że kiedy rozmawiamy w komisariacie, traktuje mnie chłodno i obojętnie. Żadnej chemii, żadnych porozumiewawczych spojrzeń ani mrugania okiem.

Może źle się czuła z powodu ciąży, może bała się kolejnego ataku rzucawki podobnego do tego, który już raz przeszła. Zadowolwszy się na razie tym wytłumaczeniem, kupiłem rożek pieczonych kasztanów. Umówiłem się z Albą w La Malquerida, barze niedaleko domu. Byłem stanowczy, nie dałem jej się wykręcić. Tak się zachowuję, kiedy jestem zdesperowany, i nic na to nie poradzę.

Trochę zdenerwowany czekałem na nią w kącie baru. Kasztany ogrzewały moje zlodowaciałe dłonie. Zastanawiałem się, czy nie wystawi mnie do wiatru.

A jednak przyszła. Przyszła równie piękna jak smutna, w swoim ulubionym puchowym białym płaszczu, który sprawiał, że wyglądała jak pani z jeziora przeniesiona ze średniowiecznej legendy.

Przywitała się ze mną oschle, wszystkie moje próby rozmowy na błahe tematy spaliły na panewce. Zapadła niezręczna cisza.

– Wiesz, czemu to miejsce nazywa się La Malquerida – Niekochana? – zapytała nagle. Miałem wrażenie, że myślami jest gdzieś bardzo daleko. – Ze względu na

twojego znamienitego przodka, Pedra Lopeza de Ayalę.

– Ty też masz z nim coś wspólnego – wtrąciłem. – Jego ojciec był hrabią Salvatierry.

– Z tego, co wiem, był niezłym pieniaczem, toczył spór nawet z własną matką, druga żona opuściła go, chociaż mieli dzieci, i musiała szukać schronienia u jego największego rywala. Podobno ta nieszczęśliwa żona mieszkała właśnie tutaj, w zaułku wychodzącym na Puerta de San Miguel.

– Czuję, że masz do mnie o coś żal, i nie mam pojęcia, o co chodzi – powiedziałem i wyciągnąłem ku niej dłoń rozgrzaną od kasztanów, ale ona szybko cofnęła rękę.

– Unai, chodźmy do ciebie. Muszę porozmawiać z tobą w cztery oczy.

– Dobrze. Nie wiedziałem, czy będziesz chciała przyjść – zgodziłem się.

Zapłaciliśmy rachunek w pośpiechu i ruszyliśmy do mojej ciepłej norki na trzecim piętrze.

Zamknąłem za sobą drzwi, ale szybko zrozumiałem, że ciepło mojego mieszkania to dziś o wiele za mało. Alba była zimna jak lód i nie widziałem sposobu, żeby to zmienić.

Stałem obok niej w salonie. Patrzyła smutno przez okno na plac Virgen Blanca, jakby żegnała się z tym widokiem.

– Co się stało, Albo?

Bo rozumiem, że coś się stało, i to coś bardzo poważnego.

– Tasio Ortiz de Zárate, brat mojego nieżyjącego męża...

– Wiem, kim jest Tasio – przerwałem jej.

Nie musiała mi przypominać wszystkich tragedii, jakie kryły się za tymi słowami.

– Dzwonił do mnie. Przysłał mi to. Sam oceń. – Podsunęła mi wyświetlacz swojego telefonu.

Był to skan starej fotografii. Dwoje dzieci, identycznych noworodków, leżało blisko siebie.

– Co to jest?

– To Ignacio i Tasio.

– Ale po co Tasio przysłał ci to zdjęcie?

– Ty mi to wyjaśnij, Unai.

Tak, powinienem był jej powiedzieć. Tak myślałem, że to się źle skończy.

– Rozmawiałeś z Tasiem, opowiedziałeś mu o nas, poinformowałeś, że spodziewam się dziecka, a ty jesteś ojcem. Poprosiłeś go, żeby włączył coś, co powinno być moją osobistą sprawą, do scenariusza serialu, który obejrzą miliony osób! – wykrzyczała zrozpaczona.

- Chciałem ją chronić.
- Moją córkę? Naprawdę zamierzałeś chronić ją w ten sposób? – krzyknęła jeszcze głośniej.
- Jeśli Tasio nie włączy do scenariusza naszej historii, wszyscy zaczną podejrzewać, że jest dzieckiem Nancha. Będzie dorastać jako córka seryjnego mordercy.
- Alba spojrzała na mnie wzrokiem, w którym mieszały się niedowierzenie i bezsilność. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie, zupełnie nie panowała nad sobą.
- Powinieneś był zapytać mnie o zgodę! – krzyczała. – Tak robią ludzie, którzy się kochają, Unai. Ale ty, zdaje się, zapomniałeś, co to znaczy dzielić z kimś życie. To, co zrobiłeś, uderzy rykoszetem we mnie i w moją córkę. Bo Tasio na tym nie poprzestał.
- Nie rozumiem.
- Poprosił, żebym zrobiła test DNA, kiedy się urodzi. Chcą z Ignaciem mieć bratanicę. Mówi, że oni nie zamierzają mieć potomstwa, postanowili więc przekazać jej całe dziedzictwo rodziny Ortiz de Zárate, chociaż wiedzą, że są nieślubnymi synami doktora Urbiny. Ale nie mają innej rodziny.
- I co... co im powiedziałaś?
- Oświadczyłam Tasiowi, że nie zamierzam robić testów i ustalać, kto jest ojcem mojej córki, że planujemy ją wychować jako twoje dziecko i że w tym przekonaniu będzie dorastała. Ale Tasio uparł się, że jeśli jest jego bratanicą, chce być obecny w jej życiu. A ja nie życzę sobie... nie życzę sobie, żeby mojej córce choćby przez myśl przeszło, że jej ojcem mógł być Nancho. Tasio i Ignacio chcą być wujkami. I jak mam im w tym, do diabła, przeszkodzić?! Pomyślałeś o tym, kiedy do niego dzwoniłeś za moimi plecami? Pomyślałeś, że może zrujnować życie mnie i mojej córce?
- Myślałem tylko o tym, że wszyscy powinni wiedzieć, że jest moją córką, choć staję się w ten sposób łatwym celem szalonej Rebeci.
- Szalona Rebeca... Nawet nie jestem w stanie o tym myśleć. Nie mieści mi się w głowie, jak możesz być tak głupi. Aż się prosisz, żeby spotkało cię coś złego. Kręci cię to, chcesz skończyć powieszony, z głową w kotle pełnym wody?
- Ostrożnie, Albo! – ostrzegłem zirytowany.
- Ostrożnie? To ty zapomniałeś o ostrożności. Pozwoliłam ci wziąć udział w śledztwie i jak na razie nie mamy ani jednego podejrzanego. Co gorsza, twoje wpadki narażają nas wszystkich na niebezpieczeństwo.
- Przyznaję, Albo, jestem impulsywny. Zwłaszcza kiedy chodzi o ciebie. Tak było od samego początku. – Nabrałem powietrza, próbowałem się uspokoić. Na próżno. – Przepraszam, ale nie żałuję tego, co zrobiłem – ciągnąłem, nie potrafiłem się powstrzymać. – Nie pozwolę, żeby ktokolwiek myślał, że jest córką seryjnego

mordercy.

– A ja mam tego dość! Nie jesteśmy parą, nigdy nie byliśmy w prawdziwym związku, a już na pewno nie jesteśmy rodziną. Ty działasz na własną rękę, nie tylko prowadząc dochodzenie. Nie umiesz grać w drużynie, mówię to też jako twoja partnerka. Nie pozwolę ci bez konsultacji ze mną podejmować decyzji, które dotyczą także mnie. Wszyscy chcecie decydować za mnie i za moją córkę. Dzielicie się nią, jakby chodziło o łup wojenny albo kolekcję znaczków. Mówicie, że chcecie uczestniczyć w jej wychowaniu, że tego nie chcecie... Naprawdę myślicie o niej czy o własnych deficytach emocjonalnych?

– Nie wrzucaj mnie do jednego wora z Tasiem! – ryknąłem, tracąc panowanie nad sobą.

Alba wzięła swój biały płaszcz, zarzuciła go na ramiona i powiedziała na odchodnym:

– To jest pożegnanie, Unai. – Wiedziałem, że podjęła już decyzję. – Zmęczyłam się. Możesz widywać się z małą, możesz uczestniczyć w jej wychowaniu, ale każde z nas będzie mieszkało w swoim domu i będzie prowadziło odrębne życie. Jak rodzice po rozwodzie.

Genialnie, pomyślałem. Tworzyliśmy parę przez ułamek sekundy, a już zostałem rodzicem po rozstaniu.

I Alba odeszła, bledsza niż zwykle, a dla mnie znów stała się obcą osobą, którą spotkałem kiedyś o świcie pod arkadami ulicy San Miguel, ale której nigdy do końca nie poznałem.

Kipiąc z wściekłości, chwyciłem stary telefon, w nowym nie miałem jego numeru, poza tym nie chciałem, żeby MatuSalem mi go zhakował.

– Zawzięłeś się, że nie dasz mi pospać... Czy ty wiesz, która jest godzina w Los Angeles, Kraken? – odezwał się szorstko Tasio dziesięć tysięcy kilometrów od placu Virgen Blanca.

– Nie wiem i gównu mnie to obchodzi.

– Aj... – Zawiesił głos na kilka sekund, szybko domyślił się, w czym rzecz. – Chodzi o Albę, tak?

Tak, kolego, chodzi o Albę.

– Będę się streszczał – powiedziałem. – Nie masz prawa, nie możesz siłą doprowadzić do tego, żeby być obecny w jej życiu.

– Mogę iść do sądu i złożyć pozew o ustalenie ojcostwa, dobrze o tym wiesz.

– Naprawdę zamierzasz to zrobić?

- Chcę być przy niej, Kraken. Chcę być częścią jej życia. I dać jej to, czego nie daliśmy jej ojcu, Nanchowi.
 - Nie używaj mojej córki do załatwiania swoich porachunków z przeszłością.
 - Udowodnij, że to twoja córka, i nie będę miał wtedy żadnych praw.
 - Wiesz dobrze, że Alba nie chce zrobić testu. Wolałbym, żeby go zrobiła, uwierz. Ale zamierzam wychować tę dziewczynkę i nie ma dla mnie znaczenia, kto jest jej biologicznym ojcem.
 - A dla mnie ma. Dla mnie to, kto jest jej biologicznym ojcem, stanowi kwestię fundamentalną. Gdybyście mieli pewność, nie prowadzilibyśmy tej abstrakcyjnej dyskusji. Będę szczery: chcę, żeby nosiła nazwisko Ortiz de Zárate i była z niego dumna.
 - Nawet ty nie powinieneś się tak nazywać.
 - Nie zadzieraj ze mną, Kraken, mogę ci zrobić krzywdę. Jeszcze nie skończyłem scenariusza. – Znowu zmienił się w twardego skazańca, którego poznałem za kratkami.
 - Nie powinieneś mi grozić – ostrzegłem go. – Przymknąłem oczy na to, że MatuSalem mnie szpieguje, nie zadenuncjowałem go, a teraz tak mi odpłacasz? Wiesz, co to lojalność? MatuSalem powinien udzielić ci kilku lekcji.
 - Nie, jeśli w grę wchodzi moja krew.
- W kółko to samo.
- Nie będę ci przypominał, jak potraktowałeś swojego brata Nancha, kiedy was odnalazł.
 - Właśnie w tym rzecz.
- Byliśmy w impasie, tak zwykle się zdarza, kiedy rozmawia się w takich nerwach. Spróbowałem oddychać spokojnie, ale nigdy to na mnie nie działało, zwłaszcza wtedy, gdy byłem tak zdesperowany jak w tamten piątek trzynastego.
- Musiałem spróbować innej strategii, nie ze względu na mnie i moje potencjalnie zrujnowane życie, ale ze względu na potężną broń, którą sam mu podarowałem, zdolną zniszczyć życie Alby i naszej córeczki.
- Tasio. – Próbowałem działać racjonalnie. – Sam wiesz, co znaczy odrzucenie w mieście tak małym jak Vitoria. Przecież przez to przeszedłeś.
 - Przeszedłem? Wciąż przez to przechodzę. Jeśli byłoby inaczej, nie siedziałbym teraz w Kalifornii.
 - A chcesz, żeby twoja bratanica przechodziła przez to samo? Nie będzie dla niej lepiej, jeśli uznają ją za córkę bohatera?
 - Bardzo sprytnie, Kraken. Bardzo sprytnie. Ale twoje sztuczki profilera na mnie nie

działają. Nie zmienię zdania, Ignacio i ja chcemy być rodziną tej dziewczynki. A ty musisz się z tym pogodzić.

– Kurwa! – krzyknąłem. Do reszty straciłem cierpliwość. – Chciałem mieć rodzinę, a ty mi ją odebrałeś.

Wypowiedziane słowa spadły na mnie jak olbrzymia bryła lodu. Bo dotarło do mnie w całej pełni, że zerwanie z Albą jest ostateczne, że przez mój brak wyobraźni ona, jej córeczka i ja nigdy nie będziemy rodziną.

SANTILLANA DEL MAR

14 stycznia 2017, sobota

Tej nocy nie mogłem zasnąć. Kiedy mi się to zdarza, moje myśli krążą obsesyjnie wokół tego, co akurat mnie dręczy. A ja nie chciałem myśleć w kółko o rozstaniu z Albą. Znałem siebie, wiedziałem, ile mogę znieść. Postanowiłem więc skupić się na innym temacie. Na Rebecce Tovar.

Kim teraz jesteś, Rebeco?

Wróciłem do początku, tam gdzie wszystko się zaczęło, do Santillana del Mar, rodzinnego miasteczka Tovarów.

Włączyłem nowy, bezpieczny telefon. Zadzwoiłem w sobotę wcześniej rano. Wiedziałem, że jest skowronkiem jak ja.

– Inspektorze Ayala, jakieś nowiny? – zapytała ostrożnie, wyraźnie zaskoczona.

– Nie dzwonię, żeby cię naciskać. Ufam ci, Milán. Mam natomiast prośbę. Chciałbym cię poprosić o jedną z twoich magicznych sztuczek.

Opowiedziałem jej, czego potrzebuję. Dla niej to bułka z masłem. Poprosiłem o znalezienie wszystkich adresów powiązanych z pewnym studentem Uniwersytetu Kantabryjskiego.

Nie zamierzałem psuć soboty Estíbaliz. Chciałem poczynić jakieś postępy. Alba miała rację, najlepiej czułem się jako wolny strzelec. Podobnie jak w życiu, przynajmniej nie szkodziłem osobom, które kochałem.

Dwie i pół godziny po rozmowie z Milán wysiadłem z samochodu w Santillana del Mar.

Znalazłem chłopaka, który miał każde oko innego koloru, pod adresem podanym mi przez koleżankę: w sklepiku znajdującym się w sieni domu będącego kiedyś rezydencją jakiegoś możnego rodu. Teraz sprzedawano tu jedynie lokalny przysmak, czyli ciasto biszkoptowe i mleko.

Czekałem z cierpliwością kłusownika, aż obsłuży kolejkę turystów.

Kiedy uniósł wzrok znad trzymanej szklanki mleka, aż podskoczył i próbował uciec

schodami prowadzącymi na zaplecze.

– Nawet nie próbuj! – powiedziałem, chwytając go za chude ramię.

– Nie chcę, żeby widziano mnie z tobą.

– Trzeba było nie urządzać wyścigu stulecia na wydziale, geniuszu! Myślałeś, że odpuścimy ci tak łatwo?

– Właściwie to nie. Czego chcesz? – zapytał.

Lokal był pusty, a on utkwiał spojrzenie w drzwiach.

– To, co powiedziałaś o Sinobrodym, chłopcze... Nie daje mi w nocy spać.

– Ja z kolei zostałem bez ojca.

– Będziesz musiał mi to wytłumaczyć.

– O tak, czas najwyższy.

– Czas najwyższy na co?

– Żeby ktoś raz w życiu powiedział coś złego o moim ojcu. Żeby powiedział prawdę o tym, kim jest.

– Zamieniam się w słuch. Co ma wspólnego twój ojciec z Saulem Tovarem?

– Obaj byli z tą samą kobietą.

– Z żoną Saula?

– Żoną? Biedaczka. Jak może pan o to pytać po tym, jak skończyła? Po śmierci Asuncióń Peredy ludzie już nie bali się gadać. Wieść gminna głosi, że Saúl pozbył się jej, kiedy urodziła mu córkę. To dziwny facet, w gruncie rzeczy kobiety zawsze były mu obojętne. Mógł ich mieć na pęczki, przynajmniej tu w miasteczku, ale w ogóle nie zwracał na nie uwagi. Nie, miałem na myśli tę czarownicę jego siostrę, Sarah Tovar. Ta świętoszka zrujnowała życie mojej matce. Proszę, niech pan wejdzie na zaplecze, nie chcę, żeby widziano nas razem. Pan jest tym Krakenem z Vitorii, prawda?

Odburknąłem coś zamiast odpowiedzi. Moja sława zaczęła być męcząca.

W tej chwili z zaplecza wyłoniła się starsza kobieta i podeszła do chłopaka.

– Wszystko w porządku? Miałam wrażenie, że się z kimś kłócisz.

– Wszystko dobrze, babciu. To mój wykładowca z uniwerku, ucieszyliśmy się po prostu ze spotkania. Możesz stanąć na chwilę za ladą? My musimy porozmawiać.

Do środka weszła para amerykańskich turystów z przewodniczką. Babcia wzięła tacę z biskoptowym ciastem, gotowa ich obsłużyć.

Ja prześlizgnąłem się tymczasem pod kontuarem i poszedłem za chłopakiem na zaplecze, gdzie unosił się intensywny zapach krowiego mleka. Przypomniało mi to pierwsze lata życia, podwieczorki przy programie *Payasos de la tele* oglądanym na

czarno-białym telewizorze, w kojącej obecności rodziców.

Chłopak podsunął mi stare krzesło z aluminium i blachy i sam, nieco spięty, usiadł obok.

– Opowiedz mi wszystko, co wiesz.

– Wydaje mi się, że mój ojciec kochał się w Sarah Tovar przez całe życie. Był od niej starszy, ale znali się od dzieciństwa, a potem studiowali razem medycynę i od lat dziewięćdziesiątych pracowali w szpitalu Valdecilli. Mogę opowiedzieć to, co usłyszałem od matki: że rodzina Tovarów zawsze była dziwna, że matka Sarah i Saula przez ostatnie lata nie wstawiała z łóżka, że ojciec uchodził za bardzo religijnego i niezwykle surowego człowieka i że rodzeństwo było zżyte. Bardzo zżyte. Nie wiem, czy wyrażam się jasno.

– Wolałbym, żebyś mówił bez ogródek.

– Tu, w miasteczku, zawsze mówiono, że Sarah i jej młodszy brat żyli ze sobą, nie raz przyłapano ich, jak chodzili razem za rękę i się całowali.

– Miasteczka mają swoje gorące ploteczki – zauważyłem.

– Nie rozumie pan. Mówili o tym wszyscy. Plotkarze i osoby dyskretne. Wszystkie rodziny, spokrewnione, mieszkające w sąsiedztwie, bliżej z nimi związane. Mama twierdzi, że ojca bardzo te plotki złościły. Sarah wielokrotnie odrzucała jego zaloty, więc ożenił się w końcu z moją matką, chociaż jej nie kochał. Ale Sarah i on pracowali w tym samym szpitalu, mama szalała z zazdrości.

– Twój ojciec leczył córkę Saula.

– I niedługo później moi rodzice się rozstali.

– Dlaczego?

– Bo Sarah, która zdobyła już wtedy w szpitalu potężne wpływy, i mój ojciec zaczęli romansować. Któregoś dnia ojciec nie wrócił na noc. Matka spakowała mu walizki i wystawiła za drzwi. Była już wtedy ze mną w ciąży, wychowywanie mnie samotnie było dla niej trudne. Ojciec płacił alimenty, ale był nieobecny, nie pojawił się na mojej komunii, nie odwiedzał w Boże Narodzenie. Po prostu nie zaprzętał sobie głowy moją osobą. Jak się pan domyśla, nie darzę Tovarów szczególną estymą i wkurza mnie okropnie, że muszę codziennie widywać na uniwerku profesora Saula.

Nieobecny ojciec...

Chłopak zwierzał mi się nadal, a ja patrzyłem na niego i czułem wyrzuty sumienia. Zastanawiałem się, czy moja córka za dwadzieścia cztery lata opowie jakiemuś nieznajomemu historię swojego nieobecnego ojca.

FONTANNA KACZEK

24 lipca 1992, piątek

Unai przepychał się, trochę przytłoczony, przez tłum, który skakał i tańczył na ulicy Cuchillería.

Spędził niecały tydzień w Villaverde. Pomagał dziadkowi przy żniwach i próbował otrząsnąć się z tego, co przeżył w Kantabrii.

Jego brat Germán, który miał wtedy jedenaście lat, bardzo się przejął, kiedy go zobaczył z bandażami na rękach. Dziadek szepnął Unaiowi na ucho: „Potem mi opowiesz, nie chcę, żebyś wystraszył młodego”. I kiedy Germán położył się spać, dziadek posmarował ręce chłopca ziołową maścią domowej roboty. Była paskudnie lepka, ale przyspieszała gojenie.

Kilka dni później Unai mógł już zdjąć bandażę. Wszystko wróciło do normy szybciej, niż się spodziewał.

Najpierw J. przełamał się i zadzwonił do niego, potem przyszła kolej na Lutxa i Asiera. Żaden słowem nie napomknął o tym, co zaszło ostatniego dnia obozu, jakby istniała między nimi niepisana umowa, której mieli dotrzymywać przez całe życie. Tymczasem czekało ich święto: w piątek przypadała wigilia dnia Świętego Jakuba, zwanego Dniem Bluzy[6]. Obiecali sobie, że tej nocy zaszaleją na vitorskiej starówce, pójdą w tango i puszczą w niepamięć wszystkie swoje wzajemne pretensje i złe wspomnienia... Wszystko. Chcieli jak najprędzej zapomnieć.

Jedną stronę w notesie Unai omijał z daleka: tę z literą A, na której Annabel Lee zanotowała swoim gotyckim pismem numer telefonu z dopiskiem: „Dzwoń do mnie”. Unai nie był pewien, czy powinien posłuchać, czy dać sobie spokój.

Był na nią zły. Nie mógł wybaczyć jej obojętności, z jaką potraktowała śmierć Marian. Unai miał przecucie, że z Annabel nigdy nie będzie łatwo.

W piątek w południe dziadek zawołał Unaia.

– Dzwoni jakaś dziewczyna. Mówi, że chce z tobą rozmawiać – poinformował lakonicznie chłopca, który zrzucał właśnie ziarno do spichlerza.

Unai wbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie, i dopadł aparatu.

– Tak? – odezwał się w słuchawkę.

– Nie dzwoniłeś do mnie.

– Nie dzwoniłem.

– Jutro w sobotę o północy. Widzimy się w El Rojo.

O ósmej spotkali się całą paczką, jakby nic się nie stało, wrócili do dawnych relacji sprzed nieszczęsnego obozu. Poczuli ulgę, a przynajmniej udawali, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

W sobotę, ubrani już w swoje bluzy, spędzili dzień na ulicach miasta, zjedli na obiad tortillę w Deportivo Alavés, na kolację przekąsili po cztery *pintxos* na ulicy Dato.

Kiedy zapadła noc, ruszyli w kierunku Cuesta de San Vicente i snuli się ulicami Cuchillería i Pintorería.

Trudno było im cały czas trzymać się razem. Unai spotykał znajomych z Villaverde, J. kolegów z chóru, Asier kumpli z koszykówki... Tej nocy cała Vitoria stawiała się na starówce.

Kiedy wybiła dwunasta, Unai wciąż jeszcze był na końcu ulicy Cuchillería. Powiedział J.: „Spotkajmy się za dwie godziny w Okendo, widziałem znajomych i chcę się przywitać” i wyszedł z pełnego po brzegi baru. Ruszył pod prąd tłumy w bluzach i ludowych strojach.

Po drodze zgubił beret Elosegui pożyczony od dziadka, którego ten i tak nie używał. Ale chciał mu go oddać następnego dnia. Znalazł go na ziemi przy monumentalnej bramie Domu pod Sznurem.

Wsunął beret na głowę i w końcu dotarł do El Rojo, który pękał w szwach.

Przyszedł na spotkanie z Annabel spóźniony piętnaście minut. Szukał jej przy barze, szukał wśród tłumy tańczącego do *La negra flor*, przeboju zespołu Radio Futura drącego się *Al final de la Rambla...*, szukał wśród sączących piwo z metalowych kufli, ale po jego... dziewczynie?... nie było śladu.

Rozczarowany uznał, że nie ma tu czego szukać, i postanowił wrócić do Okendo.

Jutro zadzwonię i ją przeproszę. Umówimy się w bardziej sprzyjających okolicznościach, pomyślał.

Nagle wydało mu się, że widzi dziewczynę o długich czarnych włosach wchodzącą do toalety. Ruszył w tamtą stronę.

Chwilę zajęło mu dotarcie do drzwi, bo musiał przeciskać się przez tłum. Już miał wejść, kiedy zauważył, że toaleta jest zajęta. Przez dwie osoby, które znał bardzo dobrze.

Annabel w ludowym stroju neski siedziała na umywalce, jej koronkowe majtki zsunięte były do kostek. Odwrócony plecami do Unaia chłopak w bluzie ujeżdżał ją rytmicznie.

Unai poznał natychmiast pod beretem rudą czuprynę swojego przyjaciela Lutxa.

Tym razem... a był to już trzeci raz, kiedy przyłapywał ją na seksie z którymś z przyjaciół, nawet nie silił się na przeprosiny. Po prostu spojrzał Anie Belén w oczy i wycedził przez zęby na pożegnanie:

– Nigdy się już do ciebie nie odezwę, obiecuję ci to. – I odwrócił się na pięcie. Wcześniej zdążył jeszcze zobaczyć, jak Lutxo przerywa swój taniec, może zaskoczony, a może i nie, i uchyła beretu w geście pozdrowienia.

Potem otyły chłopak wrócił do tego, co przerwał.

Unai chciał zapomnieć, zapomnieć o wszystkim. Na kolejne dni uroczystości Świętego Jakuba zaszył się w Villaverde.

Miał wymówkę: kurs na ratownika w basenach Bernedo, w kolejny weekend zaś pomagał dziadkowi w zwożeniu słomy i uczył siedzącego mu na kolanach Germana prowadzić ciągnik John Deere. Chłopiec nie opuszczał go ani na chwilę, po tygodniach nieobecności przestraszył się najwidoczniej, że jego starszy brat – jego bohater – zniknie jak rodzice i już nigdy nie powróci.

Unai nie zaglądał do Vitorii przez całe lato. Zrobił jeden wyjątek, ostatniego dnia obchodów święta Białej Panienci dał się namówić J. i Asierowi na spotkanie. Koniec końców, nie chciał, żeby przez historię z Aną Belén ich paczka się rozpadła.

Wyrwał z notesu kartę z literą A i telefonem Any Belén i do czasu, kiedy kilka lat później nie przepisał numerów do telefonu, używał notesu zaczynającego się od litery B, a wszystkich Antoniów czy Aguirrów musiał umieszczać w innym miejscu.

I właśnie 9 sierpnia, pożegnawszy się z Celedonem na placu Virgen Blanca, czekali na Lutxa przy Fontannie Kaczek u wylotu ulicy Herrería, żeby wrócić razem do domu.

Lutxo przyszedł w końcu, trochę spóźniony i bardzo wzburzony.

Unai nie wyczuł jego zamiarów, nie dostrzegł pięści zmierzającej w kierunku swojego prawego policzka.

– Jest z tobą, prawda?! Wróciła do ciebie?! – krzyczał Lutxo. – Powiedziała mi, że ma innego i że go znam! To ty?

Unai, skołowany niespodziewanym ciosem, zachwiał się i upadł na ziemię.

– Czyś ty zwariował? Sądzisz, że po tym wszystkim mógłbym do niej wrócić? – odpowiedział, trzymając się za policzek.

Bolała go zuchwa, bardzo go bolała.

– Nie odpowiedziałeś mi.

– Owszem, odpowiedziałem.

Unai trząśł się z wściekłości, ale nie wstawał. Lutxo był wprawdzie gruby, ale strasznie nerwowy, a teraz w dodatku upalony, i nie bardzo nad sobą panował. Unai pozwolił, żeby kopnął go jeszcze dwa razy w brzuch. Niespecjalnie mocno, ale zabołało bardziej, niż się spodziewał. Unai zacisnął pięści i powoli się podniósł.

– Spadaj stąd, Lutxo! Wracaj do domu!

Ku zdumieniu przyjaciół Lutxo wybuchnął płaczem.

– Nie rozumiesz. To dzięki mnie ma przydomek Annabel Lee! Byliśmy parą od małego, od przedszkola!

– Ale ty chodziłeś do przedszkola Świętego Mateusza. – Unai jeszcze nic nie rozumiał. – Ona chodziła do Sendy, ze mną.

Wtedy do rozmowy włączył się zaskoczony J.

– Annabel chodziła z tobą do przedszkola?

– Tak, tak mi się przynajmniej wydaje – powiedział zmieszany Lutxo.

– Nie chciałem robić wam przykrości, ale nasza miłość... – zaczął J.

– Nie rób z siebie durnia – uciął Unai. – Mnie opowiedziała to samo.

– Kurwa! – wyrwało się Lutxowi, który wciąż miał zaciśnięte pięści. – Mnie sprzedała tę samą historyjkę z przedszkolem i że byliśmy kochankami od dziecka, że nasza miłość była jedyna...

– Ja pierdołę! – Przybity J. nie wytrzymał. – Mnie mówiła, że chodziła ze mną do przedszkola Desamparadas... Że zmieniła przydomek z mojego powodu i z powodu rysunku, który dała mi ostatniego dnia, kiedy dorośli nas rozdzielili...

– *Shit!* – wycedził Asier na potwierdzenie czwartej wersji tej samej bujdy.

To było za dużo dla Lutxa i jego straconych nadziei. Koniecznie musiał znaleźć winnego.

I znów walnął Unaia w ten sam policzek. Tym razem z rozdartej skóry zaczęła się sączyć krew.

– To byłeś ty, chodziło jedynie o ciebie! – krzyknął Unaiowi w twarz. – Z całej naszej czwórki ty byłeś dla niej wyjątkowy, prawda? Z nami tylko się zabawiała.

– Asierze, zabierz go! – poprosił Unai, cały się trzęsąc. – Zabierz go stąd natychmiast!

Asier zrozumiał w lot i pociągnął kolegę z powrotem ulicą Herrería.

– Chodź, postawię ci kolejkę – obiecał.

Być może niezwykłość tej propozycji sprawiła, że Lutxo dał się poprowadzić i oddalić od niebezpieczeństwa, jakie stanowił w tej chwili Unai.

J. nie ruszył się z miejsca. Na pewno też miał ochotę na ostatnie *katxi* piwa albo czegośkolwiek. Ale opłakany stan, w jakim znajdował się jego przyjaciel, kazał mu zapomnieć o topieniu smutków w alkoholu.

Podszedł do niego, przełożył długie ramię Unaia przez swój kark i podprowadził do fontanny.

– Czemu to zrobiłeś, Unai? Czemu mu nie oddałeś? – zapytał.

Unai włożył głowę do Fontanny Kaczek, zmył z puchnącego policzka krew.

Bo chciałem go zabić, pomyślał w duchu. I nie byłby to pierwszy raz, kiedy ktoś umiera z mojej winy.

58

ŻMIJA

15 stycznia 2017, niedziela

Przez wiele lat nie rozumiałem, dlaczego Annabel chciała, żeby każdy z nas przyłapał ją na seksie z przyjacielem. Miała ksywkę Żmija, tak mi kiedyś powiedziała.

Tym była dla naszej czwórki. Żmija, której każdy z nas w swej dziecięcej naiwności dał się ukąsić. Była końcem naszej niewinności. Ostatecznym kresem dzieciństwa.

Annabel wydawała się kimś więcej niż człowiekiem, myślałem o niej jak o jednej z symbolicznych postaci zaludniających kartki jej komiksów: bywała zgrzybiałą staruszką przybierającą postać pięknej dziewczicy i uosabiającą samą śmierć, leciwym mężczyzną z brodą – starym mentorem, listonoszem symbolizującym posłańca, młodym żołnierzem, który nie kwestionuje rozkazów i ucieleśnia żołnierski los.

I dwadzieścia cztery lata później, kiedy sądziliśmy, że już dawno wylizaliśmy rany, które w rzeczywistości nigdy naprawdę się nie zabiły, wróciła. Jej imię działało jak dawna klątwa, wystarczyło je wspomnieć, żeby jego zdradziecka moc zniszczyła nam życie i rozbiła w puch naszą paczkę, która, jak mylnie sądziliśmy, oparła się próbie czasu.

SZPITALNA KAPLICA

16 stycznia 2017, poniedziałek

Spędziłem weekend w Kantabrii. Nie chciałem wracać do lodowatej Vitorii, swojego lodowatego mieszkania ani do swoich lodowatych problemów uczuciowych. Wynająłem dom w Somocuevas, na Costa Quebrada, w nadziei, że morskie powietrze dobrze mi zrobi.

Okna sypialni wychodziły na trawnik za domem i klify, na które spoglądałem zaraz po przebudzeniu. Urwisty brzeg, którego nienawidziłem... Ale zmuszałem się do patrzenia na te skały, przez całe godziny wpatrywałem się w fale, aż przywykłem do ich niespiesznego rytmu i nadszedł moment, kiedy po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat poczułem, że supeł wyrzutów sumienia rozplątuje się i przestaje mnie ścisnąć. Nie byłem teraz w morzu, wydany na jego pastwę. Byłem dorosły i z łóżka obserwowałem cudowny zimowy świt.

Przeszedłem się po klifach, wróciłem na plażę Portío, gdzie przy wysepce Urro del Manzano zginęła Marian Martínez. Próbowałem wybaczyć sobie, że nie miałem supermocy, by ją ocalić. Byłem wtedy szesnastoletnim chłopcem zmagającym się z przerażającą burzą. W końcu zawarłem pokój z Morzem Kantabryjskim.

Po rozmowie z synem doktora Osorio w głowie zaczęła mi się układać wersja wydarzeń alternatywna do raportu, który pokazał nam Saúl Tovar.

A jeśli Rebeca...?

Dziadek często powtarzał, że wszystkie dobre pytania zaczynają się od „A jeśli...”. Ja systematycznie stosowałem jego sokratejską metodę, a teraz bardzo nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzały moje domysły.

Ale narzucały się same i nie mogłem im się dłużej opierać.

Nie zmarnowałem tego weekendu. Ułożyłem sobie strategię, przyznaję, niezupełnie czystą, żeby wykorzystać pobyt w Kantabrii i nie wracać do miasta z pustymi rękami.

W poniedziałek wcześniej rano wszedłem do szpitala Valdecilli. W recepcji zastałem kobietę, którą znałem już z poprzednich wizyt. Uśmiechnąłem się do niej szeroko

i poprosiłem konspiracyjnym szeptem:

– Może pani wezwać doktora Osorio, żeby zszedł do kaplicy? Sprawa jest bardzo pilna.

– Oczywiście, zaraz po niego zadzwonię – powiedziała, rozpluwając się w uśmiechach.

Potem wjechałem na oddział endokrynologii i podszedłem do stanowiska pielęgniarek. Zastałem tam młodego chłopaka.

– Może pan poprosić, żeby doktor Tovar zeszła do kaplicy? To bardzo pilne.

Zrobiłem żalostną minę krewnego zmarłego pacjenta, takiej osobie trudno odmówić przysługi.

– Zaraz ją zawiadomię.

– Dziękuję. Naprawdę bardzo dziękuję – odparłem i oddaliłem się korytarzem, symulując nieistniejący żal.

Kiedy znalazłem się poza polem widzenia pielęgniarki, dopadłem wyjścia ewakuacyjnego i rzuciłem się w dół po schodach, jakby szpital stanął w płomieniach.

Chwilę później Sarah Tovar weszła do kaplicy. Na widok psychiatry aż podskoczyła.

– Kopę lat – wymamrotał chrapliwie mężczyzna.

– Kopę lat – odpowiedziała oschle kobieta.

– Nie masz mi po tym wszystkim nic do powiedzenia? Za kilka dni przechodzę na emeryturę. Nie będziesz musiała mnie więcej oglądać i... – zaczął.

– Podobno Rebeca żyje – przerwała mu Sarah.

Przez kilka sekund żadne z nich się nie odezwało.

– O czym ty mówisz? – zapytał w końcu lekarz.

– Policja odwiedziła mojego brata Saula. Twierdzą teraz, że moja bratanica wcale nie została zamordowana, mają świadka, który twierdzi, że uciekła z domu, upozorowała własną śmierć, a zdjęcia miały służyć temu, żebyśmy jej nie szukali. Wiedziałeś o tym?

– Czy ja coś o tym wiedziałem?! – zawołał psychiatra przerażony. – Czy ja coś o tym wiem? Mam ci przypomnieć, że oskarżałaś mnie o tamto morderstwo? Nawet o tym nie myśl, że wpakujesz mnie znów w wasze rodzinne bagienko. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. A jeśli ta dziewczynka nie została zamordowana, jesteś mi winna przeprosiny.

– Nie mam zamiaru cię za nic przeproszać. I nie drzyj się tak, jesteśmy w Domu Bożym.

– Jesteś najgorszym, co przytrafiło mi się w życiu. Wykorzystałaś mnie bez

skrupułów, dla ciebie zaryzykowałem karierę. Zniszczyłaś moje małżeństwo tylko po to, żeby chronić brata. Nigdy nie wybaczę sobie tego, co zrobiłem tej biednej dziewczynce.

Sarah Tovar milczała długą chwilę.

– Bardzo się cieszę, że widzimy się ostatni raz, doktorze Osorio. Mam nadzieję, że za wszystkie swoje grzechy będziesz się smażył w piekle – powiedziała swoim matowym głosem i opuściła kaplicę.

Psychiatra usiadł na ławce i zagapił się bezmyślnie w przestrzeń. Skorzystałem z okazji, żeby wyjść z konfesjonału, w którym się wcześniej schowałem.

– Co pan jej zrobił, doktorze? – zapytałem. – Co, do diabła, zrobił pan biednej Rebecce Tovar?

60

HOTEL REAL

16 stycznia 2017, poniedziałek

Podszedłem do psychiatry, pokazując mu komórkę. Zamurowało go.

– Niech pan nawet nie próbuje zaprzeczać. Wszystko nagrałem.

Zerwał się z krzesła jak oparzony, poprawił biały fartuch. W ostatnim zrywie godności postanowił dać mi odpór.

– To nielegalne, sędzia nie dopuści dowodu uzyskanego bez mojej zgody.

– Ale może nagranie zaciekaWi... komisję dyscyplinarną.

Musiałem zrobić przerwę, na szczęście dodało to dramatyzmu całej sytuacji.

– Proszę mi uwierzyć, znajdę sposób, żeby zrobić użytek z tego nagrania. Gdybym na przykład poszedł z nim do prasy...

Doktor Osorio zrozumiał, że mówię poważnie. Tak, mówiłem poważnie. W tamtej chwili byłem zdolny do wszystkiego.

– Za kilka dni odejdę na emeryturę – odezwał się w końcu błagalnym tonem. – Nie może mi pan tego zrobić.

Usiadłem na ławce i gestem dałem znak, żeby usiadł obok. Matka Boska patrzyła na nas z bardzo poważną miną.

– To proste – powiedziałem. – Nie zrobię tego, jeśli opowie mi pan, co zaszło dwadzieścia pięć lat temu.

– Straszy mnie pan tylko, to wszystko blef.

Ach tak, pomyślałem.

Znalazłem w telefonie numer szpitala.

– Szpital Valdecilli? Dzień dobry, dzwonię z komendy w Vitorii, chciałbym rozmawiać z dyrekcją – wyrecytowałem, czując na sobie przerażone spojrzenie doktora.

– Nie, proszę, niech pan się rozłączy!

– Nie mam zamiaru – odparłem sucho z telefonem przy uchu.

Usłyszałem melodyjkę z *Czterech pór roku*. Czekałem cierpliwie.

– Błagam, niech pan się rozłączy! – poprosił coraz bardziej zdenerwowany. – Powiem panu wszystko, ale niech mi pan tego nie robi.

Tym razem ustąpiłem. Chyba zrozumiał, że grozę mu naprawdę. Westchnął zrozpaczony.

– No cóż, wiedziałem, że któregoś dnia przyjdzie mi zapłacić za zło, które wyrządziłem tej dziewczynce.

– Zaczniemy od tego, że powie pan prawdę.

– Tak. Najwyższy czas, żebym wyznał to, co ukrywałem przez tyle lat.

Przez kilka minut w milczeniu pocierał ręce. Domyśliłem się, że próbuje uporządkować przeszłość w głowie.

– No więc tak, dziewczynka nie miała żadnych objawów psychozy. Rzeczywiście była trochę chorobliwie przywiązana do ojca, kompleks Elektry, ale była jak na swój wiek bardzo niedojrzała, dziecinna i takie zachowania nie odbiegają zbyt od normy. Nie miałem w żadnym razie wystarczających powodów, żeby umieścić ją na oddziale zamkniętym. Jeśli chodzi o patologiczną żalobę po matce, to wymysł Sarah. Bywała czasem smutna, ale bliska więź z ojcem kompensowała brak matki. Jednak dziewczynka wyznała Sarah, co robił z nią ojciec. Sarah opowiedziała wszystko Saulowi i oboje uznali, że nie mogą pozwolić sobie na podobny skandal. Postanowili dać jej nauczkę, żeby już nigdy nie ośmieliła się opowiadać nikomu, że ojciec ją wykorzystuje. Dlatego Sarah poprosiła o pomoc mnie. Wiedziała, że szaleję za nią, odkąd mieliśmy po kilkanaście lat.

Słuchałem go, ale zawiesiłem się na myśli, że Rebeca nie miała psychozy.

– Więc Rebeca... mówiła prawdę?

– Chyba tak. Wysłuchałem jej, wspomniała o złym dotyku, ale nic poza tym. Oceniając to jako lekarz, uwierzyłem jej. Miało to sens, jeśli weźmie się pod uwagę narcystyczną osobowość jej ojca i idealny wiek ofiary.

– Idealny wiek?

– Pedofile czują pociąg do ofiar w pewnym wieku. Sądzę, że w wypadku Saula Tovara są to dziewczynki przed okresem dojrzewania. Albo kobiety o słabo rozwiniętych cechach płciowych, jak jego żona, być może... być może jego pierwsze kontakty seksualne odbyły się właśnie z dziewczynką w takim wieku. W Santillanie ludzie mieli mnóstwo teorii na temat tego, co działo się w tej rodzinie. Wcześniej nie chciałem o tym słuchać, ale kiedy dziewczynka sama opowiedziała mi swoją historię, zrozumiałem, że przez całe życie byłem ślepy i zaprzeczałem rzeczywistości.

– I co pan wtedy zrobił? – zapytałem.

Czułem narastające mdłości.

– Po prostu zawarliśmy umowę, ja jej dotrzymałem i ona się z niej wywiązała. Spędziłem z nią noc, w wieku czterdziestu lat zachowałem się jak zakochany sztubak. Myślałem, że będziemy razem, nie wróciłem na noc do domu. Poszliśmy do hotelu Real, pragnąłem czegoś pięknego, w wielkim stylu. Nic z tego. Dla niej to była czysta formalność, nigdy więcej nie rozmawiałem z nią w cztery oczy, od dwudziestu pięciu lat unikamy się na korytarzach tego szpitala. Rzadko bywałem w Santillanie. Miałem wrażenie, że jestem brudny, czułem się złym mężem, nie chciałem słuchać plotek, nie przywykłem do roli czarnego charakteru, a taka właśnie rola przypadła mi w filmie klasy B, jakim okazało się moje życie.

– Ale ma pan tam syna.

– Syna, który nie chce mnie znać.

– Nawet nie próbował pan nawiązać z nim kontaktu – wymknęło mi się. – No dobrze, przepraszam, to nie moja sprawa. Ale chłopak ma dwadzieścia pięć lat. Karzecie się obaj za coś, co trwało tylko jedną noc, i to jeszcze przed jego urodzeniem.

– Nie wiem, czy mam dość odwagi. Co pan teraz robi? Złoży na mnie doniesienie?

– Napiszę raport i przedstawię go komendzie w Santander, sędzia zdecyduje. Ja tylko muszę wskazać fakty i dowody ważne dla mojego śledztwa – wyrecytowałem, siląc się na obojętny ton profesjonalisty.

Robiłem to za każdym razem, kiedy z przyczyn osobistych zbyt mocno angażowałem się w dochodzenie.

Doktor Osorio zapatrzył się w figurę Maryi, jakby próbował znaleźć w niej wszystkie odpowiedzi.

– No tak, niech on oceni. Jeśli mam za to zapłacić, to już najwyższy czas. Wszystko lepsze niż te czarne chmury, które wiszą mi nad głową od dwudziestu pięciu lat.

Widziałem, że naprawdę jest gotów ponieść karę i czuje ulgę w swoim udręczonym sumieniu. Ale ja myślałem tylko o Rebecce, która musiała powtórzyć ósmą klasę, o tym, że truli ją lekami antypsychotycznymi, których nie potrzebowała, i że musiała uciec z domu po tym, jak urodziła martwe dziecko...

– Tak, powinien pan za to odpowiedzieć – oświadczyłem, nie mogąc opanować złości. – To, co zrobił pan tej dziewczynce... wszystko jedno, czy doszło do molestowania, czy nie, jest niewybaczalne. Być może na zawsze zwichnęło to jej psychikę. I już kilka osób zapłaciło za to śmiercią. Pańskie sumienie powinno się zmierzyć i z tym.

I wyszedłem z tej przeklętej kaplicy, gdzie przez dziesięciolecia gromadziły się sekrety osób, którym złamano życie.

61

SOMOCUEVAS

16 stycznia 2017, poniedziałek

Po rozmowie z doktorem Osorio wróciłem pochmurny do domku w Somocuevas, gdzie spędziłem dwie poprzednie noce. Zatopiony we własnych myślach usiadłem na trawniku, wpatrując się we wzburzone morze i pianę fal rozbryzgujących się o brzegi klifu.

A więc nie kłamałaś, Rebeco. Próbowалаś powiedzieć nam wszystkim i wszyscy cię zawiedliśmy.

To, że Rebeca nie miała objawów psychozy i nie wymyśliła molestowania przez ojca, kazało mi myśleć o nowej, wręcz przerażającej hipotezie roboczej. Ale musiałem ją potwierdzić. I to nie przesłuchując Saula, który z pewnością wszystkiego by się wyparł. Musiałem to sprawdzić empirycznie, a mój pobyt w Kantabrii był dobrą okazją.

Wziąłem nowy telefon i zadzwoniłem do Estíbaliz, żeby poinformować ją o nowych ustaleniach.

– Jesteś pewien? Do tej pory Saúl był dla ciebie wzorem ojca.

– Esti, proszę cię, porozmawiaj z Albą. Poproś ją o to, to pilne. I koniecznie zadzwoń, powiedz, czy się zgodziła, czy nie.

Dość długo czekałem na zwrotny telefon od Estíbaliz. Miałem już wracać do swojej ciepłej sypialni, kiedy usłyszałem dzwonek.

– Sędzia Olano podpisał nakaz. Niechętnie, ale podpisał, głównie ze względu na brak postępów w śledztwie. Masz gdzieś pod ręką drukarkę?

– Tak, w recepcji na pewno mają komputer, wyślij mi zaraz ten dokument – poprosiłem.

Ani jeden dzień dłużej, nie chciałem, żeby ta hańba trwała ani dnia dłużej.

Zatelefonowałem do Paulanera i opowiedziałem mu o nowych odkryciach. Postanowił, że porozmawia z sędzią i powie mu, co wyznał doktor Osorio. Na razie nie mieliśmy jednak czasu do stracenia. Zaplanowaliśmy operację i dwie godziny później zjawiliśmy się w willi Saula Tovarą z sekretarzem sądowym z Santander i nakazem

przeszukania w ręku.

Saúl otworzył nam drzwi, wyglądał dość koszmarnie: jego poprzetykana pasmami siwizny broda była długa jak nigdy dotąd, a pod oczami miał wielkie sińce.

– Czego, do diabła, chcecie, Unai? – zapytał, kiedy pokazałem mu nakaz. – Czego właściwie szukasz?

– Lepiej, żebyś został na zewnątrz, Saulu. Po prostu pozwól mi wykonywać swoją pracę.

Stał przede mną, a w jego oczach malowały się naraz przerażenie i upór. Po chwili jednak ustąpił i pozwolił mi wejść.

Inspektor Lanero został na zewnątrz, pilnując, by Saúl nie zrobił żadnego podejrzanego ruchu. Wszedłem na górę, domyślałem się, że sypialnie znajdują się na piętrze. Włożyłem lateksowe rękawiczki, które zawsze woziłem ze sobą w samochodzie.

Potrzebowałem jakiegoś śladu po Gimenie.

Jej sypialnia znajdowała się drzwi w drzwi z sypialnią Saula.

Wystrój tego wnętrza był dość dziecinny, mnóstwo pluszowych maskotek. Łóżko było pościelone, biurko uprzątnięte, wiele fotografii uśmiechało się do mnie ze ściany, jedną z nich zrobiono w dniu, kiedy odbierała tytuł magistra, w todze i birecie. Ojciec obejmował ją od tyłu, oboje się uśmiechali i tryskali radością.

Otworzyłem szafy, były prawie puste. Saúl pozbył się wszystkich ubrań córki.

Zacząłem w desperacji szukać czegoś, co mogłoby mi się przydać.

Nie, to nie może się tak skończyć. Gimeno, pomóż mi, musiałaś pozostawić po sobie jakiś ślad, błagałem coraz bardziej zdenerwowany, na wypadek gdyby słyszała mnie z nieba.

I chyba mnie wysłuchała.

Bo już miałem odwrócić się na pięcie i wyjść z pokoju, kiedy zauważyłem rzecz, która przetrwała czystkę Saula: na górnej półce szafy na ubrania leżał owinięty w przezroczystą folię biret Gimeny.

Wzięłem go do ręki z nabożeństwem, z jakim traktuje się dar wotywny, i delikatnie rozwinąłem folię. W birecie znalazłem kilka włosów uwieczonych pomiędzy szwami, jeden z nich miał cebulkę. I ten włos był nadzieją na to, że być może uda mi się udowodnić moją teorię.

Opisałem znalezisko, zachowując odpowiednie procedury, i zszedłem po schodach z biretem owiniętym z powrotem w folię.

Saúl widząc, jak idę ze swoim trofeum, aż oparł się o jedną z kolumn tarasu, chyba

na chwilę stracił równowagę, ale po chwili odzyskał panowanie nad sobą.

– Już po wszystkim? – zapytał, a jego ton stał się pokorny.

– Mam tu dla ciebie pismo, Saulu. Mogę liczyć na to, że się stawisz na pobranie próbki DNA?

Saúl rozłożył kartkę i przeczytał. Dłonie zaczęły mu drżeć.

Na mocy niniejszego wezwania proszę o stawienie się w Szpitalu Uniwersyteckim imienia Markiza de Valdecilli na pobranie trzech próbek śliny, które zostaną przekazane przez wyznaczonego lekarza Wydziałowi Policji Śledczej w Santander.

Grdyka Saula uniosła się i opadła kilka razy. W milczeniu pokiwał głową.

– Idźcie już sobie, proszę – wymamrotał.

Wyczułem, że jest zdruzgotany.

Wszyscy opuściliśmy willę ze smętnymi minami.

– Inspektorze Lanero, co pan o tym sądzi?

– Że istnieje duże ryzyko ucieczki. Poprośmy sędziego, żeby nam pozwolił patrolować dom. Nie mam zaufania do tego faceta.

– Całkowicie się zgadzam. Zadbajcie o patrol. Ja wracam do Vitorii. Zobaczymy, co wykażą badania laboratoryjne.

Teraz musiałem tylko przekonać Golden.

RZEKA ZADORRA

16 stycznia 2017, poniedziałek

Po południu dotarłem do Vitorii, wcześniej umówiłem się z doktor Guevarą, że dostarczę jej próbki do badań genetycznych. Potrzebowałem jednak czegoś więcej, czegoś, co mogła mi dać tylko Golden. Niestety wątpiłem, czy uda mi się z nią skontaktować.

Wróciłem do mieszkania i przykleiłem na oknie balkonowym dwa kawałki czarnej taśmy izolacyjnej, układając je w kształt krzyża.

Nie mogłem zrobić nic więcej. Czekałem.

Czekałem.

I czekałem.

Co dwie godziny schodziłem na parter, żeby sprawdzić zawartość skrzynki. Ciągle była pusta. Wiedziałem, że jeszcze za wcześnie, że może minąć kilka dni, zanim jej człowiek zajrzy na plac Virgen Blanca i przekaże jej moją prośbę o pomoc.

Tamtej nocy długo nie mogłem zasnąć. Robiłem ćwiczenia logopedyczne, powtarzałem na głos całe akapity. Chwytałem się wszystkiego, byle tylko nie myśleć o Albie ani o Rebecce.

Następnego dnia rano zadzwoniła do mnie Esti. Powiedziałem jej, że nadal czekam. Nie poprosiła, żebym przyjechał na komisariat przy Portal de la Foronda, więc przez cały dzień nie ruszałem się z domu.

Moja ciepłotka norka koła mi nerwy nadszarpnięte oczekiwaniem. Potrzebowałem też samotności, żeby przetrwać rozstanie z Albą, przyzwyczać się do myśli, że nie jesteśmy już razem.

Czas mijał, a Golden nie dawała znaku życia.

W środę rano sytuacja się nie zmieniła.

Po południu też nie.

Może Golden postanowiła odciąć się od wszystkiego, co działo się w Vitorii,

i wyjechała za granicę?

Może fabrykowała sobie nową tożsamość, chciała zostawić definitywnie za sobą to, co wiązało się z Rebecą i ze mną?

W środę zadzwonił do mnie Paulaner. Dowiedziałem się od niego, że Saúl stawił się poprzedniego dnia w szpitalu na pobranie próbki DNA. Policjanci cały czas mieli na niego oko na wypadek, gdyby próbował ucieczki.

W czwartek rano znalazłem wreszcie w skrzynce list bez nadawcy.

Moja wąska klatka schodowa była w tej chwili pusta, otworzyłem go więc natychmiast. Golden znów wyznaczyła mi spotkanie na stanowisku archeologicznym Atxa, o piątej po południu tego samego dnia. Bez telefonów, urządzeń elektronicznych, towarzystwa. Nie zamierzałem się sprzeciwiać, przerabialiśmy to już wcześniej.

Olbrzymi kurier dotarł punktualnie na miejsce na swoim małym motorku. Tym razem żaden z nas nie był zdenerwowany. Pozdrowił mnie słowami: „Hej, inspektorze”, jakbyśmy znali się przez całe życie i co sobota widywali się w barach na starówce, a potem położył przesyłkę na ziemi. Tym razem się nie zsikał.

– I proszę mi tu podpisać – powiedział.

Złożyłem podpis i czym prędzej rozpakowałem tablet przygotowany przez Golden. Na ekranie migąło okienko czatu.

Usiadłem na suchej trawie twarzą do rzeki Zadorra. Patrzyłem na rozciągające się przede mną pola obsiane zbożem. Gdzieś w oddali zamajaczył nieostrożny jeleni, który na mój widok natychmiast rzucił się do ucieczki. Potraktowałem to jako ostrzeżenie, nie chciałem, żeby Golden podobnie zareagowała na moją prośbę.

Słucham. – Golden czekała na mój ruch.

Muszę cię poprosić o coś, co z pewnością ci się nie spodoba, ale zanim odmówisz, pozwól, że zapoznam cię z naszymi nowymi ustaleniami – napisałem.

I opowiedziałem jej wszystko, co zdarzyło się podczas mojej ostatniej wizyty w Kantabrii.

Więc chcesz, żebym ja...

Tak. Prócz ciebie nie ma nikogo, kto mógłby to zrobić. Zostałaś tylko ty – próbowałem naciskać.

To znaczy, że znaleźliście grób dziecka Rebeci?

Zdziwiłem się. Jaki grób?

Nie wiem, o czym mówisz.

Rebecce powiedziano, że urodziła martwego syna, że lepiej dla niej, jeśli nie dowie się, gdzie go pogrzebano. Saúl i Sarah mieli zająć się pochówkiem.

Nie, to nie ma nic wspólnego z grobem. Zresztą Saúl mówił mi niedawno, że ciało dziecka zostało skremowane. Ale mam inne podejrzenia.

I wtajemniczyłem ją w swoją teorię.

Minęła chwila, zanim odpowiedziała.

Przez ostatnie miesiące też o tym myślałam, ale nie chciałam wierzyć, że to może być prawda.

Ale podejrzewałaś to, powiedz, że podejrzewałaś.

Tak, kiedy przeczytałam wiadomości o młodych samobójcach. Dlatego próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej i nic ci nie powiedziałam.

Doszliśmy do tych samych wniosków. I w związku z tym teraz cię potrzebuję.

Wiesz, o co mnie prosisz?

Jestem tego świadomy, Golden. Ale to dla Rebeki. Musimy wiedzieć, co naprawdę zaszło. To jedyny sposób.

Nie podobał się jej ten pomysł, a mnie to wcale nie dziwiło.

Przysięgnij, że to nie jest pułapka, żeby mnie złapać.

Nikt nie będzie cię śledził. Nie zajmuję się cyberprzestępczością, nie interesuje mnie twoja przeszłość, o ile nie ma nic wspólnego z moim dochodzeniem, a przecież nie jesteś o nic podejrzana.

A napaść na funkcjonariusza policji?

Sędzia na pewno weźmie pod uwagę to, że zgodziłaś się współpracować.

Wiesz, że nie złożę doniesienia, chociaż prokuratura może wszcząć sprawę.

A uprowadzenie małoletniej?

Właśnie z tego powodu należy przyskrzynić Saula.

Ostatnie zdanie, które napisałem, pozostało bez odpowiedzi przez minutę. Bałem się, że Golden tak się przeraziła moją propozycją, że zniknęła na dobre.

Jednak po chwili na ekranie zaczęły pokazywać się słowa.

Nie zgadzam się, nie mogę ryzykować.

Spróbowałem ją uspokoić.

Nie musisz stawiać się na badanie, wystarczy, że przyślesz nam próbkę.

Golden zastanawiała się długą chwilę.

No dobrze. Ale żeby było jasne, robię to dla BK.

Nie zrozumiałem.

BK?

Tak. BK to Beca. Kiedy zmieniłyśmy tożsamość, zaczęła często używać ksywki BK od Beki, tak nazywaliśmy ją w domu. Używała tych inicjałów w internecie i poczcie elektronicznej – wyjaśniła Golden.

Dobrze, więc zrób to dla BK. Zaraz ci wyjaśnię, jak to załatwimy.

I poprosiłem ją, żeby kupiła sobie zestaw do samodzielnego pobierania próbek DNA. Wiedziałem, że jeśli dojdzie do procesu, obrońca podważy ten dowód, gdyż próbka śliny nie zostanie uzyskana zgodnie z procedurą, na razie chciałem jednak, żeby test potwierdził to, co podpowiadała mi intuicja. Jeśli moje przypuszczenia okażą się słuszne, zatrzymamy Saula. Miałem nadzieję, że wtedy łatwiej uda mi się przekonać Golden do przepisowego pobrania próbki.

Jeszcze jedno: czy wiesz, jakie studia zamierzała wybrać Rebeca?

Mogła skończyć właściwie każde studia, być może wybrała coś związanego z informatyką. Kochała historię, ale nie chciała studiować tego

samego co ojciec, a ja zniechęcałam ją do tego z całych sił. Wolałam, żeby nie spotkała się z nim na płaszczyźnie zawodowej. Mówiła, że chce pracować z dziećmi, czasem wspominała coś o pedagogice albo psychologii. Jak widzisz, była typową utalentowaną nastolatką, której trudno podjąć decyzję. Nie wiem, czy to ci pomoże.

Ja też jeszcze tego nie wiem. Pobierz tę próbkę jak najprędzej, Golden.

Dobrze, zrobię to, zanim zdążę się rozmyślić.

I w piątek rano zaniósłem próbkę doktor Guevarze.

– To potrwa jakieś cztery godziny, może pięć – powiedziała. – Zadzwoń, kiedy będę miała wyniki.

Po powrocie do domu niecierpliwie spoglądałem na zegarek. Po południu poszedłem na zajęcia z logopedką, a potem postanowiłem trochę się zmęczyć: włożyłem buty do biegania i potruchtałem w stronę Olárizu.

PAŁAC SPRAWIEDLIWOŚCI

20 stycznia 2017, piątek

Biegłem z powrotem do domu przez Prado, kiedy w pokrowcu na moim ramieniu zadzwonił nowy telefon. Ukazał się numer Estíbaliz.

– Przyjdź do Pałacu Sprawiedliwości. Mamy wyniki – ponagliła mnie niecierpliwie.

Nie protestowałem. Chwilę później, wciąż w legginsach, wchodziłem do trójkątnego budynku.

W gabinecie doktor Guevary czekały już Alba i Estíbaliz.

– Dzień dobry wszystkim – wysapałem, próbując złapać oddech po ostatnim sprincie.

– Lepiej usiądź – powiedziała Alba poważnym tonem.

Miała podkrążone oczy. Domyśliłem się, że przez ostatnie dni nie sypiała dobrze.

Poczułem się podle. To z mojej winy musiała tak wiele przejść w tej ciąży.

– Miałeś rację – ciągnęła. – Wyniki badania są wstrząsające. Może najlepiej będzie, jeśli wszystko opowie doktor Guevara.

– Wysłałam trzy próbki do badania PCR, mam już wyniki z laboratorium i mogę je zinterpretować. Tak jak wam wyjaśniałam, kiedy przeprowadzaliśmy badania materiału genetycznego nienarodzonego dziecka Any Belén Liaño, żeby ustalić ojcostwo, potrzebny jest wynik zgodności co najmniej dziewięćdziesięciu dziewięciu i siedemdziesięciu trzech setnych procent. I w tym wypadku nie ma żadnych wątpliwości: Gimena Tovar jest córką Saula, ale jest również jego wnuczką. Jeśli chodzi o relacje pokrewieństwa z rodziną matki, próbka pobrana od Lourdes Peredy wykazuje pokrewieństwo, ale nie tak bliskie. Prawdopodobnie ta kobieta jest cioteczną babką Gimeny.

– Twoje przypuszczenia okazały się prawdziwe, Unai – wtrąciła Estíbaliz. – Rebeca urodziła Gimene, która została poczęta w wyniku kazirodczego związku...

– Gwałtu – przerwała Alba bardziej stanowczo niż zwykle. – Dziewczynka miała trzynaście lat. Stosunek z osobą w tym wieku jest według prawa traktowany jako

zgwałcenie. Sędzia, ustalając wymiar kary, na pewno weźmie pod uwagę, że agresorem był ojciec, który z założenia powinien być autorytetem i opiekunem, co pozwoli mu dorzucić do kodeksowych widełek jeszcze kilka lat.

Też byłem przytłoczony. Snucie rozmaitych teorii na temat tego, co mogło się wydarzyć w tej endogamicznej rodzinie, to jedno. To, że badanie genetyczne jednoznacznie potwierdziło paskudną rzeczywistość, to zupełnie inna sprawa.

– Ojciec i ciotka okłamali Rebecę, mówiąc, że urodziła martwe dziecko i że je pochowali – myślałem głośno. – Mnie Saúl powiedział, że spopielili ciało w krematorium. Wszystko to kłamstwa.

– Zostawili sobie dziewczynkę – zauważyła Estíbaliz. – Musimy się teraz dowiedzieć, w jaki sposób ją ukrywali i jakie mieli wobec niej zamiary. Rebeca uciekła przecież z domu kilka dni po porodzie, a Saúl nie znał jej intencji.

– Myślę, że za wszystkim stała Sarah – odezwała się Alba. – Była współniczką brata, może sama chciała wychować dziewczynkę. Pewnie miała możliwości, żeby sfałszować procedurę adopcyjną. Tak czy siak, musimy przesłuchać ich oboje. Dobrze byłoby nakłonić do zeznań psychiatrę, który zajmował się przypadkiem Rebeki.

– Zgodzi się – wtrąciłem. – Inspektor Lanero już wie, jaką rolę odegrał doktor Osorio w całej tej sprawie.

– Zadzwoń do sędziego Olano, żeby powiadomić go o przełomie w śledztwie i poprosić o wydanie nakazów aresztowania. Skontaktujmy się też z komisariatem w Santander. Musimy wspólnie dokonać zatrzymania Saula – powiedziała Alba bardzo poważnym tonem.

– Świetnie – zgodziła się Estíbaliz.

Oboje chcieliśmy jak najprędzej aresztować Saula Tovarą.

– Przypominam wam tylko, że to nie rozwiązuje sprawy zabójstw Any Belén Liaño ani Josego Javiera Huety. Zeznanie świadka pozwala nam przypuszczać, że Rebeca Tovar żyje, podejrzewamy, że motywem tych zbrodni jest zemsta, ale nie mamy nic poza domysłami. Skoro ona jest morderczynią, wciąż nie posunęliśmy się ani o krok, jeśli chodzi o jej nową tożsamość. Nie będę już wspominać o waszej kompromitującej wpadce z jedną z naszych najlepszych agentek Milán Martínez – ostudziła nasz zapal Alba.

– Chciałabym zabrać głos w tej sprawie – wtrąciła doktor Guevara.

– Zamieniam się w słuch.

– Wiecie bardzo dobrze, że po oględzinach miejsca zabójstwa Any Belén Liaño byłam bardzo przygnębiona, bo nie udało nam się zabezpieczyć żadnego fizycznego śladu agresora czy agresorki. Po śmierci Andoniego Cuesty... bardzo ciężko

pracowaliśmy z inspektorem Muguruzą przez ostatnie tygodnie nad tym, co udało nam się zachować. Nie mogłam pogodzić się z tym, że śmierć naszego kolegi poszła na marne. I znaleźliśmy coś, na kurtce Any Belén było kilka długich ciemnych włosów. Myślałam, że to włosy ofiary. W sumie siedem z nich miało cebulki, wysłałam je więc do badania. Jeden ma zupełnie inny profil genetyczny. Niewątpliwie należał do innej osoby.

– Doskonała robota, pani doktor – pogratulowała jej Alba i usiadła.

Martwiłem się o nią, widziałem, że jest zmęczona.

– Czyli być może mamy materiał biologiczny zabójcy. Ale, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, to dowodzi tylko, że ta osoba była z Aną przed jej śmiercią, nawet nie możemy być pewni, czy dotarła z nią do San Adrián, prawda? – zapytała szefowa.

– Tak, ale mam też dobre wiadomości: na kurtce Josego Javiera Huety znaleźliśmy włosy, jeden z nich był bardzo podobny: długi i czarny. Pamiętajcie, że pięćdziesiąt siedem procent populacji tego kraju ma kasztanowe włosy, a tylko dwadzieścia sześć procent zupełnie czarne. To ogranicza poszukiwania. Dodam, że włosy nie były farbowane.

– Rebeca miała czarne włosy, prawie granatowe, jak jej ojciec i ciotka – zauważyłem. – Proszę mówić dalej.

– Wysłałam oba włosy do analizy i są to włosy tej samej osoby. Możemy więc mówić, że ktoś o długich czarnych prostych włosach był blisko obu ofiar w chwili śmierci lub niedługo przedtem. Nie znamy niestety jej tożsamości. Te ustalenia prześlemy sędziemu. Jeszcze sprawdzę to w naszych bazach danych DNA przestępców, ale jeśli macie rację co do profilu zabójcy, jest bardzo prawdopodobne, że nie był wcześniej notowany i nic nie znajdę.

– Bardzo dziękuję za wytrwałość, pani doktor. To odkrycie zapewne pomoże nam postawić zarzuty zabójcy lub zabójczyni. Jeśli znajdziemy Rebecę Tovar, wszystko jedno pod jaką fałszywą tożsamością się teraz ukrywa, zbadamy jej DNA i przekonamy się, czy miała do czynienia z obydwiema ofiarami – powiedziała Alba.

I zakończyła zebranie. Chociaż zbliżał się weekend i mieliśmy przed sobą trudne popołudnie, wyszliśmy z Pałacu Sprawiedliwości z błyskiem nadziei w oczach.

– Ach, Unai, podziękuj ode mnie dziadkowi. Przyjechał do Laguardii i zostawił mamie kilka słoików miodu i lukrowane migdały – oznajmiła Alba i wyjęła torebkę migdałów z kieszeni białej puchówki. – To urocze, że tak o mnie dba.

– Przekażę mu – odpowiedziałem zawstydzony i wzruszony.

I w tym niefortunnym momencie zadzwonił mój brat. Alba pożegnała się z Estíbaliz i odeszła.

- Unai, jak się masz? – zapytał Germán.
- Prawdę mówiąc, jestem trochę zajęty. A co?
- Chciałem z tobą porozmawiać. Najlepiej spokojnie. Wybierasz się w weekend do Villaverde?
- Tak, jutro się zobaczymy. Czy ta sprawa może poczekać?
- Tak, może poczekać – odparł, ale w jego głosie wyczułem niepokój.
- Jutro jestem do twojej dyspozycji, obiecuję.

Dotarliśmy do willi Saula zaledwie dwie i pół godziny później. Alba zmontowała grupę operacyjną. Dwa radiowozy z komendy w Santander z Paulanerem i jego kolegami były już na miejscu, kiedy zjawiliśmy się tam z Esti, Milán i Peñą.

W słabym świetle latarni z odległych miejscowości ledwo widać było morski brzeg. Przywitał nas wiatr silniejszy niż zazwyczaj.

Zobaczyłem Paulanera, który zbliżał się do nas bardzo przygnębiony, i zrozumiałem, że coś poszło nie tak.

– Co się stało? – krzyknęła niecierpliwie Estíbaliz i w mechanicznym odruchu położyła rękę na kaburze pistoletu.

– Nie będzie potrzebny, pani inspektor. Saúl Tovar nie stanowi już zagrożenia dla nikogo.

– Nie! – krzyknąłem i wpadłem do środka, ignorując taśmę, którą otoczono willę.

Ciało antropologa leżało na podłodze w salonie.

Miał na sobie tylko przetarte dżinsy, w których przyjął nas w poniedziałek, kiedy przeszukiwaliśmy dom. Jego twarz, jego zielone oczy już nie wydawały się tak piękne jak zwykle.

Jedna z kopii kantabryjskich sztyletów przeszzyła mu serce.

DOM W SANTILLANIE

25 maja 1968 roku, sobota

Matka jeszcze raz zawołała Sarah. Obudziła się w wyśmienitym humorze. Córka miała urodziny, kończyła jedenaście lat, była już całkiem duża, prawie dorosła.

– Tak, mammo?

Matka, nie wstając z łóżka, kazała jej wejść do sypialni.

– Opróżnij nocnik i przynieś mi śniadanie. Mamy dziś piękny dzień, nie sądzisz? – powiedziała uśmiechnięta, patrząc przez okno.

Z okien domu Tovarów nie rozciągały się szczególnie piękne widoki: wychodziły na wąską ulicę i znajdujący się za nią mur starego pałacyku.

– A, i zejdźcie z bratem do piwnicy, ojciec was do czegoś potrzebuje, nie mam pojęcia, o co chodzi.

Dziewczynka przełknęła ślinę. Poszła do kuchni po szklankę mleka i herbatniki.

– Nie chce mama wstać? Sama mama mówiła, że taki ładny dzień.

– Już o tym rozmawialiśmy. Złożyłam ślubowanie świętej Julianie, a nie należę do tych, co łamią przyrzeczenia.

– Ale dziś są moje urodziny. Poszłybyśmy razem na spacer.

Musimy stąd wyjść, mammo. Nie możemy zostać w tym domu. Ja już wiem, czego chce od nas ojciec, błagała w myślach Sarah.

– Nie, córeczko, nie ma mowy.

– To niech chociaż Saúl pójdzie się pobawić z kolegami. Czekają na niego na skwerku.

– Kiedy zrobiłaś się taka nieposłuszna? Idź do ojca i zabierz ze sobą brata, ja się trochę prześpię.

– Tak, mammo.

I zeszła po schodach z bratem za rękę. W piwnicy czekał na nich ojciec. Pornograf amator wyciągnął kamerę. Jego ojciec do podobnych celów używał kamery Kodak 16

milimetrów, którą przywiózł z Francji jeszcze w latach trzydziestych.

Wydał dzieciom polecenia. Sarah nie odrywała wzroku od brata.

– Patrz mi w oczy. Nie przestawaj patrzeć mi w oczy. Będę cię chronić, Saulu.

– Nie, ja ciebie – odparł chłopiec.

– Ja ciebie.

– Ja ciebie.

– Ja ciebie.

W ten sposób dzieci starały się nie myśleć o tym, co się działo. Chciały, żeby wszystko minęło jak najszybciej, a polecenia ojca zostały na zawsze w jakimś mrocznym kącie tej wilgotnej piwnicy.

65

NIEBIAŃSKI OŁTARZ

20 stycznia 2017, piątek

Za mną weszli do środka Peña i Milán. Być może był to pierwszy trup naszej agentki, bo Milán wybiegła z domu, a zaniepokojony Peña ruszył za nią. Wyobraziłem sobie, jak kobieta stoi w ogrodzie i próbuje głęboko oddychać morskim powietrzem, żeby opanować mdłości.

Kilka minut później Peña wrócił.

– Jak się czuje Milán?

– Niezbyt dobrze, proszę, porozmawiaj z nią – szepnął mi na ucho.

Siedziała w fotelu na tarasie. Nie płakała, ale schowała głowę między kolanami, a jej bujne włosy zasłaniały twarz, więc nie mogłem dostrzec jej wyrazu.

– Widzę, że kiepsko to znosimy?

– Już nigdy nie dowiem się prawdy! Już nie ma jak – powiedziała swoim chrapliwym głosem.

Usiadłem obok, przybity śmiercią Saula Tovara i poruszony jej rozpaczą.

– Przez prawie dwadzieścia pięć lat żyłam myślą, że zbiorę się kiedyś na odwagę, zjawię się tu i zażądam wyjaśnień – wyznała. – I nigdy się nie odważyłam. Chciałam spojrzeć mu w oczy, byłam pewna, że wyczytam w nich, czy zepchnął moją siostrę z klifu. A dziś jechałam tu, trzęsąc się cała ze strachu, żeby go zatrzymać. Ale nigdy już nie dowiem się prawdy.

– Być może i tak byś się nie dowiedziała. Saúl jest... był – poprawiłem się szybko – wielkim manipulatorem. Patrząc mi prosto w oczy, zapewniał, że jego córka cierpią na psychozę. Jestem profilerem... ale mu uwierzyłem. Uścisnąłem go, współczułem nieszczęścia, które go spotkało. Omotałby cię. Omotał nas wszystkich.

– Nie jest pan zbyt dobrym pocieszycielem.

– Obawiam się, że nie – przyznałem. – Muszę wracać do środka, Milán.

– Rozumiem. Już w porządku, naprawdę. Będzie w porządku.

I znów wszedłem do matecznika Sinobrodego.

Inspektor Lanero zawiadomił sędziego, ten zadzwonił po lekarza sądowego. Specjalista od medycyny sądowej zaznaczył wprawdzie, że musimy poczekać na wyniki autopsji, ale nie miał wątpliwości, że było to samobójstwo.

– Dość niecodzienny sposób targnięcia się na swoje życie, skomplikowany, trzeba dokładnie wiedzieć, co się robi, żeby wbić sobie białą broń prosto w serce. Samobójcy często zdejmują ubranie, żeby odsłonić miejsce, w które zamierzają zadać sobie cios – wyjaśnił lekarz, obejrzawszy dokładnie zwłoki.

Oceenił, że stan, w jakim znaleźliśmy ciało, wskazuje, że Saúl odebrał sobie życie we wtorek, po powrocie ze szpitala Valdecilli, gdzie stawił się na pobranie próbki śliny.

Saúl wiedział, że porównamy jego profil DNA z profilem Gimeny. Wiedział, co odkryjemy: badanie wykaże niechybnie, że Gimena była jego córką i wnuczką. Nie chciał zostać zatrzymany. A może bał się tego, co zawsze tak bardzo go przerażało: publicznego skandalu. Teraz przynajmniej mieliśmy pewność, że moje przypuszczenia okazały się prawdą.

Ciekawe, że jeszcze raz jego reputacja wyszła z sytuacji bez szwanku.

W sobotę w internetowym wydaniu lokalnej gazety ukazała się krótka notka następującej treści:

Ciało profesora Uniwersytetu Kantabryjskiego S.T. (lat 55) zostało znalezione w jego domu. Społeczność uniwersytecka jest zdruzgotana wiadomością. W poniedziałek, w hołdzie dla jego zasług na niwie popularyzowania kultury celtyberyjskiej, odbędzie się uroczystość, w której wezmą udział J.M. Rektor i Dziekan Wydziału Filozofii i Literatury.

Dziennikarze „El Periódico Cántabro” nie powiązali tej śmierci z żadnym dochodzeniem policji. Saúl z pewnością byłby im bardzo wdzięczny.

Ja nie mogłem przestać myśleć o długich, prostych czarnych włosach, które doktor Guevara znalazła na kurtkach ofiar. Może to Sarah była morderczynią? Może powinniśmy poprosić doktor Guevarę o porównanie DNA z tych włosów z DNA siostry Saula? Ale czy to nie było zbyt ryzykowne? Jeśli poprosimy ją o próbkę śliny do badań, czy nie spróbuje ucieczki albo nie targnie się na własne życie? Mieliśmy jeszcze jedno wyjście: porównać próbkę DNA Saula z materiałem genetycznym uzyskanym z włosów. Jeśli rzeczywiście należały do Sarah Tovar, badania genetyczne by to potwierdziły.

Ale nie byłem pewien tej hipotezy.

Cała ekipa z Vitorii wracała do miasta poważna i milcząca. Chyba najbardziej

przybity byłem ja. I Milán, która wciąż wyrzucała sobie, że nie spróbowała wcześniej dowiedzieć się prawdy.

W sobotę w porze obiadu, czekając wciąż na wyniki autopsji, pojechałem do Villaverde. Chciałem przez chwilę odpocząć od śledztwa. Zostałem dziadka na pieleniu leszczyn. Mój brat jeszcze się nie zjawił. Wziąłem motykę i zacząłem razem z dziadkiem wrywać chwasty.

– A gdzie Germán? – zapytałem.

– Nie wiem. Mówił, że przyjedzie wcześniej rano. Nie mam pojęcia, dlaczego się spóźnia.

– Pewnie ma dużo pracy.

– Pewnie tak – przyznał dziadek i wróciliśmy do roboty.

O wpół do czwartej zadzwoniłem do brata. Germán nie należał do osób, które spóźniają się bez uprzedzenia. Nie odbierał komórki, w kancelarii odezwała się automatyczna sekretarka, zachęcając, żebym umówił się na spotkanie.

Zjedliśmy w milczeniu fasolę z ostrą papryką i chorizo, które dziadek upiekł na ogniu węglowej kuchenki.

Potem dziadek poszedł się zdrzemnąć, a ja spędziłem popołudnie zatopiony we własnych myślach, wpatrując się w ogień. Odpoczywając. Próbując się pozbierać.

Kiedy zapadł zmrok, zaczęliśmy poważnie się martwić nieobecnością Germana. To zupełnie nie było w jego stylu. Dorzuciłem drew do ognia, żeby utrzymać ciepło w domu przez noc.

– Dziadku, czy Germán powiedział ci coś poza tym, że przyjedzie dziś rano? – próbowałem go wybadać.

– Tak, synku, opowiedział mi coś, o czym zamierzał z tobą porozmawiać.

Zarówno ja, jak i Germán wtajemniczaliśmy czasem dziadka w nasze sprawy zawodowe, nawet te ściśle poufne. Wiedzieliśmy, że to równie bezpieczne, jak powierzenie tajemnicy pomnikowi. Byliśmy pewni, że nie puści pary z ust, a jego doświadczenie – przeżył bądź co bądź prawie sto lat – pozwalało nam spojrzeć na nasze problemy z innej perspektywy.

– Uważasz, że powinienem o tym wiedzieć?

– Sam nie wiem. Bo odkrył coś, co ma związek z jego dziewczyną...

– Jego dziewczyną? Beatriz, moją logopedką?

– Tak, chodzi o jej gabinet. Pamiętasz, jak opowiadałem ci o tym budynku przy ulicy San Antonio? Że podczas wojny zdemontowano jego kopułę, żeby urządzić tam stanowisko dla karabinów maszynowych?

– Tak, dziadku. Pałacyk Pando-Argüelles.

– Germán powiedział mi, że w tym budynku nie ma biur na wynajem. Że kupił go jakiś deweloper, ale remont wstrzymano. Dowiedział się o tym od klienta, który zgłosił się do jego kancelarii w związku z przetargiem. Zdziwił się więc, że jego dziewczyna tam pracuje. Zaczął szukać w internecie, ale nie znalazł żadnej Beatriz... Korres?

– Tak, Korres.

– Podobno nie da się wynająć tam biura, deweloper nie może zrobić tego legalnie. Mówił, że zamierza z tobą o tym porozmawiać, zanim ją zapyta. Chce wiedzieć, co o tym myślisz.

– Myślę, że pewnie wynajęła swój gabinet na czarno.

– Pewnie tak. Ale twój brat nie jest z tych, co znikają tak bez słowa. Zadzwonimy do niego jeszcze raz?

– Tak, koniecznie.

Obdzwoniłem też całą paczkę. Była jedenasta w nocy i nikt nie miał pojęcia, gdzie jest Germán. Wszyscy uważali, że spotkał się z Beatriz. Dzwoniłem do niej, ale ona też miała wyłączony telefon.

Siedzieliśmy z dziadkiem, patrząc w płomienie kuchenki. O północy przekonałem go, żeby położył się spać, i obiecałem, że pojedę nazajutrz do Vitorii do mieszkania Germana, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Dziadku, to dorosły człowiek. Pewnie poszedł do kina z narzeczoną, może chcą mieć chwilę tylko dla siebie. Nie będziemy się na niego gniewać, że ten jeden raz nie zachował się odpowiedzialnie i zapomniał nas zawiadomić, prawda?

– Prawda – powiedział dziadek tonem, który odczytałem jako: „Nie, syneczku, nie uspokoiłeś mnie wcale a wcale”. – Jutro, kiedy będziesz z nim rozmawiał, powiedz, że dziś rano spotkałem tu na wsi dziewczynę z waszej paczki, żonę Asiera. Mówiła, że przejeżdżała obok i chciała się spotkać z którymś z was, ale nie powiedziała, z którym.

– Żona Asiera, Araceli?

– Tak, nie bardzo zrozumiałem, o co jej chodzi, była trochę zdenerwowana. Oznajmiła: „Chciałam porozmawiać z pańskim wnukiem”, czy coś w tym stylu. Ale potem szybko sobie poszła. Poinformuj o tym Germana.

Po kiego diabła Araceli przyjechała do Villaverde do Germana?, zastanawiałem się zdziwiony. A może chciała rozmawiać ze mną?

Położyłem się do łóżka, chociaż nie chciało mi się spać. Byłem zmartwiony. I zły na brata, że się nie odzywa.

Wizyta Araceli też nie dawała mi spokoju. Nie była moją bliską przyjaciółką, ale

zauważyłem, że ostatnio dziwnie się zachowuje. Zrobiła się bardzo nerwowa.

Pomyślałem, że skoro i tak nie uda mi się zmrużyć oka, wykorzystam ten czas na coś pożytecznego. Zacząłem się zastanawiać nad kwestią imion. I trzema fikcyjnymi profilami na Facebooku, z których kontaktowano się z Annabel: Ginebra, Linett, Begoña Kortajarena. Być może któreś z nich zawierało klucz do zagadki, miało dla Rebeki szczególne znaczenie, może coś wspólnego z rytuałem celtyckiej potrójnej śmierci? Wisielcy, sznur, znajdujące się w pobliżu stele wotywnie, woda... Sięgnąłem po telefon, którego nie wyłączyłem w nadziei, że Germán wreszcie się odezwie, i zacząłem szukać znaczenia imienia Rebeca.

Znalazłem wiele ciekawych informacji. Rebeca to imię biblijne, a dokładnie hebrajskie. Etymologicznie oznaczało sznur albo węzeł. W grece natomiast miało związek z płodnością. Po aramejsku oznaczało boginię – Ziemię. Rebeca była w Biblii żoną Izaaka, syna Abrahama, jego bliską kuzynką. Tak bezpośrednia aluzja do kazirodztwa w rodzinie Tovarów wydała mi się co najmniej interesująca.

Poszukałem etymologii innych imion. Na przykład imienia Saúl. Też biblijne, też hebrajskie. Znaczyło „pożądany”. Bardzo pasujące do osoby, która była zawodowym uwodzicielem. Szukając starożytnych imion, dotarłem do imienia Araceli. *Ara* to kamień w centrum ołtarza, na którym kładło się ofiary, *caeli* z łacińskiego *caelum* znaczyło „niebo”. Rzymianie uważali, że Ara Caeli to kamień, który pozwala nawiązać kontakt ze światem nadprzyrodzonym.

Przypomniałem sobie stelę Trzech Matron z Muzeum Barbacana i ołtarz poświęcony nimfom w Arai, nieopodal San Adrián.

I nad ranem, kiedy pierwsze światła brzasku przesączały się przez szpary w okiennicach, zobaczyłem jasno to, czego nie chciałem dostrzec wcześniej.

Kobieta wyglądająca jak klon Annabel Lee, która wyszła za mąż za Asiera, utrzymała kontakt z całą naszą paczką. Znała się na informatyce, z łatwością zhakowałaaby moją komórkę. Miała aż nadto powodów, żeby zabić Annabel, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży. Mogła przecież myśleć, że to Asier jest ojcem. I długie czarne włosy, takie, jakie znaleziono na kurtkach ofiar... Widziała się z J. i Annabel tuż przed ich śmiercią. Byłem tego pewien, wiedziałem, że badania DNA potwierdzą moje przypuszczenia.

Przypomniałem sobie słowa Matu Salema w krypcie Nowej Katedry, kiedy opowiedział mi, skąd wzięła się nazwa firmy Cisco: „Czasem nie widzimy całego słowa, ale jego część, która nabiera oddzielnego znaczenia”.

Ile razy wymawiałem jej imię, nie myśląc o jego związku ze stelami Trzech Matron?

Czy Araceli to w rzeczywistości nasza nieuchwytna Rebeca?

PAŁAC ESCORIAZA-ESQUIVEL

22 stycznia 2017, niedziela

Zmusiłem się, żeby poczekać na rozsądną godzinę, i o dziewiątej wysłałem Araceli wiadomość na WhatsAppie. Chyba już nie spała, bo odpisała natychmiast.

„Możemy zjeść razem śniadanie, Ara?”

„Sami czy z Asierem?”

„Tylko ty i ja”.

„Już jadłam śniadanie. Spotkajmy się przy średniowiecznym murze, jak w noc światek”.

Uznałem, że to dobre miejsce, żeby dyskretnie z nią porozmawiać. Mur znajdował się wprawdzie w centrum, ale niewielu ludzi zaglądało tam w niedzielny poranek.

Umówiliśmy się godzinę później. Pożegnałem się ze zmartwionym dziadkiem, który ciągle dzwonił na wyłączony telefon Germana, i z oczami podkrążonymi jak u misia pandy ruszyłem do Vitorii.

Araceli już na mnie czekała. Siedziała na dziedzińcu pałacu Escoriaza-Esquivel, w najwyższej położonej części „średniowiecznego migdała”. Teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej przypominała mi Annabel Lee. Było zimno jak diabli i zanosilo się na deszcz, mimo to usiadłem obok niej plecami do muru.

Postanowiłem nie tracić czasu i zapytałem prosto z mostu:

– Ara, wiesz, gdzie się podziewa Germán?

Zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Wciąż jeszcze się nie odezwał?

Zmartwiony pokręciłem głową.

– Od wczoraj nie mam od niego żadnych wiadomości.

– Wiem, że byłaś rano w Villaverde. Chciałaś ze mną rozmawiać?

Chyba była zmieszana tak bezpośrednim pytaniem. Gdybym wierzył w jakiegoś boga, pomodliłbym się, żeby mnie nie okłamywała.

– Tak naprawdę to zamierzałam porozmawiać z twoim bratem.

– O czym?

– Na tematy zawodowe. No i osobiste też.

Oparłem się plecami o mur. I wtedy zrozumiałem.

– O mój Boże. Zamierzasz się rozwieść, tak? I masz wątpliwości, chciałaś się go poradzić?

Spojrzała na mnie trochę zawstydzona.

– Skąd... skąd o tym wiesz?

– Jestem bratem adwokata, nawet nie wyobrażasz sobie, ile osób zwraca się do niego z podobną prośbą.

– No dobrze... Nie wiedziałam, że jestem aż tak przezroczysta.

Nie powiedziałem jej o tym, co usłyszałem od Asiera: że nie układało im się najlepiej. To nie był najlepszy moment.

– Po co się ze mną spotkałeś, Unai?

– Musisz powiedzieć mi prawdę o kobiecie, która zginęła w San Adrián.

Araceli przeciągnęła dłonią po swoich długich czarnych włosach, przyglądając niesforne kosmyki.

– Mówiłam ci już, że jej nie znałam.

– Znaleźliśmy długi czarny włos na kurtce, którą miała na sobie w chwili śmierci. Poproszę sędziego o nakaz: pobierzemy ci próbkę DNA i porównamy. Nadal upierasz się przy swojej wersji?

Przełknęła ślinę.

– Naprawdę byłbyś w stanie mi to zrobić?

– Muszę się dowiedzieć, kto zabił J. Tak, zrobiłbym to.

Zacisnęła zęby i wbiła wzrok w ziemię. Nic nie mówiła. W jej milczeniu wyczułem bezsilność.

– J. mi powiedział – przyznała w końcu.

– O czym ci powiedział?

– Że Ana Belén i Asier się spotykają. J. był kompletnie załamany. Martwiłam się o niego, nie zasłużył sobie na to...

– Czyli jednak ją poznałaś? – przerwałem.

– Tak, umówiłam się z nią w połowie listopada, pewnie niedługo przed jej śmiercią, dokładnie nie pamiętam. Napisałam do niej z komórki Asiera, podszywając się pod

niego. Chciałam mieć pewność, że przyjdzie.

– I co się stało? Pokłóciłyście się?

– A skąd. Z nią nie dało się pokłócić. Miała wszystko gdzieś, nie obchodził jej Asier, nie obchodził J. Bardzo frustrujące doświadczenie, prawdę mówiąc.

Prawie się uśmiechnąłem, chociaż wcale nie było mi do śmiechu.

– Tak, rzeczywiście taka była. Ale wychodzi na to, że mnie okłamałaś, i to nie tylko w tej jednej kwestii. Byłaś z J. tej nocy, kiedy zginął?

– Wszyscy razem chodziliśmy po barach. Co, na jego kurtce też znaleźliście moje włosy?

– Sama mi powiedz.

Na jej twarzy pojawił się grymas bólu.

– Nie jest tak, jak myślisz.

– Nie wiesz, co myślę, ale chętnie ci powiem. Myślę, że mogłaś ich zabić. Asier pewnie spał, kiedy oboje zostali zamordowani. – Nabrałem tchu, żeby mówić dalej. – Nie jest wykluczone, że zabiłaś J., porzuciłaś ciało w muzeum Barbacana i wróciłaś do łóżka.

Patrzyłem jej w oczy, wylewając na nią całą swoją złość. Poczerwieniała. Wstała, ja też, nie mogłem pozwolić, żeby mi uciekła. Nie spodziewałem się jednak, że usłyszę to, co usłyszałem.

– Byliśmy razem! J. i ja kochaliśmy się, bardzo się kochaliśmy! Był lepszy od was wszystkich, był porządnym człowiekiem...

– J. i ty?

Nie umiałem sobie wyobrazić ich jako pary. Pokonany przez życie J. i przebojowa, pewna siebie Araceli? Co dawał im ten związek? Jaka chemia ich połączyła? Najbardziej zaniepokoiła mnie jednak kwestia, czy Araceli wiedziała, że J. był ojcem dziecka, którego spodziewała się Annabel.

– J. był dobry, Unai – krzyknęła, kompletnie wyprowadzona z równowagi.

– Wiem, był moim najlepszym przyjacielem od pierwszej klasy. Usiądź, proszę – powiedziałem, próbując ją uspokoić.

Posłuchała, jakby wyznanie prawdy odebrało jej wszystkie siły.

– Co się z wami stało? – zapytała trochę mniej nerwowo.

– Spotkaliśmy na drodze Annabel, to nam się stało.

Araceli pokiwała głową. Być może w tych ośmiu słowach kryła się cała historia, którą uważałem za bardziej skomplikowaną, nie wiem. W tamtej chwili nie miałem

ochoty zwierzać się żonie Asiera.

I wtedy rozległ się dźwięk mojego telefonu. Melodia *Lau teilatu*. Dzwoniła logopedka Beatriz Korres.

Poczułem wielką ulgę. Gestem dałem Araceli do zrozumienia, żeby została tam, gdzie siedzi, a sam odszedłem kilka kroków, żeby spokojnie porozmawiać.

– Beatriz, jak się cieszę, że dzwonisz. Wiesz, gdzie jest Germán?

W jej głosie wyczułem coś dziwnego, drżenie, wściekłość.

– Oczywiście, że wiem. Ja go mam – odparła.

– Jak to ty go masz? Coś się stało? Czuję, że jesteś... zdenerwowana.

Nie rozumiałem, nic z tego nie rozumiałem.

– Zdenerwowana? Zauważyłeś to, Unai? Ty, który nigdy niczego nie zauważasz?

To nie była ta słodka Beatriz Korres, która od wielu tygodni pracowała ze mną nad tym, żebym odzyskał mowę. Teraz każde jej słowo aż ociekało żółcią.

– Beatriz, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Oczywiście, że nie, jak mógłbyś się domyślić. Zawsze masz rozwiązanie przed nosem, a nie potrafisz zapobiec ani jednej śmierci. To przez ciebie mój ojciec nie żyje!

– Twój ojciec? Przecież ja go nie znam...

– Tak, mój ojciec. Saúl Tovar. Z twojej winy nie żyje, Kraken!

I nieznajoma kobieta, którą, jak mi się wydawało, kiedyś znałem, zapłakała w słuchawkę z furią, zupełnie zdruzgotana.

Wtedy do mnie dotarło.

Imiona: pomyliłem się.

Chodziło o inicjały.

BK, czyli Beka, ukrywała się pod nazwiskiem Beatriz Korres, była też Begoñą Kortajareną, która skontaktowała się z Annabel Lee.

Doznałem olśnienia. Dosłownie. Jakby poniewczasie w moim mózgu rozbłysło światło.

Zrozumiałem jednak, że dla mojego brata jest już za późno.

67

OKON

22 stycznia 2017, niedziela

Wyobrażanie sobie brata wiszącego na drzewie, z głową zanurzoną w kotle, sparalizowanego strzałem z tasera, to było dla mnie za dużo. I jeszcze zaskoczenie, stupor wywołany tym, że Rebeca okazała się osobą, której zaufałem, która pomogła mi zacząć nowe życie. Zawdzięczałem jej wiele, całe długie godziny męczącego powtarzania słów i zdań, przyjazne poklepywanie po plecach, kiedy mi się udało. Lizaki, które od niej dostawałem za każdym razem, kiedy zdołałem dodać kolejne słowo do zdania podrzędnie złożonego.

– Rebeco, to ty? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Nie musiał umierać! – krzyknęła mi do ucha. Nie panowała nad sobą. – Kochałam go, tęskniłam za nim. To twoja wina, że nie żyje!

– Nie jestem odpowiedzialny za śmierć Saula. Po prostu bał się, że wszyscy się dowiedzą, co ci zrobił.

– To była moja wina, to ja zaczęłam! Chciałam, żeby mnie kochał, sama tego chciałam!

– Nie, Rebeco. Miałaś trzynaście lat... Prowadził z tobą grę, chciał, żebyś w to uwierzyła. Ale to on cię uwiódł. Wszystkie ofiary przemocy seksualnej mają poczucie winy. Nie uwiodłaś swojego ojca, nie jesteś odpowiedzialna za to, co się stało.

– Jestem, to ja zaczęłam tę zabawę – powtórzyła drżącym głosem.

Naprawdę w to wierzyła.

Wybuchnęła płaczem. Nie wiem, czy była przybita śmiercią Saula, czy przeżywała katharsis, mogąc wreszcie otwarcie porozmawiać z kimś o przeszłości.

Prawie dwadzieścia pięć lat wcześniej umówiliśmy się na rozmowę, która nie doszła do skutku. Nigdy nie myślałem, że dokończymy ją w podobnych okolicznościach.

– Rebeco, to tylko poczucie winy. Nie miałaś szansy się z niego wyleczyć. Przybrało patologiczną postać, przez nie zginęło wielu ludzi.

– Ludzi, którzy nie zasłużyli na to, żeby mieć dzieci.

– Ja też nie zasługuję na to, żeby mieć dzieci. Chcesz... chcesz... – Zaciąłem się. Nie mogłem znieść tego stresu.

– Oddychaj głęboko, tak jak cię uczyłam, Unai – powtórzyła zdanie, które wcześniej słyszałem tyle razy z jej ust.

Posłuchałem jej: zaczerpnąłem powietrza, zatrzymałem je na chwilę w płucach, a potem zrobiłem długi wydech, licząc do trzech.

I przez chwilę miałem wrażenie, że znów mam do czynienia ze swoją logopedką.

– Jeśli chcesz mnie ukarać za to, że nie zdawałem sobie sprawy, co działo się w kantabryjskiej wiosce, zrób to. Nie wysłuchałem cię, nie pomogłem, pozwoliłem twojemu ojcu cię gwałcić. Sama powiedz, czy nie zasługuję na śmierć.

– Nie zasługujesz na to, żeby być ojcem. Nie umiałbyś chronić swojej córki. Alba też nie będzie dobrą matką.

I ta wzmianka o Albie wystarczyła, żebym podjął decyzję.

– Nie mieszaj jej do tego! – ryknąłem. – Przecież chodzi o to, co zaszło w wiosce. Tylko ty i ja. Zrobimy wymianę: ja za Germana.

– Nie wygrasz ze mną. Jeśli sądzisz, że wciągniesz mnie w pułapkę...

– Nie. Żadnych podstępów. Sama wyznacz miejsce... Nie odłożę telefonu, dopóki tam nie dojadę, nikogo nie zawiadomię. Ja za Germana, zabijesz mnie i wszystko się dla mnie skończy. Przecież zasłużyłem sobie na taki koniec, nie zapobiegłem temu, co robił ci twój ojciec.

Rebeca zastanawiała się przez kilka sekund, które dłużyły mi się w nieskończoność.

– Dobrze. Pustelnia Okon. Ta, na której wyryto symbol *lauburu*^[7] i liście dębu. Jest tam mały staw...

– Znam to miejsce – przerwałem.

Pewnie to Germán ci je pokazał, pomyślałem wściekły.

– Jeśli zawiadomisz swoją partnerkę, zabiję twojego brata.

– Wiesz przecież, do cholery, że nikogo nie zawiadomię. Uważaj, żeby Germanowi nie spadł włos z głowy – zagroziłem, chodząc tam i z powrotem pod murem.

Araceli, zaniepokojona pewnie tym, że tak nerwowo kręcę się po dziedzińcu, krzycząc i gestykulując, podeszła do mnie.

– Unai, czy coś...?

Przerażony zasłoniłem jej usta.

Jeśli Rebeca zorientuje się, że nie jestem sam, mogę pożegnać się z Germanem. A Germán nie może, po prostu nie może...

Araceli dostrzegła przerażenie na mojej twarzy i zamilkła. Musiałem mówić dalej, Rebeca nie powinna niczego zauważyć.

– Fizycznie bardzo się zmieniłaś. Jesteś nie do poznania.

– Zrobiłam wszystko, żeby stać się zupełnie innym typem kobiety niż ten, który podobał się jemu. Myślałam, że tak będę...

– Bezpieczna. Na wypadek, gdybyście znów mieli się spotkać albo gdyby dowiedział się, że żyjesz, i próbował znów cię uwieść.

W słuchawce panowała cisza, słyszałem tylko przyspieszony oddech Rebeki. Chyba płakała. Zmusiłem się, żeby mówić dalej:

– Nie byłaś pewna, czy zdołasz się oprzeć jego uwodzicielskiemu urokowi. Zawsze kochałaś ojca, zawsze cię pociągał, a jednocześnie przerażał. Postarałaś się być zmysłową kobietą, w niczym nie przypominając tej dziewczynki, która mu się podobała. Próbowałaś się ochronić przed nim, ale także przed sobą samą. Nie byłaś pewna, czy zdołasz mu się oprzeć.

Rebeca milczała. Wiedziałem, że po cichu przyznaje mi rację.

Wykorzystałem tę chwilę przerwy, żeby wyjąć notes i napisać do Araceli:

Nikomui ani słowa. Musisz coś dla mnie zrobić. Idź do mnie do domu. Biegnij, natychmiast!

Pokiwała głową, zrozumiała, że dzieje się coś poważnego. Przeczytała wskazówki, rzuciłem jej klucze. Wystrugany przez dziadka drewniany breloczek z górami zatoczył w powietrzu elegancki łuk.

Uważaj na siebie – napisała, a potem ruszyła biegiem do mojego mieszkania.

Nic nie mogę obiecać, odparłem w myślach.

I rzuciłem się biegiem ulicą Carnicerías, żeby jak najprędzej dopaść do samochodu i ruszyć w stronę Okon.

Dotarłem do pustelni Matki Boskiej z Okon ponad godzinę później. Przez całą drogę byłem w kontakcie telefonicznym z Rebecą, żadne z nas nie rozłączyło się ani na chwilę. Poprosiłem ją, żeby pozwoliła mi zatankować na stacji benzynowej w Ventas de Armentia. Zgodziła się dość niechętnie.

Pustelnia znajdowała się w górach niedaleko mojej wioski, zaledwie kilkaset metrów od Bernedo. Przejechałem ostrożnie drogą prowadzącą do kościółka, po obu stronach porośniętą drzewami rzucającymi w lecie chłodny cień. Przy trawniku zaparkowano

dwa samochody.

Postawiłem swój wóz przy dzwonnicy i wypadłem z niego z komórką w dłoni. Rzuciłem się w kierunku stawu ukrytego za lasem, w którym stały ławki i stoły piknikowe. Niewielu ludzi znało ten ustronny zakątek i wykuty w skale zbiornik wodny, w którym kiedyś kobiety płukały pranie.

Kiedy zobaczyłem małą sylwetkę mojego brata unoszącą się nad powierzchnią stawu, prawie stanęło mi serce. Jego elegancki granatowy garnitur nie pasował do otaczających go pożółkłych i brązowych liści. Stopy miał skrępowane sznurem, którego drugi koniec przywiązany był do drzewa. Ramiona zwisały bezwładnie, a ciemne włosy dotykały lustra wody.

– Nie podchodź bliżej, Unai – powstrzymała mnie Rebeca, celując do mnie z tasera.
– Zdejmij kurtkę.

Zrozumiałem natychmiast, o co jej chodzi. Zamierzała do mnie strzelić, ale najpierw musiała sprawdzić, czy mam kamizelkę kuloodporną oraz broń.

– Nie jestem uzbrojony! – krzyknąłem. – Chyba nie sądziłaś, że jest inaczej?

Zaraz do mnie strzeli, myślałem. A potem utopi mnie w stawie.

W innych okolicznościach instynkt samozachowawczy podsunąłby mi tysiąc pomysłów, żeby ją rozbroić albo przegadać, ale na widok bezbronnego Germana straciłem wolę walki.

Posłuchałem jej, położyłem kurtkę na ziemi. Podniosłem ręce. Poddąłem się.

– Teraz podejdź bliżej! – krzyknęła.

Musiałem znaleźć się w polu rażenia tasera, a jego kable miały najwyżej siedem metrów długości.

– Pospiesz się, nie mam całego dnia. Muszę jeszcze sprawdzić, czy boginie są zadowolone z twojej córki.

– Co powiedziałaś? – zapytałem z niedowierzaniem, podchodząc do niej z rękami na potylicy.

Ale Rebeca nie miała zamiaru mi odpowiadać. Nie miała też zamiaru rozwiązać Germana ani go wypuścić. Nagle pojąłem: Germán wiedział, kim ona jest, odkrył jej podwójną tożsamość. Nie mogła pozwolić, żeby został przy życiu. Zrozumiałem też, że to pułapka i że zginiemy obaj.

Dlatego kiedy dostrzegłem za nią biały kaptur z wystającymi spod niego niebieskimi włosami i MatuSalema celującego jej w plecy z żółtego tasera, nie zrobiłem nic, żeby go powstrzymać.

Wyładowanie trwało pięć sekund. Rebeca bezwładnie opadła na ziemię prosto

w błoto i zwiędłe liście. Dostała silnych drgawek.

Matu nie był sam, przyjechała z nim Golden Girl. Leciwa hakerka jęknęła i pokuśtykała z wysiłkiem na ratunek ukochanej siostrzenicy.

– Beco, kochanie, to ja, twoja ciotka. Rebeco!

Ja pobiegłem odwiązać Germana. Miał twarz czerwoną jak burak od zwisania głową w dół. Musiałem wejść do stawu, zanurzyć się po pas w lodowatej wodzie, żeby go uwolnić.

– Już po wszystkim, Germanie. Już po wszystkim – szepnąłem.

Wciąż był skołowany, kompletnie zdezorientowany. Rebeca użyła zapewne tasera, zanim powiesiła mojego brata na drzewie.

Cały mokry wyniosłem Germana ze stawu i już na brzegu objąłem go mocno. Wyglądaliśmy jak pieta, jedna z tych rzeźb Madonny oplakującej martwego syna i tulącej jego ciało. Kiedy poczułem, że Germán jest bezpieczny, zupełnie się rozkleiłem, napięte nerwy puściły i zacząłem się trząść jak osika.

– Bardzo sprytny pomysł, to z białym i czarnym krzyżem na twoim oknie, Kraken – przyznał stojący za moimi plecami MatuSalem. – Ona śledziła mnie, ja ją, oboje monitorowaliśmy ciebie. Zrozumieliśmy natychmiast, że potrzebujesz tasera, który Golden kupiła w darknecie.

Tak naprawdę najbardziej zależało mi na tym, żeby na miejscu zjawiała się Golden, a właściwie Lourdes Pereda, ciotka Rebeci. Miałem nadzieję, że jej obecność przypomni dziewczynie o jaśniejszej części jej przeszłości. Nie byłem jednak pewien, jak szybko odczyta moją wiadomość, dlatego poprosiłem Araceli, żeby nakleiła na moim oknie też biały krzyż i wezwała MatuSalema.

Wiedziałem, że taki geniusz jak on zrozumie, o co proszę, i liczyłem na jego refleks.

Nie zawiodłem się.

Ocalił mi życie.

Gdybym zadzwonił do Estíbaliz, wszystko rozbiłoby się o procedury: „zaczekaj, zaraz wyślę patrol, nie jedź tam sam, zajmę się tym”. Byłem świadom, że z tej samodzielnej akcji będę się musiał gęsto tłumaczyć na komisariacie. A może nie?

– Znikajcie stąd. Weźcie gałęzie i pozamiatajcie swoje ślady. Nigdy was tu nie było. To ja użyłem tasera, mój brat nic nie powie. A Rebeca was nie widziała.

Wziąłem taser (Matu miał rękawiczki, ten dzieciak dbał o każdy szczegół), żeby zostawić na nim swoje odciski palców. Stałem w miejscu, z którego strzelał, moje podeszwy odcisnęły się w błocie.

Ale Golden wciąż obejmowała leżącą na ziemi Rebecę. Zaniepokoiłem się, powinna

zacząć odzyskiwać przytomność. Byłem przygotowany na to, żeby ją obezwładnić i zatrzymać.

– Golden, co się dzieje? – zapytałem.

– Nie mogę jej ocucić, Kraken. Jest nieprzytomna – odparła, kołysząc Rebecę w ramionach jak małą dziewczynkę.

Podbiegłem do nich, Germán z wysiłkiem powlókł się za mną. Nie umknął mojej uwagi grymas przerażenia i bólu na jego twarzy.

Przytknąłem Rebecę palce do szyi, żeby zmierzyć puls. Jej serce biło, ale była nieprzytomna.

– Musimy wezwać karetkę. Rebeca zapadła w śpiączkę.

PUENTE VIESGO

15 maja 1993, sobota

Sarah, walcząc z sennością, siedziała w fotelu na biegunach i kołysała niemowlę. Świejące słońce zachęcało do spacerów po pobliskim lesie, ale wiedziała, że nie powinna wychodzić z domu. Nie mogła ryzykować, że zobaczy ją któryś z sąsiadów.

Kiedy zadzwonił telefon, zaniepokoiła się. Tylko jej brat miał numer do miejsca, gdzie postanowiła się schronić.

– Sarah, musisz przyjechać z małą – powiedział nieznośnym sprzeciwu tonem.

– Z dziewczynką? Nie uważasz, że to zbyt niebezpieczne? A jak ktoś mnie z nią zobaczy w okolicach twojego domu?

– Przyjedź z nią, wszystko ci opowiem – odparł Saúl i się rozłączył.

Sarah posłuchała. Zaintrygowało ją zachowanie brata. Po zniknięciu Rebeki wydawał się taki przygnębiony... A ona wolała przemilczeć swoje podejrzenia. Miała wyrzuty sumienia, że poszła do łóżka z Eulaliem Osorio. Czowała, że był zdolny do zabójstwa. Ten facet jest za miękki, może nie wytrzymał poczucia winy. Co on wiedział o winie? Ona to co innego...

Odkąd zobaczyła zdjęcia, które ktoś wysłał do gazety, nie mogła przestać o tym myśleć. Czyżby naprawdę zabił Rebecę, żeby nigdy nie powiedziała prawdy?

Sarah mieszkała w stojącym na uboczu domku pod Puente Viesgo. Tu przywiozła Gimeneę zaraz po jej urodzeniu. Dziewczynka była jeszcze zbyt mała i słaba, żeby wyruszyć z nią w dalszą podróż, a Sarah chciała zacząć nowe życie w Londynie. Może w przyszłości dołączy do nich Saúl i stworzą rodzinę? Brat dostałby pewnie jakąś dobrą posadę, na przykład w British Museum. Teraz, kiedy nie ma Rebeki, która ciągle pakowała ich w kłopoty, może wreszcie uda im się wieść spokojne życie...

Następnego dnia w nocy Sarah przyjechała do willi Saula. Zaparkowała samochód tuż przy drzwiach. O tej porze sąsiedzi raczej nie zobaczą, jak wchodzi do domu z niemowlęciem w ramionach.

– Daj mi ją. Chcę ją przytulić. Nie mogę przestać o niej myśleć.

– Jest bardzo grzeczna, nie sprawia problemów. Jeśli będzie przybierać na wadze w tym tempie, niedługo z nią wyjadę. Złożę wypowiedzenie w szpitalu, w Londynie już wszystko gotowe, czekają tylko na mój podpis. Z adopcją sprawa będzie znacznie trudniejsza.

– O tym chciałem z tobą porozmawiać. Zmieniłem zdanie – powiedział Saúl, wciąż trzymając dziewczynkę w ramionach. – Chodź, pójdziemy na górę. Coś ci pokażę.

– Daj mi małą. Obudzisz ją – szepnęła zaniepokojona.

– Nie martw się. Lubi mnie. Bardzo mnie lubi. Zaniosę ją. Chodź.

I weszli po schodach na górę, do pokoju, który należał kiedyś do Rebeki, tuż obok sypialni ojca.

Sarah weszła i natychmiast zrobiła krok do tyłu.

Wszystko tu się zmieniło. Po łóżku, na którym Rebeca kilka tygodni wcześniej urodziła córkę, nie został nawet ślad. Zniknęły też książki do historii i plakaty z celtyckimi boginiami.

– Co tu się dzieje, Saulu?

– Urządziłem pokój dla Gimeny. Złożyłem łóżeczko, odmalowałem ściany. Kupiłem ubranka, pieluchy, mleko. Wychowałem już jedną córkę, wiem, jak to się robi. Gimena od dziś będzie mieszkać ze mną.

– Nie! Powiedziałaś, że będę mogła ją zatrzymać. Nie rób mi tego! Wiesz, że nie mogę mieć dzieci. Chcę wychowywać tę dziewczynkę. Kocham ją, jest taka niezwykła... – Nie mogła mówić dalej.

Czasem bała się Saula, zwłaszcza wtedy, kiedy spoglądał na nią takim wzrokiem jak dawniej ich ojciec. Jak w tamtej chwili. To spojrzenie ją przerażało.

– Musisz jeszcze coś dla mnie zrobić. Trzeba zarejestrować ją w Urzędzie Stanu Cywilnego. Sfałszujesz dokumenty adopcyjne. Chodzi o decyzję sędziego o powierzeniu mi opieki nad Gimena. Masz dostęp do tych papierów. Zrób to, inaczej wpadniemy oboje.

– Saulu, na Boga. Błagam cię, przez wzgląd na naszą matkę nie zabieraj mi tego dziecka! – prosiła Sarah, chociaż wiedziała, że jej prośby nie zdadzą się na nic.

Saúl położył dziewczynkę do jej nowego łóżeczka i nakrył nową kołderką.

– Będziemy dla Gimeny jak ojciec i matka, nasza rodzina jest najważniejsza – powiedział i objął siostrę. – Tym razem się uda, musi się udać.

Przytulił mocno siostrę. Próbowwała się opierać, ale nie potrafiła. Tak bardzo tęskniła za jego objęciami. Uspokoila się, spojrzała na dziewczynkę, a ona się uśmiechnęła. Gimena była taka słodka, w niczym nie przypominała płacziwej, sprawiającej ciągłe

kłopoty Rebeki.

Przez wiele miesięcy nie odzywali się do siebie. Sarah miała do Saula żal, nie mogła mu wybaczyć, że musiała się przez niego oddać mężczyźnie, którego nie kochała. Ale słodka Gimena złagodziła napięcia i wkrótce stali się trzyosobową rodziną, o której Sarah zawsze marzyła.

Krew z ich krwi, jak uczył ich ojciec.

Wszystko układało się dobrze. Dopóki Gimena nie dorosła. Nie potrafiła znieść obojętności ojca, więc popełniła samobójstwo.

DOM DZIADKA

23 stycznia 2017, poniedziałek

Spędziliśmy z dziadkiem i Germanem wieczór w Villaverde, na kanapie przed ogniem. MatuSalem i Golden ulotnili się z Okon rozklekotanym samochodem Matu, a karetka odwiozła Rebecę do Txagorritxu. Mojego brata zatrzymano na obserwacji na dwie godziny, lekarze zlecili badania krwi. Okazało się, że jego dziewczyna podała mu środki nasenne w dawce, która powaliłaby konia. Germán nie pamiętał nic od chwili, kiedy w sobotni rano wszedł do gabinetu mojej logopedki przy San Antonio, żeby napić się kawy.

Alba tymczasem uparcie nie odbierała telefonu. Poprosiłem Esti, żeby powiadomiła ją o wszystkim. Ja nie chciałem z nikim rozmawiać, pragnąłem tylko odciąć się od świata, być z rodziną. Opiekować się Germanem, kiedy będzie dochodził do siebie.

– Muszę pojechać do szpitala, ktoś powinien nad nią czuwać – mamrotał, próbując się ogrzać pod grubym kocem dziadka.

– Nie pozwolą ci do niej wejść dziś w nocy. Zobaczymy jutro – powtórzyłem jeszcze raz, mając nadzieję, że wreszcie mnie posłucha.

– Muszę wiedzieć, czy przez te wszystkie miesiące mnie oszukiwała, czy naprawdę coś do mnie czuje – powiedział.

W jego oczach był tak wielki smutek, że miałem ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię.

– Chyba nie byłś częścią jej planów. Udało się jej zbliżyć do mnie, bo zhakowała moją pocztę i przeczytała mejl do neurolożki. Zaczęła udawać logopedkę, widziałem jej wiadomość do lekarki. Już wtedy podpisywała się jako BK, możesz to sobie wyobrazić? Miałem wszystko przed nosem i nic nie widziałem. Chyba zlokalizowała mnie dzięki rozgłosowi, jaki przyniosła mi w lecie sprawa podwójnych zabójstw. Wiedziała o moim urazie i specjalnie przygotowała sobie tożsamość.

– Chciałbym ci wierzyć, ale muszę mieć pewność. Rozumiesz to, Unai?

– Nie udało mi się ocalić cię od mojego piekła, Germanie. Dziś wstydzę się nawet

spojrzeć ci w oczy. Znów pewnie poprosisz mnie, żebym rzucił pracę i zajął się czymś innym.

Germán wstał. Mieliśmy za sobą bardzo długi dzień i była najwyższa pora, żeby go zakończyć.

– Porozmawiamy jutro, ja mam już dość na dziś. Ale dziękuję, że uratowałeś mi życie – powiedział i zniknął w drzwiach kuchni, kierując się do swojej sypialni.

Zrobiłbym to tysiąc razy, Germanie. Więcej niż tysiąc razy.

Zjawiłem się w swoim gabinecie przy Portal de la Foronda z samego rana. Kiedy otworzyłem drzwi, rozległy się brawa. Posypały się gratulacje. Czekali na mnie koledzy z innych wydziałów, komisarz Medina, Esti, Milán, Peña...

Wznieśliśmy toast cydrem. Poklepywaliśmy się po plecach i uśmiechaliśmy z ulgą. Złapaliśmy morderczynię, gra w wisielca dobiegła końca. Śledztwo „Rytuały wody” miało zostać zamknięte.

Komisarz podszedł do mnie ze szczerym uśmiechem. Ten jeden raz wydawał się zadowolony. Odszedł ze mną na bok, szukając dyskretnego miejsca w całym tym rozgardiaszu.

– Gratuluję, inspektorze. Mam nadzieję, że niedługo wróci pan do pracy. Jeszcze raz udowodnił pan, że jest w znakomitej formie. Nasza ekipa wiele panu zawdzięcza.

– Dziękuję. Jakież wieści ze szpitala?

– Mam nadzieję, że Rebeca Tovar odzyska przytomność, ale zespół lekarzy, który się nią opiekuje, twierdzi, że rokowania nie są zbyt optymistyczne.

– Wiemy, co się stało?

– Miała wrodzoną wadę serca, być może nigdy niewykrytą. Ujawniła się w wyniku użycia elektrycznego paralizatora. Wciąż jest w śpiączce, niewykłuczone, że już się nie obudzi.

Pokiwałem głową w milczeniu. Nie ucieszyło mnie to wcale a wcale.

Komisarz otaksował mnie wzrokiem, a potem wypalił:

– Wie pan, że muszę o to zapytać: skąd, do diabła, miał pan nieregulaminową broń?

– To była część dochodzenia, które prowadziłem w darknecie. Sprawdzałem, w jaki sposób Rebeca Tovar nabyła taser, którym paraliżowała swoje ofiary.

– Wie pan, że będzie pan musiał napisać o tym raport?

– Oczywiście. Czy będę miał na głowie komisję dyscyplinarną?

– Niech pan napisze ten raport, a potem zobaczymy. Ale dziś świętujemy. Gdzie jest pana narzeczona?

– Kto?

– Pani podkomisarz. Wczoraj dowiedziałem się o wynikach śledztwa od inspektor Gauny i trochę się tym zdziwiłem. Dzwoniłem potem do podkomisarz Salvatierry, ale miała wyłączony telefon. Nie ma jej jeszcze w pracy?

– Na pewno zaraz przyjdzie, proszę się nie martwić.

Ale sam podszedłem do Estíbaliz.

– Co z Albą?

– Chyba zrobiła sobie weekend poza zasięgiem, bo nie odbiera telefonu. Powinna już tu być – powiedziała, trzymając w dłoni plastikowy kubek.

Wyjąłem komórkę i wybrałem numer jej matki. Nieves odebrała natychmiast.

– Nieves, kiedy ostatnio widziałaś się z Albą?

– W piątek po obiedzie. Zajrzała do hotelu, żeby wziąć migdały w lukrze, które dostała od twojego dziadka. Ostatnio ma wielki apetyt na słodczy, mam nadzieję, że nie dostanie od tego cukrzycy. Zadzwoiła do niej narzeczona twojego brata i gdzieś razem pojechały. Czemu pytasz? Nie zjawiała się w pracy?

Musiałem oprzeć się o biurko, bo zakręciło mi się w głowie.

Dopiero teraz zrozumiałem: porwanie Germana miało odwrócić naszą uwagę, było pułapką, kolejną sztuczką diabła pozwalającą zyskać na czasie.

Prawdziwymi ofiarami Rebeki były Alba i moja córka.

70

DOM ALBY

23 stycznia 2017, poniedziałek

Estibaliz i ja zbiegliśmy po schodach, jakby paliło się nam pod stopami. Pojechaliśmy samochodem pod dom Alby przy ulicy Prado. Dzwoniliśmy domofonem, ale nikt nie otworzył. Sąsiad, który wracał z zakupów, wpuścił nas na klatkę schodową. Pukaliśmy do drzwi, na próżno. Z mieszkania nie dochodziły żadne dźwięki.

Walilem zrozpaczony w drzwi. Milczenie Alby paliło mi wnętrze. Esti też była na skraju hysterii.

Spojrzeliliśmy po sobie z przerażeniem, przypominaliśmy raczej dwoje zagubionych dzieci niż parę zawodowców przyzwyczajonych do tragedii.

– Zadzwoń do Milán – odezwała się moja partnerka. – Niech namierzy jej telefon.

Usiadłem na podeście trzeciego piętra i oparłem się plecami o ścianę. Zgasło światło, znaleźliśmy się w ciemnościach, ale prawie tego nie zauważyłem. Strach, który trzymał mnie za jaja, był o wiele czarniejszy.

I wciąż dźwięczały mi w głowie słowa Rebeki.

– Mówiła coś o boginiach i mojej córce, że musi się upewnić, czy są zadowolone. Nie rozumiałem sensu jej słów, wydawały mi się zbyt enigmatyczne.

– Nie myśl teraz o tym, Unai! – Moja partnerka zapaliła z powrotem światło. – Trzeba zebrać ekipę i wyruszyć na poszukiwania, jak tylko zlokalizujemy jej komórkę. Jesteś profilerem, rozwiązałeś tę sprawę, przygotuj mi listę miejsc, do których Rebeca mogła wywieźć Albę. Jeśli nie zabiła jej, zanim wzięła się za twojego brata, być może jeszcze znajdziemy ją żywą.

– Myślałem o tym. Zaraz zrobię ten wykaz.

– Nieves powiedziała, że Beatriz czy Rebeca przyjechała po Albę o piątej po południu. Było jeszcze jasno. Z twoim bratem umówiła się następnego dnia o pierwszej w Vitorii. Miała prawie dwadzieścia godzin, żeby zająć się Albą, co daje dziesięć godzin drogi w jedną stronę. To dość spore widełki czasowe, geograficznie zbyt wielki obszar.

– Zobaczymy, co się stało z komórką, być może trzeba będzie skontaktować się z Paulanerem i skoordynować nasze poszukiwania z kolegami z Kantabrii – powiedziałem, robiąc w zeszycie spis możliwych scenarii zbrodni. – Wiele miejsc z mojej listy znajduje się właśnie tam.

– Zadzwoń do Paulanera. Daj mi tę listę.

Wyrwałem kartkę i podałem ją Esti. Zacząłem od miejsc w Kantabrii, które miały dla Rebeki szczególne znaczenie: zrekonstruowana wioska kantabryjska w Cabezón de la Sal, pałac hrabiego San Diego, szczyt Dobra, Fontibre, willa Saula, wszystkie klify na Costa Quebrada od plaży Arnía do Portío. Za dużo tych miejsc. W Vitorii musieliśmy przeszukać gabinet Rebeki w kamienicy Pando-Argüelles. Germán nigdy się nie dowiedział, gdzie mieszkała jego narzeczona. W Álavie przychodziły mi do głowy tylko tunel San Adrián i muzeum Barbacana.

Sięgnąłem po komórkę i zadzwoniłem do Hectora. Opowiedziałem mu pokrótce o tym, co się stało, i poprosiłem o listę celtyberyjskich stanowisk archeologicznych w naszej prowincji znajdujących się w pobliżu rzeki, stawu lub sadzawki. Nie było ich zbyt wiele. Poprosiłem więc, żeby dorzucił wszystko, co w jakikolwiek sposób wiąże się z kulturą celtyberyjską. Odpowiedział dość szybko. Musieliśmy przeszukać Castros de Lastra, Olárizu, stanowisko archeologiczne La Hoya...

– Powiedz mi, że śnię, Esti. Powiedz, że to nie dzieje się naprawdę.

– Alba na pewno żyje, Unai. Ona nie zginęła. Ktoś tak twardy jak ona... Niemożliwe. Nie zostawi nas samych. Jest najsilniejsza z całej naszej trójki – wyrecytowała głośno Esti, jakby odmawiała litanie.

Wyszliśmy na ulicę. Przywitały nas deszcz i podmuch zimnego wiatru, pieprzony deszcz, który nie wróżył nic dobrego.

– Zadzwoń do Nieves, niech przyjedzie z Laguardii z kluczami do mieszkania Alby. Musimy się upewnić, czy nie ma jej w środku. Może zemdląła z powodu rzucawki – poleciłem Esti.

Niestety mieszkanie było puste. Ani śladu Alby.

Zmontowaliśmy dwie ekipy poszukiwawcze: jedną w naszej prowincji, drugą w Kantabrii.

Po południu nadeszła pierwsza dobra wiadomość.

Turyści znaleźli w rowie przy wyjeździe z Laguardii wyłączony telefon Alby.

Koledzy z komendy w Laguardii przejrzeni zapis z kamer nadzoru i zauważyli samochód Rebeki, a właściwie Beatriz Korres. Wiedzieliśmy już, że wyruszyły na północ, ale ślad po nich gubił się, kiedy wjechały na drogę gminną.

Miałem małe spięcie z komisarzem, kiedy zakończyliśmy zwołane na cito zebranie

w Lakui. Wszyscy patrzyliśmy z niepokojem na zachmurzone niebo. Andonio Cuesta zginął bardzo niedawno, a prognozy na noc zapowiadały zimno i deszcz.

– Pan zostaje – powiedział mój przełożony, kiedy wychodziłem z sali.

– Nie mam zamiaru – odparłem.

– To polecenie służbowe: jeśli pan nie posłucha, wyciągnę konsekwencje dyscyplinarne. Nie wiemy, w jakim stanie jest pani podkomisarz ani nawet czy znajdziemy ją żywą, czy jej zwłoki. Proszę sobie tego oszczędzić.

– Wiem o tym, panie komisarzu. Ale już mówiłem: chodzi o moją córkę.

I wyruszyłem na poszukiwanie.

W poniedziałek padało przez całą noc.

Alba przepadła bez śladu.

We wtorek do poszukiwań zgłosili się ochotnicy. Lista miejsc była zbyt długa, nie mieliśmy wystarczająco dużo ludzi, żeby wszystkie je przeszukać.

Germán, Nieves, Asier, Lutxo, Araceli, Nerea, Xavier wzięli wolne w pracy i włączyli się do poszukiwań. Dziadek oczywiście też brał w nich udział. Alba połączyła znów naszą paczkę, którą próbowała zniszczyć Annabel Lee. Poczucie solidarności przeważało nad dawnymi urazami, „chcę być z tobą w tak trudnym momencie” nad wzajemnymi pretensjami.

Paulaner kierował poszukiwaniami w Kantabrii. Estíbaliz na północy prowincji Álava. Ja zająłem się południem: centrum operacyjnym moich działań było Villaverde.

W tym powszechnym zrywie solidarności był jednak mały zgrzyt: mój brat.

Germán z niezrozumiałych dla mnie przyczyn codziennie jeździł do Txagorritxu odwiedzać Rebecę. Nie mogłem tego znieść. Wydawało mi się, że cierpi na syndrom sztokholmski.

Po południu znów się tam wybrał: pożegnał się ze mną w kuchni. Odwróciłem się do niego plecami i bez słowa przygotowywałem kolację dla siebie i dziadka.

– Unai, synku, Germán wiele przeszedł. Nie możecie się do siebie nie odzywać – powiedział dziadek.

Na to też nie odpowiedziałem.

Po kolejnym dniu bezskutecznych i wyczerpujących poszukiwań pojechałem na noc do Vitorii. Chciałem być sam.

Nazajutrz dzień wstał bardzo brzydki. Dla odmiany padało i było zimno. Nieprzerwana mżawka zmieniająca się od czasu do czasu w ulewę. Ulice były pełne czarnych parasoli, pogoda wkurzona nie wiem na kogo, ja wkurzony na bóstwa pogody.

– Niech przestanie padać, niech, kurwa, przestanie wreszcie padać. To im nie

pomaga – powtarzałem, spoglądając w niebo.

W nocy, jak jakiś wariat, wszedłem na dach, ten sam dach, na którym spędziliśmy z Albą święto Białej Panienci, ten sam dach, gdzie słuchaliśmy *Lau teilatu*, którym nie rozbrzmiewał już jej telefon.

Było zimno, tej nocy ścisnął mróz. Niewiele osób wie, jak to jest spędzić noc na dworze w styczniu na Syberii-Gazteiz. Ja wiem. Nie czułem się źle, nikt mi nie mówił, co mam robić, nie musiałem znosić pełnych współczucia spojrzeń.

– Pozostaje niewielka nadzieja – powiedziała Estíbaliz – że Rebeca się obudzi i powie nam, gdzie zabiła Albę. Lekarze uważają jednak, że to mało prawdopodobne, jej serce jest zbyt poważnie uszkodzone.

W środę wróciłem do Villaverde. Od razu zauważyłem wóz naszej jednostki zaparkowany pod balkonem domu dziadka. Wbiegłem po schodach pełen nadziei. Nareszcie jakieś wiadomości.

Wpadłem do kuchni. Estíbaliz wyglądała przez okno balkonowe. Odwróciła się, słysząc moje kroki.

– Po co przyjechałaś? – zapytałem niezbyt przyjaznym tonem.

Masz czerwone oczy z innego powodu. Nie płakałaś przed przyjazdem tutaj. Te łzy, które połykasz, te drżące wargi, to nie z powodu Alby i Deby.

Nie odezwała się, być może zbierała siły.

– Przyjechałaś przekazać mi złe wiadomości? – naciskałem. – Uznali, że najlepiej się do tego nadajesz?

– Sama tak uznałam.

– Jaka jesteś odważna, Estíbaliz. Jaka odważna. Mogli przyjechać Milán, Peña albo komisarz... Ale przyjechałaś ty. I co? Teraz spojrzysz mi w oczy i powiesz, że...

– Przykro mi, Unai...

– Z powodu?

– Zawieszono poszukiwania. Rebeca porwała ją pięć dni temu. Raczej nie uda nam się znaleźć ciała. Poczekamy, aż pogoda się poprawi i natknie się na nie jakiś turysta.

– Powiedz, powiedz to, co myślicie wszyscy, ale nie macie odwagi powiedzieć głośno.

– Lepiej, jeśli pogodzisz się z tym, że Alba nie żyje.

Dobrze, więc już to usłyszałem.

Moją kotwicą był ogień. Buzujące płomienie. W nich czas się zatrzymywał. Stałem tak, wpatrzony w nie, zupełnie bez ruchu. Alba nie żyła, a ja mogłem tylko stać tak jak

posąg na cmentarzu.

Poczułem ogromne zmęczenie.

Na szczęście przybyły posiłki, żeby ocalić mnie z tej burzy. Zgubiłem się, nie potrafiłem wrócić na stały ląd.

Dziadek zmusił mnie, żebym usiadł na kanapie.

Objął moje dłonie swoimi wielkimi dłońmi, szorstkimi jak skały, żylastymi. Jakby chciał powiedzieć: „Spokojnie, synku, jestem przy tobie”.

Tak mówią mentorzy, czyż nie? Oddychaj, oddychaj spokojnie.

Przez kolejnych kilka godzin tylko zamieszanie, jakie powstało wokół mnie, trzymało na dystans niemożliwy do zniesienia ból.

Zdruzgotany, przygnębiony poruszałem się w jakiejś alternatywnej rzeczywistości, gdzie podłoga, po której stąpałem, nie była tak twarda, a wiejący wiatr tak zimny. Dryfowałem w totalnej nieświadomości, bo nie chciałem przyjąć do wiadomości tego, co się dzieje.

Niczego.

Nie chciałem stamtąd wracać.

Mój stary telefon dzwonił bez przerwy. Chyba cała planeta postanowiła złożyć mi kondolencje. Odebrałem tylko połączenie od komisarza Mediny. Nie miałem wyboru.

– Wiem, że poinformowano pana o tym, że zakończyliśmy poszukiwania. Wykluczone, żeby podkomisarz Salvatierra jeszcze żyła, nie przy tej pogodzie... Nie mogę pozwolić na to, żeby znów zginął ktoś z naszych ludzi, jak w tunelu San Adrián.

– Rozumiem, panie komisarzu – uciąłem.

– Składam panu najszczerze wyrazy współczucia z powodu śmierci narzeczonej i dziecka.

– To była córka. Dziewczynka, miała na imię Deba.

Deba, moja mała bogini, która nie zdążyła się urodzić i ochronić matki. Już jakiś czas temu tak ją nazwałem. Byłem pewny, że tak właśnie musi mieć na imię, nawet nie musiałem nikomu o tym mówić.

Alba nie odeszła sama. Kiedyś Saúl opowiadał nam, że Tulonio, bóg strażnik zaświatów, witał duchy przybywające do niego rzeką życia. Miałem nadzieję, że powita je obie.

Musicie tylko na mnie zaczekać. Spotkamy się. Któregoś dnia się spotkamy i będziemy wreszcie rodziną, którą mieliśmy zostać. To nasze przeznaczenie.

Więc dziś jest ten dzień, kiedy muszę pogodzić się z prawdą. Zachować się jak dorosły, przyjąć do wiadomości rzeczywistość.

Że zawieszono poszukiwania, że Rebeca być może zmieniła modus operandi, a tandem Saúl–Rebeca odebrał życie zbyt wielu osobom: Annabel Lee, J., nienarodzonemu dziecku ich dwojga, Gimenie, Marian Martínez, Andoniemu Cueście, Asun Peredzie, samemu Saulowi, niedługo również Rebecę i... Albie, i Debie.

Muszę pogodzić się z myślą, że kobieta, którą kocham, nie żyje i pewnie nigdy nie odnajdziemy jej ciała.

I nie wiem, dlaczego to właśnie dziś zrozumiałem jasno, co właściwie zaszło wtedy w kantabryjskiej wiosce.

Było nas cztery ofiary i troje myśliwych: Annabel Lee, Rebeca i Saúl obserwowali mnie, J., Lutxa i Asiera, sklasyfikowali, umieścili we właściwych przegródkach i wykorzystali do celów, dla jakich przyjechali na ten obóz.

Annabel Lee odebrała nam niewinność i dziecienną pewność, że nasza paczka i nasza przyjaźń są wieczne. Udowodniła nam, że jedna obca osoba zdoła je zniszczyć, nawet nie za bardzo się starając.

Może w całej tej kłęsce to było najbardziej upokarzające.

Dla Rebeki byliśmy ostatnią szansą, żeby powstrzymać Saula. Potrzebowała bohatera, wszystko jedno, którego z nas, żeby wziął na siebie odpowiedzialność i zadenuncjował dorosłego mężczyznę: jej ojca.

Nikt nie stanął na wysokości zadania.

Saúl traktował nas jak przypadkowe pionki w rozgrywce, która nie miała z nami nic wspólnego. Przyjrzał się naszym deficytom emocjonalnym i starał się je zaspokoić.

Nie umiem wybaczyć Rebecę, że miała wybór i z niego nie skorzystała. Dostała od Golden szansę na nowe życie, z dala od wykorzystującego ją ojca. Postanowiła czynić zło. Ja tak nie postąpię, w tym tkwi moja siła. Alba by tego nie chciała.

Wiem, że powinniśmy z Nieves zacząć przygotowania do ceremonii pożegnalnej Alby Díaz de Salvatierry i Deby López de Ayala. Musimy żyć dalej, one już nie wrócą.

Pogodzić się ze stratą, przekroczyć granicę akceptacji.

Kiedy to wszystko się skończy, wejdę na San Tirso, gdzie kiedyś ocalałem komuś życie.

To zostawili mi w spadku Saúl i Annabel. Moją esencję, to, kim naprawdę jestem. Nie będę oglądał się w tył. Sam rzucę się w przepaść. Nie chcę znów być smutnym wdowcem, nie wiem, ile dane by mi było jeszcze żyć na tym świecie, więc podaruję sobie tę żałobę.

Alba nigdy się nie skarżyła, to było jej przesłanie.

Ja też nie będę się skarżył.

Epilog

DEBA

25 stycznia 2017, środa

Wczesnym popołudniem zaczął dzwonić Germán. Dobijał się nieustępliwie. Nie odebrałem, nie miałem siły. W końcu wyłączyłem telefon.

Nie poddał się, usłyszałem dzwonek naszego starodawnego telefonu w kuchni. Uznałem, że dziadek odbierze.

Kilka minut później zjawił się, żeby przekazać mi wiadomość.

– Synku, dzwoni twój brat. Mówi, że Rebeca umarła.

Wybuchnąłem płaczem. Nie mogłem tego wszystkiego znieść.

– Unai, uspokój się. Ma ci coś ważnego do powiedzenia!

– Nie chcę z nikim rozmawiać! – krzyknąłem.

– Nic nie rozumiesz, twój brat jeździł codziennie do szpitala, żeby zapytać ją o Albę. Uparł się, że musi mu wszystko powiedzieć, zanim umrze. Rebeca odzyskała na chwilę przytomność i wyznała prawdę: porzuciła Albę w ruinach klasztoru Toloño.

Klasztor Matki Boskiej z Toloño, w paśmie górskim Toloño. Może Rebeca usłyszała właśnie od Alby to, co opowiedziałem jej kiedyś o celtyberyjskiej genezie nazwy tych gór, a może wiedziała o tym od Germana, który nieustannie starał się zrobić na niej wrażenie.

Włączyłem telefon, zadzwoniłem do Estíbaliz, w kilka minut zorganizowaliśmy misję ratunkową i helikopter.

Zbiegłem po schodach, zapomniałem nawet włożyć kurtki.

Już miałem ruszać, kiedy dziadek otworzył drzwiczki i usiadł obok mnie na przednim siedzeniu.

– A ty dokąd się wybierasz?

– Jadę z tobą. Kiedy za dawnych czasów przemycaliśmy towary do Labastidy, często przechodziliśmy przez te ruiny, wędrując z Peñacerrady. Znam bardzo dobrze okolicę. Jeśli nie będę za tobą nadążał, po prostu pójdziesz przodem.

Już miałem mu powiedzieć, że nie ma mowy, ale kiedy zobaczyłem, że wziął ze sobą koc, bidon z wodą i herbatniki na drogę, uświadomiłem sobie, że doskonale wie, co robi. I jeśli mamy dotrzeć na miejsce przed ekipą ratowników, potrzebuję kogoś, kto będzie przy mnie, kiedy odnajdę to, co mam odnaleźć.

Dotarliśmy do Peñacerrady za ledwie w kwadrans. Dziadek prowadził mnie coraz węższymi leśnymi ścieżkami. Przejechawszy kilka buczyn, zrozumiałem, że dalej samochodem nie dotrzemy.

Zostawiłem wóz i ruszyliśmy pieszo. Dziadek szedł za mną żwawym krokiem. Po chwili marszu usłyszeliśmy nad sobą warkot silnika helikoptera. Została godzina do zmroku. Jeśli nic nie znajdziemy, ratownicy odlecą, a ja znów wrócę do domu z pustymi rękami.

Przyspieszyłem kroku, dziadek został z tyłu, ale wcześniej udzielił mi wskazówek, jak najszybciej dotrzeć do ruin.

I dotarłem tam w tej samej chwili co helikopter lądujący właśnie na niewielkiej polanie.

Wyskoczyła z niego Estíbaliz. Podmuch wiatru omal nie zwałił jej z nóg, ale wytrzymała.

Zaczęliśmy poszukiwania w pobliżu trzech zwalonych murów budynku, który w latach swojej świetności był gotyckim klasztorem. Nie znaleźliśmy nic. Tylko kamienie, kępy chwastów, niewysokich krzewów i...

Nagle zobaczyłem biały skrawek materiału falujący na wietrze.

Niemożliwe. To jej puchówka.

– Tutaj! – krzyknąłem.

I znalazłem Albę, a raczej wychudzone, ubłocone ciało, które kiedyś należało do Alby, otulone puchowym płaszczem, skrępowane w kostkach i nadgarstkach plastikowymi opaskami zaciskowymi. Ciało zwinięte w kłębek wokół brzucha, jakby próbowała w ostatnim odruchu woli ocalić od zamarznięcia naszą córkę. Skóra wokół nadgarstków była zdarta do kości. Przy jej twarzy spoczywał zaimprovizowany naprędce zestaw pierwszej pomocy: stara puszkę po coca-coli wypełniona po brzegi deszczówką.

– Musimy ją ustabilizować! I jak najprędzej przetransportować do Txagorritxu! – krzyknął ktoś, nie pamiętam kto.

– Ale przeżyje? – pamiętam, że zapytałem.

– W tej chwili nie wiem, jej parametry życiowe są na granicy. Jest w stanie krytycznym.

– Dwudziesty piąty tydzień ciąży, cierpi na rzucawkę – poinformowała ta część mnie, która w tej chwili nie zdążyła jeszcze umrzeć ze strachu.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, ale nie mogę niczego obiecać.

Kiedy Alba po kilku tygodniach zawieszenia między życiem a śmiercią obudziła się, a lekarze orzekli, że nie zagraża jej niebezpieczeństwo, długo jeszcze mówiono o tym, ile człowiek jest w stanie przetrwać w nieludzkich warunkach. To prawdziwy cud, że serduszko Deby przy każdym badaniu USG uderzało szybciotko niczym skrzydełka kolibra.

Migdały w lukrze dziadka, które Nieves dała córce w piątek, prawdopodobnie ocaliły ją przed zbyt poważnym spadkiem poziomu cukru.

Mając związane stopy i ręce, nie mogła zrobić nic więcej, tylko racjonować sobie zapas migdałów i pić deszczówkę. Przeczłogała się tam, gdzie znalazła najlepsze schronienie, i w tym świętym miejscu czekała na zmiłowanie bogów. Lubię myśleć, że bóg Toloño czuwał nad nią i Debą. Alba mówi, że znalazła się w jakimś innym stanie świadomości.

Ja uważam, że jej mózgowi zabrakło składników odżywczych i zapadła w letarg.

Dziadek z kolei ma na ten temat własną teorię: Alba zapadła w sen zimowy. Hibernację, jak niedźwiedzica polarna, która chce ochronić swoje młode.

Jako profiler często myślałem o tym, dlaczego Rebeca zmieniła modus operandi. W końcu doszedłem do wniosku, że postanowiła domknąć cykl śmierci swojej córki Gimeny, zabijając moją w podobny sposób, w jaki ona odeszła z tego świata: na szczycie góry, w miejscu uważanym za święte, które wzięło nazwę od imienia celtyckiego bóstwa. Chciała, żeby Alba i Deba umarły z zimna, spędzając noc na dworze.

Ale Rebeca nie znała ich tak dobrze jak ja, nie mogła przewidzieć, że są takie silne.

Wróciłem do pracy dopiero po urodzeniu Deby, która przyszła na świat 28 kwietnia, w dniu świętego Prudencjusza. Nie opuszczałem Alby ani na chwilę przez wszystkie trudne tygodnie, które spędziła w szpitalu. To, że otarła się o śmierć, ponownie nas zbliżyło. Postanowiliśmy dać sobie jeszcze jedną szansę. Przyzwyczaiałem się już do myśli, że będą nam się zdarzać nieporozumienia i nie unikniemy tego.

Byłem obecny przy porodzie. Nigdy nie czułem się równie przerażony, ale kiedy mi ją podano – maleńki pączek zawinięty w becik – a Deba z całej siły zacisnęła mi na palcu swoją drobniutką piąstkę, wszystkie moje obawy rozproszyły się na zawsze. Nie miałem wątpliwości, że to ona mnie wybrała. Wyobraziłem sobie, że pewna siebie jak jej matka chce mi powiedzieć: „Ty jesteś moim ojcem. Znam swoją przeszłość, wiem,

jak zjawiłam się na tym świecie. Ale postanowiłam, że ty będziesz moim ojcem. Koniec, kropka”. I to „koniec, kropka” bardzo dobrze oddawało jej charakter. Moja córka urodziła się w deszczowy dzień, ale nikogo z rodziny nie wydawało się to obchodzić. Ukołysałem ją, zacząłem tańczyć w kółko, mając ją w ramionach i podtrzymując jej główkę. Chyba poczuła od razu, że jest w domu.

Blondynka z niebieskimi oczami jak jej babcia Nieves, nie da się jednak powiedzieć, że była prześlicznym niemowlakiem. Bardzo przypominała dziadka.

Złośliwcy szeptali za moimi plecami, że jest jak skóra zdarta z Ignacia i Tasia. Nic mnie to nie obchodziło.

Gdyby nawet tak było, niezależnie od genów, które odziedziczyła, postanowiłem, że przerwę łańcuch przemocy ciągnący się od paleolitu.

Deba będzie mieć matkę, która nigdy się nie złamie, ojca, który wstąpi dla niej do piekieł, wujka Germana, ciotkę Estíbaliz, babcię...

...i pradziadka, który wciąż będzie w formie, kiedy zabraknie nas wszystkich.

Podziękowania

To powieść o macierzyństwie i ojcostwie. Na jej stronach pojawiają się dobrzy i źli rodzice: toksyczni, nieobecni, niezdecydowani, despotyczni, dziadkowie zastępujący rodziców, ciotki, które próbują ocalić dzieci i cierpią jak matki. Próbowałam zastanowić się nad świadomą decyzją każdego z nas, kiedy decyduje, że będzie dobrym albo złym rodzicem, niezależnie od bagażu, którym obarczyło go życie.

Nie muszę chyba wspominać, że opisane w powieści wydarzenia nie mają nic wspólnego z moim życiem, chciałam jednak zabrać głos w imieniu wszystkich Rebec świata. Jeśli chociaż jedna zostanie uratowana dzięki temu, że mój czytelnik nie odwróci wzroku, poczuję, że moja kariera literacka miała głęboki sens.

Jest wiele osób, którym powinnam podziękować za wsparcie. Oto one:

Moja matka, która odziedziczyła po dziadku zdolność rozwiązywania problemów, za trud włożony w udokumentowanie wszystkiego, co ma związek z Villaverde.

Moje rodzeństwo: Nuria i Raúl. Wychowałam się w bardzo żywej rodzinie i cieszę się, że zawsze mogę na nią liczyć.

Cała moja rodzina oraz sąsiedzi z Villaverde, bo nigdy nie wątpili w sukces tej książki.

Wszyscy vitorczycy i mieszkańcy Álavy, którzy polecali albo podarowali komuś *Ciszę białego miasta*. Jedną z największych przyjemności, jaka może spotkać pisarkę, jest opiewanie swojej małej ojczyzny. I mnie się to przydarzyło. Dzięki wam!

Urząd Miasta Vitorii i jego Biuro Turystyki, a konkretnie Gorka Urtaran, Nerea Melgosa i Delia García, za ich wielkie wsparcie.

Rotary Club z Guardamar, bo to dobrzy ludzie.

Wszyscy dziennikarze prasowi, radiowi i telewizyjni, których interesuje słowo pisane.

Księgarze, którzy polecają moją książkę. To dzięki nim *Trylogia Białego Miasta* stała się czytelnicznym fenomenem.

Wszyscy literaccy blogerzy za to, że wrzucają do sieci cudowne recenzje. Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

Wszyscy, którzy polubili i śledzą konta evagarciasaenz na Facebooku, Twitterze i Instagramie. Codziennie dostaję od was zastrzyk nowych sił do pracy, to dzięki wam piszę.

Cały zespół Planety: Belén López, Raquel Gisbert, Emili Albi, Zoa Caravaca, Laura Franch, Lolita Torelló, Isa Santos i Silvia Axpe. To dzięki wam zdarzył się ten cud i dzięki wam był dla mnie taki łatwy. Bardzo cenię wasze zaangażowanie, pomoc i siłę. Lubię pracować z dobrymi ludźmi.

José Creuheras i Carlos Creuheras, za waszą dobroć, przede wszystkim za waszą dobroć.

Cały dział handlowy Planety: bez was to by się nie stało, dzięki wam Kraken znalazł się we wszystkich zakątkach naszego kraju.

Carlos Revés, Jesús Badenes i David Fernández: dziękuję za te piękne dni w białym mieście i wszystko, czego nauczyłam się od najlepszych.

Javier Sanz, który się uparł, że Kraken przemówi wszystkimi językami świata.

Mikel Lejarza: bo postawił na Krakena.

Muszę też wspomnieć o wielu specjalistach, z którymi konsultowałam swoje wątpliwości. Za wszelkie błędy oraz modyfikacje ze względu na potrzeby fikcji odpowiadam ja. Podziękowania niech przyjmą:

Szef Baskijskiej Akademii Policyjnej w Arkaute i szef Wydziału Kryminalnego Ertzaintzy w Vitorii za życzliwe konsultacje z dziedziny kryminologii.

Enrique Echazarra, który wyjaśnił wątpliwości dotyczące niektórych miejsc turystycznych.

Biuro Turystyki Urzędu Miasta Salvatierra za pomoc w ustaleniu tras do tunelu San Adrián.

Gregorio Pérez i Juli Otaza za to, że pomogli mi, kiedy tego potrzebowałam.

Fausti Gisbert za konsultacje w sprawie terapii logopedycznej Unaia.

Psychiatra, która wytłumaczyła mi rolę czynników genetycznych w rozwoju psychopatii.

Oscar Puelles, który wyjaśnił mi kilka kwestii związanych ze szpitalem Txagorritxu.

Moi nauczyciele technik dokumentacji kryminalnej w akademii. To były bardzo trudne lekcje, ale dzięki nim doceniłam jeszcze bardziej pracę policji śledczej.

I na koniec: moje dzieci Adrián i Dani, bo dostałam od was więcej niż od jakiegokolwiek dorosłego, dzięki wam odkryłam Evę szczęśliwszą i silniejszą, dysponującą zdolnościami, o jakie się wcześniej nie podejrzewałam. Jesteście moimi nauczycielami życia i to wam dedykuję tę powieść.

I Fran, bo jest Górą, którego potrzebuje każda Cersei.

I Ty, mój ukochany dziadku. Tęsknię za tobą. Wciąż jesteś przy mnie, chociaż odszedłeś. Dziękuję za te wszystkie chwile, kiedy uśmiechnąłeś się do mnie ze zdjęcia wiszącego w moim gabinecie, na którym siedzisz w swoim warzywniku, i szepnąłeś zachrypniętym głosem: „Nie użalaj się nad sobą i idź do przodu!”.

- [1] *Txitxikis* – kawałki wieprzowiny przyprawione ostrą i słodką papryką, które smaży się na patelni.
- [2] *Pintxo-pote* – napój – najczęściej wino, piwo lub cydr – i zakąska, serwowane w atrakcyjnych cenach przez niektóre bary na północy Hiszpanii w określone dni tygodnia.
- [3] Marek Anneusz Lukan, *Wojna domowa*, tłum. i oprac. M. Brożek, edycja komputerowa: www.zrodlahistoryczne.pwn.pl.
- [4] *Lehendakari* – baskijskie określenie szefa rządu Kraju Basków.
- [5] *Zurracapote* – napój sporządzany z wina, owoców (najczęściej cytryn i brzoskwiń) oraz cukru i cynamonu.
- [6] *Día del Blusa* – święto obchodzone w Vitorii 25 lipca; jego bohaterami są członkowie bractw *blusas*, którzy ubrani w tradycyjne stroje przypominające kitle składają hołd zmarłym przodkom i biorą udział w trwających cały dzień zabawach, takich jak wyścigi osłów czy zawody w toczeniu beczek po winie.
- [7] *Lauburu* (bask. Cztery głowy), znana też jako baskijski krzyż i baskijska swastyka – jeden z najstarszych i najważniejszych symboli baskijskich.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz